

EILEEN
GOUDGE

OGRÓD KŁAMSTW

Prolog

Pewna uboga wdowa żyła samotnie w małej chatce, a przed chatką był ogródek, w którym stały dwa krzewy różane: jeden z nich miał kwiaty białe, a drugi czerwone. Wdowa miała dwie córeczki, podobne do tych krzewów, jedną zwano Snieżyczką, a drugą Różyczką. Były one tak pobożne i dobre, tak pilne i pracowite, jak rzadko które dzieci na świecie.

Baśnie braci Grimm

New York City, lipiec 1943

Sylvie Rosenthal stała przed wysokim, okolonym złotoną ramą lustrem w dziale modniarskim Bergdorfa.

— Sama nie wiem — powiedziała do sprzedawczynie, kręcącej się za nią. Wyprostowała rondo zielonego słomkowego kapelusza wielkości koła od wozu. — Nie myśli pani, że jest trochę za duży?

— Ledwo w zeszłym tygodniu widziałam w kronice filmowej, że Eleanor Roosevelt nosi dokładnie taki sam — podsunęła pulchna sprzedawczynie. — Oczywiście, ona nie była... hm, przy nadziei — zniżyła głos do pogrzebowego szeptu.

Sylvie uczuła przypływ rozdrażnienia. Dlaczego zawsze wszyscy jej przypominali? Dobry Boże, czy choć raz nie mogliby pozwolić jej zapomnieć?

Przesunęła palcami rondo z jabłkowitzką kryzką z tiulu. Jej irytacja na tę kobietę rozplynęła się w fali samozwątlenia. Och, gdyby tylko Gerald był tutaj. Nigdy nie wiem, co wybrać. A będę się czuła okropnie, jeśli mu się nie spodoba.

Zdjęła kapelusz i bacznie przyjrzała się swemu odbiciu, czując się, jak wiele razy w ciągu ośmiu lat swego małżeństwa, speszona, nawet nic niewarta. Bóg wie, co on widzi, kiedy mówi, że jestem piękna.

Zobaczyła pociągłą, szczupłą twarz, zwyczajną z wyjątkiem oczu. Były szeroko otwarte, w zielonym odcieniu

butelki szampana, przy rzęsach i brwiach tak jasnych, że prawie niewidocznych. W jakiś sposób jej oczy wyglądały na ciągle zdziwione.

Sylda przypomniała sobie, że Gerald kiedyś powiedział, iż przypomina mu sztych Tenniela, przedstawiający Alicję. Uśmiechnęła się do siebie. Tak, być może ma w tym rację. Czasami naprawdę myślę, że jestem w Krainie Czarów.

Rozejrzała się wokół siebie. Sprawunki były niewiarygodnie przyjemne tu, u Bergdorfa, w sekretnym raju, na pozór nie tkniętym przez wojnę. Kamienne wazy, wybuchające gałązkami tygrysiich lilii i orchidei. Delikatne francuskie stoliki i łukowate witryny, wypełnione butelkami perfum z dmuchanego szkła — nawet jeśli same perfumy były w obecnych czasach namiastką dawnych. Olbrzymi kryształowy żyrandol, zawieszony pod marmurową rotundą. Jak daleko odeszła od czasów, kiedy przebierała wśród rzeczy na wyprzedazy u Ohrbachsa, kiedy zapłacenie więcej niż pięciu dolarów za kapelusz było nie do pomyślenia. Tak, pomyślała. Spadłam przez tunel wprost do Krainy Czarów.

Jutro u Goldów odbędzie się doroczne przyjęcie w ogrodzie z okazji święta Czwartego Lipca i, w ciąży czy nie, Sylvie cieszyła się na nie. Namioty w czerwono-biało-niebieskie pasy, apetyczny zapach dymu od *barbecue*, potem tańce do muzyki Lestera Lanina na olbrzymiej platformie, otoczonej japońskimi lampionami. Z tym, że w tym roku nie będzie żadnych lampionów, powiedziała jej Evelyn. Jej młodszy brat został zestrzelony niedaleko Okinawy i japońskie lampiony były ostatnią rzeczą na świecie, jakiej Evelyn chciałaby na swoim przyjęciu.

Sylvie ostrożnie zdjęła zielony kapelusz i oddała go w ręce sprzedawczyni. Może marynarski Lilly Dache z czerwoną wstążką byłby bardziej stosowny, zastanawiała się. I z tym wojskowym rondem bardziej zgodny z duchem czasów. Tak bardzo chciała, żeby Evelyn...

Sylvie zamarła. W dole brzucha uczuła nagłą ciężkość, jak gdyby dziecko wewnątrz niej dało nurka. Nie, właściwie przepychało się w dół. Gwałtowne parcie. I, o Boże, ono wcale nie ustawało. Ból w krzyżu, który niepokoił ją przez cały ranek, zmienił się w garść igieł, wbijających się w podstawę kręgosłupa.

Nic się nie dzieje, pomyślała. To nie może być to. Nie pozwolę na to.

Ale wiedziała, że to było to.

Głęboko w sobie uczuła trzaśnięcie, jakie wydaje pękająca gumka. Uczuła, jak serce skacze jej do gardła. Potem spojrzała w dół, przerażona powiększającą się, ciemniejszą plamą na beżowym dywanie. Wody jej odeszły. Boże drogi! Czuła się tak zawstydzona jak wtedy, kiedy jako dziecko zmoczyła się w szkole.

Oblał ją lodowaty strach.

To koniec, żadnego więcej udawania, że jest zachwycona, że nie posiada się z radości, uspokajania się, że dziecko jest Geralda, musi być Geralda. Teraz nadeszła chwila prawdy. Lęk ścisnął jej serce jak zimna pięść. Ono może nie być Geralda. I, Boże w niebiosach, jeśli nie jest... Jeśli wygląda jak Nikos? Czarne oczy, skóra koloru kawy i czarne kręcone włosy...

Nie, musi to wykluczyć, zatrzasnąć drzwi przed tą myślą. Sylvie, usiłując się uspokoić, spojrzała w lustro. Tym razem zobaczyła nie Alicję, a zapuchniętą, zamazaną twarz, unoszącą się nad rażąco zdeformowanym ciałem. Czuła się dziwnie obojętna, jak gdyby patrzyła na jakieś egzotyczne okazy morskiej fauny w akwarium. Albo na topielicę z wyblakłą szarozieloną twarzą, z pasmami jasnych rudawych włosów, unoszących się wokół jej bladej szyi jak wodorosty.

— *Madame...*Czy dobrze się pani czuje? — Zaniepokojony głos dotarł do niej przez zielone głębie.

Sylvie odwróciła się, by zobaczyć gapiącą się na nią ekspedientkę z ufarbowanymi henną włosami, wystraszonymi oczyma za kocimi okularami, z plamami

pomarańczowego różu, jak u clowna, na obwisłych policzkach, teraz krwistoczerwonych.

Tak, to tutaj była, u Bergdorfa. Kapelusze. Zielony czy niebieski? Uniosła niebieski kapelusz z podstawy na kontuarze, przesuwając w palcach woalkę. Jak zręcznie wszyto paciorki dżetów w siateczkę, żeby błyszcząły...

— *Madame!* — Pulchne palce chwyciły jej ramię.

SyMe siłą woli zdołała powstrzymać strumień, jaki ciągle na nią napierał. Otworzyła usta, aby powiedzieć, że czuje się świetnie, proszę nie robić sobie zachodu.

Wtedy poczuła w dołku uderzenie, które przyprawiło ją o zawrót głowy. Nie, nie czuła się dobrze. Zdecydowanie nie. Kolana zaczęły się pod nią uginać. Zaciśnęła kurczowo ręce na brzegu kontuaru, odzyskując równowagę, i stanęła przed rzędem głów, każdej paradującej w innym kapeluszu. Ich gładkie, pozbawione oczu twarze wywołały w niej dreszcz. Zdawały się oskarżać ją, jak ława przysięgłych wydająca wyrok: winna.

Gdyby tylko Gerald był tutaj! Wiedziała, co robić. Potrafił przywołać kelnera, unosząc tylko brew. Jedno skinienie i taksówka jak zaczarowana pojawiała się w zagmatwanym ruchu ulicznym. W banku jedno spojrzenie Geralda mogło sprowadzić pędem wyższych i niższych urzędników i kasjerów.

Ale nie, Gerald nie może się dowiedzieć. Dzięki Bogu, do jutra będzie w Bostonie... sprawy bankowe... coś z obligacjami wojennymi czy czymś takim.

SyMe zasłoniła usta, powstrzymując histeryczny śmiech. Jedyne człowiek, którego potrzebowała, na którym polegała... Teraz, kiedy potrzebowała go najbardziej, nie mogła zwrócić się do niego.

Jak mogła mu to zrobić? Jak?

Gerald był taki dobry. Zawsze. Jej bóle głowy — kiedy miała któryś z nich, najłżejszy hałas wyzwał lawinę w jej czaszce, a Gerald, niech go Bóg błogosławi, pilnował, żeby i on sam, i służba poruszali się po domu jak cienie.

Sylvie pomyślała o dniach, kiedy nie tylko głowa, ale stopy i całe ciało stale ją bolało, kiedy jazda taksówką wydawała się niebiańskim luksusem. Stanie przez cały dzień, podawanie pieniędzy przez kratę w boksie kasjera, uczucie paniki w metrze, a potem do domu, wspinanie się po cuchnących kapustą schodach — sześć nie kończących się kondygnacji, każdego przekłętego wieczoru.

Wyczerpana, zastanawiając się, jak długo jeszcze zdoła ustać na nogach, Sylvie czuła się tak, jak gdyby właśnie wspinająca się po tych schodach. Zadrzała. Dlaczego było tak zimno? Najgorętszy dzień w roku, powiedzieli w radiu, a mimo to sklep robił wrażenie lodówki.

— Czy mam wezwać lekarza? — Przenikliwy głos ekspedientki wtargnął do jej uszu.

— Nie. Ja...

Ból w krzyżu rozlewał się, obejmując ją mocno w talii, jak gdyby nosiła za ciasny pasek. Przeciskał się przez nią lodowatymi falami.

Boże, Boże, zabierz mnie do szpitala. W każdej chwili mogą wynieść mnie stąd w poplamionej sukience. Wszyscy będą się gapić. O Boże, nie, raczej umrę.

Otrząsnęła się i popędziła wzdłuż kontuaru z perfumami. Od przesytu mieszaniną ich zapachów czuła mdłości. Jakoś wydostała się na zewnątrz, przez ciężkie szklane drzwi wyjściowe, przedzierając się do krawężnika przez powietrze gęste jak syrop.

— Szpital na Lennox Hill — sapnęła, opadając na tylne siedzenie taksówki.

Opuściła korbką okno, wpuszczając strumień gorącego powietrza, zupy ze spalin o temperaturze rozprażonych chodników. Mimo to jej ciało nie przestawało dygotać.

Podstarzały taksówkarz zaczął nucić *While we're young*. Sylvie chciała, żeby przestał, ale czuła się zbyt żalosna, by się odzywać, i zbyt winna.

— Co pani na to? Teraz, kiedy wypchnęliśmy tych nazistowskich łotrów z Egiptu, myśli pani, że Ike najedzie Włochy?

Najwyraźniej był typem gaduły. Patrzyła na wałeczek tłuszczu, wybrzuszący się nad jego kołnierzykiem. Był czerwonyjak poparzony wrzątkiem, ze sterczącymi sztywnymi czarnymi włosami.

Sylvie chciała być uprzejma i odpowiedzieć, ale właśnie wtedy poczuła nudności wzbierające powolną, maziastą falą.

Gdy taksówka chybotliwie toczyła się w górę Park Avenue, znów poczuła ten ucisk, zaczynający się w krzyżu i obejmujący jej brzuch jak kleszcze. Ciaśniej i ciaśniej. Boże!

Zesztywniała, wyginając plecy w łuk, czując, jak sprężyny zapadającego się siedzenia wbijają się jej w pośladki. Przygryzła wargi, żeby powstrzymać się od krzyku. Tak intensywnie zatęskniła za matką, że przez chwilę czuła mocne, pulchne mamine ramiona wokół siebie, ostry zapach eukaliptusowej maści Vick's VapoRub, którą mama zawsze wmasowywała jej w klatkę piersiową, kiedy dokuczała jej astma. Nie płacz, *szejnenke*, uspokajaj głos mamy w jej głowie. Jestem tutaj. Nie opuszczę cię. Zobaczyła opuchniętą od snu twarz mamy, wystrzępiony szary sznur warkocza, wijącego się wzdłuż rękawa jej szlafroka. A w jej wyblakłych niebieskich oczach zobaczyła ducha małej dziewczynki, która grała w krokieta na trawniku wokół wielkiego domu jej taty w Lipsku, zanim musiała uciekać do Ameryki.

Mama, porzucona przez swego słabego męża, sprzedająca pocztówki i katalogi we Frick Museum za dwadzieścia osiem dolarów tygodniowo, niemądrze marząca o tamtym lepszym życiu, jakie pozostawiła za sobą. Sylvie krępowano słuchanie, w jaki sposób mama mówiła o muzeum, jak gdyby było jej własnością, jak gdyby każdy obraz należał do niej. — Jutro po szkole odwiedź mnie w muzeum i pokażę ci nowego Rembrandta. Pomyśl tylko, Sylvie. Takie cudo, mieć na własność takie cudo!

Niczego nie miałyśmy na własność! — wykrzyknęła do siebie Sylvie, walcząc z bólem, który teraz drażył jej

wnętrznosci. Tylko kilka sztuk mebli. I używane rzeczy od siostry mamy. Ciotka Willie, której mąż stworzył wielkie przedsiębiorstwo handlu lisimi kołnierzami i etolami, przysyłała je w złocistych pudełkach, przeznaczonych dla jego towarów.

Mama zawsze mówiła, że mamy coś więcej niż wielki dom ciotki Willie przy Dumas Avenue. Mamy siebie. Ale to nie była prawda, pomyślała Sylvie z uczuciem ostrego bólu. Mama opuściła mnie, czyż nie?

Ból w brzuchu Sylvie zdawał się podczołgiwać do jej gardła. Mamo... och, mamo, dlaczego musiałaś umrzeć? Zamknęła oczy, poczuła, że łzy, piekące ją pod powiekami, wypływają z kącików oczu i toczą się po policzkach.

Pomyślała o tamtym dniu, o wymuskanym panu Harmonie, wzywającym ją z boksu kasjera do swego biura. Pani matka... Bardzo mi przy kr o... Udar. Wszystko zrobiło się zamazane i szare, wreszcie czarne. A potem oprzytomnienie, jechała limuzyną. Skórzane siedzenia, miękkiejak stopione masło, głębokie poduszki i dywanik pod stopami, okno, oddzielające tylne siedzenie od przedniego, szofer w szarej czapce. Jakie dziwne, zupełnie inny świat. Obok niej, z ręką wokół jej ramion, podtrzymując ją, siedział mężczyzna. Patrzcie, toż to sam pan Rosenthal, szef całego banku! Czuła na przemian zimno i gorąco, zatrwożenie i wzruszenie. Pomyślała, że wcześniej dostrzegła, jak na nią patrzy, chociaż właściwie nigdy się do niej nie odezwał. Inne dziewczęta plotkowały o nim przy kawie i kanapkach w bufecie — jego żona zmarła ponad dwadzieścia lat temu, nie pozostawiając dzieci i wszystkie zastanawiały się, dlaczego nie ożenił się ponownie. Pomyślała, że może inne kobiety zbyt się go lękały, żeby się do niego zbliżyć. Sylvie przypomniała sobie, jak onieśmielająco zawsze wyglądała, krocząc do swego biura — garnitury zawsze doskonale wyprasowane, złote spinki migocące na mankietach z monogramem. Polecenia wydawał spokojnym, ale władczym tonem.

Jednak teraz wcale nie wydawał się przerażający. Zobaczyła łagodne niebieskie oczy, otoczone delikatną siecią zmarszczek; starszy niż mogłaby przypuszczać, co najmniej pięćdziesiąt lat, srebrzystoblond włosy tak nikle, że jego biała czaszka prześwitywała przez nie. Powiedział, że zabierają do szpitala. Do jej matki. Słuchając go, Sylvie czuła, jak spływa na nią promieniująca z niego spokojna siła.

A później wziął na siebie rachunek szpitalny za mamę, przygotowania do pogrzebu, potem troszczył się o nią, kiedy była tak chora, że nie mogła wstać z łóżka. Nigdy, ani razu, nie okazał śmiałości, nie starał się wyzyskać przewagi, dopóki nie poprosił, aby za niego wyszła. On chciał się ożenić z nią. Niepodobieństwo. Nie zrobiła nic, żeby na to zasłużyć!

I, o Boże, patrzcie, jak mu odpłaciła.

Wspomnienie Nikosa uwierało jak kamyk w bucie. Przez cały rok, każdego ranka, kiedy się budziła, było obecne, czasami bardziej irytujące, czasami mniej, ale zawsze obecne. Zalegało jej w gardle, kiedy próbowała jeść. Dręczyło ją we śnie. Natrząsało się z jej bolesnej tęsknoty, żeby dziecko, rosnące w niej, było podobne do Geralda.

Sylvie splótła palce nad twardym wzgórkiem swego brzucha. Ucisk zaczynał ustępować, ból też. Gdybym tylko, wykrzyknęła w myśli, mogła zająć w ciążę, zanim pojawił się Nikos, wtedy byłabym pewna!

Bóg jeden wie, że próbowała. Mierzenie temperatury co rano i notowanie jej na wykresie, który Gerald trzymał koło łóżka — całe trzy lata! I te wizyty u doktora! Leżenie tam z rozsuniętymi nogami, jak kurczak do patroszenia. Zimna stal zapuszczająca się w nią, aż miała ochotę krzyknąć! A potem słuchanie, że nic jej nie jest. Należy czekać. Co doktorzy wiedzieli?

Płakała, widząc rozczarowanie na twarzy Geralda co miesiąc, kiedy dostawała okres.

Dlaczego nie mogła mu dać właśnie tego jednego? Spójrzcie, jakie wspaniałe życie jej stworzył. To nie jej

wina, powiedziało trzech różnych specjalistów z Park Avenue, ale Sylvie wiedziała lepiej. Była pewna, że mogłaby zająć w ciążę, gdyby tylko znalazła sposób, aby nie nienawidzić seksu z nim.

Jak mogła doznawać tego uczucia? Dlaczego? Który mąż na całym świecie był kiedykolwiek bardziej uprzejmy i hojny?

Mimo to wspomnienie nocy poślubnej, widok jego nagości, wciąż kazały jej się kulić ze strachu. W swoich nienagannych, szytych na miarę garniturach wydawał się silnym, zamożnym mężczyzną. Nagi, z obwisłym brzuchem, wyglądał staro, prawie groteskowo. I miał piersi, piersi jak u dziewczyny. Do dziś dnia Syhde czuła odrazę, kiedy nachylał się nad nią, niezależnie od tego, ile milionów razy mówiła sobie, że go kocha i on kocha ją. Jego nalany brzuch, napierający na nią, zmuszający ją do łapania powietrza, jego rzecz, wsuwająca się w nią centymetr po centymetrze. Potem to pomrukiwanie i ciężkie westchnienia, jak gdyby cierpiał. Będzie lepiej, powtarzała sobie ciągle, musi być lepiej. To tylko dlatego, że nie przywykliśmy do siebie.

Jednak po ośmiu latach jej ciało wciąż się wzbraniało, kiedy oznajmiał swoje pożądanie, zdejmując piżamę i składając ją u stóp łóżka.

I wtedy Nikos...

Przenikliwy ból w brzuchu wyrwał Sylvie z zamyślenia. Zwinęła się na tylnym siedzeniu taksówki, jak gdyby w ten sposób mogła wymknąć się z tego gorącego, karzącego uścisku.

Podczas gdy taksówka szarpała w prawo i lewo, klucząc w zgęszczonym ruchu, Sylvie pochyliła się do przodu i oparła o przednie siedzenie, z trudem chwytając powietrze, kołysząc swój wielki brzuch tak ostrożnie, jak gdyby był bombą, mającą za chwilę wybuchnąć.

- Zmieniłam zdanie — powiedziała do kierowcy.
- Proszę mnie zawieźć do Szpitala Świętego Piusa.
- Podała mu adres i we wstecznym lusterku zobaczyła,

jak przewraca oczami. Nigdy nie złapie kursu powrotnego do śródmieścia z tamtej części Bronxu, ale ona tam, w swojej dawnej okolicy, będzie się czuła, cóż, jakoś bezpieczniej.

Na wypadek gdyby Gerald zadzwonił, zostawi wiadomość u Bridget, że wybrała się z wizytą do swojej starej przyjaciółki, Betty Kronskey. Później mogła powiedzieć, iż ból stał się tak silny, że nie było czasu na powrót do śródmieścia czy wezwanie tego nudnego doktora Handlera, który był kolegą Geralda w college'u. Wiedziała, że to było szaleństwo, rzecz właściwie beznadziejna. Ostatecznie Gerald będzie musiał się dowiedzieć. Ale przynajmniej na razie wydawało się to łatwiejsze. Na powrót w swojej dawnej okolicy będzie się czuła bliżej mamy, prawie jak wtedy, kiedy mama uspokajała ją i ochraniała. A może, cóż, może zdarzy jej się cud — dziecko, które będzie po prostu podobne do Geralda albo do niej. Teraz, poza śródmieściem, taksówka nabrała szybkości, sunąc wzdłuż okazałych bloków mieszkalnych, stojących szeregiem przy Park Avenue. Sylvie zerknęła na wysadzany brylantami zegarek Patek Philipp, który Gerald dał jej na ostatnią Chanukę*. Po drugiej. Boże, czy dojadę na czas?

Nagle elegancja Park Avenue ustąpiła miejsca obскурności Harlemu i posuwali się z warkotem po popękanej nawierzchni, wybojach i porozrzucanych na ulicach odpadkach. Starzy pijacy siedzieli skuleni na chodnikach. Zamknęła oczy, ale nie mogła odgrodzić się od smrodu, od zaduchu hałd nie zebranych, rozkładających się śmieci.

Potem ogłuszająca wibracja kół taksówki przejeżdżającej przez most, prowadzący z Trzeciej Alei do Bronxu. Syhde otworzyła oczy. Kiedy skręcili z Bruckner Boulevard, zobaczyła ulice zapełnione dziećmi — dziećmi wszelkich rozmiarów i kolorów, chlapiącymi się w poto-

* Chanuka — radosne żydowskie święto, przypadające w grudniu.

kach wody, płynącej z nie zakręconych hydrantów strażackich, pędzącymi w tę i nazad, niepomnymi na ruch uliczny, nie zważającymi na niebezpieczeństwo. Zobaczyła kudłatego chłopca, goniącego małą dziewczynkę; jej długie czarne warkocze dziko podskakiwały z tyłu. Syhde wzdrygnęła się, wyobrażając sobie swoje dziecko tutaj, zdziczałe brązowe stworzenie, bawiące się w chowanego za pojemnikami na śmieci.

Taksówka zatrzymała się. Sylvie zapłaciła i wymanewrowała z drzwi swoją wielką masę. Gdy stanęła, groziło jej, że nogi załamią się pod nią.

Popatrzyła na Szpital Świętego Piusa. Jego ceglana i granitowa fasada była tak pociemniała od brudu, że przywodziła na myśl nie czyszczony od lat piec. Poczuła, że żołądek zaciska jej się z konsternacji. Wewnątrz będzie jak w piecu, żadnej klimatyzacji, żadnych wentylatorów. Zaatakowały ją uliczne hałasy — piszczące dzieci, wydzierające się radia, głosy wrzeszczące po hiszpańsku z otwartych okien. Walcząc z zawrotem głowy, mozolnie wchodziła po frontowych schodach szpitala.

Ogłuszający huk sprawił, że zatoczyła się, a jej serce omal nie roztrzaskało się o żebra. Była tak wstrząśnięta, że potknęła się o najwyższy stopień i ledwie uniknęła upadku, chwytając się żelaznej poręczy. Wtedy je zobaczyła. Dzieci. Wystrzeliwały petardy na chodniku. Oczywiście, przecież to jutro Czwarty Lipca. Zapomniała.

Patrząc ponad głowami dzieci w okna domu czynszowego, Sylvie zobaczyła ciężarną kobietę w wyblakłej wzorzystej sukience i jej ogromny brzuch, zwisający nad parapetem. Kobieta obserwowała marsz Sylvie beznamiętnym wzrokiem, podczas gdy pulchne brązowe niemowlę kręciło się u jej piersi. Sylvie odwróciła się i przecisnęła do środka, niepewnie czując się na nogach. Szare plamy wirowały w polu jej widzenia. Czuła, że skurcze zaczynają się nasilać. Poczuła nagle tak silny zawrót głowy, że nie odważyła się puścić gałki u drzwi. Podłoga przechyliła się gwałtownie.

Proszę... niech ktoś... mi pomoże... Otworzyła usta, aby to powiedzieć, kiedy kaptur z szarej gazy zsunął się jej na oczy i żadne słowo nie padło.

Czarne i białe kafelki podłogi podpłynęły ku niej. Coś zimnego i twardego uderzyło o jej kość policzkową. Ból przetoczył się przez nią jak daleki grom.

A potem ciemność.

Otwierając oczy Syhde stwierdziła, że znajduje się na żelaznym łóżku z poręczami po obu stronach. Otaczała je zielona zasłona. Przez szparę w niej mogła widzieć przeciwległą ścianę. Oprawiony w ramę obraz Chrystusa wisiał między dwoma wysokimi oknami — oczy wzniesione ku niebu, dłonie wyciągnięte, by pokazać klute rany, z których ściekała krew.

Sylvie dźwignęła się na łokciach. Wysiłek wywołał walenie młoteczków bólu w jej skroniach, pobudzając ją do krzyku. Czuła, że twarz ma zeszywniała. Dotknęła nosa, jej palce napotkały szorstki plaster.

Z łoskotem metalowych kółek ściągnięto zasłonę. Kobieta w białym fartuchu, w krótkim białym kornecie, okrywającym jej głowę, stanęła nad nią. Fluoryzujące górne światło odbijało się w jej okularach, nadając jej dziwny, pozbawiony wyrazu wygląd. Jej twarz była tak biała i gładka, jak ugotowane jajko.

— Ma pani szczęście — powiedziała. — Nie jest złamany.

Sylvie jęknęła. — Mam wrażenie, że zwymiotuję.

— W żadnym razie.

Surowa odpowiedź tak zdumiała Sylvie, że zapomniała, jak bardzo czuła się chora.

— To tylko wrażenie — zapewniła życzliwie kobieta. — Będzie się pani miała świetnie.

Potem zakonnica-pielęgniarka zaczęła wciągać na rękę obcisłą gumową rękawiczkę. Z tacy, którą przyniosła ze sobą, wybrała tubkę i rozsmarowała coś białego jak krem na palcach.

— Mam zamiar zbadać panią, żeby zobaczyć, jak duże ma pani rozwarcie — powiedziała. — Przy okazji, jestem siostra Ignatious — dodała, gdy odciągnęła prześcieradło i wsunęła dwa nasmarowane palce do pochwy Sylvie.

Sylda przegięła się do tyłu, cała kurcząc się w proteście przeciw inwazji. Uczucie zimnego odrętwienia ogarnęło ją od pasa w dół, gdy palce sondowały i dźgały.

Siostra Ignatious odsunęła się i niezdarnie poklepała ją po ramieniu. — Sześć centymetrów — oświadczyła. — Jeszcze ma pani przed sobą trochę czasu. Pani pierwsze?

Sylda przytaknęła, nagle czując się jak maleńkie dziecko, przestraszone, bezradne i tak bardzo samotne. Łzy zebrały się na jej dolnych rzęsach.

Siostra Ignatious zniknęła, ale po paru minutach wróciła, niosąc miskę mydlanej wody i brzytwę.

Sylvie, zatrwożona, zapytała: — Co pani ma zamiar zrobić?

— Spokojnie., spokojnie, nie róbnmy zamieszania — cmoknęła siostra. — Zamierzam tylko panią ogolić. Dla pani własnego dobra.

Z zaciśniętymi oczami, Sylvie pozwoliła raz jeszcze podnieść sobie koszulę. Szorstka, mokra ścierka drapała ją po brzuchu, przesuwając się niżej. Woda skapywała nieprzyjemnie między nogi. Lodowata ręka leżała w poprzek jej brzucha. Jak czyjaś ręka mogła być taka zimna w tym upale? Sylvie kazano leżeć nieruchomo. Nie szkodzi, że masz skurcze, kochanie. Podczas gdy brzytwa drapała jej wzgórek łonowy jak małe zwierzątko, szczypiące i wczepiające się pazurkami, reszta jej ciała kurczyła się pod naporem olbrzymich, ogłuszających fal bólu. Wyteżała siły, żeby nie krzyczeć i nie poruszać się. Chciała być grzeczna, robić to, co jej kazano.

A co innego mogła robić?

W końcu siostra Ignatious wyprostowała się, zabierając miednicę i opuszczając koszulę Sylvie. — Doktor Phillips wkrótce zajdzie panią odwiedzić — powiedziała. Z brzękiem metalowych kółek odeszła.

Następne godziny były męczarnią ponad wszelkie wyobrażenia Sylvie. W katuszach zapomniała o Geraldzie i Nikosie, nawet o dziecku w niej, walczącym, żeby się urodzić.

Istniał tylko ból. Już nie napływał falami, z krótkimi chwilami ciszy, ale stał się rozkołysanym morzem.

Ubrane na biało postacie pojawiały się i znikwały z jej pola widzenia. Żująca gumę dziewczyna zapisała na karcie jej nazwisko i zapytała o ubezpieczenie. Potem wysoki szpakowaty mężczyzna w zielonej bluzie przedstawił się jako doktor Phillips i poprosił, żeby rozsunęła kolana, aby mógł ją zbadać. Inaczej niż zwykle, nie czuła żadnego skrępowania, tylko niewygodę. Krzyknęła. Pot spływał jej po twarzy. Skóra piekła ją jak w ogniu. Delikatne dłonie położyły chłodną, wilgotną ściereczkę na jej czole. Sylvie usłyszała wrzask, który zdawał się echem jej własnego. Mglisto uświadomiła sobie, że za jej zasłoną było łóżko, które musiała zajmować inna kobieta w bólach porodowych.

Czuła, że dziecko z piekącym naciskiem przemieszcza się w dół. Sylvie instynktownie poddała się temu, pomrukując, podnosząc się i opadając. Chyba się przesunęło. Czy ten straszliwy ból wewnątrz można wyprzeć? Czy mogłaby wypchnąć go na zewnątrz?

— Proszę jeszcze nie przeć — nakazał jakiś głos.

Zmusiła się, by przez czerwony welon bólu skupić spojrzenie na twarzy, unoszącej się nad nią. Siostra Ignatious.

— Muszę — zaprotestowała płaczącym głosem.

— Proszę czekać, aż przewieziemy panią na salę porodową — powiedziała zakonnica.

Syhde opierała się przymusowi parcia, ale było to nie do zniesienia. Czuła się tak bezradna, jak gdyby ktoś ją dusił, a ona nie mogła nic zrobić, żeby się uratować. Tylko że nie szyję śmiertelnie jej uciskano, a całe ciało. Nie przeżyje tego, nie ulegając rozdarciu na pół.

Jak, na Boga, kobiety przechodziły przez to i żyły? I to

nie raz, a kilka razy. Jak którakolwiek mogła chcieć przejść przez to jeszcze raz, jeśli dowiedziała się, jak to jest?

Ona nie chciała. Nigdy. Ani dla Geralda, ani dla żadnego innego mężczyzny.

Silne ręce przeniosły ją z łóżka na wózek. Syhde dygotała; było tak gorąco, że z trudem łapała powietrze. Jej ciało było złane potem, chociaż szpitalna koszula zwinęła się pod nią jak wyżęta ścierka. Próbowwała złączyć kolana, żeby napierający ciężar jej nie rozerwał, ale nie chciały trzymać się razem. Zacisnęła kurczowo dłonie między nogami, upokorzona, że wszyscy widzą, jak to robi, rozpaczliwie próbując uwolnić się od straszliwego palącego ucisku.

Docierało do niej jak przez mgłę, że wiozą ją przez korytarz, że gumowe koła podskakują na nierównym linoleum. Nowa sala. Nagła, oślepiająca jasność. Światło wielkiej lampy na środku, odbijające się od lśniących zielonych kafelków. Wszędzie nierdzewna stal.

Syhde jęknęła, zwijając się bezradnie. Panika powoli podchodziła jej do gardła, tamując powietrze, wzbudzając w niej lęk, że może się zadusić. To okropne, zimne miejsce, jak łaźnia publiczna — nic nie mogło tutaj ożyć. Wciągnięto ją na stół. Nogi rozsunięte, stopy przymocowane do wysokich metalowych strzemion.

— Rozluźnij się, Sylvia. Wszystko będzie dobrze, radzisz sobie świetnie.

Głos doktora Phillipsa za tamtą maską. Łagodnie niebieskie oczy i żywopłot szarych krzaczastych brwi. Ale kim była Sylvia? Wtedy przypomniała sobie. To była ona. Dziewczyna źle zapisała jej imię.

Zaczęła przeć. To było straszne. Parcie było tak samo bolesne jak nieparcie, ale nie mogła przestać. Usłyszała zwierzęcy gulgot, wydobywający się z jej gardła. Tego również nie mogła powstrzymać. Nie miała już żadnej kontroli nad swoim ciałem. To ono ją kontrolowało.

Przez szum krwi w uszach wsączały się głosy, które kazały jej przeć. PRZEĆ.

Na nos i usta wciśnięto jej czarną gumową maskę. Syhde broniła się, starając się zerwać ją w strachu, że się udusi, ale ręka trzymająca maskę tylko nacisnęła mocniej. Otoczył ją słodkawy zapach, a zaraz potem narastające uczucie lekkości.

— Podaję pani gaz — powiedziała siostra Ignatious.
— Proszę go wdychać. To pani pomoże.

Właśnie kiedy Sylvie myślała, że jej ciało za chwilę pęknie, uczuła, że parcie nagle ustaje. Coś małego i mokrego — o wiele mniejszego niż to gigantyczne stworzenie w środku, które sprawiło jej tyle bólu — wysliznęło się.

Usłyszała słaby szmerzący płacz.

Sylvie załkała, tym razem z ulgi. Czuła się, jak gdyby stoczył się z niej ciężki gład. Zdawało jej się, że pozbawiona ciężaru unosi się w powietrzu, przynajmniej kilka centymetrów nad stołem.

Usłyszała, jak ktoś krzyknął: „Dziewczynka!” Chwilę później wepchnięto jej w ramiona ciasno zawinięty węzełek.

Syhde zamruwała oczami, kiedy spojrzała na małą twarzyczkę, wychylającą się z białych fałd koca. Wielka ulga zmieniła się w miazdzącą rozpacz.

Jest takie ciemne. Masa błyszczących czarnych włosów okalała małą wymiętą twarzyczkę koloru starej jednocentówki. Oczy dziecka otwarły się i wstrząśnięta Sylvie zobaczyła dwa błyszczące czarne guziczki. Czy noworodki nie powinny mieć niebieskich oczu?

Sylvie czuła, że wszystko w niej osypuje się jak piasek w klepsydze. Czuła, że zapada się w czarną pustkę, kiedy patrzyła w tę małą, ciemną, zmiętą twarzyczkę. Córka Nikosa. Nie ma żadnej wątpliwości. Żadnej. Mimo to pragnęła ją przytulić. Czuła, jak jej sutki boleśnie sztywnieją z żądy przyciśnięcia jej do piersi.

Odwróciła twarz od nowego, wzbierającego w niej bólu. Łzy spływały jej po policzkach. Boże, nie mogę. Nie chcę. Onajest dzieckiem Nikosa, nie moim i Geralda. Jak mogę ją kochać? To zabije Geralda, każe mu przestać mnie kochać.

— One wszystkie *placzą* — usłyszała, jak siostra Ignatious wypowiada tę uwagę do stojącej obok młodej pielęgniarki, kiedy już uwolniła Sylvie od jej brzemia.

Sylvie zawieziono do innego pokoju. Wyglądał tak samo jak poprzedni, prócz tego, że jej łóżko stało naprzeciwko okna, wychodzącego na ceglana aleję. Oprócz jej łóżka stały jeszcze trzy, wszystkie zajęte. Dwie kobiety spały, trzecia spoglądała na nią ze współczuciem.

— No, nareszcie po wszystkim, co? — zwróciła się do Sylvie z nosowym akcentem z Bronxu, z jakim mówiłaby ona sama, gdyby, dzięki Bogu, mama nie poprawiała stale jej wymowy. Izolowała ją dzięki tym wszystkim popołudniom we Frick Museum, sobotom w teatrze, na koncertach, spektaklach baletowych, na które często dostawała darmowe bilety.

Syhde potwierdziła skinieniem głowy, zbyt wyczerpana, by mówić.

— Moje trzecie — kontynuowała współlokatorka, wcale nie zaniepokojona. Miała szczerą twarz, okoloną wijącymi się brązowymi włosami. Duże, wesołe brązowe oczy i trochę piegów na zadartym nosie. Westchnęła.

— Jeszcze jedna dziewczynka. Dom liczył tym razem na chłopca. Rany, ale będzie się ciskał! Nie to, żeby nie lubił dziewczynek, mówię pani. Tylko że miał nadzieję na chłopca.

— On nie wie? — Syhde z trudem formowała wyrazy. Usta miała jak wypchane watą.

Dziewczyna parsknęła ironicznym śmiechem. — Możesz liczyć na marynarkę Stanów Zjednoczonych! Dziecko miało się urodzić dopiero za dwa tygodnie. Za tydzień dostarczą Dorna do domu na to wielkie wydarzenie.

— Jej uśmiech spełzł, a twarz pociemniała. — Mogłabym zadzwonić do jego mamuski, wie pani. Stara suka, proszę darować moją łacinę. Ale pomyślałam sobie, że objędzie mnie, jak zawsze. Powinnaś poczekać — przedrzeźniała skamłącym, nosowym głosem. — Nie wydaje ci się, że Dom ma dość na głowie, tam na morzu, bez tego, żeby się martwił o jeszcze jedno dziecko? Dwoje to

nie dosyć? Ha. Powinna to powiedzieć synowi, kiedy włąził mi do łóżka. Za kogo ona myśli, że wyszłam za męża, za cholernego papieża? Uch! Bardzo dobrze, że jest w Brooklynie. Nie widuję jej często, odkąd ja i dziewczynki przeniosłyśmy się tu, żeby być z mamą... Mama opiekuje się teraz Marie i Clare, inaczej byłaby tutaj.

— Sięgnęła po swoją torebkę na metalowej półce przy łóżku i wyciągnęła paczkę lucky strike'ów.

— Papierosa? — Syhde potrzęsnęła głową. Dziewczyna wzruszyła ramionami. — Nazywam się Angie. Angelina Santini. Patrzyła z ukosa na Sylvie przez mgiełkę dymu, wydobywającego się z jej nozdrzy.

— A jak u pani? Ma pani inne dzieci?

— Nie — wzdrygnęła się Sylvie, zastanawiając się znowu, jak kobieta przy zdrowych zmysłach mogła znosić takie tortury więcej niż jeden raz? Jednakże łatwe zwierzenia Angie były dla niej pewnym pocieszeniem. Obie były jak żołnierze, dzielący tę samą lisią norę.

— Wiem, że to ciężkie — Angie pokiwała głową ze znawstwem. — Szczególnie pierwszy raz. Ale jest sposób, żeby zapomnieć. To jest...jak to mówią... natura ludzka. Jakoś wymazujesz to... kiedy twój chłop ma przepustkę na ład, a nie widziałś go cztery miesiące... — Angie westchnęła tęsknie, ale na skrzypienie kroków za drzwiami uniosła się nagle i szybko zgasła papierosa. — Jeśli siostry złapią mnie na paleniu w tej pułapce ogniowej... Hej, nie wiem, jak ci na imię.

— Syhde. — Instynktownie czuła, że może zaufać Angie.

Angie opadła z powrotem na poduszkę, ze zgiętym łokciem, z głową podpartą dłonią. — Wyglądasz strasznie, Syhde. Nie obraż się. Wiem, że ja też. Czemu nie miałybyśmy sobie uciąć drzemki, póki jeszcze możemy?

Syhde zdobyła się na słaby uśmiech. — Tak. Jestem zmęczona. — Czuła się na pół martwa, mogłaby spać cały rok.

Taki sam obraz Jezusa, jaki widziała w innym pokoju, wisiał na ścianie, naprzeciwko jej łóżka. Wyciągnięte

okrwawione dłonie. Oczy zwrócone w górę w męczarni. Krwawa pręga na Jego piersi, która kazała jej myśleć o purpurowej bliźnie nad lewym kolanem Nikosa.

Zapadając w sen, Sylwie myślała o swoim kochanku.

Przypomniała sobie tamten pierwszy dzień. Spodziewała się, że osoba starająca się o pracę podręcznego, to będzie albo starszy człowiek, albo smyk, jakich już widywała, albo mężczyzna nie nadający się do wojska. Otworzyła drzwi dla służby i zobaczyła Nikosa. Widziała go tak wyraźnie, jak gdyby stał przed nią teraz. Padał deszcz i jego buty były mokre i brudne. Najpierw zauważyła tylko te długie do kolan, ciężkie robocze buty, tak niepodobne do lśniących czarnych kaloszy Geralda, równie dobrze dobranych do jego włoskich butów, jak fokowe futro. A ten obcy mężczyzna zostawiał błotniste ślady stóp na nieskazitelnie czystych biało-czarnych kafelkach w jej kuchni. Chodził lekko kulejąc, a ona zastanawiała się, czy został ranny w bitwie.

Potem jej spojrzenie powędrowało w górę, obejmując krępa sylwetkę w sfatygowanym nieprzemakalnym płaszczu koloru khaki, masę czarnych loków, błyszczących od kropel deszczu, parę oczu, czarnych jak nów księżycy, w twarzy, która zdawała się odbijać światło. Cienkie zmarszczki rozchodziły się z kąców jego oczu, chociaż nie mógł mieć więcej niż trzydzieści lat.

Wyrzucił do przodu silne ramię, a ona ujęła jego rękę. Dużą, przypomniała sobie, skóra stwardniała, przegub pokryty czarnymi włosami. Patrzyła na tę rękę zafascynowana, niezdolna spojrzeć w te przenikliwe czarne oczy. Potem on zdjął płaszcz i zobaczyła niewielki trójkąt ciemnych włosów, wieńczących jego mocną klatkę piersiową i znikających pod kołnierzykiem koszuli koloru khaki. Nigdy nie widziała tylu włosów na mężczyźnie. Ciało Geralda było praktycznie pozbawione włosów, z wyjątkiem rzadkiego srebrzystego meszku między nogami. I Gerald miał małe dłonie jak na mężczyznę jego wzrostu, gładkie i delikatne jak u dziewczyny. Czasami przypominał jej tenorów z oper, które

tak kochał, baryłkowatych mężczyzn obdarzonych kobiecą gracją, przelatujących przez scenę jak trzmiel.

— Jestem Nikos Aleksandros — zagrział. Potem uśmiechnął się od ucha do ucha, ukazując olśniewające zęby. — Ty masz pracę? Dobrze. Ty pracujesz dla mnie.

Syhde uznała jego łamany angielski za niezwykle czarujący. Dowiedziała się, że pochodzi z Cypru, że był marynarzem na brytyjskim tankowcu, że został storpedowany koło Bermudów, ale przeżył sześć dni na tratwie bez jedzenia i wody. Dopisało mu szczęście, wyjaśnił swoim kulejącym angielskim, chociaż jego noga została prawie zmiażdżona. Syhde rozumiała teraz, skąd to utykanie.

Czego nie rozumiała, to nagły brak tchu u siebie. Skinęła głową i powiedziała: — Tak, myślę, że mógłby pan pracować dla nas. Wygląda pan na bardzo... — miała właśnie powiedzieć silnego, ale szybko się poprawiła i powiedziała: — zdatnego.

Błysnął zębami w uśmiechu i jeszcze raz energicznie ścisnął jej rękę. Dotknięcie jego ciepłej, stwardniałej dłoni wywarło na niej dziwne wrażenie. Czuła się przestraszona i rozradowanajednocześnie, co, jak mogła sobie przypomnieć, zdarzyło jej się tylko raz przedtem. Gdy miała czternaście lat, i pewnego wieczoru była sama w domu, podglądała ze swego okna mężczyznę i kobietę, nagich, splecionych na kanapie w mieszkaniu po drugiej stronie uliczki. Szybko opuściła storę, ale zobaczyła dosyć, by poczuć gorąco i dreszcze, jak gdyby miała temperaturę.

I przez cały rok, kiedy Nikos pracował dla nich, kiedy był blisko, te uczucia wkradały się w nią. Sylvie obserwowała go ukradkiem, kiedy reperował pękniętą rynnę lub kopał dołki w ogrodzie pod jej róże — pierś odkryta, koszula zawiązana wokół talii, mięśnie napinające się pod połyskującą brązową skórą — i doświadczała tego samego sekretnego przypływu podniecenia. Zastanawiała się, jak by to było, gdyby ją pocałował, gdyby czuła te duże szorstkie ręce ślizgające się po niej. Zmieszana próbowała odpędzić te myśli. Kobiety zabijałyby się

o takiego męża jak jej. Jak mogła nawet spojrzeć na innego mężczyznę?

Jednakże nie mogła zapanować nad swoimi skrytymi fantazjami. W kąpieli ciepła woda, przelewająca się między jej nogami, wywoływała w niej nagłe podniecenie i przesywała ją gorąca strzała pożądania. Albo drzemiąc po południu, marzyła, że Nikos jest przy niej w wielkim łóżku z baldachimem, jego pot plami sztywne, ręcznie haftowane prześcieradła, jakie Gerald sprowadził z Irlandii. Potem budziło ją słońce, przedzierające się przez draperie. Patrzyła na wysokie rzeźbione słupki baldachimu, przepełniona nieprzytomną tęsknotą. Czasami, jeszcze w półśnie, poddawała się i sama zaspokajała swoje pożądanie. Ale potem nienawidziła się jeszcze bardziej.

Co to jest, pytała samą siebie, czy to miłość? Jakże jednak mogło się to stać? Nie podziwiała go w taki sposób, w jaki podziwiała i szanowała Geralda. A kiedy wracała do domu z gabinetu specjalisty od bezpłodności, cała obolała po jeszcze jednym przykrym badaniu, zawsze pragnęła wokół siebie ramion Geralda, niczyich innych.

A jednak...

To o umięśnionej piersi Nikosa myślała, kiedy Gerald dźwigał się na nią. O silnych rękach i pełnych ustach Nikosa. Czasem zamykała oczy i przytapywała się na wyobrażaniu sobie, że Gerald to Nikos, i tylko wtedy dotknięcie Geralda mogło sprawić jej przyjemność.

Ale najgorsze było to, iż sądziła, że Nikos wie. Nie było to nic, co powiedział lub zrobił, to był sposób, w jaki na nią patrzył. Ukradkowe spojrzenie, wyślizgujące się spod ciężkich powiek, kiedy wydawał się zaabsorbowany rozmontowanymi częściami kurka. Albo przeciągłe, zamyślane spojrzenie ze szczytu drabiny, kiedy przerywał na chwilę łatanie stropu.

Pewnej parnej letniej nocy, kiedy powietrze było tak gęste, iż Sylvie miała wrażenie, że się udusi, wyszła z łóżka, zostawiając Geralda uśpionego, cicho pochrapującego. Na dole, na tarasie odchodzącym od tylnego salonu, było chłodniej i mogła oddychać.

Zobaczyła czerwony koniuszek papierosa, jarzący się w ciemności, i zamarła przerażona, że niewyraźna postać, siedząca półokrakiem na kamiennej balustradzie, może być intruzem. Wtedy uderzyła ją myśl, że schody skręcające w dół, do ogrodu, prowadzą do pokoju w suterenie, gdzie spał Nikos.

Nikos podniósł się i ruszył do przodu. Na tle zalanego księżycową poświatą ogrodu wydawał się jakiś ciemniejszy i bardziej niebezpieczny od intruza.

Dreszcz przebiegłej po plecach.

Zaproponował jej papierosa, którego przyjęła, mimo iż zazwyczaj nie paliła.

— Nie mogłam spać — wyjaśniła. — Byłotakgorąco. Pomyślałam, że wyjdę zaczerpnąć trochę powietrza.

— Zdawała sobie sprawę z przezroczyści swego jedwabnego peniuaru i bawiła się szarfą, mówiąc za szybko.

— Wie pan, co miałam zwyczaj robić, kiedy byłam małą dziewczynką? Wyciągałam mój materac na schody zapasowe i tam spałam. Mama zawsze mnie besztła, bała się, że spadnę.

Roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu. — A teraz nie ma pani żadnych schodów zapasowych. — Jego angielski poprawił się w ciągu minionego roku, ale ciągle był ograniczony do krótkich zdań. — Szkoda.

— Tak, rzeczywiście szkoda, prawda?

Obszerny dom z piaskowca, wychodzący na Riverside i Hudson, służba, pieniędzy więcej niż mogłaby zamaryć, ale żadnych schodów zapasowych. Ona również się roześmiała, nerwowym chichotem.

— A pani mama, gdzie jest teraz?

Jej śmiech ucichł. — Nie żyje.

Sylvie spojrzała na ogród, na ciemniejszą kaskadę bluszczu, zasłaniającą ceglane ściany, i na swoje róże, lśniące w świetle księżycy jak stare cenne srebro. Kochała nawet ich nazwy. *Błękitny Nil. Spokój. Stare Złoto.* Jej dzieci, prawdopodobnie jedyne, jakie kiedykolwiek będzie miała. Dla nich nie miała nic przeciwko temu, że zbierał się jej brud pod paznokciami, przeciwko za-

drapaniom od cierni na rękach. A kiedy liście zwijały się i brązowiły, pączek usychał w dusznym powietrzu i opadał, czuła ukłucie żalu, jakiego na pewno doznaje matka na widok otartego kolana lub skaleczonego palca dziecka.

Nagle odwróciła się, czując potrzebę ucieczki do wnętrza, do bezpiecznego miejsca, do łóżka męża. — Lepiej wróć. Jest późno.

Jakimś sposobem ręka Nikosa znalazła się na jej ramieniu, paląc przez cienki jedwab peniuaru. — Zaczekaj. — Pochylił się niżej i w migotliwym świetle żarzącego się papierosa jego czarne oczy wydawały się nieskończenie głębokie, jak próżnia, w którą mogłaby wpaść, by nigdy z niej nie uciec.

Sylvie zdawało się, że on ma zamiar ją pocałować. — Proszę, nie... — powiedziała płaczącym głosem, cofając się.

Wtedy zrozumiała. On zaledwie ofiarowywał jej ogień ze swego papierosa. Poczła się taka zawstydzona, upokorzona. Teraz musiał znać jej tajemnicę.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Wyglądał na roztargnionego. — Obraziłem panią?

— Nie. Przepraszam. Popełniłam błąd. Myślałam, że pan...

Milczał. Zrozumienie zaświtało na jego twarzy. Wtedy powoli - tak powoli, iż wydawało jej się, że to jej się tylko śni - zgasił papierosa i pociągnął ją w swoje ramiona. Pocałował ją, poczuła smak nikotyny i czegoś niewyraźnie, rozkosznie korzennego.

Syhde miała wrażenie, że cały żar letniej nocy przesaczył się przez jej skórę. Czuła, że wszystko w niej topnieje i powoli, letargicznie spływa w dół.

Musi natychmiast przestać, oderwać się od niego, uciec do domu. Pomyślała o Geraldzie, śpiącym spokojnie, ufającym jej, ale nie mogła się poruszyć. Tak, jak gdyby jej wstyd i ten zakazany zapach były składnikami jakiegoś rzadkiego, paraliżującego narkotyku. Nigdy przedtem tak jej nie całowano. Niespieszne, słodkie, nie

kończące się pocałunki, jak otwarte morze bez końca i niczego, co mogłaby chwycić, żeby uratować się przed utonięciem.

Niemal wierząc, że to wszystko jest snem, zeszła za nim krętymi kamiennymi schodami do ogrodu. Zachwiała się, kiedy jej pantofelek zaczepił o nierówną kostkę na ścieżce. Chwycił ją natychmiast, a ją ogarnęła gorączka od dotyku twardo zawężonych mięśni jego ramion. Choć utykał, niósł ją przez przez resztę drogi tak łatwo, jak gdyby była dzieckiem. Przeszedł pod altanką, uginając się od obfitości róż gatunku *Srebrny Księżyc*, przesycających powietrze swoim zapachem, i po wąskich łupkowych schodach do swojej sutereny.

W środku Sylvie zobaczyła wąskie łóżko, komodę, niewielkie okno z księżycem, schwytanym w jedną z szyb. Bez słów postawił ją na nogi koło łóżka. Rozwiązał jej szarfę, zsunął peniuar z ramion. Opadł na podłogę plamą różowego jedwabiu. Potem zdjął z siebie ubranie, pośpiesznie, nie kłopotując się składaniem go, jak zawsze robił to Gerald.

Sylvie patrzyła na niego. Jego nagie ciało z długimi płaszczyznami nóg, bledszych niż cała reszta, odbijało światło księżyca. Ruszył powoli ku niej, prowokująco, jak gdyby zapraszał ją do rytualnego tańca. Po raz pierwszy Sylvie pomyślała o ciele mężczyzny, że jest piękne. Nawet purpurowa blizna, wijąca się od jego lewego biodra w dół, do kolana, piętno ciężkiej próby, wydała jej się podniecająca. Nagle zbyt słaba, aby stać, opadła na łóżko, a on podszedł do niej. Prześlizgnął się rękami w góręj ramion, chwycił ją za barki, naciskając łagodnie, aby położyła się na plecach. Uklęknął przed nią na podłodze, pochylając głowę jak w modlitwie.

Tam. O, Boże drogi, on całował ją tam. Sylvie była wstrząśnięta. A to czyniło rzecz jeszcze bardziej cudowną. I tak grzeszną. Zanurzyła palce w sprężystej gęstwinie jego loków, przyciągając bliżej głowę. Drżała tak gwałtownie, że jej nogi rozsunęły się w spazmie. Czy ludzie naprawdę to robią? Przyzwoici ludzie na pewno nie.

Teraz już wiedziała, że nie jest przyzwoita i nic jej to nie obchodziło. Były tylko te palce, wbijające się w jej siedzenie, jego gorące słodkie usta. Jego język. Nie mogła przestać drżeć... Nie mogła przestać...

Potem on był w niej, wbijając się w nią dziko. Ich ciała śliskie od potu. Pocałunki w usta z jej zapachem na jego ustach miały smak nieznanego, zakazanego owocu. I domagała się, żeby jeszcze i jeszcze, jej ramiona i nogi oplecione wokół niego, całe jej ciało dygoczące z rozkoszy, niecierpliwości, z pożądania.

Och, co za rozkoszne uczucie! Czy to naprawdę ja wydaję te dźwięki? Czy o to chodziło z tym mruzeniem i wzdychaniem Geralda? O Boże... Nie obchodzi mnie... Ja po prostu nie chcę, żeby to się skończyło... Tak przyjemnie... Jest tak przyjemnie.

Zanurzał się w niej głębiej, szybciej, jego ciało napinało się. Plecy wygięte w łuk, kręgi szyjne wyraźnie się odznaczające. Wbiła palce w jego twarde pośladki, rozkoszując się ich rzeźbą, ich wygięciem w formie łyżek. On również krzyczał, wciąż i wciąż, szorstkim, gardłowym głosem.

A potem bezruch, rozkoszne wrażenie, że jest piórkim, które pierwszy podmuch wiatru mógłby porwać i unieść w noc. Sylvie otworzyła oczy i zobaczyła, że Nikos szeroko się do niej uśmiecha: — Tym razem będziesz spała — powiedział.

Obudziło ją głośnie trzaskanie petard na zewnątrz. Spojrzała nieprzytomnie w okno. Było ciemno. Nie wiedziała, jak długo spała. Nie dość długo. Sen był grota, do której chciała się na powrót wczołgać.

Czuła się, jak gdyby obudziła się w cudzym ciele. Wszystko ją bolało. Nie mogła się poruszyć, by coś nie zaczęło jej boleć. Miała wrażenie, że jej płaski brzuch jest jedną gigantyczną raną. Grube tampony uwierały ją między nogami. Sylvie zobaczyła, że Angie porusza się we śnie. Jedna z pozostałych kobiet pochrapywała cicho.

Jakże im zazdrościła! Zabiorą swoje dzieci do domu, do rozradowanych mężów, usadowią się z powrotem w swoim dawnym życiu. Czekają je takie szczęście, zabawa z dzieckiem, rozpieszczanie go, chwalenie się nim przed gruchającymi dziadkami, wyprowadzanie go na spacer do parku w słoneczne dni.

A co z nią będzie?

Sylvie, próbując zastanowić się nad przyszłością, czuła, że ogarnia ją chłód. Przypomniała sobie Geralda zagniewanego tylko ten jeden raz, ale to wstrząsnęło nią tak mocno, że nie mogła o tym zapomnieć.

Pewnego szarego, mglistego popołudnia po wizycie u Nikosa wchodziła schodami z sutereny. I oto zobaczyła Geralda, spoglądającego na nią z tarasu. Oblała ją gorąco. Boże! Och, Boże! Zazwyczaj nie wracał z banku przed kolacją, ale oto teraz zjawił się i patrzył z kamienną twarzą.

Sylvie zaczęła drżeć. Miała dziwne, nieokreślone uczucie, że to wszystko nie działo się naprawdę, nie mogło się dziać naprawdę. Boże drogi. On wie, że nigdy nie zbliżam się do sutereny, że duszę się w ciemnych, wilgotnych pomieszczeniach. Co może sobie pomyśleć z wyjątkiem tego jedyne — że byłam z Nikosem? Jaka wymówkę mogłabym znaleźć? I nagle miała gotowe kłamstwo, tak instynktowne, jak wysunięcie ręki, żeby odeprzeć cios.

— Kochanie, co za niespodzianka! — zawołała wesoło, z sercem podchodzącym do gardła. — Właśnie zaniosłam biednemu Nikosowi aspirynę. Leży w łóżku z gorączką, a ponieważ Bridget ma wolny dzień... Ale dlaczego mnie nie zawiadomiłeś, że będziesz wcześniej w domu?

Gerald z początku nie odpowiedział, tylko patrzył na nią w ten dziwny sposób, jak gdyby nigdy przedtem jej nie widział. Kiedy podeszła do niego, zobaczyła, że jego oczy są zimne jak mróz na szybach.

— Sam tego nie wiedziałem — powiedział swoim normalnym głosem. — Wróciłem po pewne papiery, których zapomniałem dziś rano. — Jednakże kiedy wziął ją za ramię, nie zrobił tego w swój zwykły delikatny

sposób, ale mocno, jak ojciec trzymający niesforne dziecko. — Ty sama wyglądasz na nieco rozgorączkowaną, moja droga. Twarz masz całą zarumienioną. Miejmy nadzieję, że nie zaraziłaś się niczym od tego człowieka.

— Gerald, nie sądzę...

— Wiesz, że nie powinnaś tak bardzo troszczyć się o służbę - ciągnął, jak gdyby jej nie słyszał. — Nie wiadomo, co mogłaś złapać.

— Gerald. — Chciała mu powiedzieć, że sprawia jej ból przyciskając jej ramię, ale wyraz jego twarzy powstrzymał ją.

— Niestety, muszę nalegać, żebyś się położyła do łóżka, moja droga.

Przeprowadził ją przez drzwi tarasu na parterze; głuchy stukot jego kroków na wyfroterowanym parkiecie odbijał się echem, które falami podchodziło jej do żołądka. Droga na górę, do ich sypialni wydawała się nie mieć końca — i przypominała jej o wszystkim, co miała do stracenia. Wesołe kolacje z Geraldem i Goldami w Le Chambordjej cenne róże i — o Boże! — ten wspaniały dom. Przechodząc przez salon z jego łukowatym stropem i ślicznymi antykami, pod żyrandolem Waterforda, przypominającym bukiet tańczących graniastosłupów, po cennym dywanie z Tabrizu, czuła, że musi to zapamiętać, że musi się to wezreć w jej mózg, by nic jej nie umknęło.

Do góry, do góry krętymi, czarnymi marmurowymi schodami; nogi drżące z wysiłku, chiński chodnik tłumiący odgłos kroków, obok zegara z kalendarzem z drzewa satynowego, wybijającego godziny żałobnym tonem, obok waz Rosę Medallion, trzymających straż w zagłębieniach marmurowych nisz.

Potem ich sypialnia, najpiękniejsza ze wszystkiego, tylko zimna teraz i nieprzejechna. Mgła znad rzeki przylgnęła do wąskich szyb okien, oprawionych w ołów, rzucając szary całun na dywan z Aubusson, zmieniając jego śliczne jesienne kolory w zimowo blade.

Potem on tam stał, jak gdyby miał mnóstwo czasu, patrząc, jak ona się rozbiera, nie odrywając od niej

zmrożonego spojrzenia. Zazwyczaj grzecznie odwracał wzrok. Sylvie miała wrażenie, że przyglądał się jej badawczo w poszukiwaniu zdradzieckiego śladu, dowodu jej zbrodni. Gmerała wśród haftek stanika. Czy był właściwie zapięty? Boże drogi, miała rozdarte majtki, tak niecierpliwie Nikos je z niej ściągał. Czy Gerald zauważył?

Sylvie była prawie we łzach, zanim wdrapała się do łóżka i wkradła pod narzutę. Trzęsa się tak mocno, iż pomyślała, że jednak musi być chora. Wysokie słupki we wszystkich rogach wielkiego łóżka zdawały się górować nad nią, rzeźbione delfiny na ich szczytach już nie były zachwycające, ale upiorne i zastygłe w szyderczych uśmiechach.

Gerald podszedł do okna i stał, patrząc na ogród. Październik dobiegał końca i jabłoni była już prawie ogołocona, z wyjątkiem paru chropawych liści i jednego czy dwóch pomarszczonych jabłek, trzymających się kurczowo gałęzi.

— O, nawiasem mówiąc, postanowiłem zwolnić Nikosa. — Mówił przyciszonym głosem, ale każde słowo uderzało jak młot o żelazne kowadło.

Synde czuła, że powietrze uchodziej z płuc, jakby pod uciskiem tego kowadła, jednak udała tylko lekkie zaskoczenie. — Och, dlaczego?

— Pamiętasz moją zgubioną zapalniczkę? Bridget znalazła ją w jego pokoju. Głupio z jego strony. Ona nawet nie była wartościowa. — Wsunął rękę do kieszeni i wyjął srebrną zapalniczkę, obracając ją w dłoni — jak dziwnie delikatne te ręce, o białych i zwężających się palcach, o małych, płaskich paznokciach koloru muszli, jak ręce miśnieńskiej pasterki na obramowaniu kominka. Potem spokojnie zapalił jedno ze swoich długich cienkich cygar.

Kłamał, łotr. I nic go nie obchodziło, że ona o tym wiedziała. Bridget nigdy nie zbliżała się do pokoju Nikosa. Sylvie była również pewna, że zapalniczka nigdy nie opuściła kieszeni Geralda. To była po prostu wymówka z jego strony, żeby się pozbyć Nikosa.

Boże drogi, czyjej zachowanie było tak oczywiste? Ale co, jeśli nie było? Może on tylko ją podejrzewał.

Tak, gdyby Gerald wiedział na pewno, gdyby miał dowód, wyrzuciłby ją, tak jak Nikosa. Może nie tak szybko, ale czy to w końcu nie byłoby to samo?

SyMe sięgnęła przez żelazną poręcz swego szpitalnego łóżka po szklankę wody, myśląc: A teraz będzie miał dowód. A ona sama, z dzieckiem na ręku, bez domu, być może bez grosza, wyląduje z powrotem tutaj, na Eastern Boulevard, stojąc w kolejce do domu noclegowego.

Nagły hałas spłoszył złe przecucia SyMe. Znowu petardy, tylko tym razem musiały wybuchnąć bardzo blisko, w uliczce pod jej oknem.

Przygniatała ją rozpacz. Pragnęła całym sercem, by jakaś siła zabrała ją stąd, wymazała to, co się stało, by mogła zacząć wszystko od nowa. Spojrzała na spokojnie uśpioną Angie. Och, co bym dała, żeby zamienić się z tobą miejscami.

Jednak potrzeby ciała wzięły górę nad napiętą tęsknotą SyMe. Zamknęła oczy i zasnęła.

Śniła o dniu swego ślubu. Ona i Gerald stojący pod haftowaną jedwabiem chupą*, która była w jego rodzinie od pokoleń. On i Estelle, jego pierwsza żona, zostali sobie poślubieni pod nią... ale SyMe nie pozwoliłaby myśli o tym zepsuć tej cudownej chwili. Gerald nie mógł kochać Estelle tak, jak kochał ją. Właściwie nie powiedział jej tego, za to okazywał na wiele sposobów.

SyMe, drżąc ze szczęścia, popatrzyła na niego. Gerald wydawał się wysoki w swoim ciemnym ubraniu, twarz miał przepełnioną szczęściem, kiedy wpatrywał się w nią.

Słuchała monotonnego zawodzenia kantora. Stare melodie uspokajały ją, przenosząc na powrót do małej

* Chupa — baldachim ślubny, pod którym, zgodnie z tradycją żydowską, przeprowadza się ceremonię zaślubin.

*szul** przy Interval Avenue, dokąd chodziła z mamą na Rosz Haszana**. Gerald uniósł jej welon, przysuwając kielich wina do jej ust. Było gęste i słodkie, tak słodkie, że paliło jej gardło, przyprawiając o mdłości.

Nie mogła oddychać.

Strasliwa gęstość przywierała jej do gardła, nozdrzy, każdy oddech wtłaczał strugę bólu do jej płuc.

Było gorąco. Duszno. Dlaczego było tak gorąco?

Wtedy zobaczyła.

Chupa paliła się. Pomarańczowe płomienie lizały po-
złacane słupki. Iskry sypały się deszczem z baldachimu. Zrozpaczona wyciągnęła ramiona, żeby objąć Geralda, ale on zniknął w dymie.

Czas zatrzymał się. Nie mogła się poruszyć. Próbow-
ła krzyknąć, ale kiedy otworzyła usta, żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

Sylvie obudziła się i poderwała z miejsca. Język miała jak z flaneli. Oczy i nos piekły. Powietrze było gęste i brudne. Czuła strasliwy smród jak swąd palącej się gumy albo fetor dochodzący z jednej z tych okropnych fabryk chemicznych.

Podciągnęła się z wysiłkiem i zwiesiła nogi z jednej strony łóżka. Spaczone linoleum było ciepłe pod jej stopami. Powietrze zdawało się gęstnieć. Zakaszłała, jej płuca płonęły.

Powietrza. Musiała zaczerpnąć trochę powietrza. Chwiejnym krokiem podeszła do okna, ignorując ból między nogami, i szarpnęła, próbując podnieść je jak najwyżej. Ale okno zacięło się i nie ustąpiło ani na milimetr. Było równie antyczne jak reszta budynku, skamieniałe pod warstwami farby.

Wtedy zobaczyła — czarny dym, buchający z niższego piętra, pomarańczowy język płomienia, strzelający w górę. Pożar! To nie sen, to działo się naprawdę.

* *szul* — dom nauki i modlitwy.

** Rosz Haszana — żydowski Nowy Rok.

Syhde, oszołomiona, wiedziała, że musi się ruszyć, biec. Musi obudzić inne. I wydostać się stąd.

Porwała poduszkę ze swego łóżka i trzymała ją przy twarzy, aby trochę przefiltrować dławiący dym. Zatoczyła się i potrząsnęła Angie. Angie jęknęła słabo, ale nie otworzyła oczu.

— Obudź się! — krzyknęła Sylvie. — Pożar!

Inne kobiety, obudzone jej krzykami, wygramoliły się z łóżek i najprędzej jak mogły pobiegły do hallu.

Syhde chwyciła Angie za ramiona i potrząsnęła nią z całej siły, na jaką mogła się zdobyć. Ale jej współlokatorka tylko wydała głęboki jęk i opadła na poduszkę. Sylvie wyteżała siły, żeby podnieść ją i wyciągnąć z łóżka, ale Angie była jak blok granitu. Ktoś musiałby przyjść jej z pomocą.

Na wół uduszona, przerażona, cała obolała, Sylvie zmusiła się, by wybiec z pokoju. Było jeszcze coś, co musiała zrobić.

Korytarz był istną sceną z koszmaru. Pacjentki w koszulach, popychające jedna drugą, wrzeszczące, jeszcze inne wrzeszczące ze swoich łóżek, kazały Sylvie myśleć o *Guernice* Picassa lub obrazie jakiegoś szalonego surrealisty. Obok niej przemknął wózek, pchany przez bladą pielęgniarkę. Dym zakrzepł w powietrzu, rozrywając jej płuca. Napad kaszlu zgiał ją w pół, wyciskając łyzy z jej podrażnionych oczu.

Usłyszała słabe, pulsujące zawrozczenie wozu strażackiego. Wydawał się być daleko. Zbyt daleko.

Sala noworodków. Musi się dostać do sali noworodków.

Sylvie myślała tylko o swoim dziecku, kiedy chwiejnym krokiem, kierując się strzałkami, szła korytarzem do sali noworodków. Bez względu na wszystko, nie może dopuścić, by coś jej się stało.

Potknęła się — silny, trzaskający ból w nadgarstkach i kolanach — ale poderwała się, zmuszając swoje nogi do ruchu. Zdawało jej się, że porusza się w zwolnionym tempie. Taka słaba. I między nogami tak bardzo bolało.

Tam, przed nią, nikłe światło w obłoku dymu. Długie okno, zagląające do sali noworodków. Załkała z ulgi. Ale coś było nie w porządku. Pokój wyglądał na opuszczony, rząd plecionych kołyszek był pusty. Zamrugała, żeby oczyścić zażawione oczy. Nie, ktoś tam jeszcze był. Rozpoznała młodą zakonnice z sali porodowej.

Sylvie przecisnęła się przez drzwi.

Młoda pielęgniarka, z twarzą ściągniętą w maskę przerażenia, rzuciła jej krótkie spojrzenie. Gorączkowo zawijała wrzeszczącego noworodka w mokre prześciera-dło. Sylvie zobaczyła na kołysce nazwisko: SANTINI. Dziecko Angie. Na kołysce obok jej własne nazwisko, zapisanej ako: ROSEN.

Pusta. Serce jej zamarło.

Sylvie ścisnęła ramię siostry. — Moje dziecko...

— Dzieci są bezpieczne — zgrzytliwym od kaszlu głosem powiedziała pielęgniarka. — Wszystkie zostały zabrane na dół. To jest ostatnie.

Z ulgi Sylvie zaczęła drżeć. Wtedy przypomniała sobie o Angie. — Pani Santini — sapnęła. — Nie mogłam jej obudzić. Proszę. Musi jej siostra pomóc. Ja zabiorę dziecko.

— Niech pani zaczeka. — Pielęgniarka chwyciła nożyczki i odcięła bransoletkę identyfikacyjną z paciorków od drobnego jasnego nadgarstka noworodka. Paciorki rozsypały się, podzwaniając na linoleum. — Porecelana — zakrztusiła się. — Pochłania ciepło... mogłaby oparzyć...

Syhde zobaczyła rozsypane na podłodze i kontuarze jeszcze inne paciorki z innych bransoletek. Jeden maleńki różowy sześcian z odbitym czarnym „R” mrugnął na nią z nakrochmalonej fałdy na rękawie młodej siostry.

Syhde wyciągnęła ramiona i wzięła w nie wilgotne zawiniątko. Czując przypływ nowych sił, podtrzymywała dłonią maleńką, chwiejącą się główkę noworodka przy swej piersi.

Nieustępliwie torowała sobie drogę powrotną przez

gęstniejący dym, obok opuszczonej dyżurki pielęgniarek, w kierunku klatki schodowej.

Skręcić za róg. O, właśnie. Prosto przed siebie. Szarpnięciem otworzyła drzwi oznaczone: WYJŚCIE. I rzuciła się do tyłu. Klatka schodowa była w płomieniach. Usłyszała wysoki przenikliwy krzyk i uświadomiła sobie, że to ona krzyczy.

Boże drogi, gdzie teraz?

Przypomniała sobie okna. Otwierały się na platformę staroświeckich schodów zapasowych, o stopniach zygzakowato schodzących w dół z boku budynku. Sylvie szybkim krokiem weszła do najbliższego pokoju, delikatnie kładąc dziecko na łóżku. Spróbowała podnieść okno. Ale ono nie ustąpiło. Wtedy usłyszała dźwięk przypominający wystrzał — i okno nagle odskoczyło do góry. Osłabła z ulgi, porwała dziecko na ręce. Przynęła krzesło do parapetu i ostrożnie, powoli stanęła na nim.

I spojrzała w dół.

Pięć pięter niżej pojawił się chybotliwy widok ulicy. Dziwne, jak jasno było, bardziej jak za dnia niż nocą. Ludzie o rozmiarach owadów, biegający bezładnie. Wozы ogniowe, jak zabawki, wzdłuż krawężnika. Na chodniku kłębowisko węży do polewania.

Sylvie wydało się, że wszystko przechyliło się gwałtownie i miała wrażenie, że spadnie. Zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Nie. Nie patrz w dół.

Tylko idź naprzód.

Syhde wyszła na platformę — żelazne listewki ciepłe i szorstkie pod jej gołymi stopami — i zaczęła stopniowo posuwać się w dół schodami, jedną ręką ścisnąjąc żelazną poręcz, podczas gdy drugą obejmowała dziecko. Schody wydawały się niebezpiecznie strome, co sprawiało, że jej nogi i ramiona słabły z przerażenia.

Czy kiedykolwiek zdoła zejść pięć pięter? Co będzie, jeśli spadnie albo upuści dziecko?

Nie. Nie, nie może tak myśleć. Nie wolno jej.

Kaszłąc, z piekącymi oczyma, Sylvie szła po omacku w dół, ocierając i raniąc stopy, gdy szukała punktu oparcia.

Właśnie dotarła do platformy czwartego piętra, kiedy powietrze zakołysało się od ogłuszającej eksplozji i schody zapasowe zatrzęszy się gwałtownie. Syhde zamarła. Rzuciła spojrzenie w górę i zobaczyła płomienie, strzelające z okna nad nią. Strzaskane szkło posypało się w dół, podzwaniając o schody.

Poczuła silne, piekące uderzenie w ramię.

Syhde krzyknęła z bólu i przerażenia. Coś ciepłego ściekało jej po łopatce.

Uczuła, że jej mięśnie wiotczeją, a wnętrzości zmieniają się w wodę. Ogarnęło ją odrętwienie. Nie mogła zmusić się, by iść dalej. Absolutnie nie mogła.

Zdawało jej się, że czas stanął w miejscu. Żar narastał, przypalając ją przez koszulę. Boże drogi, czy to już koniec, czy obie umrą, gdy ona tak stoi skamieniała jak żona Lota?

Wtedy dziecko na jej rękach poruszyło się. Drobną rączką uwolniła się z koca, zdając się przeszukiwać powietrze, aż znalazła jej policzek. Lekkie jak piórko paluszki musnęły jej wargi.

Syhde uczuła łzy w gardle. Och, głupie ciało. Rusz się, do cholery. Dla tego dziecka, jeśli nie dla siebie. RUSZ SIĘ!

Jakoś zdołała wyrwać swoje kończyny z bezruchu, zmusiła się, by iść dalej.

Nie zdawała sobie sprawy, że dotarła na dół, dopóki silne ręce nie objęły jej w talii i nie podniosły. Jej stopy dotknęły chodnika. Był tak piekielnie solidny. Opadły ją głosy. Wszędzie ręce. Prowadzące ją, podtrzymujące.

Pulsujące, czerwone kopulaste światła raziły jej oczy. Donośne głosy, wywrzaskujące przez megafony rozkazy, zdawały się ją ścigać, gdy ona i pomagający jej ludzie kluczyli w płataninie płóciennych węży i sprzętu przeciwpożarowego.

Ogarnęła ją obojętność i poczucie nierzeczywistości. Obok, jak duchy, przepływały nosze. Strażacy w brud-

nych żółtych mundurach wrzeszczeli jeden na drugiego ponad rykiem hydrantów; pociemniałe twarze mieli wykrzywione jak chimery.

— ...jakieś przekłete dzieciaki, bawiące się petardami... — usłyszała jednego z nich.

SyMe, teraz sama z dzieckiem, przedzierała się przez tłum. Mimo oszołomienia, kierowała nią jedna wyraźna myśl. Musi odnaleźć swoje dziecko. Ale najpierw Angie, aby jej powiedzieć, że jej dziecko jest bezpieczne. Mój Boże, biedna kobieta musi odchodzić od zmysłów!

Dostrzegła znajomą postać. Kobieta pchała przed sobą dwie pacjentki na wózkach. — Siostró! Niech siostró zaczeka! — Siostró Ignatious odwróciła się. Jej biały habit był podarty w wielu miejscach, pokryty czarnymi smugami. I było w niej coś dziwnie nagiego. SyMe uświadomiła sobie, iż to dlatego, że siostró nie miała na sobie kornetu i okularów. Musiały jej spaść w zamieszaniu.

SyMe, rozpaczliwie pragnąc się dowiedzieć, czy jej dziecku nie stało się nic złego, chwyciła kurczowo brudny rękaw zakonnicy. — Siostró, proszę, inne dzieci...

— Bezpieczne, wszystkie bezpieczne, Bogu niech będą dzięki — przeżegnała się siostró.

Wówczas SyMe przypomniała sobie o dziecku w swoich ramionach, dziecku Angie.

— Gdzie mogę znaleźć panią Santini? — zapytała.

Zamierzała wszystko wyjaśnić, ale nagie oczy siostry Ignatious zasły łzami. — Pani Santini jest teraz z Bogiem. — Przeżegnała się ponownie. — Wybuch. Było za późno. Zanim dostali się na piąte piętro, ona... nasza biedna siostró Paula także. Umarła, próbując ratować panią Santini.

Myśląc o tej ciepłej kobiecie o ostrym języku, która zajmowała sąsiednie łóżko, SyMe uczuła wsącżający się w nią smutek. Jakże zapaliły się czarne oczy Angie na samo wspomnienie dziecka, mimo rozczarowania, że to dziewczynka. Biedna Angie! SyMe poczuła wzbierające łzy.

Wtedy po raz pierwszy odgarnęła prześcieradło, okrywające małą postać, uśpioną w jej ramionach.

Twarzyczka, wyglądająca z brudnych fałd, była śliczna jak kamea z kości słoniowej. Sylvie wciągnęła powietrze. Okrągłe niebieskie oczy lalki, słodkie małe usteczka jak pączek róży. Jasnobrązowe włosy jak puch na kaczącui. Nie jak ciemna i pomarszczona twarz jej małej dziewczynki. Musnęła jedwabisty policzek palcem, a dziecko odwróciło w jego kierunku głowę, poruszając ustami.

Suche, piekące oczy Sylvie napełniły się łzami. W całym tym koszmarze — to cudowne stworzenie. Dotknęła miniaturowej dłoni, poczuła, jak zaciska się wokół jej palca ze zdumiewającą siłą. Zdumiewały ją małe paznokcie, nie większe niż drobne perełki.

Poczuła rękę siostry Ignatious na swoim ramieniu. — Bóg był z panią. I z pani dzieckiem także. To cud, że żadne z was nie zostało ranne, podczas całej tej drogi w dół.

Sylvie zeszywniała ze zdziwienia. Siostra wzięła dziecko Angie za jej dziecko! Ale przecież była to naturalna pomyłka. Sylvie przeszła przez piekło na ziemi, żeby uratować tego noworodka. A któż inny niż matka...

Odpryski obrazów zawirowały w jej pamięci. Nikos. Ciemna twarz jej własnego dziecka, którą widziała przez chwilę. Bładniebieskie oczy Geralda, obserwujące ją, kiedy się rozbierała.

Nagle doznała olśnienia. Przecież nikt nie musiałby o tym wiedzieć. Jeśliby zatrzymała to dziecko jako własne, kto mógłby się z nią o nie spierać? Nie Angie. Ani siostra Paula.

Może tylko siostra Ignatious, która była na pół szalona, ale ona już nieświadomie udzieliła swego błogosławieństwa. Nie będzie także żadnych rejestrów. Piętra oddziały położniczego zostały zniszczone przez wybuch.

Zawstydzona Sylvie zaczęła drżeć. To potworne, jak mogła nawet o tym pomyśleć? Oddać własne dziecko... komu? Tylu szaleńców żyje na tym świecie. Ale rodzina

Angie — to muszą być mili ludzie, jak ona i bez wątpienia uznaliby, że dziecko należy do nich.

Czy mogła to zrobić? Czy mogła? Nigdy więcej nie zobaczyć własnej córki? Nie widzieć, jak rośnie...

Wtedy pomyślała, jakie byłoby jej życie i życie dziecka, gdyby Gerald miał się z nią rozwieść. Obedrzeć ją ze swojej miłości, swej opieki. Odesłać ją, aby wychowywała dziecko samotnie, w hańbie.

Sama. Bez mamy. Bez Geralda.

Nie, gorzej niż sama. Miałaby dziecko pod opieką. Dziecko, którego nikt nie pragnął, nawet Nikos.

Przypomniała sobie, jak chora była po śmierci mamy. A jeśli teraz się rozchorowała? Albo umarła? Kto zaopiekowałby się jej dzieckiem? Kto by je kochał?

Mimo to nie mogła uwierzyć, że myślała to, co myślała. Oddać własne dziecko i zabrać zamiast niego inne. Jak to, przecież to więcej niż odrażające, to...

To jedyna rzecz, jaką należy zrobić. Jedyna rzecz, która ma sens.

Nie, nie! NIE WOLNO MI. Nie wolno mi nawet myśleć...

I mąż Angie niczego by nie podejrzewał. Pamiętaj, on jeszcze nie widział dziecka. Przyjmie je jako własne, będzie je kochał bezwarunkowo. I czy Angie nie mówiła czegoś o swoich dzieciach? Tak, zgadza się. Dwie inne dziewczynki. Twoje dziecko będzie miało siostry, rodzinę.

...taka straszna rzecz, grzech wobec Boga...

Będiesz miała Geralda. I dziecko, które on będzie kochał, pieścił, wychowywał jako swoje.

Sylvie spojrzała w dół, na piękną jak kamea twarz, uśpioną w jej ramionach. Łzy przepełniły jej oczy i spadały na brudny koc, spływając w jego fałdy. Miała wrażenie, że pierś wypełniają jej potłuczone szkło, że ostre, zimne odłamki wbijają się jej w serce.

Tak, może byłoby lepiej...

Ale jak mogę ją zapomnieć, moje dziecko? Boże drogi, nigdy jej nie obejmować, nie widzieć jak rośnie, nie kochać jej...

Wybór należał do niej. Świadoma straszliwych skutków każdej z możliwości, odwróciła się. Nie miała już czasu. Siostra Ignatious patrzyła na nią, czekając, aż coś powie. Musi zdecydować teraz. Mrugając, aby powstrzymać łzy, Sylvie podniosła głowę i napotkała ukośne spojrzenie siostry.

Podjęła decyzję.

— Tak — powiedziała. — To cud, prawda?

ROZDZIAŁ 1

Brooklyn, 1959

— Pobłogosław mnie, ojcze, albowiem zgrzeszyłam.

Szesnastoletnia Rosę Santini, skulona w ciemnym konfesjonale, czuła, jak jej rzepki kolanowe przemieszczają się boleśnie na twardym drewnianym klęczniku. Znajome przedmioty, zmieszane zapachy wosku i kadzidła, cichy, monotonny szmer wieczornych modlitw, dochodzący z sanktuarium, a mimo to czuła się tutaj jak za pierwszym razem — śmiertelnie wystraszona. Tętno waliło jej w uszach tak głośno, iż była pewna, że ojciec mógł je słyszeć nawet bez swego aparatu słuchowego.

Pomyślała: Wiem, czego oczekujesz, ojcze. Głupstw, jakie zazwyczaj mówią ci dzieciaki — skłamałam, że odrobiłam pracę domową, zjadłam hot-doga w piątek, skłęłam swoją siostrę. Och, gdyby to było wszystko...

To, co zrobiła, było milion razy gorsze. Było grzechem śmiertelnym.

Rosę kurczowo zacisnęła pięść wokół różańca, paciorki wbijały jej się w dłoń. Była zaczerwieniona i rozgorączkowana, jak gdyby miała położyć się z grypą. Ale wiedziała, że nie jest chora. To było jeszcze gorsze. Co znaczyły dreszcze i bolące gardło w porównaniu z wiecznym potępieniem?

Przypomniała sobie siostrę Gabrielle, która mówiła im w pierwszej klasie, że spowiedź to jak obmycie duszy. Rosę wyobraziła sobie siebie rozciągniętą na

stole, podczas gdy ksiądz stoi nad nią — rękawy podwinęte i namydłone ręce - szoruje ją, potem zadaje pokutę, kilka zdrowasiek i ojczenaszów na wywabienie upartych plam.

Ale dzisiaj jej dusza musiała być tak czarna, że nie oczyściłoby jej żadne szorowanie. Najlepsze, czego mogła oczekiwać, to wyblakła szarość, jak w tych reklamach telewizyjnych, gdy używano nieodpowiedniego detergentu.

— ...minęły dwa tygodnie od mojej ostatniej spowiedzi — ciągnęła nikłym szeptem.

Rosę patrzyła na przegrodę przed sobą. Mogła tylko dostrzec niewyraźny profil księdza po drugiej stronie. Myślała o tym, że kiedy była młodsza, wierzyła, iż to sam Bóg tam był... no, może prawie Bóg, przemawiający przez swego posłańca, coś takiego jak rozmowa telefoniczna na dużą odległość, o wiele większą niż stąd do Topeki czy Minneapolis.

Teraz, oczywiście, wiedziała, że to był tylko stary ojciec Donahue^A który odsapywał niedzielną mszę i którego ręka cuchnęła papierosami, kiedy kładł hostię na jej wysuniętym języku. Ale świadomość, że za zasłoną był tylko stary ojciec o skrzypiącym głosie, nie uwalniała jej od ucisku w żołądku. Dlatego, że gdzieś był Bóg, który ją osądzał. Mógł okaleczyć ją w wypadku samochodowym albo sprowadzić na nią raka. Weźmy choćby tę biedną dziewczynę, o której opowiadała im siostra Perpetua. Tę, która dopuściła się odstępstwa od wiary i myślała, że jest w ciąży, tylko po to, aby ją pokrajano i aby okazało się, że nosi nie dziecko, ale ohydny tumor (nawet miał zęby i włosy, powiedziała siostra) wielkości arbuza.

A już co najmniej czekają czyścic. Wyobraziła sobie Boga, zapisującego jej grzechy w grubej czarnej księdze o bladezielonych liniowanych stronach, takiej jak książka, w której siostra Agnes notowała przewinienia. Czyściciec musiał być jak szkoła — każdy tam chodził. Tyle że jedni zdawali, inni oblewali.

Rosę recytowała pospiesznie: — Serdecznie żałuję za wszystkie moje grzechy z powodu Twojej kary, ale

przede wszystkim dlatego, że Cię obraziłam, mój Boże, który stworzyłeś wszelkie dobro i zasługujesz na moją miłość.

Wzięła głęboki oddech.

Ojciec Donahue zamruczał coś po łacinie, potem umilkł, czekając, żeby mówiła dalej.

Rosę przeniosła ciężar ciała z jednego kolana na drugie i drewno wydało głośnie skrzypięcie. W dręczącej ciszy zabrzmiało to jak wystrzał z pistoletu. To mogło zabić ojca, pomyślała. Wywołać u niego atak serca. **KSIĄDZ ŚMIERTELNIE WSTRZAŚNIĘTY SPOWIEDZIA MAŁOLATKI.**

Czuła bicie tętna w szyi. Usta miała bardzo wysuszone i tęsknie myślała o zjedzonej do połowy rolce cukierków w torebce. Butter Rum, jej ulubione. Ależ to też było świętokradztwo, myśleć o cukierku w takiej chwili.

Zamiast tego starała się myśleć o czymś oczyszczającym duszę. Gęste ciepło obejmowało ją jak spocona pięść i lepka wilgoć zaczęła zbierać się pod jej pachami, spływając na odrętwiałe od stanika ciało. Tego starego, który dała jej Marie i który był przynajmniej o dwa numery za mały. Pomyślała o świętej Joannie, smażącej się na stosie.

Rosę przypomniała sobie dzień, kiedy siostra Perpetua po raz pierwszy opowiadała im o męczeństwie. Piąta klasa ledwie słuchała gładzenia siostry, kiwając się nad egzemplarzami *Żywotów świętych* z oślimi uszami.

— Dziewczęta! — jej głos opadł nagle do dramatycznego szeptu. Plecy Rosę zeszywniały na baczność.

— Mam dla was bardzo rzadką relikwię. Mam zamiar puścić ją wkoło i każda z was może ją pocałować.

Zrobiła znak krzyża i ściągnęła srebrny medalionik z szyi. Był ukryty pod jej czarnym habitem. Co jeszcze pod nim było, zastanawiała się Rosę. Piersi? Włosy łonowe? Ale jedyny obraz, jaki jej się ukazywał, to obraz bezkształtnego worka, całkowicie wypchanego chusteczkami higienicznymi, u którego siostra stale podwijęła rękawy.

Zafascynowana Rosę obserwowała, jak siostra podważa wieczko medalionika paznokciem kciuka, kwadratowym jak u mężczyzny. Siostra z czcią złożyła medalionik w gołębic ręce Mary Margaret O'Neill, która siedziała w pierwszej ławce. Mary Margaret w swojej białej bluzce, wyprasowanej jak listek, z rudymi włosami, schludnie spiętymi za uszami, była oczkiem w głowie siostry, gdyż odczuła już Powołanie.

Nerwowa cisza wypełniła klasę, gdy każda dziewczyna, z szeroko otwartymi oczyma, brała medalionik i nachylała się, by cmoknąć go mocno zaciśniętymi ustami. Siostra wyjaśniła, że jest to strzęp ciała męczennika, spalonego na stosie w Meksyku ponad dwieście lat temu.

Rosę, czekając aż podadzą jej medalion, kipiała z chorobliwej ciekawości. Jak to będzie wyglądało? Czy dobędzie się, żeby to pocałować?

Minęła wieczność, nim wreszcie podano jej relikwię. Była straszna, o wiele straszniejsza niż Rosę sobie wyobrażała. Czarna i zeschnięta, jak spalony strzęp pieczeni, zeskrobanej z rondla. Niemal czuła zapach dymu, zjeżdżały swąd przypalonego ciała.

I wtedy uderzyła Rosę straszliwa myśl: Moja matka. Tak musiała wyglądać, kiedy umarła. Boże mój, Boże. I to z powodu mnie. Gdybym nie urodziła się tamtej nocy, ona żyłaby nadal. To na pewno dlatego Nonnie zawsze mi mówi, że jest na mnie diabelskie piętno.

Nie mogła tego pocałować, chociaż siostra z całą klasą obserwowała ją i czekała. Prędzej umrze.

Później przez wiele tygodni nie mogła także jeść smażonego mięsa. Na samą myśl zbierało jej się na wymioty. W zbitej ciemności konfesjonału Rosę wyobrażała sobie teraz, że to ona jest tym męczennikiem. Płonie, jej ciało pod białą bluzką i granatową spódniczką przypieka się powoli. Czy tak się czuła moja matka? Czy strasznie cierpiała?

Wrażenie pieczenia się stało się teraz nawet silniejsze. Wilgoć ściekała jej między piersiami i doszedł ją zapach

jej własnego potu, przypominający swąd palonej gumy. Angelina zasłużyła na śmierć, tak powiedziała Nonnie. Grzeszyła przeciw Bogu, a on ją ukarał. Nienawistne słowa babki pędziły galopem w głowie Rosę, jak nocą myszy za kuchenną ścianą.

Nie, to nie może być prawda. Nie wierzę w to.

Ale co, jeśli to była prawda? Czy to pozostawiłoby w niej jakąś skazę? Czy była naznaczona grzechem matki, tak jak rasa ludzka grzechem Ewy?

Tak, była naznaczona. Cóż, po tym, co zrobiła w zeszłym tygodniu, była tego pewna.

Ale jak, jak miała zmusić się do wyznania grzechu? O wiele większego niż wszystkie, jakie popełniła przedtem.

Zacznij od grzechów powszednich, powiedziała sobie. Dochodź do grzechu śmiertelnego powoli, może w ten sposób nie wywoła on takiego wstrząsu.

Wiedziała, że pierwszą część spowiedzi mogła recytować przez sen. Z tych samych grzechów spowiadała się od pierwszej komunii świętej, z niewielkimi wariacjami tu i ówdzie.

Z trudem przełknęła ślinę, żeby przemóc suchość w gardle. Zabrzmiało to w jej uszach jak młaśnięcie.

— Kłamałam mojej babce. Więcej niż raz — powiedziała.

Cisza, jaka nastała, wydała jej się głośnie jak grom.

Wtedy doszedł ją zardzewiały głos ojca Donahue i... rzeczywiście brzmiał tak, jak gdyby dobiegał przez kabel telefoniczny z wielkiej odległości.

— Jakiego rodzaju to były kłamstwa? — zapytał łagodnie ten latarnik, prowadzący zabłąkany statek przez ciemne morze.

Rosę zawahała się. Tu już kończyły się bezpieczne wody, a pojawiały mielizny. Gdyby wyrecytowała ojcu Donahue wszystkie kłamstwa, jakie powiedziała Nonnie od swojej ostatniej spowiedzi, zostałaby tutaj do Wielkiej Nocy, która wypada za dwa tygodnie. Nie, musi wyłowić jedynie kilka.

Rosę zacisnęła oczy, przesunęła spoconą ręką po plisach spódniczki. Tego nienawidziła najbardziej — konieczności opisanego swoich grzechów. I jak, na miłość boską, miała wyznać swój grzech śmiertelny? Czy księża w ogóle wiedzieli o takich rzeczach?

Znów wzięła głęboki oddech i powoli wypuściła powietrze.

— Skłamałam o tej książce — powiedziała.

— Jakiej książki?

— *Buszujący w zbożu* J.D. Salingera. Wypożyczyłam ją z biblioteki. Ale Nonnie powiedziała, że nie mogę jej przeczytać, bo jest na indeksie.

Pomyślała o Molly Quinn, swej najlepszej przyjaciółce, która nazywała *Indeks ksiąg zakazanych* pieprzoną listą. Książka, wyjaśniała Molly, właściwie wcale nie musi być sprośna, żeby znaleźć się na liście, wystarczy, że po prostu zawiera wyrazy na cztery litery. Wszyscy, siostry i dzieciaki, zawsze konsultowali listę, co wydawało się Rosę bezsensowne, aż kiedyś Molly powiedziała jej dlaczego.

— Idź do biblioteki publicznej — Molly pokazała w uśmiechu usta pełne metalu (twierdziła, że mogłaby utrzymać dwa tomy encyklopedii na swoich klamerkach) i założyła swoje długie, jasne włosy za uszy. — Idź, zobacz, które książki są zawsze wypożyczane.

Ojciec wydał z siebie suche, grzeczne, lekkie kasznięcie. — A ty przeczytałaś tę książkę, chociaż wiedziałaś, że postępujesz wbrew życzeniu twej babki?

— Tak, ojcze — westchnęła Rosę.

— Zatem popełniłaś dwa grzechy. Uchybiłaś czci twej babki i oszukałaś ją.

— Ja naprawdę nie rozumiałam, co było w tym tak złego. To znaczy, co Holden Caulfield próbował powiedzieć... otóż, to właściwie nie było o seksie — Rosę przerwała, przerażona. Święta Matko Boża, czyja naprawdę to powiedziałam? Czy nie mam już dość kłopotów i bez trzaskania dziobem?

Ojciec Donahue odchrząknął. — Musisz ufać mądrości starszych, moje dziecko — napomniał łagodnie.

- I pamiętaj, że kwestionowanie nakazów Kościoła nie należy do ciebie.

- Tak, ojcze.

- Możesz mówić dalej.

- Hmm... to wszystko, co pamiętam, ojcze. — Jeszcze jedno kłamstwo. Ale cóż było tłumaczyć? Ojciec Donahue nie wiedział, jaki miała dom.

Rosę podrzuciła włosy z tyłu, żeby nieco ochłodzić szyję. Przypomniała sobie, że kiedy chodziła do przedszkola, Nonnie zaplatała jej rano warkocze. Ściągała włosy do tyłu tak mocno, że napinały skórę na skroniach, powodując ból głowy. W każdym razie w porze lunchu warkocze były już rozpuszczone, tworząc masę sztywnych czarnych loków, ciągnących każdy w swoją stronę. Jak mała Cyganka, mruzczała Nonnie z zacisniętymi ustami, wydając każdego ranka wojnę włosom Rosę. Rosę nic nie mogła poradzić na to, że z każdym bolesnym pociągnięciem szczotki do włosów przypominała jej, jak bardzo różni się od wszystkich w rodzinie. Wybryk z oliwkową cerą, niemożliwymi włosami i ogromnymi czarnymi oczyma.

Była też duża. Nie jak jej siostry, obie filigranowe jak lalka Ginny. Żadne z ubrań, jakie odziedziczyła po Marie i Clare, nie pasowało. Naciągały się na jej piersiach i biodrach, podjeżdżając do góry w okropnie wyglądających zmarszczkach, co sprawiało, że czuła się jak King Kong. Ale co mogła zrobić? To grzech, mówiła Nonnie, marnować dobre ubranie przez próżność. Poza tym były zbyt biedne, aby cokolwiek wyrzucać. Pewnego razu, kiedy nikogo nie było w domu, Rosę wyłuskała się z ubrania i stanęła przed upstrzonym lustrem bieliźniarki w swojej sypialni. Wiedziała, że to grzech patrzeć na siebie w ten sposób. Siostra tak powiedziała. Jednak nie mogła oderwać oczu od swej ciemnej nagości. Wszędzie ciemna, nawet tam, gdzie światło słoneczne nigdy jej nie dotykało. Jej ciężkie piersi miały kolor pasty Old English, którą Nonnie co sobotę polerowała meble, i brodawki duże jak spodki, tak ciemne, że wydawały się

niebieskie. I włosy. Wspaniałe, szorstki, ciemny ich gąszcz, wyrastający ze wzgórka między jej udami. Ciemniejsze i nawet bardziej skręcone niż włosy na jej głowie.

Rosę dotknęła się tam, czując przypływ wstydlivej przyjemności. Przenajświętsza Dziewico, skąd się to wszystko brało? Marie i Clare miały oczy niebieskie jak bławatki i piękne faliste włosy koloru piwa imbirowego, tak jak ich ojciec. Nawet Nonnie, wysuszona teraz i poznaczona wątrobianymi piegami, była kiedyś jasnowłosa i prawie ładna na solidny germański sposób — czego dowodem, jakkolwiek nieprawdopodobnym, było zabarwione brązowo zdjęcie w cynowej ramce na ozdobnej półce nad sofą. Rodzice Nonnie, jak powiedziano Rosę, pochodzili z Genui, gdzie teutońska krew mieszała się z włoską, aby dać Nonnie jej jasny koloryt i bladoniebieskie oczy.

Oszołomiona i zdumiona przyjemnością, jaką odczuwała, Rosę dotykała się nadal, sondując wilgotną szczelinę, ukrytą pod sprężystymi czarnymi włosami, potem podniosła ręce od góry, obejmując dłońmi swoje ciężkie piersi i patrząc, jak jej brodawki sztywnieją jak dwa rodzynki. Brzydka. Jestem taka brzydka. Nikt nigdy nie zechce się ze mną ożenić, dotykać mnie w ten sposób. Nonnie mówiła, że to za sprawą „złej krwi” była taka ciemna, sugerując, że pochodzi ona ze strony matki Rosę. Ale jakże mogło tak być! Mama miała jasną cerę, jasnobrązowe włosy, i — sądząc po jej starym płaszczu zimowym, który teraz nosiła Marie — była także drobnokościasta.

Rosę znalazła stare zdjęcie swoich rodziców, wepchnięte z tyłu albumu fotograficznego Nonnie. I to zdjęcie — a nie ich sztywno upozowany, sztucznie podkolorowany ślubny portret — nosiła w pamięci. Niewyraźny obraz młodej kobiety w staromodnej sukience o kwadratowych ramionach, opierającej się o nadburcie statku, z głową odrzuconą do tyłu, by móc patrzeć na wysokiego mężczyznę obok niej, przystojnego w swoim marynarskim mundurze. Roześmianej i bez

wątpienia zakochanej. Jej dłoń w rękawiczce, uniesiona jak tarcza przeciw słońcu, rzucająca cień na jej oczy. Wszystko, co można było zobaczyć, to jej jasne, rozwiane wiatrem włosy i szczęśliwy uśmiech na umalowanych ustach.

Zła krew. Jeśli nie mam jej po mamie, to po kim?

Wydało się jej, że ciemność konfesjonału przesacza się przez jej pory, wypełniając ją rozpaczą. Tak jak zmora nocna. Śniło jej się często, że spada w czarną przestrzeń, pełną przemykających czerwonych gwiazd, rąk wyciągających się po nią, następnie znikających jak mgła, kiedy tylko w nie wpadła.

Wtedy Rosę przypomniała sobie coś: Briana, mówiącego jej, że wszystkie te historie o złej krwi i złym spojrzeniu to tylko gadanie starych bab.

Mówi, że jestem bardzo bystra. Że nigdy nie znał nikogo, kto rozwiązywałby krzyżówki i grał w karty tak dobrze jak ja, albo potrafił coś wykombinować, jak wtedy, kiedy wymyśliłam sposób zdobycia darmowych biletów dla całej piątej klasy, nawet dla siostry Perp, żeby zobaczyć, jak Yankees ścierają na proch Red Sox.

Rosę jeszcze słyszała pełen podziwu głos Briana: „Jeezu, Rosie, komu przyszyłoby do głowy napisać do Casey Stengela Ust, że Yanksom przydałyby się dodatkowe modlitwy po ostatnim sezonie?”

— Jesteś pewna, moje dziecko? — Ojciec Donahue wdarł się w jej myśli.

Zagryzła dolną wargę. Powinna mu powiedzieć? Teraz? Miała wrażenie, że grzech wypala jej dziurę w żołądku.

— Użyłam imienia pańskiego nadaremno — wyznała, tchórząc w ostatniej chwili.

— Tylko raz?

— Tak, ojcze.

Rozzłościła się na apodyktyczną Marie — zawsze napominała Rosę: wsuń bluzkę do środka, przestań się garbić, zrób coś z tymi włosami i, na miłość boską, posprzątaj swoją połowę pokoju.

Rosę wybuchnęła. — Jeśli chcesz, żeby pokój wyglądał jak jakiś przeklęty barak wojskowy, sama go posprzątaj!

Nonnie usłyszała z kuchni.

Rosę skrzywiła się na wspomnienie, jak zmuszano ją do klęczenia na kuchennym linoleum, odmawiania różańca i błagania Błogosławionej Dziewicy Marii, Jezusa Chrystusa, Ducha Świętego i każdego, kto chciał słuchać, o wybaczenie jej najcięższego grzechu. Boże, cóż to były za godziny. Ból promieniujący z jej posiniaczonych kolan w górę. Upokorzenie. A potem nie mogła wstać. Ale Nonnie nigdy nie widziała jej płaczącej. Nie, Rosę nigdy by na to nie pozwoliła, inaczej upokorzenie stałoby się nie do zniesienia. Czołgała się więc na dłoniach i kolanach do łazienki, zamykała drzwi i rozpaczliwie płakała, zagłuszając szlochaniem szumem wody, rwącej z kranu nad wanną.

— *In nomine patris et filii...* — Ojciec Donahue przystąpił do ostatniego błogosławieństwa, przypominając jej łagodnie, że jeszcze inni czekają na swoją kolej do spowiedzi.

Rosę wpadła w panikę. Jej grzech śmiertelny. Nie wspomniała o nim słowem. Teraz Bóg na pewno ją ukarze! Wzięła głęboki oddech, by się opanować. Zmieszane wonie konfesjonału — potu, kadzidła i tytoniu, który żuł ojciec — były duszne, dławiące.

— Ojczy, cudzołożyłam — wypaliła w nagłym pośpiechu.

Sylwetka ojca Donahue zakołysała się niepokojąco. Czy teraz będzie miał atak serca? Czy będzie to kara dla niej — Bóg, zsyłający grom na księdza... tak, jak na jej matkę? Ojciec zakaszłał gwałtownie. W ciasnej przestrzeni zabrzmiało to jak grzmot.

— Moje dziecko... — zacharczał. — Czy wiesz, co mówisz?

Był jeszcze żyw, niebu niech będą dzięki. Rosę wyobraziła sobie przerażenie na jego różowej twarzy podstarzałego cherubina. Tak bardzo chciała cofnąć swoje słowa, wymazać je, ukryć swój grzech. Jednak było już za późno.

— Tak, ojcie — zmusiła się do wymruczenia przez palce, zasłaniające jej usta.

Zalał ją wstyd, ale dziwnie chłodny wstyd, który sprawiał, że czuła się zarazem oczyszczona. Jak po tych nienawistnych, lodowatych prysznicach, kiedy Marie zużyła całą ciepłą wodę, i kiedy Rosę najpierw drżała i łapała powietrze, ale potem była zaczerwieniona i rozpalona. Nabrała otuchy. Zrobiła to. Prosiła boskiego przebaczenia. Może teraz Przenajświętszy Ojciec wybierze dla niej łagodną karę — skręconą kostkę zamiast okaleczenia w wypadku samochodowym, dwa dni okropnej grypy, ale nie leukemię.

— Czyjesteś absolutnie pewna? — Szept ojca wzniósł się do napiętego drżenia.

— Tak, ojcie.

— Czy popełniłaś ten... — kasznięcie — akt więcej niż jeden raz?

— Tylko raz, ojcie. — Rosę zadrżała. Miała wrażenie, że pot, który z niej ściekał, mógłby zatopić cały konfesjonał. Nigdy nie czuła się tak odsłonięta i tak podatna na zranienie, że jeszcze jedno wypowiedziane piskliwym głosem ojca słowo mogłoby ją zadźgać.

Ale ojciec Donahue zaczął mrużyć swoją zwykłą litanie, co zabrzmiało jak przejmujący lament. Czy nie miał zamiaru zadawać jej więcej pytań? Zbesztać jej przynajmniej? Jego sylwetka za zasłoną rozmazała się, kiedy czynił znak krzyża.

O Panie, dzięki ci, to wszystko okazało się nie takie... no, nie takie straszne. Pochyliła się do przodu, aby usłyszeć, jaką otrzyma pokutę. Piętnaście zdrowasiek i trzydzieści ojczenaszów. O wiele więcej niż kiedykolwiek przedtem. Ale nie miała nic przeciwko temu, ani trochę, niezależnie od tego, jak długo będzie ją odmawiać i jak posiniaczone będzie miała pod koniec kolana.

— Idź i nie grzesz więcej — powiedział ojciec ze znużeniem.

Skończone. Zrobiła to. I nadal żyła. Ojciec także.

Rosę przemknęła z konfesjonału w chłodną, przesyconą zapachem kadzidła ciemność sanktuarium. Stara podłoga z desek skrzypiała w łagodnym proteście, gdy szła wydeptaną do białości ścieżką w głąb głównej nawy. Wśliznęła się do pustej ławki, opadając na kolana i opierając czoło na zaciśniętych dłoniach. Wiedziała, że powinna myśleć o Bogu, ale nie mogła pozbyć się Briana z pamięci. Starła się wyrzucić go z myśli i skupić na pokucie, jaka ją czekała.

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twojego, Jezus... Jednak nie, nie ogarniało jej uczucie skruchy, to dobre uczucie nienawiści do tego, co robi, ale uczucie zadowolenia z siebie, że to robi, jak kiedy w niedzielę wrzucała do skrzynki na ofiary całego dolara z pieniędzy zarobionych za opiekę nad dziećmi, albo dotrzymywała obietnicy i nie jadła słodyczy przez cały Wielki Post. Była niemal pewna, że kiedy spojrzy w górę, zobaczy Briana, stojącego przy balustradzie komunijnej w starym stroju ministranta, robiącego do niej oko.

Myśląc o tym, co zrobili, czuła, że serce bije jej mocno i podchodzi do gardła. Ale nie dlatego, że była zawstydzona czy żałowała tego. Boże, uchowaj... Cała pokuta świata nie mogła zmienić faktu, że kochała Briana. Dla niego weszłaby w ogień. Nawet w ogień piekielny. I w głębi duszy wiedziała, że jeśliby Brian jej chciał, zrobiłaby to jeszcze i jeszcze raz.

Jeśliby. Na myśl, że on teraz jej nie zechce, nawet jako przyjaciółki, chłód wtargnął w jej serce. Dziś była sobota, a nie widziała go od poniedziałku, od tamtej nocy, kiedy... cóż, kiedy zapomnieli, że mieli być tylko najlepszymi przyjaciółmi. Czy on celowo jej unikał? Mogła pójść na górę i zastukać do jego drzwi, żeby się tego dowiedzieć, ale ilekroć o tym pomyślała, żołądek jej się zaciskał.

Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą... proszę, nie pozwól, żeby Bri mnie znienawidził... błogosławionaś Ty... on jest wszystkim, co mam... i błogosławiony owoc

żywota Twojego... nie sędzę, żebym mogła obejść się bez niego, naprawdę nie... Jezus.

Rosę przestała przesuwac palcami różaniec i popatrzyła na przykryty białym obrusem ołtarz, z marmurowymi figurami Jezusa i Błogosławionej Dziewicy po obu stronach. Rząd świec wotywnych obok westybulu okapywał i dymił w przeciagu, który wydawał się należeć do tego miejsca tak samo, jak drewniane, pokryte bliznami ławki i mszały z oślimi uszami. Rosę spojrzala przed siebie i dostrzegła zgarbioną postać w czarnej sukni i bezkształtnym kardiganie. Kobieta uklękła przed ołtarzem, a potem powlokła się, by zapalić jedną ze świec i z głuchym dźwiękiem wrzucić monetę do skrzynki na ofiary. Rosę zauważyła, że skrzynka miała wyłobienia na drewnianym wieku i nową kłódkę. Ach tak, przypomniała sobie, jak siostra Boniface mówiła, że zdarzyła się jakaś kradzież.

Kościół miał być domem Bożym, pomyślała Rosę. Ale jeśli Bóg mógł mieszkać wszędzie, zastanawiała się, to czy rzeczywiście wybrałyby kościół Świętych Męczenników na rogu Coney Island Avenue i Avenue R?

Wątpiła w to. Bardzo w to wątpiła.

Rosę spojrzala w górę. Słońce późnego popołudnia skapo świeciło przez szczytowe okna, rzucając na wszystko wokół szare światło o barwie kamiennego pyłu. Okna były oznaczone odchodami gołębi, gnieźdzących się pod okapem, ale nikt nigdy nie zadawał sobie trudu, żeby je umyć. Mówiło się, że ojciec stracił do tego serce, kiedy przed dwoma laty jakiś gang uliczny roztrzaskał piękne witrażowe szyby i zastąpił je zwykłym szkłem nierozpryskowym, bo było to wszystko, na co cała parafia mogła sobie pozwolić.

Rosę wiedziała, co musiał czuć ojciec. Wydarto mu coś drogiego. Roztrzaskano na kawałeczki. Nie do odtworzenia. Stracone na zawsze. Tak samo było z nią. Z babką. Nonnie splamiła, zrujnowała, rozbiła na kawałki największe, najczystsze marzenie Rosę.

Jej matka.

„...kurwa, tania kurewka, to wszystko, czym była...”

Wspomnienie nienawistnych słów Nonnie wywołało ból w dołku. Zaciśnęła powieki. Podniosła się w niej rozpalona do czerwoności, trująca nienawiść. Wiedziała, że to jeszcze większy grzech niż ten, który popełniła z Brianem.

Chciałabym, żeby umarła. Chciałabym, żeby ta stara suka spłonęła zamiast mojej matki. Na próżno starając się wymazać swoje złe myśli, Rosę oparła głowę na zaciśniętych dłoniach i modliła się gorączkowym szeptem: Ojciec nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja jako w niebie, tak i na ziemi. Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. I nie wódź nas na pokuszenie...

Pomyślała o Marie, o zesłotygodniowym strasznym oświadczeniu swej siostry, od którego wszystko się zaczęło.

Jadły obiad w kuchni, w której zalegał zapach przetrzymanej na ogniu pieczeni i ziemniaków. Ona, Clare i Nonnie. Weszła Marie, spóźniona jak zwykle, i Rosę wyczuła natychmiast, że coś się stało. Coś ważnego. Marie tylko stała pośrodku kuchni, z rękami sztywno po bokach, z zadartym podbródkiem, płonącymi ponurym wyzwaniem niebieskimi oczyma. Zadyszana, z falującą piersią, jak gdyby wbiegła cztery kondygnacje nie zatrzymując się ani razu. Ubrana w czarną obcisłą spódnicę ze zrolowanym paskiem, z pomadką Flame-Glo na ustach, w czarnych lakierkach na płaskim obcasie, swoim wejściem poruszyła zatęchłe powietrze, wprawiła je w drganie i sprawiła, że wokół zaczął unosić się zapach niebezpieczeństwa.

Wtedy rzuciła swoją bombę atomową.

— Pete i ja pobieramy się — oznajmiła takim samym „do diabła z wami” tonem, jakim mogłaby powiedzieć: Pete i ja obrabowaliśmy bank.

Przez chwilę żadna się nie poruszyła. Były jak żywy obraz, pomyślała później Rosę, jak niesamowita parodia

żywego obrazu Ostatniej Wieczerzy, który brat Paul inscenizował co roku w Wielki Czwartek w szkole Najświętszej Krwi, gdzie chodził Brian. Wszystkie trzy zastęły wokół stołu z forniki na chromowanych nogach, pod fluoryzującą aureolą na suficie. Nonnie w swej czarnej bawełnianej sukience (tej, którą nosiła do kościoła co niedziela i w każdy pierwszy piątek miesiąca), ona i Clare w szkolnych mundurkach. Widelce uniesione nad talerzami, oczy zwrócone na Judasza przed nimi.

Rosę zauważyła, że bladoniebieskie oczy Nonnie zwały się, kiedy spoczęły na grubym swetrze, opadającym nad talią Marie. Nagle pojęła. Wszystko do siebie pasowało — przykre wymioty, jakie od tygodnia słyszała zza zamkniętych drzwi łazienki, nerwowość Marie, jej warczenie na wszystko, co Rosę powiedziała. I, oczywiście, jej znikanie z domu, żeby być z Pete'em o każdej porze dnia i nocy.

Święta Matko Boża, Marie była w ciąży.

Nonnie przestała żuć i podniosła się powoli, z dłońmi wspartymi płasko na stole po obu stronach talerza, wyprostowała kościste ramiona, aż stanęła twarzą w twarz z Marie, oddzielona od niej tylko szerokością stołu. Światło zamigotało w binoklach Nonnie i przez małą chwilę Rosę widziała w nich drobne jak punkcik odbicie własnej twarzy. Wciągnęła powietrze, żeby odzyskać równowagę po nagłym susie, jaki wykonał jej żołądek.

Nonnie odepchnęła krzesło i, wciąż powoli, przeszła wokół stołu do miejsca, gdzie stała Marie. Podniosła rękę; jej kości ostro odcinały się od zwiotczałego, pocętkowanego ciała, jak u szkieletu w święto Halloween. Otwartą dłońią trzasnęła Marie w twarz.

— Wstyd — syknęła. — Co za wstyd. Ty! Nie lepsza niż ulicznica!

Marie stała tylko, blada i zeszywniała. Czerwone smugi rumieniły się na jej białej jak twaróg twarzy. Jej oczy błyszczały nie wylanymi łzami gniewu. Ale nie poruszyła się i nie krzyknęła.

To Clare wybuchła bolesnym łkaniem. Z szorstkim szurnięciem krzesła wypadła z pokoju, twarz ukrywając w dłoniach. Patrząc na nią, Rosę pomyślała złośliwie, gdy jej odrętwienie minęło: Tak jest, biegnij. Biegnij do swego modlitewnika, jak zawsze, Panno Świętoszko. A może boisz się, że to zaraźliwe jak choroba i że ty również zajdziesz w ciążę?

Rosę znowu zwróciła się ku Marie. Patrzyła na swą siostrę, starając się zrozumieć to wszystko. Marie, obecnie prawie dwudziestoletnia, pracowała w stoisku z kosmetykami w A&S — gdzie poznała Pete'a — odkąd ukończyła szkołę Najświętszego Serca. I jeśli nawet czubki jej czarnych pantofli były zazwyczaj zdarte, i najczęściej miała spuszczone oczko w pończosze, jej twarz była zawsze bez zarzutu. Brwi wyskubane i wydłużone jak u Audrey Hepburn, a szminka w najbledszym odcieniu różowego. Jasnobrązowe włosy miała zakręcone w masę drobnych loczków, na czole usztywnionych lakierem w rząd przecinków.

Marie panowała nad sytuacją. Ona była tą twardą i wydawało się, że jej nigdy nic się nie przydarzy. Gniew Nonnie spłynął po niej jak woda pó rynnice.

Mimo udręki Rosę czuła, że jej pierś wzbiera dumą i miłością dla starszej siostry. Pewnie, Marie była twarda, ale potrafiła też być wspaniałomyślna i uprzejma. Rosę myślała o dniach, kiedy błagała Marie, żeby pozwoliła jej nosić swoją cenną bransoletkę z amuletem. Aż kiedyś, wracając ze szkoły, zgubiła ją. Była pewna, że Marie będzie na nią wściekła. I Marie była zła... z początku. A potem, w typowy dla siebie sposób, wzruszyła ramionami i powiedziała: „Och, przestań buczeć, to nie koniec świata. Wiem, że nie chciałaś tego. Dalej, wsiąkaj nos, zabieram cię na lody.”

— Wstyyyd. — Ostry głos Nonnie wyrwał Rosę z zamyślenia. Patrzyła z przerażeniem, jak Nonnie kościstym palcem dźga Marie w twarz. — Co się z tobą dzieje? Żywię cię. Stawiam ci jedzenie pod nos. Wychowuję cię jak własną córkę. A ty mi to robisz. Co za

wstyd. Pracujesz w sklepie, malujesz twarz jak ladacz-nica. Włączysz się po nocy jak uliczna kotka z tym twoim meksykańskim nicponiem.

Marie najeżyła się. — Pete nie jest żadnym Meksykaninem. Jest na pół Portorykańczykiem, po matce. Nie masz prawa nazywać go Meksykaninem.

— Zhańbił cię, czyż nie?

— Jeśli chodzi ci o to, czy będę miała dziecko, odpowiedź brzmi: tak. Tak, będę miała dziecko. — Marie zrobiła krok naprzód, niemal z groźbą. Bładoróżowe usta skrzywiła z niesmakiem. — I coś ci powiem, stara kobieto. Moje dziecko będzie miało lepiej niż ja.

— Ha! — zadrwiła Nonnie. — Nie było ci tak źle. Skończyłabyś na trotuarze, gdybym cię nie wzięła, kiedy Pan zabrał mojego Doma, niech Bóg ma jego duszę w opiece.

Rosę spojrzała na pieczeń na swoim talerzu. Była już zimna i zastygły na niej wysepki szarego tłuszczu. Uczuła mdłości. Żeby tylko Marie przestała! Rosę bała się, że siostra zmusi Nonnie do zrobienia lub powiedzenia czegoś, czego wszystkie będą żałowały.

Oczy Marie miały dziki wyraz. Zrobiła jeszcze krok przed siebie; ramiona zgarbione i pięści zaciśnięte po bokach. — Wcale nie żałuję, że zaszłam. Wiesz dlaczego? Powiem ci, dlaczego. Bo w końcu wynoszę się stąd w diabły. Nie pozwolę, żebyś mi ciągle mówiła, że jestem zła. Może to dlatego stałam się zła. Dlatego, że mówisz mi to cały czas. Żal mi Clare. I ciebie też, Rosę.

— Rzuciła Rosę współczujące spojrzenie. — Gdybyś wiedziała, co dla ciebie dobre, też wyniosłabyś się stąd w diabły.

— Nie jesteś godna wymawiać imienia twojej siostry — prychnęła Nonnie. — Clare, ona ma powołanie. Będzie siostrą zakonną. Ona przenigdy nie przyniosłaby mi takiego wstydu.

— Pewnie, od tak dawna faszerujesz ją Jezusem. Gdyby ktoś powiedział buuu, też pomyślałaby, że ma powołanie. A Rosę traktujesz, jak gdyby była śmieciem

pod twoimi nogami. — Gniewnie odwróciła się do Rosę.
— Dlaczego pozwalasz jej traktować się w ten sposób,
co, Rosę? Co?

— Marie, proszę. Nie... — Rosę czuła się tak do-
tknięta, że ledwie mogła mówić. Spojrzeniem błagała
siostrę, by przestała. Kuchnia zdawała się ją osaczać.
Żółknące ściany z wyblakłą tapetą w kiście owoców.
Rząd szafek, niegdyś niebieskich, teraz smętnie posza-
rzałych jak ścierka do zmywania.

— Rosę. — Nonnie wymówiła jej imię niemal spluwa-
jąc, z ustami rozciągniętymi w pogardzie. Jej małe blade
oczka zatrzymały się na Rosę z nienawistną uciechą.
— Ona nie jest twoją siostrą.

Rosę zdawało się, że duszne powietrze ożyło, bucząc
jak rój rozżłonych os. Musiałam źle usłyszeć, pomyś-
lała. Nonnie nie mogła tego powiedzieć.

Marie popatrzyła na babkę. — Oszalałaś? O czym
ty mówisz?

— Ona nie jest dzieckiem mojego Dorna — upierała się
Nonnie. — Ona jest bękartem, jak ten, którego nosisz
w brzuchu. Pewnie, nie mam żadnego dowodu. Ale
— ciągnęła, bijąc się w piersi — są rzeczy, które nie
wymagają dowodu. Tylko popatrz na nią! Przekłety dzień,
w którym się urodziła. Dom spojrział na nią pierwszy raz
i się rozpłakał. Mówię ci: „Co ty wiesz o tej twojej modnej
żonce w jedwabnych pończochach i sukienkach po pięć-
dziesiąt dolarów? Jak myślisz, co taka dziewczyna robi,
kiedy mąż daleko na wojnie i nie może jej upilnować?”
Mówię ci, to było przekleństwo, że twoja matka zginęła
w tym pożarze. Kara, zesłana na nią przez Boga. — Jej głos
wzniósł się do przenikliwego skowytu.

Rosę zakryła uszy dłońmi, ale nie mogła się od niego
odgrodzić. Każde słowo wwierało się w nią jak żądło osy.

— NIE! — Rosę zerwała się z wściekłością, prze-
wracając krzesło. — Kłamiesz! Moja matka nie była
taka! Była dobra i... i...

Nie mogła znaleźć słów, zdolnych wyrazić gorące,
rozpierające ją oburzenie.

Brian. Musiała znaleźć Briana. On zrozumie, pomoże, sprawi, że nie będzie tak bardzo bolało.

Rosę przemknęła obok Marie i Nonnie. Palące łyzy sływały jej po policzkach. Potykając się przeszła przez bawialnię, przez chwilę nic nie widząc w panującym w niej ciągle mroku. Ale potem mogła już dostrzec w szarym świetle, wciskającym się przez opuszczone żaluzje, woskowy połysk plastikowego pokrowca sofy.

Czuła się jak pchła, którą jej babka chciała rozgnieść, jak karaluch. Mocowała się z łańcuchem u drzwi wejściowych, nienawidząc wszystkiego w tym pokoju, w tym okropnym mieszkaniu.

Chwilę potem znalazła się w hallu, wolna, i popędziła schodami na najwyższe piętro, do Briana, modląc się, żeby był w domu. Od razu, gdy weszła do środka, otoczył ją hałaśliwy zamęt mieszkania McClanahanow. Matka Briana przywitała ją, trzymając dziecko przytulone do jej obfitego biodra, podczas gdy drugie przywarło do jej kolana. Ciepły korzenny zapach wtargnął do bawialni zapchanej dzieciakami, porzrzuconymi na podłodze poduszkami z sofy, pustymi butelkami do karmienia z krążkami zaschniętego mleka.

— Rosę, nieba cię zesłały! Weź Kevina, a ja wyjmę ciasto z piekarnika. Są urodziny Jaspera i... no, trzymaj.

— Wepchnęła Rosę Kevina z mokrą pieluchą i czmychnęła do kuchni wołając: — Brian! Rosę jest tutaj. Jeśli nie wyciągniesz Seana z wanny, będzie pomarszczony jak orzech.

Rosę otarła zażawione oczy grzbietem dłoni i zatoneła we wgłębieniu kanapy, kołysząc Kevina na kolanie.

— No jak, kolego? Chcesz zatańczyć czaczę?

Dziecko posłało jej szeroki bezzębny uśmiech. Kevin najbardziej lubił, kiedy Rosę podrzucała go w rytm niewidzialnej latynoskiej orkiestry. Zachichotał bezradnie. Rosę poczuła się odrobinę lepiej.

Ten bałagan w jakiś sposób ją rozweselał. W wielkim plecionym dywanie zatoneły porzrzucone zabawki Tinkera, klocki Lincolna i klocki z literami alfabetu,

ogryzione przez ząbkujące dzieci, puste pudełko po plastrach, miniaturowe ciężarówka, kalosze, połamane ołówki, książeczki ze złotej serii z oddartymi okładkami. Na wyszczerbionym stoliku do kawy leżał stos niezdarne opakowanych urodzinowych prezentów. A usadowiony na starym podnóżku z koca, na którym pan McClanahan opierał stopy, czytając wieczorami „Post”, siedział dwuletni Jasper, rozgniatając palcami stóp krakersy.

— Witaj w Pandemonium City. Słyszałaś już? Prezydent Eisenhower właśnie ogłosił to miejsce strefą klęski żywiołowej.

Rosę podniosła oczy i zobaczyła, że Brian uśmiecha się do niej, trzymając na rękach czteroletniego Seana, całego różowego po kąpieli. Rękawy koszulki z Brooklyn College miał zrolowane powyżej łokci. Zabłąkane cętki piany z szamponu jak płatki śniegu zdobiły jego ciemnobrązowe włosy. Sam jego widok czynił Rosę prawie szczęśliwą. Nim mogła odpowiedzieć, Brian postawił Seana i opadł na sofę obok niej. Przód jego koszulki nosił wilgotny odcisk ciała Seana. — Hej, Rosę, dobrze się czujesz? — zapytał cicho. — Wyglądasz, jakbyś płakała.

Rosę potrząsnęła głową, ze ściśniętym gardłem, walcząc ze łzami, które mogły lada chwila napłynąć nową falą. — Czuję się dobrze. Ale Kevinowi trzeba zmienić pieluchę. Nie wydaje mi się, żebyśmy oboje mogli dłużej wytrzymać.

— Sean! — wrzasnął Brian przez cały pokój. — Pilnuj Jazzbo, dobra? Nie pozwól mu zbliżyć się do prezentów, okay?

W pokoju rozmiarów pudełka na buty, który Brian dzielił z dwójką swoich braci, on i Rosę wspólnym wysiłkiem założyli wiercącemu się Kevinowi czystą pieluchę. Brian wsadził go do kojca razem ze słodkimi sucharkami i pękiem plastikowych kluczy.

— Cisza na froncie zachodnim — wyszeptał Brian, biorąc ją za rękę. — Chodź, czas uciekać, zanim Indianie zwietrzą nasz trop.

On wie, pomyślała Rosę w przyptywie czułości. Zabiera mnie do fortu, bo wie, że coś jest nie w porządku.

Fort. Nie byli tam — jak długo? — przynajmniej parę lat. Odkąd Brian przed dwoma laty skończył szkołę Przenajświętszej Krwi i zapisał się do Brooklyn College. Po tym wydawało się to jakieś... no, dziecinne. Jednakże pamiętała, że kiedyś fort wydawał się najbardziej ekscytującym miejscem na świecie.

Mieszkanie McClanahanów znajdowało się na najwyższym piętrze. Matka Briana dawno temu zainstalowała zabezpieczenia w oknach, ale Brian obmyślił, jak można się przedostać do komórki dozorczy obok głównego hallu. Było w niej okno, otwierające się na niewielką zewnętrzną platformę. Nad nią była drabinka na dach. Właściwe schody wewnątrz budynku zostały zamknięte dla lokatorów przed ośmiu laty, po tym, jak czteroletni Jimmy Storelli stoczył się z krawędzi dachu, podczas gdy jego matka odpinała pranie ze sznura. Drabinka składała się z ośmiu zardzewiałych szczebli, przymocowanych sworzniami do bocznej ściany budynku. Pod nią była tylko pięciopiętrowa próżnia.

Rosę miała siedem lat, a Brian osiem i pół, kiedy ją odkryli. Pamiętała, jak bardzo bała się wyjść na platformę, bardziej niż wspinaczki. Ale Brian przymilał się, zachęcał, obiecywał, że będzie tuż za nią i że chwyci ją, gdyby spadła. Nawet wspiął się dwa razy sam, śmigając w górę jak mała pa, aby tylko jej pokazać, że to nic trudnego.

Boże, jaka była wystraszona. Nawet teraz, wdrapując się w mroku za Brianem, z łatwością pokonując szczebel za szczeblem, myślała o tym, jak wówczas wiatr szarpał jej sztruksową spódnicę, którą dostała po Marie. Jak wydymała się w jednej chwili niczym żagiel, by w następnej boleśnie uderzyć o jej kolana. Żołądek podchodził Rosę do gardła, kiedy myślała o małym Jimmym Storelli i wyobrażała sobie, że sama spada w dół, uderza o chodnik z głuchym plaśnięciem jak arbuz, który stoczył się z jadącej ciężarówką. Zatrzymała się w połowie drogi, kolana trzęsły jej się jak galareta.

- Nie mogę — jęknęła.

Dobiegł ją głos Briana: — Oczywiście, że możesz, Rosie. Wiem, że możesz. To niejest trudne. Obiecuję ci, że nie spadniesz. A jeśli nawet, złapię cię.

A ona mu wierzyła. Brian na pewno by ją chwycił. - Oczywiście, że tak, absolutnie, bez wątplenia. Czyż nie troszczył się zawsze o nią? Przypomniała sobie, jak odprowadził ją do przedszkola tamtego pierwszego dnia, kiedy Marie, zdeglustowana jej płaczem, zostawiła ją na dziedzińcu szkolnym. Brian był już w trzeciej klasie, ale dał jej ciagutki z lukrecją i zaprowadził do klasy. I trzymał ją za rękę. To było najprzyjemniejsze, nawet jeśli wszyscy jego przyjaciele, duzi chłopcy z Przenajświętszej Krwi, patrzyli i natrzęsali się z niego. Więc Rosę, zeszywniała pięć pięter nad chodnikiem, nie miała wątpliwości, że Brian dotrzymałby słowa, chociaż coś w niej wiedziało, że gdyby spadła, on nie mógłby jej chwycić.

Teraz uśmiechnęła się, przerzucając stopę ponad górnym szczeblem na ciepłą powierzchnię dachu, przykrytego zniszczoną przez słońce i deszcz papą. Zatrzymała się na chwilę, pozwalając oczom oswoić się z pomarańczowo-szarym zmierzchem. Tam, między kominem a szybem wentylacyjnym, był fort, ich sekretna kryjówka. Rosę była trochę zaskoczona, że on jeszcze istnieje. Zbudowali go przed laty z rzeczy wyrzuconych z budowy za piekarnią Grossa — ze skrawków dykty, resztek płyt kamiennych, rolki izolacji z włókna szklanego, paru poduszek z gąbki i zasłony od prysznic w różowe słonie morskie. Jak przejęty był Brian, kiedy pokazała mu system lin i krążków, jaki obmyśliła, żeby wciągnąć wszystkie te przedmioty na dach. Oboje, korzystając z narzędzi pana McClanahana, pracowali ramie w ramie przy budowie. Brian ze śmiałą wizją fortu, a ona, ta ostrożna, z dbałością o to, by każda deska była równa, nim wbili w nią gwóźdź, a wszystkie pęknięcia uszczelnione.

Kłopot w tym, że wyrosli. Rosę uświadomiła to sobie teraz, wczółgując się do środka za Brianem i schylając głowę, by oczyścić deskę, na której wypalił chwiejnymi

literami słowa „Wzgórze Lunety” (po lekturze *Wyspy Skarbów*). Chudy dzieciak, z którym się wtedy bawiła, mierzył teraz ponad metr osiemdziesiąt kości i wężlastych mięśni. Wyciągnięty na poduszkach z gabki, oparty o jedną ścianę i z nogami podkulonymi pod drugą, wyglądał trochę śmiesznie, jak Guliwer w Kraju Liliputów.

Rosę czuła ogarniający ją dziwny spokój. Boże, ileż godzin tutaj spędzili! Pomyślała, że-właściwie nie robili niczego szczególnego. Po prostu pomieszkiwali. Głównie grali w karty — w *gin rummy*, w spita, w wojnę. Albo palili winstony, które on zdołał podwędzić ojcu. Ale przede wszystkim rozmawiali, rysując w wyobraźni drogi, jakimi mogłoby potoczyć się ich życie.

Brian miał zamiar zostać pisarzem, jak Ernest Hemingway. Kiedy miał trzynaście lat, napisał powieść. Była o polowaniu na grubego zwierza, pełna scen, w których bohaterowi udaje się uniknąć przeszycia rogiem nosorożca w jednym rozdziale, a w następnym rzucają się na niego lwy. A heroina wciąż mdlała na drodze uciekających w panice słoni. Niektóre partie śmieszyły Rosę, tak były absurdalne, ale też zachwycały.

Marzenia Rosę ani w części nie były tak wielkie i ekscytujące. Chciała tylko jednego — wynieść się, uciec, i to daleko. Snuła fantazje o ucieczce, może do Kalifornii, gdzie Nonnie nigdy by jej nie znalazła. Marzyła, by zakraść się na statek albo do pociągu, który powiozłby ją gdzie oczy poniosą.

Był tylko jeden problem. Uciekając musiałyby zostawić Briana.

— Grosik za twoje myśli — wyrwał ją z zamyślenia Brian.

Rosę westchnęła. — Dolar byłby lepszy.

— Jest aż tak źle?

Podciągnęła kolana do piersi i oparła głowę o ścianę. Przez lata deszcz i śnieg spaczyły ją i wykrzywiły. Jednak była gruba na kilka centymetrów i przywiązana do komina liną spadochronową. Rosę pomyślała, że ściana mogłaby wytrzymać huragan.

Przyjrzała się Brianowi. Ramiona założył za głowę, obejmując kark splecionymi dłońmi. W przesączającym się przez zasłonę od prysznicza zmierzchu cała jego twarz składała się z konturów i cieni. Studiowała długi, kościsty grzbiet jego nosa. Jego oczy, oto, co ją naprawdę przykuło. Były jak oczy świętych na obrazach religijnych, srebrzyście szare, lśniące światłem, które zdawało się pochodzić znikąd. Brian nie był święty - Rosę pomyślała o papierosach, które „pożyczał” od ojca, o tym, jak przywiązywał liną zderzak samochodu brata Paula do hydrantu strażackiego — ale był jedyną prawdziwie dobrą osobą, jaką znała. I jedyną, której naprawdę na niej zależało.

Odwróciła wzrok. Nie mogła znieść myśli, że te oczy mogłyby kiedykolwiek zwrócić się ku niej ze wstrętem.

— Czy myślisz kiedy o swoich rodzicach... no wiesz... że robią to z innymi, nie tylko ze sobą? — zapytała Rosę.

Brian roześmiał się. — Z siedmiorgiem dzieciaków? Nawet gdyby chcieli, kiedy znaleźliby na to czas?

— Zastanawiałam się nad... no, innymi ludźmi. Którzy robią to, nawet jeśli nie mają ze sobą ślubu. — Rosę skubnęła skrawek brudnoszarej gąbki, wyłazającej z poduszki. — Marie i Pete biorą ślub.

— No, to wspaniale!

— Ona jest w ciąży.

— O! — Milczał przez chwilę. — Czy to dlatego płakałaś?

— Nie. Cieszę się za nią. Pete jest w porządku. Ona tego chce. Ja po prostu... — W przypływie emocji opowiedziała mu o Nonnie.

Brian długo na nią patrzył. Potem powiedział w ten swój powolny, rozważny sposób: — Nawet jeśli to prawda, dlaczego ci o tym powiedziała?

— Żeby się na mnie zemścić.

— Za co? Co jej takiego zrobiłaś?

— Ona myśli, że zabiłam moich rodziców. Matka jej nie obchodzi, ale za moim ojcem naprawdę szalała.

— Jezu, przecież byłaś tylko dzieckiem.

— On był radiooperatorem na niszczycielu, był daleko. Po tym, jak moja matka... po tym, jak się urodziłam, wrócił... ale tylko na kilka dni. Zawsze myślałam, że nie został dlatego, że było mu smutno z powodu mojej matki, a my, Marie, Clare i ja, za bardzo mu ją przypominałyśmy. A potem, jak zginął... zrobiłam z niego w wyobraźni wielkiego bohatera. Z matką było tak samo. Widziałam w niej coś w rodzaju świętej, jak Joanna d'Arc. A teraz Nonnie mówi... — Gorące łyży wezbrały jej w gardle, zacierając słowa.

— Zapomnij, co powiedziała — gniewnie przerwał jej Brian. — To nieprawda. Wiesz, że nie. Zawsze szukała okazji, żeby ci dokuczyć w ten czy inny sposób.

— Ale jeśli ona ma rację? Spójrz na mnie, Bri. Nie jestem podobna do reszty rodziny. To tak... tak, jakbym spadła z nieba, czy coś w tym rodzaju. Nikt nie jest tak ciemny jak ja. Wiesz, jak nazywają mnie dziewczęta w Przenajświętszym Sercu? Ciotka Jemima. Mówią, że ktoś z moich przodków musiał być kolorowy.

Brian zeszywniał; w cieniach zmierzchu jego twarz jaśniała bielą. — Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

— Wiedziałam, że byłbyś wściekły. Tak czy owak, sama się nimi zajęłam. — Z dna jej nieszczęścia przebił się promyk satysfakcji. — Wpisałam ich nazwiska na listę zainteresowanych całodzienną wycieczką do Konwentu Św. Marii. Siostra była taka szczęśliwa, kiedy odczytała listę, a żadna z nich nie miała odwagi, żeby się wycofać. Rosę zaczęła się śmiać, ale śmiech uwiązł jej w gardle. Nagle rozpłakała się. Zanosila się rozpaczliwym łkaniem, zgięta w pół z bólu.

Brian przykucnął obok niej, obejmując ją. — Pieprzyć ich wszystkich. Nieważne, co myślą. Tylko ty jesteś ważna.

Uniosła twarz, wilgotną i obrzmiałą od łez. — Myślisz, że jestem... bękartem, jak dziecko Marie?

— Nie, ale nie dbałbym o to, gdybyś była. — Przygładził włosy Rosę, kiedy przytuliła twarz do jego koszulki. Pachniał pudrem dla dzieci, szamponem, i jego

własnym, męskim, piżmowym zapachem. — Czy to coś złego być innym? Jesteś tysiąc razy mądrzejsza od wszystkich dziewczyn, jakie znam.

— Ale nie jestem ładna. — Uświadomiła sobie, jak bojaźliwie to zabrzmiało, więc szybko dodała: — Wcale - nie dopominam się o komplementy. To prawda.

— Kto tak mówi?

Rosę poczuła mrowienie na szyi i była zadowolona, że Brian ledwie mógł ją widzieć w ciemności. — No cóż, po prostu nie jestem. W każdym razie nie dbam o to.

— Zabrzmiało to bardziej szorstko niż zamierzała.

Brian odsunął się i chwycił ją za ramiona. — Rosę, ty jesteś ładna.

— Ach, taaak? — zakpiła. — Cóż, jakoś nie widzę, żeby komuś było pilno przyjrzeć mi się dokładniej.

— Może by było, gdybyś tego tak nie utrudniała. Jesteś tak pewna, że ludzie cię nie polubią, że zadzierasz wyniosłe głowę, zanim zdążą się do ciebie odezwać. Rosę, musisz dać ludziom szansę.

— Chcesz powiedzieć, że powinnam więcej flirtować, jak Georgette?

— Nie czepiaj się jej znowu, Rosę — ostrzegł Brian.

— Czyja coś powiedziałam?

— Nie lubisz jej.

Rosę czuła się jak w diabelskim młynie na Coney Island. Chciała przestać, ale nie mogła. Nie było sposobu, żeby się mogła odczepić. W głębi duszy była wściekła na Briana, odkąd zaczął umawiać się z Georgette. Było to głupie, ale czuła, że traci najlepszego przyjaciela.

— Nigdy nie powiedziałam, że jej nie lubię — odparowała Rosę. — W każdym razie nie liczy się to, co ja myślę. Ważne jest to, że ty ją lubisz. Może nawet kochasz. Onajest z rodzaju tych, za którymi chłopcy się uganiają. Przypuszczam, że robisz to z Georgette.

— To nie twój cholerny interes! — wybuchnął Brian. Z gniewnym szarpnięciem odsunął się od niej, opadając na poduszki.

W ciszy, jaka zapadła, Rosę usłyszała bardzo szybkie bicie swego serca.

— Przykro mi, Bri — powiedziała cicho, dotykając jego ramienia.

Jednak tak naprawdę nie było jej przykro, że nie lubi Georgette. Jak można lubić kogoś, kto ma na imię Georgette, wygląda jak lalka Barbie, nosi kaszmirowe swetry i ma więcej jasnych włosów niż pies collie?

— Ty naprawdę masz z nią na pieńku, czyż nie?

— Ja tylko powiedziałam, że przypomina mi Lassie.

— Przecież Lassie jest psem.

— Tak się składa, że lubię psy.

Brian mimo woli roześmiał się. — Przyznaj się, Rosę. Nic by nie pomogło, gdyby ona wyglądała jak Grace Kelly. Nie lubisz jej dlatego, że chodzę z nią na randki. Ty i mama. Obie jesteście takie same.

— Ja i twoja matka! — Rosę, wściekła, skoczyła na równe nogi. Uderzając głową o niski dach, gwałtownie i boleśnie przypomniała sobie, że od czwartej klasy sporo urosła. Opadła w dół, rozcierając głowę. Nie bolała tak bardzo jak jej ego. Jego matka. Jezu. To ją ukłuło. Nawet jeśli on był tylko jej najlepszym przyjacielem, a nie sympatią, bolało ją, że myślał o niej tak samo, jak o swojej, dużej, miękkiej i, mimo siedmiorga dzieci, jakoś wyzutej z kobiecości matce.

— Dla twojej wiadomości, panie mądralo, ja mam duże doświadczenie. I to nie tylko w całowaniu.

— Pewnie, że masz — powiedział Brian obojętnym tonem. Widziała, jak zaciska wargi, żeby powstrzymać uśmiech.

Westchnęła pokonana. Nie było sensu kłamać. Brian zawsze potrafił ją przejrzeć. Przypomniała sobie, jak kiedyś przechwalała się, że jej ojciec był admirałem w marynarce i że storpedował całą flotę żółtków, kiedy walczył na wojnie. Szli do szkoły i Brian zatrzymał się, by podnieść poczerwiałego centa z chodnika. Przyglądał mu się uważnie. — Taaak — powiedział. — Mój papcio go znał. Mówił, że to wspaniały facet. Założę się, że wcale

nie musiał być admirałem, żeby być wspaniałym facetem. — Wetknął centa do tylnej kieszeni i kiedy odwrócił się do niej, twarz miał poważną, znacznie starszą niż twarz dwunastolatka. — Rose, gdzie słyszałaś to słowo? Żółtki!

Przestała podskakiwać przy nim, zmrożona chłodnym blaskiem w jego szarych oczach. — Od Nonnie. Ona mówi, że ludzie, którzy zabili mego tatę, byli bandą podstępnych skośnookich żółtków.

— No cóż, nie powtarzaj go więcej, dobrze? To brzydkie słowo. Jak te, które wypisują na ścianach stacji metra. Lubisz Bobby'ego Lee, prawda?

— Pewnie, że tak. Jest miły. — Ojciec Bobby'ego Lee był właścicielem Ogrodu Mandaryna przy Ocean Avenue i rodzina Lee mieszkała tam na trzecim piętrze.

— No więc, jeśli wypowiadasz to słowo, nazywasz nim również jego. Dla takich jak my też istnieją różne nazwy. Makaroniarz, Gwinea, Gogo, Mick.

Rosę zawstydziła się, że jest taka wstrętna. — Wcale tego nie chciałam.

Brian zwichrzył jej włosy. — Och, Rose, czy myślisz, że o tym nie wiem?

Rosę zrozumiała teraz, dlaczego nie znosi dziewczyny Briana. Nie z powodu czegoś w niej samej, naprawdę. Ale dlatego, że Georgette przekroczyła z Brianem jakąś linię. Nie, nie linię, a mur, który oddzielał dzieci od dorosłych. Mur Berliński seksu. Cóż, była znudzona i zmęczona tym, że jest po drugiej stronie tego muru i tylko wyobraża sobie, co robią inni. Ludzie jak Brian (prawdopodobnie) i Marie (na pewno).

— Pocałuj mnie, Bri — poprosiła w taki sposób, w jaki zaprasza się do gry w serca.

— Co? — wydawał się tak zaszokowany, jak gdyby zaproponowała mu, żeby spryskał farbą figurę Błogosławionej Dziewicy.

— Po prostu pocałunek dla wprawy — wyjaśniła. — Żebym nie zrobiła z siebie zupełnej idiotki, kiedy dojdzie do prawdziwego. Mógłbyś mi powiedzieć, co robię źle. Czyż nie po to są najlepsi przyjaciele?

— Niezupełnie. — Już nie wydawał się zaszokowany, tylko zażenowany.. — Ale, no cóż... okay. Sądzę, że to nie zaszkodzi.

— Mam siedzieć czy się położyć? — zapytała, nagle zdenerwowana. Usta miała suche jak papier ścierny. Czy Brian zauważył? A niech tam, zdecydowała, jakie to ma znaczenie, jeśli to tylko pocałunek dla wprawy?

Brian wydawał się zawstydzony. — Zostań tam, gdzie jesteś — polecił. — A jeśli kiedykolwiek facet każe ci się położyć, nie rób tego, słyszysz?

Zamknęła oczy i czekała. Nic się nie działo. Otworzyła je więc i zobaczyła Briana wpatzonego w nią ze zmarszczonymi brwiami.

— Nie tak. Całajesteś jak zesnurowana. Rozchyl usta.

— Mam powiedzieć „marmelada”?

— Nie, jeśli nie chcesz, żeby ci zrobiono zdjęcie.

— To byłoby miłe. Fotografia do mojego albumu pamiątkowego. Mój pierwszy pocałunek.

— Pocałunek dla wprawy — poprawił.

Brian przysunął się do niej blisko. Czuła na twarzy jego oddech, ciepły i niewyraźnie pachnący lukrecją. Potem jego usta zaczęły delikatnie przesuwac się po jej ustach. Rose zdawało się, że jest w windzie, która błyskawicznie zjechała trzy piętra w dół. Coś aksamitnie miękkiego dotknęło jej zębów. Koniuszek języka Briana. Rozchyliła mocniej wargi, czując zalewający ją strumień ciepła, gdy badał językiem wnętrze jej ust. Kiedy się odsunął, oboje ciężko dyszeli.

— Brian — wyszeptała, oszołomiona jak wtedy, kiedy zwędzili butelkę Galio Red Mountain i wypili tutaj całą.

— Och, Brian...

— O Boże. Przepraszam, Rose. Niechciałem. — Ujął jej twarz w dłonie. Spozrzegła, że drżały. — Nie chciałem, żeby tak to się odbyło.

— Pocałuj mnie jeszcze — nalegała. — Pocałuj mnie teraz naprawdę.

Tym razem pocałunek nie miał końca. Brian pociągnął ją na materac. Czuła się dziwnie ciężka. I wilgotna. Tam.

Jak gdyby zaczynał się jej period. O Matko Litościwa, czy Marie i Pete też tak zaczęli?

Brian jęknął, niemal jak z bólu. — Jezu, Rosę.

Jego ręka przesunęła się w górę, by objąć jej pierś. Czuła ją, gorącą i spoconą pod nakrochmaloną bawełną bluzki. Wiedziała, że to grzech. Grzechem jest, przestępstwem siostry, nawet dotykanie się w ten sposób. Ale Rosę jakoś nie wydawało się to złe, nie z Brianem. Ręka na jej piersi była tą samą ręką, która trzymała jej dłoń pierwszego dnia w szkole.

Brian całował ją wszędzie, czuła jego usta na szyi i we włosach. Jego oddech był gorący i urywany ze zdumienia. Wepchnął rękę pod jej bluzkę i niezdarnie próbował odpiąć stanik. Rosę uderzyła wówczas myśl: On nigdy przedtem tego nie robił. Nie wie jak. Ogarnięta nieznana czułością, sięgnęła lękoma i sama odpięła dla niego stanik. Brian stęknął, przywierając do niej biodrami.

Pieścił jej nagie piersi i Rosę była pewna, że stopnieje od gorąca jego rąk. Ale dręczył ją również strach. To było zbyt przyjemne. Wszystko, co było tak przyjemne, musiało być grzeszne. Wywineła się, żeby zdjąć spódnicę, a Brian zeszywniał nagle, wydając głęboki zduszony jęk.

Rosę poczuła coś mokrego na nodze. Najpierw pomyślała, że się nie wiezieć jak zmoczyła. Potem zrozumiała. To jego sperma. To coś, z czego są dzieci.

Czuła wstyd, wiedząc, że zrobili coś strasznego, nieodwracalnego. Była taka sama jak Marie. Ale potem wstyd zniknął i istniał tylko Brian. Jej najlepszy przyjaciel, jej dusza.

Długo czas Brian leżał bez ruchu, z twarzą wtuloną w jej szyję. Czuła jego oddech we włosach, puls bijący dziko w jego szyi. Chciała tak pozostać na zawsze.

Wreszcie się poruszył i podniósł głowę. Jego pociągła twarz jaśniała w ciemności. Rosę dostrzegła jego niešťczęśliwe spojrzenie i lekko przycisnęła mu palec do ust.

— Nie. Nie mów, że jest ci przykro.

Była zdumiona swoimi uczuciami, chociaż nie potrafiłaby od razu powiedzieć, co właściwie czuje. Wybu-

chły w niej z siłą gejzeru, unicestwiając nienawistne słowa Nonnie. Czuła się świeża, czysta, jak narodzona po raz drugi.

Nagle zrozumiała, jak gdyby część niej wydorosłała o dwanaście lat i spoglądała wstecz na to dziecko, jakim była jeszcze godzinę temu, na wszystko, co czuła, ale niezdolna była nadać temu nazwy.

— Kocham cię — powiedziała.

— Rose — przyciągnął ją do siebie i objął mocno. Jej włosy przytłumiły mu głos. — Coś się... stało. Właściwie nie jestem pewien co. Aleja... myślę, że chciałem tego. Myślę, że musiałem chcieć, żeby to się stało. Boże, dopomóż. Rose, myślę, że chciałem.

Te jego ostatnie słowa, „Boże, dopomóż”, utkwiły jej w myślach jak cierń. Przyszła jej do głowy straszna myśl: czy Bóg ukarze ją za to, że kocha Briana w ten sposób? Siostra Perpetua powiedziała, że cudzołóstwem jest każda nieczysta myśl czy uczynek. Rose nie czuła się nieczysta, ale wiedziała, co siostra miała na myśli. Seks. A seks był grzeszny, dopóki nie było się zamężną i nie robiło się tego po to, żeby mieć dziecko. Każdy rodzaj seksu.

Strach opanował serce Rose. Myślała o przerażających rzeczach. Nie zajdzie w ciążę, ale może ją potrafić samochód, gdy będzie przekraczać ulicę. Albo może wpaść pod pociąg metra. Albo...Wystarczy. Ciężar na sercu sprawiał jej ból. Pojęła wtedy, co byłoby najgorszą karą.

Utrata Briana.

...ale nas zbaw ode złego. Amen.

Rose dokończyła ostatni pacierz. Podnosząc głowę zauważyła, że jest ciemno, a kościół niemal pusty. Musiała już minąć pora kolacji.

Wstała sztywno i wysunęła się bokiem z ławki, krzywiąc się, gdy przyklękała. Potem umoczyła palec w wodzie święconej w westybulu, przeżegnała się i wyszła na zewnątrz.

Szła szybko chodnikiem w gasnącym świetle dnia. W górze zebrały się chmury i zaczynał padać deszcz. Grube ciepłe krople uderzały o jej twarz.

Z podbródkiem schowanym w kołnierzu Rosę spieszyła wzdłuż Coney Island Avenue. O tej wieczornej porze ulica przypominała jej zamykany na zimę deptak. Zwinione pasiaste markizy, rozciągnięte jak akordeon drzwi i ciężkie metalowe żaluzje, strzegące frontowych wejść do sklepów. Nawet sprzedawca precli opuścił swoje miejsce na rogu. Mignęły jej powiewające poły jego czarnego płaszcza, kiedy przechodził przez ulicę, popychając wózek. Mimo to aleja tętniła życiem. Trąbiące klaksony, ludzie uciekający przed deszczem. Rosę usłyszała, jak tęgi kierowca ciężarówki wrzeszczy na kierowcę plymoutha, który przywarł do niego i trąbił jak szalony, „Eeee, panie, bo rozbiję maskę pana pieprzonego samochodu na pana nosie”.

Przyspieszyła kroku. Rozrzucone śmieci — stronicze gazet, kawałki styropianu, otuliny ze słomy, puste pudełka po papierosach — fruwały w jej stronę. Czuła się bardziej samotna niż kiedykolwiek przedtem. Nie widziała Briana od tamtej nocy na dachu, przed tygodniem. Unikał jej. Dlaczego? Czy żałował tego, co się stało? Czy był zbyt zażenowany, aby spojrzeć jej w oczy?

Dręczyło ją poczucie winy. To moja wina. Zmusiłam go, żeby mnie pocałował. Przywiodłam go do grzechu, jak Ewa Adama.

Czy odebranie jej Briana to... miała być kara Boża?

O Boże, proszę, zrobię wszystko, jeśli mi go zwrócisz. Nie będę jadła mięsa przez wszystkie dni tygodnia, nie tylko w piątek. Będę pościć przez czterdzieści dni Wielkiego Postu. Poświęcę całe życie służeniu innym. Kiedy Rosę weszła do mieszkania, Nonnie oglądała *show* Lawrence'a Welka. Ledwie spojrzała znad swojej robótki na drutach.

— Spóźniłaś się — zaskrzeczała. — Zostawiłam ci kolację w piecyku. — Od dnia, kiedy Marie odeszła, Nonnie pozostawiła Rosę w spokoju. Rosę zastanawiała się, czy babka żałowała swoich strasznych słów.

— W porządku. Nie jestem głodna — powiedziała.

W maleńkiej ciemnej sypialni, którą dzieliła z Marie, drugie łóżko było puste, prześcieradła ściągnięte, zniszczona kapa z kordonka ciasno naciągnięta na materac. Czyste kółka w warstwie kurzu na serwantce znaczyły miejsca, gdzie stały flakony perfum i toniki Marie. Zniknęły również zdjęcia migawkowe z ramek. W części szafy należącej do Marie puste wieszaki zakołysały się z metalicznym tykaniem, kiedy Rosę powiesiła swój sweter.

Było tak, jak gdyby Marie umarła. Rosę wzdrygnęła się i niemal odruchowo zrobiła znak krzyża. Potem, przykucając na podłodze, odpięła i zwinęła wystrzępiony brzeg musztardowobrazowego chodnika. Pod nim tkwiła obluzowana deska. W dolnej szufladzie serwantki Rosę znalazła metalową kasetkę. Wyjęła z niej gwóźdź i podważyła nim deskę. Pod spodem było miejsce akurat na stare metalowe pudełko po plastrach. Jej schowek. Nikt o nim nie wiedział. Ani Marie, ani Brian.

Rosę otworzyła pudełko i wytrząsnęła grudkę szarej bawełny. Rozwinęła ją powoli, odsłaniając ukryty w niej błyszczący skarb. Rubinowy kolczyk, lśniący w jej dłoni jak zamrożona kropla krwi. Przywołała to wspomnienie. Siedem lat temu — czy to było aż tak dawno? Widziała je w wyobraźni tak wyraźnie, jak gdyby wszystko działo się teraz. Elegancka pani w futrze z norek. Rosę zobaczyła ją pewnego dnia, jak stała tuż za ogrodzeniem szkolnego dziedzińca. Nie wyglądała jak inne matki. Raczej jak królowa. Albo jak tajemnicza gwiazda filmowa w tym pięknym futrze z norek i kapeluszu z małą woalką, która opadała jej na oczy.

Wtedy Rosę spostrzegła, że tajemnicze oczy za woalką wpatrują się w nią. Z początku była pewna, że się myli. Nawet obejrzała się przez ramię, żeby zobaczyć, czy ktoś za nią stoi. Ale nie, ta pani patrzyła wprost na nią. Jej oczy były duże i wilgotne, jak jasnozielone marmurowe kamyki z jej kolekcji, te, które były warte dziesięć kocich oczek.

Rosę ostrożnie podeszła nieco bliżej. Smutna i zagubiona, tak wyglądała ta pani. Było to niezrozumiałe. Dlaczego miałyby być smutna i zagubiona? Ktoś tak pięknie ubrany musi być bogaty, a bogaci nigdy nie mieli zmartwień jak ci dorośli, których Rosę znała. Dzień był chłodny i ta pani zdawała się drzeć, otulając się mocniej futrem z norek. Rubinowe kolczyki migotały w jej uszach. Czego ona mogła chcieć?

Kiedy Rosę przeszła przez bramę wśród hałaśliwej, rozpychającej się ciżby swoich kolegów z klasy, kobieta zrobiła kilka szybkich kroków do przodu, wołając zduszonym głosem: „Zaczekaj”.

Zaskoczona Rosę zatrzymała się, choć pamiętała, jak Nonnie i siostry powtarzały jej nie raz, a co najmniej pięćdziesiąt razy, żeby nigdy, przenigdy nie rozmawiała z nieznanymi. Ale jakoś nie mogła uciec. Jej ciężkie buty jak gdyby wrosły w chodnik. Ramiona i nogi zastygły w miejscu.

Rosę czekała, zahipnotyzowana przez tę piękną wyleknioną twarz o delikatnych kościach, widocznych pod bladokremową skórą. Miękkie włosy koloru jesiennych liści powiewały nad futrzanym kołnierzem. Przypominała płatek śniegu, który mógł się roztopić pod dotknięciem. Łzy wisały jej na rzęsach i usta drżały. Wydawało się, że za chwilę przemówi, ale nagle wycofała się, jak gdyby zmieniła zdanie. Zamiast tego sięgnęła dłonią w rękawiczce — Rosę przypomniała sobie, jak drżała ta ręka — i odczepiła rubin od swego prawego ucha.

Gdy Rosę stała, zbyt wstrząśnięta, żeby protestować, ta pani wcisnęła mały lodowato zimny kolczyk w jej dłoń. Potem pobiegła, stukając wysokimi obcasami o zamrznięty chodnik, zanurzyła się we wnętrzu lśniącej limuzyny, która czekała przy krawężniku, i zniknęła jak w obłoku dymu.

Rosę była pewna, że ta pani jest jej Aniołem Stróżem. Każdy ma Anioła Stróża, mówiła siostra Perpetua. Rosę nie wierzyła, że ona także... aż do tego dnia.

Teraz na dowód miała kolczyk.

Podniosła go do światła - rubin w kształcie łyzy, zwisający ze złotego i brylantowego zapięcia. Nawet w mrocznym pokoju jaśniał własnym światłem. Rosę westchnęła z podziwu, chociaż oglądała go ze sto razy. Tak, to czary. Czary niebiańskie.

Potrzebowała teraz czarów bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie opuszczaj mnie, Bri — szepnęła, mocno ścisnąc rubin w dłoni, z większą pasją w sercu niżby jej miała po odmówieniu tysiąca różańców. — Proszę, nie opuszczaj mnie nigdy.

ROZDZIAŁ 2

New York City, 1963

Rachel zmarszczyła się nad talerzem z jajkiem sadzonym, pomiędzy dwiema zgrabnymi trójkątnymi grzankami. Okrągłe jak stokrotka, bez najmniejszego bąbelka. Wiedziała, że Bridget smażyłaje w foremkach do ciastek, żeby brzegi były równe. Żeby jajko było równie doskonałe jak wszystko w tym domu. Widelec w jej rękę, z maminych sreber od Cartiera, był wyczyszczony do lustrzanego połysku. W przelocie uchwyciła w nim własne wykrzywione odbicie — okrągłe niebieskie oczy, burza jasnobrązowych włosów.

— Nie idę — powiedziała Rachel, spokojnie odpowiadając na pytanie matki.

Jakże by mogła? Po ostatniej nocy z Gilem? Wystroić się, flirtować, udawać, że wszystko jest w porządku. To byłoby dopiero żart.

Wróciły jej na pamięć kłujące słowa Gila. „Dlaczego nie przyznasz tego wprost, Rachel? Nie jesteś taka cholernie moralna. To nie dlatego nie chcesz pozwolić

sobie ze mną na wszystko. To dlatego, że ty właściwie nie lubisz seksu. Jesteś zimna. A może masz ochotę na dziewczynę..."

Rachel mocno wbiła zęby widelca w żółtko, patrząc, jak się rozpryskuje i cieknie po pięknym talerzu Blue Willow, zaciemniając płaczącą wierzbę i trzy maleńkie figurki, przechodzące przez most. Była wściekła na Gila — ze wszystkich pompatycznych osłów w Haverford on był największym! — ale w głębi świerbiła ją myśl: Boże, a jeśli to prawda?

Przyznaj to, powiedziała do siebie, to nie tylko Gil pozostawia cię zimną. Jak dotąd, każdemu facetowi zawsze czegoś brakowało. Ma dwadzieścia lat i wciąż jest dziewicą. Nie dlatego, jak zauważył Gil, że była taka moralna. Gorzej. Prawda jest taka, że do tej pory nie miała na to ochoty.

Rachel patrzyła na rozlane żółtko jajka, czując lekkie nudności. Ale wiedziała, że nie miały związku ani z papką na jej talerzu, ani z piwem, jakie wypić zeszłej nocy.

Wszystko sprowadza się do seksu, pomyślała. Wszystko. Moda. Perfumy. Okładki magazynów. Nawet telewizyjne reklamy pasty do zębów. Wydaje się, że wszyscy na całym świecie albo myślą o tym, albo mówią, albo robią to.

A więc co jest ze mną nie w porządku? Czy z tym jest jak z nauką pływania? Albo jesteś w tym dobra, albo toniesz jak kamień?

A może taka się urodziła? Na pozór normalna. Nawet ładna. Rachel przypomniała sobie, jak kiedyś, kiedy była dzieckiem, cioteczna babka Willie w norkach dusiła ją w futrzanym, perfumowanym uścisku, a potem uszczypnęła ją w policzki dłońmi w rękawiczkach, szczebiocąc: „Zupełnie jak laleczka! Taka filigranowa! I te niebieskie oczy! Sylvie, ona musiała je odziedziczyć po Geraldzie! Ale po kim ma tę ładną buzię laleczki? Nie po tobie i po twojej mamie. Ciekawe, po kim?"

— Po *Dziewczynie z konewką* — poważnie odpowiedziała Rachel.

W każdym razie mama zawsze mówiła, że Rachel przypomina jej obraz Renoira. Pokazała jej w książce ten obraz, przedstawiający małą dziewczynkę o falistych rudozłotych włosach, jasnych oczach jak porcelana Wedgwooda, w sukience pod kolor oczu, która stojąc w sztywnej pozie w ogrodzie trzymała konewkę.

Rachel nienawidziła tego obrazu i kiedyś, w przypływie złego humoru, porysowała go ołówkiem. Dlaczego ludzie zawsze mówili jej, że jest filigranowa, ładniutka i bezcenna? Miała ogromną ochotę biegać po odbijających echo pokojach ich wielkiego domu, a nie spacerować spokojnie, do czego zawsze zachęcała ją mama, chciała krzyknąć z całych sił i jeździć wózkami po wzorzystych dywanach. Nie chciała być jak jakaś lalka czy dziewczynka trzymająca głupią konewkę, ale jak ptak lub dzikie stworzenie, robić, co jej się podobało, nie dbając, co ludzie o niej pomyślą.

Teraz zastanawiała się, czy przez cały ten czas nie martwiły jej rzeczy pozbawione znaczenia — jak to, że chciała być wysoka i sroga jak Amazonki, o których czytała — gdy tymczasem działo się coś złego wewnątrz niej. Jakaś okropna, nie wykryta deformacja. Brak hormonów lub sparaliżowany popęd seksualny. Albo może, Boże broń, tam jest z nią coś nie w porządku.

— Rachel, co w ciebie wstało? — głos mamy wdarł się w jej myśli.

Rachel podniosła wzrok. Zobaczyła, że tata był zaabsorbowany swoją gazetą, ale mama spoglądała na nią z tym smutnym, lekko zakłopotanym wyrazem twarzy, jaki zawsze zdawała się mieć, kiedy w czymś się nie zgadzały. Czy mogła powiedzieć mamie? Mamie, która otaczała się tylko pięknymi rzeczami, muzyką kameralną na stereo, jedwabnymi szalami i haftowanymi chusteczkami do nosa, swoimi cennymi różami. Sama wyglądała jak kwiat, smukła i elegancka, z tymi szeroko otwartymi oczami koloru leśnej zieleni i jasnymi, niemal platynowymi włosami. Ósma trzydzieści rano, a ona już ma szminkę na ustach i suknię domową w stokrotki od Lilly

Pulitzer, żeby pożegnać tatę przed jego wyjściem do banku. Pewnie byłaby strasznie zaszokowana. Nigdy nie rozmawiała o seksie, przynajmniej nie ze mną. Ciekawe, czy kiedykolwiek czuła pożądanie dla taty... czy kogokolwiek.

— Po prostu nie czuję się na siłach, to wszystko — powiedziała Rachel. — Ten egzamin z rachunku różniczkowego i całkowego wykończył mnie. Przez cały ostatni tydzień spałam około dwudziestu minut. — Westchnęła i umoczyła róg trójkątnej grzanki w rozmazanym jajku. — Kiedy chodziłam do szkoły średniej, myślałam, że przede wszystkim będę krajać baranie oczy i krowie serca, a nie liczby całkowite.

Zobaczyła, że matka się krzywi. Najwidoczniej Sylvie wciąż nie pogodziła się z myślą, że jej córka zostanie lekarzem. Rachel uczuła błysk irytacji.

Do cholery, nie będę jak ona. Jak para jedwabnych pończoch, pięknych, ale nietrwałych. Zbożne uczynki, ale bez brudzenia sobie rąk.

Wtedy uderzyła Rachel nowa, niepokojąca myśl. A może jestem bardziej do niej podobna niż zdaję sobie z tego sprawę. Jeśli seks nie bardzo mamę obchodzi — a ja chyba nie potrafiłabym wyobrazić sobie, że ona robi to z tatą, tak jak Sophia Loren z Marcello Mastroiannim w *Rozwodzie po włosku* — to co wtedy, jeśli taką rzecz można dziedziczyć jak kolor oczu czy włosów?

— Przyjęcie odbędzie się dopiero za dwa tygodnie — łagodnie przypomniała jej Sylvie. Nalewając ze srebrnego naczynia mleko do kawy, jej matka uśmiechnęła się słabo i zaczęła mieszać kawę powoli, z wdziękiem. Łyżeczka cicho dzwoniła o filiżankę z Limoges. — Właśnie się zastanawiałam. Przypominałam sobie, kiedy Mason uczył cię pływać — musiałaś mieć cztery czy pięć lat. Tej pierwszej zimy, kiedy tata kupił dom w Palm Beach.

Czy to się zgadza, Gerald?

Tata spojrzął znad „Wall Street Journal”. — Mmmm? Och, tak, tak. Ty i ten mały chłopiec wiecznie byliście

czymś zajęci. Najczęściej niczym dobrym. — Pochwycił wzrok Rachel, mrugnął do niej, a ona przez chwilę czuła niewidzialną nić, łączącą tylko ich oboje.

A potem pomyślała z bolesnym skurczem serca: Tak staro wygląda. Wiek wytarł go do gładkości, jak antyczny srebrny serwis do herbaty mamy. Zobaczyła pokryty piegami czubek jego głowy pod srebrnymi włosami, cienkimi jak pajęczyna, plamy rdzy na jego twarzy i niemal uczuła ból na myśl, jak bliska była utraty go.

Przypomniała sobie, jak ją podnosił, huśtając wysoko, wysoko nad głową. A ona, zawieszona w górze, patrząc w jego roziskrzona oczy, widząc jego miłość do niej, doskonałą i czystą, czuła... och, błogość.

Myślała o dniach, kiedy siadywała na jego kolanach w mrocznym, pachnącym skórą chłodziem jego gabinetu, słuchając muzyki. Ileż uciechy, gdyż każda płyta zawierała historię, a tata opowiadał ją, wcielając się we wszystkie postacie. Niektóre były takie zabawne, a niektóre takie smutne. Zanim skończyła osiem lat, znała każde libretto na pamięć. Wtedy zabrał ją do Metropolitan Opera, którą uznała za najpiękniejsze miejsce na świecie. Tylko ich dwoje, żeby obejrzeć jej ulubione *Wesele Figara*. Niech to diabli, teraz wydawał się nie tyle szczuplejszy, ile węższy, poruszał się ostrożnie, oczy miał płonące, jak gdyby trawił go jakiś wewnętrzny ogień.

Przypomniała sobie z bólem ten straszny dzień przed trzema laty, kiedy powiedziano jej przez telefon, że tatę zabrano na oddział intensywnej opieki medycznej do New York Hospital. Pędem przybiegła ze szkoły i, zbyt niespokojna, aby czekać na windę, pomknęła schodami w górę. W końcu dotarła do jego pokoju, z rozwierzonymi włosami i zdyszana. Patrząc na niego, szarego, skurzonego pod plastikowym namiotem tlenowym, jak mumia wystawiona na pokaz, na wychodzące z niego rurki i przewody, czuła rozpacz i gniew. Dlaczego nie mogli czegoś zrobić, wyleczyć go? Ona, szesnastoletnia, ledwie ponad półtora metra wzrostu w pończochach,

miała ochotę wrzeszczeć na sanitariuszy, pielęgniarki, lekarzy, którzy nic nie robili, tylko rozmawiali ze sobą i bazgrali notatki na kartach. Dlaczego nie byli przy nim, nie krzżeli się gorączkowo, żeby poczuł się lepiej? Rachel tak bardzo chciała go uzdrowić. Zawsze będzie pamiętać ten dzień, nawet minutę, kiedy dotykając zimnej metalowej ramy łóżka, z czołem opartym na sztywnym prześcieradle, obiecywała sobie i Bogu, że jeśli tata wyzdrowieje, ona zostanie lekarzem, żeby nigdy nie musiała się czuć taka głupia i bezradna, i zależna od ludzi, którzy nic nie robili.

Rachel odepchnęła to wspomnienie. Mason. Mówili o Masonie Goldzie, nieprawdaż? — Pamiętam, że prawie mnie utopił — powiedziała ze śmiechem. — Nazwał mnie głupią mamusią córeczką, a ja byłam taka wściekła, że skoczyłam do głębokiej wody i poszłam na dno jak kamień.

Syħde podniosła wzrok. Jej głęboko zielone oczy rozszerzyły się zaniepokojone. — Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

Nie tylko o tym, mamó, pomyślała Rachel. Wzruszyła ramionami. — Czy pozwoliłabyś mi kiedy zbliżyć się znowu do tego basenu, gdybym ci powiedziała?

W milczącym porozumieniu Gerald i Syħwie wymienili spojrzenia. Do Rachel doszły domowe hałasy, podnoszące na duchu swoją zwyczajnością. Brzęczenie naczyń, które Bridget zmywała w kuchni, ciche pomrukiwanie drapiącej się pod stołem Portii, bicie zegara na kominku. Pomyślała: Boże, myślą o tym, co by to było, gdybym utonęła, gdyby mnie stracili.

Poczuła się przytłoczona, jak pod wielkim wyładowanym plecakiem. Za dużo mieli miłosci do niej, swojego jedynego dziecka.

Jak bardzo tęskniła za siostrzyczką lub braciszkiem. Ale chociaż mama przez długi czas trzymała w pokoju dziecinnym kołyskę, żadne dzieci się nie pojawiły. Zamiast nich Rachel miała za towarzystwo do zabawy niezliczone lalki — ofiarowywane jej z wielką pompą na

każde urodziny i Chanukę w błyszczących pudełkach, przewiązanych dużymi atłasowymi wstążkami — lalkę Muffie, lalkę w stroju panny młodej, Betsy Wetsy i Barbie. Ale traciła zainteresowanie nimi, kiedy uświadamiała sobie, że najżywsza wyobraźnia nie zmieni ich w prawdziwą siostrzyczkę, którą mogłaby obejmować i kochać, i która także by ją kochała.

Rachel patrzyła, jak jej matka ciągle miesza stygnącą kawę — palce Sylvie były prawie tak samo przezroczyste jak porcelanowa filiżanka. Przeniosła spojrzenie na ciemny kredens Sheratona, ozdobiony kandelabrem i srebrnymi naczyniami stołowymi. A na drugiej ścianie, w szafce na porcelanę mamy, za rżniętymi szybami migotały kryształki Baccarat. Śliczne...Wszystko to było tak bardzo częścią Sylvie, jak gdyby miejsce spojenia jej z tym domem stało się z czasem niewidoczne. Ona i dom istniały harmonijnie i nierozłącznie.

Jednak co takiego było w mamie, co czasem w dziwny sposób kazało jej zamykać się w sobie? Rachel zawsze to czuła, ten łagodny smutek, jak cień padający między nimi. Kiedy mama ją ścisnęła, to zawsze za mocno, niemal wypierając z niej dech. Jak gdyby obawiała się, że Rachel jej się wymknie.

W dni urodzin, zwłaszcza kiedy mama nie wiedziała, że Rachel ją obserwuje, miała uśmiech, który nigdy nie docierał do jej oczu. Rachel zdmuchiwała świece, powtarzając rok po roku to samo życzenie: Proszę, żeby moja matka była szczęśliwa.

Dlaczego, na miłość boską, nie miałyby być szczęśliwa? Czego jeszcze mogłaby pragnąć?

Rachel jako dziecko zadawała sobie dręczące pytanie, czy jeszcze jedno dziecko uszczęśliwiłoby jej matkę. A może to była jej wina? Gdyby była inna, bardziej posłuszna i grzeczna, jak ta poważna dziewczynka z kowenką? Czy wtedy mama byłaby szczęśliwa?

— Jedz śniadanie, moja droga — upomniała ją łagodnie SyMe.

— Nie jestem bardzo głodna.

Twarz Sylvie ściągnęła się. — Czy dobrze się czujesz? Zaczyna się.

— Czuję się świetnie, mamó. Tylko że wróciłam dopiero przed drugą, a kiedy wreszcie położyłam się do łóżka, Portia chciała wczłogać się ze mną. Myślę, że za mną tęskniła. — Zerknęła pod stół na tłustego półkrwi labradora, chrapiącego z zadowolenia u jej stóp. Lekko połaskotała Portię stopą, czując przyływ miłości dla tego kundla, którego uratowała, gdy był szczeniakiem. Potem, znów zwracając oczy na Sylvie, Rachel zauważyła, że jej matka patrzy na nią z niepokojem. — Naprawdę, mamó. Jestem zdrowa jak koń.

Boże, czy ona nie przestanie? Przez całe życie trzęsa się nad moimi startymi kolanami czy zadrapanymi łokciami. Ktoś mógłby pomyśleć, że to epilepsja czy rak. Ja wracałam do domu posiniaczona od wspinania się na drzewa czy po upadku z roweru, ale to ona płakała.

Rachel nasunęło się wspomnienie dnia, kiedy przed Bożym Narodzeniem zgubiła się przed domem towarowym Saksa. Musiała mieć pięć lat i zaledwie tyle sił, żeby pchnąć drzwi obrotowe. Mama oglądała coś przy frontowym kontuarze, gdy Rachel usłyszała dzwoneczki na ulicy, dzwoneczki Świętego Mikołaja. Tylko zerknę, pomyślała. Wybiegnie na zewnątrz na minutę i wróci, zanim mama zauważy. Tylko że było zbyt wiele ludzi. Zmiotli ją i unieśli ze sobą jak liść w rwącym potoku. Nie mogła się uwolnić aż dopiero przy następnej przecznicy. I wtedy zaczął padać śnieg. Grube płatki jak bawełniane kulki wirowały, utrudniając widzenie. Kiedy weszła do środka, jej buty były przemoczone do skarpetek i nigdzie nie było widać mamy.

Rachel nigdy nie zapomniała tej chwili, tej strasznej, obezwładniającej paniki. Nawet w tym wieku nie bała się o siebie, tylko o mamę. Wiedziała, jaka mama będzie wystraszona, że ona zniknęła. Rachel pędziła między kupującymi, powstrzymując łzy i szukając matki w każdym przejściu.

Po sprawdzeniu wszystkich kontuarów znów wyszła na zewnątrz. Może mama tam jej szukała. Chwilę stała obok Świętego Mikołaja, patrząc, jak potrząsa swoim dzwoneczkiem i jak ludzie wrzucają pieniądze do jego puszek, a potem miły policjant zapytał, czy się zgubiła. Kiedy powiedziała mu, że tak, czekał razem z nią, a potem nadjechał biało-zielony samochód i inny policjant odwiózł ją do domu.

Twarz Sylvie, kiedy weszli przez drzwi frontowe, na zawsze wryła się w pamięć Rachel. Skóra biała jak pergamin, zaczerwienione oczy. A jak drżała, biorąc ją w objęcia, ściskając tak mocno, że Rachel ledwie mogła oddychać. I cały czas mama łąkała, dotykając jej włosów, ramion, jak gdyby chciała się upewnić, że ona jest naprawdę.

— Już dobrze, mamo — Rachel starała się ją pocieszyć, sama popłakując, chowając twarz w słodkiej jedwabistości włosów matki. — Nie płacz. Proszę. Widzisz, ja się nie zgubiłam. Nie naprawdę. I sama znalazłam drogę do domu. No, policjant mi pomógł, ale ja znałam drogę. Mamo? Mamo?

Kiedy pierwszy raz przekonała się, że matki innych dziewcząt nie były takie, jak jej matka? Dziwne, że ubierały się tak jak mama, nosiły takie same fryzury, robiły zakupy w tych samych sklepach, ale większość z nich nawet w połowie nie była tak szykowna.

Przede wszystkim mama była bardziej zabawna. Dzięki niej wszystko, co robiły razem, wydawało się szczególne, ważne. Inne matki zabierały swoje córki do parku, na przedstawienia kukiełkowe. Mama zabierała ją do muzeum, do tajemniczych grobowców z pozłacanymi sarkofagami ze starożytnego Egiptu, do sal pełnych cudownych obrazów, dzieł sztuki prymitywnej i rzemiosła artystycznego. Pokazała jej całą japońską wioskę, wyrzeźbioną w kości słoniowej, malowidła z pulchnymi nagimi kobietami i cherubinami w perukach, wymyślne torebki z paciorkami, szyte przez Eskimosów. A mama, trzymając ją za rękę, objaśniała

każdy przedmiot, to dzięki niej wszystkie wydawały się cudowne.

Jednak w jakiejś mierze matki jej przyjaciółek były bardziej niefrasobliwe. Przykładały plastry na starte kolana swoich dzieciaków tak samo, jak smarowałyby grzanek masłem. Czasami wrzeszczały i irytowały się. Ale nie załamywały się, jeśli spóźniłaś się o piętnaście minut ze szkoły.

To dziwne, ale w czasie prawdziwego kryzysu mama trzymała się dzielnie. Rachel pamiętała, że kiedy tata miał zawał serca i mama znalazła ją szlochającą przy jego łóżku szpitalnym, stanowczo ujęła ją za ramię i wyprowadziła na korytarz. Rachel była zdumiona, widząc zielone oczy mamy błyszczące nie od łez, ale z gniewu.

— Nie pozwolę na to! — Sylvie przemówiła do niej ostro po raz pierwszy w życiu. — Nie pozwolę, żebyś zachowywała się tak, jak gdyby umierał. Polepszy mu się. Wyzdrowieje. I na litość boską, zanim tam wrócisz, idź do łazienki i obmyj sobie twarz zimną wodą. Nie pozwolę, żeby tata obudził się i myślał, że odprawiamy za niego sziwę.* Tak, mama była pod wieloma względami tajemnicą. Rachel przeczytała gdzieś, że jedwabne nici, splecione na taką samą grubość jak stalowa lina, byłyby od niej mocniejsze. Mama była taka, silniejsza niż ktokolwiek przypuszczał... Może nawet ona sama.

- Czy to dla ciebie takie ważne, żebym poszła na to przyjęcie? - zapytała Rachel, patrząc, jak mama podnosi filiżankę do ust. Bardzo chciała, nawet teraz, zadowolić ją, sprawić, żeby zniknął ten łagodny smutek w jej oczach.

Sylvie delikatnie odstawiła filiżankę. - Och, Rachel, przecież to nie dla mnie. Chcę tego dla ciebie. Czy tego nie rozumiesz? Kiedy ja dorastałam... - Jej spojrzenie stało się nieobecne, ale szybko wzięła się garść. - W każdym razie, nie było tak źle. Tylko... samotnie. Tak, dziewczyna w twoim wieku powinna bywać, mieć młodych mężczyzn, którzy zachodziliby po nią.

* sziwa — w rodzinach żydowskich siedmiodniowa żałoba po śmierci najbliższego członka rodziny.

Rachel roześmiała się. - Młodzi mężczyźni już nie zachodzą po dziewczyny, mamó. - Wchodzą w nie.

Pomyślała o Gilu i ogarnął ją chłód. Zobaczyła, że na zewnątrz pada deszcz, a ciężkie krople dzwonią o szyby. Za kilka dni wypada Święto Dziękczynienia, potem Chanuka. Kupiła Gilowi wspaniały szalik z kaszmiru, w delikatnym odcieniu wrzosu.

Czy jestem w nim zakochana? Ale nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek topniała w środku, tak jak się powinno. Nie, nawet na początku. Tak, była nim oczarowana, tym, jak się śmiał z jej głupich kalamburów, by odpowiedzieć lepszymi, własnego pomysłu. Jego niedbałym sposobem ubierania się - skórzana kurtka lotnicza i argylowe skarpetki albo marynarka od Brooks Brothers do poplamionych farbą džinsów i zdartych mokasynów. Dowcipnymi komiksami, jakie rysował w jej zeszytach, kiedy uczyli się razem. Ale był tak superzorganizowany, tak... cholernie pompatyczny. Student wstępnego roku medycyny w Haverford, a już wybrał sobie specjalizację, torakochirurgię.

Rachel czuła, jak narasta w niej gniew na niego, a potem na siebie. Ejże, to nie jego wina, że jesteś oziębła.

Wróciła myślami do letniego domu w Deal, do tego lata, kiedy skończyła szesnaście lat i zaczęła chodzić na randki. Podobało jej się, kiedy Buck Walker ją pocałował, wzbudziło w niej to miłe uczucie ciepła. A czasami podobało jej się nawet, kiedy on, a potem Arnie Shapiro, posuwali się dalej. A potem, w jakimś niemożliwym do przewidzenia punkcie, wszystko po prostu... ustawało. Ustawały miłe doznania, przyjemne podniecenie. Czuła rękę na swojej piersi albo między nogami, ale wrażenie było nijakie, nie bardziej podniecające niż nacieranie ręcznikiem czy mydłem. Po trochu zaczynała się cofać. Z początku nie fizycznie, a mentalnie. Jak gdyby opuściła swoje ciało i unosiła się w górze, jak widmowy komentator sportowy. Komentator sceny uwodzenia. „Kochani, atmosfera robi

się naprawdę gorąca. Wystartował, biegnie... - a niech go, patrzcie, jak biegnie - zbliża się do linii mety. Rozpiął ten stanik i męczy się z suwakiem. Ciężko oddycha, kochani, jest ugotowany. Ale, czekajcie, coś jest nie w porządku. Ona się cofa, odpycha jego rękę... ona - pokażmy to w zbliżeniu, jeśli można - powstrzymała go tuż przed linią mety. Ciężka sprawa..."

Słyszała od chłopców i od swoich przyjaciółek, że wiele dziewcząt płacze w ostatniej chwili. Błaga o laskę ze względu na religię, moralność, miesiączkę, chęć zachowania tego dla męża, albo po prostu ze strachu. Więc dlaczego ona chichocze?

Co i raz przysięgała sobie, że więcej nie będzie, ale mimo to zaczynała chichotać i nie mogła przestać. Odkryła, iż żaden chłopiec nie mógł stanąć na wysokości zadania, słysząc śmiech.

Pomyślała o ostatniej nocy, kiedy Gil odwoził ją do domu z Bryn Mawr. Zjechał z rogatki i zanim mogła się zorientować, gdzie są, zaparkował przy przystani wioślarskiej na jeziorze Carnegie w Princeton. Panował półmrok, niebo było fiołkoworóżowe, woda ciemna i spokojna. Było zbyt chłodno, żeby długo siedzieć na zewnątrz, ale Gil nalegał. Jak zawsze dobrze przygotowany, przyszedł z sześcioma puszkami lówenbrau, dużą torbą chipsów ziemniaczanych i starym pikowanym materacem w kratę.

Rachel mgliście pamiętała rozpinanie ubrania, uczucie skrępowania i chęć na siusiu, bardziej niż na cokolwiek innego. Suwak Gila zaciał się, a on zrobił się czerwony na twarzy i zaczął kłąć. Nagle wszystko wydało się jej nie do wytrzymania śmieszne - niemrawe zaloty w przenikliwym zimnie i Gil, przeklinający z bólu, wywołanego uwięzioną erekcją.

Chichot wybuchnął w niej jak piana, pojawiająca się na powierzchni puszki piwa. Ocierając oczy, osłabiona i zawstydzona, kiedy w końcu zdołała go zdusić, powiedziała Gilowi: - Przepraszam. Nie wiem, co mnie naszło.

Gil, już nie szarpiący suwaka, z dolną wargą wysuniętą w dąsie, przeistoczył się z młodego Gregory Pecka, który

ją kiedyś pociągał, w rozdrażnionego małego chłopca, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

- Och, myślę, że wiesz. Myślę, że bardzo dobrze wiesz - powiedział obrażonym tonem. - To nie pierwszy raz, jak oboje wiemy. I co chciałbym wiedzieć, co naprawdę chciałbym wiedzieć, to, co jest we mnie takiego cholernie zabawnego.

Wyglądał tak komicznie, z wykrzywioną twarzą i włosami pełnymi rzepów, a woda w jeziorze pluskała w ciemności o brzeg, co sprawiało, że bardziej niż kiedykolwiek chciało jej się siusiu. Znowu poczuła, że wzbiera w niej chichot.

- To nie twoja wina, Gil - sapnęła - a moja. Zachowuję się tak, kiedy jestem zdenerwowana. Wiesz, jak ludzie, którzy śmieją się na pogrzebach. Cała zasupłuję się w sobie, a potem to... to po prostu jakoś wybucha. - Pogrzeb? O Boże, pomyślała, co za porównanie.

Ale wyraz jego ust złagodniał, gniew ochłódł trochę. - Cholera, Rachel. Ty myślisz, że co to było? Turlanie się w sianie? Drapanie się w swędzące miejsce? Czemu się tak denerwujesz? Kocham cię, do cholery.

Wtedy chichot, żyjący własnym demonicznym życiem, zaczął podchodzić jej do gardła. Przygryzła język, żeby go powstrzymać. Ale jego wyznanie ukazało jej, Bogu niech będą dzięki, drogę wyjścia, tak wyraźną, jak znak „wyjście”, świecący w ciemności.

- Bardzo mi przykro, Gil - zdołała powiedzieć, choć bolał ją przygryziony język i oczy zaszyły jej łzami. - Lubię cię. Bardzo cię lubię. Ale chyba cię nie kocham. Nie dosyć, żeby pozwolić sobie na wszystko.

Tak, słusznie, a potem, za miesiąc albo za rok, jak tylko się zakocha, będzie inaczej. Wtedy będzie czuła to wszystko, co powinna czuć.

Gil zaśmiał się gorzko, zapinając suwak. - Miłość? Sądzisz, że to cię powstrzymuje? Jezu, jesteś bardziej pokrecona niż myślałem. Prawda jest taka, że ty nawet nie lubisz seksu. Chyba, że masz ochotę na kobietę. - Zaczął gwałtownie zwijać materac, ale

przestał, mierząc ją nieszczęśliwym wzrokiem. - Czegokolwiek szukasz, mam nadzieję, że to znajdziesz. Mam szczerą nadzieję, że tak. Tylko od tej chwili daj mi z tym wszystkim spokój.

Rachel skrzywiła się na to wspomnienie. Pomyślała o późnych godzinach nocnych, kiedy, już nareszcie w domu, leżała w łóżku, cierpiąc na wspomnienie słów Gila. Rozpaczliwie chciała sobie udowodnić, że nie jest oziębła, więc próbowała się nawet masturbować. Uderzyła ją jednak myśl, że sięganie pod koszulę i pocieranie się tam jest jeszcze śmieszniej niż rzeczy, które robiła z chłopcami, jak obijanie się o siebie w ciemności, której nie rozświetlała nawet latarka. Czy chociaż wiedziałyby, że ma orgazm, gdyby go przeżyła?

Wreszcie zrezygnowała i rozpłakała się. Skończy jako ciekawostka medyczna. Poświęcą jej akapit czy dwa w monografii jakiegoś seksuologa. Stuknięta. Nie miała nikogo, kto by ją kochał. Nikogo, komu mogłaby odwzajemnić miłość.

Brzęk naczyń przywrócił ją rzeczywistości. Podniosła wzrok i zobaczyła szerokie plecy Bridget, która zniknęła w kuchni ze stosem naczyń.

- W każdym razie nie jestem samotna - lekkim tonem kłamała matce prosto w oczy. - Mam ciebie i tatę, i Portię.

Tata znów zerknął znad gazety. - Cóż, szczęśliwy jestem widząc, że twoja matka i ja liczymy się na równi z twoim psem. Tylko życzę sobie stanowczo, żebyś nie karmiła go przy stole.

Rachel pospiesznie wyciągnęła rękę spod stołu, gdzie Portia chciwie zlizywała okruchy grzanek z jej palców. - Dosyć, ty żebraczko - zbeształa parszywego labradora u swoich stóp i zabrała mu resztki swojej grzanki.

Usłyszała, jak tata mruczy w gazetę: - Dlaczego, do diabła, Kennedy zamierza robić sobie kampanię reklamową akurat w Teksasie? Kto go tam potrzebuje? Powinien się zająć naprawą płotu na swoim własnym

podwórku. Nie podoba mi się, że w Indochinach robi się gorąco. Wszystko to pachnie Koreą.

- Gerald - czule skarciła go Sylvie - Czy musimy rozmawiać akurat o wojnie? - Zwróciła się do Rachel z rozjaśnioną twarzą. - Pomyślałam, że dziś po południu albo jutro mogłybyśmy pójść po zakupy - zaczęła ostrożnie. - Po sukienkę. Nową sukienkę na przyjęcie. Cassini prezentuje cudowną nową kolekcję u Bendla. Poczekaj, a zobaczysz.

Rachel zrobiło się słabo. Co najmniej trzydzieści sukienek wisiało w jej szafie na górze, wiele z nich z metkami nadal dyndającymi u rękawa, a mamajeszcze chciała zabrać ją na zakupy.

Jak pięknie byłoby, gdyby jedynym ubraniem w jej garderobie było to, które miała na sobie - workowaty rybacki sweter, wytarte dżinsy i stare sportowe buty. W nim czuła się bezpieczna, czuła się sobą. Wyobraziła sobie sukienkę, jaką wybrałaby mama. Z miękkiego jedwabiu lub szyfonu, jasną jak jutrzienka, z sutymi rękawami i spódniczką tańczącą wokół kolan. Skończyłoby się na tym, że poszłaby na przyjęcie do Masona jak pięknie opakowane pudełko na prezenty, puste w środku. Nieszczęśliwa w duszy, uśmiechnęła się mimo to, nie chcąc gasić ożywienia mamy, a ucześcić się go, nawet jeśli oznaczało to udawanie przez chwilę, że jest mamina dziewczynką z konewką.

- Jutro - obiecała. - Pójdziemy jutro. To pierwsza rzecz, jaką zrobimy.

Dwa dni później Sylvie siedziała w fotelu na biegunach naprzeciw telewizora w bibliotece. Obrazy na ekranie zamazywały się, gdy jej oczy napełniały się łzami.

W przerwach między głosami komentatorów, kondolencjami głów państw całego świata, fragmentami kroniki filmowej, pokazującymi go jako młodego kongresmana, przypominającymi jego ślub z Jackie, bez końca powtarzali ten sam koszmar: kawalkada

motocyklistów, uśmiechnięty prezydent w odkrytej limuzynie i Jackie, jak zawsze szykowna w maleńkim kapelusiku, machająca do tłumów. Potem wszystko staje się oszalałe. Kennedy nagle upada do przodu, czarna plama, krew z tyłu jego głowy. Jackie kołysze go, potem wczołguje się na tył samochodu, agent służb specjalnych przytrzymuje ją. Limuzyna odjeżdża w pędzie.

Sylda podniosła się sztywno i zgasła telewizor. Bolały ją oczy. Już prawie północ, a czuwały przy telewizorze od wczesnego popołudnia, ona i Rachel, zbyt osłupiałe, żeby robić coś innego. A potem Gerald zamknął bank i przyłączył się do nich. Powiedział, że wszystko zamykano.

Ona i Rachel przymierzały sukienki u Bonwita, kiedy o tym usłyszały. Rachel zgodziła się pójść na przyjęcie do Masona Golda, ale jak zawsze nie sposób było jej zadowolić, każda sukienka była zbyt strojna lub zbyt frywolna.

Sylvie nagle przypomniała sobie dzień, kiedy u Bergdorfa odeszły jej wody.

Uczuła tępe pulsowanie w skroniach. Rachel i Gerald poszli na górę parę godzin temu, ale wiedziała, że gdyby poszła ich śladem, tylko leżałaby bezsennie w łóżku, a pamięć przypominałaby jej rzeczy, o których wołała nie pamiętać.

Sylvie przeszła przez zaciemniony gabinet, pełen rzeczy Geralda. Solidne meble - taki bardzo męski pokój - książki i stare fotografie jego rodziców i dziadków na ścianach, szafka z okresu Regencji, mieszcząca libretta wszystkich oper, jakie kiedykolwiek przetłumaczono. Stereo, a poniżej zajmująca całą ścianę kolekcja jego płyt. Wszyscy wielcy. Caruso, Pinza, Callas.

Zatrzymała się przy krytym skórą biurku i wzięła w rękę grawerowany srebrny nóż do otwierania listów, który Rachel dała Geraldowi na jego ostatnie urodziny. Stary, ciężki, piękna robota, bardzo odpowiedni dla niego. Rachel tak dobrze go rozumiała. Oni dwoje tworzyli doskonały duet, tak bardzo byli sobie oddani.

Syhde uczuła ból, jak gdyby nóż do otwierania listów ugodził ją w pierś. Była taka samotna. Gerald nigdy nie dowie się o strasliwym wyborze, jakiego dokonała, nigdy nie podzieli jej bólu. Ile nocy przeleżała bezsennie w udręce, płacząc cicho za ciemnym dzieckiem, ciałem z jej ciała, którego nigdy nie obejmie ramionami, nie będzie widzieć, jak rośnie.

Ale nie znać Rachel również byłoby czymś okropnym. Sylvie nie wyobrażała sobie bez niej życia. Niemożliwe. A jednak czasami wyczuwała brak pełni w swej miłości do Rachel, miała uczucie trwałego rozdarcia, którego nigdy nie da się bez śladu naprawić. Jakże zazdrościła Geraldowi, że nie wie. Miał Rachel całą, bezsprzecznie, całkowicie jego.

Patrząc ostatnimi dniami na Rachel, Syhde widziała zwiewny obraz Angie Santini, jej prawdziwej matki. Ten rys uporczywości u Rachel, czy to też była Angie? To upieranie się, żeby zostać właśnie lekarzem, poświęcić życie wszystkiemu, co na tym świecie brzydkie - chorobie, bólowi, śmierci.

Tak bardzo się starałam zrobić z niej moją córkę, kulturalną, o manierach damy. Ale onajest sobą, nie jest taka jak ja albo Gerald. Dziwne, że jest taka mała i filigranowa... a taka samowolna i niezależna.

Syhde przypomniała sobie Rachel jako brzdąca, nie więcej niż dwuletniego, zachwycające dziecko o oczach jak bławatki, z chmurą miękkich bursztynowych loków. Kiedyś weszła na palcach, żeby zobaczyć, czy Rachel obudziła się z drzemki, i osłupiała. Rachel zdołała wydostać się z łóżeczka i wziąć czystą pieluchę ze stołu do przebierania. Z mokrą pieluchą i gumowymi majtkami, opadającymi wokół jej kostek, wytrzymała siły, żeby założyć sobie czystą. Syhde ruszyła do przodu, żeby jej pomóc, ale Rachel odepchnęła ją swymi małymi dziecięcymi rączkami i powiedziała czystym, niemal dorosłym głosem: „Nie, mamo. Chcę to zrobić sama.”

Od tamtej pory musiała słyszeć te słowa z tysiąc razy. Rachel pięcioletnia, usadowiona na siedzeniu swego

nowego roweru na dwóch kołach, żądająca, żeby Gerald puścił kierownicę. Jej pierwszy dzień w przedszkolu w Dalton i naleganie, żeby Sylvie zostawiła ją przy drzwiach, że pójdzie sama. Wspomnienia przesuwają się przed jej oczami jak fotografie w starym albumie.

I Syhde pomyślała: Czy nie jestem też odrobinę zazdrosna? Rachel zdawała się wiedzieć dokładnie, czego chce od życia i jak to osiągnąć. Sylvie zastanawiała się, jakie mogłoby być jej własne życie, gdyby nie poślubiła Geralda. Nie, żeby tego żałowała! Nie, ani przez minutę. Uwielbiała Geralda i swoje życie z nim. Ale ile smoków mogłaby ściąć, gdyby nie ochronna tarcza Geralda? Jakie talenty mogłaby w sobie odkryć?

O tak, zdarzało się - nieczęsto, ale od czasu do czasu - że wyobrażała sobie siebie jako osobę samodzielną. Może w biurze, za biurkiem takim jak to, dzwoniące telefony, ludzie pytający o jej opinię o tym czy owym, proszący o radę. Nie po prostu żonę Geralda Rosenthala, ale kobietę z własnymi dokonaniem i książeczką czekową na własne nazwisko.

A potem Syhde popadała w rozpacz. Kimże jestem, żeby chcieć więcej. Tyle już mam, więcej niż na to zasługuję. Najdroższego na świecie męża, więcej luksusów niż ktoś mógłby zamarzyć. I córkę, równie kochającą, jak upartą. Nie, nie mogłaby kochać Rachel bardziej, gdyby była z jej krwi i kości. Cierpiała, ilekroć Rachel wychodziła z domu. Tak wiele dla niej pragnęła... Wszystkiego, co dobre na świecie. Ale chciała również zwrócić to, co jej zabrała - siostry Rachel, jej prawdziwe więzy krwi. I nigdy nie będzie mogła tego zrobić, nigdy.

Syhde odłożyła nóż do otwierania listów. Jeszcze tylko jednej ostatniej rzeczy pragnęła. Potrzebowała tego do wypełnienia pustki, która jak wicher zawodziła w jej piersi. Objąć ją. Tylko raz. Moje własne dziecko. Dziecko, które nosiłam w sobie przez dziewięć miesięcy. Moją własną córkę. O Panie mój, tylko otoczyć ją ramionami, pocałować ją. Co bym za to dała.

Jednak to nigdy nie miało się stać. Prawdopodobnie i tak już ryzykowała zbyt wiele, angażując detektywa, żeby się dowiedział, gdzie mieszka jej córka. I co z tego miała, prócz silniejszego bólu serca? Dowiedziała się, że Dominie Santini nie żyje. Rosę mieszkała ze swymi dwiema siostrami i z babką, która ledwie wiązała koniec z końcem z ubezpieczenia społecznego i niewielkiej renty.

Syhde pragnęła jakoś pomóc Rosę, widzieć, że jest pod dobrą opieką. Aż pewnego dnia, oglądając stary film *Milioner*, wpadła na pomysł. Otworzyła anonimowo rachunek oszczędnościowy dla Rosę. Za pośrednictwem detektywa znalazła prawnika, który zrobił, co chciała, bez wścibiania nosa w jej pobudki. Jego biuro na rogu Drugiej Alei i Jedenastej Ulicy było tak dalekie od wyłożonych mahoniową boazerią gabinetów w amfiladzie prawników Geralda przy Water Street 55 jak igloo Eskimos. Zapomniała jego nazwisko, ale pamiętała posępną norę, zakurzone drewno kauczukowe szafki na akta, parapet upstrzony martwymi muchami. Za jego pośrednictwem zaaranżowała zdeponowanie sumy dwudziestu pięciu tysięcy dolarów - wszystko, co mogła zebrać bez wzbudzania podejrzeń Geralda - na fundusz powierniczy na imię Rosę. Potem list do babki Rosę, wyznaczający ją na powiernika i informujący, że pieniądze pochodzą od dobroczyńcy, który życzy sobie pozostać anonimowy.

Oczywiście, było to głupie i ryzykowne. Przypuśćmy, że babka Rosę zrobiła się podejrzliwa? Przypuśćmy, że skontaktowała się z prawnikiem? Ale Sylvie zatarła za sobą ślady, podając mu fałszywe nazwisko i płacąc gotówką. Nic złego nie mogło się stać z tego powodu, przekonywała samą siebie. A w ten sposób mała Rosę będzie coś miała, zaczątek majątku na później, może na opłacenie college'u albo, Boże broń, gdyby kiedyś była chora albo ranna.

Ale nawet świadomość, że Rosę będzie dobrze zabezpieczona, nie mogła wymazać tęsknoty z serca Syhde.

Ogromnej potrzeby widzenia jej, dotykania. Dlatego kilka lat później zrobiła coś naprawdę lekkomyślnego - poszła do szkoły Rosę.

- Rosę - szepnęła Sylvie. Przyjemnie było chociaż to powiedzieć, głośno tym razem. Niewielki kamyk spadł jej z serca.

Syħde podniosła oczy. Jej wzrok padł na portret, wiszący nad kominkiem. Młodsza wersja jej samej, wyglądająca pogodnie, nawet królewsko, w bladoniebieskiej szyfonowej sukni, z ramionami białymi jak wielkanocne lilie. Jej złote włosy upięte były we francuski kok, głowa zwrócona w bok, w uchu widoczny rubin. Pamiętała, kiedy Gerald dał jej te kolczyki, zaraz po urodzeniu Rachel - śliczne stare rubiny w kształcie łez, oprawione w stare złoto, z małymi, różowymi brylantowymi zapinkami. Rubin był kamieniem szczęścia Rachel, wytłumaczył Gerald. A jak zbił go wtedy z tropu jej wybuch płaczu. Teraz, z oczami utkwionymi w tym kolczyku, Sylvie myślała, jak zręcznie artysta pochwycił jego głęboki żar i mieniające się w nim światło. I nagle znów była na chodniku przed szkołą Rosę, tego mroźnego zimowego dnia, czekając, aż ukaże się Rosę.

W chwili gdy jej oczy spoczęły na córce, Syħde zobaczyła, jak nieodpowiednie było imię, jakie dla niej wybrali. Rosę - róża - najjaśniejszy z kwiatów. A oto ona, ciemna jak Cyganka, same nogi i oczy, kości policzkowe jak u kobiety, a nie dziewięcioletniej dziewczynki. Wyglądałajak w pułapce w tym ciężkim płaszczu, z którego najwyraźniej wyrosła, z włosami ściągniętymi w warkocze. Jednak w chwili, gdy te ciemne wielkie oczy podniosły się na nią, Sylvie zapomniała o ciemnej obcości swojej córki i poczuła, jak jej serce pęka na milion kawałków.

Wtedy, wbrew wszelkiemu rozsądkowi, wyszarpnęła rubin z prawego ucha. Stojąc przy tym zamarzniętym dziedzińcu szkolnym, wciskając kolczyk w małą zaciśniętą piąstkę Rosę, miała uczucie, że on w jakiś sposób je

łączył, jednak pragnęła, żeby to było coś więcej, Boże drogi, całe życie matczynej miłości.

Wspominając, Syhde podniosła rękę do ucha. Brylanty. Nigdy już potem nie nosiła rubinów. A ten drugi kolczyk schowała w głęboko ukrytym miejscu, gdzie niczego by jej nie przypominał, i gdzie nikt by go nie znalazł.

Od tamtego dnia nie widziała również Rosę. Jednak kilka miesięcy temu nabrała odwagi i zatelefonowała do jej mieszkania. Udawała, że pracuje dla firmy telefonicznej i że przeprowadza badania. Kobieta, która odebrała telefon, powiedziała, że nie wie o niczym, że jest tylko sąsiadką i zagląda do pani Santini, która niedawno miała udar. Potem dała Sylvie numer telefonu Rosę do pracy, numer strefowy 212. Sylvie wybrała go i pozostała na linii wystarczająco długo, żeby się dowiedzieć, że to firma prawnicza. Rosę prawdopodobnie pracowała tam jako sekretarka. Najwidoczniej dawała sobie radę. Ale czy była szczęśliwa?

Nigdy się nie dowiem. Nigdy nie będę dzielić jej myśli ani wiedzieć, co się dzieje w jej sercu. Nigdy nie wezmę jej za rękę, ani nie poczuję jej głowy na piersiach. Nawet Rachel, choć tak ją kocham, nie może wypełnić tej pustki we mnie. Sylvie, bezsilna, opadła na głęboki, skórzany fotel przy biurku męża i zapłakała.

Rachel stała w wejściu do sali balowej hotelu Pierre, ogarniając wzrokiem widowisko, jakim było przyjęcie na dwudzieste pierwsze urodziny Masona Golda. Patrzyła na świecąca kulę, obracającą się powoli pośrodku sufitu, wirującą i rozsiewającą światło jak błyszczące confetti na olbrzymią salę. Boże, rodzice Masona musieli wydać fortunę! Bukiety żółtych chryzantem i białych frezji na każdym stoliku, ogromne stoły ze stosami jedzenia, a na platformie orkiestra w marynarkach ze złotymi cekinami grała *Only you* dla kołyszących się na parkiecie par.

Cóż, Bogu dzięki, to przyjęcie Masona, nie moje, pomyślała Rachel. Całe to... popisywanie się pieniędzmi... Umarłabym z zażenowania.

Szukała znajomej twarzy, ale nie znalazła żadnej. Wszystkie dziewczęta wyglądały dość podobnie w tych pastelowych futerałach bez rękawów, wylansowanych przez Jackie Kennedy, z włosami uczesanymi w gładkie fryzury w kształcie hełmu. Chłopcy również identyczni, w swoich smokingach, zimową opalenizną i białozębymi uśmiechami przypominali Kena. Przychwycił jeden taki uśmiech. Barczysty jasnowłosy chłopiec z fryzurą najeża mierzył ją domyślnym spojrzeniem, a ona poczuła się, jak gdyby otrzymała mocne uderzenie w żołądek.

O Boże, czy to widać? To nie może się aż tak rzucać w oczy, prawda? Z sercem walącym jak młot mocno przycisnęła do biodra swoją aksamitną torebkę i poczuła wewnątrz niej płaską, okrągłą diafragmę. Miała wrażenie, że wszyscy obecni faceci patrzą na nią. Ale przecież to, że nosiła sukienkę, która oblepiała jej tyłek i odsłaniała połowę piersi, nie oznaczało, że domyślali się, do czego zmierza? Czy się domyślali?

Rachel wyprostowała plecy i wysunęła podbródek. O, do diabła, niech będzie, i co z tego? Niech wiedzą, że dzisiaj Rachel Rosenthal jest gotowa i chętna. A pod którymś z tych małych garniturów musi być przynajmniej jakiś jeden miły i jurny, który nie miałby nic przeciwko, by tak rzec, rozbiciu butelki szampana o jej burtę na cześć jej dziewiczej podróży.

W zeszłym tygodniu była tak zdenerwowana z powodu Kennedy'ego, że zrozumiała coś bardzo głębokiego. Mogła umrzeć jutro i w ten sposób nigdy nie dowiedziałyby się, jaki jest seks. Może to wszystko strach - strach przed postawieniem tego jednego, nieodwracalnego kroku. Ale jak tylko go postawi i będzie to miała za sobą, będzie mogła się rozluźnić i dobrze bawić.

I to popchnęło ją do przejścia ciężkiej próby u ginekologa. Udawała przed doktorem Sapersteinem, że ma zamiar się zaręczyć, więc chce, żeby dopasował jej

diafragmę. Potem w domu kucała w łazience, brudząc wszystko tą wstrętną galaretką, ćwicząc zakładanie, aż była otarta do żywego mięsa. Wszystko mniej więcej tak romantyczne, jak przymocowywanie nakrętki do kierownicy roweru, i takie nieprzyjemne. Czuła się do niczego. A nawet jeszcze nie zaczęła! A teraz, stojąc tutaj, w obcisłym, niebieskim aksamitnym futerale od Olega Casiniego, z błyszczącymi długimi włosami, umalowana po raz pierwszy od wieków, Rachel czuła się mniej pewna siebie niż kiedykolwiek. I cały pomysł wydał jej się nagle chybiony. Przespanie się z kimś prawie na pewno potwierdziłoby to, co już sama wiedziała. Że naprawdę jest oziębła.

Przestraszył ją głęboki głos. - Ze wszystkich przybytków z dżinem na świecie, musiałaś wybrać właśnie mój.

Zakreśliła się, instynktownie zasłaniając usta rękami, śmiejąc się przez palce, tak jak przed laty. - Mason! Boże, nie poznałabym cię. Chociaż wciąż mówisz jak Bogart dla ubogich. - Podniosła oczy na wysokiego nieznanego o ciemnych kędzierzawych włosach, który wyglądał w smokingu jak tyłu innych tutaj początkujących studentów, z wyjątkiem jednego fantazyjnego szczegółu - muszki ze złotej lamy.

Wzruszył ramionami. - Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają. Ty sama jesteś prawie nie do poznania. Ile to już... pięć, sześć lat?

- Tak, mniej więcej. Jak ci się wiedzie?

- W po*ządku. - Odwrócił wzrok, nagle zakłopotany, co sprawiło, że bardziej niż przedtem chciała, żeby jej tu nie było. A potem jego uśmiech znów ją oslepił. - No i co myślisz? Wspaniałe przyjęcie, prawda? Stary nie stracił wyczucia.

Ale Rachel widziała teraz tylko tłoczące się ciała.
- Musisz znać wielu ludzi.

Wzruszył ramionami. - Kręcę się po kampusie. Lacrosse. „The Yale Daily News”. W każdym razie, New Haven nie jest takim małym miastem, i wiesz, jak mnożą się szczury, kiedy słyszą słowo „przyjęcie”.

- Jestem zaskoczona, że pamiętałeś o tym, żeby mnie zaprosić - powiedziała. - Poszliśmy zupełnie różnymi drogami.

- Jeśli się nie obrazisz, powiem ci prawdę. To był pomysł mamy. Ja raczej wątpiłem, czy poznasz tu kogośkolwiek. Poza tym, chyba wciąż miałem w pamięci ten obraz chudego dzieciaka z ustami pełnymi klamerek, dla którego dobra zabawa polegała na mocowaniu się na rękę.

- Wyprysk, tak mnie nazywałeś - zaśmiała się. Wtedy spojrzenie Masona opadło na odsłonięte zagłębienie między jej piersiami. Ciemny rumieniec wpełzł mu na szyję i Mason szybko znów podniósł wzrok.

Rachel poczuła się zażenowana za nich oboje. Nie chciała, żeby jej dekolt traktowano jak zachętę. W końcu Mason był... cóż, prawie kuzynem.

Ładny kuzyn, musiała przyznać. Zmienił się. Z przyszłego nastolatka z nogami jak szprychy rowerowe w ten stojący przed nią wytworny model 1963. Pewny siebie, ale nie nazbyt. Przystojny, jeśli się lubiło wysokich, ciemnych, w typie żydowskim, a ona lubiła.

- Nie czuję się obrażona, że nie chciałeś mnie zaprosić - powiedziała szybko ze śmiechem. - To moja matka namówiła mnie, żebym przyszła.

- Cieszę się, że to zrobiła. I cieszę się, że posłuchałaś!
- Mason wydawał się szczerzy.

Zakłopotanie znikło. Mason swobodnie otoczył ją ramieniem. - Chodź, przyniosę ci coś do picia i przywitasz się z moimi rodzicami. Potem chciałbym, żebyś poznała niektórych moich przyjaciół.

- Widziałam twojego ojca koło szatni, kiedy wchodziłam. Powiedział mi, że Birds Eye dostała upomnienie z powodu jakiegoś mrożonego szpinaku, który spryskano niewłaściwym środkiem chemicznym. Akcje Gold Star poszły w górę o dwa punkty w ciągu jednego dnia. Wyglądał, jak gdyby właśnie pokonał Cassiusa Claya w walce o mistrzostwo wagi ciężkiej.

- Kochany stary tata - zaśmiał się Mason. - Król

warzyw mrożonych od czasów potopu. Chce, żebym wszedł do interesu, gdy tylko dostanę dyplom.

- Mogłeś trafić gorzej.

- Zastanawiałaś się kiedyś nad samobójstwem przez zanurkowanie do kadzi z rozartym groszkiem i cebulą? Ja tak, każdego lata, kiedy pracowałem u mojego starego. Postawił mnie przy taśmie produkcyjnej. Chciał, żebym poczuł, co to znaczy piąć się od dna w górę. Wyobrażasz sobie, jak to jest, kiedy przychodzi się codziennie do domu i cuchnie jak rozmrożony groszek z cebulą?

Rachel roześmiała się. Dzięki Masonowi znów czuła się jak wtedy, kiedy miała siedem lat i zjeżdżała razem z nim na jego skrzypiącym rowerze ze wzgórza Scarsdale.

Mason podprowadził ją do grupy siedzącej przy jednym ze stołów. Kilku chłopców zmierzyło ją wzrokiem z góry na dół, a ona poczuła, że sztywnieje, że ogarniają panika, kiedy przypomniła sobie, co ma zamiar zrobić.

- Cześć - powiedziała i skłaniała głowę, kiedy ją przedstawiano, ale nie zdołała zapamiętać żadnego nazwiska. Wiedziała tylko, że pot zaczyna jej się zbierać pod pachami mimo grubych warstw dezodorantu rolkowego Secret. W jej wyobraźni komentator sportowy znów był przy mikrofonie. „Za chwilę rozpoczęcie meczu piłki nożnej, kochani. Drużyna stłoczyła się beładnie. Oto zaczyna się Wielki Mecz. Zobaczymy dzisiaj wspólną grę na zielonej murawie, zanim poniosą to trofeum do domu...”

Rachel czuła, że nieokiełznany chichot wzbiera jej w gardle. Skonsternowana, usiłowała go opanować. Boże drogi, nie teraz. Rozmawiali o zabójstwie, tak jak cały kraj grając w przerażającą grę: Gdzie byłeś, kiedy usłyszałeś?

- Zdawałem egzamin - powiedział rudowłosy chłopiec. - Profesor wychodzi do hallu, wraca i ogłasza wiadomość. To prawdziwy typ z Mount Rushmore, który nigdy się nie rozkleja, a mimo to opuścił głowę na pulpit i łkał jak dziecko. To było nierzeczywiste. Nie

mogłem uwierzyć, że to się stało. - W jego oczach zalśniły łzy.

Ciemnowłosa dziewczyna w głęboko wydekoltowanej białej sukni pochyliła głowę jak do modlitwy i powiedziała ściszym głosem: - Byłam w taksówce. Usłyszałam o tym w radiu. Najpierw pomyślałam, że to musi być jakaś bujda, jak ta lipna inwazja z Marsa, o której opowiadała mi mama. Ale zobaczyłam we wstecznym lusterku twarz taksówkarza. Zrobił się zielony, jak gdyby miał zaraz zwymiotować. Potem zaczął jęczeć, a ja powiedziałam mu, żeby mnie wypuścił. Bałam się, że spowodujemy wypadek.

- Byłem pod przysnkiem, kiedy usłyszałem krzyk jednego z moich współmieszkańców.

Rachel przestała słuchać. Nie powinna była tu przychodzić. Całe przyjęcie było nieudane. Ajej plan wydawał się mało ważny i samolubny w taki smutny czas jak ten. Łzy wypełniły jej oczy, wymruczała jakąś wymówkę i wstała. Była prawie przy drzwiach, kiedy poczuła na ramieniu rękę, którą zatrzymywała. Mason.

- Hej, zaczekaj chwilę, dokąd idziesz?

- Ja... niezbyt dobrze się czuję. Chyba lepiej pójdę do domu.

- Zanim zatańczyliśmy choć jeden raz? Mogłaś zniweczyć moje marzenie, zanim miałem okazję zdmuchnąć świeczki na torcie.

Grali ten stary przebój Presleya *Love me tender*. Mason opuścił powieki i ściągnął górną wargę jak Elvis, i Rachel nie mogła powstrzymać się od śmiechu. A potem, nieoczekiwanie, poruszała się z nim na parkiecie, zalana falującym złotym światłem. Trzymał ją mocno, ale nie kurczowo, jak większość chłopców. Odprężona, ciesząc się mieniącym się światłem, bez wysiłku poruszała się w rytm muzyki.

Wtedy przyszła jej na myśl diafragma w torebce.

Raz widziała penisa Masona, kiedy miała siedem lat, a on osiem. Przebierali się w kostiumy kąpielowe w kabynie przy basenie Goldów i zapytała go, czy może go dotknąć, tylko żeby się przekonać, jaki jest w dotyku. Pozwolił jej z wahaniem. Jedno dotknięcie jej palca,

lekkie wrażenie gumowej miękkości, a potem oboje patrzyli w dół zafascynowani, jak to rosło, mały różowy palec, twardniejący mniej więcej do rozmiarów i kształtu rolki gumy do żucia Bazooka za dwa centy. Mason, czerwony jak rak, wciągnął kapielówki i od tej pory zawsze przebierał się w domu. Przerażona złapała się na tym, że zastanawia się, jaki jest penis Masona teraz. Z Masonem? Boże, o czym ona myśli?

- Głodna? - zapytał Mason, kiedy skończył się taniec.
- Na moim papie można polegać. Jedzenia wystarczyłoby dla głodującego afrykańskiego narodu.

Rachel omiotła spojrzeniem długie stoły, zapełnione wielkimi półmiskami wędzonego łososia, ostryg i krewetek ułożonych na warstwach kruszonego lodu, homarami na zimno, olbrzymimi srebrnymi misami połyskującego czarnego kawioru. I oto pośrodku stołu, w dekoracji kunsztownie ułożonej z plasterów melona i kiści winogron, tkwiła wysoka łodyga szparaga, wyrzeźbionego z lodu - logo Gold Star Frozen Vegetables.

Rachel przywarła do niej wzrokiem i znów ogarnęła ją niepoważna chęć śmiechu. W wyobraźni zobaczyła Masona nie tylko rozebranego, ale z włócznią szparaga wyrastającą pomiędzy nóg.

Boże, co z nią było nie w porządku? Powinna się znaleźć na kanapie u psychiatry.

- Czy powiedziałem coś śmiesznego? - uśmiechnął się Mason.

- Nic, nic. - Rachel wzięła głęboki oddech, usiłując odzyskać panowanie nad sobą. - Mogłabym się czegoś napić. Proszę o wodę sodową albo piwo imbirowe, jeśli je macie.

Mason otoczył ją ramieniem i zaprowadził do baru. Panował tu hałas; ludzie krzyczeli, poklepywali Masona po plecach, składając mu życzenia urodzinowe. Rachel nie słyszała barmana, ale zobaczyła, że kiwa głową.

- Pepsi, cola, sok pomarańczowy, ale żadnego piwa imbirowego - usłyszała poprzez wrzawę Masona. - Co byś powiedziała na szampana?

Potrząsnęła głową.

- Alkohol nigdy ci nie służył - uśmiechnął się Mason.

Wiedziała, że myślał o tym, jak kiedyś ściągnęli jego ojcu butelkę Chateau Petrus i zeszli do falochronu koło ich domów w Palm Beach. I upili się, chociaż tylko ona wymiotowała. Boże, rzygała tak, aż myślała, że żołądek wywróci jej się na drugą stronę. A potem Mason dokucał jej tym tygodniami.

- Wypchaj się - powiedziała słodko.

- Wiesz, mój ojciec zarezerwował apartament. Mam tam coś lepszego niż szampan. Próbowowałaś kiedyś trawki?

Marihuana? Boże, mama by umarła. Wtedy przypominała sobie, jak jej współmieszkanka, Judy Denenburg, piała peany o tym, jaki fantastyczny jest seks, kiedy jest się naćpanym. Rachel uczuła, że robi jej się ciepło. Twarz miała gorącą, ściągniętą, jak gdyby zbyt długo leżała na słońcu. Czy on myślał o tym samym, co ona? Boże.

- Nie - powiedziała. - Ale to twoje przyjęcie. Czy goście nie tęskniliby za tobą?

Mason wzruszył ramionami, uśmiechając się do pochłoniętego zabawą tłumu. - Jak za petardą piątego lipca. - Jego dłoń była ciepła i wilgotna, kiedy ujął jej rękę. - Chodź. Urywamy się.

- Zaczekaj. Moja torebka. - Dostrzegła ją na stole, gdzie ją porzuciła, kiedy zaczęli tańczyć.

- Możesz wrócić po nią później.

- To potrwa tylko sekundę. Spotkamy się w windzie.

Kiedy winda ruszyła w górę, Rachel, biorąc głęboki oddech, mocno ścisnęła torebkę pod pachą.

- Nawiasem mówiąc, co tam masz takiego ważnego? Klucz do skarbcza? - drażnił się z nią Mason.

Rachel uśmiechnęła się. - W pewnym sensie.

Tak, miało się stać to. Mason nadaje się równie dobrze jak każdy inny. Lepiej. Ostatecznie byli starymi przyjaciółmi i lubili się nawzajem. Jednakże, co za ironia, Mason bez wątpienia myślał, że to on ją uwodzi.

W apartamencie, urządzonym po parysku - połączane medaliony *fleur-de-lis* na ścianie, lustra w złoconych

ramach, meble, zdobione pozłacanym brązem - Mason przeprosił na chwilę i zniknął. Minutę później wrócił, niosąc wysoko nad głową ociekający wodą woreczek.

- Miałem to schowane w rezerwuarze toalety. Nie chciałem, żeby mojego ojca trafił szlag, gdyby pokojówka przypadkiem zobaczyła, że to się wala wokół.

- A co, jeśli wejdzie na górę?

- Nie wejdzie. Nie oderwałabyś go od zabawy, nawet gdyby od tego zależało jego życie. Urodził się z abazurem na głowie.

Rachel pomyślała o swoim ojcu, o tym, że dostałby następnego zawału, gdyby się dowiedział, i poczuła się winna.

Mason przykucnął przy stoliku cocktailowym i wytrząsnął niewielką ilość okruchów brązowych liści na bibułkę do papierosów. Zwinął ją powoli, starannie zalepiając oklejony brzeg, a potem zakręcił końce.

Rachel patrzyła, jak zapala papierosa, zaciąga się głęboko, bardzo długo wstrzymuje oddech, a potem wydmuchuje ten słodko-cierpki dym przez nozdrza. Podał jej dzointa, ściskając go między kciukiem i palcem wskazującym.

- Powoli - poinstruował łagodnie. - Wciągnij powoli i zatrzymaj tak długo, jak możesz. W ten sposób szybciej będziesz miała szmerek.

Mimo drżenia rąk i nieoczekiwanie krótkiego oddechu, Rachel zdołała podnieść dzointa do ust i wciągnąć trochę słodkiego, gęstego dymu. Głęboko w płucach poczuła nagle ostry, gorący ból. Pulsujące uczucie wirowania. Zaciągnęła się jeszcze raz, i jeszcze. Wszystko zaczęło się zmieniać. Jej twarz robiła wrażenie opuchniętej, głowa była wielka i pozbawiona ciężaru, jak balon na sznurku. Mason, jak gdyby przyglądała mu się przez obiektyw o zmiennej ogniskowej, zdawał się oddalać, podczas gdy inne przedmioty w pokoju nabrały ostrości i wyrazistości. Kolory i motywy na perskim dywanie były teraz jaskrawe • magiczne, zmieniając kształt jak w cudownym kalejdoskopie. A ściany, złote pasy na tapecie,

zdawały się nacierać na nią, trochę jak w gabinecie luster.

- Jak się czujesz? - przebił się do niej głos Masona.

- Jeszcze nie wiem. Nigdy się tak nie czułam. To niesamowite, jak gdybym była kimś innym, a mimo to wciąż sobą. I wszystko wygląda tak obco. Jak gdybym nigdy tego nie widziała. Zastanawiam się, czy tak się czują dzieci zaraz po urodzeniu.

- Jesteś naćpana - Mason wydusił z siebie zgrzytliwy chichot wraz ze strumieniem dymu.

Jeszcze raz zaciągnęła się głęboko, czując się jak stary zawodowiec. - Może. Między innymi.

- Co między innymi?

- Och, nie wiem - asekurowała się. - Wiele rzeczy.

- Czy mogła mu powiedzieć, co jej chodziło po głowie? Nie, byłby to dla niego kubeł zimnej wody. Albo, co gorsza, mógłby zacząć się śmiać, żartować sobie z niej.

- Wiesz, jaka jest moja matka. Cóż, ona nie może znieść myśli o tym, że zostanę lekarzem.

- Jezu. Siwrot na wywrót. - Mrużył nabiegłe krwią oczy za chmurą dymu. - Żydowskie księżniczki powinny wychodzić za mąż za lekarzy.

Sporunowała go wzrokiem. - Okay, mądralo, może to zabrzmi staromodnie, ale ja kieruję się szaloną ideą pomagania ludziom, poprawiania świata.

- Pewnie, czemu nie? Ty i doktor Kildare.

Patrzyła na niego, zafascynowana zielonymi i złotymi drobinami, pływającymi w jego tęczęwkach. - Kiedy zrobiłeś się taki cyniczny?

Mason wzruszył ramionami; przemądrzały uśmiech znikł, a twarz stała się posępna.

- Wiele się zmieniło od czasu, kiedy byliśmy dziećmi. Słyszałem różne pogłoski, a ośrodek szkoleniowy dla oficerów rezerwy w kampusie działa pełną parą, jak gdyby ni z tego, ni z owego Yale stało się West Point. Przyjaciel taty w Departamencie Stanu mówi, że mają zamiar zacząć niebawem pobór chłopaków, żeby walczyli w Indochinach. Jezu, mam tylko nadzieję, że nie będę jednym z nich.

- Nie będziesz. Nie, jeśli będziesz studentem prawa. Uśmiech powrócił mu na twarz. - Zapamiętałaś.
- Pewnie. Ja i doktor Kildare. Ty i Perry Mason.
- Tak, to ja - prawda, sprawiedliwość i amerykański styl życia.

- Myślę, że to był Superman.
- No cóż, on też. Powiedz, zastanawiałaś się kiedy, dlaczego on i Lois Lane nigdy nie zrobili tego ze sobą? No, chcę powiedzieć, na co oni czekali?

To było to, robił pierwszy krok. Serce zaczęło jej walić i z trudem zachowywała chłód.

- No cóż, może Lois była oziębła, a może prawdą było to, co o nim mówili. No wiesz, szybszy niż kula w locie. - Słowa same jej się wymknęły, a ona odchyliła się do tyłu, zarazem przerażona i rozbawiona sobą. Boże, ale jestem naćpana.

Zaczęła chichotać, cicho lecz nieprzerwanie i wiedziała, że jeśli nie znajdzie się szybko w łazience, zmoczy sobie majtki. Zrzuciła pantofle i podniosła się szybko, chwytając torebkę, gdy szła potykając się do łazienki.

Sama w łazience, wyłożonej łososiowymi kafelkami, wyszperała diafragmę. Teraz, pomyślała, muszę to zrobić teraz, zanim stracę odwagę. Przez mgiełkę oszołomienia usiłowała przypomnieć sobie dokładnie, jak powinna założyć diafragmę. Najpierw żel plemnikobójczy. Tak, zrobione. Dosyć, żeby znokautować tych wstrętnych, małych facetów w pierwszej rundzie. Okay, teraz zgiąć to na pół... Trzymała diafragmę zwiniętą jak *taco*, kiedy ta wysunęła się jej z dłoni i poszybowała, odbijając się od drzwi kabiny prysznicza i lądując z głuchym pluśnięciem na podłodze. Spoglądając na nią, leżącą u jej stóp jak jakiś zdechły jeżowiec, Rachel miała wrażenie, że straciła wszelką łączność z rzeczywistością, jak gdyby lada chwila Rod Serling miał wyjść spod prysznicza i oświadczyć: Rachel Rosenthal zaraz wejdzie... w Strefę Zmierzchu.

Boże, jak ja przez to przejdę? Czuję się mniej więcej tak seksowna, jak ten gumowy przedmiot, który w siebie

wkładałam. Nie zwracaj głowy, powiedziała sobie. Po prostu zrób to, na miłość boską.

Wychodząc z łazienki i widząc, że Mason gapi się na nią, Rachel poczuła jak musuje w niej chichot. Tak, jak gdyby naprawdę wyszła ze Strefy Zmierzchu.

- Mój Boże, Rachel. Czy to ty?
- Oczywiście, że ja. Myślałeś, że kto?
- Jesteś...
- Naga. Zgadza się.

Przytaknęła grzecznie, ajej głowa, zbyt duża, chwiała się bezwładnie na szyi. To naprawdę było dość zabawne, stać tutaj bez ubrania, ale nie czuła zażenowania. Myślała o ich kąpielach nago w gorące wieczory na Florydzie, kiedy byli dziećmi. Teraz było tak samo; powietrze wirowało wokół ciała, gęste i ciepłe jak ogrzana woda w basenie.

Rachel zbliżyła się i usiadła obok niego ze skrzyżowanymi nogami. - Posłuchaj, nie musisz nic z tym robić. Chcę powiedzieć, że wiem, że nie jesteś we mnie zakochany czy coś takiego. Po prostu pomyślałam, że to dobry pomysł.

Mason wciąż gapił się na nią szklanym wzrokiem, z otwartymi ustami. Potem skrzywił się jak z bólu i Rachel zobaczyła, że dżoint wypalił się aż do jego palców. Rzucił go na popielniczkę i podniósł rękę do ust, ssąc oparzony palec. Gdy znów spojrział na Rachel, już nie wyglądał jak zombie. Uśmiechał się teraz głupio, jak gdyby wciąż nie mógł w to uwierzyć. - Nabierasz mnie? Jezu Chryste, jeśli tak, to nie byłoby szczególnie zabawne.

- Słuchaj, mówię zupełnie poważnie. Ale jeśli wolisz tylko siedzieć i rozmawiać o tym, ubiorę się z powrotem.

- Jezu, Rachel. Słyszałem, że trawka na niektórych działa w ten sposób, ale nigdy nie myślałem... O Chryste.

- Cały był teraz gmatwaniną ruchów, zrzucając marynarkę, zrywając krawat, gmerając wśród małych perłowych spinek przy koszuli smokingowej. Zgiął się wpół. - Cholera, moje sznurowadło jest całe w supłach. Dlaczego Clarkowi Kentowi przychodzi to tak łatwo?

- Daj, pomogę ci. - Zdawała sobie sprawę, że jej pierś muska jego ramię, kiedy schyliła się, aby pomóc mu rozwiązać sznurowadło. Dziwne wrażenie, niekoniecznie podniecające, ale miłe. - O, wciąż masz ten guz tam, gdzie złamałeś palec na nartach wodnych. - Czy to boli?

- Chodź tutaj. - Ściągnął podkoszulek i szorty, pociągnął ją obok siebie na dywan i pocałował w usta. To samo uczucie wilgoci i miękkości, pograżania się, jak gdyby dawała nurka pod wodę. Głęboką, ciepłą wodę.

- Uuuu, Mason, myślę, że powinieneś o czymś wiedzieć. - Odsunęła się nieco i starała się skupić spojrzenie na jego zamazanej twarzy. - Jestem dziewczcą.

- Czym?

- Dziewcą. Ale nie rozumiem, dlaczego miałyby to robić jakąś różnicę.

- Nie rozumiem. Dlaczego ja? - Mason patrzył na nią z wilgotną, zaróżowioną twarzą, uszczęśliwioną i zarazem zdumioną, jak gdyby właśnie uświadomił sobie, że wygrał milion dolarów na loterii i niezupełnie w to wierzył.

- Nie wiem. Może dlatego, że niczego nie oczekiwałeś.

Poczuła teraz coś - gorący ucisk na swojej nodze. Zerknęła w dół i dreszcz przebiegł jej po ciele.

- Zrobił się większy - powiedziała, przyglądając się tej rzeczy. Już nie była rozmiarów rolki gumy do żucia za dwa centy.

Mason zaśmiał się, ujmując w dłoń jej pierś. - Ty też. Już nie mogę cię nazywać Wypryskiem.

Rachel przytuliła się mocniej, drżąc, kiedy przyciągnął ją do siebie, i starała się nie myśleć o mocnym kwaśnym smaku marihuany w ustach. Ani o kłującej ją w plecy szczecinie dywanu. Mason wydawał się w tym dobry, doświadczony, wcale nie był niezdarny czy szorstki. Czule, delikatnie pieścił jej udo, jej piersi, całował jej sutki. A teraz, czy nie powinna zacząć odczuwać podniecenia? Chociaż trochę? Wszyscy mówili, że do tego nie trzeba być zakochanym, na litość boską.

Ale im bardziej starała się wymusić na sobie, tym było

gorzej. To tak, jak gdyby próbować uruchomić samochód, naciskając pedał gazu, kiedy silnik został zalany. Zaczęła odczuwać irytację; jej uwagę odciągały drobiazgi, jak chłód jego palców między jej nogami, szorstkość jego zarostu na jej piersiach, ciche gulgocące dźwięki, jakie wydawał.

„Wspaniały początek meczu, kochani, ale czekajcie... piłka została przechwycona...”

Mason podniósł się i wyciągnął z szafy dżinsy, szukając po omacku w kieszeni. Czego? Wtedy zobaczyła. Guma. No, oczywiście. Dziewica nie powinna przyjść przygotowana.

Patrzyła, jak klękał, czerwony na twarzy, rozdzierając niecierpliwie foliowe opakowanie. Uderzyła ją ironia tego wszystkiego i chichot podszedł jej do gardła. To koniec, powiedziała sobie, czując łzy, płynące jej po policzkach. Znowu to spieprzyłaś.

Ale Mason nie złościł się jak Gil. Mój Boże, on też się śmiał. Było w tym wszystkim coś zabawnego. I nie tylko ona to widziała.

- Nigdy nie mogłem wciągnąć tej przeklętej rzeczy, żeby nie wyglądać jak idiota - powiedział.

- Nieważne - powiedziała mu. - Po prostu chodź tutaj.

I wtedy to się stało, naprawdę stało. Ból, ale nie taki straszny, i już był wewnątrz, poruszając się delikatnie. A ona nie miała nic przeciwko temu. To nie było takie złe. Właściwie było prawie... przyjemne. Mason jęczał, pompując biodrami.

Zaczynała czuć ciepło tam, jak ciepłą wodę, pluszczącą między udami. Ale miało być więcej, czyż nie? Czuła się, jak gdyby płynęła ku czemuś, ale mimo wielkiego wysiłku nie mogła dopłynąć. Mason wydał zduszony jęk, dreszcz przebiegł mu po ciele i znieruchomiał. Jego usta, wilgotne i gorące, szeptały coś przy jej uchu. - Dobrze się czujesz? Nie sprawiłem ci bólu, prawda?

Nie, nie czuła bólu. Czuła się sztywna, niezręczna, jak kłoda w jego ramionach. Trochę piekło ją tam, ale wiedziała, że od tego nie umrze.

Liczyło się to, czego nie czuła. Nie czuła żadnej z tych oszałamiających rzeczy, o jakich czytała w powieściach albo słyszała z szeptów przyjaciółek. Żadnej muzyki. Żadnych eksplodujących rakiet. Żadnej rozszalałej ekstazy. Rachel czuła... chłód. Jak gdyby wyciągnięto ją z ciepłego basenu i rzucono moką i drżącą na dywan. Więc to prawda. Jesteś oziębła. Jeśli to nie jest dla ciebie dowodem, nic nim nie będzie.

- Czuję się dobrze - szepnęła - tylko słabo. Czy mocno krwawię?

Spojrzał w dół. - Trochę. Nie jest tak źle. Nie martw się, jest tego samego koloru co dywan.

- Mason, ja... - Chciała mu powiedzieć, że jej przykro, że go w to wciągnęła. Mimo wszystko to był głupi pomysł. Ale gardło jej się zacisnęło, tamując słowa.

Mason objął ją mocno, kołysząc w przód i w tył na kłującym dywanie. - Wiem - wymruczał - nie musisz tego mówić. Dla mnie to też było wspaniałe. Najlepsze. Jesteś czymś szczególnym, wiesz, Rachel?

Czymś, odpowiedziało echo w jej głowie. Tak, jestem czymś. Pytanie tylko, czym?

W pułapce między łzami a nieprzepartą chęcią śmiechu, Rachel zaczęła czkać.

ROZDZIAŁ 3

Brooklyn, 1968

- Chrzcę cię w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego.

Słowa starego księdza odbijały się echem w pustym kościele. Rosę obserwowała ojca Donahue, który jak postarzały krasnoludek w swoich zielonych i białych szatach wyciągnął drżącą rękę, aby zanurzyć srebrny

czerpak w marmurowej chrzcielnicy, a następnie spryskać święconą wodą koronę loków, wyglądających z zawiątkami w jego ramionach.

Głośny, pełen oburzenia płacz przeciął niemy bezruch.

Rosę, stojącą w odległości kilku stóp od wrót z kutego żelaza, zamykających kruchte, wyrywało się serce, by objąć małego siostrzeńca. Ma rację, że płacze. Kto by nie płakał, gdyby ktoś obudził go, polewając mu głowę zimną wodą?

Grzech pierworodny. Jakie to niesprawiedliwe. Każde nowo narodzone dziecko jest skazane bez żadnej swojej winy tylko dlatego, że tysiące lat temu Adam ugryzł kęs jabłka Ewy. Oznakowane, jak towary ze skazą fabryczną na stole z wyprzedają. Tak samo jak ona została naznaczona grzechem swojej matki. I ponosiła karę nie raz, a przez całe swoje życie. Jeszcze większą teraz, odkąd Nonnie zachorowała. Ostatnie miesiące były prawdziwym piekłem.

Boże, nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam. Rosę szybko odepchnęła tę myśl, czując się winna. Jak śmiała stać tutaj, litując się nad sobą? To Marie zasługiwała na jej współczucie. Biedna Marie, ledwie mogła dać sobie radę z dwojgiem swoich maluchów w domu, a teraz to.

Spojrzała na Marie. Wpadnięte oczy i opuchnięte kostki, widoczne spod nierównego rąbka szkaradnej czarnej sukienki ciążowej. Jak gdyby to był pogrzeb, a nie chrzciny.

Obok niej Pete, kościsty i patetyczny. W marynarce w szkocką kratę, za małej na niego, wyglądał na nieco zdumionego, jak gdyby gadatliwy sprzedawca namówił go na zły zakup, zanim Pete zorientował się, co się dzieje.

Rodzina Pete'a przeprowadziła się do Detroit, więc nikt więcej nie przyszedł. Tylko ona i Clare, teraz siostra Benedicta. Rosę zerknęła na stojącą obok niej Clare. Jej okrągła twarz była pogodna pod nakrochmaloną bielą. W habicie i kornecie Clare przypominała jej szarego gołębia, garść puchu, okrywającego puste, smukłe kości. Rosę czuła, jak iskra złości rozżarza się w jej piersi.

Jaki pożytek z całej tej twojej religii, jeśli ręce masz zbyt zajęte modlitwą, żeby wykonać jakąś prawdziwą pracę? - milcząco oskarżała swoją siostrę. Gdzie jesteś, kiedy krzyż mi pęka od podnoszenia Nonnie na wózek? Od karmienia jej i mycia?

Nagła przytłaczająca cisza oderwała Rosę od jej myśli. Dziecko przestało zawodzić. Marie trzymała je teraz, uspokajając nie przytulaniem, ale brzydkim brązowym smoczkiem. Żółtawe światło z bursztynowych witrażowych okien - ta strona kruchty wciąż miała stare oprawione w ołów szyby - padało na jej twarz, nadając jej kolor starych klawiszy w fortepianie. Wyglądała gorzej niż zmęczona. Wyglądała staro. Stara kobieta w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Lekko wstrząśnięta Rosę zauważyła, że Marie stała się zadziwiająco podobna do ich babki.

Rosę ruszyła do przodu, jej śniegowce piszczały na mozaice złożonej z pęknięć w płytkach posadzki.

- Mogę go potrzymać? - szepnęła do Marie.

Marie wzruszyła ramionami, wręczając jej kłęb koców, który przez jedną straszną chwilę zdawał się nie zawierać niczego oprócz powietrza. Potem Rosę poczuła solidny, uspokajający nacisk małego tyłeczka, nie większego niż jej dłoń, a okrążyła buzia, o policzkach pulchnych jak angielskie bułeczki spoglądała na nią. Nagle, w cudowny sposób, smoczek wypadł spomiędzy bezzębnych dziąseł z wilgotnym plaśnięciem i dziecko uśmiechnęło się.

- Popatrz! - wykrzyknęła zachwycona Rosę.

Marie zajrzała między koce. - Bobby nie uśmiechał się, zanim nie skończył trzech miesięcy. - Wydała z siebie ponure warknięcie zamiast śmiechu. - Co zresztą mnie nie dziwi. Nie nauczył się tego ode mnie. Nie bardzo było do czego się uśmiechać, dwoje dzieci i Pete wtedy bez pracy, nie mówiąc już o gospodyni, wrzeszczącej o czynsz co dwie minuty. A teraz znowu musiałam spaść.

Z ciężkim sercem Rosę zrozumiała, że dzisiejszy dzień nie był najszczęśliwszą porą, żeby porozmawiać z siostrą, jak zamierzała, o Nonnie.

Nie proszę o wiele, chciała powiedzieć. Tylko odwiedź ją czasami, to wszystko. Posiedź z nią jeden wieczór, żebym mogła wyjść, odetchnąć. To tak mało, a tak bardzo by mi to pomogło.

Wspomnienie niedawnego udaru babki przemknęło przez Rosę jak zimny grudniowy wiatr. To było w maju, osiem miesięcy temu, a jednak tamten czas wydawał się bardziej zimowy niż obecny. Prawdziwym błogosławieństwem było to, że teraz Nonnie milczała, wydając tylko niezrozumiałe dźwięki. Cały dzień siedziała przed telewizorem, z ustami zastygłymi w dziwnym afektowanym grymasie, jak gdyby śmiała się w duchu z jakiegoś sekretnego żartu.

Odzyskanie zdolności mówienia zabierze trochę czasu, powiedział lekarz, bo słowa rozsypały się w jej umyśle. I tak, mówiła „drzwi”, gdy dzwonił telefon, albo „poduszka”, kiedy chciała skorzystać z toalety. Chociaż teraz mogła przynajmniej pokuśtykać do łazienki.

Jednak to ja muszę się wszystkim zająć. Ubrać ją i nakarmić, zanim zostawię ją z panią Slatky, potem biegiem do pracy, bezjednej chwili dla siebie. Godzina w zatłoczonym metrze. Cały dzień żonglowanie telefonami, przyjmowanie dyktanda, pisanie na maszynie dla pana Griffina. Potem wracam wieczorem, wyczerpana, marząc tylko o tym, żeby się odprężyć i zamknąć oczy. Ale najpierw Nonnie: nakarmić ją, umyć, jeśli zdarzył jej się wypadek, pomóc jej zażyć lekarstwo. A czy jest chociaż trochę wdzięczna? Sześć razy w ciągu nocy wali łaską o ścianę i budzi mnie. Przysięgłabym, że sprawiał jej przyjemność kazać mi wstać, przyjść do niej i zobaczyć, czego chce.

Rosę nie lubiła czuć złości, ale nic nie mogła na to poradzić. Jak by to było, zastanawiała się z bolesną tęsknotą, gdyby mogła wyjść, zostawić babkę i to ciemne, rozgrzane jak blaszanka mieszkanie, które powoli dławiło ją na śmierć? Gdyby mogła się wyprowadzić. I wyjść za Briana.

Wyobrażała sobie bardzo wyraźnie dom, w którym by mieszkali. Przewiewne, pomalowane na pastelowe kolory pokoje, okna szeroko otwarte, żeby wpuścić słońce. I ogród, choćby tylko pas trawy, kilka tulipanów, jedna czy dwie róże. Byliby tylko we dwoje, Brian i ona. Co rano cud budzenia się, by znajdować go obok siebie w łóżku, potem radość spędzania całego dnia razem, nie tylko kradzionych minut, kiedy mogła wymknąć się Nonnie.

Później jej słoneczne pokoje blakły do realistycznej szarości. Serce w niej zamierało. Kto zatroszczyłby się o Nonnie? Ledwie starczało na zapłacenie pani Slatky za tę jej niewielką i niechętną pomoc, nie mówiąc już o stałej pielęgniarce czy domu dla rekonwalescentów. I daj sobie spokój z Marie, z Clare też. Rosę przypominała sobie, jak kiedyś zadzwoniła do Clare, prosząc, błagając, żeby przyjechała i pomogła jej. A cichy, łagodny głos Clare zawodził z odległości: „Nie wolno ci myśleć, że jesteś z tym sama, Rosę. Bóg jest z tobą.”

Rosę trudno było w to uwierzyć, ale kilka dni później przyszło pocztą pudełko, zawierające oprawioną w skórę Księgę Psalmów i szkaplerz, pobłogosławiony (tak mówił bilecik Clare) przez samego zmarłego papieża Jana. Rosę cisnęła jedno i drugie do kosza na śmieci. Potem rozpłakała się, zawstydzona świętokradztwem, jakie popełniła.

- Dzięki, ojczu. Doceniam to. - Głos Pete'a wdarł się w jej myśli.

I Rosę wiedziała, patrząc na niego, że Pete przeproszał ojca za to, co było wewnątrz zmiętej koperty, którą mu właśnie wsunął. Kościół oczekiwał minimalnej donacji, ale przy pensji Pete'a jako urzędnika w Do-Rite Hardware przy Ocean Avenue prawdopodobnie był to tylko ułamek minimum. Rosę myślała z poczuciem winy: Ja tu pławię się w litości nad sobą, jak gdybym ja jedyna miała kłopoty. A Marie i Pete? Boże, jakim cudem oni dają sobie radę?

Wyszła za nimi na zewnątrz, podczas gdy Clare ociągała się z opuszczeniem kruchty, rozmawiając

z ojcem Donahue o sprawach firmy. Słońce odbijało się od masek zaparkowanych samochodów, od płatów brudnego śniegu, leżącego wzdłuż krawężnika. Rosę zdrzała, żałując, że nie ma czegoś cieplejszego niż ten znoszony płaszcz z wielbłądziej wełny. Dziecko zaczęło grymasić i wiercić się w ramionach Rosę. Kołysała je, udając, że trzyma własne dziecko, jej i Briana. Kiedyś będziemy małżeństwem, ale z nami będzie inaczej.

W tym roku Brian obroni dysertację na uniwersytecie Columbia. Skończy z asystenturą i może złapie posadę w pełnym wymiarze godzin w Brooklynie albo nawet w Kingsborough. Może wtedy mogłaby zrezygnować z pracy i sama pójść do college'u. Umieścić Nonnie w domu opieki albo, do cholery, po prostu wysłać ją pociągiem ekspresowym do Clare, do Syracuse. Choćby nie wiem co, dopóki będę miała Briana, wszystko będzie dobrze.

- No, daj mi go - powiedziała Marie, ajej oddech na mrozie zastygał w biały pióropusz. - Pora na butelkę. I lepiej niech ci o tym nie przypomina. Nie uwierzyłybyś, jakie to dziecko ma płuca.

Rosę oddała dziecko w ramiona siostry. - Jest piękny, Marie. Masz szczęście. Troje wspaniałych dzieci.

I jesteś wolna od Nonnie.

Z twarzy Marie zniknęła na chwilę surowość i jej oczy zapaliły się dumą i tęsknotą. - Taaak, są w porządku.

Podczas gdy Marie nerwowo zajmowała się dzieckiem, Rosę sięgnęła do torebki. Dwadzieścia, to wszystko, co miała. Na żywność, a za to, co zostanie, zamierzała kupić dziecku prezent. Ale cóż, mały Gabriel nie będzie tęsknił za grzechotką czy parą bucików, a Marie przydałyby się pieniądze. Złożyła banknot na pół i kiedy Pete nie patrzył, wsunęła go w rękę siostry.

Marie rzuciła jej zdumione spojrzenie, a potem szybko spuściła oczy; dwie jaskrawe plamy koloru pojawiły się na jej ponurej, niegdyś ładnej twarzy. Skinęła głową w niemym podziękowaniu, a Rosę dojrzała twarde lśnienie łez w jej oczach.

Niezręczna chwila minęła i Marie, trzymając dziecko jedną ręką, jak torbę z zakupami, żwawo zmierzała przed siebie.

- Słuchaj, mała. Nie chciałam zostawiać ciebie i tej tam Dziewicy Marii, ale musimy iść. Pete właściwie musiał błagać swojego szefa o wolne i jeśli się spóźni... no, wiesz. Sześć miesięcy trwało, zanim znalazł tę pracę. Ma cholernego szefa, zmiany w weekendy i tak dalej. Poza tym, zostawiłam Bobby'ego i Missy z moją sąsiadką Kathleen, a ona jeszcze ma dwójkę własnych. Będzie chodzić po ścianach, jeśli szybko nie wrócę.

- W porządku - powiedziała Rose. - Może wpadłabyś w następną niedzielę, po kościele? Nonnie zazwyczaj jest wtedy w dobrym nastroju. Poza tym, nie widziała dziecka.

Marie zmarszczyła brwi. - Po co? Tylko zaczniemy skakać sobie do oczu, jak zawsze. Nic się nie zmieniło, a jeśli już, to tyle, że jest jeszcze gorsza, odkąd choruje. Jezu Chryste, nie wiem, jak to znosisz.

Rosę chciała wrzasnąć: Ja sama nie wiem, jak to znoszę! Jest gorzej, niż możesz sobie wyobrazić. Ale kto poza mną ma to znosić? Powstrzymała się jednak. Nie ma co wyładowywać się na Marie. Wzruszyła ramionami i powiedziała spokojnie: - Muszę.

Rosę wytrzymała spojrzenie siostry. Patrzyła w oczy tego samego dziwnego bladoniebieskiego koloru, co oczy Nonnie, tylko bardziej ludzkie. Zajrzała w głąb jej serca, ukrytego pod twardą, łamliwą skorupą.

- Zawsze ci zazdrościłam - powiedziała Marie głosem cichszym i żarliwszym niż zazwyczaj. - Jesteś silniejsza. Sprytniejsza. Nie jak Clare czyja. My wybrałyśmy łatwe wyjście. - Szybko wysunęła rękę; jej chłodne palce chwyciły nadgarstek Rose. - Nie pozwól, żeby cię pokonała, Rose. Nigdy się nie poddawaj.

Rosę cofnęła się, wytracona z równowagi. Była zdumiona. Marie? Zazdrościła jej?

- Cholera!

Okrzyk Pete'a odciągnął jej uwagę od Marie. Rosę odwróciła się i zobaczyła, że Pete gniewnie patrzy na swój samochód, zdezelowanego zielonego volkswagena z plamami rdzy. Pod wycieraczką powiewał mandat. Pete wyrwał go, potem odwrócił się i wymierzył dzikiego kopniaka w licznik parkingowy. - Dwie minuty. Ci dranie nie mogli nam podarować jeszcze dwóch pieprzonych minut.

- Chodź, Pete, teraz nie ma sensu tak się tym denerwować - nakłaniała go Marie ze znużeniem. - Nic nie możemy zrobić. - Z powrotem odwróciła się do Rosę, ściskając lekko jej rękę. - Słuchaj, dziękuję za... no, wiesz. Każdy grosz się przyda. Przyjdź czasem nas odwiedzić. Kiedy chcesz, zawsze jestem w domu. Bo gdzie, u diabła, miałabym być? - Kiwnęła głową w stronę wejścia do kościoła. - Pożegnaj Błogosławioną Dziewicę ode mnie, dobrze? Ja nie czuję się na siłach. Jeszcze jedna minuta patrzenia na tę jej aureolę i ośleplabym.

Jak kot uliczny, spadający zawsze na cztery łapy, Marie znów była dawną sobą, każąc Rosę zastanawiać się, czy nie wyobraziła sobie tylko przed chwilą tej innej Marie. Rosę nie mogła powstrzymać śmiechu. To o Clare to była prawda. Jednak czuła się trochę zawstydzona tym, że ma takie niemiłosierne myśli właśnie tu, na schodach Świętych Męczenników.

- Dobrze - obiecała. Pocałowała Marie w zimny policzek i pomachała ręką Pete'owi, który już siedział w samochodzie, uruchamiając silnik.

Była rozdarta między miłością do siostry i chęcią uduszenia jej. A teraz musi zająć się Clare, jak gdyby nie dość miała na głowie. Słodką, świętą, bezradną Clare. Patrzyła, jak jej siostra wynurza się z kościoła, krzywiąc twarz w ostrym świetle; jej usta rozdrażnionego dziecka zaokrągliły się w małe „o” rozczarowania, kiedy zobaczyła, że Marie odeszła.

- Marie nie mogła czekać - powiedziała jej Rosę. - Z jakiegoś powodu spieszyło jej się.

- Och, to moja wina - wesoło odpowiedziała Clare.
- Ojciec i ja byliśmy tak zajęci rozmową, że straciliśmy poczucie czasu. Niestety, trochę się posprzecaliśmy. Ojciec myśli, że to złe dla kościoła, ta Rada Watykańska papieża Pawła. Ja z początku myślałam inaczej, ale przypuszczam, że ojciec ma rację...

Rosę uczuła ukłucie irytacji. Dlaczego Clare nigdy nie trzymała się swojego zdania? Powinni byli wziąć trochę krochmalu z jej kornetu i wpuścić jej w kręgosłup.

Rosę spojrzała na zegarek. - Mamy dużo czasu do odjazdu twojego autobusu. Dlaczego nie miałybyś pójść ze mną do domu. Nonnie chciałyby tego.

- Nonnie, tak - przytaknęła Clare. - Wiesz, Rosę, codziennie odmawiam za nią różaniec i poprosiłam ojca Laughlina, żeby włączył ją do codziennego błogostawieństwa.

Wstrętny smak napłynął do ust Rosę, jak gdyby zjadła za dużo słodczy. Jak łatwo było Clare z jej różańcem. Rosę niemal słyszała delikatne dźwięczenie paciorków. Jak to miło ukłęknać w chłodnej ciszy kościoła, oddalając od siebie zmartwienia, kiedy inni w tym czasie muszą się pocić. Rosę, gotując się ze złości, zeszła po stopniach na chodnik, nie oglądając się, czy Clare idzie za nią i nie dbając o to. Wtedy usłyszała obok siebie głos Clare, nieco zdyszany, unoszący się w obłoku białej pary jak Duch Święty.

- Bóg jest z tobą, Rosę. On słyszy twoje modlitwy. Nie zapomni o tobie.

Nagle Rosę ogarnęła przemożna chęć, żeby uderzyć siostrę. - Słyszałaś, co się stało z Buddym Mendoza?
- Buddy mieszkał kiedyś po sąsiedzku, był dawnym kolegą szkolnym Briana. Twarz Clare, różowa z zimna, zaczerwieniła się jak od uderzenia. Nie było tajemnicą, że kiedyś podkochiwała się w Buddym, aż Nonnie odkryła to i położyła temu kres.

- Buddy? On... on poszedł do wojska, prawda?

- Był w Wietnamie. W zeszłym miesiącu przywieźli go do domu... a przynajmniej to, co z niego zostało.

Słyszałam, że rozerwało mu twarz. I nie ma większej części mózgu. Aparatura utrzymuje go przy życiu.

Rosę usłyszała, jak Clare gwałtownie łapie oddech, i zobaczyła, że robi znak krzyża. I natychmiast się zawstydziła. Zamknęła na chwilę oczy, czując się nieznośnie winna. Paskudna, oto jaka się stawała. Paskudna i podła jak Nonnie.

Były teraz na Avenue K. Mijały Suds'n'Duds, gdzie co sobotę Rosę prała brudne prześcieradła Nonnie, i salon piękności Eva z rzędem zakurzonych roślin w oknie, dokąd zabierała Nonnie na kąpiel i czesanie, podczas gdy pranie wirowało w wielkich niebieskich suszarkach.

Boże, zachowaj mnie od złego, modliła się Rosę w duchu.

Potem skręciły w ceglana ścieżkę, prowadzącą do ich bloku, do ciemnego hallu, śmierdzącego środkiem odkażającym. Wspinając się mozolnie po wysokich schodach, Rosę jak zawsze wyobrażała sobie najgorsze: Nonnie martwą po kolejnym udarze. Przeżyła chwilę oszałamiającej nadziei, a zaraz potem miazdzącego poczucia winy. Jak mogła życzyć śmierci swojej własnej babce?

Obróciła klucz w zamku i trzymała drzwi otwarte, żeby wpuścić Clare przed sobą. Nagle Clare zaczęła krzyczeć przenikliwym, piskliwym głosem.

Rosę wpadła przed nią do bawialni, ciemnej, oświetlonej tylko widmową poświatą telewizora. Unosił się w niej przyprawiający o mdłości, dławiący zapach, jak smród przepełnionej toalety. Matko Boża, co...?

Wtedy zobaczyła. Nonnie. Leżała rozciągnięta, twarzą w dół, na plastikowym chodniku, który ciągnął się ukośnie po dywanie. Poły jej kraciaty różowego szlafroka rozchyliły się, odsłaniając białe i cienkie jak patyki nogi. Martwa? O Boże, nie. To przez nią, bo tego pragnęła. Rosę uklękła. W głowie jej się zakręciło ze strachu i dzikiej nadziei, kiedy ujęła nadgarstek niczym kościany trzonek, powleczony luźnym, przelewającym się ciałem.

Nonnie poruszyła się i jęknęła. Straszliwy bagienny smród nasilił się i Rosę zbierało się na wymioty. Przełękając z trudem ślinę, pomyślała: O Panie, nie mogła dojść do łazienki, więc narobiła w majtki. Musiała upaść, próbując tam dotrzeć. Niech diabli porwą panią Slatky za to, że zostawiła ją samą.

Skrzeczenie telewizora wydało jej się nagle zbyt głośne, wywoływało pulsowanie w głowie. Jakaś głupia zgadywanka telewizyjna. Kobieta w przebraniu goryla podskakiwała w górę i w dół, krzycząc z radości, że wygrała lodówkę. Rosę również miała ochotę wrzeszczeć. Albo śmiać się szaleńczo. To była jej nagroda. Podła, stara kobieta, leżąca we własnym gównie.

Odwrociła się i spojrzała na Clare. - Pomóż mi ją podnieść. - Ale Clare tylko stała, przebierając w paciorkach różańca, który zwisał jej z pasa; jej niebieskie oczy były szeroko otwarte i puste. Okrągła, dziecinna twarz zastygła w wyrazie niesmaku. - Clare!

- Czy... czy myślisz, że powinniśmy ją ruszać? Przypuśćmy, że ma coś złamane?

Nonnie poruszyła się, próbując asiać. Rosę wsunęła rękę pod jej ramiona i sama zdołała podnieść ją na nogi. Nie była ciężka, nie cięższa, niż gdyby Rosę dźwigała kupę zeschniętych liści, wilgotnych i gnijących pod spodem. Ślina ściekała z kącika ust Nonnie, kiedy zmagająca się z dźwiękami, tłoczącymi się w jej gardle, próbując ukształtować je w słowa.

Niech diabli wezmą Clare i jej różaniec. Dlaczego nie pomogła? Gniew, który rozpałił się w Rosę, dodawał jej sił. Podtrzymując starą kobietę, zdołała zaciągnąć ją do łazienki. Uwolniła ją od szlafroka i jakoś wpakowała do wanny. Odkręciła wodę i sięgnęła do szafki po ręcznik. Nieunikniony obrzydliwy obowiązek umycia jej.

Po prostu nie myśl o tym. Myślenie tylko pogarsza sprawę. Rosę wyobraziła sobie gigantyczną strzykawkę, napełnioną novocainą, która odrętwiłaby ją całą. Wykonałaby zadanie, ale myślami byłaby gdzie indziej. Z Brianem. Dziś wieczorem. Zamierzali spędzić go razem i nie

pozwoli, żeby coś temu przeszkodziło. Nawet jeśli pani Slatky nie mogła zostać z Nonnie.

Brian powiedział, że musi z nią o czymś pomówić. O czymś ważnym. Boże drogi, niech powie, że nie może czekać, że powinniśmy się pobrać natychmiast, nie za rok. Tak bardzo go potrzebuję.

Okropny dźwięk oderwał Rosę od jej tęsknot. - Gaaa-arrraaagghhaa.

W końcu Rosę zrozumiała. Clare. Nonnie chciała widzieć Clare. Patrzyła na zasuszone, poszarzałe, blade ciało babki, pływające w brudnej kąpieli. Czuła się, jak gdyby ktoś uderzył ją w żołądek. Nonnie nic nie obchodziło, że Rosę pękał krzyż od noszenia jej tyle razy, że unicestwiała ją rutyna karmienia i to... uprzątanie tego paskudztwa. Chciała widzieć tylko Clare.

Ale gdzie, u diabła, jest Clare? Rosę znalazła siostrę klęczącą na plastikowym chodniku, gdzie przedtem leżała Nonnie. Jej usta poruszały się w cichej modlitwie.

Ogarnęła ją wściekłość gwałtowna jak nawałnica, słyszała w uszach jej ryk. Chciała uderzyć Clare, bezsensownie, natychmiast, tam, gdzie klęczała.

Gniew opuścił ją równie szybko, jak przyszedł. - Chce cię widzieć - powiedziała, zbyt zmęczona, żeby walczyć, zapadając się w sofę, słuchając westchnień plastikowego pokrycia.

Clare otwarła oczy i uśmiechnęła się, tak słodka i niewinna jak dziecko, budzące się z drzemki. - Tak... oczywiście. - Podniosła się, wygładziła habit, przechodząc bezszelestnie do następnego pokoju na gumowych podeszwach swoich butów zakonnicy.

Myśl o Brianie, perswadowała samej sobie Rosę, opuszczając głowę na złączone dłonie, usiłując odciąć się od smrodu i dzikiego, przenikliwego śmiechu z telewizora. Wkrótce będziemy tylko my. Na zawsze...

Rosę unosiła się w obłokach. Z dala od babki i piekielnego mieszkania przy Avenue K, z dala od wszystkiego,

co sprawiało jej ból. W ciepłym zagłębieniu pościeli obok niej leżała długa, swobodnie wyciągnięta sylwetka Briana. Rosę miała wrażenie, że unosi ją łagodny podmuch jego oddechu, czuła bicie jego serca. Bezpieczna. Spokojna.

Brian, kochany Brian. Jej kochanek. Myślenie o nim w ten sposób wydawało się na początku takie dziwne. Przypomniała sobie przyjemność, jakiej doznała za pierwszym razem, mdłące poczucie winy i wybuch płaczu. I oszalałego Briana, który myślał, że ją skrzywdził. Jedno pocieszało drugie, a potem tak jakoś się stało, że robili to od nowa.

Dziewięć lat temu. Matko Boża, czy to naprawdę tak dawno? Rosę przestała po tym chodzić do spowiedzi. Jaki z niej pożytek? Nie było sensu mówić Bogu, że żałuje, kiedy doskonale wiedziała, że będzie to robić nadal. I jak mogłaby przestać? Tylko miłość do Briana trzymała ją przy życiu. Mogła tylko mieć nadzieję, że Bóg, w swym nieskończonym miłosierdziu, jakoś zrozumie i przebaczy jej.

Rosę przesunęła się, oparła na łokciu, tak by móc mu patrzeć w twarz. Ponad jego ramieniem widziała okno, lampę uliczną, świecą w jasnym pierścieniu mgły, wysepki śniegu na trawniku South Field. A na prawo ceglany i łupkowy kadłub Butler Library. Ile razy tak leżała, wyglądając z okna pokoju Briana na pierwszym piętrze Hartley Hall? Marząc o dniu, kiedy nie będą musieli kraść chwil, żeby być razem.

Wkrótce, przyrzekła sobie. Najwyżej jeszcze rok. Po-tem będziemy razem, tak jak to sobie obiecaliśmy. Czekałam tak długo, że mogę poczekać jeszcze trochę, prawda?

Jej spojrzenie powróciło do pokoju. Wąska izdebka rozmiarów szafy, ściany podziurawione śladami po pine-skach, regały zavalone książkami. Książkami, o których marzyła, żeby samej je przeczytać, kiedy będzie miała czas. Hemingway, Faulkner, Fitzgerald, Joyce, Baudelai-re. A w rogu, na porysowanym dębowym biurku, stary

underwood Briana i stos zapisanych na maszynie kartek, wylewających się z pudełka. Powieść, którą pisał Brian, zanim zakopał się w swojej dysertacji. Rosę przeczytała powieść i uznała, że jest dobra. Więcej niż dobra. Pęczniała z dumy i grzała nią sobie serce. Nieważne, że to łóżko strasznie uwierało i że żadne z nich nie miało grosza. Pewnego dnia on będzie sławny, była o tym przekonana. Jego książki będą stały na półkach w studenckich pokojach, takich jak ten, obok Joyce'a i Faulknera.

Studiowała twarz Briana w cienistym półświecie z ulicy. Wszystkie płaszczyzny i zagłębienia. Pot błyszczał mu na czole i nosie. Zlizała kropelkę z jego skroni, rozkoszując się słonym smakiem na języku. - Mmmm. Mogłabym cię zjeść. - Schowała nos w jego szyi, szepcząc mu do ucha: - Ale co byś zrobił, gdyby nic z ciebie nie zostało?

- Rosę - Brian usiadł gwałtownie, zrzucając koce i prześcieradła. Owiało ich zimne powietrze. - Jest coś... co powinienem być ci powiedzieć, zanim... - Odwrócił się; jego profil rysował się na tle okna. - Jezu, jak ja tego nienawidzę. Chciałbym, żeby był jakiś łatwiejszy sposób powiedzenia tego.

Rosę zadrżała, krzyżując ręce na brzuchu, przyciskając do siebie łokcie. Coś było nie w porządku. Tak, czuła to. Jeszcze wcześniej, kiedy Brian kochał się z nią. Tak gwałtownie, że swoim niepohamowaniem sprawił jej ból.

- Brian, co to takiego? O co chodzi? - usiadła, przyciskając do siebie prześcieradło, czując potrzebę chronienia się przed złem, które nadchodziło.

- Powinienem być ci powiedzieć przed... Chodzi o to, Boże, kiedy cię zobaczyłem, mogłem myśleć tylko o tym, żeby cię przytulić i zaciągnąć tutaj.

Przerwała mu nerwowym śmiechem. - Wiem. Mokra marzenie każdego ministranta, prawda? Miła katolicka dziewczyna. Myślę, że to z powodu czegoś, co dodają do wody święconej, jakiegoś afrodyzjaku. Powinni sprzeda-

wać to w butelkach zamiast perfum. Eau de Vatican. Myślisz, że papież wzięłby to na siebie? - Jeżeli nie przestanie mówić, nie będzie musiała go słuchać. - Boże, pamiętasz, jakie miałam straszne ataki wyrzutów sumienia? Wiem, jak męczennicy musieli czuć się we włosienicach.

- Rose. Mam kartę powołania. Właśnie przyszła. Jego słowa padły jak burząca kula na kamienną ścianę. Jeszcze dzwoniło jej w uszach od uderzenia.

- To niemożliwe. - Ale jeszcze kiedy to mówiła, jej mięśnie skurczyły się i zimno przebiegło jej wzdłuż kręgosłupa.

- Stało się.

- Nie! - Dzwonienie w uszach przerodziło się w dzikie wycie alarmu wewnątrz jej czaszki. - Po prostu powiedz im. To pomyłka. Ktoś nacisnął niewłaściwy klawisz w komputerze. Nie musisz iść. Masz odroczenie. Nie mogą cię zabrać. Mój Boże, Brian, Vic Lucchesi zginął w Wietnamie. A biedny Buddy... - Nie mogła się zmusić, żeby to powiedzieć.

- Nie każdy... - zaczął mówić, ale ona zakryła uszy rękoma.

- Nie. Nie. Nie ty. Nie ty, Brian! - Słyszała, jak jej głos wznosi się do przenikliwego krzyku. Ale wydawało jej się, że ten krzyk dobiega z zewnątrz, jak wycie karetki pogotowia z ulicy.

- Rose, nie utrudniaj tego. - Próbował przyciągnąć ją w ramiona, ale oparła się temu, trzymając się sztywno. Bała się, że ulegając mu zaakceptuje tę straszną wiadomość.

- Nie mogą cię zmusić. - Usiłowała mówić spokojnie. - Masz odroczenie.

- Nie, Rose. Posłuchaj. Dostałem wiadomość, że mam zgłosić się na badania lekarskie. To było w zeszłym tygodniu. Nie widziałem żadnej potrzeby, żeby ci o tym mówić, przynajmniej nie od razu. No wiesz, gdyby się okazało, że mam szmery w sercu czy coś takiego i gdyby zdecydowali, że mnie nie wezmą. Ale dzisiaj dostałem

zawiadomienie. Jeden A. Mam się zgłosić w przyszłym tygodniu na przeszkolenie w Fort Dix.

Straszliwe białe światło wypełniło głowę Rosę. Jak w wiadomościach telewizyjnych o szóstej wieczorem, zobaczyła Briana, leżącego na polu ryżowym, krew plamiącą jego polowy mundur, rozlewającą się w szkarłatne kręgi po pianistej powierzchni wody. Nie. O Boże drogi, nie.

Odepchnęła od siebie ten przerażający obraz. Ale nie mogła się pozbyć przesączającego się przez nią chłodu, jak gdyby jej serce pompowało lodowatą wodę zamiast krwi.

To prawda, to nie żaden straszny sen na jawie.

Brian jedzie do Wietnamu. Po to, żeby do niego strzelano, może go raniono, a nawet zabito.

- Nie! - Rosę wyskoczyła z łóżka.

- Rosę - Brian przerzucił nogi nad brzegiem materaca, wyciągając do niej ramiona, prosząc.

Ale nie chciała podejść do niego. Niech go cholera. On prawdopodobnie chciał tego. Pieprzony bohater.

- Kanada - błagała. - Pamiętasz Rory Walkera? Pojechał do Kanady, chyba do Montrealu. A może do Toronto. Mógłbyś też wyjechać. Zacząć od nowa. Pojechałabym z tobą.

Brian bezwładnie opuścił ramiona wzdłuż ciała. Jego cień wyciągnął się na plecionej macie z trawy, na której stała, sięgając poza niejaki ponure przeczucie śmierci.

Drżała, nie panując nad sobą. Tak, jak gdyby miała wysoką gorączkę, czuła gorący ucisk za oczami, walenie w skroniach.

- Rory żyje w zawieszeniu - powiedział Brian spokojnie. - Nie może wrócić, nawet żeby odwiedzić swoją rodzinę. Zostałby aresztowany.

- Są inne sposoby. Sprzeciw sumienia. .

- Rosę, znasz tatę. To by go zabiło. Uczestniczył w lądowaniu pod Anzio, walczył na całym szlaku, aż do Alp. Mój dziadek brał udział w I wojnie światowej, był ranny pod Verdun. Pamiętam, że dziadek miał wykładane aksamitem pudełeczko, wetknięte w głąb górnej

szuflady etażerki. - Głos Briana stał się miękki. - Nigdy mi nie pokazywał, co w nim jest, aż do pewnego dnia, kiedy miałem może jedenaście lat. Przyłapał mnie i Kirka, jak bawiliśmy się w żołnierzy na pustej parceli zajego sklepem. Zabrał nas wtedy do środka i pokazał swoją Brązową Gwiazdę. Powiedział, że może teraz jesteśmy dostatecznie dorośli, żeby zrozumieć, co ona oznacza. Przynajmniej dla niego. Powiedział, że ludzie, którzy myślą, że na wojnie chodzi tylko o to, żeby być bohaterem i dostawać medale, mają źle w głowie. Wojna, powiedział, to coś naprawdę złego, ale udział w niej był konieczny, jak w gaszeniu pożaru, żeby nie wymknął się spod kontroli. Nie jest to nic, czym można by się puszyć. Po prostu robiło się to, co trzeba było zrobić.

- Ty nie jesteś twoim dziadkiem - rozpaczliwie odparowała Rosę. - To jest inna wojna. Nikt nawet nie wie, dlaczego w niej walczymy.

Brian podniósł wzrok i Rosę nie mogła nie dostrzec jasnego światła w jego oczach. - Może nie. Ale mimo wszystko posyła się na nią wielu chłopców. Chłopców, z którymi rośliśmy oboje. Vic i Buddy, i Gus Shaw. To, coś oznacza. Nie jestem pewien co. Ale jedno, co wiem na pewno, to, że jeśli się zadekuję, wyciągną jakiś inny numer. Numer kogoś innego, kto może spłonie, podczas gdy ja powinienem być tam, by gasić pożar. - Brian zawiesił głos. - Dużo o tym myślałem. Nawet przed tym. Nie mówiłem ci, jak bardzo czułem się winny z powodu moich odroczeń rok po roku, bo wiedziałem, że to by cię denerwowało. Ale teraz...

Rosę myślała o Johnie Wayne w *Zielonych beretach*. Dużo gadania o honorze i obowiązku, ale w rzeczywistości jego chłopcy uwielbiali sobie po prostu postrzelać. Ale Brian? Nie, wszystko, co mówił, było prawdziwe. Boże, powinna była wiedzieć.

Wróciło do niej dawno zapomniane wspomnienie. Piąta klasa, Brian wychodzi ze szkoły, wewnętrzną stronę dłoni ma czerwoną i opuchniętą, poznaczoną pręgami. Brat Joseph walnął go sześć razy linijką.

- Dlaczego, Brian? - zapytała, tak wstrząśnięta i zraniona, jak gdyby i ją uderzono. - Co zrobiłeś, że zmusiłeś go do tego?

- Nic - powiedział ze wzruszeniem ramion. Och, jaki był nonszalancki. - To Dooley. Wybił okno na probostwie. To był wypadek, ale on już jest pogrążony po uszy u brata Josepha. Dostałby dziesięć razy więcej.

Och, Brian. Poszłabym zamiast ciebie, gdybym tylko mogła, pomyślała Rosę. Bo jeżeli coś ci się stanie, ja też umrę. Osłabła. Plecioną juta wrzynała jej siew kolana, skurcz w żołądku był jeszcze silniejszy. Czuła się cała poraniona, jak gdyby ją pobito.

Jaka głupia była martwić się, że Bóg odbierze jej Briana. Nie, traciła go przez niego samego. Prawie tak, jak gdyby poszedł do ośrodka rekrutacyjnego i wpisał się na listę. Opuszczał ją.

Wezbrał w niej gniew. Skoczyła na równe nogi i chwyciła pierwszą rzecz, jaka jej wpadła pod rękę - dzbanek z etażerki, wypełniony drobniakami. Cisnęła nim o ścianę. Rozległ się trzask, a potem monety z brzękiem rozsypały się wokół, odbijając się od mebli, tocząc po podłodze.

- Ty sukinsynu, jeśli pozwolisz się tam zabić, nigdy ci tego nie przebaczę! - Twarz i oczy paliły ją od żrących jak kwas łez. - Nie obchodzi mnie, kto pójdzie na twoje miejsce - łkała. - Nie obchodzi mnie, kto zostanie zabity. O Boże, mój żołądek. Boli. Nienawidzę cię, Bri. Czy mnie słyszysz? Nienawidzę cię za to, co zrobiłeś.

Jego ramiona znalazły się wokół niej, tuląc ją, powstrzymując ją od rozsypania się na kawałki. Oplatając ją. Grzejąc ją.

Matko Boża, co ona mówiła? Oczywiście, że on nie umrze. Oczywiście. Przywarła do niego z płaczem.

- Nie płacz, Rosę. - Jego głos drżał i poczuła coś wilgotnego na szyi. Łzy. Łzy Briana. - Wiem, że rok to długo i będę za tobą tęsknił. Chryste, już teraz tak za tobą tęsknię, że aż boli. Ale nic mi się nie stanie. Obiecuję.

Rosę przylgnęła do niego mocniej. Miała wrażenie, że wydarło jej serce i została tylko ta wielka, boląca dziura w piersi. Jak ja to zniosę? - zastanawiała się. Oczekiwanie. Od jednego listu do następnego. Nie wiedząc, czy jest zdrow, czy jest ranny albo, co najgorsze, czy jest...

Odsunęła się od niego, uniosła twarz i napotkała jego piękne szare oczy.

- Nie obiecuj, Brian. Obietnice się łamie. Po prostu wróć. To wszystko. Tylko wróć do mnie.

ROZDZIAŁ 4

- Doktor Mitchell proszony na izbę przyjęć. Doktor Mitchell...

Rachel przeszła szybkim krokiem przez oddział piąty zachodni i stalowe drzwi obrotowe, które prowadziły na oddział położniczy. Spojrzała na zegar nad oszkloną dyżurką pielęgniarek. Spóźniła się na poranny obchód. Cholera. Tylko tego jej dzisiaj było trzeba.

Czuła się rozbita i ospała mimo dwóch filiżanek kawy na pusty żołądek i oszałamiełego biegu w lodowatym deszczu. Ale na myśl, że teraz w każdej chwili może zobaczyć Davida, serce zaczęło jej walić. Wsunęła rękę do przedniej kieszeni swego białego lekarskiego fartucha.

Dotknęła skrawka papieru. Widziała w myślach różową bibułkę z laboratorium ze słabo odbitą czcionką: CIAŻA, WYNIK POZYTYWNY. Nawet teraz, po dwunastu godzinach, wydawało jej się, że te słowa parzą jej palce i wywołują wirowanie w głowie.

No dobrze, Boże, Opatrzności, kimkolwiek jesteś, naśmiałeś się do syta. Ale co teraz?

Nie spała prawie całą noc, zadając sobie to pytanie i wcale nie była bliższa odpowiedzi. Przez całe życie mama mówiła jej, że rano wszystko wygląda lepiej, ale tego ranka Rachel myślała, że raczej gorzej.

Zdała sobie sprawę, że Grace Bishop popatruje na nią i poczuła się jak w pierwszej klasie, kiedy przyłapano ją na żuciu gumy. Grace była przełożoną pielęgniarek na położniczym, prawdopodobnie jeszcze zanim Rachel przysłała na świat, i od nikogo nie przyjmowała uwag. Stała pewnie, wrosnięta w korytarz przed dyżurką pielęgniarek, z ramionami skrzyżowanymi na biuście wielkim jak bęben straży miejskiej. Rozplotła ramiona, żeby znacząco spojrzeć na zegarek wielkości zegara w hali fabrycznej, który miała zapięty na nadgarstku koloru kawy. Każdym ruchem wyrażała swą dezaprobatę dla każdej młodej lekarki, jaka kiedykolwiek weszła na jej piętro.

Rachel, w wieku dwudziestu pięciu lat, o wiele młodszą od pozostałych - skończyła szkołę średnią rok wcześniej niż jej koleżanki z klasy i w siedem lat uporała się z ośmioma latami college'u i studiów medycznych - czuła się jeszcze młodsza, jak dziecko spóźnione do przedszkola, nad którym pojawił się wychowawca.

- Obchód już się zaczął - powiedziała Grace z ostrym jamajskim akcentem. - Lepiej niech się pani pospieszy.

Rachel sztywno skinęła jej głową i pomyślała z gorzkim rozbawieniem o tym gagu z programu telewizyjnego, gdy Dan Rowan otrzymuje policzek i mówi: „Dziękuję, bardzo tego potrzebowałem”.

Wtedy Rachel spojrzała na siebie oczyma Grace. Te same zmięte spodnie khaki, co wczoraj, i plama po kawie na kłapie jej białego fartucha. Włosy ściągnięte z tyłu w wystrzępiony warkocz, twarz, w niemiłosiernie jaskrawym, fluoryzującym świetle z sufitu upiornie blada, pod oczyma cienie z braku snu.

Chociaż raz nie mogła winić Grace za to, że krzywo na nią patrzy. Nagle wkradła się w nią dawna, na pół histeryczna, nieprzeparta chęć chichotania, razem z ab-

surdalnym impulsem, żeby powiedzieć Grace: Proszę się nie martwić, mam dobre kwalifikacje. Kto byłby lepszy do opieki nad kobietą w bólach porodowych niż lekarka w ciąży?

Ale nie czas teraz tracić zimną krew. Pobiegła lekkim truchtem zielonym korytarzem w kierunku oddziału pierwszego. Rytm jej serca zdawał się utrzymywać tempo uderzeń jej adidasów o płytki linoleum, podczas gdy ona wyobrażała sobie, jak wyjawia Davidowi nowinę.

Przepraszam za spóźnienie... Odciąga go na bok i szepta: A nawiasem mówiąc, jestem w ciąży.

Nie, niezupełnie tak. Może to dobre w programie telewizyjnym, ale nie w prawdziwym życiu.

David, wiem, że nie planowaliśmy tego... ale jakoś nam się uda...

Czyż nie widziała tego w kinie? Sandra Dee i Troy Donahue. Ostatnie ujęcie w świetle zachodzącego słońca, z czule obejmującą się parą. Najdroższa, kocham cię, i tylko to się liczy.

- Tandeta - zakłęta cicho, schodząc z drogi wózkowi, który przemknął obok, popychany przez udręczonego sanitariusza. Miała sobie za złe łzy, czające się w kącikach oczu.

Kiedy ty dorośniesz? Niczego ci nie obiecywał, a ty chcesz mieć cały sztafaż. Walentynki i skrzypce, pudełko cygar plus przystojnego doktora, przysięgającego postąpić właściwie wobec dziewczyny, którą kocha.

Tylko kto wie, co to znaczy postąpić właściwie w dzisiejszych czasach? Sto lat temu, nawet dziesięć, znaczyło to pospieszny ślub. Teraz miało się wybór. Różne opcje.

Możesz usunąć ciążę.

Rachel próbowała wyobrazić sobie strzępek wewnątrz niej, który był ich dzieckiem, nie większy niż główka szpilki, ale wizja ta rozmyła się we łzach. Niemal potknęła się, uderzając w ścianę z wielką czerwoną strzałką, wskazującą drogę na radiologię.

Co za ironia. Zawsze opowiadała się za przerywaniem ciąży. Dowodziła płomiennie, że powinno być takim

samym fundamentalnym prawem jak prawo głosowania dla kobiet. I była również za zerowym wzrostem populacji. Ale, do cholery, to nie był po prostu przyrost na wykresie populacji, to było życie rosnące w niej. Dziecko. Jej dziecko.

Myśl o tym, że zostanie ono z niej wyskrobane, splukane w jakimś sedesie, wywołała bolesny skurcz w jej żołądku.

A jednak, jaki miała wybór? Urodzić dziecko i odłożyć na bok wszystko, na co tak ciężko pracowała?

Lata studiów medycznych z uczuciem, że jej mózg ściskano w imadle. Smród formaldehydu, który nie dawał się zmyć. Sen, nawiedzany widmami na pół pokrojonych, powracających do życia trupów.

A jednak kochała to. Auditorium Schwartza z purpurowymi siedzeniami i stałym odorem potu, brzęczący monotonnym głosem profesor patologii, który nieodmiennie ją usypiał, doktor Duberman z jego nie kończącymi się zagadkami z hematologii. A potem praktyka na trzecim roku, praca z prawdziwymi pacjentami, ludzie, którzy jej potrzebowali, prawdziwi ludzie, doznawane po raz pierwszy uczucie, co to znaczy przywracać zdrowie.

A teraz doszła tak daleko, do połowy stażu.

Rachel przypomniała sobie, jak przyszła tutaj na rozmowę wstępną. Długa podróż metrem, prawie godzinę, do serca Brooklynu, stłoczone wokół niej przeważnie czarne i brązowe twarze. Wyjście na Flatbush Avenue z jej walącymi się sklepami i znużonym ludźmi, potem sześć przecznic popękany i brudnym chodnikiem do tego nieokreślonego budynku, trzynaście pięter okopconego szarego kamienia i okratowane szyby nierozpryskowe. Wyjąwszy fakt, że nie otaczało go żadne ogrodzenie, wyglądał raczej jak więzienie niż miejsce, do którego ludzie przychodzili po zdrowie. Wkrótce przekonała się, że przychodzili gromadnie, Haitańczycy, Portorykańczycy, Dominikańczycy, czarni, ludzie bez ubezpieczenia i pieniędzy, którzy rozpaczliwie potrzebowali opieki medycznej.

Oto dlaczego wybrała Szpital Dobrego Pasterza mimo namów ojca, aby poszła do Prezbiteriańskiego lub Mount Sinai. I bardzo jej się tutaj podobało. Jeśli ją zaakceptują, chciałyby zostać jako specjalista położnik. Była już niemal u celu, jeszcze dwa miesiące, dyżury na oddziale nagłych wypadków i ukończy staż. Więc jak mogłaby odejść, zrezygnować z tego wszystkiego? Nie mogła.

Skręcając w prawo w końcu korytarza, Rachel dojrzała przed oddziałem pierwszym grupę postaci w białych fartuchach laboratoryjnych, z twarzami wciąż obrzmiałymi od snu, popijających kawę z tekturowych kubków. Inni, ci, którzy byli na nocnym dyżurze, mieli oczy błyszczące i szkliste i omdlewali z wyczerpania. W oślepiającym, fluoryzującym świetle wszyscy mieli trupio szary wygląd.

Ale jeszcze ani śladu Davida, Bogu dzięki. Pienił się, kiedy ktoś się spóźniał na obchód. I jej dotyczyło to tak samo jak innych. Uzgodnili na początku, że nie będzie specjalnych względów.

Joe Israel przywitał ją ziewnięciem. - Ominęła cię cała nerwowa. Bliźniaki. Dama po prostu weszła z ulicy przy dziesięciu centymetrach i upuściła je jak miot szczeniąt.

Rachel popatrzyła na Israela, wysokiego, chorobliwie chudego, z poznaczoną trądzikiem twarzą, która przypominała jej tarczę do rzutków w sali bilardowej. Lubiła Israela, ale miot szczeniąt? Jezu.

Janet Needham posłała mu miążdzące spojrzenie. - Czy myślałeś kiedy o przerzuceniu się na weterynarię, Israel?

Janet była jedyną poza nią stażystką płci żeńskiej. Rachel próbowała ją polubić, ale było to trudne. Janet nie lubiła samej siebie. Z nadwagą, tłustymi brązowymi włosami ściągniętymi z tyłu gumką, ciągle patrzyła wilkiem, podejrzliwa w stosunku do każdego, kto zwracał się do niej przyjaźnie.

Israel, unosząc kubek z kawą, uśmiechnął się do Janet. - Jeśli pomyślę, ty pierwsza się o tym dowiesz.

- Uspokójcie się, wy dwoje - syknął Pink. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Walter Pinkham. Rachel naliczyła dzisiaj pięć piór, przypiętych do górnej kieszeni jego białego fartucha. Był jedynym stażystą, jakiego znała, który nosił teczkę.

Rachel dojrzała Davida, zbliżającego się ku nim dużymi krokami. Wydawał się taki wysoki w nieskazitelnie białym fartuchu, emanując stanowczością, wprawiając w ruch powietrze, pobudzając sennych stażystów do wyprostowania ramion choć trochę, by stali się wyżsi.

Serce zaczęło jej walić. Boże drogi, dlaczego on tak na nią działa? Spocone dłonie, przypływ adrenaliny, i tak dalej. Lata całe wierzyła, że jest oziębła, a teraz obawiała się, że całkiem przeciwnie. Ostra nimfomania.

Uśmiechając się do siebie, przypomniała sobie, co przyszło jej na myśl podczas ich wstępnej sesji: Ktoś tak przystojny musi być do niczego.

Wymarzony do roli lekarza w serialu telewizyjnym, z tymi ognikami w zielonych oczach, jasnymi włosami, opadającymi chłopięco na czoło, w stylu JFK. Ma nawet, niech mnie nieba mają w opiece, dołeczki, dwa po obu stronach ust i jeden, całusnyjak u Cary Granta, pośrodku podbródka.

Ale po trochu, po trochu - i Bóg jeden wie, dlaczego ją wybrał - zdobył ją, zalecając się do niej, jak gdyby była nakrochmaloną nauczycielką z wiktoriańskiej powieści, przynosząc jej jednego dnia różę, drugiego goździk, kwiaty bez wątpienia zebrane z pokojów pacjentów, którzy się wypisali. Raz czy dwa nawet liścik wjej szafce, zupełnie jak w szkole średniej.

A teraz dziecko, pomyślała z gorzkim rozbawieniem.

- Dzień dobry państwu. Przepraszam, że kazałem wam czekać. Nagły przypadek. - David zatrzymał się. Jego spojrzenie prześliznęło się po niej, nie napotykając jej oczu.

Rachel zrobiło się zimno ze strachu, że nie znaczy dla niego więcej niż inni. Ale zdrowy rozsądek szybko jej

powrócić. To było głupie. On tylko był dyskretny, tak jak musiał. Oczywiście, że ją kocha.

Ale wciąż była bardzo spięta, trzymając się sztywno, jak gdyby różowa kartka z laboratorium była bombą z literowym zapalnikiem, która może wybuchnąć, gdy tylko Rachel wykona jakiś nagły ruch.

Wmieszała się w grupę, gdy szli za Davidem na oddział. Długi pokój, pomalowany na przyprawiający o mdłości żółtozielony kolor, z rzędami łóżek, oddzielonych wyświechtanymi brązowymi zasłonami. Stare kaloryfery pobrzękiwały i syczały. Dlaczego nikt nie pomyślał o uchyleniu okna?

David ztrzymał się przy pierwszym łóżku. Zajaśniała blada twarz, okolona splotami ciemnych włosów. Prześcieradło podciągnięte do wystających obojczyków, w których zagłębieniu migotał maleńki krzyżyk. Wyglądała tak młodo, że było to aż rozczulające. Już matka, a sama jeszcze dziecko.

David popatrzył na jej kartę, a potem na Gary'ego McBride'a obok siebie. - Sądzę, że to pańska pacjentka, doktorze McBride?

Gary, o chłopięcym wyglądzie, z piegami i sterczącymi kosmykami rudych włosów, przypominał Rachel przerosniętego Tomka Sawyera. Jednakże był dobrym lekarzem. Dbał o pacjentów.

Gary nawet nie spojrzął na swoje notatki. - Panna Ortiz. Szesnaście lat. Pierwiastka. Została przyjęta o drugiej nad ranem, cztery centymetry rozwarcia. Ciśnienie krwi normalne. Ale było trochę krwawienia z pochwy, a bicie serca płodu powolne. Skonsultowałem się z doktorem Melrose'em i on zaordynował cesarskie cięcie.

- Jak się miewa dzisiaj nasza pacjentka? - dopytywał się David.

- Ciśnienie krwi trochę za niskie. Niewielki wzrost temperatury. Skarzyła się na ból, więc dałem jej demerol.

Rachel patrzyła, jak David odgarnia prześcieradło i podnosi koszulę panny Ortiz, ostrożnie zdejmując płat poplamionej betadyną gazy, przykrywającej cięcie.

Rachel patrzyła na jego ręce, przejęta lękiem. Boże, jakie one były piękne. Ręce artysty, rzeźbiarza w żywym ciele. Szerokie kwadratowe dłonie o długich, dziwnie delikatnych palcach, które zwężyły się stożkowato w płaskie blade półksiężycy paznokci. Ręce zdolne czynić cuda. Obserwowała go na chirurgii, jak podwiązuje najbardziej kruche naczynia bez rozrywania ich, widziała, jak odciąga krew z czaszki płodu, po prostu sięgając po omacku do macicy jego matki.

A czy uczucia, jakie w niej wzbudził, nie były również rodzajem cudu?

Z płonąca twarzą przypomniała sobie ich pierwszą noc. Scena uwodzenia w hollywoodzkim stylu. Jego mieszkanie, szampan z lodu, cicha muzyka (utkwiał jej w pamięci temat przewodni z *Kobiety i mężczyzny*), potem opadli na łóżko, prześcieradła pachniały wodą po goleniu English Leather. Spryt tego posunięcia podniecał ją, a jednocześnie gdzieś w głębi pozostawiał nieco chłodną, jak nie całkiem jeszcze rozmrożony obiad według telewizyjnego przepisu.

Potem, gdy się kochali, on przestał nagle. Uniósł się na łokciach, żeby spojrzeć na nią w dół ze zdumionym uśmiechem.

- Nie sprawia ci to wielkiej przyjemności, prawda?
- zauważył.

Za bardzo zaskoczona jego bezpośredniością, żeby kłamać, odpowiedziała: - Nie wiem dlaczego.

W latach po Masonie Goldzie była tylko z trzema mężczyznami. I z każdym następnym było gorzej niż z poprzednim. A teraz chciało jej się płakać.

David wysunął się delikatnie i przesunął w dół materaca, aż jego głowa znalazła się między jej sztywnymi udami. I wtedy, o Boże, muśnięcie jego języka. Opierała się najpierw, zbyt przestraszona i zawstydzona, aby czuć cokolwiek. Ale potem powoli, powoli, dziwne uczucie podniecenia zaczęło się przebijać przez mur jej obrony, uczucie, które było z pewnością zabronione, a mimo to wzbudzało dreszcz. Jego język odnajdywał sekretne miej-

sca przyjemności, o której istnieniu wcześniej nie wiedziała. Te igraszki zdawały się trwać godzinami, aż zaczęła drzeć, wyśpiewując w końcowym crescendo tak żywą rozkosz, aż miała wrażenie, że na pewno stopniuje od jej oślepiającego gorąca.

A potem on podniósł się na kolana i uśmiechnął się, kiedy znów wsunął się w nią. - Czy teraz lepiej?

Czy to było tamtej nocy? - zastanawiała się teraz. Osiem tygodni, to by się mniej więcej zgadzało. I była w tym jakaś sprawiedliwość losu, jeśli się wierzyło w takie rzeczy. Dać się wpędzić w ciążę za pierwszym razem, kiedy się odkryło, że seks może być cudowny.

Rachel oderwała wzrok od rąk Davida. Obawiała się trochę, że się zdradzi, że dostanie waporów, jak bohaterka powieści Charlotte Bronte. Prawdę mówiąc, rzeczywiście czuła się trochę słabo. Może dlatego, że nie jadła śniadania. A może dlatego, że...

I wtedy uderzyło ją to, nie brak miesiączki czy litery na skrawku różowego papieru, ale naga, bezwzględna rzeczywistość słów: Ciąża. Jestem w ciąży.

Patrzyła, jak David opukuje pocięty, oklapły balon brzucha pacjentki. Ale patrzyła z nowym, całkiem nieoczekiwanym rodzajem zafascynowania. Było to tak, jak gdyby na jedną straszną chwilę wyszła poza siebie. Już nie lekarz, a po prostu kobieta, wtajemniczona w odwieczne sekrety macierzyństwa.

Łzy napłynęły jej do oczu, oślepiając na chwilę, kiedy wyobraziła sobie narodziny tego dziecka w niej. Maleńka cudowna istota, powstała z jej krwi i kości, po tym, jak tyle razy ten cud zdarzył się innym. Obajmowanie jej ramionami, tulenie jej do piersi, ciężkich od słodkiego mleka.

Nie tak, wszystko nie tak, powiedziała sobie. Nie miała prawa go chcieć. W jej życiu nie było miejsca na dziecko. Może za kilka lat. Ale nie teraz.

Z wściekłością odpędziła łzy i starała się skupić na pacjentce, próbując jednocześnie w myślach postawić własną diagnozę.

- Co pani czuje? - pytał David dziewczynę, która krzywiła twarz i zagryzała wargi.

Skierował na nią swe błyszczące szmaragdowe spojrzenie i dziewczyna natychmiast znieruchomiała, jak uczennica wywołana przez nauczyciela.

To spojrzenie to także część uroku Davida, pomyślała Rachel. Spojrzenie, które wzbudzało całkowite zaufanie. Doktor Kildare i Ben Casey w jednej osobie. Rachel była całkiem pewna, że gdyby David kazał pannie Ortiz wstać i zrobić pięćdziesiąt pompek, nie zawahałaby się ani chwili.

- Boli? - zapytał David, naciskając nieco mocniej.

- Trochę - wyszeptała dziewczyna.

Rachel widziała, że zbladła jeszcze bardziej, ale nadal nie poruszała się, podczas gdy David więził jej spojrzenie i ciągle sondował ręką.

Wyprostował się i jednym szybkim ruchem opuścił koszulę dziewczyny. Odwrócił się twarzą do swego audytorium, zwracając się do Gary'ego McBride'a.

- Mamy tu niewielką bolesność. Proszę zwrócić na to uwagę. To może być zakażenie. Chcę mieć badanie na całkowitą liczbę krwinek i jeszcze raz po południu, żeby zobaczyć, jak się zachowują jej białe ciała. - Zmarszczył się nad kartą. - Nie widzę nazwiska opiekującego się nią lekarza. Kto zapisał historię pacjentki?

- Ja... ja zapisałem - zająknął się Gary. - Ona jest pacjentką doktora Gabriela, ale nie mogłem się skontaktować...

- Nie obchodzi mnie, czy on jest na księżycu - uciał David. - Chcę mieć jego nazwisko na karcie razem z wszystkim innym, nawet jeśli pan uważa to za nieistotne, doktorze - sarkastycznie podkreślił „doktorze”.

Rachel patrzyła z konsternacją, jak Gary oblał się jaskrawym rumieńcem; jego piegi odznaczały się jak na komiksowym rysunku. Widziała w jego twarzy, że bałwochwalczo czcił Davida i był zdruzgotany jego dezaprobatą.

- Przepraszam, doktorze Sloane. To... to było niewybaczalne. To się więcej nie powtórzy.

Rachel bardzo chciała wkroczyć, wykrzyknąć: Nie, Davidzie! Nie w ten sposób. Jesteś na to o wiele za delikatny. Znała go, tę jego stronę, której nie znali inni. Pragnęła, żeby zobaczyli go takim, jaki był naprawdę.

Nagle, jak gdyby czytał w jej myślach, David uśmiechnął się tym olśniewającym uśmiechem, wyłaniającym się jak słońce zza chmury, i Rachel odprężyła się. David poklepał Gary'ego po ramieniu.

- Jestem pewien, że nie. Wszystko inne przeprowadził pan poprawnie. Dobra robota, doktorze. A teraz...

David odchodził do następnego łóżka, do następnej pacjentki, zostawiając Gary'ego McBride'a uśmiechającego się w ślad za nim. Jego ulga była tak widoczna, że aż nieco komiczna.

Tak, właśnie taki będzie, kiedy mu powiem, pomyślała Rachel. Najpierw będzie zaskoczony, zdenerwowany, może nawet trochę zły. Ale potem obejmie mnie i przytuli, powie, że mnie kocha i że wszystko będzie dobrze.

I będzie, powiedziała sobie. Po prostu musi być.

Rachel uczuła, że drży, i szybko wsunęła ręce w kieszenie, żeby nikt nie zobaczył. Jej palce otarły się o papier. Teraz nie wydawał się taki straszny, tak niemożliwy do zaakceptowania jako coś realnego.

Powiem mu dziś wieczorem, postanowiła.

Po raz pierwszy od dwunastu godzin, odkąd wiedziała, Rachel poczuła, że sprawy mogą ułożyć się dobrze.

- Łotr! Mieliliśmy do czynienia z zatrzymaniem poprzednim, dziecko należało wyciągać klamrami, a on guzdrał się jak student pierwszego roku. Chryste, facetowi na mózg padło. Cuchnęło od niego alkoholem...

Rachel patrzyła, jak David kroczy wściekle w tę i nazad po wytartym bergamańskim dywanie w jej małej bawialni. Była to ostatnia straszna historyjka o doktorze Petrakisie. David ma rację, pomyślała leniwie. Jest szefem oddziału położniczego, czy nie, ten

człowiek powinien być wylany przed laty. Niepohamowany alkoholik, niezdolny do wykonywania pracy sanitariusza.

Ale trudno jej się było tym przejąć. Nie mogła przestać myśleć o dziecku. I o tym, jak powiedzieć Davidowi. Rozmyślała nawet o tym, żeby napisać list do niego i wsunąć mu go do kieszeni, kiedy będzie wychodziła. Drogi Davidzie, mam dla ciebie pacjentkę. Jest mniej więcej w ósmym tygodniu w ciąży i prawdopodobnie jest odchodzącą od zmysłów psychotyczką...

Ale czy byłoby szaleństwem, pytała samą siebie, utrzymać tę ciążę? Zwinięta na sofie, Rachel położyła sobie rękę na brzuchu. Oczywiście było za wcześnie, żeby czuć cokolwiek, ale ona czuła. Rodzaj ciepła, nieustanne żarzenie się. Tak jak oświetlone nocą okno mówi przechodniowi, że ktoś jest w domu.

Ale czy on zrozumie? Pamiętała, jak kiedyś jej powiedział, że jedną z cech, jakie w niej podziwiał, jest jej twardość, to, że nie jest ckliwie sentymentalna jak większość kobiet. A czy jej pragnienie dziecka nie było właśnie tym?

Przecież nie prosiłam się o to, do cholery. I on wie o tym.

Jednak gdy patrzyła na niego teraz - oczy zwężone w zielone szparki, twarz udręczona gniewem, wściekłe stąpanie, od którego na starym dywanie tworzyły się niewielkie wybrzuszenia - robak zwątpienia zaczął toczyć jej wnętrzności.

I jak mogłaby odejść stąd, zamieszkać z nim? Bardzo lubiła to mieszkanie w Village mimo pięciu kondygnacji schodów i pokoiów rozmiarów znaczka pocztowego. I bardzo lubiła dzielić je z Kay Krempel, dyplomowaną pielęgniarką, którą poznała w Bellevue i która była bardziej zabawna i była lepszą przyjaciółką niż ktokolwiek inny. Był to pomysł mamy - właściwie prezent od niej, gdyż nalegała na opłacanie mieszkania i dogłądanie wszystkiego - żeby zeszkrobać z popękanych i wyżłobionych ścian warstwy farby, datujące się od ery paleozoicznej

nej, do gołej cegły, zedrzyć farbę z listw i pozostawić nagie drewno. Potem sprowadziły rośliny w meksykańskich doniczkach, niedrogie ratanowe meble z poduszkami z madrasu i sufitowe wiatraki do każdego pokoju. „Wczesna Casablanca” - ochrzciła ten styl Rachel i była zachwycona mieszkaniem, chociaż wołałyby, żeby mama przestała się tu kręcić.

Oszalałaś? Ostro napadła na siebie. Oczywiście, że opuściłabyś to miejsce dla Davida. Któż by tego nie zrobił?

- ...facet jest przeklętym maniakiem. Pieprzyć procesy o niewłaściwe leczenie, powinien być aresztowany. Gdybym miał coś do powiedzenia w zarządzie...

Patrzyła, jak David zatrzymuje się przed pozbawionym zasłon oknem, wychodzącym na Grove Street. Za dnia czuło się wspianały zapach chleba z włoskiej piekarni na dole, widziało stare komody, wnoszone i wynoszone ze sklepu z antykami, obserwowało trzymające się za rękę pary, idące do Pierre's Bistro.

Teraz okno było ciemne i Rachel widziała tylko majaczące odbicie Davida. Wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna w wyprasowanych granatowych spodniach i jasnoniebieskim swetrze z wycięciem w literę V. Włosy gładko przyczesane. Sportowe buty bez skarpetek to, jak dotąd, jedyne jego ustępstwo na rzecz dzisiejszego, non-szalanckiego stylu życia. Wyglądał, jak gdyby wyszedł wprost ze stron „Gentlemans Quarterly”. Niemal widziało się podpis pod spodem: PRINCETON. ROCZNIK 60. ZAŁOGA VARSITY. Przez kontrast widok jego zastryglonej twarzy i napinających się mięśni szyi, gdy walczył o odzyskanie panowania nad sobą, sprawił na Rachel niepokojące wrażenie, że w jakiś sposób istnieje dwóch Davidów, mocujących się w jednym ciele. Nagle doznała nieprzyjemnego uczucia, że jest o krok od odkrycia czegoś, o czym lepiej było nie wiedzieć.

Raptownie odwróciła wzrok, spoglądając w dół, na drinki ustawione w niewielkich plamach wilgoci na małym dębowym stoliku. David nie tknął drinka i lód się roztopił.

Rachel rozprostowała nogi i podniosła się. - Przyniosę jeszcze lodu - powiedziała ze sztuczną wesołością. - A skoro już wstałam, to może zrobić coś do zjedzenia?

Jak tylko się uspokoi, powiem mu, przyrzekła sobie.

- Co jest w karcie? - zawołał za nią David, kiedy okrążała albumy płytowe, porozrzucane jak karty do gry przed szafką ze sprzętem stereo. Zatrzymała się z uśmiechem i podniosła dwa pierwsze. *Surrealistyczna poduszka i Beyerly Sills w Covent Garden*. Oto w pigułce różnica między nią i Kay.

Rachel myślała o surrealnej rozmowie, jaką odbyła z Kay tego ranka, zanim obie wypadły z mieszkania. Ona, skulona na krześle, z oczami zapuchniętymi od płaczu. Kay stojąca przy zlewie, połykająca kawę rozpuszczalną niczym rewolwerowiec, który wlewa w siebie whisky w saloonie Long Branch w Dodge City. Całe sto pięćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu w drewniakach dra Scholla, białym pielęgniarским uniformie obciągniętym na pulchnym siedzeniu, w aureoli ciemnych loków.

- Nie mogę ci powiedzieć, co robić - mówiła Kay. - Po prostu, cokolwiek postanowisz, upewnij się, że to ty tego chcesz, nie David. - Znad brzegu kubka z kawą posłała Rachel posepny półuśmiech. - Wiesz, zawsze myślałam, że gdzieś głęboko w każdej z nas ukryty jest grób, gdzie grzebiemy nasze pragnienia pod pragnieniami jakiegoś mężczyzny. Tylko zdaje się, że nie można ich zakopać na długo, czyż nie? Nigdy naprawdę nie zapominamy...

Rachel zadrżała teraz, układając albumy płytowe w stos. Och, Kay, skąd masz pewność, że to, czego ja chcę, nie jest tym, czego on chce?

Uważnie przyglądała się Davidowi, kiedy podchodził do niej: twarz wygładzona w miękkie linie, uśmiech na swoim miejscu. Odprężyła się.

Wchodząc do staroświeckiej kuchni, Rachel zerknęła do lodówki. - Mleko. Jajka. Masło orzechowe. Pozostałości kurczaka *lo mein*. Przynajmniej tak mi się zdaje. - Powąchała zawartość kartonu. - Lepiej skreśl *lo mein*.

Musiałabym przeprowadzić test węglowy, żeby zobaczyć, jak bardzo jest stary.

David otoczył ją od tyłu ramionami, chowając twarz w jej szyi. - Darujmy sobie kolację. Nie jestem aż tak głodny. Potem zrobię omlet.

- Po czym? - wykręciła się, żeby stanąć do niego twarzą.

Jej serce, uświadomiła to sobie teraz, biło bardzo szybko. Niech go diabli. Nie trzeba było wiele, by go chciała, by była wilgotna. Jedno dotknięcie, jeden pocałunek i była gotowa. Jak alkoholik, który po jednym kieliszku jest stracony.

David nie wiedział tego nawet w połowie, nawet w połowie nie znał siły jej namiętności. Traktowała ją lekko. Celowo. Wydawało się, że przyszłość nie jest dla niego wygodnym tematem rozmowy, i tak było dobrze. Ona również nie była gotowa do małżeństwa. Może pewnego dnia zamieszkają razem, jeśli oboje będą mieli na to ochotę.

Ale to było przedtem, powiedziała sobie. Przed ciążą. Musisz teraz pomówić o przyszłości, musimy coś zaplanować...

Spojrzała na niego. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Patrzył na nią tym spojrzeniem, od którego miękły jej kolana, oczy miał senne, złote rzęsy nad chłodnymi zielonymi tęczówkami, kąciki ust nieznacznie, sugestywnie uniesione. Już nie doktor Sloane, kompetentny, daleki. Po prostu David. Widziała żyły oplatające jego szyję, jedna z nich, tętnica szyjna, pulsowała niecierpliwie po prawej stronie. Kazała jej myśleć o jego penisie, twardym, okolonym liniami żył, z końcem miękkim, zroszonym jak płatki róży.

O Chryste, pomyślała. Chyba zaraz będę miała orgazm. Tylko od patrzenia na niego.

Czuła również jego pragnienie, kiedy opierał ją plecami o otwartą lodówkę, a metalowe półki wciskały się w jej kręgosłup, kiedy przesuwał rękami po jej żebrach, żeby delikatnie ścisnąć piersi.

- Ładne. Dojrzałe - zamruczała. - Może jestem bardziej głodny niż myślałem.

Rachel żałowała, że nie pomyślała o włożeniu czegoś bardziej seksownego, bardziej kobiecego - jedwabnej sukni zamiast tej starej, złachmanionej koszulki Kay. Szybko uświadomiła sobie, jakie to było niemądre. To nie miało znaczenia. Za chwilę nie będzie miała na sobie niczego.

Rachel przywarła do niego, zatrzasnąjąc drzwi lodówki za sobą. On już szarpał jej guziki, gwałtownie, niecierpliwie, ignorując jeden, który odskoczył od wystrzępionych nici i dzwonił o zdarte czerwone linoleum.

- Nie tutaj - zaśmiała się nerwowo; jej głos drżał z podniecenia. - Kay może wcześniej wrócić. Chodźmy do sypialni.

Roześmiał się. - Mówiłem ci. Jestem głodny.

Jezu. Nie obchodziło go, kto patrzył. Czy weźmie ją tutaj, na podłodze? Ta myśl niepokoiła ją i podniecała zarazem. Czuła się dziwnie słaba, jej piersi - cięższe i bardziej wrażliwe niż zazwyczaj - były twarde, pulsujące, sutki sztywne pod miękką koszulką. Ciepło spływało po niej jak gorący piasek w klepsydrze, zatrzymując się między nogami. Miała wrażenie, że ciepła spocona ręka zaciskała się tam na niej.

O Jezu, słodki Jezu, stół. Przyproceedził ją i podnosił teraz, trochę szorstko, na mały okrągły stolik. Szarpał na niej majtki, mocując się, by ściągnąć je z bioder i wyłuskać z nich jej nogi, które zwiisały nad krawędzią. Na tyłku czuła chłód lakierowanej sosnowej powierzchni, szorstki brzeg słomianej maty na stole wpijał się w jej ciało. On ciągle był w ubraniu, rozpiął tylko spodnie, ściągając je nieco w dół ze swych wąskich bioder.

Rachel zacisnęła oczy w oczekiwaniu, gotowa na pierwsze pchnięcie, och, jak gotowa. Wtedy poczuła coś twardego, kościstego, szperającego między jej udami. Ku jej lekkiemu zaskoczeniu okazało się, że nie był to jego kogut, a palce, wsuwające się i wysuwające twardo, rytmicznie.

Stół, światło nad głową, ucisk palców Davida - to na chwilę przypomniało jej coś innego, coś, o czym nie chciała myśleć. Czuła, że gorąco w niej zaczyna stygnąć. Ginekolog, to było to. Jak wizyta u ginekologa, badanie miednicy.

To jest to, co David robi ciężarnym kobietom w szpitalu, obmacując je w środku, gdy one leżą na stole, z nogami w strzemionach.

Nie, nie. Nie wolno mi myśleć o tym w ten sposób. To nie jest to samo. To tylko moja wyobraźnia płata głupie figle. Z powodu dziecka. Bo potrzebuję dziś jego delikatności.

Ale taka zabawa we dwoje mogła być też przyjemna. Ogień wewnątrz niej rozpałił się na nowo. Tak, och, tak. David tak dobrze wiedział, jak ją zadowolić. Teraz mógł ją doprowadzić do orgazmu, lada chwila. Zrobi to? Nie. David przewracał ją na bok, twarzą do siebie, jej oczy równo z jego kroczem.

- Ssij mnie - powiedział.

Rachel zawahała się na mgnienie, potem wzięła go w usta. Zawsze tak było - najpierw lekki szok, uczucie, że robi coś złego, że to przejaw zepsucia. Ale potem zaczynała odczuwać przyjemność i własną nieomal potęgę, kiedy on nabrzmiewał jeszcze bardziej, kiedy słuchała jego jęków rozkoszy, wyobrażając sobie, że jest jedyną kobietą na świecie, która mogła tego dokonać. Ona dawała Davidowi to, czego nikt inny nie mógł.

Przesunęła językiem po jego trzonie. Wbijał się w nią teraz, pomrukując; słyszała ciągłe stukanie suwaka o brzeg stołu przy ruchu jego bioder. Dostroił rytm do rytmu palców, które wciąż wślizgiwały się w nią i wyslizgiwały. Gorących. Tak gorących, iż miała wrażenie, że płoną i parzą ją.

Rozkosz przyszła jak wybuch ognia i jednocześnie Rachel poczuła, jak David również eksplodował; strumień słonej cieczy wypełnił jej usta. Nie przeszkadzał jej ten smak, chociaż słyszała, że niektórym kobietom tak. Może przeszkadzałyby jej u kogo innego, ale David był jedyny, z którym to kiedykolwiek robiła.

David odsuwał się od niej teraz, podciągając spodnie, pomagając jej stanąć na chwiejnych nogach. Twarz miał zarumienioną, ale poza tym był taki, jakby siedzieli tutaj i grali w karty, w *gin rummy*. Chłodny. Nieporuszony. Oto, co czyniło go takim dobrym lekarzem. Ale, do cholery, chciała, żeby ją objął. Tak bardzo potrzebowała jego ramion wokół siebie.

Rachel patrzyła, jak David podchodzi do zlewu, zaczyna myć ręce, i to okropne uczucie ogarnęło ją znowu, uczucie, że znajduje się w gabinecie lekarskim. No cóż, młoda damo, wygląda na to, że jest pani w ciąży, powiedziałabym około sześciu tygodni, ale żeby mieć pewność, zbadamy moc.

- David? - cicho zawołała go poprzez pluskanie wody w starym emaliowanym zlewie. Opadła na krzesło, nie trudząc się wkładaniem majtek, obciągając tylko koszulkę na kolanach. - Jestem w ciąży.

Odwrócił głowę, patrząc na nią, jak gdyby powiedziała dowcip, krzywiąc kąciki ust, jak gdyby nie był pewien, czy się roześmiać, czy zadrwić.

- Rachel, to nie jest zabawne, nawet jako żart - powiedział, teraz uśmiechnięty.

- Ja nie żartuję. - Słowa zdawały się wydobywać nie z jej gardła, a z bolącej pustki w żołądku.

Widziała, że jego twarz staje się ciemna, daleka. Dlaczego patrzył na nią w ten sposób, jak gdyby ona wszystko zepsuła, jak gdyby go atakowała?

- Chryste, Rachel. Jesteś pewna? - Spostrzegł się, uderzając grzbietem dłoni w czoło. - Do diabła, oczywiście, że jesteś pewna. Jesteś lekarzem. Jak, na litość boską, mogłaś dopuścić do czegoś takiego?

Ty. Nie „my”. Jak gdyby to wszystko było jej winą.

- Nie bawiłam się w Zosię samosie, kiedy to się stało - ucieęła.

Dwa szybkie kroki, w ślad za nim bryzgi wody z ociekających rąk, i już stał przed nią, pochylony, z dłońmi opartymi na stole. W jego zielonych oczach błysnęła gniew.

- Święty Jezu, Rachel. Nie jesteś jedną z tych smarkul, jakie widzujemy, szesnastoletnich, niepiśmiennych, wpe-

dzonych w ciąży, bo zbyt głupich, żeby wiedzieć, co to jest kontrola urodzin. Powiedziałaś mi, że używasz diafragmy. Dopiero co myślałem... Niech to diabli, dlatego nie wszedłem w ciebie, że byłem zbyt napalony, żeby czekać, aż włożysz tę twoją cholerną diafragmę.

Jego oczy miały dziwny, obojętny wyraz, który sprawił, że krew w jej żyłach ścieła się lodem. Czuła, jak jego gniew syczy i trzaska w powietrzu niczym piorun szukający ziemi.

Patrzyła najego ręce. Nie mogła spojrzeć mu w twarz. Palce miał rozpostarte na sękatym sosnowym blacie stołu; na delikatnych złotych włoskach najego kostkach jak klejnoty połyskiwały kropelki wody.

Niech go cholera. Łotr.

Rachel wzięła głęboki oddech, usiłując zapanować nad urazą i gniewem. - Używałam diafragmy. One nie są niezawodne, jak wiesz. Może wyjęłam ją za wcześnie. Albo włożyłam za późno. A może zielone ludziki z Marsa przekłuły w niej dziurki, kiedy nie patrzyłam. Do cholery, skąd mam wiedzieć, jak to się stało?

Spojrzała w górę i zobaczyła, że jego twarz była teraz bardzo spokojna i zimna.

- A może wiesz. Może to nie był wypadek.

Rachel bardziej odczuła niż usłyszała jego słowa - jak lód w dołku. O Boże, czy on to naprawdę powiedział?

Nie, nie mógł w to naprawdę wierzyć. Nie naprawdę. Musi wiedzieć, że ona nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Miała ochotę go uderzyć, roztrzaskać tę maskę chłodnej pogardy.

Nagle gniew z niej uszedł i poczuła się oklapła i pusta.

- Wiesz, nie róbmy tego. Złość nic nie pomoże. To nie jest niczyja wina. Po prostu stało się.

David wyprostował się, przesuwając palcami obu dłoni po swoich gęstych piaskowych włosach i odetchnął, jak gdyby odczuł ulgę. - Masz rację. Przepraszam. Nie ma sensu doprowadzać się do takiego stanu. W gruncie rzeczy nic naprawdę złego się nie stało.

- Co masz na myśli?

Popatrzył na nią, jak gdyby była dzieckiem, do tego nie bardzo byстрыm. Rachel miała wrażenie, że stoi na końcu długiego tunelu i widzi Davida jako ciemną drobinę na drugim końcu. Czuła między nimi ogromny dystans. Była pewna, że gdyby siedząc bezpiecznie w swojej zacisznej kuchni wyciągnęła rękę, aby go dotknąć, napotkałaby tylko chłodną ciemność.

David, biorąc jej milczenie za zgodę, uśmiechał się teraz. Okrążył stół i stanął za nią, masując jej ramiona, pewnie i zręcznie.

- Wiem, co cię gryzie - ciągnął. - Te dziewczyny, które przychodzą od tych fabrykantek aniołków, całe poranione haczykiem od wieszaka. To nie będzie nic takiego. Mam przyjaciela z akademii medycznej. On ma teraz prywatną praktykę. Położnik-ginekolog. Jest mi winien kilka przysług. Będzie to zrobione jak należy. Bezpiecznie. Łatwe jak wyrwanie zęba.

Odsunęła się i odwróciła, żeby spojrzeć na niego; w uszach jej szumiało.

Rachel myślała o dziecku w swoim wnętrzu, o bijącym od niego ciepłe i o tym - co już zaczęła sobie wyobrażać - jak będzie wyglądało, jak będzie się czuła, tuląc je w ramionach. Myślała również o przytulnym domu, w którym mieszkaliby z Davidem, o tym, jak urządziliby pokój dziecienny. I nie musiałyby rezygnować z medycyny, powiedziała sobie. Może kilkumiesięczny urlop, a potem przy pomocy Davida i mamy, i niańki, mogłaby nadal robić specjalizację. A teraz on kazał jej pozbyć się go, jej dziecka, jak gdyby to był brud, który trzeba zeskrobać z podeszwy buta.

Rachel zerwała się na nogi, uderzając biodrem o stół. Usłyszała trzask. Przez łzy spojrzała w dół, na rozrzucone odłamki białego kryształu i porcelany, które przedtem były cukiernicą.

- Nie - powiedziała, zdumiona pewnym brzmieniem swego głosu. - Nie zgodzę się na przerwanie ciąży.

- Wobec tego...

- Zgadza się. Będę miała to dziecko.

Nagle popatrzył na nią z absolutnym niedowierzaniem, a potem jego przystojna twarz zaczęła twardnieć, szmaragdowe oczy zwężyły się.

- Zamierzasz porzucić karierę - powiedział zimno.

- Dla grudki komórek. W którym tygodniu jesteś, szóstym, ósmym? Zatem dla grudki komórek, nie większej niż paznokiec na twoim kciuku. Dla czegoś, co obserwowaliśmy pod mikroskopem na embriologii, dawno temu, na wstępnym roku medycyny. A może zapomniałaś? Romantyczne podejście nie zmienia biologicznych faktów.

- Ty draniu! - Chciała go zniszczyć, uderzyć go z całej siły w jego przystojną, zadowoloną z siebie twarz. - Ty zimny draniu.

- Spodziewałaś się, że się z tobą ożenię? Czy to też było częścią twoich fantazji?

- Nie - powiedziała łamiącym się głosem. - Po prostu myślałam, że ci na mnie zależy. - Patrzyła na niego, wysokiego obcego człowieka, upozowanego na tle rondli wiszących na ceglanej ścianie kuchni. Starła się przypomnieć sobie, dlaczego kiedyś myślała, że go kocha.

Odwrócił się, ukazując profil, jak rzymski cesarz na monecie. - Zależy mi - powiedział, misternie cyzelując każde słowo. - Zależy mi na tym, żeby być lekarzem i zależy mi na tobie. Ale nie zamierzam się tłumaczyć. Przede wszystkim nigdy ci niczego nie obiecywałem i nie będę obiecywał teraz. Jeśli będziesz miała to dziecko, Rachel, będziesz je miała sama.

Rachel patrzyła na roztrzaskaną cukiernicę na podłodze. Cała w jednej minucie, w następnej pęknięta nie do naprawienia.

Czuła lekkie mdłości, oszołomiona jego chłodem. Myśl o tym, co robili na tym stole kilka minut temu, wydawała się niesmaczna, poniżająca, jak dowcip z szatni. Ale jeszcze gorszym żartem było to, że nawet teraz, mimo wszystkiego co powiedział, pragnęła, żeby wziął ją w ramiona i ukoił ból. Ból jak tępe noże

tnące wnętrzości, aż musiała gwałtownie łapać powietrze.

- Odejdź - powiedziała mu. - Po prostu odejdź.

- Zgadnij, co?

Kay wtargnęła do mieszkania. Pulchne ramiona obciążone miała torbami od Balducciego, okrągłą twarz zaróżowioną z podekscytowania.

- Co? - zapytała Rachel, skulona na kanapie pośród zmiętych chusteczek higienicznych, czując się jeszcze gorzej niż ostatniej nocy z Davidem.

Patrzyła, jak Kay upuszcza torby na sosnowy stół w hallu. Popłynęły ku niej smakowite zapachy przypraw i wędzonki. Tylko że teraz wywoływały w niej mdłości.

Jeśli to z powodu jakiegoś faceta, pomyślała Rachel, to musi to być ktoś. Kay, prawdziwego Sherlocka Holmesa na użytek żydowskich matek, nie zastanowił jeszcze fakt, że Rachel leży tutaj w ciemności o drugiej po południu, kiedy powinna być w szpitalu.

- Odchodzę! - Kay zrzuciła płaszcz i wykonała taniec na gołym kawałku podłogi, stukając drewniakami dra Scholla. W białym uniformie i okularach w złotej oprawce, z chmurą ciemnych falujących włosów wokół okrągłej twarzy wyglądała jak szalona sierotka Annie.

- Już nigdy więcej przedawkowań valium - trajkotała dalej Kay. - Żadnych implantów piersi. Żadnych operacji nosa. Żadnych więcej Barbar Streisand, które myślą, że wyglądają jak Grace Kelly. - Podskoczyła lekko, żeby nie zawadzić o rozciągnięty na podłodze sznur telefonu.

- Rachel, czy uwierzysz, dzisiaj ta kobieta, ta kwoka, przychodzi w podskokach na izbę przyjęć. Zwichnęła sobie palec, wyobraź sobie, na schodach ruchomych u Saksa, i kiedy ona skamlała i wydierała się, dzieciak z wieloma ranami kłutymi praktycznie wykrwawiał się na śmierć parę kroków dalej. Nie wiem, co się stało, po prostu coś we mnie pękło. Powiedziałam jej, żeby zabrała swój drogi paluszek z powrotem do Saksa, żeby odebrać

odszkodowanie. Potem wyszłam na zewnątrz, żeby złapać trochę powietrza i zaczęłam myśleć o Abby Steiner. Pamiętasz ją? Wywinęła się zeszłego lata i poszła do szpitala Czerwonego Krzyża w Wietnamie. Dostałam od niej list. Rany, jak oni tam potrzebują pomocy - pielęgniarek, lekarzy, wprost rozpaczliwie. I mam dosyć ciągłego gadania o tej wojnie i nicnierobienia, więc postanowiłam... - Umilkła. Jej okrągła twarz zmarszczyła się w nagłej trosce. - Hej, Rachel, dobrze się czujesz? Chora jesteś czy co? Co robisz w domu o tej porze? Myślałam, że jesteś na dyżurze.

- To długa historia.

Rachel skrzywiła się, kiedy Kay podniosła żaluzje. Ostre zimowe światło raniło jej oczy. - Proszę, nie tak bardzo. Trochę niżej. Lubię, jak jest ciemno. Nie, nie jestem chora, tylko troszeczkę w ciąży. Kay, nie mówisz tego poważnie.

Głupie pytanie, pomyślała. Kiedy szło o słuszną sprawę, Kay mogła być tylko poważna. Rachel przypomniała sobie strajk pielęgniarek pierwszego lata jej pracy w Bellevue, kiedy wykłócała się przez linię pikiety. Kay, pyskacz z kręconymi włosami, swoim rykiem robotnika portowego wierciła jej dziurę w brzuchu, zdobywając ją pełnym pasji wywoodem, jak to głównie pacjenci cierpią, kiedy pielęgniarek jest za mało i są źle opłacane. Rachel była tak zaintrygowana, że zaprosiła później Kay na kawę. Od tamtej pory były przyjaciółkami.

Kay opadła obok niej na sofę. - Tak poważnie, jak Richard Nixon zamierza ponownie startować w wyborach prezydenckich.

- Jezu, Kay. Nie mogę uwierzyć, że odeszłaś z Lennox Hill. Ot, tak sobie. I Wietnam? Tego już za wiele.

- Wiem. - Kay zaśmiała się zgrzytliwym śmiechem, który nie mógł do końca ukryć nutki niepokoju. - To nie jest miejsce, gdzie można przyłapać damę w podartej bieliźnie, jak powiedziałyby moja droga mama. Ale pomyśl tylko, Rachel. Mój Boże, to jest szansa, żeby coś zrobić, zamiast siedzieć i kłapać dziobem, jakim straszliwym spustoszeniem jest to wszystko.

Rachel uśmiechnęła się. - Jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie, jak siedzisz i kłapiesz dziobem.

- Moja matka, Boże uchowaj, kiedy się o tym dowie, pojedzie do Waszyngtonu wygłaszać oracje przed Johnsonem i każdym członkiem Kongresu, żeby mnie powstrzymali.

- Och, Kay. - Rachel oparła głowę na ramieniu Kay, pozwalając płynąć łzom. - Myślę, że jesteś szalona. I dzielna. I nie wiem, jak, do cholery, przejdę przez to wszystko bez ciebie.

I przez jedną szaloną chwilę myślała: Chciałabym też pojechać. To tak daleko od paskudztwa, w którym tkwię.

Kay uściśnieła ją, też trochę popłakując. - Więc mu powiedziałaś?

Rachel przytaknęła. Wczorajszej nocy, zanim Kay wróciła do domu, z wyczerpania zapadła w sen, a dziś rano Kay wyszła, zanim ona wygrzebała się z łóżka.

- Chce, żebym przerwała ciążę.

- A czy ty tego chcesz?

- Nie. - Rachel ukryła twarz w dłoniach; dojmujący ból ostatniej nocy powracał. - Ale to jest tak cholernie skomplikowane. Jak sobie dam radę bez Davida? Mam zrezygnować ze wszystkiego, na co pracowałam? A jeśli nie, czy to uczciwie mieć dziecko, kiedy prawie mnie przy nim nie będzie?

Kay wzruszyła ramionami. - Kto mówi, że życie jest uczciwe?

- Najgorsze jest to, że nawet wiedząc, jak byłoby mi ciężko, ciągle chcę je mieć. I to dla samych niewłaściwych powodów. Nie mogę znieść myśli, że ktoś je ze mnie wyskrobie. I chcę je widzieć, zobaczyć, czy jest do mnie podobne. Ale najważniejsze, że ono już jest częścią mnie. Czuję, że ono mnie zmieniło. Nigdy już nie będę taka sama. Kay, powiedz mi, czy to są dość dobre powody?

Kay wstała, przeszła przez pokój, sięgając po paczkę salemów, która leżała na bambusowej półce z książkami. Zapaliła jednego, wydmuchując dym przez nos. \ Za-

śmiała się szorstko. - Kto ma to wiedzieć? Czy ty wybierałaś sobie rodziców? Albo ja? Moja matka... Z podłogi w jej kuchni można było jeść, ale nie cierpiała gotować dla rodziny. Mogłaby przejechać odkurzaczem do Bieguna Północnego i z powrotem, ale spróbowałaby ją namówić, żeby usiadła na godzinę i zagrała w *gin rummy* ze mną albo którymś z moich braci. Jednak wiem, że na swój zwariowany sposób kochała nas. Tak sobie myślę, że kiedy jesteś dzieckiem, musisz brać co możesz od rodziców, na jakich skazał cię los, i być z tego zadowolona. - Popatrzyła na papierosa między swoimi palcami, jak gdyby zdziwiona, że go tam widzi. Jej szeroka, pełna twarz posmutniała. - Rzuciłam w zeszłym tygodniu. Całych sześć dni bez palenia, a teraz popatrz na mnie. Jezu. Może powinnam się zabrać za odkurzenie, jak mama.

Rachel pomyślała o Sylwie. Czy pragnienie tego dziecka miało coś wspólnego z mamą? Ze wszystkimi tymi latami, kiedy widziała, jak mama zerka smutno na pustą kołyskę w pokoju dzieciennym? Teraz wreszcie byłoby dziecko, które zajęłoby tę kołyskę. Dziecko, które by obie kochały.

Różane marzenie wypłowieło. Wyobraziła sobie, jak by było naprawdę. Codziennie ciągnęłoby ją w dwie różne strony. Miałaby wiadomości z drugiej ręki - od niańki, może od matki - o pierwszym uśmiechu dziecka, jego pierwszych krokach. Prawdopodobnie skończyłoby się na tym, że dziecko czułoby do niej taki sam dystans, jaki ona czuła do matki.

Och, dlaczego tak to sobie utrudniała? Dlaczego nie mogła uchwycić wszystkiego oburącz albo po prostu puścić?

Boże, mój Boże, co mam robić?

Patrząc na stertę zwiniętych w kulki chusteczek, Rachel poczuła nagły wstręt do siebie. To nie koniec świata. Nie była pierwszą kobietą, która wpadła.

Wstała z kanapy. - Dalej, rozpakujmy te pyszności, które przyniosłaś i zjedzmy, zanim wystygną. Moja

głowa nie pomieści więcej ważnych wiadomości ani nie zniesie zagłębiania się w problemy duszy.

Kay natychmiast sięgnęła do toreb, wyciągając plastikowe pojemniki i zawinięte w folię paczuszki.

- Chciałam, żeby to było całkowicie z dostawą do domu. Zaczekaj, aż zobaczysz, co dostałam. Kurczak po francusku z winogronami. Łosoś z Nowej Szkocji. Marynowane karczochy... Rachel, dobrze się czujesz?

Rachel nagle popędziła do łazienki. O Jezu, wyrzygam się.

Potem, z pustym żołądkiem, bólem głowy, czując chłód łazienkowych kafelków na kolanach, opadła na klapę sedesu. Kilka minut później wydawało jej się, że z odległości wielu mil usłyszała interkom przy drzwiach wejściowych, słabe brzęczenie, potem stukot drewniaków Kay, kiedy biegła, aby nań odpowiedzieć.

- Rachel! - zawołała. - To twoja matka. Idzie na górę.

O Panie, nie teraz. Ależ tak, powiedziała mamie jakoś w zeszłym tygodniu, że dzisiejszy dzień będzie świetny na to, żeby wpadła z tymi próbkami draperii. Mama, jak zawsze, próbuje wszystko upiększyć. Ona nie wie, że jestem tutaj. Powiedziałam jej, że będę na dyżurze, ale że może omówić próbki z Kay. Rachel spojrzała na swój wymięty szlafrok. Teraz musi wymyślić jakiś powód, dlaczego jest w domu i wygląda jak śmierć na chorągwi.

Rzuciła się do zlewu i umyła twarz, osuszyła ją ręcznikiem, próbując złagodzić obrzmienie wokół oczu. Och, właściwie po co? Mama natychmiast zauważy, że płakała. Gdybym tylko mogłajej powiedzieć, pomyślała Rachel. Jak cudownie byłoby jej się zwierzyć, niechby mi pomogła podjąć decyzję. Jednak wiedziała, co powiedziałaby mama. Miej to dziecko, miej mojego wnuka. Przerwanie ciąży - byłaby zaszokowana samym pomysłem. Po co więc wplątywać ją, wciągać w tę gmatwaninę?

Wynurzając się z łazienki, Rachel znalazła matkę przy frontowym oknie, przykładającą próbkę materiału do ramy. - Rachel! Co za niespodzianka. Nie wiedziałam, że tutaj będziesz. Czy to ci się podoba? Niebieski pasuje

do... Kochanie, co się stało? Wyglądasz okropnie. Jesteś chora?

Rachel wyciągnęła rękę, jak gdyby chciała się odgradzić od troskliwości matki. Niespokojnie rozglądała się za Kay, ale jej współlokatorka zniknęła w kuchni. Rachel usłyszała plusk wody spływającej do starego emaliowanego zlewu.

- To nic takiego... Złapałam tylko jakąś infekcję. Wszystko będzie dobrze.

- Oczywiście, że będzie, ale teraz powinnaś być w łóżku! Nie przejmuj się draperiami, mogą poczekać. Idź od razu do łóżka, aja zrobię ci gorącej herbaty. Czy żołądek też ci dolega?

Rachel patrzyła na Sylvie, nienaganną w granatowym bawełnianym kostiumie z baskinką i świeżej białej bluzce. Jednak od silnego zapachu jej perfum, Chanel nr 5 Rachel zaczęło się przelewać w żołądku, jak w przepelnionym kubku. Jeśli zaraz się nie położy, znowu zrobi jej się niedobrze.

Wjakiś sposób znalazła się w swoim pokoju, a mama ścieliła dla niej łóżko, przyciskając chłodny ręcznik do jej czoła. Tak jak wtedy, kiedy była mała. I nagle było tego za wiele. Łzy wezbrały jej w oczach, a potem zaczęły spływać z kącików.

A niech to wszystko diabli wezmą! Nie chcę płakać. Nie chcę być słaba. Gdyby tylko mnie zostawiła... zostawiła teraz, w tej chwili... zanim zacznę jej mówić rzeczy, których, wiem to, będę później żałować...

- Rachel. O moje drogie dziecko, co się stało? Nie możesz mi powiedzieć?

Oczy Sylvie w kolorze leśnej zieleni teraz także błyszczały od łez, jak gdyby ból Rachel był również jej bólem. Jej twarz, jej delikatna, blada jak skrzydła ćmy skóra wydawała się teraz zwiotczała. Przyłożyła chłodną, pachnącą perfumami Chanel rękę do policzka Rachel.

- Mamo, jestem w ciąży. - Słowa zostały wypowiedziane, zanim Rachel zdołała je powstrzymać.

Synde patrzyła na nią. Jej blade policzki zaczynały nabierać koloru. Rozchyliła usta, odsłaniając wilgotną

różowość poza linią koralowej szminki. Ale nie wpadała w histerię, dzięki Bogu.

- Co masz zamiar zrobić? - Jej głos brzmiał niespodziewanie pewnie.

Teraz Rachel była zdumiona. To wydawało się do mamy niepodobne, nie, to było zupełnie do niej niepodobne. Jak mama mogła sobie nawet wyobrazić coś innego niż to, że ona urodzi i wychowa dziecko? Jednak wróciła pamięcią w przeszłość i przypomniała sobie, kiedy ostatni raz matka tak bardzo ją zaskoczyła - dzień, kiedy Rachel przysłała do taty do szpitala. Jaka silna, nawet ostra była wtedy mama.

- Nie wiem - mruknęła Rachel.

Mama zsunęła rękę z jej policzka i odwróciła wzrok.

Rachel poszła za jej spojrzeniem. Tam, w kącie, stała sosnowa serwantka, którą mama znalazła na wiejskiej wyprzedazy w garażu, oczyściła i polakierowała. A obok niej lustro w ramie i fotel na biegunach z dziecinniej sypialni Rachel. Mama wiedziała, że w tym pokoju będą wyglądać na swoim miejscu, miała dobre oko w doborze przedmiotów. Czyż ona mogła choćby wziąć pod uwagę brzydki postępek, nad jakim teraz zastanawiała się Rachel?

- Czy on... ojciec, chciałam powiedzieć... czy on chce tego dziecka?

Rachel uczuła, jak coś w niej usycha. - Nie.

- Rozumiem. - Sylvie skinęła głową, a jej koralowe usta ułożyły się w stanowczą, ale pełną współczucia linię.

- Jak długo jesteś w ciąży?

- Niedługo. Sześć tygodni. Ale mammo, dla mnie ono już jest prawdziwe. Prawdziwe dziecko.

- Dziecko... - Twarz Sylvie stała się zamyślona. Potem zdało się, że wzięła się w garść i powiedziała: - Och, Rachel, tak chciałabym móc ci powiedzieć, co robić. A przynajmniej doradzić. Ale jakże mogę? Właściwa odpowiedź dla mnie mogłaby być niewłaściwa dla ciebie.

- Ale mammo, co ty byś zrobiła? - wykrzyknęła Rachel.

- Za moich czasów było inaczej. Ludzie byli o wiele

mniej... tolerancyjni. Kobieta w twojej sytuacji nie miała wyboru, miała tylko jedno wyjście.

- Ale jeśli będę miała to dziecko, ono wszystko zmieni. Przewróci całe moje życie do góry nogami.

Sylvie, spoglądając ku oknu, uśmiechnęła się słabo.

- Dzieci zawsze to robią. - Potem odwróciła się do Rachel, ciągle uśmiechnięta, choć jej oczy lśniły łzami.

- Ty przewróciłaś moje do góry nogami.

- Chcesz, żebym je miała. - Rachel, słysząc oskarżycielski ton w swoim głosie, poczuła do siebie nienawiść. Nie miała prawa winić mamy.

- Nie. - Syhde potrząsnęła głową. - Nie powiedziałam tego. W każdym razie, nieważne, czego ja chcę. Chcę powiedzieć to, co już powiedziałam, że nie mogę ci doradzić. Ale bardzo ci współczuję, kochanie. Gdybym była na twoim miejscu, to -jej głos załamał się nieco - cóż, nie jestem pewna, co bym zrobiła, gdybym miała wybór.

- Och, mammo... - Rachel zerwała się, chwytając koc obiema dłońmi i ściskając mocno. - Chciałabym wiedzieć, co mam robić.

- Cokolwiek postanowisz, kochanie, zawsze będę z tobą. Kocham cię. Nigdy o tym nie zapominaj.

Rachel uczuła przypływ wdzięczności, aż zaczęła ją dławić w gardle. Poczwała również coś innego. Nowy rodzaj podziwu dla swojej matki.

- Czy powiesz tacie? - zapytała lękliwie.

- Nie. - Syhde potrząsnęła głową. - Tata cię kocha, ale mężczyźni nie zawsze patrzą na te rzeczy tak jak my.

- Mamo?

- Tak?

- Czy chciałaś mnie, zanim się urodziłam? Naprawdę chciałaś mnie bardziej niż czegokolwiek?

Przez długą chwilę, która zdawała się drzeć między nimi w powietrzu, Syhde milczała. Jej chłodne dłonie spoczęły na dłoniach Rachel, na kocu. I oto był - ten powolny smutny uśmiech, który Rachel tyle razy widziała.

- Tak, Rachel. Bardziej niż czegokolwiek.

David patrzył na nią jak na powietrze.

Rachel czuła się, jak gdyby była jeszcze jednym elementem antyseptycznego krajobrazu umywalni, równie anonimowym jak pokryte kafelkami ściany i zlewy z nierdzewnej stali. Zadrżała, czując dreszcze; jej żołądek znów zaczął się zaciskać.

Proszę, nie rób tego. Na miłość boską, nie ignoruj mnie.

- Doktor Petrakis prosił, żebym mu asystowała - tłumaczyła nieprzekonująco, nienawidząc go za to, że każe jej się czuć, jak gdyby musiała się usprawiedliwiać.

Starając się opanować gniew, nacisnęła pedał nożny, który kontrolował kurek, i wsunęła ręce pod gorącą wodę.

Oczy Davida, kiedy je napotkała, były chłodne i dalekie, jak martwa zieleń kafelków na ścianach.

- Ona jest jego pacjentką - powiedział z lekkim wzruszeniem ramion.

A ja jestem ciężką idiotką, pomyślała Rachel, walcząc ze łzami. Chwyciła szczotkę, szorując tak mocno, że starła sobie skórę z kostek.

Tydzień, siedem okropnych dni, a ona ciągle stała tu jak nieprzytomna idiotka, pełna nadziei, czekając na słowo, znak, przebłysk uczucia. Tydzień, kiedy ją ignorował, a nawet gorzej. Od czasu do czasu przytąpywała go na tym, że patrzył na nią jak na kłopotliwą luźną nić, wczepioną w starannie splecioną tkaninę jego życia.

Czy chciał ją ukarać? A może, jak Rhetta Butlera, nie go to naprawdę nie obchodziło? Tak czy owak, ona nie będzie się do niego czołgać. Do diabła z nim, jeśli nie widzi, z czego rezygnuje.

Rachel uniosła mokre ręce w górę, pozwalając wodzie ściekać z łokci. David właśnie skończył szorowanie przy zlewie obok, a ona odwróciła się szybko, żeby nie widział łez w jej oczach.

Przeszła przed nim przez obrotowe drzwi do sali operacyjnej. Jeszcze więcej zielonych kafelków, nierdzewnej stali, zimnego białego światła z sufitu. Ręcznik,

rękawiczki, i już pielęgniarka zawiązywała na niej fartuch. Rachel skinęła głową uwijającej się siostrze Yicki Sanchez, gibkiej dziewczynie o miedzianej skórze, która pracowicie rozkładała wysterylizowane narzędzia na stole Mayo. Skalpele, hemostaty, igły do szycia.

Za Vicki ciężka siwowłosa postać w zmiętych chirurgicznych zieleniach częściowo zasłaniała Rachel widok stołu operacyjnego. Doktor Petrakis. Stał pochylony na bok. A kiedy powoli, z przesadną ostrożnością odwrócił się do niej twarzą, pochwyciła spojrzenie jego oczu, czerwonych jak ogniste słońca. Żołądek podskoczył jej z przerażenia.

Jezu, jest urżnięty w trupa.

Cesarskie cięcie w nagłym przypadku *placenta pervia* do zrobienia, a on tu się chwieje jak liść na wietrze. Na medycynie nie uczono, jak zachowywać się w takiej sytuacji.

Zadziwiające, ale wydawało się, że Petrakis dzielnie się trzyma. Przypuszczalnie lata praktyki. Mimo to Rachel odmawiała cicho modlitwę.

- Gdzie Henson? - warknął Petrakis. - Czy mamy tu stać i patrzeć, aż pacjentka wykrwawi się na śmierć, kiedy ten tak zwany anesteziolog zabawia się ze sobą na górze?

Zza pleców Rachel dobiegł głos Davida, chłodny, opanowany. - Hensona zatrzymano. Wezwałem Gilchrista, powinien tu być lada chwila. Pediatra również. Pomyślałem, że na wszelki wypadek pediatra powinien być pod ręką. Co z pacjentką?

Petrakis odsunął się i Rachel zobaczyła ją - wielki, wzdęty wzdórek brzucha, wystający spod zwoju zielonych chirurgicznych prześcieradeł; jej skóra zabarwiona była od betadyny na przyporządkowany o mdłości żółto-brązowy kolor. Rachel nie mogła powstrzymać się od myśli, że wyglądała jak obiekt jakiegoś groteskowego, pogańskiego rytuału z powieści H. Ridera Haggarda.

- Cały czas osiem centymetrów rozwarcia - odpowiedział Petrakis. - Dziecko nigdzie się na razie nie wybiera.

Ale ona straciła dwieście centymetrów sześciennych krwi i nie chce długo wyczekać.

Ponad prześcieradłami dwoje ciemnych oczu wyglądało z białej twarzy, jak dziury wypalone papierosami w serwetce. Rachel poczuła skurcz litości dla niej. Żadnego ogólnego znieczulenia w tym przypadku, szkodliwe dla dziecka. Może niewielka dawka demerolu. Ta młoda kobieta była zupełnie przytomna i przerażona. A ten ciężki idiota Petrakis mówił o niej, jak gdyby była volkswagenem w garażu, któremu wymieniano tłumik.

Rachel podeszła bliżej, wzrokiem dodając jej otuchy. - Zaraz będzie po wszystkim, *señora* - uspokajała. - Ani się pani obejrzy, jak urodzi pani dziecko.

Kobieta przemówiła tak nikłym szeptem, że Rachel musiała się nachylić, żeby ją usłyszeć. - Czuję, że ono idzie - powiedziała. - Muszę przeć.

Niepokój odezwał się w głowie Rachel. Nie, nie, z *placenta pervia* opuszczonym poniżej szyjki macicznej parcie byłoby najgorsze. Wywołałoby krwotok. Prawdopodobnie śmiertelny albo dla niej, albo dla dziecka, albo dla obojga. Ale Petrakis powiedział, że szyjka jest rozwarta na osiem centymetrów. Brakuje jeszcze dwóch. W przypadku pierwiastek zwykle oznaczało to godziny oczekiwania. Mimo to...

Rachel spojrzała na Petrakisa. - Ona mówi, że musi przeć.

Wyglądał na rozdrażnionego, pomyślała. No cóż, trudna sprawa. Dziesięć tygodni na oddziale położniczym nauczyło jej przynajmniej jednego. Kiedy kobieta mówi, że musi przeć, to wie, co mówi.

- Niemożliwe - warknął Petrakis. - Sam badałem ją dziesięć minut temu.

David również wyglądał, jak gdyby miał wątpliwości. Ale przynajmniej nie był skłonny odrzucać od razu tego, co mówiła młoda kobieta. - Zbadajmy ją jeszcze raz.

Wtedy Rachel zobaczyła coś, od czego jej serce zakręciło młynka. Z uniesionymi kolanami, z twarzą ściągniętą w czerwoną pięść bólu, pacjentka parła. Między jej

nogami pojawiła się głowa dziecka. Połyskujący krag owłosionej skóry wielkości ćwierćdolarówki.

- Niech to cholera - zaklął Petrakis.

Na ułamek sekundy wszystko zamarło, waga zawisła nieruchomo, czekając na ruch wahadła. Rachel doznała szoku. Nic się nie działo, Jezu Chryste. Petrakis stał po prostu z otwartymi ustami, szeroko rozstawionymi stopami, kołysząc się lekko, jak pijak na odwyku, widzący pająki i węże.

A potem wszystko zdawało się dziać w jednej chwili. Petrakis wykrzykiwał coś niezrozumiałego do pielęgniarek. David rzucił się w przód, przejmując odpowiedzialność, obejmując dłońmi i kierując do przodu ciemną, pogniecioną główkę, a potem ze śliską fałą krwi i płynu owodniowego wydostało się maleńkie różowe ciało, zwisające na końcu turkusowej pępowiny. Chłopiec.

Rachel pośpieszyła zabrać go od Davida, kiedy on zaciskał pępowinę. Kołysała na rękach poplamioną krwią kruszyną ze zwisającymi ramionami grubości zapalki, z pomarszczoną małpią twarzą, układającą się do wrzasku, zanim podała jej palec do ssania. Wydawało jej się, że wszystko wokół znikło. Widziała tylko cud nowego życia, miała wrażenie, że jasna i gorąca obręcz zamyka się wokół jej serca. Doskonałe. Drogocenne. Cenniejsze niż cokolwiek na świecie.

Moje dziecko też. Jak mogłabym go nie mieć?

Podniosła wzrok.

Działo się coś bardzo niedobrego. Matka krwawiła. Krew strumieniami buchała między jej nogami, opryskując stół, wysterylizowane narzędzia na stoliku Mayo, tworząc purpurową kałużę na podłodze.

- Siostrzo! - Rachel usłyszała, jak krzyczy jakiś głęboki głos. - Proszę otworzyć przewody! Dwa pojemniki A plus. Ciśnienie statyczne.

David. Wpychał pięść między nogi pacjentki, w całą tę krew, szokująco nagle. Boże drogi, co on robi?

Wtedy Rachel zrozumiała.

Dopadła do łóżka, przyciskając brzuch, miękki jak pudding z tapioki, naciskając mocno, pomagając Davidowi masować macicę, starając się zmusić ją do kurczenia.

- Daj mi trochę ergometryny! - krzyknął przez ramię na Vicki. -1 na miłość boską, siostró, więcej krwi, albo ją stracę. Ciśnienie spadło do osiemdziesięciu. Wygląda na to, że jest w szoku.

- Nic nie czuję! - usłyszała Rachel własne wołanie.
- Nie kurczy się.

- Niech to diabli. Nie mogę jej stracić. - Zielone oczy Davida rzuciły jej spojrzenie znad maski, tak błyszczące, że oślepiły ją na chwilę. Jej serce podskoczyło w odpowiedzi, ręce ugniatały mocniej.

- Kurcz się, do diabła. Kurcz się - mruknęła.

Wtedy poczuła to lekkie, wzmagające się falowanie, o Jezusa, tak, tak.

- Jest - wydyszała. - Grzeczna dziewczynka. Tylko tak dalej. - Jej maska była wilgotna. Zrozumiała, że płacze.

Krwawienie zmniejszało się. Teraz ustawało. David podniósł wzrok, napotykał spojrzenie Rachel. Jego oczy błyszczały triumfem, a na przodzie jego czepka chirurgicznego jak wschodzący księżyc widniała ciemna plama. Wyciągnął rękę i Rachel zobaczyła, że całe ramię do łokcia miał we krwi.

Sięgnął okrwawionymi palcami i zerwał maskę z twarzy. Uśmiechał się. Rachel czuła się, jak gdyby uniesiono ją metr nad podłogę i postawiono z powrotem. Pokój wirował, jej żołądek znalazł się tam, gdzie powinno być serce.

- O kurwa - powiedział, przyciskając ją do siebie.

Rachel patrzyła, jak David ściąga okrwawione rękawiczki i wrzuca je do kosza w umywalni. Na usta cisnęły jej się słowa, ale nie dość wielkie, żeby unieść wszystko, co czuła.

Widziałam cię tam, chciała powiedzieć, jak walczyłeś. I widziałam, jak wyglądałeś, kiedy już wiedziałeś, że wygrasz. Nikt, kto tak wyglądał, nie mógłby naprawdę chcieć zniszczyć życia.

- Nie mogłam w to uwierzyć - odezwała się niezręcznie.

- W co?

- Petrakis. Nic nie robił.

Stanąła za nim, żeby mu pomóc odwiązać fartuch, prawie brązowy teraz od bryzgów wysychającej krwi. Nie widziała jego twarzy, ale czuła napięcie w jego ramionach.

- Facet podpisał dzisiaj wyrok śmierci na siebie. Za dużo ludzi widziało. Nawet Donaldson nie będzie mógł tego zignorować.

Ale Rachel nie chciała słuchać o Petrakisie czy Donaldsonie, pustogłowym administratorem.

- David - powiedziała miękko. - Tęskniłam za tobą.

Odwrócił się i nagle spojrzał na nią, naprawdę patrzył na nią, jak gdyby istniała tylko ona. Widziała, jak coś jasnego zapala się w jego oczach. Co za ulga.

- Nie tutaj - powiedział cicho, ujmując jej nadgarstek i ściskając mocno. - Za dużo ludzi wokół. Chodź, postawię ci kawę.

Windą dwa piętra w dół, potem kawiarnia, morze głów, parujące zapachy. Pilnowała miejsc, podczas gdy David stał w kolejce. Powrócił z wyładowaną tacą.

- Przyniosłem ci kanapkę - powiedział. - Wyglądasz, jakbyś nie jadła cały tydzień.

Właściwie nie jadłam, Davidzie. Nazywają to porannymi mdłościami, ale tak naprawdę to są poranne, popołudniowe i wieczorne mdłości.

Wzruszyła ramionami. - Chyba byłam za bardzo zajęta. Wiesz, jak to jest.

- Cholera, pewnie. Oddałbym wszystko za porządny posiłek i noc nieprzerwanego odpoczynku.

- Wykonałeś kawał dobrej roboty z tą dziewczyną na górze.

- Chciałbym tylko, żeby Petrakis był dość trzeźwy, żeby to zobaczyć - zaśmiał się gorzko.

- Do diabła z Petrakisem. Byłeś dobry. I nie wpadłeś w panikę. Na miejscu tej dziewczyny dziękowałabym Bogu. - Umilkła. Żar oblał jej twarz, piekące, gorące łzy napływały do oczu. Nie, do diabła, nie będziesz płakać. Nikt nie będzie ci współczuł.

Sięgnęła po herbatę, o którą poprosiła zamiast kawy - kawa jest szkodliwa dla dziecka - ale David pierwszy chwycił jej rękę, ściskając ją między obiema swoimi. Boże drogi, tak za tym tęskniła, to takie proste, a takie cudowne, to, jak jej dotyka. Teraz już nie ma tamy dla łez.

- Boże, Rachel. Ja też za tobą tęskniłem. Nie mogę uwierzyć, jacy byliśmy głupi, kłócąc się w ten sposób. Czuję się podle.

Więc dlaczego nie zadzwoniłeś? Dlaczego mnie unikałeś? Przez ciebie czułam się jak trędowata. Nie, nie. Chciała uciszyć ten gniewny głos w sobie.

- Mnie także jest przykro - powiedziała. - Nie powinnam zrzucać tego na ciebie w ten sposób. Mówić ci, że chcę mieć dziecko, zanim to omówiliśmy. Ale zapomnijmy o tym. Czy możemy zacząć od nowa? Teraz? Tutaj?

Powiedz, że mnie kochasz, proszę. Że przynajmniej zachowasz otwarty umysł, jeśli chodzi o dziecko, zanim ci wytłumaczę, jak możemy to urządzić.

Ścisnął jej rękę jeszcze mocniej, prawie do bólu. Uśmiechał się teraz, z prawie tak samo triumfującym spojrzeniem jak w sali operacyjnej.

- Wiedziałem, że dojdiesz do przytomności. Chryste, Rachel, niczego nie chcę bardziej. Znowu będzie jak dawniej. Jak tylko załatwimy tę sprawę.

- Co masz na myśli, Davidzie?

Patrzył na nią, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że zadała to pytanie. - No, przerwanie ciąży.

Rachel miała wrażenie, że tonie w głębokiej studni, że czarna woda zamyka się nad jej głową, odcinając powietrze. I było jej zimno. Tak zimno, że zaczynała

sztynnieć. Próbowwała wyobrazić sobie, jak przez to przechodzi, przez zabieg. W pewien sposób to łatwe, to tylko mały kawałek niej. I będzie mogła sobie powiedzieć: Widzisz? To nie było takie straszne. A następnym razem, gdyby ktoś chciał kawałka jej duszy, o ileż łatwiej byłoby ustąpić, bo ileż mniej by jej zostało, żeby stawić opór. Aż w końcu nic by z niej nie zostało. Nic, co by się liczyło.

Nie. Nie zrobi tego. Nie może.

Rachel podniosła się z tej ciemności, stanęła na nogi, odsuwając krzesło. W ostrym świetle spoglądała w dół, na Davida, i widziała, jaki jest.

- O co chodzi? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Zaśmiała się nerwowo, ten przystojny mężczyzna w żółtym dwurzędowym pulowerze, z maleńkim aligatorem przyszytym na prawej piersi i z bransoletką identyfikacyjną wokół lewego nadgarstka. Mężczyzna, na którego przystojnej twarzy zaczynało świtać gorzkie poczucie, że został zdradzony.

- Ja tylko myślałam, że jesteś kimś, na kogo mogę liczyć - powiedziała. - Chyba się pomyliłam.

Szła bardzo szybko, objając się o stoły, krzesła, oślepiąca łzami, świadoma tylko głośnego szumu w głowie i straszego bólu w sercu.

ROZDZIAŁ 5

David Sloane wypadł przez ciężkie oszklone drzwi szpitala, chowając głowę w ramiona, gdy ciężkie krople deszczu zaczęły bębnić o jego twarz. Podniósł kołnierz płaszcza z wielbłądziej wełny, kuląc ramiona i przeklinając swojego pecha, i ruszył ku Flatbush Avenue i kolei podziemnej.

Cholera, rzeczywiście lało jak z cebra, a on nie pomyślał o tym, żeby wziąć ze sobą parasol, a tym bardziej płaszcz przeciwdeszczowy. A w taką noc i w tej części Brooklynu można zapomnieć o złapaniu taksówki. Był skazany na jazdę do domu cały przemoczony, razem z mętami z dzielnicy.

David odczuwał mdłości w dołku. Złapał się na tym, że się zastanawia, czyjego szczęście - stypendia, dobre oceny, udział w redagowaniu magazynów, w radach klasy, honorowych stowarzyszeniach przez cały okres w Princeton, miejsce wśród dziesięciu procent najlepszych na roku na uniwersytecie Columbia, staż, a teraz specjalizacja - może jakoś obracać się, tylko troszkę tu i ówdzie na brzegach, w gównu.

Nie żeby stało się coś rzeczywiście strasznego. Ale od wieków nie czuł się tak nawiedzany przez zjawy. I po tylu latach pracy do upadłego, właśnie kiedy był zdecydowany wynieść się stąd i nabijać sobie portfel, nie mógł sobie pozwolić, żeby spadło na niego jakieś gówno. Chryste wszechmogący, nie teraz.

A wszystko to zaczęło się w zeszłym tygodniu przez nią, czyż nie? Pannę z Riverside Drive, wyniosłą żydowską księżniczkę.

Dziwka.

Wyszła dumnym krokiem z kawiarni, jak gdyby wszystko było jego winą. Głupia, głupia samiczka. Ale poradzi sobie z tym. Tylko ona musi spuścić z tonu. Szalony pomysł, żeby mieć dziecko.

Myślał, że jest inna. Ale teraz zrozumiał, że ostatecznie nie była lepsza niż każda studentka, pielęgniarka czy laborantka, jaką kiedykolwiek rznął. Która z nich myślała kiedy o nim, gdy rozkładała nogi? Cholera, brylantowy pierścionek na serdeczny palec lewej ręki to wszystko, o co one dbały.

Jednak myślał, że Rachel jest mądrzejsza. Że jest inteligentną kobietą, która wie, co to znaczy pieprzyć się. Że jest tym rzadkim i kuszącym stworzeniem - lodową księżniczką, która tylko czeka, żeby jej rozłożyć nogi.

Dostrzegł to w niej od razu, nie żeby ona sama miała o tym choćby najbłedsze pojęcie. Miał intuicyjne wyczucie kobiet, jak wyczucie zapachu, i od razu ją wywachał, miał jak na dłoni całą jej historię seksualną - Romeowie ze szkoły średniej, którzy szeptali jej do ucha komunały o miłości, gmerając jednocześnie przy haftkach jej stanika, studenci lat wstępnych z Haverford, których cały leksykon wiedzy seksualnej można by zmieścić w kondomie, i może zabawny wujek gdzieś schowany, korzystający z nadarzającej się gratki, kiedy myślał, że nikt nie zauważy. Nie dziewica, ale bardzo blisko tego - kobieta, która nie wiedziała, jak używać tego, co ma między nogami, bo nikt nigdy jej nie pokazał jak. Kobieta tak zmrożona, że właściwe dotknięcie wyzwoliłoby powódź, taką jak topniejący w górach śnieg na wiosnę.

Jednakże było w niej jeszcze coś, czego nie mógł całkiem zrozumieć. Twarda bryłka w środku tej rozpieszczonej niewinności, jak surowy diament. Miała w sobie chłód, z którym zmierzyła go i oceniła jako nie dość dobrego, tak jak tamte dziewczyny z długimi opalonymi nogami w szortach tenisowych, popijające mrożoną herbatę na werandzie jakiegoś kurortu, gdzie zginął grzbiet akurat tego lata - Spring Lake, Sea Girt, Deal - córki bogatych tatusiów, bulących dużą forszę za ich lekcje tenisa, tudzież okazjonalne pieprzenie na boku, jeśli instruktor był przystojny. Ich oczy przemykały po nim, kiedy zbierał puste szklanki ze śladami szminki jak różowe pocałunki wokół brzegów, redukując go do punktu w czarnych lustrach ich okularów słonecznych, podczas gdy one dalej rozmawiały, jak gdyby go tam nie było - wyrzekając na jedzenie, grę w tenisa, brak interesujących facetów.

David, wynurzając się z deszczu, żeby kupić gazetę w dziupli ze słodyczami w połowie drogi do metra, wspominał Amandę Waring. Jedną z tych opalonych dziwek o miodowoblond włosach, tłoczących się na werandzie w Spring Lake. Obserwując niepokój, z jakim

zakładała nogę na nogę, ilekroć w pobliżu był przystojny mężczyzna, i dziką, gorączkową energię, z jaką na korcie tenisowym posyłała nad siatką piłki na *out*, postawił sobie za punkt honoru przyciągnąć jej spojrzenie i zatrzymać je. Dama w wielkiej potrzebie dobrej obłapki, pomyślał.

Tego lata, mając rok w Princeton za sobą, David wiedział już kilka rzeczy, których nie wiedział przedtem. Na przykład, jak się ubierać, aby nikt się nie domyślił, że jesteś pechowym Polakiem z Jersey, usiłującym zrobić wrażenie na bogaczach. Zapakował tylko jakieś spłowiałe levisy, parę zdartych butów, dwie zwykłe białe koszule i kaszmirowy sweter, który jeden z bogatych dzieciaków niedbale pozostawił zeszłego lata. Więc kiedy nie miał na sobie uniformu pomocnika kelnera, mógł uchodzić za jednego z nich.

Amanda też musiała tak myśleć... przynajmniej przez chwilę, pomyślał David, czując słodko-kwaśny smak w ustach, kiedy ukrył w dłoni ćwierć dolara reszty i zerknął na nagłówki: *Astronauta lądują bezpiecznie po orbitowaniu wokół Księżyca*. Ale w ogóle nie kusiło go czytanie dalej.

Wspominał wielką altanę na trawniku na tyłach głównego budynku. Wiele dzieciaków przesiadywało tam nocą, paląc i upijając się kwaterkami whisky Jack Daniels i Southern Comfort. David poszedł tam kilka razy i pewnego wieczoru Amanda zaprosiła go, by usiadł obok niej. Kiedy podano mu butelkę, udawał tylko, że pije - Chryste Panie, miał więcej niż dość tej trucizny z tatą w domu. Zachowywał się również dość cicho. Lepiej niech myślą, że jest nieśmiały, niż miałyby zrobić z siebie głupca.

Potem ktoś zainicjował zabawę w fanty, i oto nagle Amanda, chichotliwie pijana, wyłuskała się ze spodni i góry, i tylko w staniku i majteczkach pobiegła jak błyskawica przez nasączony rosą trawnik w kierunku basenu. Inni byli albo zbyt pijani, albo zbyt znudzeni, żeby ją gonić. Tylko David, obawiając się, że ona może

zrobić coś naprawdę głupiego, na przykład skoczyć do basenu i utonąć, pobiegł za nią.

Zrównał się z nią w księżycowym cieniu ogromnego drzewa morwowego około stu metrów od basenu. Zdyszana i mokra od potu, śmiejąc się padła w jego ramiona.

Wziął ją na wilgotnej trawie, wcale nie zdziwiony tym, że była dziewicą. Nie był również zdziwiony, kiedy oplotła go nogami i wbiła mu zęby w ramię, wykrzykując zduszonym głosem swój zachwyt.

Następnego dnia podszedł do niej, kiedy szła zwirowaną ścieżką na kort tenisowy, z rakiętą niedbale zawieszoną na ramieniu. Jej gęste jasne włosy były związane z tyłu w koński ogon i miała na sobie plisowaną białą spódniczkę tenisową, która podskakiwała z tyłu przy każdym kroku, ukazując bliźniacze półksiężyce jej słodkiego białego tyłka, tam gdzie jej majtki podjechały do góry.

Kiedy David przesunął w dół ręką po jej gładkim brązowym ramieniu, próbując ją pocałować, odepchnęła go z obrzydzeniem.

- Słuchaj, wyjaśnijmy sobie jedną rzecz - syknęła, najpierw rozglądając się wokół, żeby się upewnić, że są sami. - Cokolwiek się stało zeszłej nocy, nie stało się, a jeśli powiesz, że tak, jeśli komukolwiek piśniesz o tym słowo, będę wrzeszczeć pod niebiosa i powiem, że mnie zgwałciłeś. Mój ojciec jest prokuratorem, a poza tym skurwysynem. Mógłby kazać cię wylać z pracy i prawdopodobnie aresztować. A nie sądzę, że chciałbyś tego rodzaju kłopotów, prawda?

Bez tej pracy nie miałby pod koniec roku pieniędzy na książki, ubranie, fryzjera. Nie mówiąc już o ryzyku, że nie dostanie stypendium, gdyby ona postanowiła narobić mu kłopotów. Niech to diabli, nie po to pracował, aż mu nogi wchodziły w tyłek, odgrywając Stepina Fetchita wobec tych bogatych dupków, żeby widzieć, jak wszystko to idzie na marne z powodu jakiejś głupiej dziwki w za ciasnych majtkach i z krótką pamięcią.

Co to był za ból uświadomić sobie, że ona od początku przejrzała go na wylot, że naprawdę nie jest dość dobry.

Pobawiła się nim, krótko i z lekkim poczuciem winy, jak dziewczyna na diecie, która ściągnęła batonik. Teraz po prostu wyrzucała opakowanie.

David rzucił na nią ostatnie długie spojrzenie, zapisując w pamięci tę chwilę upokorzenia, aby jej nie zapomnieć. I nigdy nie zapomniał. Nawet teraz, z siekącym go po twarzy zimnym deszczem, gdy ruszył gwałtownie przed siebie, żeby zdążyć przejść przy zielonym świetle, David dokładnie pamiętał miejsce na oświetlonej słońcem zwirowanej ścieżce, gdzie bukszpanowy żywopłot przerósł kapryfolium, leniwe brzęczenie pszczół, dalekie buczenie elektrycznej kosiarki do trawy. Ale gdy starał się wyobrazić sobie teraz jej twarz, wszystko, co widział, to bliźniacze obrazy jego samego, odbite w dwóch szklach jej okularów słonecznych, znikome, nic nie znaczące.

Ale tamten dzieciak to był Davey Slonowicz z Jersey City. Miesiąc przed powrotem do Princeton zmienił sądownie nazwisko na David Sloane.

A David Sloane nie był durniem. Wręcz przeciwnie. On wybierał kobiety i on ustalał reguły gry. I jeśli przychodziła pora zakończyć romans, to, do cholery, on był tym, który go kończył.

Więc niech Rachel Rosenthal idzie do diabła. I pomyśleć, że niemal dał jej się nabrać, niemal zrobił z siebie prawdziwego głupca. Taak, zabrała się za niego, jakoś przedarła się do jego wnętrza. Pomyślał o tym czarnym kociaku, z którym się widywał, pielęgniarkę ze wspaniałą parą zderzaków i o skrzywionych upodobaniach, która lubiła to w odbycie. Chryste, łapał się nawet na tym, że kiedy pieprzył Chaflene, myślał o Rachel. A nigdy przedtem mu się to nie zdarzało. Cholera, nic dziwnego, że czuł się tak diabelnie roztrzęsiony.

David zobaczył, że światło zmienia się na czerwone, kiedy dotarł do rogu przed wejściem do metra. Niech to szlag trafi. Mimo to zaczął przechodzić, wzruszając ramionami na trąbienie klaksonów, pisk opon hamujących jak po szkło na mokrej nawierzchni. Dwa wielkie

kroki i był na przeciwległym krawężniku, przeskakując nad jeziorem brudnej wody, która wylała się z zatkanego ścieku.

Ucieczka - David miał wrażenie, że zawsze uciekał. Najpierw od swojego ojca. Pewnie, jeśli miałeś ojca pijaka, musiałeś wcześniej zostać gwiazdą bieżni, żeby szybko zejść mu z drogi, zanim uderzy cię w twarz za dowolną liczbę przestępstw federalnych, jak to, że zapomniałeś zasznurować tenisówki albo za głośno nastawiłeś telewizor, albo po prostu wszedłeś mu w drogę. Sądne dni. W czasie weekendów, po ciężkim tygodniu za palnikiem spawacza, zawsze w naszym domu były sądne dni - pojemnik z piwem, chłodzącym się w lodówce, i jeszcze jeden pojemnik, upchany w szafie w przedpokoju.

Po sześciu czy siedmiu piwach - David pamiętał, że nauczył się liczyć, takjak skazaniec w celi śmierci liczy swoje ostatnie minuty - tata przechodził od pijackiego dobrego humoru do podłości psa łańcuchowego.

„Hej, Davey, z ciebie jest pieprzony prawiczek czy co? Nos zawsze zakopany w książkach. Myślisz, że jesteś za dobry dla twojego starego, o to chodzi? No to ja ci pokażę jedną czy dwie pieprzone rzeczy, których może nie dowiedziałybyś się z tych wszystkich książek...”

Musiał nauczyć się biegać. W ostatnim roku szkoły średniej był pierwszy w stanowych mistrzostwach w biegu na przełaj. Miał również niemal same oceny A. Prawie 800 na tabeli osiągnięć sportowych. Pełne stypendium do Princeton. Przeżył samotne dni w college'u, czując, że tam nie pasuje, ale potem znalazł paczkę kumpli, i od tamtej pory Jersey City było historią starożytną. To tak, jak gdyby mówił swojemu staremu: A teraz niech ja ci pokażę jedną czy dwie pieprzone rzeczy.

A wkrótce wyniosę się również z tego zawszonego szpitala, pomyślał. Urządę się w Morristown albo Montclair, a może w Short Hills, gdzie mają forszę i gdzie wszyscy chcą co najmniej dwójkę dzieci i dobrego położnika, oczywiście. Tamci ludzie mówią ładnie i dają

swoim dzieciom lizaki, nie popadają w irytację, kiedy przychodzą ze zgałą i gazami, ani w panikę z powodu bólów porodowych.

Taak, nareszcie będzie panem siebie, będzie wolny. I niech go diabli porwą, jeśli pozwoli jakiejś cipie, nawet bogatej cipie, spętać się na zawsze. Może za pięć lub dziesięć lat będzie gotów wprowadzić się do domu z płótem z białych palików, ale nie teraz.

Torując sobie drogę do wnętrza kolei podziemnej, David pomyślał o czymś i oblał się potem. Przypuśćmy, że ona naprawdę dobrnie z tym do końca? Wtedy byłby ojcem, czy chciałby tego, czy nie. Gdzieś tam istniałoby dziecko o jego rysach, jego krew płynęłaby w jego żyłach. Pragnęłoby rzeczy, których on być może nie mógłby mu dać. A pewnego dnia może nawet znienawidziłoby go tak, jak on nienawidził swojego starego.

Zanim doszedł do platformy, był tak wstrząśnięty, że zgubił swój ostatni żeton, zanim zdołał wrzucić go do kołowrotu. Bał się Rachel, tak jak niegdyś bał się swego tatka, czuł kłujący ból w żołądku i suchość w ustach. Niech ją diabli, dlaczego pozwalał jej, żeby tak z nim postępowała? Przypomniał sobie poranek, kiedy Rachel znalazła czarne koronkowe majtki, prawdopodobnie majtki Charlene, pod jego łóżkiem i nic nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się słodko i zniknęła w kuchni, żeby przygotować śniadanie. Kiedy wyszedł spod prysznic, jej już nie było. Na stole stało nakrycie dla niego, puchar świeżo wyciśniętego soku pomarańczowego, płócienna serwetka w kółku. A na jego talerzu te same czarne koronkowe majtki, rozłożone na grzance z angielskiej bułeczki. Oparty o talerz bilecik zawierał słowa *Bon appetit*.

Nie, nawet jeśli płakała, jak cała reszta, to była również twarda i wyrachowana, zimna jak ochłodzony srebrny widelec. Co by było, gdyby ściągnęła go w dół, bez względu na to, co on zrobi? Tak jak tatko. David chciał się wyprowadzić, wynieść się i odkąd skończył trzynaste lat, zarabiał parę własnych dolarów, zmywa-

jąc po szkole naczynia u Muldowneya. Ale zawsze, ilekroć był bliski tego, żeby po prostu spakować torbę i dać nogę, stwierdzał, że nie może. Tatko miał tajną broń, coś, czego David lękał się najbardziej: stary drań w jakiś sposób go potrzebował.

David poczuł prąd cuchnącego powietrza, zobaczył daleko w tunelu czołowe światła zbliżającego się pociągu. Miał wrażenie, że to oddech ojca czuje na swojej twarzy, że to jego nabiegłe krwią oczy, błyszczące pijacką furią zbliżają się, żeby zabić.

„Ty myślisz, że jesteś taki sprytny, lepszy niż ja. Ale nigdy nie uciekniesz ode mnie, Davey. A wiesz, dlaczego? Bo ja jestem w tobie. Jestem częścią ciebie. Za każdym razem, kiedy spojrzysz w lustro, ja będę patrzył na ciebie...”

A potem był już tylko łoskot pociągu i mocne bicie serca.

David wszedł do wagonu i opadł na twarde plastikowe siedzenie. Rozejrzał się wokół i zobaczył śpiącego włóczęgę w brudnej koszuli z kapturem, rozwalonego wprost naprzeciw niego. Nigdzie nie jechał, po prostu trzymał się z dala od ulic i od zimna. Obrzydliwe.

Ale w jakiś przedziwny sposób dzięki temu lumpowi David poczuł się lepiej. Przypomniawszy mu, jak daleko zaszedł, jak wiele dokonał. Poczuł się silniejszy. Jakakolwiek krzywą piłkę poda mu Rachel, przyjmie ją.

- Cześć, David.

Kobiety głos witał go z ciemności bawialni. Sercem Davida zarzuciło, jak samochodem, który hamuje na oblodzonej drodze. Kto do diabła...

- Rachel? - po omacku szukał przełącznika światła.

Chryste. Tak, to Rachel, ale by jej nie poznał. Siedziała nieruchoma i wyprostowana w fotelu przy kominku, z rękami złożonymi na kolanach, prawie sztywno, jak bardzo grzeczne dziecko w szkole. Jeszcze jedna dziwna rzecz. Po raz pierwszy, jak sięgał pamięcią, widział ją

w sukience. W ładnej sukience. Jakiś rodzaj miękkiej bawełny w skomplikowany pastelowy wzór, może batik. Włosy, które zazwyczaj unosiły się miękką złotobrazową chmurą wokół jej ramion, były ściągnięte z tyłu spinką, pozostawiając jej szyję nagą, białą i smukłą. Znów poczuł to samo, co na platformie metra - strach, jak gdyby coś miało się stać, a jednocześnie dziwne podniecenie.

Jej oczy zastanawiały go najbardziej. Wielkie i ciemne, jednak dziwnie puste, jak okna z zaciągniętymi zasłonami. Cokolwiek czuła, kryło się za nimi, pozostawiając go na zewnątrz, na zimnie.

Przed nią, na stoliku do kawy, stała butelka Cuervo Gold, na pół pusta. Ani kieliszka, ani lodu. Chryste wszechmogący, przecież Rachel nie piła. Kieliszek wina i leżała pod stołem. Powinna więc być ululana na sztywno, a ona wyglądała trzeźwo jak pleban.

Uważaj, stary, pomyślał. Chodzimy po bardzo cienkim lodzie. Lepiej pilnuj swojej dupy.

- Masz coś przeciwko temu, żebym się przyłączył?
- zapytał, ściągając ociekający wodą płaszcz i rzucając go na krzesło. Potem usiadł na sofie naprzeciw niej; każdy mięsień w nim był napięty i czujny. Podniósł butelkę, spojrział na etykietę. - Czy uwierzyłabyś, że to stało w kredensie od ostatniego Bożego Narodzenia? Prezent od mojego ojca. Co rok przysyła mi butelkę. Zazwyczaj nie piję, ale dziś jest zimna noc. Mały łyk może roztopić chłód.

Jezu Chryste, dlaczego ona nic nie powie albo przynajmniej mrugnie okiem? Co, do diabła, tutaj się dzieje?

Wtedy się poruszyła. Zobaczył, że przeszedł ją dreszcz, i jej spojrzenie zatrzymało się na nim. Zimne. Poniżej cholernego zera. Czuł, że jaja mu się kurczą. Podnosząc butelkę do ust, zauważył, że drży mu ręka. A na ramionach poczuł gęsią skórkę.

- Nie - powiedziała. Spokojnie. Stanowczo.

Ale to spojrzenie, jakie mu rzuciła, kazało mu opuścić butelkę. O Jezu, jej oczy. Ich obojętność znikła, ukazując

mu błysk czegoś przerażającego, czegoś strasznego, białej gorączki płonącej w środku niebieskim płomieniem.

- Nie chcę, żebyś był pijany, kiedy będziesz to robił:
- Znowu odezwała się z tą doprowadzającą do szału bezbarwnością, przypominającą płaskie kwilenie monitora po zatrzymaniu akcji serca.

Upuścił butelkę na stolik z jasnego drewna i trochę bursztynowego alkoholu chlusnęło mu na rękę. Podniósł ją do ust, ssąc do sucha, czując w ustach ostry smak tequila.

- Robić co? Jezu, Rachel, jesteś przerażająca, wiesz o tym? Siedzisz tutaj w ciemności jak jakiś cholerny pajak. Mogłaś zadzwonić, zawiadomić mnie, że przyjdiesz. Myślałaś, że nie zechcę cię znowu widzieć?

Musiał odwrócić oczy, kiedy to mówił. Prawda była taka, że chciał, żeby była na innej planecie. Chciał, żeby się nigdy nie spotkali.

- To mnie nie obchodzi - powiedziała. - Po dzisiejszej nocy nie będzie to miało znaczenia.

- Masz coś przeciwko włączeniu mnie na twoją częstotliwość? O czym ty, do jasnej cholery, mówisz?

Już nie był taki przestraszony. Teraz zaczynał być wściekły.

- Chcę powiedzieć, że nie dbam już o nas. Z tym skończone. Jestem tu z jego powodu, z powodu dziecka.

O Jezu. O Chryste. Zaczyna się. Powie, że powinniśmy się pobrać, tylko formalnie, czy jakieś głupstwa w tym rodzaju, żeby dziecko nie było bękartem.

Jeśli kiedyś potrzebował drinka, to właśnie teraz. Pieprzyć ją. Przechylił butelkę, by wódka spłynęła mu w gardło, grzejąc go całego.

Odwrócił oczy od Rachel i rozglądając się po pokoju zauważył, jaki był pusty, właściwie ogołocony. Wprowadził się tutaj - jak dawno temu? - sześć, siedem miesięcy. Wydawało się, że to kolejny krok w górę. Mieszkanie było małe, raczej ciemne, ale miało fantastyczną lokalizację - a to zawsze robiło wrażenie na kobietach. Siedemdziesiąta Ulica, blisko Central

Parku. Z widokiem nie na sam park, ale dostatecznie blisko, żeby latem można było obserwować przechodzące stadka ładnych dziewcząt w szortach i gorsetach.

Jak to je nazwał ten pedał, agent handlu nieruchomościami? Gniazdkiem zakochanych? Obrzydliwe. Ale od tamtej pory David sam często myślał o nim w ten sposób i w pewnym sensie była to prawda. Hall został dopiero co zmodernizowany, ale mieszkanie zachowało coś ze stylu *art nouveau*. Jak wdzięcznie powyginaną plafonierę z brązu z abażurem z mlecznego szkła. I miedziane kasetony z kobiecymi profilami po obu stronach obramowania kominka. Powiesił nad nim rycinę Muchy, żeby ludzie wiedzieli, że zna tamten okres, że nie jest kulturalnym analfabeta.

Ale to właściwie wszystko. Jego książki i inne rzeczy przeważnie wciąż pozostawały w kartonach, porządnie ułożonych pod ścianą. Z wyjątkiem hi-fi, oczywiście. Czymże byłoby uwodzenie bez muzyki? Fotel Eamesa, gdzie teraz siedziała Rachel, pozostawił poprzedni lokator, jeszcze jeden pedał, który sprzedał mu również dywan Navaho, leżący pośrodku parkietu.

Przyszło mu teraz do głowy, dlaczego nigdy się nie rozpakował. Przeczekiwał tutaj, oto, co robił. Czekał na swoją prawdziwą przeprowadzkę.

A teraz ta dziwka próbowała go przytrzymać.

- Czego chcesz? - zapytał ponuro.

- Chcę mieć skrobankę. - Prosto z mostu. - I chcę, żebyś ty to zrobił.

David zamarł. Co? Co ona powiedziała? Czuł, że butelka wyślizguje mu się z ręki. Umysł również wymykał się spod jego władzy. Jak wtedy, kiedy w ciemności uderzył o boczną ścianę Cuyler Hall, wracając chwiejnym krokiem z przyjęcia. Szkarłatny błysk w oczach, potem ból, nabrzmiewający w szyi, rozsyłający fale tępego pulsowania po całej czaszce.

Sens jej strasznych słów powracał teraz do niego, eksplodując w głowie. Jezu, ona nie mówi tego poważnie. Spokojnie, powiedział sobie. Musiał pozostać spokojny,

panować nad wszystkim. Chryste, ależ bolała go głowa. Jak, do diabła, ma tym pokierować?

- Dobrze - powiedział. Wyobraził sobie siebie w białym fartuchu, z niebieską plaketką identyfikacyjną z napisem „doktor medycyny David Sloane”. Tak, teraz było lepiej. Czuł, że jego oddech staje się wolniejszy. - Podjęłaś właściwą decyzję. Zobaczysz, tak będzie najlepiej. I jak ci powiedziałem, mam szczerzy zamiar przejść przez to wszystko razem z tobą. Tak się składa, że Steve Kelleher jest najlepszym położnikiem, jakiego znam. Dlaczego nie miałbym zadzwonić do niego od razu, zobaczyć czy jest. - Był już na nogach, przemierzając pokój, sięgając po telefon.

- Nie, David.

- Słuchaj, ja wiem, że nie chcesz, żeby to się rozniosło. Ale on jest bardzo dyskretny.

- To nie o to chodzi. Nie obchodzi mnie, jak on jest dobry albo jak dyskretny. Chcę ciebie. - Znów ten spokojny, stanowczy ton.

Jezu, teraz zaczął się pocić, jak wtedy, kiedy jego stary się zalewał, a on czekał, aż ściągnie drugi but. „Możesz zostać pod tym łóżkiem, jak długo chcesz, Davey. Całą noc, jeśli chcesz. Ale wcześniej czy później będziesz musiał wyjść, a ja będę czekał, aż wyjdiesz. Wtedy pokażę ci, po co Bóg dał mi zdrową prawą rękę.”

Pewnie, że mnie chcesz, pomyślał. Tak, jak chciałby mnie Wuj Sam, gdybym go zawsze nie wyprzedzał o krok. Jak Dama z Kosą. Jak mój stary.

- Jesteś pijana - powiedział jej.

Zaśmiała się krótko, głuchym dźwiękiem, jak samotna nuta wygrana na kobzie. - Chciałabym być. Z ręką na sercu, chciałabym.

- Rachel, posłuchaj...

- Nie, ty posłuchaj. - Wstała z płonącymi oczyma; ból w nich był tak jaskrawy, że musiał odwrócić wzrok. - Powiedziałaś, że to będzie łatwe jak u dentysty, jak usunięcie zęba. Ja tylko chcę, żebyś -jej głos załamał się

trochę, a potem nabrał pewności - poznał to wszystko. Jak to naprawdę jest. Co my naprawdę robimy.

David nagle przypomniał sobie, jak ojciec kopał jego matkę. „Nie dziecko, Hal! - krzyczała. - Proszę, nie dziecko.” Wtedy nie rozumiał, zrozumiał później. Była trzy miesiące w ciąży i straciła dziecko.

Cholera, dlaczego zmuszała go do przypominania sobie tego wszystkiego? I ten ból głowy. Chryste, potrzebował trochę tylenolu albo czegoś mocniejszego.

Ogarnął go gniew, zawładnął nim całym, aż David zachwiał się nieco.

- Straciłaś rozum, dziecinko. Skąd mam wiedzieć, że to moje dziecko? Skąd mam wiedzieć, z iloma facetami to robiłaś? - Słyszał zjadliwość w swoim głosie, i jakaś część jego, ta część, która trzymała się z dala od tego wszystkiego, była wstrząśnięta uświadamiając sobie, że on mówi właśnie tak, jak jego stary.

Zobaczył, że Rachel blednie jak wosk, i przez chwilę myślał, że może zemdleć. Ale ona stała prosto, mocno trzymając się krzesła. Jezu, musiał jej to przyznać. Trzymała się dzielnie.

Widząc udrękę na jej twarzy, poczuł chwilowy wstyd. Zrozumiał, że ona nie robiła tego po to, żeby się na nim zemścić. Przez chwilę miał szaloną ochotę wziąć ją w ramiona, powiedzieć jej wszystko, co chciała usłyszeć.

- Jest twoje - powiedziała. - Nasze. To dziecko, czy jakkolwiek chcesz je nazywać, zrobiliśmy razem. Nie chciałam tego bardziej niż ty, ale teraz to jest fakt. Więc pójdźcie na skrobankę samej, jak gdyby to była mało ważna procedura, cóż... potaniłoby wszystko. Wszystko, co myślę o sobie, o życiu, nawet o byciu lekarzem. Jeśli to małe nowe życie nie ma znaczenia, to co ma znaczenie? Więc, Davidzie, to musi być w ten sposób. Myślałam o tym i jest to jedyna droga. Dla mnie. Jeśli mam z tym żyć.

Rachel usiadła z powrotem, z rękami założonymi na kolanach, myśląc, jak prawdopodobnie David nienawidzi jej teraz za ów pewien rodzaj przewrotnej zemsty. Jednakże w gruncie rzeczy to, w co on wierzył, nie miało

znaczenia. Czymkolwiek byli jedno dla drugiego (a teraz wiedziała, że było to znacznie mniej niż sobie wyobrażała), to było skończone. Nic już między nimi nie mogło istnieć.

Ale najpierw musieli to przeprowadzić, ona i David. Ich dziecko zasługiwało na tyle. Na przyzwoity pochówek, nie na nie oznaczony grób bez nikogo, kto żałowałby jego krótkiego życia, i niczego, co znaczyłoby jego przejście.

Nie, nie znieczuli tego, nie będzie udawać, że to nic takiego. Leżeć na plecach, podczas gdy jakiś obcy człowiek, nucać pod nosem, będzie wyskrobywał z niej jej dziecko jak wnętrzości z patroszonej ryby. Czuła wstyd, i David też musiał to poczuć, gdyż inaczej, jak mogłaby sobie potem przebaczyć?

Ale widziała teraz, jak bardzo nie doceniała Davida. Było w nim coś z dzikiego zwierzęcia, któremu stalowa pułapka zatrzasnęła się na nodze i które wiedziało, że jedyne wyjście to odgryźć nogę. Stał w odległym końcu pokoju, jego przystojna twarz była wymizerowana, zazwyczaj nienagannie wysuszone suszarką włosy były potargane w mokre kosmyki, które zostawiały ciemne plamy wilgoci na kołnierzyku i ramionach koszuli od Lacoste.

Wyraz jego twarzy - nigdy go takiego nie widziała. I wtedy zaświtało jej: on jest śmiertelnie przerażony.

- Nie. - Jego usta złożyły się w słowo, zanim wydobył się z nich pęknięty głos. - To jest... nieprzyzwoite. Musisz być szalona, jeśli myślisz, że mógłbym to zrobić moje...

- Urwał, połykając słowa.

- Twojemu czemu, Davidzie? Powiedz to, przynajmniej powiedz to.

- Nic. - Wyciągnął chusteczkę i wytarł czoło. Nigdy nie czuł takiej paniki, nawet w czasie najbardziej ryzykownych operacji chirurgicznych. - Słuchaj, możesz o tym zapomnieć, o tych twoich makabrycznych knowaniach. Jestem doktorem medycyny, nie jakimś pieprzonym łapiduchem. Taak. Tym razem naprawdę przesadziłaś.

- Może - powiedziała. - Ale to niczego nie zmienia. Nadal jesteśmy w tym oboje, w ten czy inny sposób.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Jego oczy zwięzły się podejrzliwie.

- Chcę powiedzieć, że jeśli nie wykonasz skrobanki, to jej nie będzie. Urodzę dziecko.

- Grozisz mi?

- Nie. - I to również było prawdą. - Mówię ci tylko, co jest możliwe dla mnie. Z jakimi możliwościami wyboru mogę żyć. I to, żeby kazać twojemu przyjacielowi Kelleherowi wykonać na mnie zabieg kosmetyczny, nie jest jedną z nich.

Rachel miała uczucie zimna i pomyślała, że takiego samego uczucia doznawałby zmarły, gdyby mógł czuć. Ona też się bała. Popatrzyła na Davida i pomyślała: Nie jesteś ani w połowie mężczyzną, jakim jest mój ojciec. Gdyby on był na twoim miejscu, nie zrobiłby tego mojej matce. Nie kazałby jej tak cierpieć.

David cofał się, gorączkowo, na oślep. Zawadził o nogę stołka barowego, który przewrócił się z hałasem na podłogę. Schylił się, żeby go podnieść; jego długa sylwetka poruszała się w drgawkach, jak żuraw studzienny.

Potem wyprostował się, patrząc na nią dzikimi oczyma z białymi obwódkami wokół tęczówek. Wyglądał, jak gdyby zrozumiał, że mógł odgryźć sobie nogę i mimo to pozostać bez nadziei w pułapce.

David z twarzą wypraną z koloru opadł na jakieś kartony, zamknął oczy.

- W porządku - powiedział. - Niech cię diabli, wygrałaś. Nie wiem tylko, co ci da to twoje nieprzyzwoite, makabryczne przedstawienie. Mam nadzieję, że ty wiesz. Na Chrystusa, mam nadzieję, że tak.

Rachel czuła się bardzo ciężka, w głowie jej wirowało. Była pijana, tylko wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy.

Wygrała. Powinna być szczęśliwa, przynajmniej triumfująca. Ale wszystko, co czuła, to zimne, martwe odrę-

więnie w środku. Zrozumiała, że teraz ważne było to, by wytrwać, przejść przez to w ten czy inny sposób.

Następną godzinę przeżyła jak we mgle.

David wyjaśniał wszystko przez telefon Kelleherowi cichym, napiętym głosem, prosząc o klucz do jego gabinetu. Potem wyszli. Milcząca jazda windą dół. Na zewnątrz deszcz na twarzy, krople rozpryskujące się na głowie. Zimno. Nie przestawała drżeć, nawet w przegrzanej taksówce.

Dopiero kiedy przybyli do gabinetu Kellehera, przytulonego do obrośniętego bluszczem budynku z piaskowca opodal Lower Fifth Avenue, myśl o tym, co robili, przeszła ją jak nóż. Kiedy David otworzył drzwi i zapalił światło, kiedy zobaczyła jasną poczekalnię z wygodnymi meblami, ryciny Curriera i Ivesa i choinkę na stole w kącie, ozdobioną drewnianymi aniołkami i kraciaszymi kokardami.

Nigdy nie zobaczę mojego dziecka. Nigdy nie będę trzymać go w ramionach.

Potem gabinet, ładne pastelowe zasłony, sufit obramowany nieruchomymi bocianami. I zdjęcia. Wydaje mi się, że są ich setki. Przypięte kolorowymi pineskami do dużej tablicy informacyjnej. Zdjęcia wszystkich dzieci, jakie Kelleher odebrał.

Krzyk narastał w niej, zamykając tchawicę, tak że przez chwilę nie mogła oddychać. Została oszukana, co gorsza, przez siebie samą. Pokój rozmazał się za zasłoną łez. Nie mogę się teraz załamać, pomyślała. Później. Kiedy będzie po wszystkim. Ale, Boże drogi, wiem, że nigdy nie przestanę ich widzieć. Tych wszystkich dzieci. Tych słodkich małych dzieci.

W końcu gabinetu była oddzielona zasłoną alkowa, a na trzcinowym krześle w rogu leżała złożona miękka bawełniana koszula. Rachel przebrała się jak szybko mogła, ale ręce jej drżały. Jej palce, gdy gmerała przy guzikach koszuli, robiły wrażenie patyków.

Do ściany naprzeciw krzesła przyśrubowane było wysokie lustro. Ubrana już w cienką, zawiązywaną na

plecach koszulę, Rachel stała przez chwilę nieruchomo, przyglądając się swemu odbiciu. Zobaczyła twarz, która nie była jej twarzą, ściągniętą i upiornie białą, z oczami wpadniętymi jak odciski kciuka w glinianej rzeźbie. Nawet jej ciało zdawało się obce. Ciężkie, nabrzmiałe piersi, ciemne sutki widoczne przez cienką bawełnę. Brzuch lekko zaokrąglony i gładki po obu stronach, tam gdzie kiedyś wystawała jej miednica. Z oczami przesłoniętymi świeżymi łzami przyłożyła rękę do brzucha, pieszcząc go czule.

- Przykro mi - wyszeptała. - Bardzo mi przykro.

Uczucie martwego zimna zniknęło, ból rozgorzał w jej piersi. Nie zapomnę cię, dziecino.

Kiedy Rachel wyszła zza zasłony, zobaczyła, że David jest gotów. W fartuchu, rękawiczkach; instrumenty rozłożone na metalowej tacy.

Wdrapała się na operacyjną część stołu, czując jego chłodne, sztywne papierowe pokrycie na swoim gołym siedzeniu. Dość dziwne, ale przypomniało jej to słowa matki: „Musisz na pewno, ale to na pewno, przykryć pokrywą, zanim usiądziesz. Przecież nie wiesz, jakie zarazki możesz złapać w publicznej toalecie.”

Rachel była rozdarta między chęcią płaczu i niezdrową chęcią śmiechu. Starannie omijała wzrokiem Davida. Gdyby spojrzała na niego, gdyby spojrzała na to, co teraz trzymał w prawej ręce, mogłaby zacząć krzyczeć albo oszaleć.

- Jeszcze nie jest za późno - głos Davida przepłynął mimo jej ucha. - Nie musimy brnąć z tym do końca. Mogę zadzwonić do Steve'a i powiedzieć mu, żeby przyszedł.

Jego słowa przywróciły jej rozsądek, jak gdyby wylano na nią kubeł lodowatej wody.

- Nie - powiedziała. - Zrób to.

Z kręgosłupem sztywnym jak pręt, położyła się na plecach i z trudem rozsunęła drżące nogi. Teraz wstrząs od zimna strzemion .na gołych stopach. Jej ciało kurczyło się w oczekiwaniu na dotknięcie Davida.

Ale kiedy Rachel spojrzała w tunel między swymi uniesionymi nogami i zobaczyła, co ją czekało, niemal zmieniła zdanie.

David. Jego twarz unosiła się nad szczytami jej kolan jak widmo księżycy na chłodnym niebie, światło odbijało się od stalowego instrumentu w jego dłoni. Ogarnęło ją lodowate przeczucie: To jak małżeństwo, czyż nie? Będziemy tym związani do końca życia.

Ale wiedziała już, że jest za późno.

Przekroczyli punkt, przed którym można było zawrócić.

Na pierwsze zimne dotknięcie wziernika Rachel wepchnęła sobie pięść do ust, żeby nie krzyczeć.

ROZDZIAŁ 6

Manon umierała bez końca.

Sylvie wierciła się na swoim miejscu, lekko zirytowana lamentującym duetem, dyrygentem, wymachującym batutą jak szalencie. Chciała, żeby kurtyna już opadła. Dziwne. Normalnie bardzo lubiła być tutaj, w Metropolitan. Siedzieć obok Geralda w środkowej łoży na parterze, o rzut kamieniem od eleganckiego towarzystwa na krzesłach dla orkiestry i dokładnie naprzeciw sceny. Widok stąd był najlepszy. Wyglądali jak król i królowa, panujący nad swoim dworem, i rzeczywiście nimi byli. O nieba, w ilu uroczystościach i spotkaniach uczestniczyli, kolacjach i przyjęciach, które sama wydawała, poczynając od dawnych czasów, kiedy opera ciągle mieściła się przy Broadwayu i Trzydziestej Ósmej. I co roku bank Geralda składał swój udział na rzecz Welkiego Przywództwa.

Ale dziś wieczorem czuła się niespokojna. Des Grieux, śpiewany przez włoskiego tenora, o którym nigdy nie słyszała, wyglądał w swoim dziewiętnastowiecznym stroju jak indyk z przepukliną, a co gorsza, śpiewał tak, jak gdyby był przeziębiony. A diva, która miała być olśniewającą piętnastoletnią pięknoscia, musiała mieć co najmniej pięćdziesiątkę i była duża jak koń. Naprawdę, tenor musiał dokonać wielkiej sztuki, żeby chociaż utrzymać w ramionach jej gasnące ciało.

Sylvie położyła rękę na ramieniu Geralda. Z jakiegoś powodu dziś wieczorem oprócz nich dwojga nikogo nie było w słabo oświetlonej łoży. Ale Gerald prawdopodobnie nawet tego nie zauważył. On również powinien być zniecierpliwiony w sztywnym kołnierzyku i w za ciasnym smokingu, chociaż upierał się, że wciąż doskonale na niego pasuje, ale w odbitym od sceny bursztynowym świetle dostrzegła jego wniebowziętą twarz. Głowę miał odrzuconą do tyłu, na pół przyknięte oczy; usta cicho powtarzały libretto. Nie widział zwiędłych wdzięków Manon i nie słyszał zadyszki w głosie tenora. Dla Geralda istniała tylko czuła, wzniosła muzyka Pucciniego.

Drogi Gerald. Czy nie był to jeden z powodów, dla których tak bardzo go kochała? Jego talent widzenia rzeczy tylko dobrymi, nie takimi, jakie były naprawdę. Tak jak widział w niej tylko piękno i lojalność. Przez wszystkie te lata pozostał równie ślepy na jej grzechy, jak Des Grieux na grzechy Manon.

Sylvie sięgnęła teraz po omacku po jego rękę i poczuła, jak oplata jej dłoń, ciepła i uspokajająca. Czy wyglądał na bardziej zmęczonego niż zwykle? Była trochę niespokojna. A może tylko jej się wydawało? Sprawiało jej ból porównywanie obrazu Geralda, jaki nosiła w pamięci - eleganckiego i energicznego prezesa banku, którego poślubiła - z tym przygarbionym siwowłosym mężczyzną, którego obserwowała schodzącego powoli, stopień za stopniem w dół, mocno trzymającego się poręczы.

Ma siedemdziesiąt sześć lat, pomyślała, zirytowana na siebie. Oczywiście, jest trochę bardziej powolny. Ale jest zdrowy jak zawsze. Jednak Sylvie nie mogła powstrzymać dreszczu, który przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa, kiedy patrzyła, jak Manon umiera.

Bez niego, pomyślała, nie przeżyłabym. Moj obrońca, mój najdroższy przyjaciel.

Już nie kochanek. Nie byli ze sobą jak mąż i żona od lat. Od ostatniej operacji Geralda on jakoś nie był zdolny do... Ale to nie miało znaczenia. Czuła się mu bliższa teraz niż kiedykolwiek przedtem. Bezpieczna i kochana. Kiedy spacerowali po Riverside Park, ona z ręką wsuniętą pod jego ramię, albo siedzieli jak dzisiaj, rękaw rękę, czuła większą bliskość z nim niż w latach, kiedy się kochali.

Odkąd odszedł na emeryturę jako prezes Mercantile, byli ciągle razem. Chłodne miesiące w Palm Beach, czytanie powieści siedząc jedno przy drugim, gra w brydża z dwoma dziadkami na pomoście przy basenie, podczas gdy Callas śpiewała serenady na stereo. I podróż do Wenecji zeszłej wiosny - jakże obfitująca w cudowne wspomnienia! - pobyt w tym samym apartamencie w hotelu Gritti, gdzie spędzali miesiąc miodowy prawie trzydzieści lat wcześniej.

Sylvie myślała o podróży, jaką planowali na przyszły miesiąc - rejs wokół Bora Bora i Tahiti. Odprężyła się nieco. Tak, właśnie tego mu potrzeba. Morskie powietrze dobrze mu zrobi i cały ten gauguinowski raj przywróci mu rumieńce i blask w oczach.

Kurtyna opadała teraz przy fali oklasków, która spiętrzała się niekiedy w okrzyki: „Bravo! Bravissimo!” Kilka sekund później wykonawcy głównych partii wyszli grupą, wyglądając trochę obco w swoich kostiumach, odcięci od scenicznego świata, oświetleni reflektorami na tle kurtyny, kłaniając się nisko, a gruba diva kłaniała się najniżej, odbijając się jak piłka, kiedy się prostowała.

Potem światła. Kandelabry przygasły majestatycznie, czarodziejsko. Pod wielką kopułą, na końcu mosiężnych prętów, migotały gwiazdy z kryształu.

Pod nimi ludzie zaczęli powstawać z miejsc, niektórzy wciąż klaskali. Mężczyźni w aksamitnych marynarkach i smokingach, kobiety w długich sukniach, jedwabnych, atłasowych i sztywnych brokatach; ich lśniące futra były niedbale przerzucone przez oparcia krzesel. Sylvie usłyszała głos mamy, jak gdyby siedziała na krześle obok. „Prawdziwa dama nosi sukienny płaszcz, jak gdyby to były najlepsze norki, i rzuca norki, jak gdyby to było sukno.” Gdyby tylko mogła być tutaj, zobaczyć rosyjskie sobole Syhde, wiszące w szatni. Mama, która miała tylko jeden porządny czarny płaszcz, latami nicowany.

Syhde pomyślała, że mamie bardzo spodobałyby się również klejnoty. Cudowne okazy, migocące na szyjach, przegubach, palcach i w uszach - Bulgari, Cartier, Van Cleef & Arpels. Można dostać zawrotu głowy.

Syhde dotknęła palcami naszyjnika na swojej szyi. Piękne, stare szmaragdowe kabuszony, oprawione w fili-granowane osiemnastokaratowe złoto, zaprojektowane czterdziści lat temu przez legendarną Jeanne Toussaint od Cartiera w Paryżu. Podarunek Geralda na jej ostatnie urodziny. Pasują do jej oczu, powiedział, nie wspominając nawet, jaką fortunę musiały kosztować. I jak doskonale były dobrane do sukni Schiaparelli, którą teraz miała na sobie - prostego czarnego futerału z aksamitu, eleganckiego i ponadczasowego jak szmaragdy, którym służył za tło.

Syhde podniosła się i ruszyła ku wyjściu z łoży. Trwało chwilę, zanim zdała sobie sprawę, że Geralda nie było obok, żeby przytrzymać dla niej otwarte drzwi, tak jak zawsze to robił. Odwróciła się i zobaczyła, że on wciąż siedzi. Boże drogi, najak bardzo zmęczonego wyglądał! Serce podskoczyło jej do gardła.

Syhde szybko się opanowała. Było późno i taki długi spektakl - cztery nie kończące się akty, dwie przerwy - to naturalne, że jest zmęczony. Kto by nie był? Mimo to...

- Gerald? - zapytała łagodnie. - Czy dobrze się czujesz?

Wyprostował nieco ramiona i zdobył się na słaby uśmiech. Czy i wcześniej wyglądał tak blado?

- Nie ma się czym martwić, moja droga. Myślę, że to lekka niestrawność. Jak zwykle, zjadłem odrobinę za dużo. - Skrzywił się. - Wiesz, naprawdę myślę, że czas zrzucić kilka kilogramów. Jeśli mój pasek zrobi się ciaśniejszy, nie będę mógł usiąść.

Wiedziała, że próbował ją uspokoić, ale nękający ją niepokój nie mijał. Wspominała jego drugi zawał serca, o wiele gorszy niż poprzedni. Gerald w nowojorskim szpitalu, rurki biegnące do jego ramienia i nosa, cewnik na nodze, przewody przyłączone taśmą do jego piersi. Nad łóżkiem popiskujący monitor zapisywał każde uderzenie jego serca. Jak gdyby ta zygzakowata zielona elektroniczna linia była jedyną wskazówką, że on jeszcze żyje.

I wszyscy ci studenci, lekarze, specjaliści, laboranci, kardiolodzy, wpadający i wypadający kłusem, nie dający mu chwili spokoju. Straszili ją śmiertelnie długimi poważnymi spojrzeniami i trudnymi do pojęcia objaśnieniami. W końcu ona i Gerald zgodzili się na rozrusznik serca.

Ależ on czuje się świetnie. Zanim wróciliśmy z Florydy, specjalista wszystko sprawdził. Sto procent pewności, powiedział. Przesadzam, jak zwykle...

- Dalczego nie odpoczniesz tutaj chwilę? - powiedziała, lekko dotykając go ręką, wstrząśnięta jego wątlnością. Wypchane ramię jego marynarki tworzyło niewielki namiot nad wypukłością kości, gdzie niegdyś były mięśnie. - Nie ma sensu wychodzić stąd w pośpiechu, zanim tłum trochę się nie przersedzi. Przyniosę ci coś do picia, może trochę wody sodowej z baru?

Westchnął. - Tak, to jest myśl. Coś na uspokojenie żołądka, a potem będę jak nowy. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Poszedłbym sam, ale... - zawiesił głos.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu - powiedziała z wymuszoną wesołością.

Wtedy zaskoczył ją, mówiąc ni stąd, ni zowąd: - Właśnie myślałem o Rachel. O tym lecie, kiedy miała osiem lat i pierwszy raz pojechała na obóz. Pmiętasz? Zawieźliśmy ją tam i wszystkie inne małe dziewczynki przywierały do

swoich rodziców, zachowując się, jak gdyby to był koniec świata. A nasza Rachel powiedziała: „One płaczą, bo ich mamusie i tatusiowie są smutni. Wy też jesteście smutni. Aleja nie będę płakać. Jestem na to za duża”.

- Pamiętam - powiedziała cicho Sylvie. W myślach zobaczyła odbicie Rachel we wstecznym lusterku Bentleya Geralda, małą dziewczynkę w czerwonej kraciatej bluzce i niebieskich bucikach, poważnie machającą ręką na pożegnanie. Sylvie uczuła, że serce jej się ściska.

Wróciła myślami do wczorajszego popołudnia, do wstrząsu, jaki wywołało w niej zwierzenie Rachel, że jest w ciąży. Och, jak bardzo pragnęła złagodzić ból Rachel! Jakoś jej pomóc.

Czy powinnam udzielić jej rady? - zastanawiała się Syhde. Mój własny wnuk, dziecko po tylu latach, jak mogłoby być cudownie! Jednak ukryła przed Rachel swoje pragnienie. Kim jestem, żeby prawić kazania? Gdyby ona wiedziała, jak modliłam się o poronienie, kiedy byłam w ciąży. Jak przerażało mnie urodzenie dziecka Nikosa.

Tak, pomyślała Syhde ze smutkiem, wiem, jak to jest nosić dziecko, którego się nie chce. Nie życzyłabym tego Rachel, bez względu na to, jak bardzo bym go chciała.

Nie, musi myśleć tylko o tym, co jest najlepsze dla Rachel. Modliła się, żeby Rachel zrobiła to, co słuszne... dla niej samej. I dziękowała Bogu, że Rachel jej się zwierzyła. Wiedziała, że córka nie była tak blisko z nią jak z Geraldem, ale teraz będzie łączyć je ta więź. Syhde uczuła przypływ triumfu: Widzisz, mimo wszystko ona mnie potrzebuje.

Jutro z samego rana zadzwoni do Rachel, dowie się, co postanowiła, pocieszy ją, jeśli będzie mogła. Ale musi uważać, żeby Gerald się nie dowiedział. Byłby taki dotknięty.

Głos Geralda wdarł się w myśli Syhde: - Prosiłem ją, żeby przyszła dzisiaj z nami. Wiesz, jak zawsze kochała Manon. Ale powiedziała, że musi być w szpitalu. - Zaśmiał się cicho. - Tak wiele chciałem dla Rachel, gwiaz-

dki z nieba i jeszcze więcej, ale teraz, kiedy sama po nią sięga, tylko tym pochłonięta, chciałbym tylko częściej ją widzieć!

Syħde przyszedł do głowy inny powód, dla którego Rachel postanowiła dziś nie przychodzić. Ale nic nie powiedziała, tylko zacisnęła rękę na gałce drzwi prowadzących do westybulu.

Popatrzyła na Geralda, wciśniętego w fotel przed nią, mężczyznę, z którym żyła i którego kochała przez wszystkie te lata. Poczowała przypływ uczucia, który zacisnął jej gardło.

- Gerald? - Patrzyła, jak odwraca się, żeby spojrzeć na nią z pytającym uśmiechem, prostując nieco ramiona.
- Kocham cię.

Zdała sobie sprawę z tego, że się rumieni i poczuła się z tego powodu trochę niemądrze - ona, kobieta w średnim wieku, zachowuje się jak młoda dziewczyna, po raz pierwszy zakochana! Każde z nich tak rzadko wypowiadało te słowa głośno, a nigdy publicznie.

Gerald utkwiał w niej spojrzenie, oczy mu błyszcząły. Zaśmiał się cicho. - Pan Puccini - powiedział. - Bez względu na to, jak często oglądam Manon, działa na mnie za każdym razem. Widzę, że na ciebie też.

Serce w niej urosło. Może rzeczywiście przed tyloma laty dokonała właściwego wyboru. O tak, może rzeczywiście.

- Woda sodowa - przypomniała mu. - Zaraz wrócę.

Korytarz, o ścianach obitych żurawinowym pluszem, był zatłoczony. Ludzie kierowali się w stronę podobnych do tortu weselnego schodów, prowadzących do głównego hallu. Wiedziała, że na zewnątrz, za fontanną, stały w dwóch rzędach beczynne limuzyny, podczas gdy tuż za oszklonymi drzwiami głównego hallu czekali na baczność szoferzy, wyposażeni w wielkie parasole, aby osłonić swoich panów i panie przed deszczem, który siekł miasto od popołudnia.

Syħde wyprzedziła wysoką ciemnowłosą kobietę, ubraną w czarną aksamitną minispódniczkę i górę

naszywaną złotymi cekinami, która gawędziła ze swym towarzyszem po francusku. Gdziekolwiek się obróciła, słyszała ożywione głosy, śmiech. Wszyscy oni zdawali się mówić w obcym języku, ich słowa brzmiały w jej uszach jak szwargot.

Sylvie uśmiechnęła się, skłaniając głowę w kierunku Adeline Vanderhoff, kobiety, którą trochę znała z Harmonie Club. Miała nadzieję, że Adeline nie będzie próbowała nawiązać z nią rozmowy. Sylvie sama czuła się trochę chora, zduszona natłokiem futer i zmieszanyimi zapachami drogich perfum.

Wchodząc do hallu na parterze, gdzie tłum spływał schodami, Sylvie zobaczyła z ulgą, że bar nie był jeszcze zamknięty. Nikt również nie czekał w kolejce, wszyscy chcieli wrócić do domu.

Również ona i Gerald znajdą się w domu za kilka minut; Emilio czekał na zewnątrz, żeby ich odwieźć. Wtedy zaprowadzi Geralda bezpiecznie do łóżka, może ze szklanką ciepłego mleka. Może obejrzą telewizję, mogajeszczē zdążyć na nocne wiadomości. Gerald wspominał, że Nixon miał dzisiaj konferencję prasową, i żywił nadzieję, że ten nowy prezydent zrobi coś doniosłego dla ożywienia gospodarki. Sylvie udawała, że podziela entuzjazm Geralda dla Nixona, ale w skrytości ducha nie dowierzała mu. Przypominał jej jednego z tych ludzi o rozbieganych oczach, reklamujących samochody w nocnym programie telewizji.

- SyMe? Czy to ty?

Męski głos z nieznacznym akcentem zaskoczył ją tak, że omal rozlała pełną po brzegi szklankę wody sodowej, którą właśnie wzięła z baru.

Nie, to nie może być...

Odwróciła się, zobaczyła, że to on, i poczuła, że serce jej wali. Oto stał, posiwiwały teraz i trochę zbyt krępy, ale poza tym ledwie zmieniony. Przejrzyste czarne oczy w twarzyjak z obrazu van Gogha, o stępionych przyziemnych rysach, mocno skręcone czarne loki, przetykane srebrem.

Nikos.

Czy to on? Jak to możliwe? Przeminięło ponad dwadzieścia długich lat. Nigdy nie dał znaku życia. Zastanawiała się nad tym, tak, ale uznała... że co? Że umarł albo przeprowadził się daleko.

A może tylko miała taką nadzieję? W ten sposób jej zbrodnia zostałaby ukryta razem z nim, zapomniana, bez adresu.

I oto był tu teraz.

Szedł ku niej krótkimi, pewnymi krokami; ciżba po obu stronach topniała przed nim. Jego dawne utykanie było teraz ledwie zauważalne.

Sylvie wpadła w panikę. Nie mogę się ukryć ani udawać, że go nie znam. O Boże, co ja powiem?

- Sylvie! Nie do wiary. Piękna jak zawsze. Biedna Regina, lata nie były dla niej łaskawe, ale jej głos jest wciąż młody. Czy podobała ci się dzisiaj Manon?

Akcent był ten sam, ale jego angielski lepszy. Jego głos brzmiał pewnie, autorytatywnie. Nikos najwidoczniej stał się kimś. Sylvie zauważyła wspaniałe dwurzędowe garnitur, jaki miał na sobie. I krawat od Hermesa, ze złotą szpilką z onyksem, i pasujące do niej spinki do mankietów.

Czy zauważył wrażenie, jakie na niej wywarł? Czuła się omdlała, jak gdyby wszystkie te lata wcale nie minęły, jak gdyby znów proponował jej papierosa na tarasie przy jej salonie.

- O tak, bardzo - powiedziała. Nie do wiary, jak łatwo było wypowiadać właściwe słowa, nawet gdy serce trzepotało w jej piersi jak schwytny ptak.

- Mojej żonie tak bardzo podobałoby się dzisiejsze przedstawienie.

Tu cię mam. Jest żonaty, prawdopodobnie ma również z szóstkę dzieci, a może nawet wnuki. Więc dlaczego stoisz tutaj, pocąc się jak zbiegły więzień, zapędzony w kozie róg przez psy gończe. Nic chyba nie mógłby wiedzieć o Rose.

- Wobec tego szkoda, że nie mogła przyjść - wymruczała Sylvie.

- Tak. - Jego czarne oczy zachmurzyły się. - Barbara umarła w zeszłym roku.

- Och, bardzo mi przykro. - Syhde czuła się niezręcznie, pocieszając go. Wrócił jej niepokój o Geralda. Musiała się szybko pożegnać. Ale wydawała się niezdolna, by zrobić krok.

- A twój mąż? - wypytywał Nikos - Czy on jest tutaj?

- O tak. Właściwie czeka na mnie teraz. Więc jeśli mi wybaczysz...

Nikos lekko położył rękę na jej ramieniu. - Tak dawno się nie widzieliśmy. Na pewno możesz poświęcić jeszcze minutę. Staremu przyjacielowi.

Syhde patrzyła na niego, jak gdyby jego dotknięcie ją sparzyło. Przez jedną straszną chwilę była pewna, że on wiedział o Rosę i torturował ją udawaniem, że nie wie.

Uśmiechnij się. Zachowuj się naturalnie.

- Ależ oczywiście - jej głos zawibrował trochę zbyt radośnie. - Jak to nieładnie z mojej strony. Właśnie myślałam, że dobrze wyglądasz i zapomniałam zapytać, jak się miewasz.

- Bardzo dobrze, dziękuję. Bogowie byli przeważnie dla mnie łaskawi. Pracujesz dobra. Dosyć jej, żebym nie przesiadywał w pustym domu, pogrążony w myślach.

- Ujął ją za łokieć, kierując bliżej ściany, poza strumień ruchu. - Papierosa?

Sylvie, wspominając znów parną słodką noc, kiedy pierwszy raz ją pocałował, poczuła, że gorąco oblewa jej szyję. Potrząsnęła głową i patrzyła, jak on wyciąga z kieszeni na piersi wąską złotą papierośnicę i wyjmuje papierosa.

- Co to za praca, którą się zajmujesz? - zapytała starając się, by zabrzmiało to grzecznie i przyjacielsko. Oczywiście było, że nie jest już podręcznym.

Dość ją rozbawił pozbawiony ogłady sposób, w jaki zapalił papierosa. Wydarł zapałkę z książeczki i potarł nią o paznokcie na kciuku. Domyśliła się, że złota papierośnica była podarunkiem od jego zmarłej żony.

- Mam teraz własne przedsiębiorstwo budowlane. W tej chwili wznosimy kilka bloków mieszkalnych w Brighton Beach. Jeśli Bóg i pogoda pozwolą, mam nadzieję ukończyć je do września.

Syħde była ogłuszona. - To ty? Ty jesteś właścicielem Anteros Construction?

Bank Geralda gwarantował ten projekt. Pamiętała, że o tym wspominał, mówiąc, jakie to mądre budować w takiej okolicy, tuż nad oceanem, a jednocześnie w rozsądnej odległości od City.

Nikos wzruszył ramionami, krzywiąc w uśmiechu pełne wargi. - Jednej rzeczy się nauczyłem. Im większe jest twoje przedsiębiorstwo, tym bardziej cię posiada, a nie na odwrót. Myślę, że twój mąż by się z tym zgodził, czyż nie?

Syħde roześmiała się. - Tak. Skąd wiedziałeś? To jedno z ulubionych powiedzonek Geralda.

- Wiesz, zawsze go podziwiałem. - Nikos zaciągnął się papierosem, wypuszczając cienką smużkę dymu z nozdrzy. - Nadzwyczajny człowiek. Mądry... i w pewnym sensie również człowiek z sercem. - Uderzył się w pierś.

Syħde znów poczuła, że robi jej się ciepło. Dlaczego to robił? Miał wszelkie powody, żeby nienawidzić Geralda. Było to niezrozumiałe, o ile nie drwił sobie z niej.

- Tak - odpowiedziała sztywno. - Słuchaj, naprawdę muszę...

Ale Nikos wydawał się nieświadomy jej niewygodnej sytuacji. - Wiesz, wyświadczył mi wielką przysługę, kiedy mnie wyrzucił. Gdyby mnie do tego nie zmusił, mógłbym nigdy nie stanąć o własnych siłach. Albo...

- Urwał nagle, jak gdyby powstrzymując się od ujawnienia czegoś, czego nie miał zamiaru ujawniać. Pokrył niezręczną chwilę swoim wspaniałym uśmiechem. - Ale widzę, że jestem samolubny, zatrzymując cię tak długo.

- Wszystko w porządku - powiedziała z nadzieją, że nie zauważy, jaką ulgę odczuła. Spojrzała na szklanę wody sodowej, grzejącej się w jej dłoni. - Ale obawiam

się, że muszę to zamienić. Wygląda na to, że gaz się ulotnił.

- Pozwól. - Zanim zdążyła zaprotestować, wyjął szklankę z jej dłoni i przedzierał się w stronę baru. Ale szpakowaty mężczyzna za kontuarem potrząsnął głową, mówiąc, że zamknięte.

Sylda obserwowała zażenowana, jak Nikos wyciąga z portfela banknot i podaje go przez kontuar. Po gorliwości, jaka wykwitła na twarzy barmana, domyśliła się, że musiał to być duży banknot. Nikos wrócił po chwili, niosąc świeżą szklankę wody sodowej z lodem.

- Nie powinienesz był tego robić.

Nikos znów wzruszył ramionami. - Powiedzmy, że mam dług wobec twego męża. Traktuj to jako drobną, częściową spłatę.

Sylda nie mogła sobie wyobrazić, dlaczego Nikos miałby czuć wdzięczność dla Geralda, ale słyszała w jego głosie tylko szczerść. Może miało to coś wspólnego z zaangażowaniem banku w projekt w Brighton Beach.

- W takim razie dziękuję - powiedziała. Wyciągnęła rękę, ajego duża stwardniała dłoń natychmiast ją oplotła. - Do widzenia. Miło było cię znowu zobaczyć.

Odwracała się, żeby odejść, kiedy Nikos dotknął jej ramienia. - Zaczekaj. Jeszcze jedno. Nic mi nie powiedziałas o twojej córce. Dobrze się miewa?

Przezjedną straszną chwilę Sylvie sądziła, że on ma na myśli Rosę. Jego dziecko. Miała wrażenie, że jakaś pięść zamknęła się wokół jej serca, wyciskając z niego krew. Powoli odwróciła się do niego twarzą, usiłując zachować zimną krew.

- Rachel miewa się świetnie - powiedziała. Gerald musiał wspomnieć Nikosowi o Rachel. To o to chodziło. Nikos był po prostu uprzejmy.

Ale teraz musi widzieć, że coś jest nie w porządku, pomyślała z rozpaczą. Popatrz, jak oczy mu się zwięzają, twarz ni stąd, ni zowąd twardnieje.

Sylvie zmieniła temat, żeby pokryć skrępowanie. - Musisz mieć własne dzieci - powiedziała szybko.

- Nie - Nikos potrząsnął głową z żalem. - Nie mam dzieci. - Jego papieros wypalił się do filtra, a on bez szczególnego pośpiechu odłożył go na wysoką metalową popielniczkę obok. - Barbara i ja chcieliśmy mieć dzieci. Bardzo. I ilekroć zachodziła w ciążę, mieliśmy nadzieję, że tym razem... ale widać nie było nam to pisane.

- Przykro mi - powiedziała Sylvie. Czy już tego nie mówiła? Nie mogła sobie przypomnieć. Czuła się sparaliżowana, jej umysł obracał się wokół jednej myśli.

Wtedy Nikos nachylił się ku niej blisko, tak blisko, że poczuła zapach nikotyny w jego odechu. - Syhde, ja wiem - powiedział spokojnie.

On nie przyjmował do wiadomości wyrazów współczucia. To było stwierdzenie niezależne. Ogarnęła ją panika, wytrącając z równowagi. Poczowała, że coś wilgotnego przesącza się przez jej suknię. Woda sodowa Geralda. Szklanka przechyliła się i wylało się trochę wody.

Jej myśli krążyły teraz szybciej. On wie, on wie, on wie...

- Co wiesz? - zapytała, przylepiając do twarzy uśmiech kokieterijnej niewinności, ale nawet bez lustra wiedziała, że nie zwiódłby nikogo.

- Podejrzewałem to od dawna - powiedział. - Urodziłaś dziecko dziewięć miesięcy po tym, jak ty i ja...

- Nie - powstrzymała go, odskakując krok w tył i rozlewając płyn na przód swojej sukni. - Mylisz się.

- Naprawdę? Wstyd mi to powiedzieć, ale był czas, kiedy miałem nadzieję, że tak.

- To jakiś obłąd - syknęła. - Nie będę tego słuchać ani minuty dłużej. - Ale jego ręka otaczała jej przegub jak stalowa bransoletka. Tylko że jego ciało parzyło, a jej ramię było lodowato zimne. Jej oczy wezbrały łzami. - Proszę, muszę wrócić do Geralda. Będzie się dziwił, co mnie tak długo zatrzymuje.

- Sylvie, nie próbuję cię zranić. Musisz w to uwierzyć. Chcę tylko jednego. Żebyś to powiedziała, tylko powiedziała. Tylko to. Zrób dla mnie tyle. Nigdy przedtem nie pytałem, z szacunku dla Barbary, również dla Geralda.

I przysięgam, że jeśli powiesz, że to prawda, zostawię cię w spokoju. Nigdy się do ciebie nie zbliżę...

Sylvie wyrwała się, niezdolna znieść tego dłużej, nagiego głodu w jego ciemnych oczach i tego, iż on teraz wiedział tak jak ona, że zdradziła zarówno Nikosa, jak Geralda.

Biegła, po raz pierwszy nie dbając o to, jak wygląda ani kto patrzy. Gerald. Musi do niego wrócić. O Boże drogi, to by go zabiło, gdyby się dowiedział. Nigdy nie może się dowiedzieć.

- Sylvie! - wołał za nią Nikos. - Zaczekaj!

Sylvie czuła, że twarz ją pali; wyobrażała sobie, jak ludzie patrzą, plotkują. Proszę, chciała krzyknąć, proszę, zostaw mnie w spokoju. Ale nawet kiedy biegła wzdłuż zakrzywionej ściany parteru, z wodą sodową rozlewającą się na jej rękę, kiedy wpadła do łóża, słysząc bicie serca w uszach jak hałas pociągu w tunelu, wiedziała, że to nie przed Nikosem naprawdę uciekała, ale przed samą sobą, przed straszliwą prawdą.

Rosę...

ROZDZIAŁ 7

Rosę, wciskając się do zatłoczonego wagonu metra, na oślep szukała uchwytu. *Zachwiała* się, kiedy pociąg ruszył do przodu, ludzie wokół wpadali na nią. Bogu dzięki, przynajmniej jechała we właściwym kierunku. Do domu.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie, że już tam jest. Wspinała się po schodach, czterech stromych kondygnacjach, powoli, powoli, tak żeby nacieszyć się oczekiwaniem. Nawet pewność, że będzie tam Nonnie, nie mogła

zwarzyć rozkosznej nadziei, że może czekać na nią list - list od Briana.

Proszę, Panie Boże, żeby tym razem był list. To już tak długo, całe dwa miesiące, a ja byłam taka cierpliwa. Tylko jeden list, pocztówka, cokolwiek. Wiem, że nie zginął, bo jego mama i tata dostają listy. Musi być ważny powód, dla którego ja nic nie dostałam.

Ale co, jeśli tym powodem było to, że już jej nie kocha?

Rosę uczuła, że oblewa ją pot, że plama lepkości między jej piersiami rozszerza się kolistnie, jak kropla wody na bibule. Miała mokre pachy, pod grubym wełnianym płaszczem bluzka przyłgnęła do łopatek. A zarazem czuła w żołądku lodowatą grudkę strachu. Proszę... och, proszę, niech tym razem będzie list...

Wtedy zdała sobie sprawę, że ciało, zaklinowane zajęj plecami, porusza się. Męskie ciało, tak cuchnące nikotyną, że czuła ją nawet z tyłu, falowało za nią. Jezu drogi, nawet przez grubość płaszcza czuła go, jego twardość. Gniew i odraza zagotowały się w niej.

Starła się wywinąć, ale była ściśnięta ze wszystkich stron, a tymczasem on tylko naciskał mocniej. Nie mogła się nawet odwrócić i zobaczyć, kto to jest, niech to diabli. Zboczeniec, gad, pewnie prowadzi nieprzyzwoite rozmowy telefoniczne z małymi dziewczynkami.

Wtedy Rosę pomyślała o książce, którą ścisnęła pod pachą, oprawionym tomie „Law Review” z 1967 roku. Pochyliła ją pod kątem w dół i ustawiła łokieć do uderzenia. Ciężka książka dodała mu siły. Poczowała, że cios go dosięgnął i usłyszała pełen zdziwienia jęk. Nacisk na jej plecy gwałtownie zelżał.

Pociąg zatrzymał się raptownie, drzwi rozsunęły, a konduktor wrzasnął: „De Kalb Avenue, następny przystanek Atlantic”. Pasażerowie wysypali się, a potem chyba jeszcze więcej wcisnęło się do środka. Rosę miała ochotę przedrzeć się między nimi i wyskoczyć na peron. Następny pociąg prawdopodobnie nie będzie tak zatłoczony i przynajmniej pozbyłaby się zboczeńca.

Ale nie. Zacisnęła zęby i została. Musiała dotrzeć do domu. Do listu Briana. Tak, dzisiaj przyjdzie list, była tego pewna. Może kilka, cała ich paczka, wszystkie listy, jakie do niej wysłał, a które albo niewłaściwie skierowano, albo utknęły w niewłaściwym urzędzie pocztowym.

- Tylko o to proszę, Panie Boże - szeptała, a jej modlitwę zagłuszał stukot pociągu. - I za każdy list zmówię dwanaście różańców. I nie będę klęczała na dywanie. Będę to robiła w łazience, gdzie jest twardo i chłodno. I znowu zacznę chodzić do spowiedzi... i na mszę w pierwszy piątek...

Myśl o mszy uspokoiła ją, a to przypomniało jej o czymś innym, co poprawi jej samopoczucie. Tom „Law Review” pod jej pachą. Już raz wyświadczył jej dzisiaj przysługę. Rozkoszowała się myślą o tym, że później się w nim zakopie, o trzeszczeniu sztywnego grzbietu z klejonego płótna, o gładkiej świeżości grubych kart. Wiedziała, że nie zrozumie wszystkiego, co będzie czytała, ale uwielbiała te frazy, bogatą kadencję łacińskich terminów, i wszystkie te streszczenia spraw sądowych, suche na pierwszy rzut oka, ale jeśli się czytało między wierszami i wysiliło wyobraźnię, przypominały opowiadania. Tak, to trochę przypominało uczucie, jakiego doznawała w kościele, czytając mszał i słuchając magicznych słów księdza.

Uderzyła ją przykra myśl. Co by było, gdyby on się dowiedział? Czy pan Griffin miałby coś przeciwko temu, że pożyczyła ten tom, i tyle przedtem? Ale nigdy nie brała więcej niż jeden i zawsze odnosiła następnego ranka. Pan Griffin prawdopodobnie nie zwróciłby uwagi, nawet gdyby trzymała książkę przez tydzień. Ale po co ściągać na siebie kłopoty? Praca u niego była najlepsza z trzech, jakie dotąd miała - pierwsza u hurtownika materiałów biurowych, który wycofał się z interesów, druga u prawnika, który żądał pracy w godzinach nadliczbowych, wliczając w to godziny w łóżku - i miała zamiar ją zachować.

Nie, oczywiście, że nie miałyby nic przeciwko temu. Był taki miły, taki niepodobny do tamtych dwóch - Walsh

i Delaney. I taki energiczny! Czasami sprawiał, że czuła się jak Dorotka, porwana przez tornado.

Wyobrażała go sobie teraz, jak chodzi w tę i z powrotem za swoim biurkiem, ze słuchawką telefoniczną, przylepioną do ucha, co i raz wymachując rękami albo nawet uderzając o blat biurka dla podkreślenia swoich słów. Wysoki mężczyzna po czterdziestce, z małym brzuszkiem, ale twarz miał przystojną. Twarz człowieka, na którego można liczyć, pomyślała. Pod tym względem przypominał jej Briana, chociaż wcale nie byli do siebie podobni. Pan Griffin przywodził jej na myśl byłego boksera zawodowego, ale takiego, który uderzał słowami zamiast pięściami. Marynarkę przerzucał przez oparcie krzesła, rękawy koszuli podwijał do łokci, i wciąż przeczesywał palcami swoje gęste, siwiejące brązowe włosy, przez co sterczały w kosmykach. Napełniało ją to dziwną czułością dla niego, taką jak dla małego brata Briana, Jasona, który zawsze miał koguta na głowie. Często się również uśmiechał - lubiła to u niego. A wtedy, kiedy wysłała do Cressler Corporation list, przeznaczony dla Damona Chandlera, o tym, że pamięć starego pana Cresslera trochę się zaciera i czasami myli fakty - Boże, cóż to była za katastrofa! Czuła się tak okropnie. Ale pan Griffin zachował się miło, chociaż widziała, że był zdenerwowany. Powiedział jej, że to mogło zdarzyć się każdemu i że jakoś to naprawią.

Rosę pomyślała, że on potrafiłby naprawić chyba wszystko. Nie musiała słuchać kuchennych plotek, żeby wiedzieć, że Max Griffin jest pierwszorzędnym prawnikiem, najbardziej podziwianym w firmie, prawdopodobnie jednym z najlepszych w City. Boże, gdyby ona zasiadała na ławie przysięgłych, na pewno by ją zdobył, jak również resztę ludzi.

W poniedziałek powie mu o pożyczaniu tych książek. Nie, żeby on miał coś przeciwko temu, tylko... tylko że czuła się tak głupio zażenowana. Co by było, gdyby się roześmiał? Gdyby pomyślał, że jej marzenie, by kiedyś zostać prawnikiem, to głupi żart?

Przy Avenue J, dziesięć przystanków dalej, Rosę wysiadła. Kiedy schodziła z peronu, stukając obcasami po oblepionych brudem stopniach, przez kołowrót na zewnątrz, na ulicę, serce zaczęło jej mocno walić. Marsz przez kilka przecznic i będzie w domu.

Rosę zapragnęła nagle przedłużyć krótki spacer. Co będzie, jeśli przyjdzie do domu i nie zastanie listu od Briana? Dzisiaj był piątek i czasami listonosz przychodził w sobotę, ale bardziej prawdopodobne było, że upłynie cały długi weekend i cały poniedziałek, zanim nadejdzie następna poczta. A ona już tak długo czekała...

Zatrzymała się u sprzedawcy owoców przy Wschodniej Piętnastej i kupiła sześć pomarańcz, wybierając każdą o wiele staranniej niż to było konieczne. Potem w koszernej piekarni po drugiej stronie ulicy, znęcona zmieszanyimi zapachami cynamonu, czekolady i żyta, kupiła kawałek strudla z jabłkami na dodatek do zwyczajowego bochenka pumpernika. Stary pan Baumgarten, który zawsze miał ołówek wetknięty za ogromne ucho, dorzucił makaronik, tak jak to robił, odkąd jako mała dziewczynka przychodziła tutaj z Nonnie.

- A więc, twoja babka, jak ona się czuje?

- Wspaniale - odpowiedziała jak zawsze Rosę.

- A ty? Teraz z ciebie taka ładna młoda dama! Pracujesz aż w City. Taka elegancka, na wysokich obcasach.

- Ja też miewam się wspaniale, panie Baumgarten.

Rosę poczuła, że robi jej się ciepło. Gdyby zdjęta płaszcz, piekarz mógłby zauważyć ślad przypalenia żelazkiem na jej bluzce. Za bardzo się spieszyła prasując ją dziś rano, a nie miała żadnej czystej na jej miejsce. Miała tylko trzy porządne bluzki w garderobie i dwie ładne wełniane spódnice, które zmieniała co drugi dzień. Tę szarą i plisowaną granatową od starego szkolnego mundurka. Rzeczywiście elegancka dama, ha!

Cóż, pewnego dnia, powiedziała sobie, będę taka. Kiedy Brian wróci do domu, kiedy się pobierzemy. Wtedy będę żoną profesora i już nigdy nie będę musiała czuć się oberwana ani gorsza od innych.

Ale co, jeśli on nie wróci do domu?...

Nagle poczuła, że jest niebezpiecznie bliska łoża. Podziękowała piekarzowi i wrywając mu z rąk białą torbę, wypadła ze sklepu. Biegła teraz, biegła w poprzek Avenue J, ledwie zważając na ruch i ignorując czerwone światło. Musiała wrócić do domu, musiała zobaczyć, czy dzisiaj... o Boże, proszę... dzisiaj... żeby był list...

Zdawało jej się, że chodnik ciągnie ją w dół, każe zwolnić. Jej wysokie obcasy wpadały od czasu do czasu w nierówności nawierzchni, a kiedy dobiegła do kilku dziewczynek grających w klasy, musiała zboczyć na jezdnię, przedzierając się między dwoma zaparkowanymi samochodami. Pomarańcze w plastikowej torbie uderzały o jej biodro, kiedy pędziła przed siebie.

Wreszcie dotarła do trzech niskich stopni, prowadzących do jej budynku. Zdyszana, ledwie przystanąła, zanim popędziła, dudniąc po schodach, cztery kondygnacje w górę, na swoje piętro. Serce waliło jej o żebra, kiedy dotarła do podestu.

Brian, och, Brian, tak bardzo za tobą tęsknię. Twoje listy to wszystko, co mam. Są dla mnie wszystkim.

Dzisiaj, proszę, żeby to było dzisiaj.

Nonnie siedziała przed telewizorem. Pani Slatsky, która zawsze wychodziła punktualnie o szóstej, dobre pół godziny przed powrotem Rose, włączyła ulubioną *Gilligans is/anJ Nonnie*. Nonnie ledwie spojrzała, kiedy Rose weszła.

- Kolacja jest w piecyku - powiedziała bezceremonialnie. - Ta kobieta przyniosła pieczeń.

Ta kobieta. Jezu, pani Slatsky wciąż była „tą kobietą”, po ilu latach?

- Założę się, że pływa w tłuszczu. Ona umie tak gotować, ta kobieta, jak ja grać w baseball.

Rosę zauważyła, że Nonnie miała jeden ze swoich dobrych dni. Nie bełkotała bardzo, siedziała prosto, oczy miała błyszczące i ostre jak cięte szkło. Pani Slatsky musiała jej umyć i uczesać włosy, chociaż nie było to wielkie osiągnięcie. Jednak uwolniła Rosę od konieczności zrobienia tego samej i Rosę czuła dla niej wdzięczność.

Ale mniejsza o panią Slatky. Gdzie jest dzisiejsza poczta? Rosę spojrzała na dębową półkę w hallu, gdzie pani Slatky zwykle ją zostawiała, gdy przynosiła ją po południu na górę. Nic. Rosę omiotła oczami przyciemnioną bawialnię. Nie chciała, żeby to było zbyt jawne. Nonnie nie może spostrzec, jak wiele dla niej znaczą listy.

- Na stole w kuchni - powiedziała Nonnie, jak gdyby czytała w jej myślach.

Zaskoczona Rosę spojrzała na swoją babkę. Zastygłe mięśnie twarzy Nonnie nigdy właściwie nie wróciły po udarze do normalnego stanu i teraz patrzyła na Rosę z tym dziwnym, na pół wymuszonym uśmiechem, który, nawet po tylu miesiącach, wciąż wyprowadzał Rosę z równowagi. Zobaczyła, że babka ma na sobie kraciasty różowy szlafrok, który Clare przysłała jej w zeszłym miesiącu na urodziny. Jej ręce, leżące bezwładnie na zapadłym podołku, przypominały Rosę te okropne przykurczone kurze nóżki, które rzeźnik rozdawał na zupe.

Nic nie mówiąc, Rosę poszła do kuchni. Tam, na stole, obok opiekacza, leżały dwa listy i pocztówka.

Z bijącym sercem wzięła pierwszą kopertę i odwróciła. Ręce jej drżały, w ustach wyschło. Ale list był tylko od Clare. Drugi zawierał ulotkę, reklamującą nowe centrum handlowe, które otwierano w Canarsie. Pocztówka była od Molly Quinn, obecnie mieszkającej w Vancouver. Chłopak Molly wolał raczej opuścić kraj niż zostać powołanym do wojska, i ona także wyjechała.

Serce Rosę zamarło. Żadnego listu, nic od Briana. Nie, nie teraz... A jeśli nigdy...

O Boże, jak ma wstawać co dzień, jak ma żyć? Jak przebrnie przez jeszcze jeden dzień? Nawet jeszcze jedną godzinę?

Położyła głowę na stole, zbyt zgnębiona nawet na łyzy.

Próbowała wyobrazić sobie, że Brian jest w pokoju obok - była to jej ulubiona sztuczka, żeby mniej za nim tęsknić - że lada chwila wpadnie, zburzy jej włosy i będzie z niej żartował z powodu książki prawniczej, którą przydziwiła do domu. Brian...

Jednak teraz nie mogła w to uwierzyć, sztuczka nie działała, ani trochę. Nie mogła przywołać dotyku jego ręki na swojej skórze, chociaż bardzo się starała. Ajego zapach. Jak on pachniał?

Zapach. Pociągnęła nosem. Dym wisiał w powietrzu, coś się paliło. Skoczyła na równe nogi. Pieczeń pani Slatzky!

Nagle przyszło jej na myśl, że to bardzo zabawne. Oto ona martwi się o Briana, a życie toczy się nadal, zboczeńcy w metrze, Nonnie, spalona pieczeń i tak dalej. Tak, to było zabawne. Zaczęła się śmiać. Niepohamowanie. Łzy płynęły jej po policzkach, a w gardle czuła węzeł wielkości pięści.

ROZDZIAŁ 8

- Dlaczego pani nie usiądzie, panno... ach, doktor Rosenthal?

Doktor Dolenz uśmiechnął się, ale Rachel widziała, że tym uśmiechem chciał ją jedynie uspokoić, a nie wyrazić zadowolenie z jej przyjścia. Jego sposób bycia kazał jej myśleć o ojcu, trochę formalnym w obejściu, ale gotowym sprawić przyjemność. A ten gabinet przy Park Avenue, z wielkim błyszczącym biurkiem i dębowymi szafkami na kartotekę z mosiężnymi okuciami, przypominał jej biuro taty w banku, takie, jakie jej się wydawało wtedy, kiedy była mała. Siadywała w dużym, obitym skórą fotelu naprzeciw biurka taty, czując się przytłoczona ciężką, ciemną powagą tego pokoju, męskimi zapachami skóry i dymu. Tak właśnie czuła się teraz, przytłoczona, pomniejszona, kiedy opadła na masywną sofę pod trzema angielskimi sztychami o tematyce myśliwskiej.

Zmusiła się, by usiąść bardzo spokojnie, z rękami złożonymi na kolanach, ale serce biło jej szybko. Co pokażą wyniki jej prześwietlenia? Sześć tygodni od przerwania ciąży, a ona wciąż nie mogła się od tego uwolnić... i może nigdy nie będzie mogła.

Błagała go w milczeniu: Proszę, jeśli to jest tak złe jak uśmiech z plastyku na twojej twarzy, to nie chcę o tym słyszeć, nie chcę wiedzieć...

Wróciła myślami do pierwszych dni po przerwaniu ciąży, kiedy była taka chora... Płonęła od gorączki, czasami nawet majaczyła. Grypa, pomyślała najpierw, tyle jej wokół. Jak arogancka idiotka odrzuciła propozycję Davida, że wsadzi ją do taksówki. Przewędrowała sześć przecznic w deszczu, zeszywniała, zataczając się jak pijana, aż w końcu otrzeźwiała - albo zmądrzała - na tyle, żeby skinąć na taksówkę. Gdy dotarła do domu, była przemoczona, drżała z zimna, szczykała zębami.

Przez trzy dni miała wysoką gorączkę. Wiedziała, że to nie może być tylko grypa. Czuła ból w brzuchu jak od kleszczy chirurgicznych. W końcu Kay przekonała ją, żeby tutaj przysłała.

Doktor Morton Dolenz. Patrzyła teraz na niego, ciemnego mężczyznę o grubych rysach i owłosionych rękach, za długich w stosunku do jego ciała. Ale mimo swego małego wyglądu był zadziwiająco delikatny. Postawił diagnozę ostrego zapalenia miednicy. O, tak, wiedziała, co to za choroba. Nie zabije cię, ale pozostawi blizny... w środku.

Dał jej ampicylinę, jeden gram cztery razy dziennie. Prawie natychmiast poczuła się lepiej. Następnie, miesiąc później, zasugerował histerosalpingografię, żeby zobaczyć, czy ma zabliznienia w jajowodach, a jeśli tak, to jak rozległe. Umówił ją z radiologiem, a potem nabazgrał receptę na morfinę - wstrzykują radioaktywny barwnik do jajowodów, powiedział jej, co powoduje pewien ból.

A teraz, tydzień później, podnosił się oto z fotela, ściągając spinacz z dużej brązowej koperty i wyjmując klisze.

- Nie wydaje mi się właściwe mówienie z panią ogródkami, pani doktor. Może popatrzy pani na klisze razem ze mną i pokażę pani, o co mi chodzi.

Patrzyła, jak przypina klisze do podświetlonej ściany. Wstała powoli, żeby do niego dołączyć; puls w jej gardle bił jak oszalały, żołądek się zacisnął.

Wskazał na kliszach dwa szarawe obszary, gdzie nie przeniknął barwnik. - Jak pani widzi, są dość rozległe zablźnienia na obu jajowodach. To sprawia, że poczęcie byłoby... cóż, powiedzmy po prostu... nieprawdopodobne. W przyszłości mogłaby pani zastanowić się nad operacją. Ale - wzruszył ramionami - jak zapewne pani wie, wynikiem na tym polu daleko jest do obiecujących.

Czy on chciał powiedzieć, że żadnych dzieci? Nigdy? Nie... To nie może być to... O Boże, nie...

Rachel kręciło się w głowie, jak gdyby znów miała gorączkę. Patrzyła na Dolenza, z wzrokiem przykutym do dużego pieprzyka na jego szyi, z którego wyrastały trzy sztywne włosy. Musiała uciec od tych klisz z ich mrocznymi plamami i od wszystkiego, co on mówił. Patrzyła więc na pieprzyk, zastanawiając się, dlaczego człowiek, który miał moc wymazania części jej życia, nie pomyślał o tym, żeby uciąć te odrażające włosy.

- Przykro mi - ciągnął. - Wolałbym mieć do powiedzenia coś bardziej podnoszącego na duchu. Ale w takich przypadkach zawsze uważam za najlepsze być szczerym... żeby nie... rozbudzać oczekiwań. Wtedy wiadomo, jakie karty ma się w ręku, że się tak wyrażę. Zawsze może pani adoptować, to znaczy, jeśli pani mąż...

Rachel szybko wyciągnęła rękę do uścisku, dziękując mu, kładąc kres jego niezdarnym wysiłkom, żeby rozjaśnić jej ponurą przyszłość.

Wydostała się na zewnątrz, trzymając się bardzo prosto - plecy sztywne, podbródek wysunięty do przodu - jak gdyby pozostając w pozycji całkowicie pionowej, mogła jakoś zapobiec przelaniu się gorąca z jej piersi. Zatrzymując się tylko na światłach, przeszła jak zombie

przez sześćdziesiąt przecznic średnicy do swego mieszkania, nie zwalniając nawet, kiedy czuła, że na piętach tworzą jej się pęcherze ani kiedy deszcz zaczynał ją siec. Krótco po zmroku, z włosami w wilgotnych kosmykach, w niemal przesiąkniętym wodą płaszczu, dotarła do domu.

Opadła na wiklinowy fotel w bawialni, nie zadając sobie trudu, żeby zdjąć przemoczony płaszcz. Teraz czuła zimno. Ale wiedziała, że ani suche ubranie, ani dowolna liczba koców nie usunęłyby tego zimna, które tkwiło jak grudka lodu w jej żołądku.

Żadnych dzieci... żadnych maleństw... O Boże, co ja zrobiłam?...

Zakryła twarz rękoma. Och, gdyby tylko Kay była tutaj, pomyślała, przytuliłaby mnie, zaparzyłaby dzbanek herbaty i rozmawiałybyśmy i rozmawiały, aż może znalazłabym sposób, jak sobie z tym poradzić. Ale Kay nie było. Wyjechała, już całe trzy tygodnie temu... Wietnam, odległy o cały świat...

Rachel odjęła dłonie od twarzy, zaciskając je w pięści. Nie, do cholery, nie będę tu siedzieć i litować się nad sobą. W porządku, stało się, ale nie jestem martwa... O Panie, jakże mogłabym być?... Nie z tym bólem, który jest we mnie.

Muszę się stąd wynieść, powiedziała sobie. Całkowita zmiana. Może powinnam być z Kay. Potrzebują lekarzy w Wietnamie. I prawdopodobnie w tej chwili Kay potrzebuje mnie tak samo, jak ja jej. Wtedy mogłabym o tym zapomnieć, być gdzieś, gdzie nie miałabym czasu myśleć o tym...

Telefon dzwonił. Niech dzwoni. Nie chciała teraz z nikim rozmawiać. Ktokolwiek to był, niech zadzwoni znowu wieczorem, jutro. Ale telefon wciąż dzwonił, dzwonił i dzwonił...

Rachel z trudem stanęła na nogach.

- Halo?

- Rachel, dzięki Bogu, niemal zrezygnowałam! - Głos mamy, czysty i wesoły, brzmiał jak dzwonienie kryształowych kieliszków, trącających się w toaście.

Słyszając jej srebrzysty głos, Rachel poczuła się nagle tak bezbronna ze swoim wstydliwie wystawionym na pokaz nieszczęściem, jak wtedy, kiedy miała dwanaście lat i mama zastała ją płaczącą, bo ten gad Will Sperry podarł walentynkę, którą dała mu w szkole. Współczucie mamy zraniło ją mocniej niż okrucieństwo Willa Sperry'ego. Nie, nie mogła znieść, kiedy ktoś się nad nią litował, szczególnie mama.

A mama, pomyśl, jak ona by cierpiała. Żadnych wnuków, których mogłaby pilnować, bawić się z nimi i rozpieszczać. Nie, mama będzie się miała o wiele lepiej o niczym nie wiedząc. Rachel nie mogła znieść myśli o żalu matki, dodatku do jej własnego żalu.

- Przykro mi, właśnie wchodziłam - kłamała Rachel.

- Słuchaj, mamó, czy mogę zadzwonić do ciebie? Ta rotacja na izbie przyjęć trzyma mnie na nogach jak dzień długi i jestem naprawdę wykończona. Teraz marzę tylko o tym, żeby wskoczyć pod prysznic.

- Zatrzymam cię tylko minutę - zaszcebiotała SyMe.

- Chodzi o jutrzejszy dzień. Wysyłamy po ciebie samochód o dziesiątej trzydziści. To nam da wystarczająco dużo czasu, żeby dojechać do Cold Spring przed dwunastą, nawet jeśli będzie trochę ruchu.

Co, na miłość boską? Cold Spring... jutro, o dwunastej? Rachel natężyła umysł, żeby coś z tego zrozumieć.

- O mój Boże, nie zapomniałaś, prawda? - w głosie SyMe zabrzmiało przerażenie. Zdawała się czytać w jej myślach.

- Oczywiście, że nie. Jak mogłabym zapomnieć - zamilkła, i z konsternacji zaczęła chichotać.

- Ślub Masona. Masona Golda - odpowiedziała mama, sama trochę się podśmiewając. - Naprawdę, Rachel, czy ty o niczym ostatnio nie myślisz oprócz medycyny? Tylko mi nie mów, że nie masz niczego ładnego do włożenia na siebie, bo natychmiast wpadnę, porwę cię i zaprowadzę prosto do Saksa.

O Boże, tak. Wypisane ręcznie zaproszenie, które dostała w zeszłym miesiącu, wydało jej się trochę dziwne,

bo nie była to sztywna, formalna karta, jakiej mogłaby oczekiwać. Była zaintrygowana i pomyślała, jak miło będzie znów zobaczyć Masona i poznać dziewczynę, z którą się żenił. Potem wetknęła zaproszenie gdzieś do szuflady i najwidoczniej umknęło jej z pamięci. O Panie, gdyby mama nie zadzwoniła, zapomniałaby zupełnie.

Tak, wspaniale będzie znów zobaczyć Masona. Rachel skrzywiła się, wspominając przyjęcie z okazji jego dwudziestych pierwszych urodzin i ich dwoje, ściskających się niezdarnie na dywanie w apartamencie jego ojca w hotelu Pierre. A potem jaki był troskliwy, jaki uważny, pomagając jej się ubrać, prowadząc do windy, jak gdyby była starą schorowaną ciotką. Był również milczący, jak gdyby byli na randce w ciemno, jak gdyby nie znali się całe życie. Była pewna, że na zawsze straciła w nim przyjaciela, kumpla z dzieciństwa. Ale potem, z powrotem na przyjęciu, Rachel chwyciła w desperacji garść kruszonego lodu i wetknęła mu go w tył spodni. Mason wrzasnął, pokręcił się trochę wokół i nazwał ją podstępna suką, bachorem, obrzydliwym małym gadem. Odtąd znów byli przyjaciółmi.

- ...chyba że wolałabyś raczej pójść do Bloomingdale'a - ciągnął głos mamy.

Zakupy? Boże, tylko tego jej brakowało. Nie, wygrzebie coś z szafy.

- Nie martw się, mamu. Mam doskonały strój.

- Zatem dziesiąta trzydzieści - powiedziała Syhde i westchnęła. - I na litość boską, kochanie, pamiętaj o włożeniu pończoch i majtek. Kiedy ostatnim razem miałaś na sobie suknię, widziałam przez nią wszystko, ilekroć stanęłaś pod światło.

Rachel w przypływie rozdrażnienia nie mogła się nie zastanawiać, czy to była ta sama Syhde, z którą czuła się tak blisko, w takiej harmonii, kiedy zwierzyła jej się, że jest w ciąży.

- Och, mamu, proszę. Dobrze, świetnie. Będę miała na sobie majtki, dziesięć par majtek, jeżeli to cię uszczęśliwi. - Uderzył ją humor tego, co mówiła, i uśmiechnęła

się. - No cóż, przynajmniej łatwo cię zadowolili. Mamo, wiem, że nie posiadałabyś się ze szczęścia, gdybym tylko nosiła zawsze czystą bieliznę, kładła papier na siedzenia nie znanych toalet i krzyżowała nogi w kostkach, kiedy tylko usiądę. Mamo, Kocham cię. I słuchaj, mamo, dzięki za...

Za co? Tak, za to, że wiesz także, co ma znaczenie... Za to, że jesteś ze mną i dla mnie, kiedy to się liczy... Kiedy cię potrzebuję.

Sylda nie załamała się, kiedy Rachel powiedziała jej o przerwaniu ciąży. Żadnego płaczu, żadnych awantur czy gorzkich oskarżeń. Po prostu przytuliła Rachel, miażdżąc ją niemal w uścisku, i powiedziała: - Kocham cię, moje dziecko, i zawsze cię będę kochała, niezależnie od wszystkiego.

- Dzięki za co? - zapytała Sylvie.

Grudka urosła Rachel w gardle, ale przełknęła ją.
- Och, nic takiego. Po prostu dziękuję. Do zobaczenia jutro o dziesiątej trzydzieści.

Ślub Masona Golda nie był tym, czego Rachel się spodziewała.

Oczekiwała synagogi zasypanej bujnymi wiązkami kwiatów, druhen w jednakowych szyfonych sukienkach z bufiastymi rękawami, panny młodej i pana młodego wbitych w białe atłas i trenów, jak te na tortach weselnych.

A oto siedziała ze swymi rodzicami wewnątrz dużej starej cieplarni na szczycie trawiastego wzgórza z widokiem na Hudson, patrząc na dwoje hippisów, przyrzekających miłość, szacunek, ale nie posłuszeństwo wobec siebie nawzajem. Mason Gold hippisem! Nie do wiary. Niewyobrażalne.

To prawda, że nie widziała go kilka lat... ale teraz ledwie go rozpoznała. Wysokiego nieznajomego z kucykiem, w powiewnym białym kaftanie i sandałach. Panna młoda miała na sobie taki sam kaftan, jej długie, proste

czarne włosy poprzątkane były maleńkimi stokrotkami. Żadnej chupy. Zamiast tego stali pod koszem wiszących begonii - białe mięsiste kwiaty dotykały czubków ich głów, opadłe płatki słały się u ich stóp.

Rachel uśmiechnęła się i pomyślała: Brawo, Mason. Mimo wszystko zdołałeś zerwać z mrożoną żywnością.

Rozejrzała się wokół. Długie stoły ze sklejki, uginające się pod płaskimi koszami kiełków i niewielkich roślin w glinianych naczyniach, zostały odsunięte pod ściany z zaparowanego szkła, aby zrobić miejsce dla jakichś pięćdziesięciu składanych krzesel. Dostrzegła Goldów, siedzących w pierwszym rzędzie koło skrzyni z cyniami. Evelyn, nadal najbliższa przyjaciółka mamy, siedziała prosta jakby połknęła kij, a na jej ustach zastygł dzielny uśmiech. Rachel zauważyła, że obcasy jej różowych pantofli, dobranych do blad różowego kostiumu, były ubłocone od wspinaczki w górę rozmokłego wzgórza. Czy miała spuchnięte i zaczerwienione, jak gdyby płakała. Obok niej Ira Gold, zażywny i łysy, rzucał wokół zdumione spojrzenia, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się zobaczyć Alana Funta wyskakującego zza drzewa w skrzyni i oznajmiającego, że są w *Ukrytej kamerze*. Do tego ślubu Goldowie nie przyłożyli ręki... Nawet by im się to nie przyśniło w najgorszych snach.

Rachel łatwo mogła rozpoznać krewnych i przyjaciół Goldów... Wszyscy wyglądali na zmieszanych, wierząc się na krzesłach, uważnie przyglądając się swoim podobcom, wymieniając zażenowane spojrzenia. Ale nie ma, taka elegancka w bladoniebieskim kaszmirowym kostiumie - ona po prostu wyglądała na oszołomioną. Rachel była z niej z tego powodu dumna.

Rachel wytężyła słuch, żeby słyszeć pastora, brodatego mężczyznę o łagodnym głosie, który wydawał się szczerzy i nosił, na szczęście dla Goldów, garnitur i krawat. Czytał na głos przysięgę, którą powtarzali Mason i Shannon - ma na imię Shannon, czyż nie? Tak, jakoś tak. Coś o miłości, którą jest wolnajak orzeł... i kręgach wewnątrz kręgów. Ładne i nie nazbyt głupie.

Rachel czuła, że oczy wzbierają jej łzami. Boże, czy naprawdę płakała? Może to sposób, w jaki Mason patrzył na swoją pannę młodą, z taką czułością? Byli całkowicie pochłonięci sobą, mogliby stać w tonącej łodzi wiosłowej i nie zauważyć tego. David nawet raz tak na nią nie spojrział.

Przyjaciele Masona (kimże innym mogliby być?) - długowłosi chłopcy w dżinsach i luźnych koszulach - siedzieli w gromadzie z przodu. Dziewczęta, cztery czy pięć, wszystkie miały długie włosy, rozdzielone pośrodku, i zwyczajne, wyszorowane twarze. Jedna, o rzadkich jasnych włosach, przypominała jej sekwencję z reklam Tamę Creme Rinse. Inne sennie kiwały głowami i sprawiały wrażenie nieobecnych. Co jeszcze hodowali tutaj, w tej cieplarni, oprócz kwiatów?

Mason wsunął obrączkę na palec panny młodej i teraz, z twarzajaśniejącą i drżącą z emocji, pochylał się, żeby ją pocałować. Jeden z chłopców usiadł okrakiem na przewróconym glinianym cebrażyku i kołysząc na kolanach gitarę, zaczął grać *Moonshadow* Cata Stevensa. Rachel spostrzegła, że również nuci, ogarnięta radością chwili.

Kilka minut później wszyscy zaczęli wychodzić gęsiego, Mason i Shannon pierwsi, a ich przyjaciele stoczyli się wokół nich, śmiejąc się i ściskając nawzajem.

Starsi trzymali się z tyłu, mamrocąc do Goldów uprzejme, powściągliwe gratulacje. Rachel zauważyła, że Ira Gold popatrzył spode łba, kiedy inny niski łysy mężczyzna, który wyglądał jak brat lub kuzyn, ze współczuciem poklepał go po ramieniu.

Przez rząd krzesel Rachel pochwyliła wzrok Geralda i oboje się uśmiechnęli. Tacie sprawia to przyjemność... Ira spadł o kreskę czy dwie w dół... Tata zawsze myślał, że on jest trochę pozerem.

Podjęła drogę w dół wzgórza, utykając na wysokich obcasach wokół krecich nor i kamieni. Co za ironia, że właściwie martwiła się, czy w białym swetrze z golfem i zamszowej spódnicy będzie dość strojnie ubrana.

Na opuszczonej farmie poczęstunek rozłożono na

okrągłym dębowym stole. Galony świeżo wyciśniętego jabłecznika, zdrowo wyglądające sałatki, posypane ziarnami słonecznika i kiełkami, pełnoziarniste chleby, garnki świeżego masła i twarogu, chrupiące wegetariańskie zapiekanki.

Później, w dużej staromodnej kuchni z szafkami Hoosiera i otwartą spiżarnią, Rachel udało się w końcu dopaść Masona samego. - Czy to wszystko dzieje się naprawdę? - zapytała. - Nie mogę uwierzyć, że to ty. Co się stało z Yale, z prasą prawniczą i z Delią Street?

- Próbowałaś kiedy słupek selera ze świeżo utartym masłem orzechowym? - Chwycił jeden z wyszczerbionego talerza na pochyłym kontuarze i wsadził jej go do ust. Uśmiechnął się patrząc, jak próbowała żuć. - Cheyenne je robi. Z początku nie lubiłem tego, co ona je, ale mnie nawróciła.

Rachel zmusiła się, żeby przełknąć włóknisty kawałek.

- Myślałam, że ona ma na imię Shannon.

- Miała. Zmieniła je.

- Nie myślisz o tym, żeby zmienić swoje, prawda?

- Na myśl, że musiałyby go nazywać Tonto czy Seagull, miała ochotę się roześmiać.

Uśmiechnął się. - Pewnie. Jak ci się podoba Acapulco?

- Zabawne. Bardzo zabawne. - Mimo woli zachichotała. Wciąż ten sam stary Mason. Odprężyła się.

- Przepraszam, to było podłe z mojej strony. To, co powiedziałam o Yale. Po prostu nie przywykłam oglądać cię z kucykiem. Ale bardzo się cieszę za ciebie, Mason, naprawdę.

- Nie obraziłem się. Hej, czy chcesz obejrzeć resztę domu? Shan... Cheyenne i ja zajmujemy całe górne piętro. Dove i Gordy dzielą pierwsze z Lisa i Joem. Poznałaś Joego? Dom należał do jego dziadka, który był kimś w rodzaju botanika. To był pomysł Joego, żeby ślub odbył się w cieplarni...

Rachel podążyła za Masonem w górę szerokich schodów z rzeźbioną dębową poręczą i czarująco obtoczonymi trzpieniami. Drugie piętro, gdzie mieszkał, to był właściwie

strych. Obeszła z nim niski pobielony pokój, pochylając głowę, żeby uniknąć uderzenia o spadzisty sufit. Ktoś - prawdopodobnie Cheyenne - uszył zasłony z muślinowej narzuty na łóżko. Wielki materac na podłodze był jedynym meblem oprócz komody.

Mason usiadł na materacu ze skrzyżowanymi nogami. Pochwycił jej nieco skonsternowane spojrzenie i powiedział: - Wiem, trochę tu pusto, ale to tylko czasowo. Do końca lata. We wrześniu zaczynam w Stowarzyszeniu Pomocy Prawnej. Mówiłem ci? Mam powyżej uszu tych wszystkich firm, bogatych dupków starających się obe-drzeć jeden drugiego ze skóry. Masz pojęcie, ilu porządnych ludzi wędruje codziennie do więzienia, bo nie stać ich na dobrego prawnika? Oczywiście, w Stowarzyszeniu można znaleźć sporo niekompetentnych prawników, takich, którzy są tam dlatego, że nie mogą dostać nic lepszego. Aleja to wybieram. Chcę pomagać.

Rachel opadła na materac obok Masona i pocałowała go w policzek. Była dumna z niego, jego odwagi, jego zaangażowania.

- Biedna Della Street - powiedziała.

- Co Della Street ma z tym wspólnego?

- Właśnie myślałam, co stałoby się z Delią Street, gdyby Perry Mason przeszedł do Stowarzyszenia Pomocy Prawnej?

Roześmiał się i pochylił, żeby wygrzebać spod rogu materaca plastikowy woreczek. - Chcesz zapalić jednego? W imię dawnych czasów?

Zwinał dżointa i podawali go sobie w tę i z powrotem, zaciągając się w zgodnej ciszy. Przyjemnie było i jakoś na miejscu dzielić z Masonem dżointa w dzień jego ślubu. To coś, czego potrzebowała, żeby przestać myśleć o sobie, swoim strapieniu.

Wtedy Mason zapytał: - Więc co się ostatnio dzieje z doktorem Kildare'em? Zbyt zajęty ratowaniem życia, żeby się zakochać i wyjść za mąż?

- Raz byłam zakochana. Przynajmniej tak mi się wtedy zdawało. Myślę, że odtąd będę się trzymała ratowania

życia, a zacznę od własnego... Wiesz, przyzwyczajam się do myśli, że nosisz kucyk. Właściwie podoba mi się. Muszę być naćpana.

- Wyhodowałem to sam.

- Kucyk? - Zachichotała, czując coraz większy zawrót głowy.

- To - wyciągnął rękę z papierosem. - W cieplarni.

- Trochę się domyślałam.

- Sądzę, że tata mnie podejrzewa. Co i raz mnie pyta, czy się z czymś nie wygłupiam. Dobija mnie. Chyba wciąż ma mi za złe, że nie chciałem wejść do interesu.

Rachel zaciągnęła się mocno, krztusząc się słodkawym dymem. Dawno nie była naćpana, może zbyt dawno. Wyciągnęła się na materacu, podpierając łokciem. Przez niskie okno widziała zachodzące nad rzeką słońce w pomarańczowej mgiełce.

- Chcesz usłyszeć coś naprawdę zasadniczego? - powiedziała. - Myślę o tym, żeby pojechać do Wietnamu.

Mason popatrzył na nią. - Cholera, Rachel, mówisz poważnie?

- Tak. - Dotąd nie była tego pewna, ale wypowiedzenie tej myśli nadało jej realność.

Mason patrzył na tłącego się między jego kciukiem i palcem wskazującym dżointa. - A niech to. Wiedziałem, że ta domowej hodowli trawka jest dobra, ale nie że aż tak dobra.

Roześmiała się. - Okay, jestem trochę naćpana, ale mówię poważnie.

- Ależ nie! To najbardziej szalony pomysł, na jaki kiedykolwiek wpadłaś. - Jego brązowe oczy otworzyły się w przesadnym, komicznym niedowierzaniu.

- Nie mówię o wstąpieniu do armii czy czymś takim. Pracowałabym w prywatnym szpitalu, dla Catholic Relief. Jest tam wielu cywilów, postrzelonych, okaleczonych, tak jak żołnierze. Nie rozumiem, dlaczego miałoby to być gorsze niż praca w Stowarzyszeniu Pomocy Prawnej.

Mason rozmyślał nad tym, mrużąc oczy, kiedy dym owionął mu głowę. - Taak, może masz w tym rację. Tak

czy owak, kim ja jestem, żeby cię osądzać? Zgodnie z tym, co mówi tata, całkiem nieźle spieprzyłem swoje życie, więc kimże ja jestem, żeby ci mówić, co masz robić? Poza tym, znam cię wystarczająco dobrze, żeby wiedzieć, że i tak to zrobisz.

Mason wyłowił dzointa z popielniczki na podłodze koło materaca i w milczeniu dokończył go. Rachel pomyślała wtedy, że gdyby miała brata, chciałaby, żeby był taki, jak Mason.

- Przyślę ci pocztówkę - powiedziała mu.

- Tylko nie pisz „Szkoda, że cię tu nie ma”. - Z uśmiechem uderzył się w pierś. - Szmery w sercu. Cztery-F. Próźniak, co?

Rachel podniosła się na nogi, czując się ciężka, zmęczona, ale jakoś lepiej niż w ostatnich tygodniach. Tak, pojedzie... To była odpowiedź... Zostawić wszystko za sobą... Nowe życie, jak Mason.

- Zejdźmy na dół - powiedziała mu. - Cheyenne mogłaby się dziwić, co robisz tutaj z inną kobietą dzień waszego ślubu.

- Odpręż się. Cheyenne nie jest taka. Ona nie sądzi, że można kogoś posiadać w ten sposób. - Mason podniósł się z materaca.

Rachel spojrzała na jego stopy w sandałach, na ustawiony pod dziwnym kątem mały palec, który Mason złamał pewnego lata na nartach wodnych w Deal, kiedy byli dziećmi. Zasmuciło ją to, jak gdyby skrzywiony palec Masona oznaczał beztroską część jej życia, którą straciła na zawsze.

Podniosła na Masona srogie spojrzenie. - Słuchaj, stary, nigdy nie próbuj jej w tym doświadczać, słyszysz? Jeśli ją kochasz, nie psuj tego.

Mason zasalutował, unosząc kącik ust do góry. - Nie ma mowy. Tylko z nią mogę się uporać, a to niemało. Słuchaj. Powiem ci coś, czego nie powiedziałem nawet moim rodzicom. Cheyenne i ja... No cóż, ona jest w trzecim miesiącu ciąży. Będę ojcem. Kapujesz?

Rachel poczuła palący ból w piersi, jak gdyby przewód pod napięciem dotknął jej serca. Ten głupkowaty wyraz szczęścia na twarzy Masona kazał jej myśleć o Davidzie, o tym, jaki był obojętny, jaki zimny. O Boże.

Opanowała się. - Nie tracisz czasu, prawda?

- To coś innego, czyż nie? Ja się ożeniłem, będę miał dziecko. Ty może pojedziesz do Wietnamu. - Odwrócił się do niej, kiedy szli w kierunku schodów. Zauważyła, że miał na szczęce niewielkie czerwone zadrapania od brzytwy. Dziś rano zgolił brodę, powiedział jej, z szacunku dla swoich rodziców. Tego byłoby dla nich za dużo, widzieć go wyglądającego jak Jezus Chrystus, na dodatek wszystkiego. - Po prostu nie wychylaj się tam za bardzo. - Potem dodał: - O, do diabła, po co ja to powiedziałem? Dla ciebie to jak powiedzieć: „Nie myśl o białych słoniach”.

Poklepała go po ramieniu. - Okay, obiecuję. Nie będę myśleć o białych słoniach.

Kiedy byli na podeście, usłyszała zgiełk na dole - ktoś zapłakał, trzasnęły drzwi, kroki zadudniły na schodach poniżej.

- Rachel? Rachel? - wołał ją niespokojny głos mamy. Komuś coś się stało? Niedorzecznie pomyślała o tych starych komiksach, o wydzierającym się Króliku Bugsie: „Czy jest tutaj lekarz?”

Ale kiedy blada twarz mamy wychyliła się z klatki schodowej, Rachel zamarła. Miała wrażenie, że serce jej stanęło. O Boże, coś niedobrego... Musiało się stać coś złego...

- Rachel... - Mamie zabrakło tchu. - To tata...

ROZDZIAŁ 9

Syhde siedziała w obitym czerwonym aksamitem starym fotelu na biegunach w swojej sypialni, przyszywając guzik do koszuli Geralda.

Przewlekła igłę przez dziurkę w guziku. Takie małe guziki, i takie delikatne, w staromodnym rodzaju, zrobione z polerowanej kości, nie z plastyku. To takie podobne do Geralda, zwracać uwagę na każdy szczegół. Jego koszule, wszystkie były szyte na miarę, w tej samej firmie przy Savile Row, z której usług przed nim korzystał jego ojciec.

Sylvie zerknęła na wysokie, oprawione w ołów okna i zobaczyła z pewnym zdziwieniem, że popołudnie prawie minęło.

Usłyszała dochodzący skądś dźwięk, pukanie. Ale tak dalekie, że musiało dochodzić z dołu. Och, niechże Bridget się tym zajmie. Wybraziła sobie, że rozkłada koszulę dla Geralda, żeby mógł włożyć ją jutro do schludnego niebieskiego garnituru w jodełkę i tego ślicznego krawata od Diora, który Rachel dała mu na Dzień Ojca w zeszłym roku...

Pukanie stało się głośniejsze, bardziej natarczywe. Ależ ono wcale nie dochodziło z dołu, tylko zaraz zza drzwi jej sypialni. Usłyszała również głos.

- Mamo? Jesteś tam? Mamo!

Rachel? Co za przemiła niespodzianka. Może zostanie na kolacji.

- Wejdz, kochanie! - radośnie zawołała Syhde. - Nie są zamknięte. Zacięły się tylko. To stare drzwi. Pchnij je mocno.

Mój Boże, jak ona okropnie wygląda, pomyślała Sylvie, gdy jej córka weszła do pokoju. Włosy zlepione, przylegające do głowy, jak gdyby nie myła ich od wielu dni. Twarz nabrzmiała, oczy opuchnięte. Biedne dziecko.

- Och, mammo.

Rachel przeszła przez pokój i uklękła u stóp Sylvie. Kiedy uniosła twarz, pylista wiązka światła padła na nią i wydobyła z mroku, oświetlając ją jak udręczoną duszę na obrazie Goi. Coś w wyrazie jej tważy wyrwało Syhde z letargu i sprawiło, że poczuła chłód. Przenikające do kości zimno, którego żadna ilość koców nie mogłaby ogrzać.

Odejdź, pomyślała. Zostaw mnie.

Rachel przycisnęła twarz do fałd koszuli Geralda, rozłożonej na kolanach Sylvie. Jej głos wzniósł się, zduszony i nabrzmiały łzami. - Tak bardzo za nim tęsknię. Po prostu wydaje mi się niemożliwe, że go już nie zobaczę. Kiedy chodzę po tym domu, on jest w każdym pokoju. O Boże, mammo, to tak, jak gdyby on tu był, tak blisko, że nawet czuję jego zapach. Tylko nie mogę go zobaczyć i dotknąć.

Rachel zaczęła płakać, ramiona jej drżały. Gorące łzy przesiąkały przez peniuar Syhde, którego nie zdjęła od rana.

- No, cicho - Syhde przeciągnęła dłonią po głowie Rachel, wyczuwając twarde wygięcie czaszki pod sprężystymi, jedwabistymi włosami i delikatne wgłębienie u podstawy szyi. Kiedy Rachel była małym dzieckiem, Syhde usypiała ją głaszcząc w ten sposób. - Nie płacz, kochanie.

Sylvie miała cudowne uczucie spokoju, jak gdyby rzeczywiście zostawiła teraźniejszość za sobą i trwała zawieszona w innym czasie, czasie szczęścia. Dziecko na jej kolanach było ciepłe, a słodki zapach pudru wypełniał pokój.

Ale zimno znów zaczęło się przez nią przesączać.

- Mammo, tęsknię za tatą, ale to o ciebie się martwię.

Słowa Rachel poruszyły ją, wpędzając głębiej w zimne czarne miejsce, w którym nie chciała być.

- Nie zapłakałaś nawet raz. I nie chcesz jeść. Przez cały tydzień nie wyszłaś z tego pokoju. Bridget zadzwoniła do mnie dziś rano. Była tak zdenerwowana, że płakała.

- Obie nie macie o co się denerwować - odpowiedziała Sylvie. - Czuję się znakomicie. Tylko zdaje się, że nie mam wielkiego apetytu, to wszystko. I jakkolwiek bardzo lubię kuchnię Bridget, ona naprawdę ma przy ciężką rękę do masła i jajek. Od lat próbuje mnie utuczyć. Przemycła mi nawet śmietankę do kawy, chociaż specjalnie prosiłam o chude mleko. Wiesz, to jest jak wojna między nami. A ona nie może uznać przegranej.

- Och, mam - Rachel uniosła twarz, wilgotną i opuchniętą od płaczu. - Czy przynajmniej nie możesz się rozpłakać? Byłoby o tyle lepiej, gdybyś mogła.

Sylvie cofnęła się przed tymi zasinionymi oczami. Nie, nie mogła sobie pozwolić na płacz. Inaczej nigdy nie mogłaby przestać. Łzy jak ocean wciągnęłyby ją pod powierzchnię i utopiły.

Och, gdyby tylko Gerald był tutaj. Ale to o tym przypominała jej Rachel, czyż nie? Że Gerald nie wróci do niej. Nigdy.

Wtedy coś pękło w Sylvie, napierając na jej pierś, sprawiając ból, wypierając powietrze z płuc. Łzy podeszły jej do gardła wielką dławiającą falą.

I wszystko to wróciło do niej. Gerald, narzekający na ból w klatce piersiowej na weselu Masona Golda, tracący przytomność, zanim ona i Rachel mogły wynieść go do samochodu. Potem izba przyjęć, wszyscy ci doktorzy, pielęgniarki i asystenci, tłoczący się wokół niego, walący go w pierś, wbijający w niego igły, przewody, rurki, próbujący wstrząsnąć jego sercem, żeby zaczęło bić. Ale wtedy było już za późno. Za późno...

Pogrzeb, dwa dni później, pamiętałajak za mgłą. Jaki wydawał się nierzeczywisty, jak sen albo film, który oglądała. Świątynia Emanuela, taka zatłoczona, przyjaciele Geralda, jego klienci, pracownicy, ludzie z Opery. Setki, i wszyscy chcieli uścisnąć jej rękę, ucałować policzek. I Rachel, tuż przy jej boku, taka dobra, taka silna, pamiętająca nazwiska, mruczająca stosowne słowa wdzięczności.

Sylvie zobaczyła w pamięci cmentarz, migocący pod całunem śniegu, tę okropną derkę sztucznej trawy, tak nie na miejscu, gorszą niż zięjący pod nią dół. Ktoś zostawił na grobie bukiet bladoróżowych róż, chociaż wszyscy powinni byli wiedzieć, że miało nie być żadnych kwiatów. Tak, niemal się wtedy rozpłakała. Chciała otulić ramionami i zabrać, zanim zmarzną. Te śliczne, zmarnowane róże.

Synde czuła, że opada z sił, ale silna męska ręka nagle chwyciła jej łokieć, podtrzymując ją.

Nikos. I już nie wydawał się groźny. Po prostu stary przyjaciel, ktoś, kto był dobry. Nie skrzywdziłby jej. Ani Rachel. Sylvie jakoś o tym wiedziała, jeszcze zanim Rachel odwróciła się do niego, marszcząc lekko brwi, jak gdyby starała się go umiejscowić pośród wielu przyjaciół i znajomych ojca. Potem przyjęła jego wyciągniętą rękę.

- Przykro mi - powiedział.

I to było wszystko. Chociaż trzymał rękę Rachel trochę zbyt długo, nie spuszczać oczu z jej twarzy, dawał Synde do zrozumienia, że jest tu tylko po to, żeby złożyć kondolencje.

Później, kiedy niemal wszyscy odeszli do swoich samochodów, Nikos pozostał.

- Twój mąż był bardzo podziwiany - powiedział łagodnie, a jego słowa tworzyły biały pióropusz w chłodnym powietrzu. Butami wybijał głębokie jamy w zamrzniętym śniegu, kiedy odprowadzał ją do samochodu.

- Tak, miał wielu przyjaciół - powiedziała Sylvie.
- Był... szlachetnym człowiekiem.

- Wiem o tym lepiej niż inni.

- Ty? - Zatrzymała się, żeby na niego spojrzeć. Jego pokryta bliznami brązowa twarz - tak, teraz, w świetle dziennym, widziała wszystkie delikatne zmarszczki i pęknięcia, jak na starej wytartej skórze - wyrażała tylko podziw.

- Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć - zaczął, kiedy ruszyli powoli wąską alejką, prowadzącą przez las nagrobków. - Nie widzę nic złego w tym, żeby powiedzieć

ci teraz. I może będzie to dla ciebie pewnym pocieszeniem.

Sylvie znów zakręciło się w głowie i chwyciła Nikosa za ramię. - Pocieszeniem? - powiedziała zduszonym głosem. - Co może mnie pocieszyć teraz, kiedy on odszedł?

- Możemy porozmawiać innym razem, jeśli sobie życzysz.

- Nie. Powiedz mi.

- On wiedział. O nas. O tobie i o mnie. Wtedy, tyle lat temu, on wiedział. Kiedy mnie wyrzucił, powiedział mi, że cię nie wini. Bał się, że go opuścisz, starego człowieka, który nie mógł ci ofiarować nic oprócz pieniędzy.

Część niej miała ochotę się roześmiać, szaleńczo, histerycznie. Ale nagle poczuła się taka zmęczona, taka zmęczona, że wszystko, czego chciała, to położyć się na śniegu i zamknąć oczy. Ona miałaby opuścić Geralda? O Boże drogi, gdyby on wiedział o tym okropnym czynie, jaki popełniła tylko po to, żeby to on jej nie opuścił.

Sylvie poczuła coś chłodnego na twarzy i uświadomiła sobie, że płacze. Wbiła swoje urękawiczone palce w policzki. - On wiedział? Chcesz powiedzieć, że cały ten czas on wiedział?

- Dał mi pieniądze - powiedział Nikos, zwieszając głowę. - Musiałem przyrzec, że nigdy więcej cię nie zobaczę. Pięćset dolarów. Wykorzystałem je, żeby kupić starą półciągarówkę, która dała początek mojemu przedsiębiorstwu, temu, czym stało się Anteros Construction.

- Anteros - zaświtało jej. - Bóg oszukanej miłości.

- Tak - wyznał. - Kochałem cię. Ale wiedziałem to, czego on nie wiedział - że nigdy nie opuściłabyś go dla mnie ani dla żadnego innego mężczyzny. Więc tak, wzięłem pieniądze, wstyd mi to powiedzieć.

- Nie wstydź się - powiedziała. - Są gorsze rzeczy niż przyjęcie pieniędzy. Gorsze niż możesz sobie wyobrazić.

Przechodzili pod wielkim, ogołocionym z liści wiązem i Syhie zadrżała, myśląc o tym wyrażeniu - śmierć przeszła po moim grobie.

- Nie widziałem go aż dopiero dwa lata temu - ciągnął Nikos. - Ktoś mi powiedział, że on może być zainteresowany nieruchomością, na której zamierzałem budować. I potrzebne mi były finanse, więc poszedłem. Ale sądzę, że głównie była to próżność. Chciałem się pochwalić, pokazać mu, jak dobrze odpłaciło się jego pięćset dolarów. Ale co najlepiej pamiętam z tego spotkania, to zdjęcie w srebrnej ramce najego biurku - twoje i twojej córki. Wtedy zdałem sobie sprawę, kto najwięcej skorzystał na naszej dawnej transakcji.

Cisza, jaka nastąpiła po wyznaniu Nikosa, wydawała się ogromna i wieczna. Sylvie przysłuchiwała się trzaskaniu gałęzi wiązu pod ciężarem śniegu, trzepotaniu skrzydeł wróbli, zrywających się do lotu. Gdzieś w pobliżu słyszała włączane silniki samochodów i wysilone buczenie maszyny do kopania grobów. Wtedy zza zwału chmur wyrzało słońce, nadając śniegowi lustrzany blask, zmuszając do mrugania drobiny miki w granitowych kamieniach nagrobnych.

Sylvie stała tam po prostu, rozglądając się po grobach, czując, że gdyby poruszyła się za bardzo albo za szybko, roztrzaskałaby podarek, który wręczył jej Nikos, to cenne wejście w tajemnicę serca człowieka, którego kochała, i przez którego była tak niezasłużenie i gorąco kochana.

Nawet jej ból wydawał się bardziej wysublimowany, jak przedmiot misternej roboty, który wciąż obracała w palcach, przyglądając mu się pod wszystkimi kątami, dziwiąc się jego zawiłościom.

Mogłam powiedzieć mu o Rosę. A on by zrozumiał. On by przebaczył. Wszystkie te lata...

Poczuła się wtedy taka upokorzona swoją hańbą i szlachetnością Geralda.

Teraz, kiedy siedziała w fotelu na biegunach z kłęczącą przed nią Rachel, z koszulą, której Gerald nigdy nie włożył, rozpostartą na kolanach, myślała, jak wdzięczni jesteśmy za najmniejsze wytchnienie, kiedy nasz świat rozpada się na kawałki. Za łagodne dotknięcie. Za uprzejme słowo. Za przebaczenie.

On odszedł naprawdę. Jej drogi Gerald. Już nie usłyszy jego kroków na schodach. Ani muzyki Pucciniego, dobiegającej z jego gabinetu. Nie spojrzy znad przycinanych róż i nie zobaczy, jak on uśmiecha się do niej z tarasu. Albo zatrzymuje się w ciszy wieczoru i czyta jej na głos urywek z książki.

Ale wciąż miała swoją córkę, miała Rachel. I Rachel też było smutno.

- Mamo - powiedziała Rachel. - Myślałam... Nie denerwuj się, tylko myślałam... o tym, żeby przyłączyć się do Kay w Wietnamie. Oni tak rozpaczliwie potrzebują lekarzy i... no cóż, myślę, że to byłoby dla mnie dobre. Uciezka od... od wszystkiego. Ale nie pojedę, mam, jeśli chcesz, żebym została z tobą, jeśli mnie potrzebujesz. Wiem, że tata chciałby, żebym się tobą opiekowała.

Syhdę czuła, jak piorun bólu uderza w jej serce. Rachel również miałaby ją opuścić? O Panie, ile jeszcze może znieść?

Och, gdzie był Gerald? Dlaczego go tu nie było, gdy tak bardzo go potrzebowała? Gerald, taki dobry obrońca, jak ojciec, którego nigdy nie miała. Na pewno nie chciałby, żeby była sama.

Ale Rachel nie miała być jej obrońcą. Rachel musiała mieć własne życie.

- Nie - Sylvie odłożyła szycie i podniosła się z fotela. Taki prosty wysiłek, a jednak tak ją bolało, jak gdyby od wielu dni była zamknięta w skrzyni. Mimo to dobrze jest czuć swoje ciało, nawet jeśli bolało. - Nie pozwolę, żebyś zrezygnowała ze swego życia ze względu na mnie. Nie życzę sobie takiej odpowiedzialności.

- Mamo - Rachel tylko potrząsnęła głową. Światło z jej włosów zniknęło, twarz skryła się w cieniu. - Ja chcę być z tobą.

- Teraz chcesz. Przez kilka dni, może kilka tygodni. A potem będziesz żałować. Nie mogę znieść myśli o tym, że wyjedziesz, będziesz tak daleko. I w takim niebezpieczeństwie. Ale byłaby dla mnie jeszcze bardziej nienawistna myśl, gdybyś została tutaj tylko z mego powodu.

- Naprawdę tak myślisz, mamó? Jesteś pewna?

Sylvie niczego nie była pewna. Z wyjątkiem tego może, że przetrwa tę noc. Czuła się taka słaba, taka zagubiona bez Geralda. Ale jeśli mogła wstać, podjąć decyzję, nawet złą, to coś znaczyło, czyż nie? To musiało znaczyć, że nie umrze, nie zwiędnie jak te biedne róże na grobie Geralda.

Życie jest pełne niespodzianek, pomyślała, i może sama siebie zaskoczę.

Sylvie odgarnęła włos, który przylgnął do wilgotnego policzka Rachel. - Czy możesz zostać na kolacji? Będziemy wtedy mogły porozmawiać o twoich planach. I niech Bridget utuczy nas obie.

ROZDZIAŁ 10

Max Griffin obudził się. Bernice pochrapywała, wydając ciche gulgocące dźwięki, co kazało mu myśleć, jeszcze w półśnie, że należy pociągnąć za rączkę w toalecie. Bardzo zachciało mu się siusiu.

Otępiały od snu, wysunął się spod pościeli. Wstrząs od dotknięcia zimnej podłogi bosymi stopami. Chryste. Kapcie. Sięgnął na oślep, w końcu znalazł je, nie tam, gdzie wcześniej je zrzucił, ale przed stolikiem nocnym, równo ustawione, z noskami na zewnątrz. Bernice. Oczywiście. Zawsze stawiała je tam, żeby mógł je znaleźć na wypadek, gdyby musiał iść w nocy do kibla.

Nie, to nie jej słowo. Kibel, wucet, nocnik, czy nawet toaleta. Ustronne miejsce, usłyszał w myślach jej głos, ten subtelny głos damy, kiedy wprowadzała towarzystwo do salonu, odbierała od ludzi płaszcze. „Ustronne miejsce

jest na końcu hallu, gdybyście chcieli się umyć." Umyć się, jeszcze jeden z jej eufemizmów.

Max znalazł drzwi, wymacał przełącznik światła. Blask uderzył go w twarz jak błysk flesza - silne^A ostre światło, odbijające się od chromu, lustra, lśniących różowych kafelków. Jeśli nie był obudzony przedtem, to z pewnością był teraz. Umysł miał tak jasny, że mógł zacząć podsumowanie dla ławy przysięgłych.

Kiedy susiał, patrzył w toaletę. Niebieska. Woda była nienaturalnie jaskrawoniebieska, koloru basenu pływackiego YMCA. A teraz stawała się zielona, mdląco żółtozielona. Czy Bernice wiedziała, co się dzieje, kiedy się susia do niebieskiej wody? Nie, jakżeby mogła? Nigdy by nie spojrzała, nie zerknęła nawet przed spuszczeniem wody. Sama myśl o tym wywołałaby w niej obrzydzenie.

Nawiedziło go stare wspomnienie. Przyszedł do domu i znalazł Bernice na kuchennej podłodze, na czworakach przed zieloną jak avocado lodówką. Miała na rękach duże, żółte gumowe rękawiczki, które przywodziły mu na myśl Minnie Mouse, i szorowała pod lodówką, używając szczotki do butelek i plastikowego cebrzyka z mydlaną wodą.

- Dziecko śpi? - zapytał.

Spojrzała na niego. Rude włosy miała ściągnięte plastikową spinką, plama wilgoci błyszczała na jej bladym czole. - Pije z butelki - powiedziała Bernice. - Znalazłam to nowe urządzenie, poduszkę z pętlami, w które można wsunąć butelkę, żeby się nie przewracała. Nic, tylko włożyć ją do łóżeczka, kiedy dziecko jest głodne. Naprawdę wybawia mnie to z kłopotu.

Mandy miała trzy miesiące.

Max pomyślał, że poza ledwo widocznymi rozstępami na skórze macierzyństwo nie zmieniło Bernice. Ich córka była jeszcze jednym urządzeniem domowym, którym należało się właściwie zająć. Jeszcze jedną pozycją do załatwienia wpisana nad kuchennym telefonem kredą na tabliczce, w ramce z namalowaną na niej uśmie-

chniętą osą i słonecznie żółtym logo RZECZY DO ZROBIENIA.

Max otrząsnął się i spuścił wodę.

Zaczynał odczuwać ból głowy, bolesne pulsowanie w skroniach, które rozpełzało się na zewnątrz. Jezu, tylko tego brakowało. Przyjtrzejszym natłoku posiedzeń w sądzie.

Podszedł do szafki na lekarstwa z lustrem, gdzie musiał stawić czoło przykremu widmu wieku średniego: krzepki mężczyzna zbliżający się do pięćdziesiątki, z oczami opuchniętymi od snu, z podbródkiem wciąż energicznie zarysowanym, ale jego zmierzwione brązowe włosy były już gęsto poprządkane siwizną.

Otworzył szafkę, z ułgą obserwując, jak jego odbicie znika. Stał twarzą w twarz z rzędem butelek. Kilka rzeczy, jakie zazwyczaj znajduje się w apteczkach, żadnych starych lekarstw, datujących się od operacji przepukliny, jaką przeszedł w sześćdziesiątym drugim. Żadnych zaskorupiałych butelek z syropem od kaszlu z zeszej zimy, żadnych krążków na szklanych półkach. Wszystko nowe i precyzyjnie ustawione według kategorii, schludniej niż w aptece. Dusz Massengil. Spray kobiecy Daisy. Cztery różne marki dezodorantu pod pachy. Liliowa plastikowa tarcza, zawierająca pigułki antykoncepcyjne Bernice. Znalazł tylenol obok pomarańczowej aspiryny dla dzieci, którą Bernice dawała Monkey przy gorączce. Wytrząsnął dwie tabletki na dłoń. Gdzie była szklanka na wodę? Cholera, znowu ją skonfiskowała. To siedlisko zarazków. Jezu. Musiał wziąć szklankę z kuchni.

Chłodna pustka na dole uspokoiła go. Ból głowy słabł. Ten wielki stary dom z widokiem na Little Neck Bay. Pamiętał, jak parł do kupna wkrótce po tym, jak się pobrali, chociaż spłaty hipoteczne wydawały się mordercze. Bernice miała na oku jeden z tych pseudotudoriańskich bliźniaczych domów w Bayside. O tyle łatwiejszy do utrzymania w czystości, przekonywała. Nie jak ten, z liczącą osiemdziesiąt lat sosnową podłogą, gdzie brud wypełniał szczeliny, z oknami, w które wżerała się

oceaniczna sól, z pokruszonym kalfatażem. Sześć miesięcy spędzonych na pokrywaniu dachu gontami, wymianie rynn i drenów, zeskrobywaniu warstwa po warstwie starej farby, zanim mogli się wprowadzić. Ale kiedy malowanie, tapetowanie i uszczelnianie podłóg poliuretanem było skończone, Bernice zmiękła. Nawet ona uległa urokom domu - odsłoniętym belkom, składanym siedzeniom przy oknie, witrażowemu półkolistemu oknu nad drzwiami wejściowymi.

Max przeszedł do kuchennego zlewu, nie zapalając światła. Widział wystarczająco dobrze. Mroczne światło księżycy odbijało się od wyłożonej kamieniem podłogi. Jego spojrzenie przesunęło się do ceglanego patio, wystającego poniżej okna. Zobaczył, że po jego bokach pokazały się żonkile, rzędy kwiatów równo jak paliki przebijały się przez świeżo wzruszoną ziemię. Max uczuł przypływ szczęścia na tę oznakę nowego życia. Potem znów posmutniał. Pokazały się przed kilkoma dniami, może nawet przed tygodniem, a ja wcale tego nie zauważyłem. Kiedy byłem młodszy, nigdy nie przeoczyłem pierwszych żonkili.

Max myślał o swoim ojcu, przywołując w pamięci pewien letni wieczór na trawniku za domem z dwoma swoimi starszymi braćmi, grającymi w krokieta. Max miał czternaście lat, a tata... Ile on miał lat? Jakoś zawsze wydawał się w tym samym wieku, zawsze łysy (z wyjątkiem tej strzechy nad czołem, którą nazywał swoimi „oślimi kędziorami”), zawsze z grubym wałkiem tłuszczu, zwisającym mu nad paskiem. Z tego wieczoru sprzed ponad dwudziestu lat wrócił do niego każdy szczegół, przechodząc przez coś w rodzaju mentalnej bramki, ostry i wyraźny jak uderzenie młota o drewnianą piłkę. Zapach świeżo skoszonej trawy zmieszany z dymem z hamburgerów, które przypiekał na ruszcie tata, taca oszronionych szklanek z mrożoną herbata, którą mama postawiła na poręczy werandy, i jak piekł go nadgarstek, gdzie oparzył go Robbie. Max przypomniał sobie, jak mierząc się do strzału, spojrzał na nogawki

swoich poplamionych trawą spodni i pomyślał, że mama urządzi mu piekło. Potem Eddie zaczął naśmiewać się z niego dlatego, że tyle czasu spędzał ostatnio w łazience, a Max podniósł wzrok i zobaczył, że ojciec, w opadających bermudach i czapeczce baseballowej, stoi przy rowie do *barbecue* z łopatką na długiej rączce w dłoni, patrząc w przestrzeń, a łzy płyną mu po policzkach.

Max nigdy nie widział ojca płaczącego. Doznał wstrząsu podobnego do trzęsienia ziemi. Pierwsza myśl, jaka przemknęła mu przez głowę to, że tata stracił pracę. Ale Norm Griffin uczył matematyki w szkole średniej w Pittsfield od czasów Adama i Ewy. Było tyle samo prawdopodobieństwa w tym, że zostanie wylany, ile w tym, że Harry Truman zostanie republikaninem. Nie próbując nawet dopuszczać do myśli czegoś gorszego, Max powiedział sobie desperacko: To musi być dym, no właśnie, dym dostał mu się do oczu...

Ale teraz, tyle lat później, Max w końcu przeniknął swego ojca. Może po prostu przyszło mu na myśl, że pociąg się zatrzymał, że już więcej nie ruszy, że to ostatni przystanek.

Max znalazł szklankę na suszarce. Jego wzrok przyciągnął pęknięty kafelek nad zlewem. Trzeba go wymienić, pomyślał. Potem przypomniał sobie, dlaczego tego nie zrobił. Podobała mu się jego niedoskonałość, to, że Bernice nie mogła jej poprawić, żeby nie wiedzieć jak szorowała i polerowała.

Tak jak mnie, pomyślał. Nie może mnie zmienić bardziej niż tego pękniętego kafelka. Chociaż Bóg wie, że się stara.

Tak samo jak Monkey. Narwanej, otwartej, pełnej animuszu. Nazwał tak swoją córkę, kiedy zaczęła chodzić, biegać galopem na tych małych nóżkach, a jej lepkie jak banany paluszki wyrządzały więcej szkody niż Ciekawski Jerzyk. Teraz były to rowery, deskorolki i Bóg wie co jeszcze. Bernice, załamując ręce, opowiedziała mu nie dalej jak wczoraj o ostatnim nieszczęściu - przyłapała Monkey jeżdżącą po rynnice.

Na górze Max zajął do Monkey. W świetle, które padało na jej twarz przez otwarte drzwi, wyglądała na nie więcej jak cztery czy pięć lat. Wciąż była dzieckiem, wartościowym i wrażliwym. Potem jego spojrzenie przesunęło się w dół, na płataninę długich kończyn, wystających spod pościeli, pokryte strupem kolano, ogryzione paznokcie pomazane poodpryskiwanym czerwonym lakierem. Dziewięć lat, prawie dziesięć, a już za kilka krótkich lat będzie podlotkiem. Zauważył afisz Donovana na ścianie nad jej dziecinnym klonowym łóżkiem. Skąd ona go wzięła? I gdzie są wypchane zwierzątka, które zawsze otaczały jej łóżko?

Wtedy uderzyła go myśl: Ona rośnie.

Serce wezbrało mu bólem na myśl, że pewnego dnia ona go opuści, wyjedzie do college'u. Ten dzień był niedaleko, tuż za rogiem.

Podszedł na palcach, odgarnął kosmyk włosów, który przyłgnał do jej policzka. Miała gęste, wijące się rude włosy Bernice, nie koloru marchewki, ale rude jak u Tycjana i Rubensa.

Czy to tylko jego wyobraźnia, czy też Monkey wydawała się ostatnio bardziej przyciszona? A także kapryśna. Nie zjadała nawet połowy tego, co miała na talerzu. A dziś wieczorem, kiedy ją przytulił, przywarła do niego, błagając, żeby nie zostawiał jej samej w ciemności.

Bernice zbyła to swoim zwykłym „ona po prostu przechodzi taką fazę”. Ale Max miał wątpliwości. Czasami martwił się o Monkey. Wiedział, że bardziej niż powinien.

Przyznaj to, dlaczego nie? Boisz się, że wyrośnie taka, jak jej matka. A co w tym takiego strasznego? W pewnym sensie Bernice była fantastyczna. Gdyby istniał konkurs Miss America dla doskonałej gospodyni-kucharki-pani domu, korona dostałaby się Bernice. Również jej figura była wciąż tak samo smukła jak wtedy, kiedy się z nią ożenił, chociaż teraz musiała nad tym ciężiej pracować. Cholernie atrakcyjna kobieta. Ledwie w ubiegły weekend usłyszał, jak pracownik stacji benzynowej

szeptem do swego kumpla: „Nie wypuściłbym jej z łóżka”. Max uśmiechnął się do siebie. Było tyle prawdopodobieństwa w tym, że Bernice go zdradza, jak w tym, że Statua Wolności podkasa spódnicę.

Co najważniejsze, Bernice kochała Monkey równie mocno jak on. Więc dlaczego oblewał się potem wyobrażając sobie, że pewnego dnia Monkey zwróci na niego chłodne brązowe oczy swej matki i powie: „Na litość boską, czy nie możesz pamiętać o tym, żeby opuszczać pokrywę toalety, kiedy skończysz?”

Max wyszedł na palcach, cicho zamykając za sobą drzwi. Ból głowy prawie już minął. Dobrze. Może teraz uda mu się zasnąć.

Ale kiedy wdrapał się z powrotem do łóżka, Bernice obudziła się, jak ciepły kłębek, rozwijający się od dotknięcia jego zimnych stóp. Usiadła, mrugając oczami, z wyrazem zmartwienia na twarzy, z rudymi włosami spletanymi wokół ramion. Przez ułamek sekundy była tak podobna do Monkey, że coś poruszyło się w jego piersi. Pamiętał, jak tuż po ślubie Bernice sypiała nago w jego ramionach, zwinięta jak kotka. Jak przesuwiał rękaw dół do wygięcia jej pleców i ujmował w dłoń jeden mały twardy pośladek. Jak ona udawała, że jeszcze śpi, ale jej nogi rozsuwały się leciutko, tylko tyle, żeby mógł wędrować dalej.

- Co się stało? - wykrzyknęła przestraszona. Biedna Bernice, zawsze bojaźliwa, nawet we śnie.

- Wszystko w porządku - uspokajał, klepiąc ją po nodze. - Śpij jeszcze.

Jej nocna koszula rozchyliła się pod szyją, odsłaniając jedną małąjędrną pierś. Max poczuł, że zaczyna twardnieć, i pomyślał: Nie, Boże, nie teraz. Nienawidził tego, że jej pragnie, wiedząc, że ona ulegnie bez prawdziwego pożądanania.

Ale kiedy mówił w duchu: Daj sobie spokój i idź spać, przesuwiał zarazem ręką po jej nodze, zahaczając palec o gumkę jej majtek.

- Teraz? - wymruczała zduszonym głosem. Potem westchnęła i powiedziała: - Okay - i zrolowała koszulę

na swoim płaskim brzuchu, tak jak Monkey rolowała swoje dżinsy, zanim zamoczyła nogi w oceanie.

Max pieścił ją chwilę, mając nadzieję na wzajemność. Jezu, o Jezu, dlaczego ona nie pragnęła go także, chociaż trochę? A jeśli była tak zupełnie obojętna, dlaczego nie mogła mu powiedzieć, żeby zostawił ją w spokoju? To... branie jej w ten sposób... kiedy ona leżała spokojnie, ledwie oddychając... Chryste, to raczej masturbacja niż kochanie się.

- Bernice? Skarbie, czy jest coś, co chcesz, żebym...

- Nie, tak jak teraz - mruknęła grzecznie. - Jest dobrze.

Nie, pomyślał, kiedy w nią wszedł, nie jest dobrze. Wcale nie jest dobrze. O Chryste, czy nie możesz przynajmniej ruszyć się trochę, odprawić rytuału, choć przez chwilę udawać, żebym nie musiał się czuć jak śliniacy się sprośny starzec?

Czuł teraz, że kończy, w gwałtownym palącym pędzie, w spazmach, wydzierających mu niemal wbrew woli. Chryste, och, Chryste...

Otoczył Bemice ramionami, ściskając ją tak mocno, że zaskowyczała. Przez chwilę przyjemnie było sprawiać jej ból, zmuszać, żeby coś poczuła. Potem ogarnął go wstyd. Co za obrzydliwość, chcieć ją skrzywdzić. A potem koniec.

Bernice wysunęła się spod niego. - Zaraz wracam - mruknęła.

Nie. Pozwól mi się objąć, chciał zawołać za nią, przynajmniej pozwól mi to zrobić. Wiem, jak bardzo lubisz, kiedy masuje ci się kark, czy nie pozwoliłabyś mi... Za późno. Słyszał ją, słyszał brzęczenie starych rur, kiedy odkręciła kran, otwieranie apteczki.

Max leżał na plecach, patrząc na przesuwające się po suficie światła przejeżdżającego samochodu. Czuł gorący ucisk w piersi. Słyszał zakręcanie kranu. A potem: - Och, Max! Na litość boską! - wykrzyknęła Bernice zirytowanym tonem.

Pokrywa toalety. Zapomniał ją opuścić. Znowu. Max uczuł nagle taki gniew, że wyobraził sobie, jak roztrzaskuje ją na głowie Bernice. Wziął głęboki oddech. Po co

gniewać się na Bernice? To wszystko jego wina. Nie mógł jej winić za to, że nie miał dość charakteru, aby poprosić ją o rozwód. Rozwód, magiczne słowo, którego nie śmiał wypowiedzieć.

Wtedy pomyślał o Monkey, jak zawsze, kiedy wyobrażał sobie, że opuszcza Bernice. Przyszły łyzy, niełatwe i odporne, wyciśnięte z niego jak krew z wielkiego kamienia, który przygniatał mu pierś.

Późnym popołudniem następnego dnia Max stał przy oknie, które zajmowało niemal całą wschodnią ścianę jego biura. Spojrzał na purpurowiejące niebo, i na pocztówkowy widok Mostu Brooklyńskiego, rozpiętego nad East River, na jego przypominające pajęczą sieć wiazary, lśniące chromem w światłach rampy zachodzącego słońca. Majestatyczny, to było najwłaściwsze dla niego słowo. Kto powiedział, że most nie jest na sprzedaż? Płacił za niego każdego dnia, za to narożne biuro z zapierającym dech w piersiach widokiem i za prestiż, jaki się z tym wiązał. Płacił za niego swoim czasem, swoimi myślami, swoją wiedzą". Czy płacił za niego również swoją prawością?

Jezu, nie miał takich myśli, odkąd opuścił wydział prawa. Prawnicy nie powinni myśleć w ten sposób. Co takiego było w tej sprawie?

Max odwrócił się od okna i zapadł w fotel przed zawalonym papierami georgiańskim biurkiem z rzędem szuflad z każdej strony. Patrzył na oparty między dwoma starymi fotelami w rogu powiększony kartonowy model kolumny kierowniczej, która wyglądała jak coś z Przylądka Kennedy'ego.

Jeśli powód, Jorgensen, wygra, Pace Motors straci dwanaście milionów, plus jeszcze sto milionów na wycofanie tych cyclone'ów i wymianę ich kolumn kierowniczych. Max lubił facetów od Pace'a, jeździł ich samochodami od lat, i przynajmniej raz na tydzień dziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie za to, że jego firma miała za klienta najbardziej wynalazczego producenta w Amery-

ce. W pierwszym odruchu chciał więc ruszyć w obronie Pace'a, pewien, że Jorgensen musiał być zalany i że jego roszczenia wobec Pace'a były jeszcze jedną próbą rozboju na równej drodze.

Ale od poniedziałku, od spotkania z Caravellą, naczelnym inżynierem, który protestował zbyt mocno, zasypując Maxa technicznymi objaśnieniami, rysunkami, wynikami prób, mniej wymownymi niż pot ściekający mu z twarzy, i od wtorku, kiedy wpadł wiceprezes Rooney, wtrącając słowo „ugoda” w każde zdanie - Max nic nie mógł poradzić na to, że zwietrzył zapach czegoś, co sugerowało, że może źle się dzieć w państwie duńskim.

Nie było jego rolą, przypominał sobie co i raz, osądzenie rzeczywistych lub wymyślonych wykroczeń jego klientów - ale mimo to nie mógł pozbyć się lekkich mdłości, jak złego posmaku po czymś, co zjadł.

- Mam te poświadczenia, o które pan prosił, panie Griffin. - Głos, niski i słodki, wyrwał go z kręgu ponurych myśli. - I pańską kawę.

Uniósł wzrok i zobaczył Rosę ze sporym plikiem papierów opartym o biodro, szukającą wolnego miejsca na jego biurku na parujący kubek, który trzymała w drugiej ręce.

Uwolnił ją od kawy, stawiając ją na żółtym papierze listowym, pobazgranym jego piórem i już poznaczonym krążkami po dzisiejszej kawie. - Dzięki. - Wziął kopie, które położyła przed nim i zaczął je kartkować. - Co z tym raportem niezależnego inżyniera?

- W powielarni. Całe sto jednaście stron. Wliczając wykresy. Kazałam skopiować, ale ułożenie tego wszystkiego chwilę potrwa.

Max westchnął i wymruczał do siebie: - Coś mi się zdaje, że ta dama za dużo protestuje.

- Jaka dama?

- Mówi się na nie nierządnicę. Biegli świadkowie. Lekarze, psychiatrzy, inżynierowie, którzy dostarczą ci dosyć dętych danych na papierze, żeby cała ława przysięgłych przez miesiąc miała czym podcierać dupy.

Pociągnął łyk czarnej kawy i skrzywił się.

- Przepraszam za przemysłową moc - usprawiedliwiała się Rosę ze śmiechem. - To były resztki z dzbanka. - Potem uśmiech opadł z niej i powiedziała cicho: - Czy nie sądzi pan, że to jest, jak to się nazywa... *res ipsa loquitur*

Skąd ona to wzięła? Widocznie robiła coś więcej niż tylko przepisywanie jego papierów. Sprytna dziewczyna. I ładna. Ale przy całej wrzawie, jaką dziś wszyscy robili wokół ruchu wyzwolenia kobiet, pilnował się, żeby jego spojrzenie pozostawało neutralne.

Ale, do diabła, to była przyjemność widzieć kobietę wyglądającą tak świeżo późnym popołudniem. Twarz wypucowana mydłem i wodą, chmura ciemnych włosów lekko pachnących szamponem, biała bluzka wyprasowana jak liść i schludnie wsunięta w prostą granatową spódnicę z marynarskiego płótna. O niemodnej długości do kolan, ale bardziej pasowała do niej niż minispódniczki, które zdawały się nosić wszystkie inne sekretarki.

Nie, nie mógł sobie wyobrazić jej nachylającej się nad naczyniem do chłodzenia wody w jednej z tych spódniczek i w błyskających spod obróbka koronkowych majtkach. Tak czy owak prawdopodobnie nosiła rozsądną, białą bawełnianą bieliznę, z rodzaju, jaki kupowało się u Searsa w paczkach po dwie sztuki. Porządną katolicką bieliznę, pasującą do delikatnego złotego krzyżyka na jej szyi.

Max poczuł, że twarz zaczyna go palić. Jezu, dosyć tego. Zmusił się, żeby znowu myśleć o Jorgensenie.

- No cóż, w pewnym sensie ta cała sprawa rzeczywiście mówi sama za siebie - odpowiedział. - Pewnie, większość wypadków wydarza się z powodu niedbalstwa kierowców. Ale czy sądzę, że ten był z winy Jorgensena? Nie, nie sądzę.

Poczuł się lepiej, wypowiadając swoje podejrzenia na głos. Nawet wiedząc, że nie ma w tym żadnego interesu. Jakoś czuł, że może zaufać Rosę. Wyglądała na kogoś, kto potrafi zatrzymać zwierzenia przy sobie.

To te jej oczy, pomyślał. Te jej wspaniałe czarne oczy. Są pełne tajemnic.

- Ale nie jest pan pewien. - Rose sięgnęła ręką, wygładzając plik papierów na jego biurku. - A jeśli Quent Jorgensen mówi prawdę, jeśli nie był tamtej nocy pijany, wtedy mogą tam być dziesiątki, setki uszkodzonych kolumn kierowniczych. Czy do tego pan zmierza?

- Byłby z ciebie dobry prawnik - powiedział i zaśmiał się. - Myślałaś kiedy o studiach prawniczych?

Widział, że dotknął czułego miejsca, i natychmiast pożałował swoich niebacznych słów. Chryste, jak mógł być tak bezmyślny? Mimo niemal rozdzierającej troski Rose o swój wygląd, zauważył te same dwie spódnice i trzy czy cztery bluzki, które wciąż nosiła, te same czarne pantofle, starannie podzielowywane co sezon. Studia prawnicze? Prawdopodobnie ledwie wiązała koniec z końcem.

Rumieniec wypłynął jej na policzki, nadając ciemno-oliwkowej cerze jaskrawość sieni palonej, która jakoś przypominała mu toskańskie wzgórza, gdzie kiedyś stacjonował w czasie wojny. Pokryła to nerwowym śmiechem. - Kto wtedy pilnowałby chihuahua pani Von Hoesling?

Max zaśmiał się w kułak, przypominając sobie, jak pani Von Hoesling weszła pewnego dnia niepewnym krokiem, żeby omówić testament swego zmarłego męża. W sekretariacie po prostu wręczyła Rose swego warczącego chihuahua, jak gdyby to był płaszcz lub kapełusz. A Rose, ku jego wiekuiestej wdzięczności, wzięła go bez komentarza, z idealnie nieprzeniknionym wyrazem twarzy, i po prostu wrzuciła do szuflady na akta razem z połową batonika, jak tylko stara dama się odwróciła.

- Masz rację - powiedział.

- Gdyby miał pan jakiś sposób upewnienia się co do tej kolumny kierowniczej, czy to naprawdę ułatwiłoby wszystko? - zapytała, nachylając się, żeby zebrać kilka zwiniętych w kulkę kartek, które nie trafiły do kosza.

Zauważył, jak zginała kolana, przechylając się na jedną stronę, tak że brzeg jej spódnicy ledwie podniósł się z tyłu. Zakonnice dobrze ją nauczyły.

Potarł podbródek, szorstki od popołudniowego zarostu. - Nie, niekoniecznie. Raczej nie mogę sobie pozwolić na to, żeby powiedzieć naszym najpoważniejszym klientom, że uważam ich za kłamców, prawda? Tak czy owak to nie moja robota. I może cała ta moja cnota to tylko zwykłe ego potrzebujące pozorów... Lubię mieć wszystkie karty na stole, dobre i złe, nie lubię potykać się po omacku. Tak, jak się sprawy mają, jeśli to, co podejrzewam, jest prawdą, i jeśli prawnik Jorgensena zacznie mi posyłać krzywe piłki w sądzie... Cóż, bez znajomości wszystkich faktów mogę wyjść na króla idiotów.

- Ale z drugiej strony - spokojnie zaznaczyła Rose - jeśli pańskie podejrzenia miałyby się okazać bezpodstawne, czy wtedy nie czułby się pan o wiele lepiej? Przynajmniej nie musiałyby się pan martwić o jakiegoś innego biedaka, że skończy w wózku inwalidzkim albo jeszcze gorzej.

- Masz pod ręką kryształową kulę? - spytał z uśmiechem.

- Nie. Coś o wiele prostszego. - Wyprostowała się i utkwiała w nim te zadziwiające oczy. Oczy zarazem spokojne i przepastne; tylko od czasu do czasu pojawiał się w nich odblask uczuć, które kryła w jakiejś mrocznej części duszy.

- Co takiego?

- Samochód. Dlaczego nie wyjedzie pan którymś na drogę i sam nie sprawdzi?

Uśmiechnął się. - Chciałbym, żeby to było takie łatwe. Ta usterka... czy jest prawdziwa, czy tylko ja ją sobie wymyśliłem... prawdopodobnie nie każda kolumna kierownicza ją ma, inaczej Pace byłby do tej pory zawalony procesami sądowymi. Podejrzewam, że to dlatego nie są wobec mnie stuprocentowo szczerzy. Prawdopodobnie nie chcą tego przyznać nawet sami przed sobą. Defekt może istnieć tylko w co setnym cyklonie, albo w co

tysięcznym. I nawet wtedy musiałyby to być coś, co ujawnia się - to tylko mój domysł - przy bardzo dużej prędkości i tylko w pewnych warunkach jazdy.

- Kto wie - powiedziała Rosę - może miałyby pan szczęście? - Nie uśmiechała się. Niech to diabli, ona mówiła poważnie. Co z niej za kobieta?

Max poczuł, że unosi go chwilowy optymizm. Do diabła, może ona ma rację. Może warto było spróbować, choć to strzał z dużej odległości. Powiedział w zamyśleniu: - Niedaleko stąd jest punkt sprzedaży Pace'a. Znam kierownika.

- Mógłby pan powiedzieć, że chce pan kupić samochód - wtrąciła - i wziąć go na próbną jazdę.

Max wstał, odsunął się od biurka. Od tygodni nie czuł się lepiej i był dziwnie podekscytowany.

- Ty też idziesz - powiedział, uśmiechając się jak idiota. - Tak, ty. To był twój pomysł, pamiętasz? Weź płaszcz i chodźmy.

Minęli ostatnią budkę opłaty rogatkowej przy Sawmill i wreszcie wyjechali na Thruway. Kiedy przejechali Tappan Zee, słońce pograżyło się za horyzontem i został po nim tylko łagodny blask, przeświecający tu i ówdzie między topolami, które rosły zwartym szeregiem wzdłuż wału po obu stronach sześciopasmowej autostrady.

Max nie pamiętał, kiedy ostatni raz czuł się tak rozradowany jak nastolatek, odurzony zapachem niepokalanego winylu nowego samochodu, podniecony widokiem rozwijającej się przed nim drogi.

Spojrzał na Rosę na siedzeniu kierowcy. Jej uwaga skupiona była całkowicie na drodze, ręce zaciśnięte na szkarłatnej kierownicy, dobranej do czerwonej jak pompa strażacka karoserii, jedna brązowa noga przyrośnięta do pedału gazu. Potem spojrzał na czerwoną wskazówkę szybkościomierza. Sto dwanaście kilometrów.

Nalegała na to, żeby prowadzić. Nie, nalegała było niewłaściwym słowem. W punkcie sprzedaży po prostu

wsunęła się na głębokie siedzenie za kierownicą, popatrzyła na niego z ochoczym uśmiechem małej dziewczynki dosiadającej swego pierwszego roweru i powiedziała: - Nie ma pan nic przeciwko temu, prawda? Zawsze się zastanawiałam, jak to jest, prowadzić jedno z tych cacek.

I prowadziła, z początku ostrożnie i trochę nerwowo, potem z rosnącą pewnością siebie. Przez pół godziny nie odezwali się słowem, bo doprawdy nie było potrzeby. Atmosfera była dziwnie koleżeńska. Właściwie Max prawie zapomniał o prawdziwym celu ich podróży.

- Myślę, że właśnie przekroczyłam barierę BiB - powiedziała w końcu Rose, rzucając mu ukośne spojrzenie, a jej pełne usta wygięły się w uśmiechu. Było niezwykle ciepło jak na kwiecień i Max pochwycił słaby, dziwnie pociągający zapach jej potu, dochodzący wraz z prądem powietrza, wpadającego przez otwarte okno.

- BiB?

- Skrót od Brooklyn i Bronx. Mówią, że jeśli ktoś urodzi się w którymś z tych okręgów wyborczych, nigdy naprawdę nie wyjeżdża. Nigdy nie wyjeżdża dalej niż może go zabrać kolej podziemna. Nawet linia kolejowa Long Island - z tego, co mówią ludzie w mojej okolicy, można by pomyśleć, że to Orient Express.

Max uśmiechnął się. - A ty?

Po prawej stronie przemknęła zielono-biała tablica z napisem NEW PIATZ 38 MIL. Wspięli się na niewielkie wzniesienie i rozpostarły się przed nimi szarzące w mroku lasy.

- Udawałam, że to mój samochód - na razie zapomniałam o możliwych defektach - i że jadę do... chwileczkę... o, już wiem... do tego fantastycznego kurortu w Catskills. Jestem sławną aktorką, nieprzyzwoicie bogatą, i... i że mam tam spotkanie z moim potajemnym kochankiem na weekend szaleńczej lekkomyślności. Wzięłam to wyrażenie z książki, tę szaleńczą lekkomyślność. Brzmi jak coś, co robiliby Clark Gable i Carole Lombard, prawda?

- Masz rację. Lubisz stare filmy?

Spojrzała we wsteczne lusterko i skręciła w lewo na pas szybkiego ruchu, wyprzedzając niebieskiego buicka i żółtego opla kadeta; ostatnie promienie zachodzącego słońca prześliznęły się po gładkiej czerwonej masce. Szybkościomierz przeskoczył ostrzegawczą kreskę stu trzydziestu kilometrów. W przodzie rozciągała się pusta przestrzeń bez żadnej balustrady zjazdowej w zasięgu wzroku i, co zadziwiające, bez żadnego ruchu.

- Proszę nie mówić nikomu - powiedziała. - Ludzie pomyślą, że jestem dziwaczką, ale to prawda, że nie bardzo lubię wszystko, co zostało wyprodukowane po roku 1940. Pamięta pan stare filmy Shirley Tempie - w każdym z nich tańczyła z Billem Robinsonem. A Nelson Eddie i Jeanette MacDonald w *Złej Marietciel* Nawet płakałam na końcu *Teraz, podróżniku*. Wie pan, kiedy Betty Davis mówi „Nie prosimy o księżyc, mamy gwiazdy”. Czy też odwrotnie?

Max spojrzał na nią rozbawiony i trochę zaskoczony. To było najwięcej, co powiedziała najednym oddechu, odkąd dwa lata temu przyszła pracować dla niego. Zdaje się, że oboje poddali się urokowi tego sportowego samochodu.

- Nie pamiętam - roześmiał się. - Tylko te dwa papierosy. Paul zapalał je dla siebie i dla Betty prawie w każdej scenie. Przypuszczam, że biuro Haysa sądziło, iż rak płuc jest bardziej wskazany od namiętnych pocałunków.

- Mówi pan jak cynik. Ale wie pan, właśnie się pan zdradził. Ja jestem taka sama. Mam skłonność do zastanawiania się... Czy jadę za szybko? Jest pan trochę zielony na twarzy.

- Nie - skłamał. Zaczynał czuć wilgoć pod pachami. Jezu. Jechali na złamanie karku. W każdym razie, jak doświadczonym ona była kierowcą?

Przemknął mu przez głowę obraz Quenta Jorgensena. W dowodach rzeczowych, przygotowanych dla sądu, prawnik Jorgensena sprytnie zestawił fotografię swego klienta przeskakującego w powietrzu płotek na olimpiadzie

z późniejszym zdjęciem kalekiego teraz mężczyzny, wciśniętego w wózek inwalidzki. Chociaż Max miał wszelkie powody oczekiwać, iż sędzia nie okaże tego zdjęcia ławie przysięgłych, niemniej złapał się na gorączkowej nadziei, że wykrycie alkoholu w krwi Jorgensena po wypadku będzie oznaczało, iż to on zawinił.

Rosę zerknęła na szybkościomierz. - Przypuszczam, że to nazywa się *malum prohibitum*.

- Łamanie prawa bez złych intencji - zinterpretował Max. - Tak, myślę, że nadmierna prędkość podpada pod ten paragraf. To znaczy, jeśli cię zatrzymają. W innych okolicznościach lekarz miałby dla tego inny termin.

- Jaki?

- Śmierć na miejscu wypadku. Słuchaj, może zwolnij trochę. A poza tym, co z tymi terminami prawniczymi?

- Muszę się do czegoś przyznać. Brałam do domu pańskie książki prawnicze. - Zerknęła na niego, jak gdyby spodziewała się, że on się rozgniewa. - Tylko po jednej, i zawsze je odnosiłam. Jestem bardzo sumienna. Naprawdę.

Znowu się zarumieniła. Więc miał rację w tym, że ona przejawia więcej niż przelotne zainteresowanie prawem.

- Nie mam nic przeciwko temu. Ale możesz otworzyć puszkę Pandory. Czy naprawdę tego chcesz?

- Nie wiem, czego chcę - powiedziała. Jej oczy zachmurzyły się. - Kiedyś myślałam... Och, nic ważnego, prawdopodobnie i tak powiedziałam za dużo.

- Nie. Proszę. Ja... - Nie przychodziło mu na myśl nic, co nie brzmiałoby jak kwestia ze złego filmu, więc skończył niezdarnie: - Może będę mógł pomóc.

Przygryzła wargę, jak gdyby powstrzymując się od płaczu. - Nie, nie wydaje mi się. To raczej... sprawy osobiste.

- Jak na przykład chłopak?

Rumieniec w odcieniu sienny palonej najej policzkach ściemniał i Max poczuł ukłucie zazdrości, co było zupełnie niedorzeczne. Znowu trafiłeś. Prawdziwy z ciebie dwurewolwerowiec Sam, stary.

- On jest w wojsku. W Wietnamie, od prawie czterech miesięcy. Od trzech miesięcy i dwudziestu jeden dni. Ja... to znaczy my... mamy zamiar się pobrać, kiedy wróci do domu. Tylko chodzi o to... - Jej głos wzniósł się na ostrej, metalicznej nucie, a potem się załamał. - O Boże, wiedziałam, że tak będzie. Zawsze płaczę, kiedy o nim mówię... - Gniewnie otarła oczy wierzchem dłoni. - Widzi pan, od jakiegoś czasu nie mam od niego wiadomości. Dokładnie trzy miesiące. Tylko jeden list... - Jej głos brzmiał, jak gdyby znów miała się rozpłakać.

- Kochasz go, prawda? - Głupie pytanie. To było widać. I co z tego? To, że on nie miał patentu na małżeńskie szczęście, nie oznaczało, że to stracona sprawa dla wszystkich innych.

Przytaknęła, nie odrywając oczu od drogi. Jej oczy były teraz pełne urazy i gniewu, usta zacisnęły się w twardą linię. Widział, jak mięśnie jej łydki napinają się, kiedy niepostrzeżenie nacisnęła pedał gazu. Ryk silnika zmienił się w wysoki jęk, który przywodził na myśl odrzutowiec, kołujący przed startem.

Potem powiedziała: - Umarłabym bez niego. Wiem, że tego wyrażenia używają w wielu filmach. Aleja tak myślę. Dosłownie. Czy kochał pan kiedy kogo aż tak bardzo?

Max pomyślał o Bernice. Nie. Nawet zaraz po ślubie nie mógłby uczciwie powiedzieć, że kochają dość, żeby dla niej umrzeć.

Patrzył na tę ciemną, owianą wiatrem młodą kobietę u swego boku. Ta głęboko ukryta i tajemnicza intensywność uczuć, jaką wyczuwał w niej przy innych okazjach, była teraz dla niego widoczna jak sarna zamarła na brzegu polany i bał się, że jeśli zrobi jakiś nagły ruch, albo powie coś zbyt szybko, sarna zniknie.

I wtedy coś się stało. Patrzył przez rubinowoczerwony pryzmat, który ona mu podała. Nagle mógł sobie wyobrazić, jak by to było kochać kobietę dość, żeby dla niej umrzeć.

Max spostrzegł się, że zazdrości temu mężczyźnie, kimkolwiek on był. - Mam takie uczucie dla mojej córki

- powiedział. - Zaraz po tym, jak przywieźliśmy ją ze szpitala do domu, pamiętam, że stałem nad jej łóżeczkiem, myśląc po raz pierwszy, że tak, rozsądny człowiek mógłby popełnić morderstwo. Gdyby ktoś kiedy próbował skrzywdzić Mandy, nie zawahałbym się go zabić.

- Ma szczęście, że ma pana - Rose milczała przez chwilę. Słysząc było tylko jęk przyspieszającego obroty silnika. - Nigdy nie znałam mojego ojca. Matki także. Zginęła w pożarze szpitala tej nocy, kiedy się urodziłam. Czy to ma walor filmowy? - W jej głosie zabrzmiała gorzka nuta.

- Przykro mi.

- Och, nic z tego nie pamiętam. Usłyszałam całą tę sensacyjną historię później. O tym, jak zostałam zniesiona na dół przez jedną z pielęgniarek, owinięta w wilgotny koc. I jak moja babka przyszła mnie zabrać - mój ojciec był w tym czasie na morzu - i myślała, że musiała nastąpić jakaś pomyłka. Widzi pan, ja nie wyglądam jak moje dwie siostry, ani żadne z moich rodziców. Ale widzi pan, ja byłam ostatnia. Wszystkie inne dzieci odebrano. Czy myśli pan, że moja matka by mnie chciała, gdyby żyła? - Rose zakryła dłonią usta. - Boże, czy ja to naprawdę powiedziałam? Nie mogę uwierzyć, co za rzeczy panu opowiadam.

- W porządku. Jestem dobrym słuchaczem. Jedź dalej.

- Reszta jest raczej nudna. Nie chciałby pan tego słuchać. - Linia jej ust stała się jeszcze twardsza. - Kiedyś widziałam ten stary film o Tarzanie, i była tam scena, gdy Johnny Weismuller utknął w grząskich piaskach - właściwie to myślę, że on w każdym filmie zapadał się w grząskie piaski - i choć scena była głupio sentymentalna, wiedziałam dokładnie, co czuje. Jak to jest, kiedy jesteś schwytyany w pułapkę, toniesz powoli, i im mocniej walczysz, żeby się z niej wydostać, tym jest gorzej.

Wskazówka przekroczyła sto czterdzieści i wahała się teraz gdzieś wokół stu pięćdziesięciu. Silnik zawodził przenikliwie.

- Czy pan wie, jak to jest? - spytała głośno.

- Tak, wiem. - Pomyślał o Bernice, i wyobrażanie sobie reakcji żony na tę jego małą eskapadę sprawiło mu pewną perwersyjną przyjemność. - Rose, myślę, że lepiej będzie, jeśli zwolnisz.

- Co z Quentem Jorgensenem?

- Przypuszczam, że ostatecznie pomogłobyjego sprawie, gdybyśmy się zabili, ale nie polecałbym tego.

- Mam na myśli, czy nie chciałby się pan dowiedzieć czy... - Raptownie zeszywniała, pochylając się lekko do przodu; jej palce ze zbielełymi stawami zamknęły się wokół błyszczącej czerwonej kierownicy.

- Co się stało? - Max poczuł, że nagle robi mu się za ciasno, jak gdyby jego skóra skurczyła się o kilka rozmiarów.

- Święta Matko Boża! - wyrwało jej się. - Zacięło się. Nie mogę... - Walczyła z kierownicą, która okazała się zablokowana, tylko z trzema czy czterema centymetrami luzu w każdym kierunku.

Wtedy Max to zobaczył. Zakręcił w przodzie. I powolny, gęsty ruch tuż za nim. Rose zdjęła stopę z gazu i naciskała teraz hamulec, przeskakując na niższy bieg. Całe jej ciało zeszywniało, twarz była biała jak pergamin.

Chryste. Wpadła w panikę, zbyt mocno hamowała.

Przeraźliwy pisk, śwąd palonej gumy, tył wozu wyrzuciło jak rybi ogon w górę i ruchem wirowym przerzuciło o dwa pasma. Zamajaczyła mu bariera ochronna i ostry spadek poniżej. Strach uderzył go w pierś jak torba z piaskiem.

- Jezu Chry...

Chwila zdawała się wisieć w przestrzeni, obojętna na wszystko przeszłe i przyszłe, była tylko ta wyłaniająca się biała bariera ochronna, skaliste zbocze w dole i nie kończący się pisk opon.

I oto Rose, dzika kobieta, którą ledwo poznawał, z oczami wielkimi i czarnymi jak napierający na nich asfalt, wydała z siebie wysoki, dziki krzyk, gdy walczyła o panowanie nad samochodem.

Maxem cisnęło do przodu, boleśnie uderzył czołem o chromowaną listwę biegnącą wzdłuż szyby. Eksplozja białości, jak żarówka pękająca za oczami, potem chwila, kiedy jego zmysły przetoczyły się nad brzegiem jakiejś otchłani.

Wydawało mu się, że przez dzwonięcie w uszach usłyszał, jak ona wykrzykuje czyjeś imię. Brzmiało to jak „Brian”.

Jego umysł rozjaśniał się i patrzył teraz, jak Rosę atakuje kierownicę każdym strzępem siły, jaką jeszcze miała. Potem usłyszał znajomy, przyciszony dźwięk werbla w narowistym hamulcu.

I nagle kierownica zaczęła się obracać, Rosę znów nad nią panowała. Zawróciła samochód, podjechała do skarpy i w końcu, Bogu niech będą dzięki, zatrzymała się.

Max otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wydobył z siebie słowa. Mógł tylko patrzeć na tę kobietę obok siebie, na tę dobrą katolicką dziewczynę, która zmieniała się w wariatkę. Splątane włosy opadały jej wokół ramion, bluzkę miała rozpiętą do talii, twarz z plamami gorączkowych rumieńców od przypływu adrenaliny. Był zbyt wstrząśnięty, zbyt przytłoczony.

- Mój Boże - wykrztusił w końcu. - Mój Boże, Rosę. Gdzie się nauczyłaś tak prowadzić?

- Nie wiedziałam, że potrafię - powiedziała, wybuchając urywanym śmiechem, chociaż oczy wypełniły jej się łzami zdumionej ulgi. - Widzi pan, dostałam prawo jazdy dopiero parę miesięcy temu.

ROZDZIAŁ U

Był to najpaskudniejszy siniak, jaki Rosę widziała, bardziej czarny niż granatowy, i opuchnięty niemal do rozmiarów kulki do gry w ósemki, w którą grali, kiedy byli dziećmi, kulki, z której się wróżyło na różne sposoby, zależnie od tego, jak się obróciła.

Rosę nie potrzebowała teraz wróżb, żeby wiedzieć, co stało się jej siostrze. Stała na odrapanej klatce schodowej przed mieszkaniem Marie, patrzyła na czarne oko, spoglądające ponad łańcuchem u drzwi i wezbrał w niej gniew.

- Marie, mój Boże. Twoje oko.

- Taak, wiem, wiem. Alfred Hitchcock chciałby, żebyś zagrała główną rolę w jego następnym filmie - Marie wydała z siebie suche warknięcie zamiast śmiechu, odczepiając łańcuch i otwierając szeroko drzwi, żeby wpuścić Rosę. Nawet w przyciemnionym przedpokoju Rosę widziała, że z jej siostry została tylko skóra i kości pod wypłowiałą domową sukienką, poplamioną jedzeniem dla dzieci, a jej brudne włosy przylegały do czaszki.

- Najgłupsza rzecz, jaką widziałas. Wpadłam na drzwi. Uwierzyłybyś w to?

Nie, chciała powiedzieć Rosę, nie uwierzyłabym. Co to było ostatnim razem? Schody. Marie powiedziała, że złamała rękę, spadając ze schodów. A jeszcze przedtem pośliznęła się na miniaturowym samochodzie i jakoś złamała sobie nos i wybiła ząb. I, oczywiście, za każdym razem był to tylko przypadek, że Pete siedział w domu i nie miał pracy.

Ale Rosę zachowała swoje myśli dla siebie. W zdrowym oku Marie było to spojrzenie „odczepcie się ode mnie”, spojrzenie, które ostrzegało: To moja sprawa, jeśli mój stary mnie bije, więc zachowaj swoje współczucie dla siebie.

Podążyła za Marie do bawialni, zagraconego pokoju wielkości pudełka z łuszczącym się tynkiem i atmosferą

tymczasowości podniszczonego pokoju hotelowego. Pete siedział rozwalony przed telewizorem, z puszką budweysera w garści. Bobby i Missy bawili się na podłodze koło kaloryfera.

- Czy dlatego dzwoniłaś? - zapytała Rosę, instynktownie wyciągając rękę, żeby pocieszyć siostrę, a potem pozwalając jej opaść bezużytecznie wzdłuż ciała, gdy Marie cofnęła się niemal niezauważalnie.

- To? - Marie dotknęła swego oka, krzywiąc się trochę. - To nic takiego. Potrafię zatroszczyć się o siebie. Chcesz filiżankę kawy czy coś takiego? Zaprosiłabym cię, żebyś została na kolacji, ale tu nie Waldorf. Fasola i frankfurterki.

Pete oderwał wzrok od Jaskiniowców. - Znowu? Chryste, Marie. Wiesz, że zbierają mi się po nich gazy. Do diabła, mógłbym otworzyć własną stację Mobil z całym tym gazem, jaki mi dajesz. - Zarechotał z własnego dowcipu i wykrzyknął: - Rozgość się, Rosę! Ja tak czy owak wychodzę. Przegryzę coś u Tony'ego. - Tony prowadził pobliską piwiarnię.

Marie rzuciła mu ponure spojrzenie, potem schyliła się i podniosła dziecko. Mały Gabe ryczał z odrzuconą głową i ustami otwartymi tak szeroko, że Rosę widziała nie tylko jego cztery zębki i błyszczące dziąsła, ale wszystko aż do migdałków.

- Co mu zrobiłeś? - warknęła Marie na Bobby'ego, teraz niewinnie pochłoniętego rozplątywaniem długiej skręconej nici z oliwkowego dywanu w miejscu, gdzie odczepił się od podłogi.

Bobby wysunął dolną wargę. - On uderzył mnie pierwszy. I to mocno. Butelką.

- Następnym razem ja cię uderzę - powiedziała Marie. - On jest tylko dzieckiem. Nie wie, co robi.

Bobby rzucił Gabe'owi mordercze spojrzenie i wrócił do rozplątywania. Miał ciemne włosy, jak jego ojciec, i małe, gniewne oczy.

Rosę podeszła i przykucnęła obok niego. - Hej, Bobby, przyniosłam ci coś.

Wyciągnęła z kieszeni płaszcz przeciwdeszczowego maleńką papierową parasolkę, z rodzaju tych, jakie polinezyjskie restauracje podają do mieszanych drinków. Pan Griffin przyniósł ją z lunchu w Trader Vic's. Na szczęście, powiedział z uśmiechem, rzucając ją na jej biurko.

Potem opowiedział jej o swoim przyjacielu, Samie Blankenshipie, i Fundacji Phippsa, o możliwości uzyskania stypendium do college'u i może również na studia prawnicze, gdyby chciała dojść tak daleko. Co za kochany człowiek był z pana Griffina. Matko Święta, czy to nie byłoby coś, studiować filozofię i Szekspira i może uczyć się francuskiego... Chociaż Bóg wie, gdzie by używała tego swojego francuskiego. Mimo to byłoby cudownie, gdyby mogła...

Ale potem jej słoneczne fantazje zbladły. Jaka to różnica z tym wszystkim bez Briana?

Cztery miesiące, Boże drogi, i ani jednego listu. Czy mógł o mnie zapomnieć? Czy przestało mu zależeć?

Nie, to nieprawda, nie pozwoli sobie w to wierzyć. Musi być jakieś wytłumaczenie. Rosę z trudem przełknęła twardy, bolesny supeł w gardle. Już żadnych łez, powiedziała sobie. Dość już płakałaś. Jeszcze trochę, a popadniesz w poważny deficyt soli.

Bobby patrzył podejrzliwie na małą parasolkę. - Czy Gabe i Missy też dostaną po jednej?

- Tylko ty - powiedziała. - Ale nic nie mów. To nasz sekret.

Uśmiechnął się wtedy, jak słońce przedzierające się przez wał burzowych chmur. I Rosę poczuła, że jej serce trochę się rozpogadza.

- Byłaby z ciebie dobra matka - powiedziała Marie, gdy siedziały w kuchni przy żółtym stole z formiki, pijąc kawę. Zabrzmiało to smutno, pomyślała Rosę. Jak gdyby Marie nie całkiem wierzyła, że dobre matki istnieją, tak samo jak wróżka z bajki i Święty Mikołaj.

- Dlaczego nie? Lekarz, prawnik, wódz Indian. Wszystkiego mogę spróbować.

Rosę znów myślała o Maksie - nalegał, żeby zwracała się do niego „Max”, a nie „panie Griffin” (Byłoby to trochę głupie, powiedział, po tym, jak byli tak bliscy wspólnej śmierci). Była strapiona, kiedy wezwał ją następnego ranka do swego biura - ostatecznie, to ona wpadła na ten wspaniały pomysł, żeby wziąć cyclone'a na przejażdżkę. Ale on nie wspomniał o tym ani słowem. Zamiast tego powiedział jej, że może mieć dla niej drobną niespodziankę po lunchu. I tego popołudnia, kiedy powiedziała jej o możliwości uzyskania stypendium, Rosę była tak zakłopotana, że nie mogła wyrzec słowa, z wyjątkiem „dziękuję”.

Powiedziała o tym Marie, starając się, by całe to wielkie podekscytowanie nie zabrzmiało w jej głosie.

Na zmaltretowanej twarzy Marie pojawił się wyraz takiej zawziętości, że oszołomiło to Rosę. Usta jej siostry drżały, a szczelina w upiornie opuchniętym ciele, przez którą wзираło jej lewe oko, połyskiwała jak nierdzewna stal.

- Zrób to - syknęła, pochylając się do przodu, zaciskając chude ręce na kubku z kawą. - Na rany Jezusa, Rosę, taka szansa już się nie zdarzy. College, chciałabym mieć taką szansę. Nie zmarnuj jej jak ja, Rosę. Nie zrób czegoś głupiego.

Łza utworzyła się w jasnoniebieskim, zdrowym oku Marie. Twarda jak lód łza, która nie spadła. Rosę ogarnęła fala smutku z powodu siostry, zamkniętej w pułapce tego mieszkania, tej kuchni z brudnymi naczyniami i okruchami chleba na podłodze. Jedyнным marzeniem w zasięgu Marie była rubryka *Potrzebna Pomoc* w „Timesie”, zwiniętym na stole obok kaszki bananowej.

- To jeszcze nic pewnego - powiedziała Rosę. - Pan Griffin, to znaczy Max, dopiero co jadł lunch z tym człowiekiem. Prawdopodobnie nic z tego nie wyjdzie. Poza tym, nadal musiałabym pracować, przynajmniej w niepełnym wymiarze godzin, a gdybym pracowała i chodziła do szkoły, kto opiekowałby się Nonnie?

Marie opadła z powrotem na krzesło, ze zgaszonymi oczyma, jak gdyby wysiłek myślenia o jej straconych szansach wyczerpał ją. Powiedziała gorzkim głosem: - Pytałaś mnie, dlaczego dzwoniłam? Cóż, jeśli ci powiem, może się dobrze zastanowisz nad marnowaniem życia w roli Florence Nightingale wobec naszej drogiej Nonnie.

- O czym ty mówisz?

- O tym - Marie wstała i otworzyła szufladę pełną starych gumowych obrączek, plastikowych zatyczek do dzieciennych butelek, zakrętek do słoików. Poszperała w jej głębi i wyciągnęła garść listów, cienkich jak listki niebieskich kopert lotniczych, związanych sznurkiem. Wierzchnia koperta miała z sześć znaczków i była zaadresowana do niej ścisłymi, spiczastymi gryzmołami Briana.

Rosę uczuła silne pulsowanie w skroniach, ogłuszający miarowy szum w uszach, i nagle zakręciło jej się w głowie.

Wyciągnęła drżącą rękę, żeby wziąć plik kopert od Marie i ten zmaterializowany kształt po tylu dniach i nocach próżnej tęsknoty, szelest chłodnego papieru na jej skórze, jej imię, nabazgrane ręką Briana, skaczące ku niej, sprawiły, że zawirowało jej przed oczyma.

O Boże miłosierny, nie zapomniiał.

- Skąd je wzięłaś? - zdołała zapytać niepewnym głosem. Jednak w tej krótkiej chwili uniesienia nawet nie dbała o to. Ważne były tylko te listy w jej dłoni. Serce biło jej jak oszalałe. O Boże, Boże drogi, on mnie kocha, on nadal mnie kocha!

Marie skrzyżowała kościste ramiona na piersi. - Zrobiłam to, o co nie dawałaś mi przez tyle miesięcy spokoju. Byłam na zakupach i pomyślałam sobie, a niech tam, do diabła, zajrzę ten jeden raz do staruszki. Ajaka była zadowolona, że mnie widzi. Po prostu nie mogła przestać mówić. Jej słowa nie były wyraźne, tak jak mówiłaś, ale na pewno pojęłam ich znaczenie. Ona cię nienawidzi, Rosę. Mogła mówić tylko o tobie, o tym, jak

ją zostawiasz cały dzień samą, jak ją ignorujesz, kiedy jesteś, nie dajesz jej jeść tego, co lubi, że nic by cię nie obeszło, gdyby upadła i złamała biodro, próbując dojść do łazienki.

- Nie rozumiem - powiedziała Rosę. Mdłości w jej żołądku ustawały, przechodząc w coś zimnego i twardego. - Co to ma wspólnego z listami Briana? - Zacisnęła je w obu dłoniach, gdyż zdawało jej się, że jeśli je puści, upadnie wprost na podłogę.

Marie wygięła usta z lekką drwiną. - Cały czas, kiedy mówiła o tobie, widziałam, jak się bała. Bała się, że pewnego dnia ją zostawisz i nie będzie miała nikogo, na kogo mogłaby narzekać. Była śmiertelnie przerażona, że zostanie sama. Ale popełniła jeden grubo błąd. Sądziła, że jestem po jej stronie, więc powiedziała mi o listach, a nawet gdzie je schowała.

Szum w uszach był tak głośny, że Rosę ledwie słyszała, co Marie mówi. Nonnie? Listy? Miała wrażenie, że ogląda Marie w telewizji, w jednej z tych oper mydlanych, które Nonnie pożerała jedną za drugą jak chipsy ziemniaczane w ciemności swojej bawialni.

- Pani Slatky przynosi po południu pocztę na górę - Rosę słyszała samą siebie, odpowiadającą sennym, obojętnym głosem. - Nonnie cieszy się na nią. Nawet na takie śmieci, jak ulotki. I na te koperty z okienkiem, które mówią, że możesz wygrać sto tysięcy dolarów na jakiejś loterii, ale nie dowiesz się o tym, dopóki nie wyślesz... - Rosę ukryła twarz w dłoniach. - O Boże, Marie, nie mogę w to uwierzyć. Nie zrobiłaby mi tego.

Ale nawet kiedy to mówiła, Rosę wiedziała, że Nonnie mogła to zrobić. Wszystko stało się doskonale, odrażająco zrozumiałe.

Jaka ja byłam głupia mając nadzieję, iż kiedyś okaże, że naprawdę mnie kocha. Myśląc, że wszystko, co dla niej robię, może coś zmienić.

Pamiętała, jaki odczuła wstrząs, całe lata temu, widząc fotografię swego ojca z wyciętym miejscem obok niego, takim, jakie zostaje po wycięciu lalki z papieru wzdłuż

kropkowanych linii. Straszna pusta dziura to była jej matka. Nonnie wycięła ją nożyczkami, jak gdyby chciała zatrzeć nawet pamięć o niej.

- Co masz zamiar zrobić? - zapytała Marie cofając się, trochę teraz przestraszona, jak dziecko bawiące się zapałkami, które wywołało pożar i nie wie, jak go ugasić.

Rosę patrzyła na swoje ręce, zaciśnięte w pięści na poplamionym stole z formiki. Była sparaliżowana gniewem, ogarniającym ją jak fala przyprływu. Myślała o Brianie, o tym, że strzelają do niego w jakiejś dżungli na końcu świata, a on wysyła do niej listy, czekając na jej odpowiedź, samotny, przestraszony, może zrozpaczony. Cztery miesiące. Pisała do niego przynajmniej co tydzień, ale potem musiała przestać. Nie śmiała wysyłać nadal tych listów, zbyt wiele było w nich urazy i gniewu. Przez cały ten czas Brian niewątpliwie się zastanawiał, czy ona zapomniała o nim, czy już go nie kocha.

Ogarnęła ją furia. Wszystko stało się czarne. Czarne jak śmierć. Czarne jak zło. Czarne jak robaczywe serce w wyschniętej piersi jej babki.

Rosę pomyślała, że zabije Nonnie, że zaciśnie ręce na jej chudej szyi i będzie dusić, aż to jej czarne serce przestanie bić.

- Zrobię to, co powinnam była zrobić już dawno temu - powiedziała Rosę.

- ...ale nas zbaw od złego, teraz i na wieki wieków. Amen.

Rosę patrzyła na kruchą siwowłosą postać, klęczącą w modlitwie przy łóżku, na zdartym linoleum koloru kapuścianego rózu. Przy tym wielkim, ciemnym, wiktoriańsko monstualnym łóżku, które wywoływało u małej Rosę koszmary, połyskując matowo pod warstwą żółtawego lakieru, popękanego i porysowanego przez lata. Jedna przyćmiona lampa paliła się na nocnym stoliku z marmurowym blatem, rzucając siarczany blask na wąski, przypominający celę pokój. Nad łóżkiem

Nonnie wisiął stary plastikowy krucyfik, pęknięty i po-
żółkły jak zęby bardzo starego psa. Pod nim oprawiony
w ramkę wieniec żałobny pod szkłem, zrobiony ze
splcionych siwych włosów zmarłego ojca Nonnie.

Rosę spędziła ostatnich parę godzin na jednej z ławek
dla starszków, które stały wzdłuż Ocean Parkway,
odczytując wciąż od nowa listy Briana, śmiejąc się
i płacząc, a ludzie patrzyli na nią, jak gdyby była szaloną
żebraczką. Potem spacerowała, aż jej gniew stał się do
rozmiarów gładkiej stalowej grudki, tkwiącej w jej sercu
jak kula.

Teraz kula zaczęła się rozżarzać w jej piersi do czer-
woności.

Ty świętobliwa stara suko! Jak śmiesz klęczeć tu
i modlić się. Jak gdybyś miała prawo do boskiego
miłosierdzia.

Nonnie wzdrygnęła się i spojrzała w górę. Ściągnęła
ustajak sznurkiem. Światło padło na jej okulary, ukazu-
jąc Rosę na chwilę jej odbicie.

- Więc Miss America przypomniała sobie w końcu, że
ma dom - zakrakała Nonnie. Jej blade oczy za połys-
kującymi soczewkami pełne były pogardy. - Chodź tutaj
i pomóż mi.

Tyle godzin, pomyślała Rosę, pracowałam dla niej,
pomagałam jej chodzić, uczyłam na nowo mówić. Po-
winnam ją była zostawić, żeby zgniała.

- Sama sobie pomóż, ty stara suko! - Rosę trzęsła się
teraz, kolana miała jak z waty, serce biło szybkimi,
płytkimi uderzeniami.

- Co? - Nonnie przechyliła siwą głowę na bok, jak
ptak. Grymas zdumienia na jej ustach stwardniał w połys-
kującą szczelinę. - Co ty powiedziałaś?

- Słyszałaś mnie. Albo jeszcze lepiej - powiedziała
Rosę, chwytając dla oparcia klamkę - dlaczego nie
poprosisz Boga, żeby ci pomógł? Ostatecznie mogłabyś
coś mieć za te wszystkie lata modlitw, wszystkie te
zdrowaśki i ojczenasze, które wrzucałaś jak ćwierćdola-
rówki do licznika parkingowego.

- Ścierwo! - syknęła Nonnie. - Jak śmiesz mówić takie brudy w moim domu!

Rosę patrzyła, jak usiłuje się podciągnąć na ramie łóżka, tylko po to, żeby opaść z powrotem na kolana z hałasem, który przypominał głośne pukanie do drzwi pustego domu.

Rosę było zimno, bardzo zimno. Nawet w tym pokoju, przegrzanym, dusznym, cuchnącym jak wnętrze szafki na lekarstwa.

- W twoim domu - powtórzyła jak echo Rosę, jej głos mimo furii brzmiał zimno i pewnie. - Tak, masz rację, Nonnie. Tu nie jest moje miejsce. Nie chciałaś mnie od początku, chyba wolałabyś, żebym zginęła w tym pożarze razem z matką. Dawno temu Marie zapytała mnie, dlaczego pozwalam ci traktować się w ten sposób, dlaczego po prostu nie odejdę. Widzisz, przez ciebie czułam się taka splugawiona i myślałam, że jeśli stanę się czysta, będziesz mnie kochać tak, jak kochasz Clare. Ale plugastwo nie schodziło. I teraz wiem dlaczego.

Rzuciła babce długie, twarde jak kamień spojrzenie i powiedziała: - Dlatego, że plugastwa nie było na mnie. Ono było cały czas na tobie.

Nonnie znów chwyciła za ramę łóżka, podciągając się w górę. Masywny zagłówek zaskrzypiał i zachwiał się, wystukując nieskładny alfabet Morse'a na gipsowej ścianie.

Nonnie stała teraz, sięgając po opartą o ścianę łaskę. Stała z twarzą zwróconą do Rosę, pokrecona i spętana artretyzmem, starajak pordezwiątałe źdźbło trawy, jednak wciąż jakoś groźna.

- Flądra! - zaskrzeczała z dziwnie wykrzywioną twarzą (udar pozostawił po sobie jednostronny paraliż), jak ludzik z plasteliny, ciągnięty w przeciwnych kierunkach. - Śmieć prosto z rynsztoka. Tak, wiem, co robisz za moimi plecami... Łajdaczysz się z tym chłopakiem i Bóg wie, z kim jeszcze. To tym byłaś dzisiaj zajęta, prawda? Łajdaczeniem się z mężczyzną jak tania flądra. Tak jak twoja matka i twoja siostra flądra, które mnie zhańbiły, zhańbiły przyzwoite nazwisko mojego syna.

Rosę czuła, że jej nienawiść się rozpała, czuła rozżarzone węgle wokół serca.

- Więc zatrzymałaś listy Briana. Schowałaś je, żebym myślała, że mu na mnie nie zależy.

Blade oczy Nonnie załśniły złośliwym triumfem. - Tak, schowałam je. Niech się dzieje wola Boża. A grzeszni niech okażą skruchę, albo osiągnie ich Sprawiedliwy.

- Boże, o Boże! - Rosę zakryła twarz rękoma. Cały ten koszmar zamykał się nad nią, przytłaczając ją nagle, jak ciemność zatrzaskującej się nad nią skrzyni. Tylko tym razem ciemność była również w niej, ciemna pustka tam, gdzie kiedyś było jej serce.

A głos Nonnie syczał i syczał jak jakiś diabelski wąż. - Pewnie, teraz prosisz Jego miłosierdzia. Ale już za późno. On cię ukarze. Tak, jak ukarał Angie. Sprawił, że spłonęła za grzech cudzołóstwa. A potem zobaczymy. Jak sprawiedliwi zostaną wywyższeni, a grzeszni poniżeni. A wtedy po co ci twoje cenne listy, flądro? Po co?

Coś pękło w Rosę, tak nagle jak przegniła kładka, rzucając ją w przestrzeń, gdzie świeciło tylko czerwone słońce jej furii. Rzuciła się z krzykiem naprzód i zamachnęła ramieniem. W uszach miała przenikliwe skomlenie, i coś jak smak krwi w ustach. Myślała tylko o tym, aby uderzyć Nonnie dość mocno, żeby jej głowa spadła z chudych ramion.

- Suka! Ty kłamliwa, zła, stara suko!

Ale coś silniejszego niż nienawiść powstrzymało ją od uderzenia Nonnie, coś zdrowego i przyzwoitego, co tkwiło w głębi duszy. Zamiast tego sięgnęła i ściagnęła krucyfiks ze ściany, wyszarpując jego poczerniały gwóźdź z gradem odłamków gipsu. Cisnęła nim przez pokój na ciężką etażerkę, stojącą pod ścianą jak wartownik, wprost w ciżbę butelek z lekarstwami i bursztynowych fiolek aptecznych. Trzask rozpryskującego się szkła. Butelki i fiołki przewracały się z łoskotem, uderzały o poplamione lustro, wiszące nad etażerką, spadały na podłogę, odbijając się z grzechotem od linoleum. Butelka

peptobismolu stoczyła się na brzeg, wychlustując szlamowaty, różowy płyn na złuszczonej fornir etażerki. Smród peppermintu podnosił się słodką, mdłącą falą.

Nonnie wydała przenikliwy wrzask i opadła na materac tak raptownie, jak gdyby kopnięciem wytracono jej łaskę.

- Masz twojego Boga! - krzyknęła Rosę, patrząc na skuloną na łóżku starą kobietę. Krew dziko szumiała jej w uszach i poczuła się dziwnie lekka, jak gdyby właśnie rzuciła wielki i straszny ciężar z ramion. - Niech teraz on się tobą zajmie.

28 kwietnia, 1969

Drogi Brianie,

Nie wiem, jak zacząć ten list i nie wiem także, jak go zakończyć. Ręka tak mi drży, że ledwie mogę utrzymać pióro. I nie mogę przestać płakać. Właśnie skończyłam czytać Twoje listy po raz piętnasty czy szesnasty. I tylko mogę mieć nadzieję, że kiedy otrzymasz ten, wybaczysz mi, że nie pisałam wcześniej. Widzisz, nie dostawałam twoich listów aż do wczoraj. Nonnie schowała je przede mną. Czy to przypomina gotycką powieść Charlotte Bronte? Cóż, nie wydaje mi się, żeby nawet Charlotte Bronte mogła oddać mojej drogiej, słodkiej babci sprawiedliwość. Jeśli jest w tym wszystkim jakaś jasna strona, to ta, że w końcu zdobyłam się na odwagę, żeby zrobić coś, co powinnam była zrobić przed laty: wyprowadzić się.

Ostatniej nocy po Wielkiej Scenie spakowałam wszystko, co mogłam zmieścić w jednej walizce. Mieszkam z moją przyjaciółką April Lewis (jedną z dziewcząt z biura), tylko chwilowo, dopóki nie znajdę własnego mieszkania. To prawdopodobnie nie będzie nic wielkiego z tym, co zarabiam, ale, Brian, sama myśl o tym, o własnym mieszkaniu z dała od Nonnie, jest jak sen. Wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Założę się, że Nonnie

też nie może. Wczoraj wieczorem, po drodze do April, zadzwoniłam do Clare z budki telefonicznej. Powiedziałam jej, co się stało, i zanim mogła odpowiedzieć: „Będę się za ciebie modliła”, wtrąciła się telefonistka i powiedziała mi, że należy się następne dwadzieścia pięć centów. Miałam ochotę się roześmiać, naprawdę, tylko że byłam zbyt wściekła. Powiedziałam Clare, że jeśli nie chce, żeby Nonnie umarła z głodu albo spadła ze schodów i połamała sobie wszystkie samolubne kości, to niech pakuje swoją aureolę, schodzi z obłoków i przyjeżdża tutaj, żeby samej zaopiekować się Nonnie. I wiesz co? Nie wydaje mi się, żeby Bóg choć trochę miał mi to za złe.

Chcesz usłyszeć coś jeszcze bardziej szaleńczego? Dziś rano, kiedy przyszedłam do pracy (piszę ten list w czasie przerwy na lunch), mój szef pan Griffin, powiedział, że ma dla mnie dobrą wiadomość. Rozmawiał ze swoim starym przyjacielem, który zarządza funduszem stypendialnym dla starszych ludzi (tojał), którzy chcą wrócić do szkoły, i że praktycznie wszystko już jest załatwione. Idę do college 'ul Tak, ja! Pieniądzy nie jest dużo, tylko tyle, że wystarczy na czesne i tego rodzaju rzeczy, ale pan Griffin obiecał mi tyle dorywczego maszynopisania, ile zdołam zrobić, więc nie będę głodować. Jestem tym wszystkim bardzo podekscytowana, ale również bardzo przestraszona. Czy jestem dość zdolna? Czy wyśmieją mnie w klasie pierwszego dnia? Właśnie dzwoniłam do Molly, a ona powiedziała, że jestem kompletnie głupia, co znaczy, jak przypuszczam, iż ona myśli, że jestem dość zdolna. Boże, mam nadzieję, że tak. Inaczej będę najstarszą, najgłupszą studentką w New York University.

Wszystko to musi ci się wydawać niesamowicie skrajne, ale przyrzekam, że wszystko pójdzie jak najlepiej. Kiedy wrócisz, możemy zacząć wszystko od nowa i będziemy tylko my dwoje, tylko Ty i ja,

Żadnych Świętych Męczenników. Żadnego Wietnamu. Brian, czasami tak bardzo za Tobą tęsknię, iż wydaje mi się, że nie zniosę tego ani chwili dłużej. Czy jest tam tak źle, jak mówią ? W swoich listach nie mówisz wiele o tym, o warunkach życia, o walkach. Czy dlatego, że nie chcesz mnie martwić? Piszesz, Że mnie kochasz i tęsknisz za mną, ale jeśli cierpisz i nie mówisz mi o tym, to nas jeszcze bardziej rozdziela. Wolę się martwić niż nic nie wiedzieć. Więc proszę, proszę Cię, mów mi wszystko. Modlę się za Ciebie co dzień, co minutę. Ale najbardziej modlę się o to, żeby ten list doszedł do Ciebie, zanim porzucisz co do mnie nadzieję.

*Zawsze kochająca
Rosę*

P.S. Dołączam polaroidowe zdjęcie, które zeszłej nocy zrobiła mi April, chociaż wyglądam jak coś, co przywłókł kot (nie pokazuj go żadnemu z Twoich kumpli, jeśli możesz). I nie pytaj, dlaczego noszę tylko jeden kolczyk. Jest to rodzaj talizmanu, jak czterolistna koniczyna. Nie wydaje Ci się, że dwa to byłoby za dużo ? Tak czy owak noszę go dla Ciebie. Nie zdejmę go, dopóki nie wrócisz do mnie.

ROZDZIAŁ 12

Wietnam, 1969

- Myślisz kiedy o tym, co się stanie, jak umrzesz?
- doszedł go z ciemności szlaku cichy szept czarnego chłopaka z Alabamy. - To znaczy, o tym, że pójdziesz do nieba i tego rodzaju pierdołach?

- Nie - odszepnął Brian. Trzepnął coś pełzającego mu po policzku, nawet nie widział co. Przesycona deszczem ciemność dżungli była zupełna. Poruszał się prowadzony tylko cichym chlupaniem butów Matinsky'ego tuż przed nim.

Było już dawno po północy. Jego pluton na ochotniczym patrolu maszerował od czwartej po południu i Brian miał wrażenie, że od tamtej pory minęło sto lat. Pięć czy sześć kilometrów wcześniej jeden z chłopaków - Rob Parker - stanął na minę, która dosłownie rozewała go na pół. Umarł w butach na nogach... tylko tak się złożyło, że jego nogi nie były wtedy połączone z ciałem.

Nie, Brian nie wierzył w niebo. Ale cholernie łatwo mógł sobie wyobrazić, jak wygląda piekło: nie kończące się wilgotne korytarze w dżungli, wysoka do pasa trawa, tnąca dłonie i ramiona jak brzytwa, bezustanny deszcz i wszędzie odór rozkładu.

- Dlaczego nie? - naciskał chłopak, zrównując się z nim. Brian dostrzegał tylko jego szeroką brązową twarz pod hełmem maskującym i czuł jego oddech, kwaśny od zucia tytoniu. - Jesteś katolikiem, nie? Widziałem, jak się żegnasz.

- To nie to samo.

- Co nie to samo?

- Chcę powiedzieć, iż to, że jestem katolikiem, nie oznacza, że przyjmuję wszystko, co mówi mi Kościół.

- Wierysz w Boga, nie?

- Nie jestem już tego pewien.

- Człowieku, nie mów tak. I bez tego mam niezłego pietra.

- Twój pierwszy ochotniczy patrol? - Brian był dotąd na szczęściu. Przypadł mu rekonesans pierwszego dnia w tym kraju, ale Alabama dopiero co dołączył do plutonu.

- Człowieku, chciałbym, żeby był pierwszy. Tak długo objam się po tych lasach, aż myślę, że niedługo moja kolej. To już mój trzeci mundur. Nie można zawsze wygrywać.

Brian przystanął. - Słuchaj. Słyszysz to? Rzeka. Wydaje mi się, że jesteśmy prawie na miejscu. Wszystko będzie dobrze, gdy tylko do niej dotrzemy. To nasza granica pokoju.

- Słyszysz tylko deszcz, chłopcze. - Żołnierz, którego nazwiska Brian zapomniał, zaśmiał się cicho. - Nic, tylko deszcz, odkąd przyleciałem do tego kraju. Panie, oddałbym swoje lewe jajo za parę suchych skarpetek i papierosa. Jeśli są tam jakieś żółtki, nie usłyszysz ich, bo nie noszą butów. Nie są tak zajęci marzeniami o suchych skarpetkach, żeby nie zauważyli, kiedy im się odstrzeli łąby.

Zaśmiał się cicho i śmiech przeszedł w falę zduszonego historycznego chichotu, podobnego do skowytu pocisku smugowego. Brian zastanawiał się, czy chłopak traci rozum. Chryste, czyż oni wszyscy nie odchodzili od zmysłów, w ten czy inny sposób?

Myślisz o suchych skarpetkach, więc nie będziesz myślał o umieraniu. Słyszysz rzekę, więc nie musisz myśleć, jak daleko może ona jeszcze być. Tak jak nie słyszysz nigdy, pomyślał Brian, żeby szczur patrolowy mówił, jak dawno jest w tym kraju, tylko ile jeszcze miesięcy zostało mu do powrotu do domu.

Dom. O Boże, nie mogę o tym myśleć. Dom jest tam, dokąd cię wysyłają, kiedy umrzesz. Brian wiedział o plutonach, gdzie żołnierze nosili własne worki na ciała, nawet spali w nich dla ochrony przed wilgocią.

Wrócił myślami do swego pierwszego dnia. Lądowanie w Sajgonie na pokładzie odrzutowca Continental z cukierkową melodią Glena Yarbrough, sącząca się przez słuchawki, z ładnajasnowłosą stewardessą, szczebiocącą: „Witajcie w Wietnamie, panowie. Zobaczymy się znowu za rok”. Potem godziny stania na spieczonym pasie startowym, czekania na przydział do jednostek razem z trzydziestoma czy czterdziestoma innymi żółtodziobami. Chłopcy żartowali między sobą, pijani od żaru i osiemnastu godzin w powietrzu, jakiś dzieciak palił się do jednostki frontowej, żeby móc „kopnąć kogoś

w dupę". Brian nie martwił się za bardzo. Z tego, co widział do tej pory, sądził, że historie, jakie słyszał o Wietnamie, są mocno przesadzone.

Potem wylądował wielki śmigłowiec i jego załoga zaczęła wyrzucać duże worki, przypominające śpiwory. Z początku Brian myślał, że to rzeczywiście jakiś rodzaj ładunku, i może nawet by to sobie wmówił... gdyby nie głucho chlupotanie, z jakim worki uderzały o pas startowy. Potem jeden worek pękł i w jednym strasznym ułamku sekundy, zanim zemdłał, Briana powitał prawdziwy Wietnam: bryła okrwawionego, posiekanego mięsa, które kiedyś było ludzką istotą.

Teraz, kiedy z mozołem szedł przez dżunglę, starał się opróżnić swój umysł, tak, jak uczył go Trang. Może naprawdę usłyszy rzekę, może naprawdę zbliżali się do niej.

Ale słyszał tylko deszcz. Ten chłopak - Jackson, tak się nazywał - milczał i słyszeć było tylko nie kończące się bębnienie deszczu i szelest mokrych liści, uderzających o plastikowe peleryny. Chmura musiała odejść, gdyż Brian dostrzegał teraz w ciemności przed sobą zamazany kształt (czy już blisko świt? Chryste, proszę, żeby tak), garb, jaki tworzył plecak Matinsky'ego pod peleryną, antenę PRC-25, wystającą mu nad głową. Wyglądał jak jakiś niesamowity insekt, może jak człowiek-karaluch z *Przemiany* Kafki. A przed Matinsky'm, idącym o krok za dowódcą, porucznikiem Gruberem, Brian spostrzegł coś, co wydawało się chwiejnym cieniem trzciny; z taką gracją poruszał się w tym gąszczu Trang Li Duc.

Jeśli działa tam wietnamska armia, Trang to sposterzeże, pomyślał. Trang, jak skaut, znał tę część dżungli lepiej niż ktokolwiek inny i miał oczy i refleks leoparda. W wieku czternastu lat został przymusowo zwerbowany i, zanim uciekł po dwóch latach, nauczył się takich sztuczek, jak nasłuchiwanie ruchów nieprzyjaciela przez przykładanie ucha do małego płaskiego kawałka drewna umieszczonego na ziemi albo lokalizowanie nocą linii

napowietrznych przez omiatanie ciemności przed sobą łądygą trawy.

Niektórzy chłopcy nie byli tak pewni Tranga. Żółtek zawsze będzie żółtkiem, mawiał Matinsky. Ale to Trang, a nie Matinsky ocalił dupę Briana na ochotniczym patrolu, takim jak ten, niecały miesiąc temu. Przedzierali się przez wzgórza nad Tien Sung - Brian na szpicy - wyczerpani po wielu godzinach starań, aby utrzymać równowagę na stromym grzbiecie. O świcie Brian był tak zmaltretowany, że mógłby się wyciągnąć na polu ryżowym, pełnym pijawek, gdyby to oznaczało drzemkę.

Podeszli do wioski, kiedy słońce rzucało nad drzewami swe pierwsze czerwone promienie. Do sennej, małej wioski, wciśniętej wysoko w zbocze wzgórza, z poletkami ryżowymi, prowadzącymi do niej jak stopnie. Z dymem, wijącym się nad krytymi strzechą chatami, z bawołami ciągnącymi wodę i całym tym sielskim sztafażem. Zatrzymali się dłużej, przetrząsając ją - żadnego śladu wietkongu, tylko starzy mężczyźni, i *mamy-san*, i małe dzieci. Jedna stara *mama-san* gotowała duży garnek ryżu. Nie było w tym nic niezwykłego. Posłała Brianowi bezzębny uśmiech i zawinęła mu trochę ryżu w liść banana. Wyciągał rękę, żeby go wziąć, kiedy nagle Trang chwycił go i odepchnął w bok. Ułamek sekundy później mina saperska rozerwała ziemię w miejscu, gdzie przed chwilą stał Brian. Dwaj chłopcy dostali, zanim zdołali się skryć.

- Skąd wiedziałeś, że wchodzimy w zasadzkę? - zapytał później Brian Tranga.

Trang rzucił na niego to płaskie, dziwnie pozbawione wyrazu spojrzenie czarnych oczu i powiedział: - Ryż. Gotowała za dużo ryżu na jedną wioskę.

Ale teraz obolałe ciało Briana utrudniało mu myślenie o Trangu, bądź czymkolwiek innym z wyjątkiem własnej biedy. Tak samo jak Jackson, marzył o parze suchych skarpetek. Miał wrażenie, że jego obute stopy to dwie gnijące gąbki. Bolały go przy tym. Bolały tak, że obawiał się, co zobaczy, kiedy w końcu zabierze się do rozsznurowywania i ściągania tych przeklętych butów.

Ale teraz nic nie mógł z tym zrobić. Nie bardziej można było uciec od zgnilizny dżungli niż od pcheł, pijawek i deszczu. Chryste, czy nigdy nie będzie temu końca? Błoto zdawało się przysysać do niego, wciągać za każdym krokiem odrobinę głębiej.

Szelest głęboko w zaroślach sprawił, że zwolnił kroku i nadstawił ucha. Rzeka? Właściwie trudno powiedzieć. Prawdopodobnie jeszcze nie. Dickson powiedział, że jeszcze dwa, trzy kilometry, zanim dojdą do wody. Ale to było ponad godzinę temu, czyż nie?

- Chciałbym mieć jeden z tych noktowizorów - Brian usłyszał za sobą mrużący głos. - Przez takie zmyślne urządzenie mógłbyś na dwie mile zobaczyć węża siusiącego w ciemności.

Inny, jeszcze bardziej znużony głos: - Człowieku, chciałbym po prostu być w domu.

Potem nikt się nie odzywał. Słyszać było tylko szelest liści, chlupotanie butów wyciąganych z błota i słaby, niewyraźny szum radia Matinsky'ego.

Dom, pomyślał Brian. Obraz Rosę pojawił się w jego pamięci. Miał wrażenie, że połknął emitor ciepła. Płomień, który rozpełzł mu się od brzucha aż po jabłko Adama. Zobaczył ją w swoim pokoju w kampusie uniwersytetu Columbia, klęczącą na podłodze usianej centami, naga, z twarzą mokrą od łez. Zobaczył siebie samego, jak przykuca, obejmuje ją ramionami, kocha się z nią wprost na podłodze. Obraz był tak żywy, że niemal przeżywał na nowo każde doznanie, nawet odciskanie się centów chłodnymi krążkami na jego ciele, wściekły żar między tymi długimi nogami, owiniętymi wokół jego nóg. „Nie opuszczaj mnie, Bri, nigdy mnie nie opuszczaj...”

Obraz zniknął. Znów był w dżungli. Deszcz bębnił o jego hełm, ześlizgiwał się z peleryny. Szum rzeki był teraz tylko szeptem w tle jego myśli. Brian miał ochotę się rozpłakać. Gdyby tylko mógł zatrzymać jej obraz, jeszcze trochę dłużej, aż dotrą do rzeki.

Opamiętaj się, człowieku, ona całkiem o tobie zapomniała.

Nie, nie wierzył w to. Nie mógł. Ale musiał stawić temu czoło. Minęły miesiące, odkąd dostał list. Mogła kogoś poznać. Może poznała. Nie, to nie miało sensu. To mogło się zdarzyć innej dziewczynie, nie Rose. Ale co jeszcze miało sens? Tutaj, w dżungli, widział różne rzeczy, potworności, których przedtem nigdy nie uważałby za możliwe. Teraz mógł uwierzyć niemal we wszystko.

Zachodni Disneyland. W żargonie był to Wietnam. Miejsce zmyślane. Ale tutaj, teraz, Wietnam był tak rzeczywisty, jak coś, co połknął, coś twardego i zimnego, co osiadło mu głęboko w dole żołądka. To dom nie wydawał się już rzeczywisty. Brian z trudem przypominał sobie, jak to jest iść chodnikiem, leżeć w łóżku, w czystej białej pościeli, przeżyć cały dzień bez oglądania się przez ramię w oczekiwaniu, że ktoś będzie próbował go zastrzelić.

Nawet Rose wydawała się nie całkiem rzeczywista. Zazwyczaj pojawiała się rano, w tych kilku pierwszych sekundach, zanim się na dobre obudził. W tej szarej strefie między snem i jawą czuł jej ciepły oddech na swoim policzku, pewien, że kiedy otworzy oczy, zobaczy ją uśpioną obok siebie, z burzą ciemnych loków na poduszce, z długim ramieniem o złotej skórze, przerzuconym przez jego brzuch. Potem ktoś przewracał się na łóżku nad jego głową albo zaczynał walić o pogięty metalowy bok pryczy i jej obraz znikał jak lekka poranna mgiełka.

W rzeczywistym świecie facetów cały czas porzucano. Ten biedak O'Reilly chwalił się bez przerwy, że jego żonie nigdy nie było go dość. A potem, ledwie w zeszłym tygodniu, przyszły papiery rozwodowe. Nawet bez zdawkowego listu.

Jezu Chryste. Gdyby tylko Rose napisała. Tylko jeden list. To wszystko, o co prosił.

Brian czuł, że drży. Deszcz przemoczył mu pelerynę i przesiąkał przez mundur polowy. Pomyślał o swoim notatniku, starannie owiniętym w ceratę, schowanym na dnie plecaka. O dzienniku, który prowadził od pierwszego dnia tego koszmaru. Jeśli kiedykolwiek wydobędzie

się stąd, będzie potrzebował tego dziennika, choćby tylko po to, żeby się upewnić, że to wszystko zdarzyło się naprawdę.

Nagły hałas. Brian zamarł w miejscu. Szelest, ale głośniejszy i bliższy niż przedtem. Dostrzegł, że dalej na szlaku Trang przysiadł z wycelowanym M-16.

Jak gdyby naciśnięto mu przełącznik w głowie, Brian upadł na brzuch, odciągnął iglicę w swoim M-16 i wprowadził nabój do komory. Obok niego Jackson zrobił to samo. Przed nim Matinsky, duży, powolny wiejski chłopak z Nebraski, zgiął się niezdarnie, szukając osłony; radio na jego plecach chwiało się i podskakiwało.

Brian usłyszał trzask wystrzałów, jak gdyby wybuchała seria petard i Matinsky runął, waląc się w gąszcz jak zestrzelony śmigłowiec.

Wtedy rozpętało się piekło.

Strzelanina z broni automatycznej, a potem ciemność eksplodowała w ogłuszającym ryku pomarańczowego ognia. Moździerze. O Jezu, ostrzeliwują nas. Na jedną piekielną chwilę noc zmieniała się w dzień i zdawało się, że dżungla napiera na Briana z jaskrawością technicoloru. Gałęzie i pnącza splecione jak węże, otulone mgłą i obrysowane poświatą święta Halloween po salwie moździerzy. Ani śladu nieprzyjaciela - ale, o Boże, wyglądało na to, że są setki tych strzelających karabinów, plujących ogniem z każdego krzaka, z każdego przeklętego drzewa. Bryłki rozpryskującej się czerwonej gliny żądliły mu twarz. Wyrwa wymiarów świeżo wykopanego grobu niecałe dziesięć metrów na lewo od niego; nagie korzenie drzewa wydrapywały się na powierzchnię jak wielkie palce szkieletu. Dalej, na linii ognia, wrzeszczeli ludzie. Ranni. Niektórzy prawdopodobnie umierający. Inni już martwi. Słyszał, jak kanonier, Dale Short, strzela w gąszcz serią z Quad-50.

Myśli Briana drgały jak opróżniona lufa armatnia. Ogarnęło go obezwładniające przerażenie. Czekali tutaj na nas. Rzeka. Nigdy nie przedostaniemy się do rzeki. Usłyszał wysoki, przechodzący w rżenie krzyk i zoba-

czył, że Jackson opada na kolanajak do modlitwy. Cały bok czaszki Jacksona zdmuchnęło.

O, Chryste Panie, nie... nie... nie...

Cienka błona szarości przesunęła się przez pole widzenia Briana. Dzwoniło mu w uszach. Nagle wydało mu się, że jego karabin waży pięćdziesiąt kilo. Wszystko odbywało się w zwolnionym tempie. Jak w koszmarze. Zrozumiało tylko tak, jak rozumiało są sny, z egzystencjalistycznym rozumowym uzasadnieniem.

Gdzie, do kurwy nędzy, jest porucznik Gruber? Dlaczego nie wydaje rozkazów?

Jeszcze jeden oślepiający, pomarańczowo-czerwony podmuch z mózdzierza i usłyszał trzeszczenie radia Matinsky'ego i jakiś głos, nie głos Matinsky'ego, huczący w nie: - Delta Bravo, zgłoś się, zgłoś się, czy mnie słyszysz? Tu Delta Echo. Uderzyli na nas. Wygląda na to, że mają nas oskrzydionych na wszystkich perymetrach. Będziemy tutaj potrzebowali sanitariuszy, i to szybko. Koordynaty VD 15-OH... Rany bos... - Głos zamilkł.

Otoczeni na wszystkich perymetrach. Chryste, gdyby tylko mógł ich widzieć. Brian wypuścił serię z M-16 w zarośla. Czuł, że ziemia pod nim drży od uderzeń nieprzyjacielskich AK-47. Starał się nie myśleć o ciele obok, z którego mózg wypływał w błoto. Bał się, że robi mu się niedobrze.

Potem zrobiło mu się niedobrze. Wymiotował od smrodu kordytu, krwi, przypalonego ciała. Słodki Jezu, strzelają do nas jak do kaczek na strzelnicy.

Wbijając łokcie w ziemię, Brian wczołgał się na brzuchu w zarośla, w gmatwaninę pnączy i trawy. Zatrzymał się, żółć znów podeszła mu do gardła. Para niewidzących oczu patrzyła w niebo niecałe dwa metry dalej. Gruber. O Boże. Deszcz padał na jego otwarte oczy, zbierając się w oczodołach. Brian czuł, że od splotu słonecznego do gardła podchodzi mu krzyk. Krzyk, który porwałby ze sobą to, co zostało z jego normalności. Ale coś chwyciło go za ramię, przyciskając do ziemi. Brian odwrócił głowę

i ujrzał ostrą, orientalną twarz, pomazaną pomarańczowym błotem, parę nieprzenikniętych czarnych oczu. Twarz jak pordzewiałe ostrze siekiery. Trang.

- *Mau len* - syknął Trang, wskazując bambusowy gąszcz po ich lewej stronie, dwadzieścia, może trzydzieści metrów dalej. - Rzeka tędy. Chodź za mną.

Brian obejrzał się za siebie. W piekielnym blasku zobaczył, że ich perymetry chyba się rozpadły. Żadnej widocznej linii wsparcia, żadnego władczego głosu, wywołującego do manewru oskrzydłającego. Gruber martwy. Prick-25, przypięty pasami do pleców Matinsky'ego, roztrzaskany odłamkami, był gmatwaniną wnętrzości z miedzianego drutu, układów scalonych i powyginanej plastikowej obudowy. Sierżant Starkey leżał obok martwy, w kałuży krwi, z nadajnikiem zaciśniętym w zastygłej dłoni. Zastrzelony, zanim mógł podać przez radio ich koordynaty.

Rzeka. Tak. Jeśli on i Trang zdołają dotrzeć do rzeki... Dickson powiedział, że na drugim brzegu jest piaskarnia, gdzie mógł wylądować śmigłowiec. Gdyby mógł posiedzieć spokojnie dostatecznie długo, żeby otworzyć emitor ciepła i wygrzebać nań otwór w ziemi, promienie podczerwone śmigłowca mogłyby ich wytropić.

Brian odczepił granat od pasa, wyciągnął zawleczkę i rzucił go wysokim łukiem w zarośla, żeby oczyścić drogę. Oślepiający błysk bieli zniknął w czerwonym dymie, a ułamek sekundy później nastąpił grzmiący wybuch.

W chwili ciszy, jaka nastąpiła po eksplozji granatu, usłyszał go, ten słodki dźwięk płynącej wody. Tak blisko. Nie dalej niż sto metrów. Ale równie dobrze mogło to być sto kilometrów. Dobrze, mogli dotrzeć do rzeki. Ale czy cali?

Jednakże podążał za Trangiem, który pełzył teraz cicho jak jaszczurka, żłobiąc ukośną ścieżkę w zaroślach. Przed nimi rozciągał się bambusowy gąszcz, rzucający splecione cienie, kuszące jak miraż.

Wystrzał. Kula zagwizdała mu koło ucha. Brian położył się brzuchem na ziemi, odczuwając wstrząs po każ-

dym wystrzale moździerza jak kopnięcie w splot słoneczny. Na kolanach i łokciach zaczął z trudem posuwać się naprzód, stopa za stopą, gałęzie i korzenie drapały mu twarz, czuł zgrzytanie kurzu w ustach.

Nie myśl o śmierci. Nie myśl o niebie i piekle, czy czymkolwiek innym, tylko o wydostaniu się stąd.

Wzrok miał utkwiony w ciemnej jaszczurczej sylwetce Tranga, ledwie śmiać mrugać ze strachu, że straci go z oczu. Jeszcze trochę dalej. Proszę, Panie Boże. Jeszcze tylko parę stóp.

Teraz małe, ostre jak brzytwa liście cięły i kłuły mu twarz. Smukłe łodygi bambusa, połyskujące jak polerowany jadeit, kładły się po bokach z suchym trzaskiem. Kolana zapadły mu się w szlamowate błoto rzeki, wydzielające odór rozkładu. Szum toczącej się wody rósł mu w uszach, najśłodszy dźwięk na świecie.

Poprzez łodygi bambusa zobaczył światło księżyca, błyszczące na czarnym atłasie. O Jezu, rzeka. Serce mu podskoczyło. Na drugim brzegu rozciągało się długie pasmo piasku, dość szerokie, żeby śmigłowiec mógł wylądować.

Jak cud w odpowiedzi na błagalne modlitwy, Brian usłyszał nad głową odległy odgłos obracającego się śmigła. Szukają nas. Ogarnęła go ulga. Sięgnął do kurtki po emitor ciepła.

Ręce mu drżały, kiedy rozrywał foliową paczuszkę i gorączkowo kopał dziurę w mulistej ziemi. Nieprzyjaciel nie zobaczy emitora, ale promienie podczerwone na pokładzie mogą na niego natrafić.

Właśnie wtedy Trang oderwał swe smukłe ciało od ziemi, przykucnął i, jak oliwa ślizgająca się po powierzchni wody, ruszył ku brzegowi rzeki. Nagle gąszcz bambusowy eksplodował wieńcem czerwonego ognia. Brian uczuł, że coś wali w niego, jak pociąg jadący z prędkością dwustu kilometrów na godzinę.

Potem ogromna świszcząca ciemność, spadająca jak nóż gilotyny, odcięła mu świadomość.

Kiedy oprzytomniał, miał wrażenie, że przebito mu brzuch wielkim, rozpalonym do czerwoności palem przyspilając do ziemi. Próbował krzyczeć, ale zdawało mu się, że nie ma powietrza w płucach. Była tylko ta wielka płonąca przepaść męczarni, w którą w jakiś sposób spadł.

Jego umysł znów stoczył się na szarą krawędź nieświadomości. Słyszał przytłumione hałasy. Krzyczących ludzi. Ogień artyleryjski.

Powoli, w udręce, walcząc z szarą falą, która napierała na jego mózg, Brian zdołał podciągnąć się do pozycji siedzącej. Popatrzył na szczątki swojej peleryny. O Jezu, nieźle dostał. Krew. Było dużo krwi. Zastanawiał się, czy umrze.

Nigdy tak się nie bał. Nie chciał umierać. Przede wszystkim nie chciał umierać tutaj, w tej zapadłej dziurze, rozkładać się jak resztki na brudnym talerzu.

Obiecałem Rose, że wrócę. Obiecałem...

Brian usłyszał rozdzierający jęk, jego oczy zaczęły przeszukiwać ciemność. Wtedy zobaczył. Trang. Twarz do ziemi w szlamie; trzon rozłupanej kości sterczał tam, gdzie przedtem była jego prawa stopa.

O Jezu... Mina. Nastąpił na minę.

Ignorując biały żar zalewający mu wnętrzości, Brian podczołgał się i podsunął ramię pod szczupłe barki Tranga. Klęcząc pociągnął go tak, że głowa Tranga spoczęła na jego udach.

- Wydostaniemy się stąd, stary - sapnął. - Musimy się dostać na drugi brzeg.

Brian popatrzył na niebo. Zobaczył czerwone światła helikoptera szturmowego Cobra, zataczającego szeroki łuk, potem przechylającego się, a następnie eksplozję, wielkie białe i pomarańczowe kwiaty ognia, rozwijające się nad drzewami, jakjakiś piękny, trujący kwiat z ogrodu Rappacciniego.

- *Didi mau\ Didi mau* - Trang potrząsał głową; jego twarz w półmroku była szara jak popiół.

- Nie - wydyszał Brian. - Nie ma mowy, żebym cię

zostawił. - Trang ocalił mu kiedyś życie. Brian nie zapomniał tego.

Brian mocniej otoczył ramieniem Tranga i poczuł, że pal w jego brzuchu przekreślił się gwałtownie. Zrobiło mu się słabo, w głowie usłyszał przenikliwy jęk, jak rój leśnych moskitów. Zebrał się w sobie.

Później, człowieku. Nie możesz teraz przegrać. Jesteś za blisko. Nikt nie rezygnuje na mecie.

Rzeka, rzeka.

Musimy dostać się na drugi brzeg.

Z prawym ramieniem pod pachami Tranga, używając lewego łokcia jako dźwigni, Brian rozpoczął powolne pełzanie przez błoto i bambusowe zarośla do brzegu wody, odległego o mniej niż pięć metrów.

Ból narastał, zatrzymał się na najwyższej nucie. Jego umysł popadał w majaczenie.

Chrystus... chodził po wodzie, zmieniał ją w wino... Rzeka płynie wśród pól bawełny... płynie...

Trang był ciężki, taki ciężki... Jak to możliwe... taki okrucuch jak on?

Potem kolana zapadły mu się w głęboki muł, woda wypełniła usta i nozdrza. Brian podniósł głowę, krztusząc się i kaszląc. Szara mgła przed oczami rozviała się i zobaczył, że jest po pas w wodzie.

Woda zamknęła wokół niego swoje skrzydła, uniosła go, i było to wszystko, co Brian mógł zrobić, żeby bezwładnego Tranga nie odciągnął niemrawy nurt. Walczył, by utrzymać ich obu na powierzchni, odchylając głowę do tyłu, kiedy czarna woda zalewała mu usta, wlewała się do nosa.

Patrząc w górę zobaczył, że chmury się rozpraszają. Niebo pod nimi miało kolor znikającego siniaka - żółte i różowe; kilka gwiazd przedarło się przez nie jak odłamki kości. Było prawie rano.

Zaczął płakać. Tak blisko. I już nie zdąży. Czuł, jak ostatek jego sił spływa z prądem. A ból narastał, ogromny i straszny, był jak góra potłuczonego szkła, na którą musi się wspiąć gołymi rękami i kolanami.

Wtedy usłyszał głos, odległy, ale czysty jak echo na końcu korytarza. Głos Rose.

Obiecałeś, Brian. Obiecałeś mi, że wrócisz. Obiecałeś...

Ale jego obietnica nie miała już znaczenia. Od tak dawna nie obejmował Rose. Gdzieś w tym nie kończącym się korytarzu czasu stracił ją. Albo ona straciła jego.

Przestała go kochać...

A teraz czas było odejść.

Chciał odejść. Odejść od tej palącej udręki, spokojnie dać się unieść leniwemu nurtowi, jak pozbawiona ciężaru gałązka albo źdźbło trawy.

Wtedy poczuł, że Trang szamoce się słabo w jego ramionach i wiedział, że nie może odejść, jeszcze nie. Przynajmniej ze względu na Tranga.

Brian, zbierając siły, których nie miał, gdy serce niemal pękało mu od wysiłku utrzymywania ich obu na powierzchni, zaczął pływać.

ROZDZIAŁ 13

Hen Sung, 1969

Zwłoki były ułożone jak drewno opałowe pod betonową ścianą sali operacyjnej. Oliwkowo-brązowawe mundury polowe sztywne od zaschniętej krwi, niewidzące oczy wpatrzone w sufit pustym, mętym spojrzeniem. Rachel przysunęła się i zobaczyła, że jeden z martwych na wierzchu wciąż jeszcze żył. Zamarła z przerażenia. Toczył oczami w twarzy, która wcale nie była twarzą, ale maską z zakrzepłej krwi. Wyciągnęła ręce - ramiona miała jak z gumy, rozciągające się bez końca, zanim otoczyłyjego barki. Walczyła desperacko, żeby go oswo-

bodzie. Może jeszcze mogła go uratować, może jeszcze miała czas. Wtedy łzy popłynęły mu z oczu, żłobiąc w twarzy błotniste strumienie. Otworzył usta i wykrzyknął: - Dlaczego pozwoliłaś mi umrzeć? Jestem twoim synem. Dlaczego...

Rachel obudziła się nagle. Usiadła wyprostowana na wąskim żelaznym łóżku, skapana w zimnym pocie, z sercem w gardle. Przetarła oczy lepкими, drżącymi rękami.

Koszmar, to tylko głupi koszmar, powiedziała sobie. Ale, Boże mój, jaki realny. I ta twarz. Znała go.

Chłopca, którego zabiła.

Nazwał się moim... ale nie, nie będę o tym myśleć. Jeśli na domiar wszystkiego znowu zacznę myśleć o przetrwaniu ciąży, oszaleję.

Stukanie. Ktoś dobijał się do drzwi.

- Doktor Rosenthal! - zawołał kobiecy głos. Stukanie ustało, drzwi uchyliły się o kilka centymetrów i w szparze pojawiła się głowa. Delikatne rysy, proste włosy ściągnięte z tyłu w węzeł. Jedna z wietnamskich pielęgniarek. - Pani doktor... Proszę, musi pani przyjść!

- Cooo... To ty, Lily? - Rachel czuła się oszołomiona, zdezorientowana. Ciało miała z ołowiu, jak naszpikowane novocainą. Dziś miała wolne po raz pierwszy od czterdziestu ośmiu godzin. Miała wrażenie, że nie spała naprawdę od kiedy sześć tygodni temu przybyła do Wietnamu.

Po ciemku odsunęła moskitierę, przerzuciła nogi przez bok łóżka, natrafiła na zwinięte na ziemi spodnie khaki i wciągnęła je na męski podkoszulek, który opadał jej niemal do kolan.

- To ja. Śmigłowiec sanitarny właśnie przyleciał - odpowiedziała trochę zdyszana Lily. - Ośmiu rannych. Większość w złym stanie. Doktor MacDougal potrzebuje pani w „Przedpieklu”.

- W jak bardzo złym stanie? - zapytała Rachel.

Wstała i pociągnęła za łańcuszek, podłączony do jedynej żarówki u góry. Ostre światło dobudziło ją

i rozejrzała się po betonowym pokoju, który dzieliła z Kay. Niewielki, surowy jak cela więzienna, ale dziwnie jej odpowiadał. Dwa żelazne łóżka osłonięte moskitierami i jedna rozklekotana etażerka. Drewniane lufciki zamiast okien. Ściany nagie, z wyjątkiem popękanego lustra nad etażerką i plakatu z Grateful Dead, który Kay przykleiła taśmą nad swoim łóżkiem. Zobaczyła, że łóżko Kay było puste. Ciągłe na zmianie. Dobrze. Będzie potrzebowała Kay. Lily też.

Zwróciła spojrzenie na Lily, nieruchomo stojącą w drzwiach, ubraną w pomięty, poplamiony krwią biały strój pielęgniarki. Delikatna, krucha, tak misternie wyczelowana, jak figurka z kości słoniowej... a jednak miała wytrzymałość bawołu. Mogła całymi dniami być na nogach bez snu i nie wydawała się zmęczona, a kiedyś Rachel widziała, jak Lily powaliła na ziemię stukilogramowego żołnierza piechoty morskiej, uzależnionego od heroiny.

- Ich pluton wpadł w zasadzkę - powiedziała Lily swoim doskonałym angielskim. Jej ojciec był przed wojną wysokim urzędnikiem ministerialnym. - Pięciu zostało zabitych. - Zamilkła i dodała cicho: - Z tego, co widać, tamci mieli szczęście.

Rachel pomyślała o młodym żołnierzu piechoty morskiej, który zmarł wczoraj z powodu jej pomyłki. O chłopcu z jej snu. Ogarnęła ją paraliżująca bezradność. Pomyślała: Nie mogę tam pójść. Nie mogę pozwolić, żeby to znów się zdarzyło. Ale wiedziała, że pójdzie. Panika była luksusem. A nie było czasu na luksusy.

- Powiedz Macowi, że już idę - powiedziała jej Rachel. Lily przytaknęła i wybiegła, pozostawiając drzwi otwarte.

Rachel wsunęła stopy w sandały, zrobione z bieżnika starej opony i przyszytych ukośnie pasków płótna. Kupiła je u ulicznego sprzedawcy w Da Nang za trzydzieści pięć piasstrów. Drogie buty, które przywiozła z Nowego Jorku, rozpadły się po dwóch tygodniach wałęsania się po monsunowym błocie Tien Sung.

Stała przed lustrem, żeby zwinąć luźne złotobrazowe fale, które spadały jej na plecy, w jeden gruby węzeł, skręcając go w luźny kok i przebijając zaostrozonym patyczkiem, dobranym do otworków w wołowej skórze, która służyła jej za spinkę.

Przez chwilę patrzyła na siebie w popękany lustrze, na swoją bladą twarz, na fioletowe sińce pod oczami. Boże, wyglądam jak misjonarka wprost z melodramatu, walcząca z zarazą i jadowitymi mrówkami w samym sercu Afryki.

Poczuła drgnienie ponurej satysfakcji, a potem wstyd. Wymierzasz sobie karę, prawda? *Worek i popiół*, w roli głównej Rachel Rosenthal. A co dalej? Włosienica i samobiczowanie?

Tak, okay, może tak to się zaczęło. Przybycie tutaj prawdopodobnie było sposobem ukarania się za Davida i dziecko. Ale teraz już nie. Teraz inaczej, chciała pomagać, choćby niewiele.

Rachel odwróciła się i niecierpliwie pchnęła półotwarte drzwi, wychodząc na krytą dróżkę, która biegła wzdłuż budynku z betonu w barakowym stylu. Zobaczyła, że poranek otworzył już nabiegłe krwią oko. Światło słoneczne odbijało się od skupiska pofałdowanych cynowych dachów położonych niżej domów. Wioska już o tej godzinie zaczynała się krzątać. Dostrzegła garstkę stożkowatych słomianych kapeluszy, podskakujących między łądogami na poletkach ryżowych. Słyszała zawodzenie bawołu, skrzypienie kół zaprzęzonego w woły wozu na jakiejś porytej koleinami drodze. I jeszcze inny dźwięk - zgrzytliwy dysonans - pogwizdywanie śmigła helikoptera, koszącego ospałe powietrze.

Przypomniała sobie, po co tu jest.

Pobiegła półtruchtem, a uderzenia jej pięt o beton brzmiały jak zgłuszone odgłosy bicia zegara. Dróżka urywała się raptownie przy dzikiej ścieżce, która prowadziła przez palmowy las do szpitala, odległego o jakieś pięćdziesiąt metrów. Rachel zeszła na nią, zapadając się w błoto po kostki.

- Cholera - zakłęła cicho.

W mlecznym świetle dobrnęła do prowizorycznego chodnika z desek, ułożonych dwie na cztery, pokrytych zaschniętym błotem. Niech diabli wezmą monsuny, wołałyby od nich nowojorskie roztopy. Szła ostrożnie po deskach, walcząc z chęcią ucieczki.

Wreszcie pojawił się zacieniony budynek szpitala. Parter i piętro pokryte osypującą się waniliową sztukaterią, ozdobione girlandami szkarłatnych bugenwili i lian, grubych jak przegub męskiej dłoni. Stary, czający budynek, tak francuski, jak gdyby znajdował się w sercu Paryża... a jednak był ostatnim miejscem na świecie, do którego każda osoba przy zdrowych zmysłach chciałyby wejść.

Okrażając wschodnią ścianę, gdzie naprzeciw lądowiska było wejście na dziedziniec, Rachel zobaczyła śmigłowiec, dużego, transportowego chinooka. Łopatk jego śmigła kreśliły leniwe łuki na truskawkowo-białym niebie, lądownia stała otworem. Sanitariusze w zielonych strojach, z białymi opaskami na ramionach, wyładowywali coś na nosze.

Coś zawiniętego w okrwawione bandaże.

Spadło na nią wspomnienie jednodniowej wycieczki w szóstej klasie na targ hurtowy żywnością na dolnym Manhattanie. Pamiętała rzędy zmasakrowanej wołowiny, zwisającej z haków, okrwawionej, odartej ze skóry, z żyłami i ścięgnami na wierzchu, i to, jak zwymiotowała śniadanie na posypaną trocinami podłogę. To, co leżało na tych noszach, było mdląco podobne do tamtego okrwawionego mięsa.

Ogarnęła ją fala paniki. A jeśli to się znów zdarzy? A jeśli przyczynię się do śmierci jeszcze jednego człowieka? A jeśli...

Nie, musiała wyprzeć tę myśl. I biec.

Nie myśl, nie czuj. Po prostu rusz dupę.

Rachel słyszała w myślach gardłowy głos Kay: „To jak z żaluzją. Pociągasz za sznurek i widzisz tylko to, co musisz widzieć, zasłaniając resztę. Inaczej oszalejesz.”

Tylko że w porównaniu z „Przedpiekłem” szaleństwo wydawało się łatwe. Sala operacyjna była sceną z „Piekiła” Dantego.

Rachel wciągnęła powietrze i weszła. Pokój wyglądał bardziej jak fabryka niż izba przyjęć. Prowizoryczne udogodnienia w stylu wojskowych szpitali polowych, którym Corpus Christi, ten cywilny szpital Catholic Relief służył za wsparcie. Drewniane kozły do ustawiania noszy, drut, przeciągnięty nad głową, do zaczepiania w pośpiechu butelek krwi i kroplówek. A w kącie, pod półkami na zapasy, pięćdziesięciogalonowe bębny pełne wody, gdzie moczono zakrwawione bandaże, a kiedy tłuszcz i strzępy ciała wypływały na powierzchnię, bandaże prano i używano ponownie. Żadnego wymyślnego wyposażenia, żadnych wózków. Jedynym ukłonem w stronę dwudziestego wieku była elektryczność, wytwarzana przez stary narowisty generator, którego cichy jęk słyszała poprzez krzyki lekarzy i pielęgniarek i wrzaski umierających w męczarniach mężczyzn.

Ranni żołnierze wypełnili Przedpiekle, przelewając się do oddzielonej zasłoną izby przyjęć, niektórzy krzyczeli, oszaleli z bólu. Krew była wszędzie, plamiąc bandaże i ubłocone mundury, tryskając z przeciętych tętnic, tworząc kałuże na betonowej podłodze.

Rachel dojrzała w kącie łana MacDougala. Szerokie ramiona, zgarbione ze znużenia, siwiejąca rdzawa głowa, pochylona nad podwójną amputacją - obie nogi zostały oberwane w kolanach. Dzieciak, o twarzy koloru zwarzonego mleka, nie wyglądał na więcej niż siedemnaście lat. Skręcał się w udręce, wykrzykując: „Mamo! Mamo!”

Rachel czuła, że coś obrywa się jej w piersi, jak miękka glina tocząca się stromym zboczem. Boże drogi, taki młody, nigdy do tego nie przywyknę. To przecież dzieci...

- Pomóż mi tutaj! - zawołał do niej MacDougal ze swoim ciężkim, szkockim akcentem. Wydawał się przybity. - Zacisnij tę klamrę. Dobrze. Trzymaj, kiedy będę zszywał. No, proszę, sam nie wykonałbym czystszej amputacji. Dana! - zawołał do jednej z pielęgniarek.

- Otwórz kroplówkę, zabierz go do przedoperacyjnej, do „Maruderów”. - Kiedy Rachel uniosła pytająco brwi, zauważył ze swą zwykłą szorstkością: - Będzie żył. Nie będzie grał w futbol z chłopcami, kiedy wróci do domu, ale będzie żył.

- Mamo - zakwilił chłopiec, ściskając rękę Rachel. Serce jej się ścisnęło i przez jedną dręczącą chwilę myślała o własnym straconym dziecku i o dzieciach, których może nigdy nie mieć. Pogładziła go lekko po twarzy, ze ściśniętym gardłem, i przekazała Danie.

Rachel podniosła oczy i w drugim końcu sali zobaczyła Kay. Droga Kay, z krępa figurą w poplamionym krwią białym stroju pielęgniarki, z twarzą napiętą pod strzechą zwichrzonych ciemnobrązowych loków, warkliwym głosem wydawała polecenia pielęgniarkom i asyście pod jej komendą.

- Otwórz te kroplówki! Nie mów mi, że nie możesz znaleźć żyły... Użyj węża odrodowego, jeśli musisz, ale znajdź ją!

Pochwyciła wzrok Rachel i posłała jej ponury uśmiech. - Witaj na stadionie Yankee. Myślisz, że pobijemy dzisiaj Red Sox?

Rachel zmusiła się do uśmiechu. Ich wisielczy humor nie był bardzo zabawny, ale zachowywał je przy zdrowych zmysłach.

Znacznie gorzej było pierwszego dnia. Dopiero sześć tygodni temu? Zdawało jej się, że rok. Po dwóch dniach spędzonych w samolotach przybyła do Da Nang, potem nie kończąca się jazda jeepem po wybojach do Tien Sung, tylko po to, żeby trafić na taką scenę jak ta. Nawet gorszą. Pobliska wioska została ostrzelana z dział. Poszarpane dzieci, niemowlęta, kobiety w ciąży. A ona stała gapiąc się, zamarła z przerażenia, sparaliżowana, aż ktoś wcisnął jej w ręce parę nożyczek i kazał odciąć dwuletniemu chłopcu stopę, zwisającą z kostki na jednym ścięgnię.

Ale nauczyła się, i to szybko. Najpierw działaj, potem wpadaj w panikę. Nauczyła się odróżniać tych, którzy

umrą, od tych, którzy mają szansę. Nie rokujących nadziei zabierano za zasłonę w rogu, żeby mogli spokojnie umrzeć. Tych w stanie zagrożenia życia odsyłano do sal przedoperacyjnych, oznaczonych „W Pierwszej Kolejności” albo „Maruderzy”.

- Kiedy byłyśmy dziećmi - powiedziała jej Kay tego pierwszego dnia - bawiłyśmy się w lekarzy. Teraz bawimy się w Pana Boga.

I czasami mylimy się, pomyślała Rachel, ponieważ nie jesteśmy bogami, tylko ludzkimi istotami, które robią, co mogą, ale nigdy właściwie nie stają na wysokości zadania.

Jak z tym żołnierzem piechoty morskiej o dziecinnej twarzy z Arkansas, wczoraj zaledwie. Błagał ją, żeby go nie zostawiała, mówił, że umrze, a ona powiedziała mu, żeby się nie martwił. Strzaskana rzepka kolanowa, to wszystko. Przewidziała go do operacji po dwóch innych w stanie zagrożenia życia, w gorszej - jak myślała - formie niż on. Kiedy zajrzała do niego pięć minut później, znalazła go martwego. Zatrzymanie akcji serca. Potem domyśliła się dlaczego. Rozległy zator płucny od uszkodzonej nogi.

Na samo wspomnienie jej serce ścisnęło się świeżym bólem. Proszę, Panie Boże, nie pozwól mi popełnić drugiego takiego błędu.

Rachel ruszyła przed siebie, napotykać nosze, które właśnie wnoszono. Czy dla tego jest nadzieja? Przynajmniej był wciąż w jednym kawałku.

Był wysoki, to pierwsze, co zauważyła. Jego oblepione błotem buty zwisały z noszy. I muskularnie szczupły, z kościstą twarzą. Jego mundur połowy był wilgotny i ubłocony, jak gdyby znaleziono go twarzą w dół na poletku ryżowym. Brzuch przykrywały mu przesiąknięte krwią bandaże. Był nieprzytomny, skórę miał woskowo białą, niemal przezroczystą, koloru parafiny. Koloru śmierci.

Nagle nie chciała wiedzieć, co było pod tymi bandażami. Czuła, jak chłód wędruje w dół jej kręgosłupa, jak gdyby zimny prąd powietrza owiewał jej kark.

Ledwie znalazła puls. Ciśnienie krwi osiemdziesiąt na dwadzieścia. O, to bardzo źle. Klasyczny wstrząs. Usta sine. Miał również kłopoty z oddychaniem. Jezu, wymykał jej się z rąk, przeciekał jej przez palce.

- Kroplówkę tutaj! - krzyknęła do Meredith Barnes, kręcącej się przy jej boku. - Średnica szesnaście. Pobierz cztery próbki krwi dla porównania. Będzie potrzebował przynajmniej sześciu miar. I kilku gramów penicyliny na początek.

Rachel wprowadziła rurkę nazogastryczną, żeby osuszyć jego jamę brzuszną. Następnie, chwytając parę nożyczek, zaczęła ciąć bandażę, które zakrywały jego brzuch. Jezu. O Jezu. Było gorzej niż myślała. Ziejąca dziura, jak gdyby wybita rękawicą boksera wagi ciężkiej. Otrzewna również rozerwana. Widać było przez nią szarawobiałe zwoje wnętrzości.

Wtedy poczuła niemal pewność, jak gdyby podpowiadał jej to wyraźny, ostry głos, że on umrze. Bez względu na to, co ona zrobi, on umrze. Najlepsze, co mogła zrobić, to zapewnić mu wygodę, umieścić go za zasłoną.

Wtedy znów spojrzała na jego twarz i zapało jej dech. Jej ciało zmieniło się w kamień. Nie mogła się ani poruszyć, ani odetchnąć, ani przełknąć.

Był teraz przytomny, patrzył wprost na nią. Jego oczy o czystej, dziwnie jasnej szarości błyszcząły z wpadniętych oczodołów w umierającej twarzy jak światło poranka.

I uśmiechał się.

Rachel doznała dziwnego uczucia. Tak, jak gdyby coś zagrzebanego głęboko w niej pękło i szło po omacku do światła, jak źdźbło trawy, które przedziera się na świat pośród płyt chodnikowych. Trwało chwilę, zanim zdała sobie sprawę, co to jest. Od dawna tego nie czuła.

Nadzieja.

Łzy zalały jej oczy, spływając po policzkach.

Ranny żołnierz uniósł rękę i przesunął ją po jej policzku; koniuszki jego palców były miękkie jak liście. - Rose - zamruczał. - Nie płacz, Rose. Ja wracam. Rose...

Jeden z sanitariuszy, krzepki czarny mężczyzna, potrząsnął głową. - Wymawia to imię, odkąd wyłowiliśmy go z rzeki. Najpaskudniejsza rzecz, jaką pani widziała. Brzuch cały rozcięty, a on płynie nam na spotkanie, jak gdyby był Jezusem Chrystusem, czy coś takiego. Ciągąc ze sobą swego martwego kumpla. - Znów potrząsnął głową. - Wygląda na to, że on też znajdzie się w RG.

RG. Rejestr Grobów. Gdzie ludzi opatrywano etykietami, pakowano w worki i odsyłano do domu, do ich pogrążonych w bólu rodzin. Zimno wewnątrz niej zmieniło się w ogień na myśl, że jego też wywiozą na wózku jak jeszcze jedną sztukę bagażu i wrzucą do luku bagażowego.

- Nie, jeśli będę mogła coś na to poradzić - powiedziała Rachel, ożywiona tak gorączkową determinacją, że wszystkie jej mięśnie i kości zdawały się wibrować jak naprężone przewody.

Zabrała się do dzieła, zaciskając arterie, oczyszczając ranę i wygrzebując największe odłamki szrapnela, dezynfekując wszystko sterylną gazą nasączoną wazeliną.

- Masz coś przeciwko temu, żebym rzucił okiem? - zaskoczył ją głęboki głos. Spojrzała w górę. Doktor MacDougal miał surową minę; jego krzaczaste, siwiejące rude brwi opadały nad dużymi, smutnymi brązowymi oczami.

Badanie było szybkie, ale dokładne. Potem odciągnął Rachel na bok. - Stracił dużo krwi. I wygląda na to, że trzeba będzie usunąć prawą nerkę. Widzę spory wyciek z otrzewnej. Rozległe uszkodzenia jelit cienkich i grubego. Dziewczyno, ten chłopak będzie potrzebował czegoś więcej niż twoich rąk, żeby przetrzymać operację. Będzie potrzebował cudu. A nawet jeśli przetrzyma, to przy wstrząsie i zapaleniu otrzewnej nie muszę ci mówić, jakie ma szanse wyzdrowienia. - Po ojcowsku położył szeroką rękę na ramieniu Rachel. - Wiem, że nie znosisz przegrywać. Nie widziałem nikogo, kto miałby tyle ducha walki, ale najlepsze, co możesz dla niego zrobić, to zapewnić mu wygodę i pozwolić mu odejść w spokoju.

Rachel przytrzymała na długą chwilę smutne spojrzenie łana MacDougala, potem odpowiedziała: - Proszę, pozwól mi spróbować, Mac. Będę cię przy nim potrzebować, ale mogę ci asystować. Nie mówię, że możemy go uratować, ale dajmy mu przynajmniej tę szansę.

Mac spuścił wzrok i zdawał się rozważać jej prośbę. Rachel wstrzymała oddech, łan był szefem. Mógł jej odmówić.

W końcu podniósł oczy i wbił w nią spojrzenie pobłażliwego ojca, ustępującego samowolnemu dziecku.

- Rób więc, co musisz - westchnął.

Rachel skinęła na sanitariuszy, żeby przenieśli pacjenta do przedoperacyjnej. Potem znów spojrzała w dół, na te jasne oczy, ten uśmiech, i wiedziała, że nie bardziej mogłaby zrezygnować z tego człowieka niż odwrócić się plecami do najbliższej osoby.

Rachel zerknęła najego plakietkę, nabazgrała nazwisko i numer identyfikacyjny na karcie.

Brian McClanahan.

- Trzymaj się, Brian - szepnęła. - Trzymaj się tylko ze względu na mnie, okay?

Rachel obudziło bębnienie deszczu o falisty blaszany dach jej betonowej chaty. Otworzyła oczy. Było ciemno, ale dojrzała wielkiego robaka, pełznącego po przeciwległej ścianie. Ciagle na pół uśpiona i rozmarzona, śledziła jego krętą drogę. Ale coś dobijało się do jej pamięci... coś, o czym powinna pamiętać.

Wtedy doszło to do niej i przyplływ niepokoju w jednej chwili obudził ją zupełnie. Brian McClanahan. Trzy dni po operacji brzucha i wciąż było wątpliwe, czy się wylize. Może właśnie teraz umierał, podczas gdy ona leżała tutaj...

Rachel odrzuciła niecierpliwie cienki bawełniany koc i wstała. Była na pół ubrana, kiedy Kay poruszyła się w łóżku obok i usiadła, przecierając oczy. Kay ziewnęła i zerknęła na słabo świecąca tarczę swego zegarka.

- Masz źle w głowie? - wymruczała zaspianym głosem
- Jest trzecia nad ranem! Pierwsza spokojna noc, jaką
miałyśmy od tygodni. Co się dzieje?

Ona wie, że nie skorzystałabym z latryny przed brzas-
kiem, pomyślała Rachel, nie wtedy, kiedy oznaczałoby to
stanie w wodzie po kostki, w otoczeniu węży i pcheł
skaczących dookoła.

- Przykro mi, że cię obudziłam. Chcę zajrzeć do
jednego z moich pacjentów. Trochę się o niego martwię.
Wzrastała mu gorączka, kiedy odchodziłam wieczorem.

Kay, teraz już zupełnie obudzona, wyskoczyła z łóżka
i zapaliła światło. Popatrzyła gniewnie na Rachel - jej
brązowe oczy były zaczerwienione i opuchnięte, nagie
bez okularów. Miała na sobie zmięte szorty i jask-
rawoczerwoną bawełnianą koszulkę z wydrukowanym
na przodzie napisem: **A GDYBY WYPOWIEDZIELI
WOJNĘ I NIKT NIE POSZEDŁ?**

- Czy ten pacjent nie nazywa się przypadkiem Brian
McClanahan? - zapytała zimno Kay. - Ten sam Brian
McClanahan, nad którym trzęsiesz się jak kwoka, odkąd
opuścił salę operacyjną? Wczoraj wieczorem Dana przy-
szła do mnie we łzach. Powiedziała, że skrzyczałaś ją za
to, iż nie powiedziała ci natychmiast, że on ma czterdzie-
ści dwa stopnie gorączki. Tak, jak gdyby moje pielęgnia-
rki nie miały nic do roboty cały dzień, tylko mierzyć
temperaturę.

- Nie powinnam była tak warczeć na Dane - uspra-
wiedliwiła się Rachel. - Jest dobrą pielęgniarką. - Na-
prawdę było jej przykro, ale, do cholery, Brian był kimś
szczególnym. Rodzajem cudu. Czyż nie widzieli tego? To
prawda, że ledwie, ledwie przetrzymał operację, ale był
żywy, a ona miała stanowczy zamiar dopatrzeć, żeby
pozostał żywy.

Brązowe oczy Kay rozbłyły. - Dobra? Pewnie, że
dobra. Jest świetna. Wszystkie moje pielęgniarzki powin-
ny dostać honorowe medale Kongresu. Zamiast tego
dostają kopniaka w tyłek. Od lat mówiłyśmy sobie, że
będzie inaczej, kiedy więcej kobiet zostanie lekarzami.

Ale powiem ci coś, czego z trudem się nauczyłam, dupiek w białym kitlu jest dupkiem bez względu na to, co ma z przodu. - Zamilkła, wzięła głęboki oddech i wtedy jej gniew nagle znikł. Uśmiechnęła się szeroko. - Jeszcze jedno, nie możesz nigdzie iść ubrana w ten sposób.

- W jaki sposób?

- Te spodnie.

Rachel skończyła się ubierać, a teraz spojrzała w dół i zobaczyła, że przez pomyłkę włożyła spodnie khaki Kay. Spodnie zwisały jej wokół bioder, a kostki wystawały z mankietów. Opadła na łóżko i zaczęła się śmiać. Nie mogła przestać.

- Chyba mi odbija - powiedziała, ocierając łzy grzbietem dłoni.

- Chcesz o tym porozmawiać? - Kay klapnęła na swój materac i zapaliła papierosa.

Rachel patrzyła na plakat Grateful Dead nad łóżkiem Kay, na szkielet w otoczeniu kwiatów na fluoryzującym szkarłatnym tle. Na afisz koncertu w Winterland Auditorium z października 1966 roku.

- To skomplikowane - powiedziała. - Nie jestem pewna, czy sama to rozumiem. Po prostu mam uczucie... że gdybym wypuściła go z rąk... mogłabym... wsiąść do ekspresu i raz na zawsze odjechać do czubków.

- Nie możesz. - Rachel obserwowała dym, wydostający się z ust Kay i znikający w moskitierze. - To jest koniec trasy. Nam wszystkim tu trochę odbija, Rosenthal.

- To coś innego. To nie tylko... wojna. To również ja. Wszystko. Wszystko, co zdarzyło się przedtem.

- Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić - zbyt szybko powiedziała Kay. A Rachel przypomniało się, jaka dobra była Kay w tym czasie. Była opoką, tak jak teraz.

Przypomniała sobie nie tak dawną noc, kiedy Kay załadowała ją do wojskowego ambulansu na przejażdżkę do Da Nang. Pierwszy raz spróbowała *kim chi* w restauracji w bocznej uliczce. Cała restauracja to była stara kobieta, szopa do gotowania i trzy rozchwierutane kar-

ciane stoliki. Potem dalej, do baru, wypełnionego hałaśliwymi żołnierzami piechoty morskiej i głośną amerykańską muzyką, gdzie tak się upiła, słuchając Otisa Reddinga, śpiewającego *Bock on the Boy* i myśląc o domu. Boże, taka była potem chora! Całe to *kim czy* i wódka wypowiedziały sobie wojnę w jej żołądku. Kay trzymała ją za włosy, kiedy ona wymiotowała w krzaki na zewnątrz, a potem, kiedy przyszły łyzy, otoczyła współczująco ramieniem.

- Wtedy wydawało się to słuszne - powiedziała Rachel i znów zaczęła się śmiać. Tylko teraz to nie było zabawne. Śmiech uwiązał jej w gardle jak kawałek jedzenia, którego nie mogła przełknąć. - Teraz, ilekroć o tym myślę... cóż, czuję, jak gdybym umierała w środku. Kiedy byłam mała, wszystko, czego naprawdę chciałam, to była siostrzyczka. A matka zawsze mi mówiła, że pewnego dnia będę miała własne dzieci, ile tylko będę chciała. Nigdy mi nie przyszło na myśl, że nie będę mogła... mieć dzieci. Choćby jednego dziecka. Jedno dziecko. Czy to tak dużo chcieć jednego dziecka? Czy tak?

- Hej, spójrz na mnie - powiedziała Kay. - Wątpię, czy kiedykolwiek znajdę kogoś dość stukniętego, żeby się ze mną ożenił, a tym bardziej miał ze mną dzieciaka. - Żartami starała się wydobyć ją z nieszczęścia, ale Rachel widziała, że jej oczy, zmrużone od dymu, były wilgotne. - Przepraszam. Cholera, nie trać czasu. Za to i za dziesiątkę zafundujesz sobie rozmowę telefoniczną.

Rachel zdobyła się na słaby uśmiech. - Do kogo miałabym telefonować?

- Nie wiem. Może do Boga. I słuchaj, kiedy go dorwiesz, czy powiesz mu coś ode mnie? Powiedz mu, żeby zakończył tę wojnę, żebym mogła przestać palić te obrzydliwe papierosy. Zabijają mnie. - Jej głos stał się nieco chropowaty i zdusiła papierosa w pustej puszcze po sardynkach na podłodze koło łóżka.

Rachel uśmiechnęła się. - Chyba wszyscy mamy świ-
ra... Takiego czy innego.

- Kiedyś czytałam opowiadanie O. Henry'ego - powiedziała Kay. - O tej dziewczynie, która była poważnie chora, zdaje się, że to było zapalenie płuc. Mogła tylko leżeć w łóżku i patrzeć przez okno na bluszcz, rosnący na ścianie naprzeciwko. A temu jej przyjacielowi, temu malarzowi, który mieszkał na dole, chora dziewczyna powiedziała, że kiedy ostatni liść opadnie, ona umrze. Rozumiesz, była zima. I wszystkie liście opadły z wyjątkiem tego ostatniego. Po prostu trzymał się nadal. Więc ona nie umarła. Właściwie poczuła się lepiej. Kiedy była na tyle zdrowa, żeby wstać z łóżka, odkryła, dlaczego ten ostatni liść nigdy nie opadł - był namalowany przez tego artystę. Ironia była w tym, że to w końcu on umarł od stania na deszczu i zimnie, kiedy malował ten przekłety liść na ścianie.

- Nie martw się - zaśmiała się Rachel, zsuwając spodnie Kay i wyciągając spod łóżka własne. - Nie złapię przeziębienia. Malarię, być może. Albo udar cieplny. Ale stanowczo nie zapalenie płuc.

- Nie o tym myślałam. Zastanawiałam się - Kay wstała, znalazła na etażerze świeżą paczkę salemów i powoli zdarła celofan - co by się stało z tą dziewczyną, gdyby ten ostatni liść opadł. - Podeszła do Rachel, położyła ręce na jej ramionach, zmuszając ją, by spojrzeć jej w oczy. - Daj mu odpocząć, dziecino. Temu twojemu sercu to się przyda, przy całym przebiegu, jaki ma na liczniku. Posłuchaj mojej rady, odstaw na razie serce na półkę. Nic dobrego go w tym miejscu nie spotka.

Deszcz ustał, ale ścieżka prowadząca do szpitala była morzem błota. Rachel szła ostrożnie po deskach przełożonych nad błotnistą ścieżką, kiedy usłyszała wysoki gwizd, przecinający niebo. Moździerze.

Upadła na ziemię, uderzając brzuchem o ciepłe błoto, właśnie kiedy ogłuszające WUUUMPzakołysało powietrzem. Uniosła głowę i obserwowała posępny, trujący pomarańczowy kwiat nad drzewami niecałe pół kilomet-

ra dalej. Zimna panika oblepiła jej serce. Przedtem zdarzał się ostrzał artyleryjski w dżungli otaczającej wioskę, ale nigdy tak blisko.

A jeśli nas trafią? A jeśli... Jęknęła cicho, zamykając oczy przed strasznym pomarańczowym blaskiem, zasłaniając uszy dłońmi, kiedy jeszcze jeden moździerz zaświstał w górze, a potem eksplodował, sądząc po dźwięku, tym razem o wiele bliżej.

Dziwne, bała się, ale nie o siebie. Myślała o Brianie, wyciągniętym na łóżku na oddziale intensywnej opieki medycznej, nieprzytomnym, szczupłym i białym, zakutym w bandażę po podbródek. Oznaki życia nadal były niepewne. Najmniejszy uraz mógł go zabić. Musiała dotrzeć do niego, upewnić się, że nic mu się nie stało.

Rachel, tłumiąc lęk o własne życie, zaczęła się czołgać przez błoto. Na dłoniach i kolanach przysuwała się centymetr po centymetrze do szpitala. Rakiety wybuchały teraz jedna po drugiej, jak podczas rozszalałych obchodów święta Czwartego Lipca. Powietrze zdawało się zataczać jak pijane od ich podmuchów. Sztuczna jutrzienka malowała niebo ponad linią drzew na pomarańczowo, żółto i czerwono. Poczowała gorzki smak na języku. Proch. O Panie, są tuż nad nami.

Kiedy dotarła do szpitala, światła były wygaszone. Uświadomiła sobie ze ściśniętym sercem, że musieli rozwalić generator. W całkowitej ciemności po omacku szukała drogi w sklepionym przejściu, które prowadziło przez otwarty, wyłożony płytkami dziedziniec. Stare płytki były popękane i obłuzowane od ciągłej wilgoci. Rachel potknęła się kilka razy, zmierzając do podwójnych drzwi, przez które wchodziło się na oddziały.

Za drzwiami ciemny korytarz, a potem nagłe, oślepiające światło. Ktoś świecił jej latarką w twarz. Zmrużyła oczy i zasłoniła się ręką. Teraz pojawiło się więcej latarek, zataczających dzikie łuki, rzucających na oddział tajemnicze, gorączkowe światło. Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się, zobaczyła Lily, wyęzającą siły, żeby ściągnąć pacjenta w stanie śpiączki, dwa razy większego od

niej, pod najbliższe drzwi łożko. Przewód od jego kroplówki oderwał się i jaskrawa szkarłatna plama rozlewała się powoli na bandażach, pokrywających jego pierś.

Rachel rzuciła się naprzód, żeby pomóc Lily, ale ta potrząsnęła głową i odepchnęła ją na bok. - Nie ma czasu. Ściągnij innych na dół. Bezpieczniej pod łożkami, jeśli nas trafią.

Rachel, na chwilę zostawiając na boku niepokój o Briana, uczuła przypływ paniki, kiedy wyobraziła sobie, co stałoby się z tymi jej biedakami - w pewien sposób wszyscy byli jej - gdyby jakiś pocisk trafił bezpośrednio w budynek. Te męczarnie, jakie mogłoby cierpieć... A gdyby musieli się ewakuować, co mogłoby się stać z ich gojącymi się ranami... Boże, dopomóż im... Każ to zatrzymać.

Grzmot wstrząsnął budynkiem i skrawki cynobrowego nieba zabłyśły w szparach świetlików. Usłyszała dalekie krzyki, kwiczenie świń i zrozumiała, że pocisk musiał trafić w położoną niżej, na stoku wzgórza, wioskę. Czy ktokolwiek z nich byłby bezpieczny, gdyby ten budynek został trafiony?

I Brian. Ostatniej nocy był taki chory, z tą wysoką temperaturą. Mac miał rację co do zapalenia otrzewnej. Bez względu na to jak starannie oczyszczała rany i usuwała każdy drobny odłamek szrapnela i brud, zakażenie było nieuniknione. Wiedziała, że Mac nie żywił wielkich nadziei. Przy osłabieniu Briana, nawet w najlepszych warunkach jego życie wisiałoby na włosku, a w tych...

Proszę, Panie Boże, tylko pozwól, żeby dobrze się czuł. Pozwól mu przetrwać tę noc. Ja zajmę się resztą.

Rzuciła się przejściem między rzędami łożek przy każdej ścianie, okrążając pielęgniarki i sanitariuszy, którzy uspokojali niektórych pacjentów i walczyli z innymi. Łóżko Briana było ostatnie. Zobaczyła je przelotnie w nikłym migocącym świetle. Puste.

Pałący ból eksplodował jej w piersi, jak gdyby trafił ją móżdżierz.

- Nie! - krzyknęła - Nie!

Na pół oszalała chwyciła ramię przebiegającej obok pielęgniarki. To była Dana. Jasne włosy koloru pomyj wysuwały się spod spinek, szczupłą twarz miała bladą i wystraszoną. Trzymała w ręku butelkę do kroplówki z roztworem Ringera i na dotknięcie Rachel podskoczyła, a butelka wyśliznęła jej się z ręki. Głośny trzask. Letni płyn ochlapał Rachel stopy. Odłamek szkła ukłuł ją w kostkę.

- Kiedy? - zapytała Rachel, ściskając ramię Dany mocniej niż zamierzała. Usłyszała ostrą nutę hysterii w swoim głosie. - Kiedy umarł?

Dana wyrwała ramię i cofnęła się o krok, patrząc na Rachel jak na wariatkę. Wtedy Rachel zdała sobie sprawę, jak musi wyglądać - pokryta błotem, z rozczochranymi włosami. Jak jedna ze stukniętych pacjentek na oddziale dla ćpunów, jedna z tych, które wypaliły zbyt wiele papierosów z marihuaną, przyprawionych opium *mamy-san*.

Dana nie musiała pytać, o kim Rachel mówi. - On nie umarł... Jeszcze - powiedziała. - Doktor Mac zabrał go na salę operacyjną. Nastąpiło zatrzymanie akcji serca minutę czy dwie przed tym, jak zaczął się ostrzał.

Rachel ogarnęła ulgą, a potem lodowata fala paniki. Musi dotrzeć do niego, pomóc mu. Ona była łącznikiem, ostatnim liściem, który w jakiś sposób trzymał go przy życiu. Czy oni tego nie rozumieli?

Rachel okręciła się i rzuciła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła. Blok operacyjny był na końcu korytarza, nie dalej niż kilkadziesiąt metrów, ale zdawało jej się, że przebiegła całe kilometry, zanim tam dotarła. Jej ubranie było przesiąknięte potem, nogi jej drżały. Serce waliło jak szalone.

Wpadła do środka.

Sala, z sześcioma stołami operacyjnymi, była długa i wąska. Latarka, świecąca z odległego kąta, rzucała wielkie makabryczne cienie, które wyginały się na ścianie i na suficie. Dwie niewyraźne sylwetki pochylały się nad stołem operacyjnym. Gdy podeszła bliżej, zobaczyła, że

to doktor Mac i Meredith Barnes. Meredith trzymała latarkę w lewej ręce i hemostat w prawej. Mac był zgięty nad długą sylwetką, rozciągniętą na stole.

Brian. Jej Brian. Serce Rachel zachwiało się z przerażenia.

Był intubowany. Zmuszali go do oddychania, wciskając powietrze do płuc. Jego szczupła, naga pierś była pomazana krwią. Zobaczyła długie cięcie w czwartej przestrzeni międzyżebrowej po lewej stronie, tuż poniżej jego brodawki piersiowej. Mac mocował się z retraktorem żebrowym.

Zabierał się do masażu na otwartym sercu. Bogu dzięki, wciąż jeszcze była szansa. Bogu dzięki, nie przyszła za późno.

Mac podniósł wzrok, rzucając jej zdumione spojrzenie spod krzaczastych siwych brwi. Rachel wciągała już parę rękawiczek. Nie było czasu na szorowanie, to musiało wystarczyć.

- Pozwól mi - błagała. - Moja ręka jest mniejsza.

- Czy robiłaś to już przedtem? - zapytał Mac nieskończenie znużony, zbyt znużony, żeby się spierać.

- Nie, ale widziałam, jak to się robi. Poradzę sobie.

- Czuję się dziwnie spokojna, jak gdyby gdzieś w głębi siebie cały czas przygotowywała się do tej chwili.

- Dobrze. Nie ma czasu na błędy. To już trwa za długo. Przestał oddychać pięć minut temu. Dałem mu CPR i sześć zastrzyków epinefryny. Jeśli to nie podziała, straciliśmy go.

Rachel skupiła się na przypominaniu sobie wszystkiego, czego nauczyła się o torakotomii w nagłych przypadkach. Zaglądając w otwartą ranę w słabym świetle latarki, znalazła osierdzie i wykonała podłużne cięcie skalpelem, ostrożnie unikając nerwu przeponowego. Wsunęła przez cięcie rękę w rękawicze, wymacując drogę wokół arterii płucnej i *venacava*. Nic. Nawet słabego trzepotu. O Boże. Stała całkowicie nieruchoma, zimna jak śmierć, jak gdyby jej własne serce także przestało bić. Nie do wiary, ale w jakiś sposób jej umysł i ciało nadal funkcjonowały.

W chwili gdy jej ręka zamknęła się wokół nieruchomego, miękkiego mięśnia jego serca, doznała wrażenia, że wszystko zatrzymało się w miejscu, ta sala, szpital, cały świat. Zaprzesztano ostrzału, czy po prostu ona przestała go słyszeć? W uszach miała tylko miarowe bicie swego pulsu.

Zaczęła delikatnie, rytmicznie ścisnąć. Żyj, proszę, żyj, Brian... Musisz mi pomóc, nie mogę wszystkiego zrobić sama... Proszę cię...

Nic.

Kropelki potu wystąpiły jej na czoło i spływały po skroniach. Starła się powstrzymać panikę. Utrzymać rytm, oto, co należało robić. Miarowo. Proszę, Panie Boże, pomóż mi.

Każdy jej zmysł się wyostrzył. Czuła zjełczały odór potu Maca i kwiatowy zapach perfum Meredith. Krew zdawała się unosić w powietrzu jak zwiewna mgła, na języku miała jej gorzki, miedziany smak. Ucisk jej ręki wokółjęgo sflaczałego serca zgodny był z rytmem błagalnego zaśpiewu w jej myślach.

No, dalej. Rusz się. Dalej. Teraz. Proszę. Teraz.

Mac potrząsnął ze smutkiem głową. - Dosyć, dziecko. To na nic. Zrobiłaś, co mogłaś.

Rachel czuła, jak wzbiera w niej szloch i dławi ją. - Nie - błagała. - Jeszcze trochę. Proszę. Chcę mieć pewność.

- Jeszcze minuta, to wszystko. Inni nas teraz potrzebują.

Zdawało się, że wieczność upłynęła w ciągu tej minuty. Rachel czuła, że ta minuta pożera jej opanowanie, że zaraz ją pochłonie. Nie tylko o Briana walczyła, ale i o siebie, o swoją normalność.

Wreszcie, kiedy niemal straciła wszelką nadzieję, lekki skurcz.

Jeszcze jeden.

Jedno niepewne uderzenie.

Kilka nieskończenie długich sekund upłynęło do następnego, a potem serce Briana zaczęło bić własnym płytkim rytmem.

Rachel niemal się zachwiała od przyływu zdumionej radości, jaka ją ogarnęła. Gardło jej się rozluźniło i łzy popłynęły jej z oczu, padając na spokojną posiniąłą twarz, spoczywającą bez świadomości na stole operacyjnym.

- Ruszyło! - krzyknęła. - Bije! On żyje!

Wyciągnęła rękę z klatki piersiowej Briana i popatrzyła na Maca, napotykając jego niedowierzające spojrzenie. Wiązka światła z latarki podskoczyła i zakołysała się na suficie, kiedy Meredith wydała okrzyk triumfu.

- Niech mnie - wyszeptał Mac. - To najprawdziwszy cud, jeśli jakiś widziałem. Na pewno nie jesteś katoliczką?

Rachel roześmiała się, łzy spływały jej po policzkach. - Nic o tym nie wiem. Dlaczego pytasz?

- Mógłbym przysiąc, że przez sekundę widziałem anioła, który usiadł ci na ramieniu.

ROZDZIAŁ 14

Brian otworzył oczy na morze bieli. Białe ściany. Biała pościel. Białe żaluzje lufcików, otwarte szeroko, aby wpuścić zapach deszczu i gorący błękit tropikalnego nieba.

To mi się śni, prawda? Jestem w domu, we własnym łóżku obok łóżka Kevina, a mama w kuchni miesza owsiankę w dużym emaliowanym garnku i...

Poruszył się, żeby przyjąć bardziej wygodną pozycję i uderzenie bólu przepołowiło go w pasie - chwila rozgrzanej do białości męczarni, a potem napłynęły jedna za drugą ogłuszające fale wstrząsu. To nie sen. O Chryste! Więc co?

Był teraz zupełnie przebudzony. Jęczał, łzy bólu spływały mu z kącików oczu i toczyły się powoli po skroniach, znikając we włosach.

Przez zasłoneg łez dojrzał niewyraźny zarys postaci kogoś stojącego nad nim. Zamrugał i obraz nabrał ostrości.

Kobieta.

Była drobna, delikatna jak Wietnamki, ale w jasnym kolorycie, niemal zbyt bladym, jej włosy miały śliczny odcień miedzianego brązu. Nosiła je zebrane na smukłej szyi i ściągnięte spinką. Jej oczy były tak żywo niebieskie, że patrzenie w nie niemal raziło, tak jak patrzenie prosto w jasne letnie niebo. Stopniowo objął wzrokiem ją całą. Mała twarz w kształcie serca. Uparty podbródek i prosty szeroki nos. Usta, które ratowały ją przed konwencjonalną urodą przez to, że były odrobinę za duże. Wydawała się zmęczona i niespokojna. Pod oczami miała fioletowe cienie, a skóra na skroniach i u podstawy szyi wyglądała na lekko zasinioną.

Nigdy przedtem jej nie widział, ale miał dziwne uczucie, że ją zna.

- Dzień dobry - powiedziała, a te swoje ciemnoniebieskie oczy skupiła całkowicie na nim, nie odwracając ich w bok. - Jak się czujesz? - Zobaczył, że nosiła spodnie khaki, sandały i spłowiała zieloną bluzę, a z głębokiej kieszeni na przodzie wystawał stetoskop.

Czy była pielęgniarką? Bo to był jakiś szpital, czyż nie? Leżał na łóżku w długim pokoju. Inne łóżka - zwykłe żelazne łóżka - ciągnęły się wzdłuż pobielonych cementowych ścian. A w każdym łóżku zabandażowana postać, niektóre z nich ledwie przypominały istoty ludzkie.

Brian czuł lekkość i migotanie w głowie, usta miał suche jak flanela. Sen? Zdaje się, że ostatnio zapadał i budził się z jednego długiego snu, więc nie potrafił jasno odróżnić, co było rzeczywiste, a co nie. Jediną rzeczą, o jakiej wiedział, że jest rzeczywista, był ból. Całe jego ciało od szyi w dół sprawiało wrażenie, że przejechał je buldożer. Nawet oddychanie bolało.

- Jak Sonny Liston po piętnastu rundach z Cassiusem Clayem - powiedziała, zdobywając się na leciutki uśmiech.

Jak gdyby czekała na coś, na jakiś znak od niego, jej napięta twarz rozluźniła się. Pojawił się na niej uśmiech. Olsniewający uśmiech, który był niemal jak fizyczne dotknięcie, ogarniał go i unosił.

- Tłum miał co oglądać za swoje pieniądze - powiedziała. - Nie byliśmy pewni, czy przetrzymasz, ale walczyłeś dzielnie. Pamiętasz coś z tego?

Brian przesunął się o milimetr na twardym materacu swego żelaznego łóżka. Ból na nowo wybuchnął płomieniem. Opadł z powrotem, łapiąc powietrze. Co, na miłość boską, mu się stało?

- Niewiele - odpowiedział. Ból uderzał teraz głucho. - Jak długo tutaj jestem?

- Prawie trzy tygodnie. Większość nich przespałeś. Morfina pomogła.

Zamknął oczy. Światło go raziło. Widok innych mężczyzn w łóżkach - wyobrażał sobie, że on sam musi też tak wyglądać, zmumifikowany pod metrami gazy, sterzące zewsząd rurki - zdawał się tylko powiększać ból.

Jej głos, dziwnie kojący, podążał za jego myślami, drażącymi mroczny chłód pamięci. - Może byłoby lepiej, gdybyś nie próbował przypomnieć sobie wszystkiego na raz - powiedziała.

Znał ten głos, czyż nie? Był niemal... swojski. Jak coś, co mogło mu się przyśnić. Teraz mała chłodna ręka dotknęła jego brwi, a od tego dotyku palący ból nieco ustąpił.

Dziwne, oderwane fragmenty pamięci wypływały zjaskiegoś głębokiego, ciemnego miejsca w jego głowie. Z wysiłkiem starał się je złożyć. - Byliśmy na leśnym patrolu - powiedział. - Weszliśmy w zasadzkę. Doostałem. Tak, teraz pamiętam. To był Trang... nastąpił na minę. Rzeka... - Brian szeroko otworzył oczy. Próbował się podciągnąć, ale powalił go ból tak miażdżący, że wyzwolił eksplozję czerwonych gwiazd w głowie. Za-

czekał, aż tortura zelżeje trochę, a potem zapytał: - Trang? Czy on...

Kobieta pokręciła głową. - Przykro mi - powiedziała łagodnie. - Proszę, nie próbuj jeszcze siadać. Lepiej, żebyś leżał płasko. Czy mogę ci coś przynieść?

Brian czuł, jak wzbiera w nim smutek. I gniew. Ostatecznie nie potrafił uratować Tranga. Zresztą, po co było się dłużej starać? Po co było to wszystko, ci wszyscy umierający faceci, sama wojna?

Odruchowo zrobił znak krzyża. Biedny Trang. Ilu jeszcze poza nim? I dlaczego nie ja? Dlaczego mnie oszczędzono?

Nagle nie chciał wiedzieć. Był zmęczony, taki zmęczony. Jego myśli znów zaczęły szybować.

Oblizwał wargi i poczuł coś słonego. Krew. Usta miał popękane, szorstkie jak stara dykta. - Wody - powiedział. - Czy jest pani pielęgniarką?

- Lekarzem - uśmiechnęła się. - Ale proszę... mów do mnie Rachel. Mam wrażenie, że już jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Napełniła papierowy kubek wodą z dzbanka na małym metalowym stoliku koło jego łóżka i przysunęła go do jego ust, podtrzymując mu ręką głowę. Jak na kogoś tak małego, była zadziwiająco silna. Jej długi koński ogon musnął mu policzek, delikatnie jak pocałunek, i doszedł go cytrynowy zapach.

Zapach wydobył na powierzchnię inny fragment pamięci. Właściwie sen, ale może coś takiego zdarzyło się naprawdę. Był w ciemnym miejscu, w tunelu, idąc w kierunku światła na drugim końcu. Światła tak intensywne, że raziło go w oczy, jak patrzenie w słońce. Ale przyciągało go jak magnes. Im bliżej podchodził, tym szczęśliwszy się czuł. I w dziwny sposób lżejszy, jak gdyby z każdym jego krokiem grawitacja traciła swoją moc. Spieszył się, niemal unosił się w powietrzu.

Potem tunel wypełnił się nagle mocnym, niemal przytłaczającym zapachem. Uderzającym do głowy zapachem, mieszaniną cytrynowego kwiecia, letniej trawy

i dobrego zapachu świeżo wyprasowanych sukienek, wiszących w szafie jego matki. Był również głos, kobiecy głos. Nie słyszał, co mówiła, ale czuł, że go przywołuje. Zawracając go... od światła. Tak myślał z początku, ale nawoływanie było zbyt silne. I w końcu uległ mu...

Teraz, kiedy pił letnią wodę i czuł jej zapach, myślał: To była ona. Ta drobna kobieta o imieniu Rachel. Odciągnęła go od jakiegoś brzegu. Od śmierci? Chryste drogi, czy zaszedł aż tak daleko?

Czy powinien być jej wdzięczny? Tak, pewnie tak. Ale teraz czuł się tylko wyczerpany. Chciał tylko spać...

Kiedy skończył pić, opuściła delikatnie jego głowę na poduszkę. - Nosiłś to, kiedy cię tu przynieśli. - Wcisnęła mu coś w dłoń. Coś chłodnego. Metalicznego. Jego medal świętego Krzysztofa. Rosę dała mu go tego dnia, kiedy odpływali. Założył go, a potem zapomniał, że go nosi. - Zachowałam go dla ciebie. Myślałam, że możesz go... potrzebować.

- Dzięki - powiedział, zamykając go w garści. Starał się przywołać twarz Rosę, ale nie pojawiła się. Jedynym obrazem, jaki przyszedł mu na pamięć, było zdjęcie, które nosił w portfelu. Zrobił je ostatniej zimy na Coney Island. Pamiętał, że był cudowny dzień. Mieli cały dzień tylko dla siebie. Jedli hot dogi i smażone mięczaki u Nathana, a potem chodzili i chodzili pustą, omiataną wiatrem promenadą, jak gdyby byli jedynymi ludźmi na świecie, aż palce w rękawiczkach im zmarzły. Zrobił zdjęcie Rosę, opartej trochę sztywno o zamknięte wejście do jakiejś atrakcji na promenadzie, z włosami, które wiatr zwiewał jej na twarz, z zaróżowionymi policzkami i niepewnym uśmiechem, jak gdyby nie całkiem wierzyła w swoje szczęście i spodziewała się, że w każdej chwili coś jej może zepsuć.

Rosę, droga Rosę, czy nie wiedziałaś, że jesteś ze mną bezpieczna? Nie widziałaś tego?

- Śpij teraz - powiedziała Rachel. - Wrócę, kiedy trochę odpoczniesz. Nie oczekuj od razu zbyt wiele od siebie. Wiele przeszedłeś.

Nie chciał, żeby odeszła.

- Proszę - wyszeptał. - Czy posiedzisz ze mną, aż zasnę? Tylko kilka minut dłużej?

Uśmiechnęła się i usiadła na samym brzegu jego łóżka, lekko dotykając palcami jego nadgarstka. Zauważyła, że rękę miał owiniętą gazą i plastrem nad knykiami, tam gdzie igła do kroplówki wbijała mu się w żyłę. Ale wydawało się, że mu to nie przeszkadza. - Zostanę tak długo, jak zechcesz - powiedziała.

Tydzień później Brian siedział w łóżku. Poduszka na jego kolanach tworzyła prowizoryczne biurko dla zniszczonego kołonotatnika, nad którym był pochylony. Ręka mu drżała. Od tak dawna nie trzymał w niej pióra ani siedział dłużej niż po to, żeby się wysuszyć do basenu. Ale gdy zaczął pisać, słowa popłynęły łatwo:

Dzisiaj jest pierwszy dzień czerwca. Dwa dni temu Bobbyemu Childressowi usunięto krtań. Tego ranka odprawiono go do szpitala marynarki na Okinawie. Przed paroma godzinami przywieziono innego faceta z rurką sterczącą z piersi i bez jednego ramienia. Ktoś powiedział, że poderwał kurwę w Quang Tri i że zostawiła mu mały prezent, zanim rozplynęła się w nocy. Dekę Forrester mówił za nas wszystkich, kiedy powiedział: „Szkoda, że to nie był tryper”. Właśnie tak zaczyna się myśleć po jakimś czasie. Nie ma kwestii dobra i zła, tylko kwestia stopni. Jak bardzo jest źle, kiedy leży się obok faceta z parą sterczących kikutów tam, gdzie niegdyś były jego nogi? Albo obok dziewięcioletniego dzieciaka, któremu brakuje połowy twarzy?

Gdy to piszę, kilku facetów gra w pokera o dwa łóżka ode mnie. Wielki John i Skeeter Lucas, i Coy Mayhew. Skeeter rozdaje, a ktoś wyklada karty za Wielkiego Johna, bo Wielki John, który mógłby w domu otrzymać futbolowe stypendium, nie ma

palców u lewej ręki, z wyjątkiem dwóch. A facet, który trzyma w ręce karty Coya, nabija się ze „ślepego szczęścia”. Mayhew dostał w twarz kulę, która przecięła mu nerw wzrokowy. Nigdy nie będzie widział, ale uważa się za szczęściarza, że to nie była lobotomia, niech będą dzięki Stanom Zjednoczonym Ameryki.

Najbardziej niesamowite w tym wszystkim jest to, że z tymi częściami ciała, które im pozostały, tworzą całość. Nie, więcej niż całość. Jest jeszcze szlachetność ducha... Nie wiem, jak to wytłumaczyć, bo nigdy niepodobnego nie widziałem, nawet w bitwie. Rodzaj miłosierdzia, mówiąc słowami starego Willa Szekspira. Wczoraj widziałem to miłosierdzie u paraplegika, który wyczołgał się z łóżka, żeby nakarmić kumpla, zbyt chorego, by mógł usiąść.

Płaczą nocą. Przyzwyczajasz się do tego, jak do zawodzenia wiatru w drzewach. Do cichego płaczu w poduszkę. Wszyscy chcemy wrócić do domu, ale i boimy się. Świat jest taki sam, ale my jesteśmy inni. Niektórzy Z nas na zewnątrz, wszyscy wewnątrz. I wszyscy się zastanawiamy, jak to będzie? Jak możemy wrócić i składać kawałki, kiedy one już nie pasują do siebie ?

Właśnie myślę o Rose. O tym, jak wygląda, jak się miewa. Muszę się nad tym natrudzić, jak nad malowaniem obrazu z pamięci. To mnie przeraża. Wiem, że kocham ją jak przedtem, ale im bardziej staram się ją sobie przypomnieć, tym odleglejsza się wydaje. Czy wciąż myśli o mnie? Czy zechce mnie z powrotem ? Ale jeśli nawet zechce, nie wiem, kogo we mnie dostanie? Nie faceta, który się nią opiekował, który nad nią czuwał, odkąd była dzieckiem. Teraz nie jestem pewien, czy potrafię zaopiekować się sobą, tym bardziej kimś innym. Czasami ogarnia mnie nocą strach. Myślę o Trangu, o Gruberze, o Matins-kym, i płaczę. Płaczę jak małe dziecko i to mi

napędza strachu. Dlaczego nie miałyby napędzać strachu również Rosę ?

Posłuchaj, Rosę, jeśli jesteś gdzieś i odbierasz na tej samej fali, napisz do mnie, na litość boską. Powiedz, że mnie kochasz. Powiedz, że będziesz mnie kochać bez względu na to, kogo znajdziesz w mojej skórze, kiedy wrócę. Powiedz...

- List do domu?

Brian podniósł wzrok, by zobaczyć Rachel, stojącą nad nim z dziwnie tęsknym wyrazem twarzy. Jak długo tutaj stoi?

- Można to tak nazwać - powiedział.

Odłożył pióro na zapisaną ciasno stronę i poczuł, że trochę napięcia z jego mięśni odpływa. Był zadowolony, że ją widzi.

Przyznaj się, człowieku, cieszysz się na to. No cóż, dobrze, to prawda. Przyzwyczał się oczekiwać jej wieczorem o tej porze. Kiedy było spokojnie, tak jak w ciągu ostatnich paru dni, zawsze zachodziła. Tylko że do tej chwili nie uświadamiał sobie, jak bardzo uspokajała go jej obecność. Uczciwie mówiąc, trochę wstydził się do tego przyznać, nawet przed sobą.

- Hej, doktorko! - zawołał do niej Wielki John. Pomachał kikutem prawej dłoni, a jego ciemna twarz rozplynęła się w uśmiechu szerokim jak Mississippi.

- Pozwolę pani wygrać, jeśli przyłączy się pani do nas.

Rachel roześmiała się i odkrzyknęła: - Rzeczywiście, po tym, jak obdarliście mnie ze skóry ostatnim razem.

Wielki John odrzucił do tyłu głowę z huczącym śmiechem. - Siostrzo, gdybym miał tutaj jakiegoś asa w rękawie, ty pierwsza byś się o tym dowiedziała.

Brian wiedział, że przekomarzanie się było formą okazywania jej szacunku. Oni wiedzieli, że jej na nich zależy, wiedzieli także, że nie będzie tolerować żadnych sztuczek. Podejrzewał, że kilku było w niej zakochanych.

Wielki John powrócił do gry. Rachel usiadła na skraju łóżka Briana. Dziś miała rozpuszczone włosy, które zdawały się trzaskać jak w polu elektrycznym. Umyła je i jaśniały rudo w ostrym świetle nagiej żarówki nad jego łóżkiem. Pochwycił świeży, cytrusowy zapach, i był jej wdzięczny. Miał dosyć zgniłego odoru śmierci na tym oddziale i za każdej wizytą uśmiech, blask niebieskich oczu, zapach, były jak mały podarunek, który należało odwiać powoli i rozkoszować się nim.

Chciał móc ofiarować jej coś w zamian.

- To dziennik, jaki prowadzę - wyjaśnił, kiedy zobaczył, że patrzy ciekawie na kołonoatnik. - Zacząłem go na początku mojej służby. Co dzień coś zapisuję. To moja karbowana laska, można powiedzieć. - Niektórzy faceci nosili laskę z nacięciem na każdy pozostały dzień służby. I co dzień odpiłowywali jeden żłobek, aż pozostawał tylko koniuszek i czas było wracać do domu. Rodzaj talizmanu, przypuszczał Brian. Wzruszył ramionami. - Trzyma mnie przy zdrowych zmysłach.

Przytaknęła. Z wyrazu jej twarzy poznał, że nie trzeba było wyjaśnień. Tak wiele rozumiała.

- Z zapasami zdrowych zmysłów jest tutaj krucho, więc bierz je skąd możesz - powiedziała. - Przypomina mi to, że coś ci przyniosłam. - Sięgnęła do kieszeni swojej koszuli khaki i wyciągnęła tabliczkę czekolady. Półgorzka Ghirardello. Na sam widok ślinka napłynęła mu do ust. - Moja matka je przysyła. Lubi udawać, że jestem na letnim obozie, tak jak wtedy, kiedy miałam dziesięć lat. Więc witaj na letnim obozie. - Podała mu tabliczkę, a jej spojrzenie znów padło na kołonoatnik. - Co z tym zrobisz?

- Jeszcze nie wiem. Może po prostu zatrzymam jako pamiątkę. Jeśli kiedyś będę miał syna, chciałbym, żeby wiedział.

- Lubisz dzieci? - Robiła wrażenie smutnej.

- Pewnie, że tak. Lepiej, żebym lubił. W domu mam sześciu młodszych braci. Sam zawsze zamierzałem mieć przynajmniej tuzin.

- Tylko tuzin?
- No, na dobry początek.

Roześmiali się oboje, ale pomyślał, że jej śmiech wydawał się wymuszony.

Nagle przyszło mu na myśl, że ostatecznie miał jej coś do zaofiarowania. - Chciałabyś go przeczytać?

- Mogę? - Uniosła głowę. Ożywienie pojawiło się na twarzy w kształcie serca.

Brianowi wydało się dziwne, że nie wstydził się ujawnić przed nią swoich najbardziej intymnych myśli. Ale czy naprawdę było to takie zaskakujące? Znałajego ciało lepiej niż jego własna matka. W pewnym sensie urodziła go. Przywróciła go życiu, dotykała go całego, zmywała z niego brud, karmiła. Naturalnie, że powinien czuć się z nią związany.

Wręczył jej dziennik, oczekując, że włoży go do którejś kieszeni, aby przeczytać później. Ale zaskoczyła go, otwierając notatnik od razu. Zaczęła czytać i nie przestała, nie poruszając się nawet, chyba żeby przewrócić stronę, aż skończyła ostatnią.

Czytała ponad godzinę. Było po dziesiątej, po czekoladzie pozostał słodki smak na języku. Gra w pokera skończyła się, mężczyźni wlekli się do swoich łóżek niepewnym krokiem starych pijaków. Lily robiła obchód, sprawdzając rurki tchawiczne i opatrunki, rozdzielając lekarstwa. Na całym oddziale słychać było skrzypienie łóżek, mężczyźni układali swoje pokiereszowane ciała w pozycji, w której mogliby zasnąć.

Kiedy Rachel podniosła wzrok, Brian zobaczył, że jej oczy lśniły od łez. - To jest dobre - powiedziała żarliwie. - Zmusiłeś mnie, żebym coś poczuła, a ja, do cholery, nie chcę niczego czuć.

- Wiem, o co ci chodzi, kiedy mówisz, że nie chcesz nic czuć. Myślałem o napisaniu książki, kiedy wrócę do domu. To dlatego zacząłem pisać dziennik, żeby niczego nie zapomnieć. Ale teraz nie wiem, czy mógłbym. Byłoby to jak przeżywanie wszystkiego od nowa.

Skinęła głową. - Rozumiem. Ale to jeden powód

więcej, prawda? Inaczej, jak powstrzymamy to szaleństwo?

Brian zastanawiał się. Wziął pióro i obracał je między kciukiem i palcem wskazującym. Czuł się tak odsłonięty przed nią, nagi nie tylko na zewnątrz, ale również w środku. Jeden krok na raz, pomyślał. Człowieku, teraz nie dasz rady więcej.

- Nawet gdybym ją napisał, kto chciałby ją czytać? Opinia publiczna chce ukrzyżować porucznika Calleya za My Lai. Nie rozumie, jak taka rzecz mogła się zdarzyć. Zapytaj człowieka na ulicy, jaka najgorsza rzecz mogłaby mu się przytrafić, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć odpowie „śmierć”. Ale naprawdę nie tego obawia się najbardziej. Myślę, że najbardziej obawiamy się samych siebie, tego, co moglibyśmy zrobić, gdyby nas dostatecznie mocno sprowokowano. Faceci tacy jak Calley wprawiają nas w zdenerwowanie, ponieważ zastanawiamy się, czy głęboko w nas nie siedzi ktoś zdolny zniszczyć całą wioskę.

Długo patrzyła na niego, zanim się odezwała. W końcu powiedziała: - Masz oczywiście rację. Ale jeśli nie zmusimy się do patrzenia na to, jaką możemy mieć nadzieję, że nie dopuścimy, by się to powtórzyło? - Pochyliła się w przód, ujmując jego rękę w dłonie. Dotykała go wiele razy, w różne miejsca, ale zawsze chłodnymi, sprawnymi rękami lekarza. Teraz wiedział, że dotyka go w inny sposób i poraziło go to jak prąd wysokiego napięcia. - Napisz swoją książkę, Brian. Jest już cała tutaj. Nie martw się o to, kto będzie ją czytał. Po prostu napisz ją.

Brian, patrząc w jej pełne żaru, niebieskie oczy, czuł się, jak gdyby jej pasja, jej przemożna wola zbiła go z nóg niczym fala, pozbawiając tchu. Powoli skinał głową. - Może napiszę. Może po prostu napiszę.

Dwa tygodnie później Brian leżał w łóżku i chciało mu się siusiu. Zastanawiał się, czy można umrzeć od wier-

ceniał się. Chwycił żelazne poręcze po obu stronach łóżka i podciągnął się do pozycji siedzącej. Czuł się tak słaby, że nawet ten prosty wysiłek wywołał ból, jak od uderzeń młota. Ale niech go diabli wezmą, jeśli nadal będzie tutaj leżał bezradny jak nowo narodzone dziecko. Tym razem wysusia się jak mężczyzna, stojąc na swoich dwóch nogach, nawet gdyby miało to oznaczać pęknięcie szwów w brzuchu.

- Kule - wysyczał przez zaciśnięte zęby.

- Chcę, żebyś wiedział, że to wbrew zaleceniom lekarza.

Rachel stała nad nim ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Miała na sobie zielony fartuch i sandały, włosy splecione w luźny warkocz, z którego wymykały się kosmyki. Policzki zarumienione, oczy błyszczące mieszaniną obawy i gniewu.

Chryste, nie było z nim aż tak źle, prawda? Wciąż miał nogi, chociaż po miesiącu leżenia na plecach całkiem naturalnie czuł się trochę słaby. Z wysiłkiem wyciągnął nogi spod pościeli. Ogarnęło go przerażenie, kiedy spojrzął na nie, opadające nad brzegiem materaca jak pończochy staruszki, powieszzone do suszenia. Skóra tak blada, że wyglądała martwo, szokująco na tle zygzakowatych blizn na udach.

Jezu, nie udźwignąłbym na nich torebki suszonych ziół.

Ale musiał przynajmniej spróbować, czyż nie?

- Do diabła z zaleceniami lekarskimi - powiedział jej. - Jeśli upadnę, możesz mnie podnieść. Ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę, żebyś nadal ocierała mi knota jak dwulatkowi.

Rachel z zaciętą twarzą podała mu sztywno kule.

- Cóż, jeśli tylko to cię martwi, widziałam więcej gołych tyłków niż szatniarz w męskiej ubieralni i wierz mi, że w twoim nie ma nic szczególnego.

Dawson na sąsiednim łóżku oparł swą czarną masę na łokciu i przewrócił jednym okiem, które nie było zakryte gaza. - Jak chce pani zobaczyć coś naprawdę

szczególne, pani przyjdzie i sprawdzi, co mam w szortach, pani doktor.

- Dziękuję, sierzancie. Będę o tym pamiętać. - Pochwyciła spojrzenie Briana i wytrzymała je, patrząc twardo i nieruchomo jak w lufę M-1 6. - Ale wy, chłopcy, mielibyście się lepiej, gdybyście myśleli tym, co macie między uszami, zamiast tym, co macie między nogami.

Dawson zarechotał, ale Brian patrzył z ponurą determinacją.

- Kiedyś muszę wyjść z tego łóżka. Równie dobrze mogę teraz.

Podciągnął się na nogi i natychmiast pożałował swojej brawury. Nogi chwiały mu się i trzęsły. Latryna nagle wydała mu się równie odległą jak Hongkong.

Wymachując kulami, zrobił dwa chwiejne kroki i zatrzymał się, żeby odpocząć.

Od szyi w dół był w ogniu, płomienie tańczyły mu po brzuchu i lizały pod obojczykiem. Był słaby, cholernie słaby. A to, co zobaczył, pochwytnąjąc swoje odbicie w szklanych drzwiach szafki z lekarstwami, również niewiele wzbudzało zaufania. O Jezu, czy to naprawdę ja? Wyblakłe odbicie szkieletu o wpadniętych oczach spojrzało na niego, przypominając mu zdjęcia ocalałych z obozów koncentracyjnych w czasie II wojny światowej.

Wszystko, co zdawało się utrzymywać go w pozycji pionowej, to struna determinacji, ciągnąca się od mózgu do stóp. I zanim szurając przeszedł pół drogi przez oddział, była napięta do ostateczności. Pot spływał mu między łopatkami. Czuł się jak rozgotowana ryba, z której bez trudu można wyjąć kręgosłup.

Inni mężczyźni - Dekę, Henson, Bucholtz, Pardo - obserwowali go z taką nadzieją, jak gdyby był Whiteyem Fordem na pozycji strzeleckiej. Tylko Boston - to nie było jego nazwisko, po prostu pochodził stamtąd, ale wszyscy tak go nazywali - odwrócił się twarzą do ściany. Biedny dzieciak, obie nogi amputowane w kolanach. Nigdy nigdzie nie pójdzie.

Jestem szczęściarzem, pomyślał Brian.

Ale w tej chwili nie czuł się szczęściarzem. Bardzo chciał się położyć. Podłoga wystarczyłaby w sam raz. Był tak zmęczony, że chciał tylko zamknąć oczy i spać.

Tylko wyobrażenie siebie leżącego w kałuży siuśków utrzymywało go w ruchu.

Brian zrobił cztery następne szurające kroki; podpórki kul boleśnie wrzynały mu się w pachy.

Wtedy obejrzał się przez ramię i zobaczył, że Rachel się nie poruszyła. Wciąż stała tam, gdzie ją zostawił, dziesięć metrów z tyłu, patrząc groźnie na niego.

- Nie patrz na mnie tymi wielkimi krowimi oczami - powiedziała gniewnie. - Skoro jesteś tak zdecydowany pokazać mi, jaki z ciebie mężczyzna, sam przejdź resztę drogi.

- Nie prosiłem o przysługę - powiedział. Wybuch złości dodał mu sił, popychając o kilka metrów dalej.

- Obowiązuje tutaj reguła: jak tylko jesteś zdolny do chodzenia, pakują cię do następnego samolotu na Okinawę. Słyszałam, że mają tam klimatyzację. I toalety ze spłuczkami. - W jej głosie brzmiało dziwne napięcie.

- Ledwie mogę się doczekać.

Czuł, że nowe mięśnie - mięśnie, których tak dawno nie używał, iż zapomniał, że je ma - ożywają. Do diabła z Rachel, co ją obchodziło, dokąd on pojedzie? Tam, skąd przyszedł, były setki innych. A wreszcie, kim on był dla niej? Czym więcej niż nazwiskiem i numerem na plakietce identyfikacyjnej? Pewnie, uratowała mu życie, ale to jest powinnością lekarzy.

Miał wrażenie, że upłyneła wieczność, zanim dowlókl swoje zdrętwiałe ciało do końca przyciemnionego, wyłożonego kafelkami korytarza. Pielęgniarka wskazała mu drzwi prowadzące do latryn.

Na zewnątrz zmrużył oczy przed nieznośnym słońcem, chyłącym się nad wierzchołkami odległych drzew. Poprzez czerwone plamy, które tańczyły mu pod przymkniętymi powiekami, dojrzał błotnistą ścieżkę, prowadzącą przez ogołoczone, ogrodzony drutem teren do rzędu czterech pobielonych kabin o dachach z falistej

blachy. Do jednej z nich był przyczepiony wymalowany ręcznie farbą napis: JEŚLI UDA CI SIĘ SIĘGNAĆ GŁOWY, NIE JESTEŚ MARTWY.

Brian niepowstrzymanie zaczął się śmiać. Łzy ściekały mu po policzkach i trząsał się tak, że był bliski upadku. To prawda, pomyślał. Jeśli mogłeś sam siusiać na wysokość ponad pół metra, byłeś dostatecznie mężczyzną, żeby przejąć kontrolę nad swoim przeznaczeniem. A przecież o to właśnie chodziło, czyż nie? O przejęcie kontroli. O zaprowadzenie jakiegoś porządku w egzystencji, która zdaje się ostatnio wypadła z orbity.

Z każdym dodatkowym dniem, jaki tutaj spędzał, czuł, że umyka mu dawne życie. Wspomnienia o domu wyblakły jak stare fotografie, wrzucone do dolnej szuflady. Co gorzej, jego wierność stała się zawikłana, niepewna. Każdy dzień przybliżał go do Rachel i odciągał o jeszcze jeden krok od Rosę.

Jestem głupi, myślał Brian. Myląc wdzięczność z...

Z czym? Z miłością?

Nie. To śmieszne. Rachel okazywała mu przyjaźń, to wszystko. Nie miał powodu, by zmieniać ją w coś więcej.

Parcie na pęcherz stało się nagle tak gwałtowne, że wyparło wszystko inne.

Brian usłyszał za sobą hałas. Zachwiał się mocno na kulach, niemal tracąc równowagę.

Rachel szła w jego ślad. Zatrzymała się na ścieżce kilka kroków za nim, obserwując go z niepokojem, tak jak matka mogłaby obserwować dziecko właśnie uczące się chodzić, ale nie podeszła, żeby pomóc. Teraz, kiedy on także stał, wydawała się znacznie mniejsza, i taka młoda z włosami zaplecionymi jak u uczennicy. Wyobraził sobie, że ściąga gumkę na końcu, rozplata powoli gruby warkocz, rozrzuca go, i te jedwabiście czyste, pachnące cytryną włosy pochłaniają jej twarz.

Niech ją diabli porwą za to, że tak jej potrzebuje.

- Do tego niepotrzebny mi doktor - powiedział sztywno. - Kiedy patrzyłem ostatnim razem, moja instalacja wodno-kanalizacyjna działała.

- Wiem o tym. Chciałam tylko powiedzieć... - Rachel umilkła i usłyszał, jak przełyka ślinę. Jej oczy nagle zrobiły się bardzo jasne. - Słuchaj, przykro mi. Nie powinnam była tak warknąć na ciebie.

- Czy to może poczekać? - powiedział niemal błagalnie. - Ja naprawdę muszę...

Zamilkł. Ogarnęło go przerażenie, gdy zdał sobie sprawę, że nie zdąży. Poczuł, jak coś w nim puszcza i nagle strumień ciepłej, szczypiącej wilgoci, rozlewał się na przodzie jego cienkiej bawełnianej piżamy.

I nagle było tego... po prostu... po prostu o wiele za dużo.

- O Jezu - jęknął i zaczął płakać suchym, urywanym szlochem.

Objęły go i zacisnęły się wokół niego ramiona, smukłe i silne jak liny. O tak, pomyślał, tonąc w jej miękkości, o tak. Położył głowę na jej ramieniu i pozwolił płynąć łzom.

Potem, z mocnym zapachem uryny, jaki się ku niemu unosił, przyszedł wstyd.

Chryste, co ja robię? Cholerny dwulatek ma więcej opanowania. Stoję tutaj we własnych szczytach i płacząc na jej ramieniu.

Próbował oderwać się od niej, ale te silne ramiona tylko owinęły się wokół niego mocniej. Czuł jej włosy, ciepłe od słońca i miękkie, takie miękkie, na swojej szyi. Jej cytrynowy zapach unosił się wokół niego.

- Ty idioto - powiedziała zduszonym z emocji głosem - myślisz, że mnie to obchodzi? Patrzyłam na ciebie... i nienawidziłam cię... za to, że byłeś taki dzielny. Do cholery, nie chciałam, żebyś odszedł.

Brian był tak zdumiony, że nie wiedział, co powiedzieć, oprócz „dlaczego”?

- Kocham cię - powiedziała po prostu. - A teraz ty wyjeżdżasz.

Był oszołomiony, kręciło mu się w głowie, jak gdyby zbyt długo przebywał na słońcu. Czuł, że ona mówi coś ważnego, ale jej słowa rozbiegały się i odpływały,

pozostawiając go ze strasznym uczuciem pustki. Pomyślał: O Jezu, jak mogę ją opuścić?

Ale nie znalazł słów, których szukał.

- Cuchnę - powiedział.

- Owszem. Ale znam gorszy smród - zaśmiała się nerwowo. - Chodź, trzeba cię umyć i przebrać w suche rzeczy.

Cofnęła się nieco i podała mu ramię, tak że nie potrzebował kul. Podtrzymywała go z łatwością, ta drobna kobieta, której siła i delikatność nigdy nie przestaną go zdumiewać.

I w tej chwili dowiedział się, od czego uciekał.

Kocham ją.

Od razu było to takie proste... a jednak takie niemożliwe. Wyjeżdżał. Wracił do domu, żeby zobaczyć, co jeszcze dało się ułożyć z Rosę. Chciał tego. Chciał tego tak bardzo i tak długo, że stało się to jak litania, jak modlitwa, której słowa powtarza się długo po tym, kiedy zapomniało się ich znaczenie.

Ale teraz tęsknił do Rachel. Było to coś głębszego niż samo pragnienie. Potrzebował jej tak bardzo, jak oddechania, snu i jedzenia. Ale cóż mógł jej obiecać? Jak mógł ją wziąć i nie zdradzić Rosę? Rosę również była częścią niego, w pewien sposób nawet tkwiła w nim głębiej - była jak szpik jego kości.

Przywierając do Rachel, kiedy powoli wracali przez podwórze, myślał, jakie to ironiczne, że ze wszystkiego, co wycierpiał, miłość do niej będzie najbardziej bolesna.

Dwie noce później przyszła do niego.

Widział, jak jej niewyraźna postać odrywa się od drzwi i idzie ku niemu korytarzem księżycowego światła między rzędami łóżek. Łóżek, na których spali mężczyźni i śnili o lepszych - miał nadzieję - miejscach niż to.

Miała rozpuszczone włosy, które przyciągały światło księżycy, tak jasne, że na ten widok serce utkwilo mu

w gardle. Potem jej chłodna ręka na jego policzku i ten letni zapach, owijający się wokół niego.

- Jutro - powiedział podciągając się.

- Wiem. Przyszłam się pożegnać.

Była tak blisko, siedząc przy nim w półmroku, że czuł na sobie jej oddech, ciepły i słodki jak jej zapach. Nagle tak bardzo zapragnął wziąć ją w ramiona. Tylko raz... móc ją przygarnąć... bo wiedział, że jeśli tego nie zrobi, będzie leżał tutaj całą noc - i prawdopodobnie do końca życia - żałując tego jak diabli.

Jednocześnie czuł, że byłoby to niewłaściwe. Mogłoby otworzyć coś, co powinno pozostać zamknięte. Kochał ją, ale nie mógł jej zaofiarować nic prócz tego... samego faktu, gołego i bezużytecznego jak łyżka bez talerza jedzenia. Więc może lepiej zostawić wszystko jak jest.

Tydzień na Okinawie, a potem, jeśli będzie miał szczęście, dostanie zwolnienie lekarskie i bilet do domu. Do domu, do Rose... jeśli nadal będzie go chciała.

Zobaczył ją w myślach, siedmioletnią, klęczącą przy ołtarzu, w białej sukience do komunii i welonie, jak najmniejsza panna młoda na świecie, taka poważna, z zamkniętymi oczami i złożonymi przed sobą rękami w białych rękawiczkach. Mała panna młoda w bieli, całkiem sama. Znowu poczuł to, co wtedy: pragnienie chronienia jej, jego biednej małej Rose, która tak potrzebowała miłości.

Niemieły głos zaszydził z niego: Do tej pory zapomniała o tobie. Nawet jednego listu. Znalazła kogoś innego, żeby się nią opiekował.

Głos Rachel rozpędził jego myśli. - Przypuszczam, że wrócisz do domu, z powrotem do Stanów.

Przytaknął. - Jeśli dadzą mi zwolnienie lekarskie. Cholernie mi się nie podoba ten objazd przez Okinawę. Jak brzmi to powiedzenie? Możesz oszukać diabła raz, ale nie dwa?

- Diabłu by się tam nie podobało. Za duża konkurencja. W każdym razie, zaleciłam zwolnienie dla ciebie.

Możesz już ustać na nogach, ale daleka jeszcze droga, zanim będziesz gotów do walki.

Jezu, czy ktoś jest kiedy do niej gotów?

Przez chwilę milczała. - Przyrzeknij mi coś, Brian.

- Wszystko, co zechcesz, pani doktor.

- Przyrzeknij mi, że napiszesz tę książkę. Masz cudowny dar. I coś ważnego do powiedzenia. Ludzie powinni wiedzieć. Ludzie tam, w domu... o tej wojnie.

Ludzie tam, w domu. Znów pomyślał o Rose. Nie, nie mógł sobie wyobrazić, że opowiada jej o wojnie. Jakże mogłaby ona - czy ktokolwiek inny, kto przez nią nie przeszedł - zrozumieć?

Rachel wie, pomyślał. Jej niczego nie muszę wyjaśniać.

- Jeśli ją napiszę - powiedział - to po prostu po to, żebym ja sam zrozumiał. I nie jestem pewien, czy nie za dużo wymagam.

Dotknęła jego ręki, przesuwając lekko palcami po gałce kości, wystającej z pozbawionego ciała przegubu. Czuł taki smutek w tym dotyku... że chciał otworzyć oddzielające ich drzwi i dowiedzieć się, co jeszcze za nimi było...

- Musisz dużo jeść - powiedziała. - Przydałoby ci się trochę przytyć.

- Pizzę - zaśmiał się - aż wyjdzie mi uszami. Jezu, myślę, że zamieniłbym cały ryż w tym przeklętym kraju na jeden kawałek pizzy z Avenue J.

- Marzę o pastrami z delikatesów Carnegie. Z brązową musztardą i wielkim małosolnym ogórkiem. Czy zrobisz to dla mnie, Brian? Czy pójdziesz tam, kiedy wrócisz do domu i zjesz jedno za mnie?

- Nawet o kulach, jeśli będę musiał.

- Będę za tobą tęsknić. Brian, nie wiem, jak to powiedzieć, ale...

Wyciągnął rękę i lekko przycisnął palec do jej miękkich ust. - Nie musisz. Ja wiem.

- Będę... tęsknić za tobą - powtórzyła cicho, a kiedy pochylił się do przodu, żeby lekko pocałować ją w policzek, poczuł wilgotne pieczenie łez na wargach.

Kocham cię, pragnął jej powiedzieć. Ale powiedziała:
- Napiszę ją. Tę książkę. - Zadeedykuje ją jej, choć może nigdy jej nie zobaczy.

- Cieszę się.

W oświetlonej księżycem ciemności widział czysty, mocny zarys jej twarzy, dumne uniesienie podbródka i niczego w życiu nie żałował tak bardzo, jak tego, co musiał teraz powiedzieć.

- Żegnaj, Rachel.

ROZDZIAŁ 15

Brian przyjął butelkę Glenlivet, którą ofiarował mu Dan Petrie. Przechylił głowę do tyłu i pociągnął długi łyk. Whisky paliła mu gardło. Ostatnie dziesięć dni na Okinawie były najdłuższymi w jego życiu i próbował - bez powodzenia, ale szczerze próbował - przetrwać jeszcze jeden dzień bez końca, upijając się w sztok.

- Chłodzi w gorącym klimacie - powiedział pewny siebie, mały Australijczyk i zaśmiał się. - Ostatnim razem, kiedy tak się zalałem, byłem na łodzi rybackiej w Zatoce Meksykańskiej, trąbiąc czarny rum z Fidelem Castro. Jeśli kiedykolwiek był gość, który potrafił pić ze mną łąb w łąb, to właśnie ten sukinsyn z czarną brodą. Ale ty też nieźle sobie radzisz, kolego. Kłopot w tym, że nie wydaje mi się, żebyś zalał robaka, który cię gryzie.

Brian skupił wzrok na małym facecie o włosach koloru piasku, siedzącym naprzeciw niego na pomarańczowym plastikowym krześle. Petrie przypominał mu małomiasteczkowego trenera młodzików. Korespondent UPI miał na sobie włochaty niebieski szlafrok, prawe ramię nosił na temblaku, zsunięta w tył głowy

marynarska czapeczka odsłaniała włosy ostrzyżone na jeża. W ciągu pół godziny, odkąd zaczęli rozmowę w sali klubowej Two East, Brian zauważył zjadliwość pod łatwym przekomarzaniem się Petriego. Jego bystre niebieskie oczy wyglądały jak przymocowane sworzniami do głowy i chytrze udawał, że ledwie słucha, podczas gdy chłonał każde wypowiedziane słowo.

- Dostałem dzisiaj wiadomość - powiedział Brian.
- Zwalniają mnie. Jedna nerka i trzy metry wnętrzości mniej kwalifikują mnie do natychmiastowego przeniesienia do rezerwy i Purpurowego Serca.

Dan przytknął butelkę do ust, a potem otarł wargi wierzchem dłoni. - Wojna działa cuda, jeśli chodzi o perspektywy, ale dla anatomii jest straszna. Nie wydasz się tym zbyt uszczęśliwiony. Powrotem do domu, chciałem powiedzieć, nie krwawiącym Purpurowym Sercem. Mówiłeś, że w której jednostce byłeś, kolego?

- W sto dwudziestej pierwszej piechoty - powiedział Brian, wycierając szyjkę butelki rękawem kraciatygo szlafroka, zanim ją oddał. - Stacjonowaliśmy mniej więcej w połowie drogi między Da Nang i wioską o nazwie Tien Sung. Baza Alfa.

Australijczyk wzrostu półlitrowki skinął głową. - Taaa, znam dość dobrze to miejsce. Powinienem... Byłem tam. Cholerna jatka. Wygląda na to, że wyniosłeś się stamtąd w samą porę.

Brian poczuł, że sztywnieje i że gardło zaciska mu się boleśnie.

- Byłeś tam? - powtórzył jak echo.

Petrie wskazał na swoją rękę na temblaku prawie pustą butelką, którą ścisnął w zdrowej dłoni. - Tam dostałem tę pamiątkę. Odłamek szrapnela wielkości kołatki do drzwi. - Uśmiechnął się. - Rozłupał mi łokieć na dwoje. Teraz mam tam dwa czułe miejsca zamiast jednego. Ale nic mi nie będzie. - Zamilkł, zezując na Briana. - Chryste, jeśli chodzi o ciebie, nie jestem taki pewien. Wyglądasz jak przedsiębiorca pogrzebowy na własnym pogrzebie, kolego.

Brian rzeczywiście czuł mdłości i zawrót głowy. Sala klubowa, gdzie siedzieli - brzydki, pozbawiony okien pokój, wypełniony plastikowymi krzesłami i chwiejącymi się stolikami do kart, przy których mężczyźni o zgaszonych oczach, w płaszczach kąpielowych i piżamach, grali bezładnie w *gin rummy* - nagle zachwiał się.

Brian zacisnął ręce na poręczach krzesła, obawiając się przez chwilę, że spadnie na podłogę. Był bardziej zawiąny niż zdawał sobie z tego sprawę. Nie dość jednak, by nie czuć zimnego węzła strachu, tworzącego mu się w żołądku.

- Co się stało? - zapytał, czując w ustach gorzki smak kredy.

- Byłem w Da Nang, obsługując jakąś nasiadówkę SEATO, kiedy doszła nas wieść o tej akcji. Zanim mnie tam dowieźli, zabawa już się prawie skończyła... Żółtki zepchnęły twoją kompanię z powrotem na wzgórze, przeniknęły w cały obszar.

Gardło Briana tak się zacisnęło, że nie mógł przełykać. - Jest tam... Jest tam szpital. Katolicki szpital. W Tien Sung. Corpus Christi. Byłem tam, zanim przysłali mnie tutaj. Nie wiesz, czy ich ewakuowano?

- Nie słyszałem, ale wątpię. Dobrze, że wyniosłeś się stamtąd na czas. To miejsce roi się od wietkongu - wszyscy ich ranni tam biwakują.

O Boże, spraw, żeby nie miał racji. Tylko ten raz. Ale Petrie był czołowym reporterem. Jeśli ktoś znał fakty, to na pewno on.

Myślał o Rachel - nie przestawał o niej myśleć dłużej niż na minutę czy dwie w ciągu tych dziesięciu dni, odkąd ją opuścił. Pałący smak whisky znów podszedł mu do gardła. Wiele słyszał o tym, co wietkong robi z białymi kobietami... Chryste, a te dwie francuskie zakonnice, znalezione martwe, z obcięzonymi językami, przywiązane do drzew. Boże, miał nadzieję, że za bardzo potrzebowali jej jako lekarza, żeby zadawać jej tortury, jakie przechodziły mu przez głowę.

Cichy głos odezwał się w jego głowie: Ona potrafi zadbać o siebie. Ucieknie w razie niebezpieczeństwa. W każdym razie, kto cię wyznaczył na jej zbawiciela?

Nagle Brian był zupełnie trzeźwy. Ucisk w gardle ustąpił. Wiedział, co ma robić. Pochylił się do przodu i pokój raptownie się wyprostował.

- Petrie, muszę się tam dostać z powrotem - powiedział ściszone głosem. - Ktoś, kogo znam - lekarka - chcę się upewnić, że nic się jej nie stało. Wydostać ją stamtąd, jeśli wciąż tam jest.

Dziennikarz parsknął śmiechem. - Ty i całe te przeklęte siły zbrojne. Przykro mi, kolego, ale widziałeś za dużo filmów z Johnem Wayne'em. Poza tym, czy nikt ci nie powiedział? Tam trwa ta przeklęta wojna.

Brian czekał. Po minucie czy dwóch cyniczny uśmiech zniknął z twarzy Petriego. Wtedy Brian powiedział: - Nie mam wiele czasu. I potrzebuję twojej pomocy.

Australijczyk opowiedział mu o tym, jak obsługując Wojnę Sześciodniową został wzięty przez Syryjczyków do niewoli na Wzgórzach Golan i w jaki sposób zdołał uniknąć obciążenia jaj. I nawet jeśli połowa opowieści była czystą bujną, wynalazczość tego faceta godna była Roberta Louisa Stevensona. Gdyby Brian zdołał go namówić, byłby piekielnie użytecznym sojusznikiem.

- Chryste, myślisz, że kim ja jestem? Przeklętymi Zielonymi Beretami?

Brian czuł, że usta mimo woli składają mu się do uśmiechu. Mięśnie twarzy bolały go z wysiłku. - Zielonym Beretom nie rozdają nagród Pulitzera.

Nieoczekiwany wyraz skupienia na twarzy Petriego powiedział Brianowi, że zyskał teraz całkowitą uwagę tego człowieka.

- To fantastyczna historia - ciągnął Brian, starając się nie stracić rozpędu. - Byłem właściwie martwy, a ona... ona rozcięła mnie i masażem przywróciła moje serce do życia. A poza tym... - Umilkł.

Poza czym? Co miał zamiar powiedzieć?

Nic, o czym nie myślałbyś tysiąc razy, odpowiedział sam sobie.

Petrie zdjął czapeczkę i czekał, przesuając krótkimi kwadratowymi palcami po swoim jeżu. Jego bystre niebieskie oczy były utkwione w Briana, jak gdyby ten miał zaraz wygłosić Kazanie na Górze.

- ...mam zamiar wy dostać ją stamtąd i ożenić się z nią
- dokończył Brian.

Czy to prawda? Nie wiedział. Ale, o Chryste, jak przyjemnie było to powiedzieć. I to rzeczywiście byłaby fantastyczna historia.

- Cholera - Petrie klepnął się w kolano, uśmiechając szerzej niż zwykle. - Patrzcie, co za historia. Może nawet film. Założę się, że sam John Wayne zgodziłby się w nim zagrać główną rolę. Ładna ta twoja lekarka?

Przez chwilę Brian nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nie myślał o niej w ten sposób. Ładna była dziewczyna w letniej sukience o obnażonych ramionach, z długimi opalonymi nogami, przechodząca obok chodnikiem. Ale nie można było zacząć opisu Rachel od takich rzeczy.

- Jest inna niż wszystkie kobiety, jakie widziałeś
- powiedział Brian.

Dan Petrie wysuszył ostatnie krople whisky. Miał mocno zarumienione policzki i blask w oczach.

- Potrzebowałbyś miesiąca niedziel, żeby zmieniono ci rozkazy i żeby ci w ogóle na to pozwolono, co jest mniej więcej tak prawdopodobne, jak to, że ja dostanę Pulitzera - powiedział.

- Postąpię wbrew rozkazom, jeśli będę musiał. Więc mniejsza o mnie. Ale co z tobą? Mogę na ciebie liczyć?

- Mówili o mnie, że jestem lekkomyślny, ale nigdy, że jestem idiotą. Następnym razem to mnie mogą odstrzelić głowę.

- A co ze Wzgórzami Golan? Przecież to nie był niedzielny piknik.

- To było co innego.

- Dlaczego?

- Tam, na pustyni, zazwyczaj widzisz, kiedy nadchodzą. Nie strzelają do ciebie spomiędzy drzew. To znaczy, jeśli w ogóle dojdiesz tak daleko. Po pierwsze, jak zamierzasz się stąd urwać?

- Wydaje mi się, że nie to będzie najtrudniejsze... Nie ma nas zbyt wielu dostatecznie głupich, żeby wbrew rozkazom wracać do tego piekła. To ostatnie miejsce, w którym przysłoby im do głowy mnie szukać. Ale, do diabła, potrzebuję twojej pomocy.

Petrie myślał chwilę, pocierając podbródek. - Musiałbym poprosić o przysługę tu i ówdzie. Mój kolega, który pracuje dla „Stars and Stripes”, mógłby pomóc nam się przedostać. Jednak nie mogę niczego obiecać.

- Dam ci na to wyłączność, Petrie - przymilał się zdesperowany Brian. - Do diabła, mógłbym nawet zrobić ci drużbą na moim weselu. Co ty na to?

Chryste, pomyślał, co ja mówię? Jakie wesele? Jeśli w ogóle się stąd ruszymy, będzie to najprawdziwszy cud.

Ale wiedział, że dla Rachel obiecałby wszystko.

Petrie powoli skinał głową, wciąż z powątpiewaniem na twarzy. - Zobaczę, co się da zrobić, kolego.

Chłopiec nie wyglądał na więcej niż czternaście, może piętnaście lat. Ale na jego poznaczonej bliznami twarzy i w zwężonych czarnych oczach Rachel zobaczyła coś, czego nie widziała nigdy przedtem.

Nienawiść. Czystą i morderczą.

Czuła się, jak gdyby połknęła coś zimnego na pusty żołądek. Poczowała ukłucie bólu nad prawą brwią i gęsią skórę na ramionach.

Wyczuwała, że chłopiec leżący w łóżku, patrzący na nią tymi płonącymi oczyma, zabiłby ją bez chwili namysłu, gdyby miał dość sił.

Jestem wrogiem. Nie obchodzi go, że umarłby bez mojej pomocy. Wolałby raczej to niż czuć mój dotyk.

Rachel wzdrygnęła się i skurcz wywołał drżenie rąk.

Igła do kroplówki wysliznęła jej się z dłoni i zadzwoniła o betonową posadzkę.

Weź się w garść, upomniała się. Jesteś lekarzem, nie żołnierzem. Twoim zadaniem jest uzdrawianie. To takie proste.

Rozerwała celofanowe opakowanie zawierające świeżą igłę i chwyciła chłopca za miękki, umazany krwią nadgarstek, szukając żyły. Mógł potrzebować dwóch litrów krwi, ale wyglądało na to, że jego rany nie były aż tak groźne, jak z początku myślała. Może nawet operacja nie będzie konieczna. Oczyszczy je i zszyje. Potem...

Coś wilgotnego uderzyło ją w policzek.

Przerażona Rachel podniosła wzrok i zobaczyła, że on się uśmiecha, wargi ma rozciągnięte w grymasie triumfu, nakrapiane krwawą śliną.

Drżąc, Rachel wzięła czysty skrawek gazy i wytarła policzek tam, gdzie on ją opluł. O Boże drogi, niemożliwe, żeby to się działo, niemożliwe. Jestem opanowana...

Wirowało jej w głowie, wszystko stało się szare i faliste, jak gdyby patrzyła przez brudne zasłony z gazy. Czuła, że jeśli się nie położy, zemdleje. Była na nogach od dwudziestu czterech godzin.

Teraz chłopiec wykrzykiwał coś, na pewno stek wyzwisk, skierowany do niej. Rachel powoli cofnęła się, wciąż trzymając w dłoni igłę rozmiaru osiemnaście. Napotkała spojrzeniem żołnierza wietkongu, który stał na straży przy wejściu na oddział. Coś w jego oczach zmroziło ją do szpiku kości... Patrzył na nią tak, jak wąż mógłby patrzeć na królika, kiedy zastanawiał się, czy go zjeść.

Byłam im użyteczna cztery dni temu, kiedy ich ranni przelewali się przez izbę przyjęć... Teraz następuje odpływ... a Lily słyszała, jak ich dowódca mówił o sprowadzeniu własnych lekarzy. Więc kto wie, jak długo potrwa, zanim uznają, że mogą mnie poświęcić? A wtedy co?

Lily ją teraz zlizowała. - *Yen langcho* - krzyknęła ostro. Milczec, psie. Wyjęła igłę z garści Rachel i wbiła ją w rękę

wietnamskiego żołnierza. Lily wyglądała na tak wyczerpaną, jak Rachel się czuła. Pasma tłustych czarnych włosów, które wymknęły się z koka, opadały na jej smukłą szyję koloru kości słoniowej. Oczy miała szklane i pożyłkowane naczyniami włosowatymi. Przd jej uniformu był sztywny od zaschniętej krwi.

Kiedy któraś z nich ostatnio spała? Cztery dni od wzięcia Tien Sung wydawały się jak trzy lata. Wioska była teraz pełna żołnierzy wietkongu. Skąd mogła wiedzieć, że tak się stanie, kiedy po ewakuacji w zeszłym tygodniu została na ochotnika, aby zaopiekować się tą garstką zbyt chorych, żeby można ich przenosić? Najgorsze już minęło, ale potyczki codziennie sprowadzały rannych.

Pomyślała o Brianie i na krótką chwilę poczuła się silniejsza, żywsza niż w ciągu wielu dni. Bogu dzięki, przynajmniej on wydostał się na czas.

Potem znów pochłonęła ją szarość rozpacz. Boże, jak za nim tęskniła. Widziała go w myślach, jego srebrzyste oczy, wymizerowaną twarz. Nieskończenie smutne spojrzenie, jakie jej rzucił, kiedy wnoszono go do śmigłowca do Da Nang.

Odszedł. I prawdopodobnie nigdy go już nie zobaczy. I ten ból. Bolało o wiele bardziej niż mogła sobie wyobrazić. Ale nie może pozwolić sobie na załamanie. Nie teraz. Ci z wietkongu byli istotami ludzkimi i potrzebowali jej. I tak długo, jak długo będzie im pomagać... na pewno pozostawiają w spokoju.

Rachel przeszła do następnych noszy. - *Bac-si* - powiedziała, przedstawiając się małemu zasuszonemu starszuskowi, który spojrzał na nią obojętnymi obsydianowymi oczyma. Doktor. To znaczy, że jestem tu po to, żeby ci pomóc, niezależnie od tego, jak bardzo nam obojgu się to nie podoba. Rozumiesz?

Najwidoczniej nie rozumiał. Jego oczy pozostały puste jak łuski po pociskach. Wyglądał na sto lat i wyraz jego pomarszczonej małpiej twarzy mówił, że mógłby przeżyć jeszcze sto i nie zobaczyć niczego, co by go zaskoczyło. W porównaniu z innymi nie był ciężko ranny. Głębokie

boczne rozcięcie nogi, od kolana po pachwinę, wyglądało na ranę od noża. Ale ta twarz...

- *Anh bao nhieu tuoi!* - zapytała go swoim kulawym wietnamskim. Ile masz lat?

Głosem równie obojętnym jak jego oczy odpowiedział:

- *Muoi chin.*

Dziewiętnaście.

O Chryste drogi... Rachel zdławiła histeryczny chichot. Pomyślała, że jeśli wkrótce się stąd nie wyniesie, łatwiej straci rozum niż życie.

Brian przywarł do krawędzi siedzenia, kiedy jeep przeskoczył nad wyrwą dość głęboką, żeby utopić bawołu. Przygotował się na straszliwy wstrząs. Chryste. A on myślał, że główna droga jest zła. W porównaniu z tą była jak autostrada z nową nawierzchnią.

- Czy on na pewno wie, dokąd jedzie? - wrzasnął Brian do Dana Petrie ponad rykiem silnika, podczas gdy oczy miał utkwione w tyle głowy Nguyena, ich wietnamskiego kierowcy.

Tej drogi nie było na mapie Randa McNally'ego, tego mógł być zupełnie pewien. Przynajmniej przez pięć kilometrów nie widzieli żadnych śladów cywilizacji. Znajdowali się w krainie zimnego potu, jak zwykł mawiać Dorfmeier, kumpel z plutonu. Nic prócz wysokich drzew tekowych i mangrowców, oplecionych lianami, wysokich po pas paproci i trawy. Idealne miejsce na zasadzkę.

- Nie mam najmniejszego pojęcia! - odwrzasnął Dan radośnie. - Ale po co się martwić, wkrótce się dowiemy.

Brian patrzył, jak Nguyen z zadziwiającą zręcznością okrąża jeszcze jedną olbrzymią wyrwę. Droga, właściwie raczej ścieżka, była zaledwie dość szeroka dla jeepa i każdy skręt w bok sprawiał, że słaniali się i podskakiwali na siedzeniu, pozostawiając w ślad za sobą zgniecioną trawę i błotną kipieli.

Po co się martwić. W ciągu minionych dwóch dni słyszał sto razy, jak Dan Petrie wypowiada te słowa. Jak

gdyby jechali pociągiem do Sheepshead Bay. Chryste. W każdej chwili mogli zostać zabici. Ale Dan Petrie, Bóg jeden wie w jaki sposób, doprowadził ich bezpiecznie aż dotąd.

Najpierw lot do Sajgonu. Petrie jakoś wyklócił się o zestaw fałszywych zleceń dla Briana jako jeszcze jednego reportera z jego agencji informacyjnej i wsadził ich do C-130, pełnego rekrutów. Zadziwiające szczęście, dopóki podpułkownik z dywizji Briana nie poprosił o pokazanie dokumentów. Jezu, jakże się wtedy spocił! Ale dowódca, patrząc wprost na niego, przepuścił ich. Brian zrozumiał, jak musi wyglądać. Prawdopodobnie nie rozpoznałby sam siebie. Piętnaście kilo, może więcej, lżejszy. Szczeniak, jakim był sześć miesięcy temu, był tak podobny do niego jak do Ho Chi Minha.

Sześć godzin później kumpel Petriego ze „Stars and Stripes” wpadł do poczekalni dla oficerów na lotnisku i zaprowadził ich do śmigłowca. Niedługo potem Da Nang, błękitna woda i plaże koloru khaki okolone zielenią, z lotu ptaka były ładne jak każda pocztówka. Nikt by się nie domyślił, że niedaleko ludzie zabijają się nawzajem.

Ich szczęście wyczerpało się, a przynajmniej tak się zdawało Brianowi, kiedy Dan próbował namówić sierżanta z bazy samochodowej, żeby wypożyczył im jeepa. Ale Dan po prostu wyciągnął następnego królika z kapelusza, tym razem w postaci kilku magazynów z gołymi dziewczynami i paczki opiumowanych papierosów, i jeep był ich.

Wynajęcie tego kierowcy, Nguyena, również było wynikiem natchnienia Petriego... a przynajmniej Brian tak wtedy sądził.

Brian pomyślał, że ich szczęście skończyło się na pewno przy zjeździe z głównej szosy. Wtedy zgodził się z Petriem, że bezpieczniej będzie jechać do Tien Sung boczną drogą, nie tak uczęszczaną i rzadziej patrolowaną. Ale teraz obawiał się, że wybrali złą trasę...

Byli na terytorium żółtków, czuł to. Czaszka skurczyła mu się i robiła wrażenie za ciasnej. I gdyby jaja podeszły mu wyżej, miałby je w gardle.

- Żałujesz? - zapytał Petrie, patrząc na Briana tymi swoimi przyśrubowanymi oczami spod daszka czapeczki.

- Nie - odpowiedział Brian. Mogli zostać zabici, ale musiał przynajmniej spróbować dotrzeć do Rachel.

- Wobec tego ona musi być kimś szczególnym. - Petrie zaczął gwizdać temat z *Mostu na rzece Kwai*.

Brian skupił uwagę na wąskim trakcie. W każdej sekundzie mogli wpaść na minę. Albo mogli ustrzelić ich snajperzy. Chryste, jak bardzo chcieliby mieć swój M-16. Albo chociaż pistolet. Ale w Da Nang Dan nalegali, żeby nie brać żadnej broni. Cywile, oto w jakim charakterze tutaj przybyli. To było ich obroną i jedyną nadzieją, nawet jeśli mizerną. Poza tym, przy snajperach z wietkongu nawet z dwoma karabinami nie zdążyliby zmówić modlitwy.

Jednak słowa Petriego nasunęły Brianowi pewien pomysł. W przeddzień wyjazdu z Da Nang odwiedził po południu kościół katolicki w sercu miasta. Wspominał teraz, jak ksiądz, szczupły Euroazjata, który mówił po angielsku z francuskim akcentem, prowadził go przez labirynt wąskich kamiennych korytarzy, a potem do małego zamkniętego ogrodu. Kamienne ściany tonęły w powoju i kapryfolium, pagórki podobnej do mchu trawy rosły między starannie rozmieszczonymi kamieniami, a niewielki staw zdobiły lilie wodne, skupione na jego środku jak klejnot. Najczarowniejszy ogród, jaki Brian kiedykolwiek widział. Na tekowej ławce w cieniu hibiskusa ojciec Sebastian podał mu gorzką chińską herbatę, a potem Brian ukląkł z nim w miękkiej trawie do modlitwy. Czuł się daleko od Boga, ale znane wyrazy i intonacje kołysły go, jak gdyby matka położyła mu rękę na czole. Potem ksiądz odesłał go z błogosławieństwem i z tą rzeczą, po którą Brian przyszedł... rzeczą, która, miał nadzieję, mogła zapewnić im bezpieczeństwo. Miał

ją teraz schowaną pod kurtką. Nawet Petrie o niej nie wiedział.

Brianem rzuciło do przodu, kiedy kierowca nagle zahamował i zatrzymał się.

Około trzydziestu metrów przed nimi jakiś dzieciak w czarnej piżamie i drewniakach blokował drogę. Wyglądał na jakieś szesnaście lat i mógłby być wieśniakiem w drodze na poletko ryżowe... gdyby nie to, że trzymał karabin. Radziecki AK-47.

- *Dung lail* - polecił chłopiec.

Brian patrzył bezradnie, z mocno napiętym każdym mięśniem, jak Nguyen zeskakuje sztywno z siedzenia kierowcy i podbiega truchtem do chłopca, klapiąc sandałami błoto.

Dziko gestykulując, obaj wdali się w rozmowę w swoim śpiewnym języku.

- Nie ruszaj się - wyszeptał Dan, kładąc rękę na ramieniu Briana. - Uśmiechaj się tylko. Uśmiechaj się, jakbyś właśnie zdobył pierwsze miejsce w konkursie Miss America.

Brian posłuchał. Uśmiechał się tak usilnie, iż myślał, że jego twarz na zawsze zastygnie w tym grymasie. I cały czas trzymał się sztywno, mięśnie ogarniał mu kurcz, pot ściekał mu z czoła, wnętrzności z przerażenia zwijały się w węzeł.

Nguyen raptownie się odwrócił i zmierzał z powrotem do jeepa. Miał zaciętą twarz, oczy zwężone w pogardzie.

Petrie zaklął pod nosem. - Na nic. Nie pozwoli nam przejechać. Mamy szczęście, że nas nie zastrzelił. - Po krótkiej pauzie dodał ponuro: - Chyba że najlepsze chowa na koniec.

Brian myślał o Rachel. Musi do niej dotrzeć. Musi spróbować szczęścia. Nagle wszystkie jego mięśnie połączyły się w jeden, popychając go działania. Wyrwał ramię z uścisku Dana i wyskoczył. Zbyt późno zdał sobie sprawę, że powinien był poruszać się ostrożniej. Błysk pomarańczowego ognia. Syk, jak gdyby kropla wody upadła na rozgrzaną patelnię. Brian poczuł, jak gorące powietrze omiotło mu policzek.

Ciepłe błoto cuchnęło nawozem. Leżał na brzuchu, z ramionami obronnie zwiniętymi nad głową, z jeszcze ciepłym wylotem lufy półautomatycznego karabinu, przyciśniętym do szyi. Umrę. Po tym wszystkim. Zastrzelony na drodze jak zając. Jezu Chryste, wszystko na darmo.

Po dręczącej chwili leżenia bez ruchu i zastanawiania się, jak to jest umierać, zrozumiał, że to nie musi się stać... Przynajmniej nie zaraz. Opuścił ramiona i podniósł głowę. Przed oczyma miał brudne stopy w chodakach. Powoli Brian podniósł się na kolana, trzymając ręce w górze, dłonie otwarte, aby pokazać, że nie ma złych zamiarów. Teraz, patrząc w okragłą ciemnoskórą twarz swego zdobywcy, widział, że dzieciak bał się tak samo jak on.

Brian podjął ryzyko i pokazał gestami, że chce rozpiąć kurtkę. Chłopiec uniósł karabin, mierząc wprost w czoło Briana... a potem skinął głową.

Brian rozpiął zamek wiatrówki.

Pod spodem miał czarną księżą koszulę i koloratkę.

Przeżegnał się, modląc się z większym strachem niż to robił setki razy przed ołtarzem Świętych Męczenników, żeby ten chłopiec był katolikiem, a nie buddystą.

Serce łomotało mu w uszach, a pot ściekał po nosie i podbródku. Rój komarów ciął go i brzęczał irytująco. Ale Brian nie śmiał ich odpędzać. Pozostał zupełnie nieruchomy. Zobaczył, że zimorodek sfruwa z wysokiego drzewa, że słońce zaplątuje się w jego skrzydłach blaskiem opalizujących kolorów.

Minęła wieczność, zanim chłopiec powoli, sztywno opuścił karabin. Gestem kazał Brianowi wstać. Ostrożnie, a nawet z uszanowaniem, chłopiec wyciągnął rękę i dotknął palcem wskazującym medalu Świętego Krzysztofa, który wisiał na szyi Briana.

Brian zdjął łańcuszek przez głowę i wręczył chłopcu medal. Uśmiechnął się, by okazać, że jest to podarunek, oferta pokoju. Nieustępliwość opadła z żółtawej twarzy chłopca i uśmiechnął się.

Może wszystko będzie dobrze, pomyślał Brian.

Ogarnęła go ulga. Nogi chwiały się pod nim, kiedy próbował wstać i dwa razy się potknął, zanim w końcu zdołał stanąć.

Nie odwracając się Brian mówił szybko, kierując słowa do Nguyena: - Powiedz mu, że muszę przedostać się do szpitala. Jest tam lekarz... lekarka... potrzebujemy jej dla... dla księdza w Da Nang, który jest bardzo chory. Powiedz mu, że ksiądz umrze, jeśli nie zabierzemy jej ze sobą.

Nguyen przetłumaczył jego słowa na krótkie, wysokie dźwięki języka wietnamskiego.

Pięć minut później ich jeep wspinał się stromą górską drogą do Tien Sung. Chłopiec ubrany w pizamę opierał karabin o stopień i wyglądał na zachwyconego i dumnego ze swojej nowej, ważnej roli.

Dan odwrócił się do Briana, jego małpią twarz pofałdował niedowierzający uśmiech. - Jezu Chryste. Ależ ty masz tupet. To było najlepsze przedstawienie od czasu Ostatniej Wieczerzy.

Brian uśmiechnął się. - Podczas Ostatniej Wieczerzy nie podano tortu weselnego.

Rachel zamknęła szafkę na lekarstwa, potem odwróciła się w kierunku schodów prowadzących na pierwsze piętro, kołysząc tacą z nowymi strzykawkami i czterema ampułkami morfiny i penicyliny. Spojrzała na wietnamskiego strażnika, opartego o ścianę na drugim końcu korytarza, trzymającego karabin przez pierś i obserwującego ją uważnie. Już się go nie bała. Niemal chciała, żeby ją zastrzelił i położył kres jej udreće.

Nie spała od trzech dni. Była na skraju załamania nerwowego. Gdyby nie Kay, co by się z nią stało? Kay, która również wyglądała jak śmierć, ale zdawała się czerpać siły z jakichś głębokich rezerw. Ale nawet siły Kay nie były niewyczerpane. Dzisiaj Rachel widziała ją,

jak potyka się ze zmęczenia, niemal upuszczając naręcze świeżych bandaży, które niosła.

Gdyby tylko mogły uciec...

Jestem jak ktoś, kto głoduje, a jego ciało zaczyna zjadać samo siebie, pomyślała. Ale to mój mózg, pragnący snu, pragnący końca tego wszystkiego, musi sam siebie zjadać.

Jej myśli znów zaczęły krążyć wokół tego samego, utartego tematu. Brian, kochanie. Gdybyśmy tylko mogli kochać się otwarcie, choćby przez godzinę, o ileż byłoby to lepsze.

Zaakceptowała Rosę. Czytając dziennik Briana, rozumiała związek między nim a Rosę lepiej, niż gdyby próbował jej go wyjaśnić. Tak, to słuszne, że on wróci do niej. Pobiorą się, będą mieli dużą rodzinę, której Brian chciał, dzieci, których ona prawdopodobnie nigdy nie mogłaby mu dać. Tak, jak powinno być. Ale rozumienie nadal bolało. Akceptacja nie usuwała zimnej pustki z jej serca.

Podłoga zdawała się poruszać, migocąc jak żar, unoszący się znad rozpalonego asfaltu. Kręciło jej się w głowie. Przy końcu korytarza było teraz dwóch strażników zajętych jakąś wściekłą dysputą. Trzeci Wietnamczyk, bez broni, przechadzał się powoli, z uśmiechem, mówiąc przyjaznym tonem. Uchwyciła słowo „papierosy”. Potem wszyscy trzej zniknęli za drzwiami prowadzącymi na podwórze.

Strażnicy złagodnieli w ciągu dwóch ostatnich dni. Po tym, jak przedwczorajszej nocy przybyło dwóch rosyjskich lekarzy, pozwolili wczoraj łanowi MacDougalowi wyjechać i towarzyszyć dwuletniemu wietnamskiemu chłopcu. Chłopiec wymagał skomplikowanej operacji, którą łan mógł przeprowadzić tylko w szpitalu w Da Nang. Ale co jej to dawało? Ostatnio zauważyła, że jeden ze strażników spogląda na nią w sposób, który mroził jej krew i kazał myśleć, że on ma gorsze zamiary niż tylko zabicie jej.

Teraz dwóch innych mężczyzn wchodziło drzwiami, zmiernając przed siebie. Światło było przyćmione. Wszys-

tko, co widziała, to niewyraźne zarysy ich postaci. Jeden wysoki i szczupły, drugi niski i żyłasty.

Wysoki ruszył do przodu. Książd. Co tutaj robił książd?

Wtedy zobaczyła jego twarz. Wymizerowaną, wychudłą od choroby, ale wciąż była to najpiękniejsza twarz, jaką widziała. Z początku nie mogła uwierzyć. To musiał być sen.

- Brian - westchnęła.

Usłyszała trzask. Spojrzała w dół na potłuczone szkło. Upuściła tacę.

Potem zaczęła biec ku niemu. Jak w snach, jej nogi były ciężkie, niezdarne, jak gdyby biegła przez głębokie piaski i każdy krok ściągał ją w dół. Otworzyła ramiona... a teraz unosiła się jak latawiec... wiatr szumiał jej w uszach... popychał w przód...

Potem on ją obejmował, tulił. Czuła, jak ją ściska, tak mocno, że to nie mógł być sen. To były ręce Briana, twarz, ciało. Wrócił do niej. Brian, dzięki któremu poczuła się wartościowa, ważna, wielbiona, dzięki któremu jaśniała miłością. A teraz - prawdziwy cud - przybył, żeby ją ocalić.

- Brian! Och, Brian! - Przywarła do niego, chowając twarz w sztywnych czarnych fałdach jego koszuli, płacząc. Nie obchodziło jej, dlaczego nosił koloratkę, tylko to, że wrócił dla niej.

- Rachel - wymruczała zduszonym głosem w jej włosy.

- Rachel, Bogu dzięki. Bogu dzięki.

Pocałował ją, brudne ręce ujęły jej twarz, jego policzek był szorstki od zarostu, ale jak cudownie...

Eksplozja światła sprawiła, że zobaczyła czerwone gwiazdy pod zamkniętym powiekami. Otworzyła szeroko oczy i ze zdumieniem zobaczyła parę stóp dalekiego małego małpoluda, wymachującego aparatem fotograficznym i uśmiechającego się, jak gdyby właśnie wręczono mu trofeum z brązu.

- Dobra robota, kolego! - zapiał. - Cały przeklęty świat zobaczy ten pocałunek!

Jeep przechylił się nad niewielkim rowem, gdzie wąska dróżka w dżungli dochodziła do szosy. Gałęzie skrzypiały, ocierając się o maskę i boki jeepa, aż nagle, zdawałoby się w cudowny sposób, ukazały się chmury, niebo, przestrzeń. Teraz trzęśli się na dwupasmowej asfaltowej szosie, popękanej i pełnej dziur, ale byli tutaj ludzie, wioska... i względne bezpieczeństwo. Rachel dojrzała tył ciężarówki z transportu wojskowego, wspinającej się na odległe wzgórze. Miała ochotę krzyknąć z radości.

Udało się. Im wszystkim - jej i Brianowi, i jego zabawnemu małemu Australijczykowi. Kay również, dzięki Bogu. Jakoś, Bóg jeden wie jak, udało im się.

Rachel czuła, jak ręka Briana zaciska się wokół jej ramion, kiedy wpadli w głęboką koleinę i strugi błotnistej wody chlusnęły spod kół jeepa. Tak, obejmij mnie, pomyślała. Proszę, obejmuj mnie, albo ulecę z tego snu...

Był zmierzch. Przez całą wieczność pełzli tym ledwie oznaczonym traktem przez dżunglę. Teraz, kiedy przejeżdżali przez przedmieścia Da Nang, ich kierowca hamował z powodu wołów, psów, dzieci i zasuszonych kobiet, zgiętych pod ogromnymi tobołkami, jakie nosiły na głowach. Bambusowe chaty i poletka ryżowe ustąpiły miejsca skupiskom biednych domków krytych falistą blachą, rowom wypełnionym cuchnącą wodą, paleniskom rozświetlającym mrok jak robaczki świętojańskie.

Bezpieczni, pomyślała. Bezpieczni od snajperów, zasadzek, min. To miejsce było tak posępne, tak odpychająco brudne, a mimo to cieszyła ją kakofonia dźwięków - głosy i ryczenie wołów. Miała ochotę ucisnąć każdą widzianą osobę.

Wolna, była wolna. I Brian, dzięki Bogu, wrócił. Dla niej. Kochał ją dość, aby ryzykować, że go zabiją z jej powodu.

Ogarniając wzrokiem jego profil, zarosnięty podbródek, mocne, wystające kości, czuła taką miłość, że aż bolało. Ból rozchodził się z brzucha do piersi i wiązał w gardle.

- Pysznic - mruknęła siedząca obok niej Kay. - To pierwsze, co zrobię. Boże, śmierdzą gorzej niż kozioł. Nic dziwnego, że ci z wietkongu puścili mnie z wami. Prawdopodobnie się modlili, żebym się zmyła.

Dan Petrie na przednim siedzeniu odwrócił się do nich, świdrując niebieskimi oczyma spod maski czerwonego kurzu. Mrugnął do Kay. - Cholernie się modlili. Gdyby nie tu obecny ojciec Brian, wszyscy wprowadzalibyśmy się do Hiltona w Hanoi. Ale muszę ci to przyznać, moja pani - poklepał obudowę aparatu fotograficznego na swoich kolanach - że ten twój strzał do żółtego ptaszka przejdzie do historii.

- To moje jędzowate usposobienie. Dobrze, że nie wiedział, co to znaczy. Ze sposobu, w jaki się uśmiechał, widać było, iż myśli, że to oznacza szczęście czy coś takiego. - Na twarzy Kay, okrągłej jak twarz Buddy, pojawił się szeroki uśmiech, kiedy wysoko nad głowę podniosła prawą rękę z wysuniętym środkowym palcem. - Cóż, wszyscy mieliśmy szczęście!

Brian objął Rachel i całował, całował gwałtownie. Widać było po nim ponad trzydzieści przebytych kilometrów ciężkiej drogi, twarz i ręce miał szorstkie od zaschniętego błota, jego czarna księża koszula była przesiąknięta potem, ale Rachel nigdy nie doznała czegoś tak słodkiego. Czuła, jak jego ręka mocno obejmuje jej szyję. Drżał.

- Wyjdź za mnie - wymruczał, przyciskając ją jeszcze mocniej. Czy on to powiedział, czy tylko jej się zdawało? Do diabła, to nie miało znaczenia. Nie musiał mówić tego głośno. Wiedziała, co czuł, tak jak on wiedział, co mówiło mu jej serce.

- Kiedy? - zapytała.

Brian odsunął się ze śmiechem, ale jego oczy, te niewiarygodne ciemnoszare oczy, które przykuły jej uwagę zanim odezwał się do niej słowem, były poważne.

- Teraz. Jak tylko dojedziemy do Da Nang. Petrie zna

kapelana, prawdziwego kapelana - zaśmiał się. - Mówi, że ten facet jest mu coś winien. Znając Petriego, wolę nie myśleć co.

Rachel, której uczucia wirowały, poczuła nagle w głębi duszy ciszę i spokój. Tak, to było słuszne, to musiało się stać. Zdecydowała o tym siła większa nawet od ich miłości.

- Tak - powiedziała mu. - Tak - powtórzyła dość głośno, aby i Kay, i Petrie mogli ją usłyszeć, i cały świat.

- Tak, wyjdę za ciebie! - krzyczała teraz. - Wyjdę za ciebie w Da Nang... albo w Nowym Jorku... albo w Disneylandzie... gdziekolwiek zechcesz!

Brian, czuję się inna niż przedtem, jak gdybym była w innym kraju, w twoim kraju. Przekroczyłam magiczną granicę i nie chcę wracać. Wszystko, co było dotąd - David... przerwanie ciąży... ci wszyscy martwi i umierający żołnierze... wietkong... - zdarzyło się w innym świecie, innej Rachel.

Petrie uniósł dwa palce w znaku zwycięstwa.

Kay nie powiedziała słowa, chwyciła tylko rękę Rachel i mocno ścisnęła. Jej brązowe oczy za zakurzonymi soczewkami okularów świeciły łzami.

- Wygląda na to, że musisz być moją druhną - powiedziała jej Rachel.

- Tylko jedno pytanie. Czy mogę najpierw wziąć prysznic?

Ojciec Rourke był pijany jak bela, ale trzymał się na nogach... choć z trudem.

Rachel, stojąc z Brianem przed kapelanem w zmiętych spodniach khaki, czuła się nieco słabo. Jego oddech cuchnął alkoholem, chwiały się na nogach, ręce mu drżały, kiedy przerzucał strony modlitewnika. Podniosła wzrok i patrzyła na mapę popękanych żyłek na jego nosie i policzkach. Mężczyzna prawdopodobnie nie więcej niż trzydziestoletni, który wyglądał raczej na sześćdziesiąt pięć lat.

Musiała wbić sobie w pamięć każdy szczegół, brzydki obok pięknego. Pewnego dnia, jako stara para małżeńska, skuleni w przytulnym ciepłe swego łóżka, gdzieś w swoim solidnym domu, będą śmiać się z ojca Rourke i całej tej sceny, i to ich zbliży do siebie jeszcze bardziej.

Rozejrzała się wokół siebie. Ten kącik do *ma-dżonga* za barem, gdzie Petrie w końcu - po odwiedzeniu tuzina innych barów - wytropił kapelana, pochodził wprost z filmu z Charlie Chanem. Zastłony z paciorków, lampiony z pomarańczowego papieru, pobrzękiwanie muzyki i śpiewne głosy w tle. To wszystko wryło się w jej pamięć. Wciąż będzie wracała wspomnieniem do tego miejsca.

Spojrzała na Briana, a on uśmiechnął się również rozbawiony. Pomyślała o weselu Masona Golda, o tym, jakie niesamowite jej się wydawało. Gdyby Mason mógł zobaczyć to!

Brian był w smokingowej marynarce, wypożyczonej od chciwego sierżanta kwatermistrza. Była o dobre cztery cale za krótka w rękawach i kościste nadgarstki Briana wystawały z nich tak daleko, że trzymał ręce w kieszeniach. Kay przypięła kilka minut temu szkarłatny kwiat hibiskusa do jego kłapy i Rachel zobaczyła ku swemu przerażeniu, że pełzają po nim mrówki.

Ale ta jego twarz, sposób, w jaki przechylał głowę na bok, kiedy uśmiechał się do niej, ciemne kosmyki włosów uwalniające się od śladów wilgotnego grzebienia. Nie zamieniłaby go na nikogo innego.

- Czy ty... Rachel... hm... hm... Rosenthal... bierzesz tego mężczyznę za... hm... prawowitego małżonka? Aby...

- Tak - odpowiedziała, zbyt niecierpliwa, żeby wysłuchać reszty.

- A czy ty, Brianie...

Rachel słyszała, jak po prawej stronie Kay buczy cicho w chusteczkę.

Dzięki ci, droga Kay, pomyślała. Kay znalazła dla niej nawet tę białą jedwabną tunikę, rozciętą po bokach,

i odpowiednie do niej spodnie - tradycyjny strój wietnamski. Sama Kay miała na sobie spodnie z czerwonej bawełny, przylegające do jej pulchnych kształtów, co przywodziło Rachel na myśl elfa w stroju związkowym.

- ...na dobre i na złe, w ch-ch-chorobie... i z-z-zdrowiu... hm... czy bierzesz... Nie, już to mówiłem, prawda?... Co tam dalej, hm... tak, mam... dopóki śmierć was nie rozłączy?

Brian patrzył jej w oczy długą chwilę, a ona czuła, jak ich miłość sięga do jej wnętrza i chwyta ją za serce.

Powinam to przerwać... Powiedzieć mu teraz... zanim nie będzie za późno. Ale gdyby wiedział, że nie mogę dać mu dzieci, czy nadal chciałby się ze mną ożenić? Czyja bym mu wystarczyła...?

Tak, wiedziała, że musi mu powiedzieć. W tej chwili. Kiedy ciągle jeszcze mógł zmienić zdanie, gdyby chciał. Jednak słowa, które czuła się zobowiązana wypowiedzieć, nie przyszły. Uwięzły jej w gardle. Nie mogła się zmusić, żeby powstrzymać Briana od przyrzeczenia, że będzie ją kochał i chronił zawsze... że będzie jej mężem...

I wtedy usłyszała, jak Brian mówi: - Tak.

Nagle Rachel była zbyt szczęśliwa, żeby skupić się na czym innym niż na tym, że Brian ją obejmuje, całuje, podnosi tak, że jej palce ledwie dotykają podłogi; jego ciało, jego usta zlały się z jej ciałem i ustami.

Trzask flesza, oślepiający wybuch bieli, aż czerwone prążki zatańczyły jej przed oczami.

Poślubieni! Ona i ten cudowny, dzielny, delikatny mężczyzna byli poślubieni...

Czubkiem palca Rachel wodziła wzdłuż blizny, przecinającej brzuch Briana jak szkarłatny piorun.

- Teraz przypominasz mi Flasha Gordona - przekomarzała się z nim, pławiąc się w zadowoleniu, kiedy leżała nago obok niego na łóżku, z prześcieradłem zwiniętym wokół stóp. - Uwielbiałam ten stary serial w telewizji. Gordon był moim bohaterem.

- A teraz?

- Och, nie wiem. Myślę, że wolę szalonych Irlandczyków. Wyzwalają we mnie Maureen O'Hara.

- Maureen O'Hara?

- Czy nigdy nie widziałeś jej w *Spokojnym człowieku*, tej wesolutkiej rudowłosej, która aż się prosiła, żeby John Wayne pokazał, gdzie jest jej miejsce?

- Zastanawiam się, gdzie było to miejsce...

Rachel uśmiechnęła się. - W łóżku, gdzieby indziej?

W tej chwili to rozpadające się łóżko z wgłębieniem pośrodku było najcudowniejszym miejscem na świecie. A także ten podniszczony pokój hotelowy, z rozchwieranymi bambusowymi krzesłami i pożółkłymi reprodukcjami wieży Eiffla i Łuku Triumfalnego.

Teraz, w pierwszym świetle dnia, wydawał się jeszcze bardziej obskurny niż nocą, kiedy taksówka dowiozła ich przez zamęt niepokojąco wąskich ulic do tej dziury, Hotelu pod Łukiem Triumfalnym. Rachel zauważyła nagie drewno, przezierające przez odrapane miejsca na czerwonej lakierowanej szafce. A przez brakujące żeberka w żaluzjach razem z mlecznym światłem wlewały się dźwięki - woda uderzająca o sampany na pobliskiej rzece Sajgon, dzwonienie naczyń, paplanie śpiewnych głosów. Doszły ją zapachy cynamonu, parującego ryżu, *kim chi*. I towarzyszące im zapachy gnijących ryb i uryny.

Wtedy przypomniała sobie z radością: Jesteśmy małżeństwem, prawdziwym małżeństwem. I jutro wracamy do domu!

Dom.

Mama, niech Bóg ma ją w opiece, prawdopodobnie zemdleje, kiedy się dowie. Żadnego miłego żydowskiego doktora czy prawnika za zięcia. Zamiast tego masz, oto ona, córka Sylvie, świeżo poślubiona irlandzkiemu katolikowi bez grosza. Ale, do cholery, była szczęśliwa. Szczęśliwsza niż mogła sobie wyobrazić. Mama to zobaczy i tak samo pokocha Briana.

A tacie byś się podobał, Brian, pomyślała z uśmiechem. Wiesz, jesteś silny jak on i delikatny.

- Kocham cię - powiedziała, przysuwając się do niego i układając przy jego boku. Jej kragłości gładko wypełniały jego wklęsłości. - Czy mówiłam ci, jak bardzo cię kocham?

- Powiedz mi to znowu, kiedy się obudzę, inaczej pomyślę, że to wszystko mi się przyśniło.

Objął ją mocno. Czuła szybkie bicie jego serca. Chciała, żeby mogli pozostać tak na zawsze, tylko we dwoje, a wtedy nie musieliby się tłumaczyć innym ludziom. Ale to tylko marzenie, śmieszne marzenie, prawda? Wcześniej czy później, musieli stawić czoło innym ludziom. A kiedy to nastąpi, chciała stać na pewnym gruncie.

- Opowiedz mi o Rosę - powiedziała cicho.

Rachel poczuła, jak natychmiast zeszywniał. Ogarnął ją okropny strach. Jeśli samo wspomnienie imienia Rosę miało nad nim taką władzę, to co się stanie, o Boże, kiedy ją zobaczy, co niechybnie nastąpi?

Nastąpiła długa, straszliwa cisza, zanim Brian powiedział: - Dorastałem z nią. Ona i ja... chyba można powiedzieć, że była dziewczyną z sąsiedztwa.

- Czy ty... czy ożeniłbyś się z nią? - Rachel wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

Brian leżał sztywno jak kłoda w jej ramionach. Miała wrażenie, że upłynęła godzina, zanim odpowiedział:

- Ożeniłem się z tobą, czy nie to się liczy?

- Tak, ale tylko jeśli naprawdę tego chciałeś. Jeśli jesteś pewien, że nie będziesz tego kiedyś żałował.

Dlaczego to robiła? Dlaczego dręczyła się w ten sposób?

Brian leżał obok niej w milczeniu. Rachel czuła, jak przerażenie wzbiera jej w piersi. Przypuśćmy, że już tego żałował? Czy Rosę tyle dla niego znaczyła - albo nadał znaczyć?

- Nie mówmy o „kiedyś” - Brian odezwał się w końcu. - Myślmy tylko o dniu dzisiejszym. Kocham cię, Rachel. Bardziej niż jakąkolwiek inną kobietę.

To nie dosyć, miała ochotę krzyknąć. Nie odpowiadasz mi, nie mówisz mi. A jednocześnie zawstydziała się tego, iż tak rozpaczliwie pragnie jego zapewnień. Wpadła

w lekką histerię, czyż nie? Ostatecznie ożenił się z nią, nie z Rosę. Boże broń, żeby kiedyś zmieniła się w jedną z tych żon, zawsze przywierających do męża, zawsze żądających dowodu jego oddania, jak pies proszący pod stołem o resztki.

Zostaw to, poleciła sobie. Po co zmuszać go do wyznania czegoś, czego nie mogłabyś znieść?

Dotknął jej piersi, potem objął ją, lekko drażniąc brodawkę kciukiem. - Pani McClanahan. Ładnie brzmi, prawda? Ostatnia kobieta w mojej rodzinie, która przyjęła to nazwisko, ma siedmioro dzieci? Czujesz się na siłach?

Teraz ona poczuła, że robi jej się zimno, że sztywnieje. Co za hipokrytka ze mnie! - pomyślała. Proszę go, żeby opowiedział mi wszystko o Rosę, gdy sama skrywam prawdę o sobie.

Nie, pomyślała. Małżeństwo musi być zbudowane na uczciwości, na całkowitym zaufaniu. Musi mu powiedzieć. Powinien był wiedzieć od początku, kiedy siadywała na jego łóżku w Corpus Christi, czytając jego dziennik, słuchając, jak głośno marzy o przyszłości, o posiadaniu rodziny.

- Brian... - Ale jej gardło zacięło się.

To była taka wspianiała chwila, może najcudowniejszy dzień ich życia. Nie byłoby właściwe psuć go. Nie, nie teraz. Za wcześnie na to. I jednocześnie za późno. Czuła się jak tchórz. Powinna była powiedzieć mu przedtem, dać mu szansę wycofania się, zanim ten pijany kapelan wyseplenił swoje błogosławieństwo. Ale wszystko stało się w takim zamęcie... oprócz jednej rzeczy, która była jasna, wtedy i teraz. Nie mogła go stracić. Wyszłaby od tego, chciałyby umrzeć.

- ...nie przestawaj - wymruczała zamiast tego, pozwalając sobie czuć rozkoszny chłód jego dłoni, zsuwającej się po jej brzuchu. Rozchyliła nogi, pozwalając jego palcom wsunąć się w siebie. - Och, tak! O Boże, właśnie tak... Och, kochanie, jeśli nie przestaniesz...

- Zaczekaj...

Potem on był w niej, naprawdę w niej, poruszając się mocno; każde pchnięcie przynosiło ze sobą przyjemność. Wygięła kręgosłup, żeby być bliżej niego, przesuując jednocześnie rękami po jego pośladek - och, ten ich śliczny, wklęsły kształt! - czując na nich gęsią skórę, sięgając niżej, do trochę ściągniętego szwu, prowadzącego do jego jąder.

Och, Brian, gdybym tylko mogła pewnego dnia dać ci dziecko... Gdybym tylko...

Uczuła w sobie gorącą eksplozję, potężny strumień rozkoszy rozlewał się po jej ciele, tym potężniejszy, im gorętsze było jej pragnienie.

Wtedy Brian także skończył; czuła, jak wlewa się w nią. I w tej chwili poczuła się nagle zagubiona, odcięta od Briana. Wypadła z jego orbity.

To nie jest sposób, żeby zaczynać małżeństwo. To źle, pomyślała, bardzo źle oszukiwać Briana w ten sposób.

Otworzyła usta, próbowała wyszeptać te słowa, ale nie precyzyjnie się jej przez gardło. Przez jedną straszliwą chwilę widziała znowu w myślach błękitno-białe światło na stalowym narzędziu, które David trzymał w dłoni i słyszała jego gniewny, wystraszony głos: „Pożałujesz tego kiedyś. Pożałujesz, że mi to zrobiłaś.”

Potem obraz zbladł. Było tylko wilgotne ciepło ciała Briana, owijającego się wokół niej, jego ręce, tulące do siebie jej głowę - ręce tak duże, że kazały jej myśleć o czasach, kiedy była bardzo mała, przywołać wspomnienie ojca tulącego ją, gdy jej mała główka spoczywała jak jajko w jego rękach.

Wydała z siebie zduszone łkanie.

- Co ci jest? - zapytał.

- Nic - skłamała. Potem, ściskając go tak mocno, że słyszała powietrze wypierane z jego płuc, powiedziała:
- Jestem szczęśliwa, to wszystko. Płaczę, kiedy jestem szczęśliwa, a kiedy jestem zmartwiona czy zdenerwowana, śmieję się, naprawdę chichoć jak wariatka.

- W takim razie mam nadzieję, że nigdy nie doprowadzę cię do chichotu.

Rachel z całej duszy chciała, żeby wszystko zostało między nimi jak teraz. Na zawsze. I powie mu o przerwaniu ciąży... Wkrótce. A on zrozumie. Na pewno. Wtedy naprawdę będzie wspaniale. Żadnych kłamstw między nimi.

Tak, jak było między mamą i tatą.

ROZDZIAŁ 17

Od kiedy Brian wyjechał, Rosę stała się zachłannym czytelnikiem gazet, każdego ranka wyluskującym z „Timesa” i „Daily News” doniesienia o bitwach, bombardowaniach, o postępach w rokowaniach pokojowych, każdy strzęp informacji, nawet znikomy, który pomógłby wzmocnić nadzieję, że wojna może już wkrótce dobiec końca i że Brian może przed końcem służby powrócić do domu.

„Timesa” przejrzała w metrze, a teraz usiadła przy swym biurku - nieskalana papierami pierwsza chwila poranka - nalała sobie kawy i otworzyła „Daily News”. Na trzeciej stronie zauważyła reportaż z Wietnamu, a jej oko przyciągnęła ziarnista fotografia - facet w smokingu obejmujący swoją narzeczoną. Tytuł głosił: *Weselne dzwony dla bohatera i jego pani doktor*.

Rosę opuściła pierwsze linijki, pełne nazwisk i innych danych, i przeszła od razu do opowieści, szybko prześlizgując się po niej wzrokiem. Pasjonująca historia o lekarce w strefie walk i umierającym żołnierzu, któremu uratowała życie. Później ten sam żołnierz, wbrew rozkazom, samowolnie oddalił się ze szpitala na Okinawie i przedostał się na tereny opanowane przez wroga, by

uwolnić lekarkę. Historia miłosna jak z bajki. Rosę uśmiechnęła się, a jej serce drgnęło lekko w nadziei. Widzisz, czasami zdarzają się *happy endy*. To nie jest niemożliwe.

Spojrzała znów na pierwszy akapit, chcąc się dowiedzieć, co to za ludzie, jak się nazywają, skąd pochodzą. Jedno nazwisko skoczyło jej przed oczami: Brian McClanahan, 121 kompania piechoty.

Gazetowy druk rozplątał się Rosę przed oczami, zdjęcie się rozmazało. Nie jej Brian, nie. To musi być jakiś inny żołnierz o tym samym nazwisku. Zbieg okoliczności. Naturalnie, to jedyne możliwe wyjście.

Więc dlaczego jej serce tak płonie? I skąd ten lodowaty chłód w jej wnętrzościach? O Matko Boża, czy to mógł być on?

Czuła zawrót głowy, jej myśli wirowały jak obłåkane, jak gdyby miała za chwilę oszaleć. Ale wiedziała, że jeszcze nie oszaleje. Zdrowy rozsądek był właśnie tutaj - to wszystko wokół niej, to biurko, jej praca. Tak, to było rzeczywiste, zdrowe, ten parujący teksturowy kubek z kawą na jej biurku, ta kasetka z podyktowanymi listami do napisania. I, za kilka minut, Max Griffin, krocący przez korytarz, błyskający szerokim uśmiechem, jakby jej mówił: „Ty i ja przeciw całemu światu”, życzący jej miłego dnia, co zawsze ją podnosiło na duchu.

Jednak to zdjęcie, ta twarz przedstawiona jako twarz Briana, zaszokowało ją, otworzyło w jej umyśle czarną otchłań, w którą lada chwila mogła się zapaść.

Teraz pokój zaczął się jakoś przechylać, krzesło i pokryta wykładziną podłoga zaczęły się pod nią toczyć. Uchwyciła się brzegu biurka, by pozostać w miejscu, i potrąciła telefon prosto na parujący kubek. Kawa wylała się na rozpostartą gazetę, spłynęła po lustrzanym blacie biurka i kapała teraz na sukienkę Rosę. A potem Rosę poczuła gorąco, piekący ból, jakby ktoś przyciskał jej do ud rozpalone żelazo. Boli... Och, jak boli... Brian.

Zmusiła się, by przyjrzeć się fotografii, tym razem dokładnie, skupić na niej wzrok. Jego twarz, o Boże, to jego twarz. Nawet teraz, na tym rozmokłym i pofalowanym zdjęciu, rozpoznała jego twarz, ten tak długo ukochany kształt, od którego nie mogła oderwać oczu.

Brian. Jej Brian. Spełniły się jej najczarniejsze obawy. Brian zakochany w kimś innym. Nie, to było jeszcze potworniejsze... To było gorsze niż mogła sobie wyobrazić. Ożenił się.

Ogarnęła ją wściekłość. Powinien był zginąć, to byłoby lepsze. Ostatecznie wciąż byłby mój.

Rosę usiadła z powrotem, rozdygotana. Boże, naprawdę oszalała. Jak mogła choćby coś takiego pomyśleć? Brian martwy. Nie, nie to. Tylko nie to.

To się nie zdarzyło, powiedziała sobie. Jestem tylko zmęczona po ostatniej nocy, po tym telefonie Nonnie, po tym całym jej skamleniu, jak ją wszystko boli i że nikt jej nie odwiedza. Ta stara wiedźma ciągle myśli, że może pociągać za sznurki, nawet z Syracuse. Jak mogłam po tym spać? Nic dziwnego, że jestem wyczerpana. Tak, to muszą być jakieś halucynacje, coś w rodzaju koszmarnego snu...

Gwałtownym ruchem Rosę zgarnęła rozmokłą gazetę i wcisnęła ją do kosza na śmieci. Nic tam nie ma, w ogóle nic. Dlaczego nie posprzątam tego całego bałaganu? I ta sukienka, śliczna kwiecista sukienka, którą Brian mi kupił na ostatnie urodziny, muszę ją namoczyć w zimnej wodzie, bo inaczej zostanie plama...

Tak, właśnie to powinna zrobić. Jechać do domu, teraz, w tej chwili. Zanim plama zdąży zaschnąć. Bo jeśli już zaschnie, to bez względu na to ile razy będzie ją czyściła, ile zużyje proszku i wywabiacza plam, zostanie na zawsze. Śliczna sukienka od Briana. Może być zniszczona na zawsze.

I znów tamto zdjęcie przywiodło jej na pamięć słowa, które pod nim przeczytała:

...Młody absolwent uniwersytetu Columbia miał być wysłany z Okinawy do domu z Brązową Gwiazdą... lecz sfalszował rozkazy, by nielegalnie powrócić do strefy walk, gdzie przed wieloma tygodniami niemal został zabity... pokonując przeszkody niemal nie do przeczyżenia, byle tylko uwolnić piękną lekarkę, która kiedyś uratowała mu życie... kobietę, którą kocha.

Kobieta, którą kocha, pomyślała Rosę. Ale przecież to ja. To mnie Brian kocha. Mamy się pobrać. Jak tylko wróci do domu, jak tylko... Muszę wyczyścić tę plamę. Cholera, pewnie już zupełnie zaschła. Muszę iść do domu. Muszę...

Potem podniosła się z uczuciem, że ruchy ma tak nieskoordynowane jak marionetka, której poplątały się sznurki - jej ręka zwisała pod dziwnym kątem, nogi były miękkie - straciła kontrolę nad własnym ciałem. Sięgnęła po torebkę. Jej ręka wyciągała się i wyciągała bez końca, jakby była z gumy, jej ręka zakończona czymś, co przypominało widok przez odwróconą soczewkę teleskopu.

Szła przez korytarz, w szpalerze drzwi do biur prawników, które ciągnęły się przed nią; droga w tym tunelu zdawała się nie mieć końca. Wykładzina na podłodze jak pustynny piasek wciągała jej stopy. Nie zatrzymuj się. Jedź do domu. Tak, musisz wyczyścić tę plamę, wtedy może Brian wróci do domu...

Dwoje masywnych drzwi do windy. Rozsunęły się jedne, potem drugie. Wysypały z siebie na korytarz ludzi, którzy mijali ją, niektórzy pozdrawiali skinieniem głowy. Wszyscy z wyjątkiem jednego mężczyzny, który stał w miejscu, gdy inni śpieszyli do biur. Potężny mężczyzna, niewysoki, ale silny - myślała o nim, że jest silny jak pień drzewa - w brązowej marynarce, z aktówką w dłoni, o szerokiej, miłej twarzy, tak zarumienionej, jakby wbiegł tu po schodach, a nie przyjechał windą, i ze świeżymi jeszcze śladami grzebienia w siwiejących brązowych włosach. Max Griffin.

Rosę poczuła, że jej zakłopotanie nieco zelżało. Ten człowiek mógł jej pomóc. Pomagał jej wcześniej, czyż nie? Choćby z tym stypendium na jesień. I to jak z nią rozmawiał, nie jak szef, ale jak przyjaciel.

Róg papierów, zauważyła, wystawał z jego podniszczonej skórzanej aktówki. Widziała to, jakby patrzyła przez szkło powiększające: jego dłoń ściskającą obciągniętą skórą rączkę aktówki, silny nadgarstek - wszystkie te spotkania na korcie tenisowym - i przypięty do niego nierdzewny rollex. Szkło na cyferblacie zegarka było lekko zadrapano, czego pewnie nawet nie zauważył.

Jednak teraz postawił aktówkę, podchodząc do Rosę i chwytając ją za łokcie; wydawało się, że niemal trzyma ją w powietrzu.

- Rosę! Co ci jest? Jesteś białyjak kreda. Jesteś chora? Zrobiłaś sobie krzywdę?

Potrząsnęła głową. Dlaczego miałyby być chora? I jak miałyby sobie zrobić krzywdę? Nie... Nic tak straszego... To tylko ta głupia plama...

- Rozlałam kawę - powiedziała mu. - I teraz muszę to wszystko z siebie zrzucić i... muszę jechać do domu. Moja sukienka. Nadrobie ten czas. Proszę. Muszę pojechać do domu.

Max patrzył na nią dziwnie... Jego kwadratowa, pogodna twarz wydawała się jeszcze bardziej kwadratowa, a niebieskie oczy jeszcze bardziej przenikliwe.

- Więc chodź - powiedział. - Odwiozę cię do domu.

Czuła się bezwolna, niezdolna do słowa protestu. - Tak, do domu.

Wprowadził ją do windy, mocno trzymając pod ramię. Kiedy byli w taksówce, manewrującej w ulicznym ścisaku, oblepiło ją rozgrzane letnie powietrze napływające przez otwarte okna. Jednak ciągle było jej zimno, tak zimno, jakby wszędzie wokół był śnieg i w niej samej też śnieg, i lód ściskający jej serce. A w głowie biały hałas jak hucząca śnieżna zadymka.

I wszystko wokół zlało się w jedno - wszystkie kolory miasta, jasne letnie sukienki kobiet, pstrokate ilustrowa-

ne pisma wyłożone na ulicznych stoiskach, pasiaty parasol sprzedawcy hot dogów - wszystko rozmazane i mętne.

Zaczęła dygotać, zęby jej szczękały. Chciała przestać, lecz nie mogła.

Głos Maxa doszedł ją z daleka, poprzez brzęczący bezruch. - Jesteś chora, Rosę. Powiniennem cię zawieźć do lekarza.

Do lekarza? Po co? Przecież nic jej nie jest.

Potrząsnęła głową i mocno oplotła ramiona wokół swego ciała, zdecydowana powstrzymać drzenie. - Nic mi nie jest - upierała się. - To głupie. Nie powinieneś marnować swojego cennego czasu jeżdżąc ze mną. Za godzinę musisz być w sądzie.

- Sądem nie ma się co martwić. Poproszę o odroczenie. To o ciebie się martwię, Rosę. Wyglądasz, jakby ci ktoś umarł.

Tak, odezwał się głos z ociężałego bezruchu jej myśli. Brian odszedł. Tak samo jakby umarł. Wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chciała odparować cios, jakby ta straszna myśl wybiegła z niej na zewnątrz, by ją uderzyć.

- Nie! - krzyknęła. - Nie!

Potem Max trzymał ją, wbijając palce w jej ramiona. - Rosę, na Boga! Co ci jest? Co się stało? Powiedz mi!

Gwałtownie potrząsnęła głową. Proszę, nie zmuszaj mnie do tego. Jeśli ci powiem, to się stanie jeszcze bardziej rzeczywiste.

- Chcę ci tylko pomóc - naciskał. - Ale nie mogę nic zrobić, dopóki mi nie powiesz, co się stało. Rosę? Rosę?

- Nic. Nic się nie stało. - Ogarnęła ją gwałtowna fala nudności. - Och, Max! Chyba będę wymiotować.

A on ją tylko przycisnął mocniej i poczuła, że fala mdłości nieco ustąpiła. Później, pojeździe, która wlokła się bez końca, pomógł jej wysiąść z taksówki, podtrzymując ją, nie, prawie niosąc po schodach do jej małego mieszkanca.

- Wszystko będzie dobrze, Rosę - uspokajał ją. - Cokolwiek to jest, będzie lepiej. Jestem tutaj. Zaopiekuję się tobą.

Nie! - chciała do niego krzyknąć. Nie! To Brian powinien się nią opiekować. Zawsze się nią opiekował, czyż nie? Tylko gdzie on teraz jest? Potrzebowała go teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Ale czuła się taka słaba, ledwo mogła się ruszyć. Pozwoliła Maxowi ściągnąć sobie buty, potem sukienkę... i teraz, w halce, drżąca od duszącego gorąca, pozwoliła mu zanieść się do łóżka, jak dziecko.

Nagle pokój zaczął jej się wydawać za ciasny, za ciemny, to mieszkanko przy Lower East Side, którym była tak zachwycona, gdy je wynajęła. Osobliwa kuchenka jak w mieszkanku dla lalek, mała, głęboka wanna i ta kanapa, którą się rozkładało do spania. Jednak teraz dostrzegła, jak naprawdę było tu ciemno, promienie słońca nigdy nie docierały do jej wychodzącego na ulicę okna z trudnymi do rozsunięcia okiennicami. Zobaczyła, że geranium, które wyniosła na zapasowe schody, było martwe - zwiędło i zbrązowiało. Jej wspaniałe mieszkanko wyglądało teraz jak więzienna cela, szare i w jakiś sposób groźne.

- Wszystko będzie dobrze - powtórzył Max. - Nie musisz o tym mówić. Tylko odpoczywaj. Masz, wypij to.
- Przycisnął jej do ust szklanke i zmusił, by coś przełknęła. - Będę tutaj. Nie opuszczę cię.

Jego dobroć coś w niej wyzwoliła. Jak gdyby za naciśnięciem guzika, uwolniło się w niej coś straszego - ból, ból wbijających się w nią noży, krojących jej ciało na kawałki. Nie mogła się poruszyć, nie mogła oddychać. Chyba umrze, na pewno umrze od tego bólu. - Pomóż mi
- usłyszała własny głos. Schwyciła rękę Maxa, jego zręczną rękę o gładkiej dłoni i silnych palcach, i ścisnęła ją w swoich dłoniach, jak gdyby, tonąc, zawiesiła na niej swe cenne życie.

- Jestem tutaj - usłyszała go poprzez szum w uszach.
- Jestem tutaj, Rose.

Część II

Me jest ciężko przyznać się do przestępstwa, ale do czynów śmiesznych i wstydliwych.

Rousseau *Wyznania*

ROZDZIAŁ 18

1974

Sylvie ścięła uschnięty pączek róży. Wielka szkoda, pomyślała, że zwiądł, zanim mu było dane rozkwitnąć.

Pochyliła się, żeby obejrzeć krzew i zauważyła delikatne białe niteczki, rozpięte jak pajęczyna na kilku liściach. Roztocz, sądząc po wyglądzie. No cóż, należy spryskać cały ogród i wyciąć większość krzewów. Jednak nie wydawało jej się to właściwe. Taki wspianiały, słoneczny czerwcowy dzień. Nie był to dzień niszczenia.

Sylvie opadła na kolana i znieruchomiła z nożycami w dłoni. Słuchała tylko ospałego bzyczenia owadów i wdychała cudowny, ogrzany słońcem zapach róż - jak-żeby chciała zobaczyć, w jaki sposób nieoceniona Helena potrafi zamknąć go w butelkach, gdyby tylko mogła to zobaczyć! - i rozglądała się po swoim ogrodzie. Trochę zarósł. *Francuska koronka*, obsypana kremowymi pączkami, tłoczyła się przy lawendowym *Błękitnym Nilu*, a róże herbaciane wspięły się nad kratę i brały we władanie całą południową ścianę.

Jeszcze kilka lat temu nigdy by do tego hie dopuściła... Z pewnością nie za życia Geralda. Ale w ciągu ostatnich sześciu lat tyle się zmieniło.

Ona się zmieniła, uświadomiła sobie z drżeniem. Już nie jestem naiwnym dziewczątkiem, bojącym się własnego cienia. Żadnego więcej przeproszania za to, czym jestem... i kim nie jestem, za to, co mogę i czego nie

mogę. I cóż, są tacy mężczyźni, którzy uważają mnie za atrakcyjną, a nawet godną pożądaną - Alan Fogherty, który zaprasza mnie na kolację, kiedy jest w mieście, przysyła kwiaty, i Dennis Corbet z banku - właśnie zadzwonił w zeszłym tygodniu, żeby powiedzieć, że ma dwa bilety na przedstawienie baletowe. Poza tym, oczywiście, był Nikos...

SyMe stwierdziła, że robi jej się gorąco, jak gdyby słońce paliło ją przez ubranie. Wyobraziła sobie Nikosa kroczącego wśród spiętrzonych bloków żużlu i stalowych belek na budowie: rękawy niebieskiej roboczej koszuli podwinięte na silnych brązowych ramionach, rolka planów zgnieciona w garści, czarne oczy rzucające spojrzenia na wszystkie strony, już widzące budynek taki, jaki będzie po skończeniu.

A ona, czy widział jakąś przyszłość z nią? Czy myślał kiedy o tych dawno minionych czasach, kiedy byli kochankami? Boże, co się dzieje, pytała SyMe samą siebie. Czy to jego chce? Z rozdrażnieniem odkryła, że drżą jej ręce, a do żołądka podpełza lekki niepokój.

Znów zmuszając się do skupienia uwagi na różach, SyMe zaczęła je ścinać. Najpierw zdrowe kwiaty, żeby nic się nie zmarnowało. Uniosła wspaniałą różę, ściętą z usychającego krzewu. *Śnieżny ogień*, jedna z jej ulubionych, a także jedna z najrzadszych. Czysta kremowa biel w środku, rumieniąca się do głębokiego szkarłatu na zewnętrznych brzegach każdego płatką. Wyborna, mały cud.

A oto ona, kobieta w średnim wieku - niebawem będzie obchodzić pięćdziesiąte drugie urodziny - klęcząca w brudzie, zadowolona jak dziecko, które lepi babki z błota. To też był rodzaj cudu. Jakie dziwne jest życie!

Może to ten dzień - po takich deszczach. SyMe czuła słońce na karku, ciepłe i uspokajające jak dłoń przyjaciela. Wkrótce zrobi się za gorąco i jej skóra pokryje się szczypiącym potem. Ale teraz doznawała najrozkoszniejszego w świecie uczucia. Czuła się silna i... zdolna dokonać wszystkiego, cokolwiek zamierzy.

Jej myśli znów zwróciły się ku Nikosowi. Wspominała jego uprzejmość w czasie tych mrocznych miesięcy po śmierci Geralda, kiedy Rachel była daleko, w Wietnamie. Dzwonił, żeby zapytać, jak się miewa, opowiadać jej dla rozweselenia zabawne historie, żeby powiedzieć jej, iż jest w pobliżu, gdyby potrzebowała umięęcego wysłuchać ucha i silnego ramienia, na którym mogłaby się oprzeć.

Czuła się trochę zawstydzona. Zbyt mocno opierała się o niego, zbyt mocno wykorzystywała jego uprzejmość. Ale gdyby nie on, co by się z nią stało? To on zachęcał ją, żeby decydowała o swym życiu, o swych pieniądzech. Gerald by tego nie pochwalał, ale też Geralda już nie było, żeby mógł ją chronić. Więc torowała sobie drogę, czując się jak odkrywca, wkraczający na nie oznaczone na mapie i prawdopodobnie niebezpieczne terytorium. I cóż to był za gąszcz! Większościowy pakiet akcji w banku, inne udziały, udziały towarzystwa inwestycyjnego, obligacje municypalne, noty dłużne skarbu państwa i grup obrotu nieruchomościami, nie mówiąc już o dużych domach w Nowym Jorku, Deal i Palm Beach. Ich prawnik, Packard Haines, mocno naciskał, aby upoważniła go do zarządzania tym wszystkim. Gdyby mu po prostu na to pozwoliła, odczułaby wielką ulgę. Jednak coś - tak, pewnie to były podszepty Nikosa - sprawiało, iż to pozornie łatwe wyjście irytowało ją.

Poszła więc do urzędzonego jak stara biblioteka biura Packarda przy Water Street 55. Drogi, stary Packy. Wciąż go widziała, jego różową twarz i mrugające oczy, zatrzymujące się na niej, jego dużą suchą rękę, poklepującą ją po ramieniu, gdy sadzał ją w skórzanym fotelu naprzeciw biurka. Przypominał jej Raymonda Masseyę, wysokiego, rumianego, o krzaczastych brwiach, emanującego ojcowską troską.

- Naprawdę nie musisz się o nic martwić, moja droga Sylvie. Pakiet akcji Geralda jest solidnyjak skała Gibraltaru, aja i bank możemy doglądać ich i utrzymywać cię w dobrobycie do końca twoich dni. Więc po prostu dbaj

o siebie, jedz trochę więcej, wybierz się w jeden z tych rejsów... wiesz, morza południowe albo jakieś miłe miejsce na Karaibach bardzo dobrze by ci zrobiły - radził, promieniejąc swoim najbardziej dobrotliwym uśmiechem, który w przeszłości zawsze uważała za uspokajający. Jednak w tamtej chwili był tylko irytujący.

Jak kiedyś powiedział Nikos, pieniędzmi zazwyczaj najlepiej zarządzają ci, którzy ryzykują utratą ostatniej koszuli, jeśli nie robią tego dobrze. Nagle powiedziała: - Od tej chwili postanowiłam sama kierować moimi finansami.

- Nie mówisz tego poważnie - sprzeciwił się Packy.

- Co ty wiesz o...

- Absolutnie nic - przerwała mu. - Ale nie jestem głupia. Mogę się nauczyć, czyż nie?

Nauczyła się więc, z pomocą Nikosa. A kiedy długie kolumny cyfr, bilanse, wykazy zysków i strat zaczynały tańczyć jej przed oczami, wyławiała z pamięci dodające odwagi słowa Nikosa. „To nie jest takie skomplikowane - mówił jej. - To tylko z początku tak wygląda. Zawsze pamiętaj o dwóch rzeczach. Pierwsza - nigdy nie bój się zadawać pytań. A druga - nigdy nie pozwalaj sobie wierzyć, że nie potrafisz zrozumieć odpowiedzi.”

Jak małe ziarenko, zasadzone w głowie, zaczęło kiełkować w niej przekonanie, że może potrafi coś więcej niż być zajęta, jak zawsze, ogrodem, zakupami, lunchami z Evelyn Gold, zbiórką pieniędzy na operę i od czasu do czasu kolacjami z Rachel i Brianem.

Był przecież bank. Z początku sama myślała o pojawieniu się na comiesięcznym posiedzeniu zarządu - jedyna kobieta pośród wszystkich tych mężczyzn - powodowała, że zataczając się szła do łóżka z potwornym bólem głowy,

Ale oto, dwa lata po śmierci Geralda, Pelham Securities przeszły w ręce Chapter Eleven, która winna była bankowi dwadzieścia milionów. Oczyma duszy widziała wieloletnią ciężką pracę Geralda marniejącą jak pączki na tych usychających krzewach róż.

I to dało jej odwagę działania. Wykryła, że fatalna pożyczka była dziełem Hutchinsona Pyne'a. Pompatyczny stary dureń, nigdy go nie znosiła, a gdyby teraz pozwoliła mu w dalszym ciągu być prezesem, skutki mogły okazać się katastrofalne. Mogła przebaczyć mu to, że jest pompatyczny, ale nie to, że jest durkiem.

Przed następnym posiedzeniem zarządu wstała o szóstej rano, zaczynając dzień od długiej gorącej kąpieli dla odprężenia nerwów. Potem śniadanie, którego zazwyczaj unikała; zmusiła się do zjedzenia dwóch jajek i kilku grzanek. Może mieć przyrośnięty język, ale przynajmniej nie zemdleje w obecności tych wszystkich mężczyzn.

Sylvie pamiętała również, jak starannie ubrała się tamtego ranka. Prawdziwe jedwabne pończochy z Paryża i ten kostium Chanel, w którym tak lubił ją Gerald - dwurzędowe zapięcie, biała lamówka przy spódnicy i żakiecie. Następnie perły babki, jedyna piękna rzecz, jaką miała od mamy. I oczywiście kapelusz, jedna z tych wytwornych okrągłych czapeczek od Halstona.

Długo i uważnie badała w lustrze ostateczny efekt. Trochę zbyt szczupła - tak dużo straciła na wadze po śmierci Geralda. Żyłasta, taka, jakie stawały się kobiety w jej wieku, o ile, wręcz przeciwnie, nie stawały się pulchne i bezkształtne. Ale w sumie, mimo wszystko, całkiem elegancka.

Pomyślała, że Gerald byłby z niej taki dumny, nawet jeśli trochę nieswój z powodu tego, co zamierzała zrobić.

Nawet teraz, kiedy Sylvie pochyliła się do przodu i starannie unikając cierni, zerwała z krzewu pocętkowany brązowo pączek, zakipiało jej w żołądku na wspomnienie tamtego dnia, gdy weszła do sali zarządu i zobaczyła wszystkie te zmarszczone i uniesione brwi. Wspomniała, jak się czuła (tak samo jak wtedy, kiedy w wieku dwunastu lat zabłądziła przypadkiem do męskiej toalety u Alexandra, zobaczyła rząd pisuarów i mężczyzn, trzymających swoje penisy tak od niechcienia, jak rzeźnik waży frankfurterki), przestraszona i podniecona zarazem, jak gdyby wkroczyła na jakieś sekretne, wyłącznie męskie terytorium.

Tego pierwszego razu po prostu przesiedziała całe posiedzenie, zbyt onieśmielona, aby się odezwać. Dosyć było, że przyszła. Za drugim razem także. Za trzecim wciąż nie czuła się swobodnie, ale strach się ulotnił. I niemal słyszała teraz, jak w myślach przygotowują dla niej etykiety: Znudzona siedzeniem tylko w domu, samotna, chce poczuć się częścią czegoś. Daje jej to okazję do strojenia się w te drogie ubrania, jeśli już nic innego. Tylko rozprasza uwagę, ale doprawdy nie ma w tym nic złego.

Jakże się mylili! - pomyślała Sylvie chichocząc do siebie, gdy wspominała ich osłupiałe i oburzone spojrzenia. Kto by pomyślał, że nieśmiała wdowa po Geraldzie wstanie i prosto z mostu zaproponuje, aby wybrali nowego prezesa, kogoś, o kim już myślała, młodego wiceprezesa - niejakiego Adama Cutlera. Był on synem sprzedawcy butów z Północnej Karoliny i z trudem piął się w górę. W zarządzie wyraźnie nie należał do „swoich”, ale dla Syhde był jedynym człowiekiem, odznaczającym się rozumem i zdrowym rozsądkiem.

Chwila, jaka nastąpiła po propozycji Sylvie, wryła się w jej pamięć. Długi stół z orzechowego drewna - tak wypolerowany, że mogła widzieć ich odbicia jak zjawy na fornirze. Wtedy Pyne, z zeszywniała i lekko purpurową od skrywanego oburzenia twarzą, podniósł się, osadzając ją w miejscu stalowym uśmiechem.

- My... sądzę, że mówię w imieniu wszystkich obecnych... z zadowoleniem przyjmujemy zainteresowanie, jakie ostatnio zaczęła pani okazywać naszemu bankowi, pani Rosenthal - powiedział tonem, który zdawał się obniżać temperaturę w pokoju o dobre dwadzieścia stopni. - Ale pragnę, w najlepiej pojętym interesie nas wszystkich, przypomnieć pani, że nie zajmujemy się tu organizowaniem koktajlu ani regulowaniem zaległego rachunku u Saksa.

Sylvie była mu wdzięczna, tak, wdzięczna za wzniecenie w niej galwanizującego gniewu. Jej ręce, które przed paroma chwilami zaczęły drżeć, leżały teraz nieruchomo,

a mężczyźni siedzący wokół stołu nie byli bardziej groźni niż podręczni, szoferzy, sprzedawcy i urzędnicy, z jakimi zawsze miała do czynienia w domu i w sklepach.

- Próbuje pan wprawić mnie w zakłopotanie - powiedziała otwarcie. - I to prawda, co pan mówi, że w pracę zarządu zaangażowałam się dopiero niedawno. - Patrzyła kolejno na szare twarze tych mężczyzn, zmuszając się do spoglądania im w oczy. - Ale jedyną rzeczą, która powinna mnie kłopotać, jest to, że nie zaangażowałam się wcześniej. A teraz proszę mi pozwolić przypomnieć wam, że posiadam sześćdziesiąt procent w Mercantile Trust. Jeśli nie życzycie sobie traktować mnie poważnie, myślę, że powinnam poinformować was, iż mam nabywcę, który zaoferował mi dobrą cenę za moje udziały...

- Nie rozumiem, jak mogłoby to pogorszyć nasze położenie - uciał spocony Sol Katzman, a Sylvie obserwowała, jak szarpie ze złością krawat, ściągając go z kołnierzyka swej szytej na miarę koszuli, jak gdyby miał zamiar powiesić ją na nim.

- Wydaje mi się, że kilku z was już zna nabywcę, o którym mówię - ciągnęła słodko, odczekując chwilę przed zrzućeniem bomby. - Pan Nikos Alexandros.

Nastała cisza, a ona chciała klasnąć w ręce z radości. Rozegrała swoje karty jak należy. Było jasne, że będą woleli mieć do czynienia z kobietą niż z cudzoziemcem, kimś z zewnątrz. W dodatku z Grekiem, który budził obawę, że przechytrzy ich wszystkich.

Jeszcze przed głosowaniem Sylvie wiedziała, że wygrała. Pozostało tylko pytanie, czy zdoła wyjść stamtąd i nie zemdleć w windzie?

I cóż, nie zemdlałam, prawda? Sylvie ocknęła się z zamyślenia i wspierając się na żerdzi, wyprostowała się. Przez chwilę czuła zawrót głowy. Pomarańczowe plamy zatańczyły jej przed oczyma. Serce biło jej zbyt szybko.

Pora wejść do środka, pomyślała, obserwując cienie południa pod krzewami róż, alabastrowe skrzynie kwitnącej pigwy i jaśminek, otaczające ceglane patio. Jeśli się

pospieszy, wciąż będzie miała czas, żeby zadzwonić do Manuela w sprawie zroszenia ogrodu, zanim zaczniesz się szykować na lunch z Nikosem.

Powiedział, że ma ciekawą wiadomość, którą chciałby się z nią podzielić. Cóż by to mogło być? Może, pomyślała z nagłym ukłuciem zawiści, poznał kogoś - kobietę, z którą chciał się ożenić. A dlaczego nie? Wciąż był taki witalny, atrakcyjny. A co najważniejsze, był dobry.

Oczywiście, nie było żadnego powodu, dla którego miałby się nie ożenić. Tylko że, cóż, nie pomyślała o tym przedtem. I... o Boże, czy to znaczy, że będą musieli przestać umawiać się na lunch, na co zawsze tak się cieszyła? I do opery? I na imprezy dobroczynne, gdzie Nikos ratował ją przy stole przed towarzystwem jakiegoś patetycznego starca, który właśnie stracił żonę?

Drogi Nikos. Tyle mu zawdzięczała. Rachel, przede wszystkim. Mimo zaprzeczeń Sylvie, Nikos ciągle zdawał się wierzyć, że Rachel była jego, ale nie naciskał na wyjaśnienia. Nigdy. Zawsze był kurtuazyjny i przyjacielski w stosunku do Rachel i to wszystko. Syhde była mu za to tak wdzięczna, że w zamian zrobiłaby dla niego wszystko. To znaczy, wszystko, z wyjątkiem powiedzenia prawdy... o Rosę.

Przez wszystkie te lata okłamywałam Geralda, a teraz okłamuję Nikosa. Ta myśl zraniłajak ostry cierni róży.

Gdyby wiedział o Rosę, poruszyłby niebo i ziemię, żeby ją odnaleźć. I czy nie zasługiwał na dziecko, za którym tak tęsknił?

Bóg wie, że próbowała mu powiedzieć, ale za każdym razem słowa więły jej w gardle. Była przecież Rachel, o której należało myśleć. I o Rosę także... i o sobie.

Sylvie podniosła słomkowy koszyk pełen róż, kwitnących we wszelkich odcieniach żółci, różu i czerwieni. Pod wrażeniem ich delikatności i wyjątkowego piękna oczy wypełniły jej się łzami.

Moja biedna Rosę, pomyślała. Nie znasz mnie, ale myślę o tobie codziennie. Prawda, że z mniejszą udręką niż kiedyś. Lata były dla mnie łaskawe pod tym wzglę-

dem. Ale... och, moje drogie dziecko... jak bardzo chciałabym...

Sylvie wyjęła z koszyka kwiat w odcieniu głębokiej purpury i dotknęła nim swego policzka na jedną rozdzierającą serce chwilę. Potem nagłym ruchem wyprostowała plecy i rzuciła różę / powrotem do koszyka. Może doprowadziła się do takiego stanu zbyt długo przebywając na słońcu?

Musi się pospieszyć, inaczej się spóźni. Wtedy uczuła przebłysk paniki. Bała się nowin Nikosa. W tej chwili nie potrzebowała w swym życiu żadnych niespodzianek.

- Więc... co o tym myślisz? - zapytał Nikos, uśmiechając się do niej z podestu drugiego piętra domu, do którego przyprowadził ją po lunchu. - Jestem głupcem czy geniuszem? Sto tysięcy dolarów mówi mi, że prawdopodobnie jestem głupcem.

Sylvie dołączyła do niego u szczytu wdzięcznie wijącej się kondygnacji schodów. Przyszła z nim tutaj, do tego opuszczonego budynku w pobliżu parku Gramercy, weszła po tych wyginających się schodach, zastanawiając się, co też on mógł chcieć jej pokazać. Teraz zrozumiała. Jej spojrzenie omiotło mocno nadwerężony, zarzucony gruzem pokój, który niegdyś był wspaniałym edwardiańskim salonem. Olbrzymie rozsuwane drzwi, które wyslizgiwały się z cudownie wygiętego łuku, były szkaradnie pomazane starą farbą, połowa ślicznie rytych szyb popękana lub wybita. Wysoki i fantazyjny sufit z odłupanymi gipsowymi rozetami i popękanymi listwami do kinkietów wyglądał jak wierzch tortu weselnego, poobgryzane go przez szczury.

Dom. To o tym chciał mi powiedzieć. Bogu dzięki, nie była to żadna zła nowina.

Sylvie poczuła się słabo i z ulgi niemal doznała zawrotu głowy. Potem zaczęła myśleć, ile pieniędzy i nerwów zabierze przekształcenie tej ruiny w miejsce nadające się do zamieszkania i zaniepokoiła się o Nikosa.

Ostatecznie nie był już taki młody, miał ponad sześćdziesiąt lat.

Sylvie obejrzała się na niego. Stał teraz w sklepionym przejściu, wśród kawałków odłupanego gipsu i stosu potrzaskanych winylowych kafelków. Ale wydawał się tak silny jak trzydzieści lat temu. Trochę szerszy w pasie, ale z pewnością nie sflaczały. Włosy gęste jak zawsze, tylko siwe teraz, skręcone jak opiłki żelaza.

Zdjął marynarkę i trzymał ją przewieszoną przez ramię, pod drugie wsunął zwinięty w rolkę plan. Z odrzuconą w tył głową obejmował wzrokiem pokój, twarz jaśniała mu blaskiem jakiejś wizji przyszłości.

Już dawno nie widziała tak błyszczących czarnych oczu. Cały czas podczas lunchu, jak dziecko rozpieszczone chęcią wyjawienia sekretu, rzucał jej dziwne spojrzenia, a potem zamówił butelkę szampana. Cóż, nic dziwnego, że kręciło jej się w głowie. Czy nie byli oboje lekko wstawieni?

- Myślę, że to... daje pewne możliwości - odezwała się w końcu, szukając słów, żeby nie powiedzieć czegoś niewłaściwego.

Nikos zwrócił na nią swoje ciemne spojrzenie i wybuchnął huczącym śmiechem, który odbijał się echem w tym zniszczonym, pustym pokoju. - Bzdura. Nie znosisz go. Marny z ciebie kłamca, Sylvie. Wyglądasz, jak gdybyś ugryzła coś bardzo niesmacznego.

- Cóż, dom będzie wymagał wiele pracy. - Była zakłopotana. Ale dlaczego miałyby być zakłopotana?

- Och, Nikos, nie mówisz poważnie o kupnie, prawda? To znaczy... no cóż, położenie jest bardzo dobre. Tak blisko parku Gramercy i tylko pięć przecznic od twojego biura. Ale spójrz tylko. To cud, że jeszcze nie przeznaczono go do rozbiórki. Powiedziałeś, że jak duży on jest?

- Trzy piętra oprócz tego. Chodź, może rzucisz okiem? - Zanim zdążyła odpowiedzieć, ujął jej ramię, prowadząc w górę jeszcze jednej stromej, krętej i, pomyślała z niepokojem Sylvie, niebezpiecznie rozchwierutanej kondygnacji schodów.

To było niebezpieczne, uznała czując, jak niektóre schodki wyginają się pod jej ciężarem i skrzypią niczym maszt statku przy silnym wietrze. Tu i ówdzie brakowało desek nad przednózkami. Gdyby była mniej czujna, mogłaby łatwo spaść, może skrócić kostkę. Czuła również ostry, nieprzyjemny zapach, przypominający zapach zgniłych jagód jałowca. Zbliżając się do szczytu schodów, dyszała. Zobaczyła ciemny kształt, wyslizgujący się z cienia i przemykający przez podest. Serce jej podskoczyło. Wtedy zobaczyła, że to tylko kot. Więc to dlatego dom tak cuchnął.

Na drugim piętrze Nikos przeprowadził ją przez duży przewiewny pokój z poplamionym marmurowym kominkiem, prawdopodobnie sypialnię. Patrząc na lewo, Syhde mogła dostrzec przez okopcone okno tylko zieloną trawę, śliczne grządki kwiatów i schludne zwirowane ścieżki. Młode kobiety pchające wózki dziecięce, ludzi na ławkach z otwartymi książkami na kolanach, całymi w plamach słońca przeświecającego przez liście.

Nagle, o tak, dostrzegła tutaj pewne możliwości. Przytłaczająco dużo pracy, ale w końcu...

Syhde odwróciła się od okna i oto Nikos, skulony nad podłogą, rozwijał plany, przyciskając każdy róg kawałkiem cegły z kominka.

- Widzisz... tutaj i tutaj... tutaj zburzę ścianki, zrobię duże pokoje, będzie więcej słońca. A tutaj, popatrz, koniec z małą kuchnią. Dziś rano widziałem przy Green Street stary kozioł rzeźniczy, ogromny, pasowałby doskonale do tej ściany. Ale nie jestem pewien, co z tymi drzwiami. Może powinny być tutaj...

Zanim zdała sobie jasno sprawę, co robi, Syhde już klęczała przy nim, ogarnięta jego entuzjazmem. Michel chyba dostałby ataku, gdyby zobaczył, co ona robi z klasycznym lnianym kostiumem koloru skorupki od jajka, który dla niej zaprojektował. Dostrzegła też czarną smugę na jasnobrązowej jedwabnej bluzce. No to co? Przynajmniej się bawiła.

Sylvie, wdychając drażniący ostry zapach papieru, śledziła, jak stanowczymi krótkimi ruchami szeroki palec Nikosa przenosi się z pokoju do pokoju.

- Nie - przerwała mu. - Nie powinieneś tam wstać drzwi. Byłyby nie na miejscu. Dlaczego by nie otworzyć całej tej południowej ściany, wstawić okna tarasowego? Przekształcić tej przestrzeni przy ogrodzie w werandę? Widzisz, za to tutaj zostaje dużo miejsca na jadalnię.

- Tak... Może masz rację. - Zmrużył oczy, jak gdyby próbował wyobrazić sobie efekt. - A co z tym miejscem? Powiniennem tu zrobić spiżarnię, prawda? Chyba jest za ciasne na pokój śniadaniowy.

- Nie, wcale nie, jeśli usuniesz te szafki ścienne. Widzisz, masz tu dość miejsca, żeby stworzyć wysepkę pośrodku. Myślę, że to o wiele bardziej wydajne. Po obu stronach możesz ustawić kontuar, z miejscem na kredens pod spodem. A nad głową masz miejsce, żeby powiesić efektowne miedziane rondle.

Nikos zakołysał się na obcasach i przyjrzał jej się.

- Zdziwiająca! Zawsze mnie zaskakujesz, Sylvie. Jak zdołałaś tak długo ukrywać się pod beczką?

- Pod korcem - poprawiła go ze śmiechem. - I nie chodzi o mnie. Jak ty masz zamiar dokonać tego wszystkiego? Nigdy nie odnawiałaś starego domu. To może być trudniejsze niż zbudowanie nowego od fundamentów.

- Przypomniała sobie czasy, kiedy wiele lat temu kupili dom w Deal, stuletni biały kolos - ale nawet jemu daleko było do takiego zniszczenia, jakie tu miało miejsce

- i wszystkie weekendy, jakie spędziła nadzorując tynkarzy, cieśli, malarzy.

- Przy twojej pomocy - powiedział bez wahania.

- Mojej? Cóż ja o tym wiem?

- Właśnie mi pokazałaś. I - wyciągnął rękę, dłonią do góry, ucinając dalszą sprzeczkę - masz oko do rzeczy pięknych. Ten dom jest rodzaju żeńskiego, czuję to, a ty nie? Potrzebuje kobiecej ręki.

- Och, Nikos... - Sylvie spojrzała w jego czarne oczy

i zobaczyła, że jest zupełnie poważny. Pochlebiało jej to i zarazem przerażało. - Jesteś najbardziej niemożliwym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek znałam.

- Więc uważasz za niemożliwe powiedzieć „nie”?

- Uśmiechną się.

- Po prostu nie wiem...

- Pomyśl o tym, proszę.

Potem ujął jej podbródek w swe kwadratowe stwardniałe dłonie - czuła zapach tuszu rysunkowego na jego palcach, szorstkość pyłu gipsowego na policzku, którego dotykał - i pocałował ją.

Czując na ustach ciepłą natarczywość jego ust, Sylwie pomyślała: Boże drogi, to ja oszalałam. Całował mnie w ten sposób trzydzieści lat temu. Ale teraz? To nie może być prawda. Jesteśmy tylko starymi przyjaciółmi. Dawno mamy za sobą tego rodzaju głupstwa.

Ale poddała się wrażeniu, które było cudowne i nieodparte. I było jej ciepło, o wiele za ciepło, jak gdyby czerwcowe słońce, wlewające się oknem, skupiało się na niej, paląc ją w taki sam sposób, w jaki ona wypalała swoje imię na kawałkach drewna za pomocą szkła powiększającego, kiedy była dzieckiem.

Od jak dawna nie doznawała takich uczuć? Od lat, od wielu lat.

Panie drogi, co kazało mi myśleć, że jestem za stara?

Czy on czekał cały ten czas, aż uznał, że jest gotowa?

Odsunęła się, pomyślała, że zobaczy odpowiedź w jego oczach. Tak, on czekał długi czas. Byli teraz tak bardzo różni od nierozważnych głupców, którzy tak dawno temu wstydliwie przywierali do siebie. Potrzeba im było czasu, tak, wielu lat, żeby nauczyć się nawzajem szanować i lubić. Poznać się jako dwoje ludzi, dwoje przyjaciół.

A teraz jednym pocałunkiem przypomniał jej, że wciąż jest kobietą, a on mężczyzną. Jego oczy powiedziały jej: Jestem tutaj, jeśli mnie chcesz, jeśli jesteś gotowa.

Jeszcze nie, powiedziała mu bez słów, ale może niedługo. Tak, myślę, że to może być bardzo niedługo.

Syhde odsunęła się, czując lekki chłód. Prostokąt światła słonecznego, w którym klęczeli, odpełzył do ściany, pozostawiając ich w cieniu.

Duży kot wyskoczył znikąd i stanął nieruchomo w drzwiach, w swym przybrudzonym białym futerku, z drgającym ogonem, gapiąc się na nich. Przestraszona Syhde wydała zduszony okrzyk.

- Wszystko jest w porządku - uspokajał ją Nikos.

- Jest głodny, to wszystko. Zastanawia się, czy mamy dla niego jedzenie.

- Wygląda, jak gdyby nas chciał zjeść.

Potem kot odszedł, roztapiając się w cieniu.

Nikos podniósł się, wyciągając rękę, by pomóc jej wstać. - Chodź, moja droga Sylvie. Zabiorę cię do domu, gdzie żadne dzikie koty cię nie zjedzą. Potem się pożegnają. Będę w Bostonie w interesach do następnego poniedziałku. Może, kiedy wrócę, zjemy razem kolację?

- Tak, sądzę, że można to zaaranżować. W każdym razie - powiedziała, gdy odebrała mu i zwinęła plany, wsuwając je sobie pod ramię - będę miała szansę przyrzec się im.

Uśmiechnął się, z błyskiem białych zębów w pokrytej bliznami twarzy. Uczuła, że serce znów w niej topnieje, a dawna tęsknota rośnie, ciepła i ciężka w jej brzuchu jak nie narodzone dziecko.

Syhde, z ręką pewnie wsuniętą w ciepłą solidną dłoń Nikosa, pomyślała: Wielkie nieba, w co ja się pcham?

ROZDZIAŁ 19

Max Griffin popijał kawę, spoglądając na Tamizę, migocącą w porannym słońcu jak pociemniałe, zmatowiałe srebro.' To słońce to prawdziwa niespodzianka. Tutaj, w Londynie, zazwyczaj mżyło bez przerwy. Jadł swoje ulubione śniadanie w Savoyu, cieszył oczy swoim ulubionym widokiem. Dlaczego więc czuł się tak podle? Miał kaca, jak gdyby ostatniej nocy wlał w siebie za dużo czerwonego wina. Tylko że nie spróbował więcej niż kropelkę.

To na pewno z powodu Rosę. Z jakiegóż by innego? Wczoraj przez wiele godzin siedzieli obok siebie w samolocie, a po przybyciu do Londynu wpadli na kolację do zatłoczonej restauracji w Chelsea, zajmując jedyny wolny stolik w maleńkiej łoży w rogu, gdzie praktycznie siedzieli jedno na drugim. Cały wieczór wdychał zapach jej perfum, słuchał jej ciepłego śmiechu, oglądał skrzemie się jej oczu.

Wczorajszej nocy tak bardzo chciał sięgnąć przez stół i wziąć ją za rękę. Jak blisko była, jak jej udo napierało na niego w wąskiej łoży, jak gestykulując ocierała się o niego ramieniem. A jednak równie dobrze mogliby być w biurze. Gdzie właśnie powinien był ją zostawić. Wyłącznie sprawy służbowe? Do diabła, kogo nabierał?

No cóż, teraz już za późno. Musi po prostu jakoś z tego wybrnąć. Tylko trzy dni. Nawet mniej, jeśli tylko ten sztywny brytyjski prawnik zaakceptuje absurdalnie wspaniałomyślną ugodę, jaką Max był upoważniony zaoferować.

Spojrzał w dół na Victoria Park, pas zieleni upstrzony klombami i pozszywany schludnymi kamiennymi ścieżkami. Poniżej Embankment w godzinie szczytu, zatkany ruchem ulicznym, ale na chodniku sekretarki i urzędnicy poruszali się zwawo, choć nie sprawiali wrażenia, że się

spieszą, odmierzając krok jak wahadła, kołysząc ciasno zwiniętymi parasolami.

Niech Bóg błogosławi Brytów, pomyślał Max. Słońce świeci. Niebo czyste jak sumienie nowo narodzonego dziecka. A nikogo bez parasolki. Wielu nosiło także kapelusze i trzymało na ramieniu starannie złożone płaszcze przeciwdeszczowe.

Ostrożni, pomyślał. Ale czyż nie wszyscy tacy jesteśmy?

Max zobaczył w wyobraźni te drzwi. Drzwi, które łączyły jego apartament z pokojem obok. Pomalowane na pastelowy niebieski odcień kasetony, kuty mosiądz i żadnego zamka czy klucza. Tylko duża mosiężna zasuwka, którą on, lub ktokolwiek inny, mógłby z łatwością odsunąć. A mimo to ostatniej nocy stał tam przez całą godzinę ze spoconymi rękami, walącym pulsem, niezdolny nawet zapukać, nie tylko odciągnąć zasuwę. Bardzo chciał wejść przez te drzwi, wziąć Rosę w ramiona i powiedzieć jej to, co od tak dawna czuł: że jest nią opętany, że rozpaczliwie jej pragnie, że ogromnie ją kocha.

A gdyby się ośmielił? Jak by zareagowała? Z początku chyba byłaby zaszokowana. Potem przepełniona współczuciem. Biedny stary Max. Lubiła go. Naprawdę łatwo byłoby jej go upokorzyć. Jak starego psa, którego troskliwy właściciel musi wyciągać z nieszczęścia.

Taak, mogła nawet zaprosić go do łóżka, z wdzięczności, czując, że jest mu to winna. Chryste, mieć ją w taki sposób... byłoby to stokroć gorsze niż nie mieć jej wcale.

- Jest pan gotów, żeby złożyć zamówienie, *sir!*
- Dziarski głos wdarł się w jego myśli.

Max zamrugał na widok kelnera w nieskazitelnej białej kurtce i czarnej muszce, z wykrochmaloną serwetką z adamaszku przewieszoną przez ramię. Kamienna twarz, brązowe włosy, płasko przylegające do czaszki i lśniące jak futerko wydry.

- Jeszcze nie. Czekam na kogoś. Powinna nadejść lada chwila.

- Tak, proszę pana. - Kelner jak gdyby rozplątał się w powietrzu.

Max przyglądał się jedzącym śniadanie ludziom. Usadowione przy zalanych słońcem oknach, nienaganie ubrane dwa okazy z City, zajęte jajkami i łososiem. Dwie bezkształtne kobiety w średnim wieku, ubrane w tweedy, bez makijażu i w butach na płaskim obcasie, prawdopodobnie utytułowane, pijące herbatę i skubiące brioszki. Scena jak z filmu. Musiał dobrze szukać skaz i niedociągnięć. Wózek zaparkowany na chybił trafił pod filarem, zawalony stosem brudnych talerzy, i nakrapiane miąższem szklanki soku, spoczywające w srebrnych wiaderkach pełnych topniejącego lodu. Mucha brzęcząca nad koszykiem brioszek na jego stole. Duża plama koloru kawy na dywanie.

Zwracając oczy ku środkowi wielkiego pokoju, dojrzał ciemnowłosą kobietę, przechodzącą obok biało okratowanej altanki pośrodku, gdzie w porze herbaty cicho grał pianista. Wysoka, długonoga, zmysłowa, poruszała się z niedbałą gracją kobiety, która nie jest świadoma swojej urody. Max znieruchomiał, poczuł, że coś wybucha w nim płomieniem, jak gdyby wypił całą filiżankę kawy jednym parzącym haustem.

Boże wszechmogący, sześć lat, a ja ciągle podniecam się jak nastolatek, kiedy ona wchodzi do pokoju.

Obserwował, jak pokonuje meandrami drogę do stolika. Była jak postać z Caravaggia na płótnie Sargenta. Olsniewająca oliwkowomiedziana cera, niesforne czarne włosy, rozrzucone wokół ramion. Jak gdyby dla kontrastu ze swą egzotyczną bujnością, nosiła wąską spódnicę z tweedu, prostą, jedwabną białą bluzkę rozpiętą przy szyi i pojedynczy sznur pereł. Pamiętał, że dał jej te perełki, wtulone w teczkę od Marka Crossa, w dniu, w którym zdała egzamin adwokacki. Dziwne jednak, jak nosiła ten kolczyk. Tylko jeden, jak pirat. Już od lat, zawsze ta jedna rubinowa łąza dyndała u jej prawego ucha. Powiedziała mu, że to jej talizman, że przynosi jej szczęście.

Widząc go, uśmiechnęła się. - Cześć! - Pomachała lekko ręką z odległości pięciu metrów, a Max zobaczył, że z tuzin głów odwraca się i patrzy. Nawet przyzwoici Brytowie, zauważył Max z rozbawieniem, potrafili ocenić ładną sztukę.

Rosę wśliznęła się na krzesło naprzeciw niego. Policzki miała zarumienione i oddychała ciężko, jak gdyby zbyt jej było spieszno, żeby czekać na windę - która w tym okazałym hotelu przesuwała się •: piętra na piętro jak postarzały majordomus - i przebiegła całą drogę w dół schodami. Jej perfumy były jak podmuch świeżego powietrza z pospiesznie otwartego okna wychodzącego na ogród.

- Przepraszam za spóźnienie. Zapomniałam o bożym świecie. Przypuszczam, że to z powodu zmiany strefy czasu. Powinieneś był zapukać do mnie, zanim zszedłeś na dół.

Boże, gdyby wiedziała, jak blisko był ostatniej nocy zrobienia czegoś więcej niż pukanie.

- Uznałem, że potrzebujesz odpoczynku - powiedział.
- Poza tym, mamy dużo czasu. Spotkanie z Rathbone'em dopiero o jedenastej. Zdaje się, że jego klientka uważa za niezbędne spać jeszcze dłużej niż pewna znana mi prawniczka z Nowego Jorku.

Rosę uśmiechnęła się. - Dziękuję. Tylko do protokołu wspomnę, że nie spałam pół nocy, porządkując moje notatki. Mój Boże, jaką lawinę papieru wyzwala jedna nie przemyślana uwaga! Powiedz, czy ta kawa jest jeszcze gorąca? Mam na nią wielką ochotę. Długo czekasz?

- Prawdę mówiąc, dopiero co przyszedłem. Podziwiałem widok - skinął na kelnera. - I dajmy spokój kawie, zamówię ci herbatę. Za pierwszym pobycem w Londynie jesteś zobowiązana wypić herbatę przynajmniej raz, najlepiej w Savoyu. Takie jest prawo. Stemplują ci to w paszporcie.

- Może jest to ich zemsta na nas za herbatkę w Bostonie - roześmiała się, ale dojrzał w jej oczach ten sam dawny cień, ten sam głęboki smutek. Ogarnęło

go znajome uczucie bezradności. To już sześć lat. Czy nabierze kiedy dość zaufania do niego, żeby mówić o tym otwarcie?

Widział, że jej spojrzenie wędruje poza niego, gdy oparła się na łokciach, obejmując podbródek dłońmi, wchłaniając to wszystko - imponujący widok, panoramę Tamizy." Max, widząc grę światła na jej twarzy i pojawiający się w jej dużych ciemnych oczach dziecinny zachwyt, tak bardzo chciał jej dotknąć, że niemal drżał.

Wtedy przyszła mu na myśl matka, mówiąca z tym swoim cynicznym prychnięciem: „Nie ma gorszego głupca niż stary głupiec." I poczuł, że nagle serce mu omdlewa, jak gdyby drzwi zapadowe zatrzasnęły się w jego piersi. Dureń, co za dureń, jak kiedykolwiek mógł sobie wyobrażać...?

Dlaczego miałyby angażować się z żonatym mężczyzną? Na dodatek o dwadzieścia lat starszym.

Tracisz poczucie rzeczywistości, stary, przedrzeźniał go znużony głos wewnętrzny. Ona ma gdzieś, czy ty jesteś żonaty, czy nie. Dla niej jesteś przyjacielem, dobrym szefem, drogim, starym tatusiem, dobrotliwym, starzejącym się mentorem. Skrzyżowaniem Edmunda Gwena z Fredrikiem Marchem.

I pewnego pięknego dnia wyjdzie za mąż. Nawet jeśli nigdy nie zapomni o draniu, po którym ma to ciemne spojrzenie. Ma trzydzieści jeden lat - do diabła, najwyższy czas. Zechce mieć dzieci, zanim będzie za późno.

Wyobraził sobie ją w ciąży, z wielkim brzuchem, noszącą ich dziecko, jego dziecko.

Poczuł się zdegustowany sobą. Panie Boże, jak długo jeszcze będzie się torturował w ten sposób?

- Piękny, prawda? - przerwał jej entuzjastyczną kontemplację krajobrazu.

Rosę odwróciła się od okna, opuszczając ręce na kolana. - Och, Max, niebiański! Nigdy nie byłam w takim miejscu - opuściła głowę z zakłopotanym uśmiechem. - Cóż, jeśli chcesz znać prawdę, nigdy nigdzie nie

byłam. To jest, nigdzie poza Nowym Jorkiem. Londyn jest... och, jest jak bajka. Niemal spodziewam się, że Piotruś Pan przefrunie obok.

- Dobrze powiedziane. - Uśmiechnął się, przypominając sobie, że ich przeciwniczka w dzisiejszym sporze prawnym, Devon Ciarke, grała Piotrusia Pana w Londynie. Mówiono, że zastąpiła z tej roli, jak Mary Martin w Nowym Jorku. Poza tym słynna była z paru innych rzeczy.

Na przykład ze wskakiwania do łóżka z każdym samcem w zespole, od technika oświetleniowego po kapitana Ho oka.

Co za ironia, pomyślał, że to zdrady Devon Ciarke przywiodły ich tutaj.

Gdyby jej były mąż choć raz przyszedł do Maxa, zanim złożył rękopis, wywlekając wszystkie brudy na widok publiczny, Max wbiłby mu trochę rozumu do głowy i zmusił do rezygnacji ze smakowitych kąsków. Ale Jonathon Booth, co było teraz jasne, był tak samo skłonny zrewanżować się Devon za przygotowanie mu rogów, i to tak otwarcie, jak ona do ukarania jego. Co raczej dziwne, odmówiła nawet dyskusji nad ugodą poza sądem. Żądała całego przedstawienia cyrkowego.

Aż nagle, w zeszłym tygodniu, rozpaczliwy telefon od Jonathona. Zdaje się, że Devon w końcu zgadza się rozmawiać, ale tylko jeśli prawnik Jonathona przyleci do Londynu negocjować... na koszt Jonathona, oczywiście.

Rosę napisała wszystkie pisma w tej sprawie i to ona przeprowadziła badania, więc Max poprosił, by poleciała także. Poza tym grał na swoim przeczuciu. Rosę miała szczególny talent do atakowania problemu z boku, jak krab. W tej sprawie ten talent mógł wszystko odwrócić.

Max zauważył, że rumieniec wpłynął na policzki Rosę, podkreślając wygięcie jej wysokich kości policzkowych.

- Piotruś Pan? - Rosę roześmiała się. - O Boże, właśnie przypomniałam sobie ten fragment w książce Jona, kiedy znalazł ją w łóżku z szesnastoletnimi bliźniakami lady Hemphill. Niesamowite!

- Oczywiście wiemy, że nie robiła tego dla zabawy.
- Max zmusił się do zachowania poważnej miny. - Ona jest metodyczną aktorką. Po prostu uczyła się roli, próbując... jak to ona ujęła? Ach, tak... przemienić się w kilkunastoletniego chłopca.

Rosę zachichotała. - Ona wydaje się interesująca, ta Devon Ciarke. Wierz lub nie, ale naprawdę cieszę się na to spotkanie. Jesteś pewien, że przyjdzie?

- Tak, i prawdopodobnie będzie nosić cekiny i dzwoneczki. Myślę, że to wszystko sprawia jej przyjemność. To dobra reklama dla jej nowego spektaklu. Gra we wznowieniu *Blithe Spirit*. Z początku Haymarket był na pół pusty, a teraz, jak słyszałem, co wieczór wyprzedaje komplety.

- Herbata dla pani! - polecił Max kelnerowi, który zmaterializował się przy ich stoliku.

- Max, sama nie wiem. Czy myślisz, że dotrzymam pola takiej kobiecie jak ona?

- Zapominasz, że jesteś nieustraszona. Pamiętasz tę małą przejażdżkę sportowym samochodem, kiedy nam obojgu omal nie skręciłaś karku, żeby dowieść, że ta cholerna maszyna nie jest bezpieczna? Jestem pewien, że Devon Ciarke ani w połowie nie okaże się tak chytra. Ani tak niebezpieczna. - Przysunął jej nakryty serwetką koszyk. - Brioszkę?

- Dziękuję. Umieram z głodu - poczęstowała się bułeczką. - Jeśli mowa o cyklonach, ludzkich czy innych, miałaś rację, wiesz, że to zrobiłaś. Czy mówiłam ci kiedyś, jak bardzo cię podziwiałam za ryzykowanie w ten sposób swoją pracą?

Max umilkł, wspominając spotkanie z Graydonem Wilkesem, prezesem Pace Auto, dwa dni po tamtej karkołomnej przejażdżce. Max otwarcie oskarżył go o zatajanie ważnej informacji i tak samo otwarcie poinformował go, jakie będą konsekwencje, jeśli kiedykolwiek ta informacja stanie się własnością publiczną.

- Będzie pan miał tyle procesów na głowie, że nie będzie pan wiedział, w którą stronę się obrócić

- powiedział Wilkesowi. - Rozmnoży pan nową rasę łowców sanitarek - prawników, którzy wyspecjalizują się w skarżeniu Pace Auto, tak jak ci, którzy zajmują się tylko procesami przeciwko firmom azbestowym i innym. Przemaglą pana. Oskubią. Będzie pan miał szczęście, jeśli zostawią panu koszulę na grzbiecie.

Wilkes zrobił się szaryjakiego garnitur. Posłał Maxowi spojrzenie tak pełne nienawiści, iż Max był pewien, że za chwilę zostanie wylany. I rzeczywiście odszedłby i zamknął za sobą drzwi, gdyby po nieskończenie długiej minucie Wilkes nie spuścił oczu i nie powiedział: - Dobrze. Odwołajmy to.

Max pamiętał, jak lekki się wówczas czuł, i trochę tamtej lekkości odczuwał teraz, widząc, że Rosę spogląda na niego z dumą i zadowoleniem. - Nie, nigdy mi nie powiedziałaś.

Rosę zmarszczyła brwi. Jej oczy stały się ciemne, zamyślane.

Max poczuł się, jak gdyby wypuszczono z niego powietrze, jak gdyby runął na ziemię jak połamany latawiec.

- Wiele się wtedy działo... - zaczął i dodał z wahaniem: - To było zaraz potem jak... byłaś taka chora.

- Ach, tak... oczywiście. - Odwróciła wzrok, ale zdążył dostrzec cień urazy w jej oczach.

Do diabła, dlaczego nie chce o tym mówić? Czy sześć lat to nie dosyć?

Sześć lat. Wrócił myślami do tamtych tygodni, kiedy Rosę była chora, gorączkowała przez kilka dni, a potem była tak słaba, że ledwie mogła wstać z łóżka. Nie, ona nie chciała wstać. Wkrótce tak schudła, że czuł przestraszenie na widok trupich wgłębień na jej twarzy i zapadniętych obojczyków. Codziennie więc znajdował czas, żeby ją odwiedzić, w porze lunchu lub po pracy. Przynosił jej jedzenie, kusząc ją jednego dnia faszzerowanymi gołąbkami, gorącym ciastem ze szpinakiem, chrupiącym świeżym chlebem od Balducciego, a następnego pikantnym daniem seczuańskim z restauracji. Zasypywał ją

magazynami, tanimi wydaniem powieści, a w końcu, kiedy zaczęła przejawiać zainteresowanie swoim wyzdrowieniem, stosem papierów z biura. Powoli, powoli, centymetr po centymetrze, powracała do krainy żywych.

Max znał przyczynę, wiedział o Brianie. Poskładał tę historię z tego, co wyjawiała Rosę, ale przede wszystkim ze sprawozdań w mediach - po artykule w „News” były wzmianki w „Newsweeku”, fotoreportaż w „Life”, a nawet krótki film w telewizji. Przez mniej więcej tydzień byli ulubioną parą Ameryki.

Po tym pierwszym tygodniu Rosę nigdy nie mówiła o Brianie. Max wiedział, że cierpiała. Widział to w jej oczach. Te oczy go prześladowały, nawet kiedy nie był z nią. Bóg jeden wiedział, co się działo w jej sercu, w jej biednym, tak bardzo spustoszonym sercu.

Dziwne, ale po tym stała się twardsza, silniejsza, jakoś bardziej... olśniewająca. Brylant, wyczelowany i oszlifowany przez tragedię. Najpierw bezustanna nauka do uzyskania pierwszego stopnia naukowego. Potem studia prawnicze z tą samą skoncentrowaną energią, której zawdzięczała wybór do „Law Review” na uniwersytecie Columbia. On i jego partner nie robili jej łaski, przyjmując ją z powrotem jako współnika. Jeśli już, to odwrotnie.

Przyniesiono herbatę, co wyrwało Maxa z zadumy.

Czuł, że jego ponury nastrój rozwiewa się, przechodząc w rozbawienie, kiedy obserwował Rosę, chłonącą wszystko z szeroko otwartymi oczyma. Wysoki kopulasty imbryk do herbaty z Sheffield, srebrne siteczko, które pasowało do obwodu filiżanki, cukiernicę wypełnioną lśniąco brązowymi kostkami cukru trzcinowego, biały porcelanowy dzbanek z parującą wodą, dzbanuszek wypełniony po brzegi pianistym mlekiem.

Patrzyła na ustawione w szyku na białym adamaszkowym obrusie akcesoria. - Nie wiem, jak zacząć. Jesteś pewien, że nie dają do tego instrukcji?

Dziecinne zakłopotanie najej twarzy tak bardzo przypominało mu Monkey, że uczył przyptyw tęsknoty za

swoją córką. Myślał o tym, jak obserwowwała go, kiedy pakował się przed podróżą, przycupnięta na brzegu kraciatej narzuty - cała składająca się z nóg, chudych ramion i rudych włosów, długich do połowy pleców - uważnie śledząc stos koszul, krawatów, skarpetek, jakie składał w walizce. Od jej dzieciństwa to był ich rytuał przed każdą podróżą. Za dawnych czasów, kiedy kończył pakowanie, stawał z rękami na biodrach, ściągając usta i mówił: „Hmmm, zdaje się, że o czymś zapomniałem. Ciekawe, o czym.” Wtedy Monkey, chichocząc, rzucała się na otwartą walizkę. „O mnie! - wykrzykiwała. - O mnie, tatusiu!” Ale tym razem nie podjęła swojej repliki. Kiedy wypowiedział rytualne słowa „Ciekawe, o czym?”, tylko wywróciła oczy i powiedziała z majestatyczną pogardą: „Och, tato, jestem na to o wiele za stara”.

Piętnaście lat. Chryste, gdzie podział się tamten czas? Był przerażony łatwością, z jaką odchodzili ludzie, których się kochało. Nie może dopuścić, by tak się stało z Rosę. Nie, musi ją zachować... jako przyjaciółkę, jeśli nie kochankę.

Max podniósł pękaty dzbanek z białej porcelany.

- Popatrz. Pozwól, że ci pokażę. - I w tej samej chwili pomyślał ponuro: Henry Higgins, głupi, stary pierniku, czy nie wiesz, kiedy przestać? - Najpierw mleko, o tak. Teraz precedzasz przez to herbatę. Ostrożnie, tylko do połowy. Jest bardzo mocna. Oto, po co jest gorąca woda: żeby ją rozcieńczyć. A teraz cukier, jeśli chcesz. *Voila* \

Patrzył, jak Rosę upija pierwszy łyk, na próbę. - Niezła. Ale tyle zachodu z powodu filiżanki herbaty? Nic dziwnego, że przegrali z nami wojnę.

- Pij. - Max ponownie spojrział na zegarek. - Brytowie jeszcze nie przegrali... nie przegrali, dopóki nie zobaczymy, jak Devon Ciarke wywraca oczami - zażartował.

Max wiercił się niecierpliwie w skórzanym fotelu. Było dwadzieścia po pierwszej i biuro szanownego Adama Rathbone'a w Gray Inn zaczynało przypominać saunę. Nie byli bliżsi ugody niż dwie i pół godziny temu. Czuli się, jak gdyby grał w nudnej sztuce salonowej, gdzie postaci zręcznie przerzucają się kwestiami, ale gdzie nic się naprawdę nie dzieje.

Pomyślał, że nawet to biuro wyglądało jak dekoracja sceniczna. Całe zagracone wiktoriańską tandetą - sofa z końskiego włosia zarzucona poduszkami, stara wąska taśma do dzwonka przy drzwiach, ozdobny kiel nad kominkiem. Było tam nawet krzesło w kącie, zavalone stosem książek, prawdopodobnie dla efektu, i ogień w kominku mimo dobrych trzydziestu stopni na zewnątrz. Wszystko tak dickensowskie, że aż raziło.

Devon Ciarkę, gwiazda ich małego przedstawienia, siedziała pośrodku, przycupnięta na pulchnym oparciu sofy; jej drobne stopy ledwie muskały mocno wytarty orientalny dywan. Ta drobna, dobrze po pięćdziesiątce kobieta przypominała Maxowi papugę, z tą czerstwą różową cerą i ostrymi rysami, jaskrawozieloną sukienką i zwiewnym niebieskim szalikiem zawiązanym na szyi.

Naprzeciw niej, za wielkim rzeźbionym biurkiem, siedział mocno zbudowany łysiejący dżentelmen, jak karykatura radcy prawnego, w kamizelce, ze złotym łańcuszkiem od zegarka i w dławiająco ciasnym kołnierzyku.

Klient Maxa, Booth, upoważnił go do zaoferowania do pięćdziesięciu tysięcy funtów, żeby uwolnić się od Devon. Ale ona zdawała się zainteresowana tylko teatralnymi emocjami. Jak dotąd, lamentując przebrnęła przez osiem mniej więcej wersji Księgi Hioba, z tą bestią, Jonathonem Boothem, jako szatańską przyczyną wszystkich jej utrapień.

- Czy chciałby pan znać prawdziwy powód, dla którego on napisał tę tak zwaną książkę, tę swoją szmirę?
- pytała, zapalając jakiegoś setnego papierosa.

- Zastanawiam się - Max był zdecydowany nadal

zachowywać się jak prawdziwy mąż stanu - czy takie spekulacje mogą rzeczywiście pomóc naszej sprawie.

- Ponieważ odmówiłam - ciągnęła, jak gdyby Max się nie odezwał - grania głównej roli w jego sztuce. Powiedziałam mu też, co o niej myślę - że to stek nonsensów. I że jest nudna, nudna, nudna!

Max odchrząknął. Dosyć tego. Tym razem był zdecydowany ją przyszpilić, ruszyć z tymi tak zwanymi negocjacjami z miejsca.

- Panno Ciarke, mój klient i ja głęboko żałujemy niedoli, jaką pani wycierpiała. I może mi pani wierzyć lub nie, ale Jonathon jest gotów to naprawić. W rzeczy samej uważa, że byłoby w najlepiej pojętym zarówno pani, jaki i jego interesie...

- W moim najlepiej pojętym interesie? - przerwała Devon z twardym, ostrym śmiechem. - W moim najlepiej pojętym interesie? Och, proszę mi wybaczyć, ale tego już nadto. To wprost nieocenione. Mam panu powiedzieć, jak ta ohydna bestia, pański klient, zachowywał się w czasie naszego miesiąca miodowego? Naszego miesiąca miodowego, na rany Chrystusa. Byliśmy na Majorce, a ja byłam taka chora, miałam ten wstrętny wirus w żołądku. I gdzie on był? Ze swą cierpiącą nowo poślubioną żoną? Ależ skąd. Nawet przez pięć marnych minut. Choroba, mówił, deklamując jak jakiś prowincjonalny Hamlet, przygnębia go. A niech go ugotują!

Max spojrzał na Rosę, usadowioną na rozchwierutanim antycznym krześle w kącie blisko kominka. Podnosiła się teraz, wyglądała na trochę zakłopotaną. Do czego ona zmierza?

- Przepraszam, że przerywam - powiedziała - ale zastanawiałam się, panno Ciarke, czy mogłaby pani zaprowadzić mnie do, hm, damskiej toalety. Ten dom jest jak mrowisko, a ja jestem okropna w topografii. Obawiam się, że po prostu zgubiłabym drogę...

Max wyteżał siły, żeby się nie roześmiać. Rosę mogła znaleźć drogę w Himalajach w zadymce śnieżnej. Była

jedyną kobietą, jaką znał, która nie traciła orientacji u Bloomingdale'a.

Obie kobiety w końcu wróciły, wyglądając dziwnie konspiratorsko. Co się działo, do diabła? Nawet Rathbone miał się na baczności.

Nagle aktorka z afektowaną skromnością zwróciła się do Maxa i powiedziała: - Mówił pan wcześniej o jakiejś ugodzie? No cóż, może Jonathon rzeczywiście postępuje właściwie, kto wie? Ta cała sprawa była takim ciężkim doświadczeniem, właściwie strasznym. I nie chciałabym już przedłużać tej męki...

Max spojrzał na Rosę, a ona rzuciła mu spojrzenie nie skrywanego triumfu.

- ...właściwie - wdzięczyła się Devon - mam lekką migrenę. Więc zostawię was oboje, żebyście doprowadzili wszystko do końca z Arthurem. - Zwróciła się do swego radcy prawnego. - Arthurze, kochanie, nie bądź nudziarzem i nie każ tym miłym ludziom czekać tutaj całe popołudnie. Przedstawili mi wspaniałomyślną propozycję, a ja ją przyjąłam.

Trzepot szyfonu, powiew Chanel nr 5 i Devon zniknęła.

Max, w stanie euforii, a jednocześnie lekko zaintrygowany, ledwie wierzył własnemu szczęściu. Matka Boska z Lourdes nie załatwiłaby tego lepiej.

W drodze do hotelu, na tylnym siedzeniu taksówki, Max zwrócił się do Rosę: - Jak?

- Proste - wyjaśniła z zadowoloną miną. - Jak tylko znalazłam się z nią sama, powiedziałam jej, że zgadzam się z nią. Mężczyźni to takie bestie. Potem zasugerowałam, że może marnuje czas, skarżąc Jonathona, gdy najlepszy rodzaj zemsty ma tuż pod nosem.

- I co to takiego, jeśli wolno spytać? - zapytał rozbawiony Max.

- Napisanie jej własnej autobiografii, oczywiście. Chodzi mi o to, że słuchając wszystkich tych historii, każdy mógł widzieć, że umiera z chęci opowiedzenia całemu światu o wszystkim, co kiedykolwiek zrobiła, ze

szczególnym naciskiem na bestialskiego Bootha. Ja tylko popchnęłam ją we właściwym kierunku.

- Jesteś zadziwiająca, wiesz o tym? - Max chciał ją pocałować. Bardzo.

Potem, nie wiedząc, jak to się stało, całował ją naprawdę. I było tak, jak w jego rojeniach. Rosę oddawała mu pocałunki, chętna; jej miękkie usta, jej chłodne i jedwabiste ramiona wokół jego szyi.

Ale po chwili - zdawało się, że to trwało krócej niż chwilę - już odsuwała się z zadyszaniem, zakłopotanym chichotem i fantazja rozwiała się.

- Och, Max, wiem, jak się czujesz. Sama też czuję się teraz trochę szalona. Taki dziwny ranek. Ale nie dajmy się ponieść za bardzo.

Max poczuł lekkie mdłości. Ona musi myśleć, że jestem jeszcze jednym żonatym mężczyzną w podróży, rozglądającym się za jakimś szybkim numerkiem na boku. O Chryste...

Gdyby to było takie proste. A on chciał więcej, o wiele więcej... ale w końcu nie aż tak wiele. Chciał Rosę. Takie proste. I takie skomplikowane.

Wyciągnąć w nocy rękę i poczuć ją obok siebie. Widzieć ją naprzeciw siebie przy śniadaniu, jak dzisiaj, ale codziennie. Wyobrażał ją sobie owiniętą w jego stary aksamitny szlafrok, z włosami rozczochranymi od snu, popijającą kawę z kubka, rozsypującą okruchy z grzanki na starym dębowym stole w jego kuchni.

Wtedy przypomniał sobie swego ojca w Edgemore Beach. Wyglądał jak ugotowany kartofel w workowatych niebieskich kąpielówkach i robił z siebie przedstawienie, rzucając zalotne spojrzenia ładnym dziewczętom, kiedy przechodziły obok w swoich dwuczęściowych kostiumach kąpielowych. A jego matka, udając, że jest zazdrosna, uderzała go butelką płynu do opalania.

Nie ma większego głupca niż stary głupiec, dogadywała mu, jak gdyby sama myśl o workowatym Normie Griffinie i jednej z tych dziewcząt była prawdziwym żartem.

Nie ma większego głupca niż stary głupiec. Oto, co mama powiedziałyby teraz także o mnie. I miałyby rację.

Teraz już nie był złotym chłopcem, dumą Griffinów, zdobywcą stypendium w Harvardzie, tygrysem korporacji, promowanym do godności starszego wspólnika w zadziwiająco krótkim okresie dziesięciu lat. Nie, teraz był tylko Maxem Griffinem w średnim wieku, flaczejącym jak jego tata, zerkającym na ładne dziewczęta. I starym głupcem.

Starając się ocalić dumę, powiedział: - Nie martw się - z ręką wokół jej ramion, przerzuconą niedbale, jak gdyby nie zauważył, że ona ciągle tam się znajduje. - Jesteś diabelnie atrakcyjną kobietą, Rose, ale za bardzo cię lubię, żeby pozwolić czemuś wejść w paradę.

Widział, że Rose odczuła niezmierną ulgę. Zaśmiała się i powiedziała: - Och, Max, ja naprawdę cię kocham.

Jezu... słowa, za którymi tęsknił. Wyobrażał sobie tysiąc razy, że ona je wypowiada. Ale nie w ten sposób, nie rzucone niedbale, jak gdyby mówiła o ulubionej sukience lub pysznym posiłku.

Max, czując się, jak gdyby otrzymał cios w żołądek, patrzył na przemykający za oknem Strand i zobaczył, że zaczął padać deszcz.

ROZDZIAŁ 20

- Czy naprawdę dobrze wyglądam? Nie jestem za bardzo wystrojona, prawda?

Rosę robiła ceremonie ze swoim rękawem. To chyba głupie, pomyślała, tak się przejmować tą sukienką. Ale cóż ona wiedziała o przyjęciach tego rodzaju? Skąd miała wiedzieć, co będą nosić tacy ludzie? Kopciuszek miał

przynajmniej za matkę chrzestną wróżkę, która poma-chała nad nim czarodziejską różdżką; Kopciuszek miał tylko zniknąć.

- Przestań się martwić - uspokajał ją Max. - Sukienka jest cudowna. Nie będzie na przyjęciu kobiety, która choć w połowie wyglądałaby tak olśniewająco.

Rosę spojrzała na niego przez ramię. Max siedział na ciemnobrzozkwiniowej sofie przed kominkiem (marmurowy kominek w jej sypialni, ciągle nie mogła się z tym oswoić). W smokingu wyglądał bardzo swobodnie, a dla-czegóż by nie? To był świat Maxa - to wszystko - szyko-wny Londyn, hotel Savoy. Jej spojrzenie omiotło pokój, urządzony w najdelikatniejszych odcieniach różu, kre-mowej bieli i błękitu, delikatne francuskie stoliki i krzesła z giętymi nogami, wielkie łóżko przykryte różową ak-samitną narzutą, postarzałą do miękkiego włochatego połysku welwetu. Tak, Max do tego pasował. Ale gdzie było jej miejsce?

- Ale właśnie to mnie martwi - jęknęła. Dlaczego riie mógł zrozumieć? Nie chciała, żeby ludzie jej się przyglądali. Chciała tylko mieszać się z nimi. Rupert Everest, tutejszy wydawca Jonathona Bootha, był spokrewniony z rodziną królewską. Czytała kiedyś w „Timesie” o jego przyjęciu - Mick Jagger, pijący szampana z pantofelka Julie Christie. Co mogłaby powiedzieć takim ludziom?

Rosę przeszła przez drzwi łazienki, żeby spojrzeć w wysokie lustro. Nadeszła chwila prawdy.

Stała zupełnie nieruchomo - żadnego obracania się wokół, żeby obejrzeć się z różnych stron, albo zobaczyć, czy jakiś rąbek spódnicy nie jest za długi. Kobieta w lustrze wcale nie była nią - nie, nie mogła być. Ponieważ prawdziwa Rosę Santini wciąż była tym niezdatnym dzieciakiem z Avenue K i Ocean Avenue w granato-wo-białym szkolnym mundurku i sznurowanych butach. A ta wysoka, smukła, wytworna kobieta na wysokich obcasach, z włosami zaczesanymi do góry, połyskującymi grzebieniami była... była... no cóż, piękna. ,

Po południu Max zabrał ją na zakupy do Liberty'ego przy Regent Street. Solidne dębowe boazerie na ścianach, zawile rzeźbione poręcze zdobiące schody, antyczne fotele i kozetki z obiciem w cudowny pawi wzór, który Liberty uczynił sławnym, wyjaśnił jej Max. Rosę wyobraziła sobie, że umarła i poszła do nieba dla kupujących. Oczarowana miejscem, nie oparła się płaszczeni od deszczu Burberry, pasującemu do niego kaszmirowemu szalikowi i... tej sukience.

Max miał rację, sukienka była cudowna. Inspirowana renesansowym wzorem, uszyta była ze startego aksamitu w kolorze niemal rozżarzonego głębokiego fioletu. Opa-dała prosto nieco powyżej kolan, a potem rozszerzała się w wąskie plisy - jak płatki kwiatu - a każda plisa otwierała się wstawką z bladofiołkowej starej koronki. Rękawy były z tej samej fiołkowej koronki, szerokie, zebrane na ramionach i przy łokciach, mocno dopasowane na przedramionach i zwięzające się w literę V u nadgarstków.

Mroczny, mściwy triumf podniósł się z gdzieś głęboko w niej zamkniętego miejsca. Gdybyś mógł zobaczyć mnie teraz, mój drogi, wierny Brianie, czy żałowałbyś, że mnie opuściłeś? Czy chciałbyś mnie z powrotem?

Znów miała przed oczami ten artykuł w „News” i wszystkie inne, jakie ukazały się potem - rozkładówka w „Life”, tamte dramatyczne strzały wybawienia i ślub, potem zdjęcie w zbliżeniu ich dwojga, Briana i jego żony, skulonych na sofie w ich mieszkaniu w Murray Hill. I jeszcze zdjęcie Briana przy maszynie do pisania - w podpisie powiedziano, że pisał powieść o swych doświadczeniach w Wietnamie.

Rosę podarła je wszystkie na strzępy, wszystkie te strony i zdjęcia, ale i tak wryły się w jej pamięć. Jej myśli wciąż i wciąż powracały do nich, jak język ciągle dotyka bolącego zęba. I za każdym razem w kółko to samo pytanie, nie kończąca się zagadka bez odpowiedzi: Dlaczego? Dlaczego, Brian?

Znów przypomniała sobie, jak chciała na zawsze pozostać w łóżku, ukryć się w swoim ciemnym mieszkaniu na resztę życia. Jednak po trzech czarnych tygodniach obudziła się pewnego ranka wygłodniała, miała ochotę wstać i wyjść. Ale nawet po ogromnym, solidnym śniadaniu ledwie mogła dojść do drzwi, tak była słaba. Następnego dnia udało jej się wyjść, potem zeszła w dół schodów, mocno trzymając się poręczy. Kiedy wlokła się jak stara kobieta przez trzy przecznice do Washington Square, przyszło jej do głowy coś w rodzaju wróżby: każdy następny krok będzie dowodem. Że nie można jej pokonać. Jest kimś. Brian również zobaczy, że jest kimś. Pewnego dnia uświadomi sobie swój błąd. I będzie żałował.

Stawała się mocniejsza również w inny sposób. Nauczyła się ignorować tyrańskie telefony od babki, żądania Nonnie, żeby przyszła z wizytą, dzwoniła częściej, a przynajmniej pisała. Jeszcze nie skończyła studiów w New York University, a miała wrażenie, że tysiąc mil dzieli jej nowe życie od dawnego przy Avenue K.

Matko Boża, nawet teraz Rosę nie mogła sobie wyobrazić, jak zdołała przebrnąć przez te wyczerpujące egzaminy i zdobyć reputację - z pewnością niezасłużoną - która otworzyła jej drogę do „Law Review”.

Egzamin śródsesemestralny był morderczy. Była to sprawa, w której musiała przygotować pozorowany proces sądowy. Boże, jak mogłaby kiedykolwiek zapomnieć casus Lambert contra Western Securities? Pociła się nad nim tygodniami, omdlewając przy sprawdzaniu faktów, poszukiwaniu precedensów, ślęczeniu nad paragrafami ustawy o papierach wartościowych i rynku wymiany. A profesor Hughes był najsurowszym, najbardziej wymagającym nauczycielem w NYU, legendą kampusu. Krążyła pogłoska, że nigdy nie postawił noty wyższej niż C + , ale Rosę była uparta. Była pewna, że podbije go pilnością. Będzie musiał nagrodzić ją notą A.

A kiedy otrzymała swoją pracę z powrotem z oceną C-, jakże się czuła zdruzgotana! Profesor Hughes nabazgrał pod spodem: „Pani argumenty, choć starannie

dobrane, miałyby niewielką szansę przekonania ławy przysięgłych."

Całą tę noc, popychana furia, atakowała podłogi swego mieszkania szczotką i odkurzaczem, wyczyściła każdą szafę, każdą szafkę i szufladę. Nad ranem mieszkanie lśniło, a ona była wyczerpana. Ale miała pewien pomysł, sposób, który mógł zmusić Hughesa do ponownego rozważenia jej oceny.

Poszła do niego następnego dnia z propozycją. Jeśli przeprowadzi pozorowany proces tutaj, w klasie, i przekonana „ławę przysięgłych", czy on zmieni ocenę na jej pracy?

Hughes patrzył na nią tak długo i tak uważnie swoimi niebieskimi oczyma z hartowanej stali, aż Rosę uczuła, że jej zuchwalstwo zamiera.

Wtedy uśmiechnął się, na jego kamiennej, nieprzeniknionej twarzy pojawiło się pęknięcie grubości włosa. - Może jest pani bardzo niemądra, panno Santini. Ale ma pani tupet, a ja to podziwiam. Dobrze więc, dobiła pani targu.

W dniu procesu była niemal sparaliżowana ze zdenerwowania. Tylko czysta siła woli - woli udowodnienia sobie, Brianowi, całemu światu, że jest kimś, do cholery - zmusiła ją do wyjścia przed audytorium.

Z początku miała trudności z tym, by ją słyszano w tylnych rzędach, ale potem, jak nasilająca się burza, stawała się coraz mniej nieśmiała, zapominając o zdenerwowaniu, gdy porwała ją zawierucha jej argumentów. Western Securities, perswadowała, nie mogą być odpowiedzialne za oszukańczą machinację ze zobowiązaniem rachunkowym, którą ich prezes, już nie żyjący, obmyślił - i czerpał z niej korzyści - zupełnie sam. Nie zachodziło intencjonalnie złe administrowanie, a zatem przepis IOb ustawy o papierach wartościowych i rynku wymiany nie ma zastosowania.

Patrzyła, jak znudzenie i cynizm opadają z twarzy kolejnych sędziów przysięgłych, ustępując miejsca najpierw ciekawości, a potem, stopniowo, prawdziwemu zainteresowaniu.

Kiedy w końcu ława przysięgłych wróciła z werdyktem na jej korzyść, całe audytorium zerwało się na równe nogi i nagrodziło ją owacją.

Po czym jaśniejąca Rosę poszła do Hughesa. Teraz na pewno da jej A, nie ma kwestii. Ale na jej pracy C-zmieniło się tylko w B-. „Nadal nie zgadzam się z panią, czy ławą przysięgłych - napisał - ale oklaskuję pani zapał.” Z początku czuła się zmiażdżona, oszukana, potem zrozumiała - tak, naprawdę wygrała. Udało jej się ugiąć znakomitego Hughesa, a B postawiło ją na czele. Ukończy studia *summa cum laude*, wśród pierwszych dziesięciu procent swego roku. A co ważniejsze, wiedziała teraz, że może dokonać w życiu wszystkiego, choćby budzącego lęk czy ryzykownego, wszystkiego, do czego się zabierze.

Ale czyż nie zawdzięczała znacznej części swojego sukcesu także Maxowi? Bez niego jako podpory i mentora, bez jego dręczenia, karcenia, dodawania otuchy prawdopodobnie nigdy by jej się nie udało.

Odwróciła się teraz do niego. - O mój drogi, lojalny przyjacielu - i zmusiła się do promiennego uśmiechu, czując, jak dawny gniew na Briana odpływa. - Wyglądasz, jak by powiedzieli Brytyjczycy, bardzo dziarsko - rzekła. Miał na sobie czarny smoking z czarnym atłasowym kołnierzem i brązowy pas w pawi wzór, który kupił u Liberty'ego. Nigdy nie widziała go tak przystojnego, nawet eleganckiego, jego przyprószone siwizną brązowe włosy były starannie uczesane, oczy niebieskości porcelany Wedgwooda błyszcząły w twarzy, zaróżowionej blaskiem ognia. - Przypominasz mi Nicka Charlesa.

Max roześmiał się, wstając z sofy. Trzy długie kroki i już był za nią, zapinając pierwszą haftkę z tyłu jej sukienki; jego ciepłe palce na jej szyi wywołały mrowienie w głowie, dając rozkoszne uczucie, że dba o nią. Kochany Max. Najcudowniejszy przyjaciel na świecie.

Mała niezręczność, to wszystko - kiedy wczoraj cało-

wał ją w taksówce. Oboje, w podnieceniu wywołanym zawarciem ugody, zapomnieli na chwilę, kim są.

Tak, szeptał cichy głos w jej głowie, ale wtedy nie to myślałaś, prawda? Kiedy cię całował, czułaś... no cóż, sprawiało ci to przyjemność, prawda? I wiedziałaś, że on tego chciał...

I widząc, jak wytwornie dziś wyglądał i - tak, przyznaj to, czemuż by nie? - wręcz seksownie, uczuła to samo drgnienie i zastanawiała się: jak całowałby mnie w łóżku?

Rosę przytąpała się na tej myśli, poczuła się zawstydzona i zmieszana. Co za idiotka z niej! Max był prawdopodobnie tak samo zakłopotany tym pocałunkiem w taksówce jak ona. No a co, gdyby chciał się z nią kochać? Był żonaty, więc byłaby to tylko krótka chwila zapomnienia. A potem czuliby się skrupowani jedno wobec drugiego, niepewni na czym stoją. Nie, Max był jej o wiele za drogi, żeby do tego dopuścić.

- Jesteś za młoda, żeby pamiętać *Papierowego człowieka* - Rosę usłyszała głos Maxa przy swoim uchu, lekki i roztargniony, rozwiewający jej zmieszanie jak puch dmuchawca. - A poza tym, gdzie tu tajemnica?

- Mam jedną dla ciebie. Może mi powiesz, dlaczego, chociaż oboje zostawiliśmy wczorajszej nocy buty za drzwiami, tylko twoje wróciły wyczyszczone?

- Ależ to oczywiste, moja droga. Brytowie mogą tolerować kobietę na tronie, ale żeby jej czyścić buty? Tego już byłoby za wiele.

- Mam na to odpowiedź - Rosę pochyliła się z uśmiechem, ściągnęła jeden z pantofli na wysokich obcasach, które sama wyczyściła, i najmocniej jak mogła cisnęła nim przez pokój w ciężkie drzwi z mosięzną klamką.

Wylądował pośrodku z zadowolającym grzmotnięciem, co natychmiast poprawiło samopoczucie Rosę. I dotyczyło to nie tylko przyjęcia, ale wszystkiego.

Odwróciła się do Maxa z triumfującym spojrzeniem.

- Idziemy?

Wciąż uśmiechnięty, z ognikami w oczach, ofiarował jej ramię. - Jestem zachwycony, Kopciuszk.

Oparta o -Maxa pokuśtykała, żeby odzyskać swój pantofel, zastanawiając się, jakim cudem Kopciuszek zdołał uciec, zbiegając po schodach w jednym szklanym pantofelku. Ponieważ w bajkach wszystko jest możliwe... Nawet „A potem żyli długo i szczęśliwie...”

Przy drzwiach Max pomógł jej włożyć nowy płaszcz przeciwdeszczowy. Kiedy zgasiła światła, wyjrzała przez wykuszowe okno, widoczne między ciężkimi gobelinowymi zasłonami. Staroświeckie latarnie uliczne okolone czarodziejskimi kręgami mgły. Nikłe, żółtawe lśnienie światła barek płynących po Tamizie. Wyobraziła sobie stukotanie podków, skrzypienie kół powozu. Czarodziej-skiej karety, która przybyła, żeby uwięzić ją w noc.

Nagle Rosę poczuła się szczęśliwa, szczęśliwsza niż była od lat. To bajka. Londyn... eleganckie przyjęcie... ta sukienka. Coś z innego czasu. Miejsce, gdzie bezpiecznie było marzyć.

Taksówkarz potrzebował dużo czasu, żeby znaleźć dom Ruperta Everesta. Rezydencje przy Cheyne Walk stały z dala od Kings Road, a liściaste gałęzie wielkich starych drzew zasłaniały ich brudne fasady, niemal uniemożliwiając odczytywanie numerów w ciemności.

Rosę zerknęła na zegarek, ledwie rozróżniając słabo świecące cyfry. Byli spóźnieni. Prawie godzinę! Cóż, w końcu może okazać się nieważne, co ma na sobie. Zanim dotrą na miejsce, może być po przyjęciu.

Max, jak zwykle, pozostał niewzruszony. Rosę poczuła jego rękę ściskającą delikatnie jej ramię. - Nie martw się. Będzie taki tłok, że Rupert nie zauważy. Promuje jakiegoś nowego autora - Amerykanina, zdaje się - i prawdopodobnie zaprosił całą BBC, wszystkich redaktorów rubryk towarzyskich z Fleet Street i jakieś gwiazdy rocka dla zachowania lokalnego kolorytu. Zawsze tak robi. Kiedy Jonathon zabiegał o rozgłos, Rupert wynajął Aldwych Theatre i urządził przyjęcie wprost na scenie. - Mrugnął. - Zaprosił nawet Devon Ciarke.

Pisk hamulców i nagłe przechylenie prawie wyrzuciło ich oboje z siedzeń. Taksówkarz zatrzymał się przy krawężniku obok wysokich, kutych w kształcie harfy żelaznych wrót.

- To powinno być tu - oznajmił niechętnie.

Rosę, wychodząc z taksówki, wpatrzyła się w rozjaśnioną przez mgłę ciemność i zobaczyła parę uskrzydłonych cherubinów, przycupniętych każdy na jednym ze słupków bramy, tak delikatnie wykutych, iż wydawało się, że za chwilę ulecą.

Przez wysokie rzeźbione drzwi weszła do westybulu o marmurowej podłodze. Był wielkości apartamentu. Bliźniacze łukowate nisze po obu stronach wypełniały róże - całe tuziny róż wybuchających z olbrzymich waz, szkarłatne przy jednej ścianie, nieskazitelnie białe przy drugiej. Rosę zwilgotniały dłonie i było jej trochę duszno w ciężkim, przesyconym perfumami powietrzu. Przez podwójne szklane drzwi, które otwierały się do hallu, widziała szerokie schody, skracające do góry, i słyszała sphywający na dół szum zmieszanych głosów.

Ich płaszcze zniknęły w ramionach pokojówki wprost z filmu z lat trzydziestych - czarny uniform, biały marszczony fartuszek z organdyny i czepek. Potem niewysoki elegancki mężczyzna w smokingowej marynarce koloru śliwki zmaterializował się u szczytu schodów i zszedł, aby ich powitać.

Max zacisnął rękę najej łokciu i szepnął: - Jest trochę ekscentryczny, ale czarujący.

- Cudownie was widzieć... Jestem zachwycony, że mogliście przyjść - unosił się gospodarz. On nie ma najlepszego pojęcia, kim jesteście, pomyślała Rosę z rozbawieniem. Ale wylewność powitania wynagradzała luki jego pamięci. Rupert omiótł spojrzeniem sukienkę Rosę i złożył dłonie - małe i pomarszczone jak u noworodka - jak do modlitwy. - Wyglądasz słodko, moja droga. Gdzie znalazłaś tę sukienkę? Nie, nie mów. Jestem okropny, jeśli chodzi o dochowywanie sekretów, a każda kobieta na tym przyjęciu będzie chciała wiedzieć.

Chodźmy na górę, dobrze? Chcę, żebyście poznali naszego gościa honorowego.

- Czy nie mówiłeś, że to sławny pisarz? - zdołał wtrącić Max.

Rupert przysunął się, tak blisko, że Rosę widziała najdrobniejszą zmarszczkę wokół jego jadeitowo zielonych oczu. - Właściwie jest to jego pierwsza powieść, ale ośmielałam się powiedzieć, że dość szybko stanie się sławny. Z mojej strony to również niezłe posunięcie. Prawdę mówiąc, jakiś wróbelek zaczął mi do ucha, że ktoś w „Timesie” będzie wychwalać go jako literackie odkrycie dekady. Jako kogoś porównywalnego z Hemingwayem. Rozumiecie, ten człowiek naprawdę strzelał do ludzi w Wietnamie. Zdaje mi się, że tytuł to coś w wojskowym żargonie. *Podwójny orzeł*. Może już to czytaliście?

Rosę miała wrażenie, że jej serce się zatrzymało, jak gdyby wokół niego zacisnęła się czyjaś dłoń, i powoli straszliwe zimno zaczęło ją ogarniać od szyi w dół.

Książka Briana, o Boże, tak...

Pamiętała wstrząs, jakiego doznała widząc ją na wystawie księgarni Doubleday przy Piątej Alei. Wzięła ją do ręki i wpatrywała się w połyskującą na okładce fotografię człowieka, którego kochała tak bardzo i tak długo, czując, że serce ma przebite na wylot.

Rosę miała ochotę krzyknąć, chwycić tego małego człowieczka za ramiona i zmazać ten głupi uśmiech z jego twarzy. Nie znasz go, o mnie także nic nie wiesz, więc jak śmiesz mieszać się w ten sposób w nasze życie?

Jej gniew raptownie zniknął i ten dom, i wszystko wokół niej nagle stało się szare, płaskie i dalekie. Poczowała się niezmiernie zmęczona, jej głowa unosiła się wysoko nad ciałem, ciężka i bezużyteczna jak proteza.

Proszę, Panie Boże, myślała, nie mogę znowu przez to przejść... Nie dopuść do tego...

- Rosę? - ostry głos przedarł się przez szum w jej uszach. - Rosę... dobrze się czujesz?

Max, pomyślała, czepiając się tego głosu jak liny ratowniczej. Dzięki ci Boże za Maxa.

Szarość uleciała i Rosę spoglądała na Maxa - zbudowanego jak bokser, siwiejącego, o nieco zatartych konturach, ale tak cudownie obecnego, na człowieka, na którego można było liczyć. Zawsze.

- Czuję się świetnie - usłyszała samą siebie, mówiącą lodowato chłodnym głosem. - Jestem tylko zmęczona. Różnica czasu. Chyba to mnie nagle dopadło.

- Może położysz się na chwilę, moja droga? - Gospodarz również był uprzejmy i współczujący. - Na górze jest wiele sypialń, gdzie nikt nie będzie ci przeszkadzał... Szczerze mówiąc, wyglądasz trochę jak z salonu *madame Tussaud*.

- Czuję się świetnie - powtórzyła Rosę bardziej stanowczo. - Naprawdę.

Wtedy dostrzegła swoje odbicie w wysokim lustrze *art deco* z hebanu i chromu u stóp schodów i wciągnęła powietrze. Boże, naprawdę była blada.

Potem, jak we śnie, wchodziła po schodach, nie, raczej płynęła, gdyż jej stopy dziwnie zdawały się odłączone od ciała.

Uśmiechała się i wdzięcznie skłaniała głowę, przechodząc obok elegancko ubranych ludzi. Jestem tutaj, i czy nie jest to zabawne, bo naprawdę mnie tu nie ma, ja tylko udaję, że jestem.

Olbrzymi pokój na górze, oślepiająca biel sufitu i ścian, zdumiewające kształty i kolory, nacierające na nią - szkarłatne smoki, wijące się na czarno lakierowanej chińskiej szafce, wielkie płótno Mondriana złożone z żółtych i czerwonych kwadratów, lustra, które odbijały widoki z innych lusterek, całe galaktyki mężczyzn w smokingach i pań w cekinach, odpływające w nieskończoność.

I oto nagle on. Stał przy wielkim oknie, ciągnącym się od sufitu do podłogi, plecami do niej, szczupły i lekko pochylony, o twarzy - twarzy, która nawiedzała ją w snach noc po nocy - migocącej jak zjawa na pociemniałym szkłe, i już nic więcej nie istniało. I nikt więcej.

Brian...

Rosę miała wrażenie, że szampan, który właśnie wypijała, zmienił się nagle w kwas. Palił jej gardło i żołądek.

Przypomniała sobie pierwszego mężczyznę, z którym spała po Brianie. Jeden z profesorów w NYU - niski, mocno zbudowany mężczyzna o gęstych, ciemnych włosach i brodzie jak futro, który w niczym nie przypominał Briana z wyjątkiem okularów; miały takie same szylkretowe oprawki jak okulary, których Brian używał do czytania. I dlatego poszła z nim do łóżka. Dla jego okularów. Zabrał ją na piwo i pizzę, rozprawiając bez przerwy o Prouście, a kiedy wróciła do jego mieszkania, wsunęła się w pościel o kwaśnym zapachu i pozwoliła mu się kochać. I nie czuła nic oprócz smutku.

Od tamtej pory byli inni mężczyźni, kilku, mężczyźni, których lubiła, w których ciałach znajdowała przyjemność. Ale żadnego, którego by kochała, za którym uroniłaby łzę, i żadnego, który mógłby zrujnować jej życie jak Brian.

O Boże. Jak mogłaby teraz podejść? Mówić do niego, zachowywać się jak gdyby wszystko było najzupełniej normalne, tylko trochę niespodziewane - dwoje starych przyjaciół, wpadających na siebie w obcym miejscu...

Ale jakoś podchodziła, oderwała się od Maxa i szła w stronę Briana przez powietrze gęste jak woda. Dźwięki wokół niej były zniekształcone, jak gdyby znajdowała się pod wodą. Rozmowy ścichły do niskiego brzęczenia, ale dzwonienie lodu w czyjeś szklance zabrzmiało jak trzask pękającego lustra.

Staneła naprzeciw niego, wyciągając rękę - rękę należąca nie do niej, ale do stworu z muzeum figur woskowych, jakim właśnie się stała. Zobaczyła wstrząs odbijający się na jego twarzy. Mgnienie nagiego bólu. A potem był takim samym człowiekiem, jak minutę przedtem.

Wychudzony i zgłodniały. Te słowa przyszły jej do głowy. Wytarte słowa z powieści bulwarowej. Ale dobrze opisywały Briana. Twarz ta sama, którą przez te lata nosiła w sercu jak kameę, tylko jej kontury były ostrzej-

sze, włosy dłuższe, spadające na kołnierz sztruksowej marynarki, cień przedwczesnej siwizny na skroniach. Te srebrne oczy, które zdawały się tak zdumiewająco rozświetlać od wewnątrz, teraz były jak lustro, w których widziała tylko swoje odbicie.

- Cześć, Brian - powitała go.

- Mój Boże, nie mogę uwierzyć... Rose! - Szklanka wysunęła mu się z ręki. Chwycił ją szybkim ruchem, lecz kilka kropel bursztynowego płynu rozprysnęło się po białym dywanie. To dało jej chwilę, żeby wypłynąć na powierzchnię, złapać oddech, zanim usłyszała, jak on wykrzykuje: - Jesteś ostatnią osobą na ziemi, jaką spodziewałem się tu zobaczyć!

Zaśmiała się iskrzącym, łamliwym śmiechem, który ranił jej własne uszy. - No cóż, ja też. Chodzi mi o to, że jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałam się zobaczyć. Jak się miewasz?

- Dobrze. Lepiej niż kiedykolwiek. Napisałem książkę. Nawet zdołałem ją wydać i sprzedać kilka egzemplarzy. Pan Everest robi jej niezłą reklamę w Anglii.

Uśmiechał się, i był to taki fałszywy, wysilony uśmiech, że Rose miała ochotę go kopnąć, tak jak miała ochotę kopać te jego kartonowe afisze, wystawione w księgarniach. Przez głowę przemykały jej zdania, skrawki recenzji, jakie czytała.

...debiutdzolnego, nowego powieściopisarza...

...więcej surowej siły niż w „Nagich i martwych”, bardziej chwytający za serce niż „Na zachodzie bez zmian”...

...„Podwójny orzeł” to autentyczna nazwa kodowa operacji militarnej w Wietnamie... ale jest ona także symbolem rozczarowania bohatera jego krajem. Nie czytajcie tej książki, jeśli nie jesteście przygotowani na to, że pęknie wam serce i że to, co myślicie o współczesnych działaniach wojennych, zmieni się na zawsze...

Przeczytała ją i chciała ją znienawidzić, ale była tak poruszona, że płakała godzinami, kiedy ją skończyła.

Teraz też Rosę miała ochotę się rozpłakać. Zdradliwe łzy zbierały jej się w gardle. Wyobraziła sobie cieniutkie jak włos pęknięcia w rogach jej kruchego uśmiechu.

I wtedy usłyszała, jak Brian mówi: - Rosę, chcę, żebyś poznała moją żonę...

Nie do wiary, ale oto była. Stała obok niego cały czas, tylko ja jej nie widziałam.

Nagle żona Briana była jedyną osobą w pokoju.

- ...Rachel...

Rosę poczuła ukłucie w sercu. Jest piękna. Nie spodziewałam się, że będzie taka piękna.

Drobna i smukła, o dobre półtorej głowy niższa od Briana, ale nie było niczego lalkowatego w tej kobiecie. Emanowała siłą, poczuciem celu. Było to w jej oczach, niebieskich i pełnych światła, i w drobnych mięśniach, które przesunęły się pod skórą, kiedy z uśmiechem lekko pochyliła się do przodu, żeby uścisnąć rękę Rosę.

Szczupłe palce zacisnęły się wokół palców Rosę w rześkim, zadziwiająco mocnym uścisku. Wszystko w Rachel było rześkie, jasne, gorące, intensywne. I inne. W jakiś sposób była inna niż wszystkie kobiety w pokoju. Wszędzie paciorki, bransoletki i cekiny wszyte w jedwabie, a oto tutaj ta kobieta w szorstkim lnianym kostiumie koloru ostrygi, tak czystym i prostym jak bilecik z podziękowaniem, napisany na drogiej papeterii. Włosy miała bladobursztynowe, koloru dobrej brandy, nosiła je rozdzielone pośrodku, opadające luźnymi falami na plecy, dziwnie niezależne.

Uśmiechnięta Rosę, ściskając rękę Rachel, nie mogła oderwać oczu od cienkiej złotej obrączki na serdecznym palcu jej lewej dłoni. Miała ochotę ją zedrzeć. Nie pasowała tutaj.

Jest moja. To ja powinnam ją nosić. Brian powinien być moim mężem, nie twoim.

Łzy podeszły jej do gardła, gorące i dławiące i nagle Rosę zrozumiała, że ani sekundy dłużej nie może zostać tu i być

uprzejma. Odeszła szybko i zbiegła po schodach, przepychając się przez tłum - idźcie wszyscy do diabła, nie obchodzi mnie, co sobie myślicie.

Długi hall, drzwi w tyle, i nagle Rosę znalazła się w ogrodzie. W ogrodzie tak samo starym jak dom, tak samo cichym i ciemnym. Ceglane ściany przykryte -angielskim bluszczem, obrośnięta mchem fontanna, strzeżona przez bezgłowego kamiennego Kupidyna.

Cisza, z wyjątkiem dźwięku wody, skapującej z liści na ceglane patio, pustego i jakoś bezlitosnego dźwięku.

Rosę opadła na wilgotną kamienną ławkę i zobaczyła, że wciąż trzyma pusty kieliszek do szampana. Jak postać ze sztuki Noela Cowarda, której spłątano gorzkiego figła. Zaczęła się śmiać, ale jej śmiech zmienił się w coś innego, co wydostawało się z jej gardła jako szloch.

Uniosła pusty kieliszek w stronę bezgłowego Kupidyna. - Za nas, Bri. Żebyśmy spoczęli w pokoju.

ROZDZIAŁ 21

- Rosę... Przykro mi.

Głos Briana za nią, łagodny, ale szokujący w tej ciszy. Rosę poczuła gęsią skórę. Serce waliło jej potężnymi, nierównymi uderzeniami. Odwróciła się gwałtownie i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Dlaczego ci przykro? - zapytała gorzko. - Dlatego, że przyszedłam tu dzisiaj? Dlatego, że nietaktownie powiedziałam „cześć”? Czy dlatego, że zostawiłeś mnie bez słowa tyle lat temu? Wiesz, Brian, to prawda, co mówią, że obraz wart jest tysiąca słów. Nie masz pojęcia, jakie to prawdziwe... - Głos jej się załamał.

Patrzyła na niego, szukając w jego twarzy tego, co spodziewała się znaleźć. Urazy. Bólu. Boże drogi, niech poczuje chociaż drobny odprysk z tego, co ja wycierpiałam. Ale kiedy w bladym świetle, przenikającym z okien na piętrze, zobaczyła, jaki był blady, niemal biały jak kreda, jaką miał ściągniętą i nieszczęśliwą twarz, chciała tylko podejść do niego, objąć go i pocieszyć.

I w tej chwili Rosę zrozumiała, dlaczego nigdy nie uwolni się od niego. Dlatego, że nie mogła się zdecydować, czy kochać go, czy nienawidzić. Boże, dlaczego on tak to utrudniał? Dlaczego nienawiść do niego nie była taka łatwa?

- To nie było tak - powiedział z głębokim smutkiem.
- I nie jest mi przykro dlatego, że przyszedł tu dzisiaj. Rosę... ja... myślałem o tym, żeby zadzwonić do ciebie, tyle razy. Ale... - Rozłożył ręce w geście bezradności, który mówił wszystko i nic.

Rosę czuła, że ręce jej się zaciskają, paznokcie wbijają w dłonie. Gorący oddech drapał jej gardło. Matko Boża, dlaczego muszę znowu przez to przechodzić? Ale w głębi duszy wiedziała, że nie mogłaby uciec, chociaż chciała. To było jej przeznaczeniem, jak gdyby ona i Brian szli tą samą drogą, nadchodząc z przeciwnych końców, i że to spotkanie było nieuniknionym zderzeniem.

- Gdybym wiedziała, że będziesz tu dzisiaj, nie przyszedłabym. - Podniosła zaciśnięte ręce do twarzy, tak zimne jak sople lodu. - O Boże, Brian, dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Przez te wszystkie lata... po prostu chciałam wiedzieć. To mnie zabijało. To, że nie wiedziałam dlaczego. Dlaczego się z nią ożeniłeś?

Długa pauza, i Brian powiedział łagodnie: - To nie dlatego, że cię nie kochałem, Rosę. Chcę, żebyś to wiedziała. Gdyby to robiło jakąś różnicę, ja... Cóż, naprawdę starałem się zobaczyć z tobą, kiedy wróciłem, ale ty...

- Odkładałam słuchawkę, prawda? Jakies dziesięć razy, o ile pamiętam. Czy myślisz, że to by coś zmieniło? Naprawdę tak myślisz, Brian? Jezu, czy miałam się

spotkać z tobą gdzieś na lunchu, słuchać twoich nędznych tłumaczeń, pozwolić ci zebrać to wszystko w schludny pożegnalny pakiecik? No, to cześć, miło było z tobą, i, *a propos*, czy chcesz tę kanapkę z wołowiną z musztardą, czy z kiszoną kapustą? - Teraz Rosę płakała. - Nie tak było z nami, czyż nie, Brian? Byliśmy czymś więcej niż tylko dwójką dzieciaków z Brooklynu, pieprzających się na dachu.

- Rosę... Rosie... - Wyciągnął do niej ręce, jak gdyby chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział jak. Te długie ręce, tak blade w ciemności, że niemal się jarzyły. Kochała je tak bardzo, a one znały ją tak czule, intymnie. - Nadal chcę, żeby był jakiś sposób wytłumaczenia tego. Po prostu... chciałem, żebyś wiedziała, że to nie było proste. To nie była jedna decyzja, jeden dzień, kiedy postanowiłem, że to się stanie, że tak ma być.

Rosę patrzyła, jak Brian opuszcza ręce po bokach. Opadł na ławkę, patrząc niewidzącymi oczami w ciemność. O Jezu, samo patrzenie na niego łamało mi serce, pomyślała Rosę bezradnie. Starszy, szczuplejszy, i te kości, wystające z twarzy jak kamienne górskie krawędzie, i - wciąż nie mogę w to uwierzyć - ta siwizna na skroniach.

- Wielu ludzi będzie próbowało ci opowiedzieć, jak było tam, w Wietnamie - zaczął z wahaniem - ale nikt, ani ja, ani nikt inny nie przekona cię, że wszystko wydarzyło się właśnie tak. Tam było jak... cóż, jak tam. Wojna, dżungla to jedyne, co istniało, co kiedykolwiek istniało, i nic innego nie było prawdziwe. Ani dom, ani moja rodzina, ani nawet ty. Wy wszyscy... wyobrażanie sobie, co robisz... było jak oglądanie jednego z tych starych czarno-białych filmów w telewizji, gdy ekran śnieży i wiesz, nawet kiedy kupujesz te głupie kwestie, wiesz, że to tylko aktorzy, opłacani za to, iż udają, że mają się nawzajem gdzieś. Nie miało znaczenia, ile razy mówiłem sobie, że na mnie czekasz, że mnie kochasz, to po prostu nigdy... nie wydawało się prawdziwe. Potem, kiedy nie pisałaś...

Rosę czuła, jak gdyby wbił jej nóż w serce. - Twoje listy. Te, które Nonnie chowała przede mną. O Boże! Czy nie dostałeś mojego...

- Dostałem twój list. Przesłali mi go z bazy. Ale dopiero po tym, jak zostałem zwolniony. Po tym, jak Rachel i ja... Wiec widzisz, jak to było.

- Czy prosisz mnie o przebaczenie, Brian? Czy naprawdę prosisz, żebym uwierzyła, że ożeniłeś się z nią, ponieważ myślałeś, że przestałam cię kochać?

Zwrócił ku niej twarz i zobaczyła łzy w jego oczach.
- Już nie wiem, Rosę. To było tak dawno temu. Już naprawdę nie wiem, co dokładnie wtedy myślałem. Wiem, co czułem i że to prawdopodobnie nie miało nic wspólnego z tobą czy z rzeczywistością. Wtedy... po tym, jak zostałem ranny... to uczucie stało się silniejsze. To było tak, jak gdybym spał i właśnie się obudził, a wszystko, co zdarzyło się przedtem, tylko mi się śniło. Niektóre z tych snów ledwie pamiętałem.

- Jak mnie?

- Nie, ciebie pamiętałem, Rosę. Tylko że ty... byłaś wyobrażeniem. Prawdziwy był tylko tamten szpital, tamto łóżko, na którym leżałem, i potworny ból. T Rachel. Ona uratowała mi życie, Rosę. Ona... ona była prawdziwa.

To również jest prawdziwe, to, co teraz czuję. I nienawidzę go za to, co robi, za to, że stara się, żebym zrozumiała. Za to, że mówi mi to wszystko, raniąc mnie jeszcze bardziej, myślała Rosę.

Ale jakaś część niej rozumiała. Był tak daleko od domu i wydarzyło się coś strasznego... i to było to coś, co ich rozłączyło.

Zrozumiała również teraz, po tylu latach, że on nie chciał jej zranić. Ale czy nie wiedziała tego cały czas - gdzieś w głębi serca, gdzie zakopała przebaczenie?

Rosę widziała w jego twarzy, że mówił prawdę - taką, jaką znał. Światło padło na jego wypełnione łzami oczy i przez mgnienie świeciły jasno i ostro jak pośluczone szkło.

Rosę zaświtała również ostateczna prawda o niej samej: że go kocha, nawet teraz, i że będzie go kochać nadal, bez względu na wszystko.

- Brian... - wykrztusiła.

Nagle poczuła słabość w kolanach. Opadła na ławkę obok niego, zanurzając rozpaloną twarz w wytarte prążki jego sztruksowej marynarki, ściskając go tak, jak w dzieciństwie ściskała w snach cudowne rzeczy, czując, że jeśli będzie je trzymać dostatecznie mocno, nie znikną, kiedy się obudzi...

Rosę czuła, jak Brian ją obejmuje, łagodnie, jak gdyby pocieszał zagubione dziecko, i z omdlałym sercem przypomniała sobie, ile razy przytulał ją w ten sposób. Jak gdyby to były role, do których się urodzili i będą je odgrywać całe życie.

- Pocałuj mnie, Bri! - zawołała, odsuwając się trochę i unosząc twarz do jego twarzy. - Nie rób mi tego. Nie każ mi się prosić. Tylko... na miłość boską... pocałuj mnie.

- Rosę, nie mogę...

Niech go diabli. Zmusi go, żeby ją pocałował. Musiała wiedzieć, czy jakimś ułamkiem duszy, choćby głęboko ukrytym, ciągle ją kocha.

Rosę zacisnęła ramiona wokół jego szyi, przyciągając go do siebie, jak gdyby tonęła, a on przypląnął jej na ratunek. Boże... O Boże... Ile razy za tym tęskniła? Marzyła, że przyjdzie do niej jak teraz? Proszę, Brian, proszę, pozwól mi jeszcze tylko na to... ten jeden pocałunek...

Pocałował ją ze zduszonym jękiem, rozchylając usta, rozpalone i słodkie, spragniony jej. Widzisz.... Och, Brian... Kochasz mnie...

Ale działo się coś złego. Odsunął się, siłą odrywając ją od siebie, boleśnie zatapiając palce w jej ramionach.

- Nie! - wykrzyknął. - Nie... nie mogę. Nie możemy. Rosę, to, co ci właśnie mówiłem, to wszystko prawda. Ale to było dawno temu. Kocham Rachel. Jest moją żoną. To... nie powinno było się stać. Przykro mi.

- Przykro? - zaśmiała się cicho. Przykro jest wtedy, kiedy się komuś nastąpi na nogę albo przewróci lampę. Nie, kiedy się komuś roztrzaska cały jego świat.

Brian podniósł się, stojąc nad nią z wyrazem nieskończonego smutku. A ona miała ochotę wrzeszczeć na niego, rozdrapać mu twarz. Niech ci nie będzie za mnie przykro, ty draniu. Nie chcę twojej litości.

- Naprawdę jest mi przykro, Rosę.

Nie pozostało już nic do powiedzenia. Odszedł, zabierając ze sobą wszystko, czego pragnęła.

O Boże, jak bolało, jak bardzo bolało...

Rosę, płacząc z wściekłości i bólu, chwyciła pusty kieliszek do szampana, który stał na końcu ławki, żeby cisnąć nim w Briana, zranić go tak mocno, jak on zranił ją.

Ale zamiast tego zacisnęła kurczowo rękę na kieliszku. Rozległ się dźwięk pękającego szkła i uczuła dziki, narastający ból. Spojrzała w dół i zobaczyła krew, ciemną i gęstą, i ostre szklane ciernie, sterczące z jej dłoni. Boże, co ja narobiłam? Co ja narobiłam?

Rosę siedziała, ściskając nadgarstek, patrząc z hipnotycznym przerażeniem, jak krew się rozlewa, tworzy jezioro w zagłębieniu jej dłoni, ścieka po przegubie i rozpryskuje się na podołku, plamiąc piękną aksamitną suknię.

- Rosę... O Jezu, co... - Brian. Czyż nie odszedł? Nie. Ponieważ był tutaj, tuż obok niej, obejmując ją, tuląc jej zranioną rękę, jaskrawe krople krwi plamiły przód jego białej koszuli jak maleńkie czerwone kwiatki.

- Wygląda na głęboką - powiedział zduszonym głosem. - Może być potrzebne szycie. O Boże, Rosę... - Płakał, cały zgięty w pół, okropnym głosem zranionego zwierzęcia. Nie był to płacz przeznaczony dla ludzkich uszu.

Rosę ogarnęło przewrotne uczucie triumfu, gdyż wiedziała teraz, jakąś częścią świadomości wolną od bólu, że on należał do niej. Że cokolwiek się stanie, jakkolwiek zrania siebie samych, lub siebie nawzajem, Brian zawsze będzie należał do niej.

Kiedy Brian prowadził ją schodami w górę, Rosę, z ręką owiniętą chusteczką, czuła się dziwnie obojętna. Myślała: Nic z tego nie zdarza mi się naprawdę. Oglądam film z sobą w roli głównej. Jeden z tych dramatów z Arcydzieł Teatru w BBC.

Tłum znieruchomiał, a potem zaczął cofać się falami, jak gdyby przeciwiczył to wcześniej. Rozstąpienie się Morza Czerwonego, ujęcie pierwsze, pomyślała, słysząc w myślach ścieżkę dźwiękową z wymyślonym śmiechem.

Zdawało jej się, że sztywny, schludny pokój rozpadł się, a potem poskładał w dziwnym kolażu. Atakowały ją drobne przedmioty, drażniące, zniekształcone. Papieros, który spalił się w pręcik popiołu w ręce wysokiej blondynki, obserwującej ją, zamarłej z przerażenia. Biały perski kot, przeslizgujący się ukradkiem przez las nóg. Wzór z wilgotnych krawędzi na powierzchni szklanego stolika do kawy jak zmarszczki na stawie.

Potem, jak miraż pojawiający się znikąd, ukazała się ona, Rachel. Torowała sobie drogę przez tłum, krocząc naprzód, zdając się przedzierać przez czerwoną mgłę... Wszystko było teraz niebieskie, błękit jej oczu, błękit marzeń, błękit dymu i rozwianych obietnic...

Moja bliźniaczka, pomyślała Rosę. Oto czym jesteś, moją syjamską siostrą. Nie znasz mnie. Aleja żyję z tobą od lat. Związana z tobą. Nienawidząc cię. Zastanawiając się, dlaczego on wybrał cię zamiast mnie...

- Pozwól, że ci pomogę - powiedziała chłodno Rachel. Rosę nie wierzyła, że to słyszy. Ale te szczupłe, silne palce zacisnęły się na jej przegubie. - Jestem lekarzem.

To film, powiedziała sobie Rosę. Takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu.

Rosę wyrwała rękę, cierpiąc od dotyku Rachel, nienawidząc jej łagodności, jej kompetencji bardziej niż nienawidziła jej szorstkości i niegrzeczności. - Nie... nie... Wszystko będzie w porządku. To... Nie sądzę, żeby to było głębokie... Dziękuję ci, ale dam sobie radę...

- Nie bądź niemądra. - Rachel znowu chwyciła jej przegub, stanowczo, jak osoba dorosła przeprowadzająca krnąbrne dziecko przez niebezpieczną ulicę. - Wciąż krwawisz. To musi być głębokie. Jak to się stało? - Zwróciła oczy w stronę Briana. Tylko na mgnienie, ale Rosę dojrzała w nich znak zapytania.

Poczuła znów ten tajemniczy przypływ triumfu, który ogarnął ją w ogrodzie. Tym razem nie cofnęła ręki. Owładnęła nią nieodparta ciekawość. Nagle zapragnęła poznać tę kobietę. A zbliżenie się do niej to trochę jak wdarcie się do wnętrza Briana, czyż nie? Patrząc na Rachel oczyma Briana, może odkryje, co w niej było takiego, że się zakochał.

Poznaj swego wroga. Czy nie to mówi Biblia? Może odkryje słabości Rachel. Miejsca, gdzie można wbić klin.

- Kieliszek do szampana - powiedziała. - Pękł mi w dłoni. Musiałam trzymać go za mocno.

- Pokaż - Rachel zaczęła odwijać zakrwawioną chusteczkę, potem podniosła wzrok, ogarniając stalowo-błękitnym spojrzeniem ciekawski tłum. - Nie tutaj. W łazience.

Rosę czuła, jak ręka, pewnie obejmująca jej łokieć, popycha ją do przodu. Spojrzała w górę i zobaczyła znajomą postać wypadającą z tłumy. Max. Był rozczochrany i zdenerwowany.

- Rosę. Wszędzie cię szukałem. Czy ty... - Zamilkł, spojrzał i jego nieruchoma twarz zdawała się marszczyć, starzec na jej oczach. Powiedział cicho: - Och, Rosę, dziecino.

Rosę natychmiast poczuła się lepiej. Ogarnęła ją wielka fala spokoju. Max był tutaj. Max powstrzyma te szalone czerwone myśli, przelatujące jej przez głowę. Max sprawi, że znowu będzie normalna.

- Max... czuję się dobrze - powiedziała i tak właśnie myślała. - To tylko mały wypadek. Zaczekaj na mnie. Wrócę za kilka minut. A potem, proszę... po prostu zabierz mnie do hotelu.

- Zaczekam - powiedział Max, a Rosę pochwyliła w tej chwili w jego głosie, w jego oczach coś, co kazało jej się zastanawiać, czy...

Rupert Everest, załamując ręce, zaprowadził ją do łazienki, fantazji *art deco*. Czarne marmurowe kafelki i porcelana różowości flaminga, wielka wpuszczana wanna z kurkami z brązu o kształtach nimfwodnych. Lustra na wszystkich ścianach, odbijające miękkie różowe światło, zwielokrotniające wszystko, jak w gabinecie luster.

Rosę zatoneła w wyściełanym krześle obok szklanej etażerki, wypełnionej francuskimi solami do kąpieli.

Rachel zamknęła drzwi.

Były same.

Przez chwilę Rosę miała wrażenie, że realność wstrzymała oddech, pozostawiając ją - je obie - w jakiejś nadrealnej próżni. W miejscu, gdzie nic... i wszystko... miało sens.

Jak to uczucie, że gdzieś widziała Rachel przedtem. To nie mogło być to zdjęcie w gazecie. Takie zamazane, i jej twarz prawie schowana za Brianem. Nie, to było coś więcej. Coś naprawdę znanego... od czego cierpła jej skóra. Rachel przypominała jej kogoś, kogo dobrze znała... tylko nie mogła sobie przypomnieć kogo. Obraz umykał właśnie w chwili, kiedy myślała, że już go ma.

To tylko moja wyobraźnia, powiedziała sobie.

Rachel odsunęła jedną z lustrzanych płyt nad zlewem i zaczęła gmerać w środku w poszukiwaniu opatrunków. Potem uklękła przed Rosę na grubym różowym dywanie i odwinęła chusteczkę, badając ranę: długie rozcięcie, biegnące ukośnie przez jej dłoń, jak szydyczko uśmiechnięte usta, ale nie więcej niż na centymetr głębokie.

Rosę poczuła ulgę. Nie było tak źle, jak myślała. Nawet ból zelżał do tępego pulsowania. Patrzyła na czubek głowy Rachel, na bladoróżowy przedziałek we włosach, równy jak po linijce, na błyszczące bursztynowe fale opadające jej na twarz. Myślała o tym, żeby wziąć statuetkę dyskobola, która stała na marmurowej półce, i opuścić ją mocno na ten nienaganny różowy przedziałek.

Skrzywiła się, kiedy Rachel wyciągnęła pincetką z rany długą szklaną drzazgę. Świeża fala bólu zmyła jej grzeszne myśli.

Rachel podniosła oczy, uśmiechając się ze współczuciem.

- Uuuch. Założę się, że to boli. Ale szycie jest niepotrzebne. Tylko oczyszczę rękę i owinę bandażem.

- Dziękuję - sapnęła Rosę. - Doprawdy, czuję się bardzo głupio z powodu całego tego zajścia. To był taki głupi wypadek.

- Wypadki się zdarzają. To nie była twoja wina.

Co zaszło tam między tobą i Brianem? - wyczytała Rosę w jej zachmurzonym spojrzeniu. Domyśl się sama, odpowiedziała w duchu.

Pozostała milcząca, obserwując Rachel, przemywającą cięcie antyseptykiem o ostrym zapachu, potem owijającą gazą. Skrycie podziwiając pełne gracji, zręczne ruchy jej rąk, Rosę wyobraziła sobie te ręce na ciele Briana, pieszczące je, tańczące po nim muśnięciami motyla...

Przestań. Przestań natychmiast, rozkazała sobie. To szaleństwo. Zachowujesz się jak szalona...

Rachel wstała, odkręciła kurek, żeby umyć ręce. - Zostaw ten bandaż przez dzień czy dwa - zawołała ponad szumem wody. Wytarła ręce w jeden z puszystych różowych ręczników na wieszaku i odwróciła się do Rosę. Opuściła wzrok i potrząsnęła głową. - Chociaż szkoda tej sukienki, jest piękna. Mam nadzieję, że nie będzie zniszczona.

Jej sukienka? Nie myślała o niej, a teraz poczuła się skonsternowana. No cóż, można ją wyczyścić. Gdyby tylko tak łatwo można było zwrócić jej życie, życie, jakie mogłaby mieć z Brianem...

Ale to tak, jak gdyby życzyła sobie, żeby wojna w Wietnamie nigdy się nie zdarzyła. Albo pożar, w którym zginęła jej matka.

Rosę, zmożona, zaczęła płakać. Zanosila się bezgłównym nieopanowanym szlochem, opierając czoło o chłodne marmurowe kafelki.

- Słuchaj - powiedziała Rachel z zawodowym opano-

waniem. - Przeżyłaś wstrząs. Wróc do hotelu, weź kilka tabletek aspiryny i odpocznij.

Rosę, starając się opanować wzburzenie, przez łyżę stojącą jej w oczach patrzyła na Rachel. - Brian mi nie powiedział, gdzie się zatrzymaliście. W którym hotelu. Żebym mogła uregulować rachunek za twoje usługi.

Rachel zeszywniała. - To nie jest konieczne. Nie przyszło by mi do głowy żądać pieniędzy od przyjaciółki. Briana - dodała szybko. Zbyt szybko, po czym brzydki, ciemny rumieniec oblał jej kremową skórę.

Rosę poczuła skurcz satysfakcji. Dobrze. Więc ona ma swoją piętę Achillesa. I był nią, jak Rosę podejrzewała, Brian.

- Wobec tego mam u ciebie dług - powiedziała Rosę.

Rachel zatrzymała się przy drzwiach i odwróciła, posyłając jej długie spojrzenie. A Rosę, widząc odbicie Rachel w różowych lustrach, tuzin jej odbić, ustawionych jak domino, drobnych i złotych, z oczami jak niezabudki, pomyślała: Jesteśmy w filmie Felliniego. Raz jeszcze doznała dziwnego uczucia, że skądś zna tę twarz...

- Nic mi nie jesteś winna - powiedziała Rachel z nikłym uśmiechem, przylepionym na swoim miejscu. - Uwważaj, że jesteśmy kwita.

Jeszcze nie, pomyślała Rosę z gorzkim chłodem, jeszcze nie, dopóki masz Briana.

ROZDZIAŁ 22

Rachel jeszcze raz obejrzała swoje majtki, po prostu, żeby mieć pewność. Ani śladu krwi. Ogarnęła ją radosna ulga, kiedy siedziała skulona na toalecie w maleńkiej łazience na tyłach kliniki.

Cztery dni, pomyślała. A jej miesiączka prawie nigdy się nie spóźniała. Mimo to jeszcze za wcześnie na to, żeby się ekscytować. Tylko że ona była podekscytowana. Ręce jej drżały. Żołądek trząsał się. Kiedy wstała, podciągając majtki i wygładzając sztruksową spódnicę, jej kolana robiły wrażenie trochę miękkich. Zarumieniła się, sięgnęła pod cienką bawełnianą bluzkę, żeby poprawić stanik. W ciągu ostatnich paru dni zrobił się za ciasny, niewygodny; piersi miała ciężkie i wrażliwe, brodawki ją bolały. Wszystkie oznaki.

Teraz, kiedy myła ręce nad pordzewiałym zlewem, Rachel nie mogła dłużej powstrzymać nadziei. Przypuśćmy, że jest w ciąży. Po tylu latach. Zawsze była ta jedna szansa na tysiąc. Parę dni temu odwiedziła pacjentkę, kobietę, która próbowała od lat i w końcu zrezygnowała, myśląc, że jest w okresie menopauzy. A teraz, w wieku czterdziestu siedmiu lat, była po raz pierwszy w ciąży. Fuks, ale takie się zdarzają.

Proszę, Panie Boże, modliła się, żeby mnie się to zdarzyło. Nam. Brianowi i mnie.

Myślała o tych bolesnych testach płodności. Ostatnim razem wzięła nawet morfinę. I czegoż one dowodziły, prócz tego, co już wiedziała? I ile to już lat mierzyła co rano temperaturę, znacząc ją na wykresie, jak szczeniowi laboratoryjnemu? I te tysiąckrotne wędrowki do łązki, badanie podejrzanых plam. Sprawdzanie wrażliwości piersi. Nadzieja wbrew nadziei. Modlitwy. I w końcu, jak zawsze, nic.

Jednak to wszystko było takie okropne, o wiele gorsze niż jej własne rozczarowanie, przez świadomość, że kłamie. Wciąż pozwalała Brianowi wierzyć, że nie ma powodu, dla którego nie mogliby mieć dziecka. Gdyby wiedział...

Sześć lat, pomyślała. Przez sześć lat nie znalazła właściwej chwili, żeby mu powiedzieć. Oczywiście, to jej wina. Brian nie mógł być bardziej czuły, bardziej wyrozumiały. Wiedziała, że zrozumiałby, gdyby mu powiedziała, ale wciąż nie mogła się zmusić, żeby wypowie-

dzieć te słowa. I im dłużej to przed nim ukrywała, tym gorsze się to stawało - zdradą samą w sobie.

Ale te pierwsze lata były takie dobre, że nie miała serca psuć nawet jednego dnia, jednej minuty. Po powrocie do Nowego Jorku kończyła specjalizację z położnictwa w Beth Israel, a Brian pracował jak szalony nad swoją powieścią. Mieli tak mało czasu, że każda wspólnie spędzona godzina była cenna.

Przypomniała sobie pewien śnieżysty wieczór. Wlokła się do domu po trzydziestu sześciu godzinach dyżuru... i nagle, w taksówce, przypomniała sobie o Carnegie Hall, o tym, że mieli bilety na koncert Rubinsteina na ten wieczór. Oboje cieszyli się na to od tygodni - wieczór niebiańskiej muzyki, potem kolacja w Rosyjskiej Herbaciarni. Ale teraz... wszystko, czego chciała, za czym tęskniła, to gorąca kąpiel i wylegiwanie się w łóżku. Jednak jak mogła zawieść Briana? Był taki cierpliwy, gdy była nie w humorze, nigdy nie narzekał, nigdy nie wzbudzał w niej poczucia winy. Była mu to winna.

A kiedy dotarła do domu, Brian, wyszorowany i wspa-
niały w swoim najlepszym garniturze i krawacie, obrzucił ją długim spojrzeniem i powiedział: - Nie mogę współzawodniczyć z Rosyjską Herbaciarnią, jeśli chodzi o bli-
ny, ale umiem zrobić całkiem nędzny omlet. Co ty na to, żebyśmy zostali dziś w domu, a ja coś upichcę?

- Och, Brian - była bliska łez z wyczerpania i ulgi
- a co z koncertem? Wiem, jak bardzo chciałeś pójść...

- Będą inne wieczory. Carnegie Hall nie padnie jutro. Ale wygląda na to, że ty tak. A wreszcie - powiedział i uśmiechnął się szeroko, tym cudownym, nieco skrzywionym uśmiechem, który tak ją rozgrzewał - o wiele przyjemniej jest patrzeć na ciebie niż na starego Rubinsteina. I zawsze możemy nastawić płytę.

Więc wzięła długą gorącą kąpiel, gdy Brian robił kolację, a później, przy jedzeniu, słuchali Brahmsa. Potem on zaprowadził ją do sypialni i powoli, starannie, rozebrał ją. Całował jej piersi i wrażliwe zagłębienie między nimi, pozostawiając wilgotny ślad swoich ust

wzdłuż jej brzucha. Zrzucił z siebie ubranie i pociągnął ją na materac.

- Teraz deser - mruknął, uśmiechając się przekornie.

Wszedł w nią, i porwała ją potęgą jego namiętności... i jej własnej, narastającej szybko, wydobywającej ją z wyczerpania, zmuszającej do krzyku, wygięcia pleców, żeby wchłonąć z niego wszystko, co mogła.

Zapadając w sen w jego ramionach, czuła taką błogość... Pomyśleć, że była żonatego cudownego mężczyzny, że miała przed sobą całe życie takich nocy. A może pewnego dnia stanie się cud i zajdzie w ciążę - specjaliści mówili, że to nie jest niemożliwe, tylko mało prawdopodobne. To mogło się stać teraz, w tej chwili... Dziecko... dziecko Briana... Wtedy wszystko rzeczywiście byłoby idealne...

Boże, kiedy ostatni raz się kochaliśmy? - zastanawiała się teraz, stojąc przy zlewie i wycierając ręce. Tygodnie temu. Tamtej nocy, kiedy obudził ją pieśzcotami z głębokiego snu, tak wielkie było jego pragnienie. Ale ona mu to wynagrodzi. Wkrótce, jak tylko wykradnie kilka wolnych dni, pojedą w jakieś romantyczne miejsce, na Antigüę, na przykład. A takie miejsce warte było paru wyrzeczeń, czyż nie? Jej własna klinika, gdzie jakoś mogła wynagrodzić sobie, a może nawet zapomnieć, o śmierci, z którą żyła w Wietnamie, miejsce, gdzie biedne kobiety mogły otrzymać dobrą opiekę w okresie ciąży. Boże, jak ciężko było walczyć z biurokratycznym bezwładem - prawnicy, rekomendacje, rozmowa za rozmową, góry podań i formularzy - tylko po to, żeby dostać jałmużnę z Funduszu Edukacji Zdrowotnej. A potem równie trudno było znaleźć drugą lekarzkę taką jak ona, czekać, aż Kay skończy kurs dla pielęgniarek-położnych, znaleźć odpowiednie miejsce.

Przypomniała sobie dzień otwarcia tutaj, Centrum Zdrowia Kobiet w East Side. Wesoła żółta farba ledwie wyschła na ścianach tego, co przez sześćdziesiąt lat było sklepem z artykułami żelaznymi, podłoga z płytek winy-

lowych lśniła od świeżego wosku. A w poczekalni - z trochę ciężkimi kanapkami z drugiej ręki, z wiszącymi roślinami, z kosztami jaskrawych plastikowych zabawek - nikogo, pusto jak na stacji metra o trzeciej nad ranem.

I wtedy Kay wpadła na pomysł. Ekspres do kawy. Umieściły w oknie duży napis, po angielsku i po hiszpańsku: KAWA I PĄCZKI BEZPŁATNIE. Tamtego dnia pojawiły się trzy kobiety. Nieśmiałe ciemnowłose kobiety, spuszczone oczy, uśmiechające się niepewnie, kołyszące pulchne dzieci na biodrach. Pod koniec tygodnia poczekalnia była przepełniona.

Teraz, po półtora roku, wszystko się uładziło. Te dumne kobiety o silnej woli zaczęły jej ufać. Ona sprowadzała na świat ich dzieci, wysłuchiwała ich zwierzeń, pomagała, kiedy i jak mogła. Oczywiście, chciała być częściej z Brianem, ale ci ludzie tutaj tak bardzo jej potrzebowali. W pewnym sensie byli jak jej własne dzieci.

Zagrzechotała klamka, wdzierając się w jej myśli.
- Rachel, jesteś tam? - zawołała Nancy Kandinsky.
- Wychodzę. Wiem, że ty też, ale sądzę, że powinnaś zobaczyć tę pacjentkę. Pytała o ciebie. Lila Rodriguez. Ona... no, sama zobaczysz.

Rachel westchnęła. Było po siódmej. Marzyła o tym, żeby pójść do domu. Poczuć stęsknione ramiona Briana wokół siebie. Nie powie mu, co podejrzewała, czego się spodziewała, jeszcze nie, dopóki nie będzie miała pewności. Zbyt wiele razy oboje przeżyli rozczarowanie. Ale po prostu chciała być z nim.

Wtedy przypomniała sobie. Brian przemawiał dzisiaj na spotkaniu weteranów. Tyle próśb o wykłady, o występy w telewizji, w programach radiowych, odkąd ukazała się jego książka, że straciła rachubę. Jedno było pewne, nie będzie go w domu do późna. Trzeci raz w tym tygodniu wpełźnie do łóżka, nie mogąc się przytulić do jego długiego, ciepłego ciała.

A przecież nie musi wygłaszać wszystkich tych przemówień, wychodzić we wszystkie wieczory. Czy to możliwe, że jest zmęczony czekaniem? Na mnie, na dziecko?

A jeśli ja nie mogę mu tego dać, czy nie jest możliwe, że szuka gdzie indziej?

Przypomniała sobie coś innego. Przyjęcie w Londynie dwa miesiące temu. Rosę. Piękną, ciemnowłosą, z tymi płonącymi oczyma. I sposób, w jaki te oczy patrzyły na Briana. Zimna drzazga strachu wbiła się w serce Rachel.

Wypchnęła ten obraz z myśli.

Jeśli jestem w ciąży, wszystko się zmieni. Będzie nam ze sobą dobrze. Będziemy rodziną.

Jutro, obiecała sobie. Wyjdę wcześniej, dla odmiany sama zrobię kolację. Coś nadzwyczajnego, z szampanem i świecami, cały ten sztafaż. A potem, kiedy będziemy się kochali, będzie to smakowało jak za pierwszym razem.

- Powiedz pani Rodriguez, że za chwilę do niej przyjdę! - zawołała przez drzwi do Nancy.

- Okay. Lecę. Do zobaczenia jutro.

Rachel, wychodząc z łazienki, pochwyciła błysk marchewkorudych włosów, znikających w wąskim korytarzu, który prowadził do frontowego gabinetu. Nancy nigdy nie chodziła. Wszystko robiła w biegu.

Teraz Rachel również się spieszyła, wyciągając kartę Liii z zapchanej szafki na akta w norze, która służyła jej za biuro, i torując sobie drogę do gabinetu.

Lila siedziała na składanym krześle w kącie pod okratowanym oknem, które wychodziło na alejkę. Drobną, z olbrzymim brzuchem. Twarz żółtawa. Cała w guzach i posiniaczona, jak gumowa maska na święto Halloween. Oczy spuchnięte do rozmiarów gałek u drzwi.

Następnym razem on ją zabije, pomyślała przerażona Rachel, czując, jak ogarniają furia.

Wciągnęła powietrze, starając się pozostać niewzruszona. Dlaczego ta kobieta pozwalała się bić swojemu mężowi? Nawet chroniła drania; ostatnim razem powiedziała, że potłukła się, spadając ze schodów. Rzeczywiście.

- *Señora* - zapytała, delikatnie ujmując rękę, która robiła wrażenie okropnie słabej i lepkiej. - *Digame quepaso.*

Lila potrząsnęła głową, tłuste czarne kosmyki opadły jej na woskowe czoło. - *Mi niño? Esta hien? Esta hien mi niño?* - Obronnym gestem otoczyła ramionami swój brzuch.

- Zobaczmy. Będę bardzo ostrożna, obiecuję.

Rachel wciągnęła ją na stół do badania i podniosła jej spódnicę. Żadnego krwawienia z pochwy, Bogu dzięki. Ale tuż pod żebrami miała wielki siniak, który bardzo zmartwił Rachel. Mógł wskazywać na uraz. Należało zbadać płyn owodniowy na smólkę.

- Pani dziecko prawdopodobnie miewa się świetnie, ale chciałabym umieścić panią na noc w szpitalu - powiedziała jej Rachel. - Po prostu dla pewności. *Entiendes, señora?*

Lila zrozumiała. Na słowo „szpital” jej twarz z żółtej stała się szara, oczy uciekły w tył głowy. Boi się, pomyślała Rachel, bardziej boi się szpitala niż powrotu do domu, do mężczyzny, który ją bije.

Lila potrząsnęła głową, potem zsunęła się ze stołu, poruszając się z przesadną ostrożnością, jak bardzo stara kobieta dźwigająca koszyk jajek.

- Nie - powiedziała z upartą ostrożnością. - Żaden szpital. Zabiorą moje dziecko.

Zanim Rachel mogła ją zatrzymać, była już przy drzwiach, obciągając guziki swego cienkiego różowego swetra. - Pani Rodriguez, proszę, niech pani posłucha. To, co stało się przedtem, kiedy miała pani poronienie, to było co innego...

Ale Lila znów potrząsnęła głową, grzecznie, ale stanowczo. - *Gracias, doctor. Gracias...pero no.*

Rachel miała ochotę pobiec za nią, chwycić za ramiona i potrząsnąć. Czy nie wiesz, czym ryzykujesz? Czy wiesz, ile kobiet oddałoby wszystko tylko za jedno dziecko? Za jedną szansę zajścia w ciążę?

Ale na nic by się to zdało. Lila nie zrozumiałaby. Przestałaby tylko przychodzić do kliniki. A czy choćby częściowa pomoc lekarska nie była lepsza niż nic?

Rachel, gotując się ze złości, przeszła przez wewnętrzne drzwi do swego biura i zaczęła grzebać wśród teczek

na biurku, szybko znajdując tę, której szukała: SAUCEDO ALMA, Po drodze do domu zatrzyma się w szpitalu i zajrzy do Almy. Przynajmniej tu mogła coś zrobić.

Kay wsunęła kędzierzawą głowę przez drzwi. - Zmywam się. Przynieść ci coś, zanim pójdę? Kanapkę, kawę, może chcesz transfuzję? Wyglądasz na wyczerpaną, Rachel.

- Odprężę się, jak tylko stąd wyjdę. O tej godzinie może nawet zdobędę miejsce siedzące w metrze. - Zanurzyła rękę w popielniczce, pełnej gumek aptecznych, spinaczy, ogryzków ołówków i wyciągnęła żeton do metra. Rzuciła nim w Kay. - Masz. Na mój rachunek. Nawiasem mówiąc, czy dostałyśmy wyniki badania krwi Almy Saucedo?

- Jeszcze nie. Jutro rano, nawet gdybym musiała wyciągać je z nich rozpalonymi szczypcami. Znasz te gady z laboratorium - obiecanki cacanki. Chcesz, żebym im powiedziała, że to pilne? - Kay była zmęczona - ciemne kręgi pod oczami, trochę szczuplejsza.

- Jutro rano będzie w sam raz - zdecydowała Rachel.

- Dobranoc, Kay. I słuchaj... uważaj na siebie, dobrze?

Parę minut później Rachel zamknęła drzwi - dwa zamki, zasuwą, dwie kłódki w rozsuwanej żaluzji - i ruszyła opustoszałą Wschodnią Czternastą. Chodnik wyglądał jak śmietnik - psie odchody, rozbite butelki, przepełnione pojemniki na odpadki, zniszczone budki telefoniczne. Samo powietrze było jakoś zgniłe. Graffiti nabazgrane na ścianach - VIVA LA RAZA! CHICO KOCHA ROXY! ŚMIERĆ ŚWINIOM! I dochodzący z każdego, zdawało się, okna, nieubłagany zgiełk latynoskiej muzyki.

Kiedyś doprowadzało ją to do rozstroju. Rachel pamiętała, że z początku czuła się tutaj jak astronauta, stawiający stopę na obcej i niebezpiecznej planecie. Albo jak Margaret Mead wśród Aborygenów. Co oni myśleli, obserwując ją z okien - czy była w ich oczach jeszcze jedną śródmiejską paniusią z dobroczynności, czy chcieli jej tylko ukraść portmonetkę?

Teraz myślała z uśmiechem: To moja planeta. Pomachała ręką kobiecie, siedzącej na werandzie ze stojącym obok wózkiem. Anita Gonzalez. Siedem miesięcy temu urodziła dziecko, które teraz leżało w wózku. Trudna ciąża, przypomniała sobie. Aż w końcu pojawiło się to małe pomarszczone stworzenie, masa czarnych włosów i niewiele więcej. Teraz było duże, zdrowe, ubranie na nim pękało w szwach. Rachel urosło serce.

Zawodzenie syreny ambulansu wyrwało ją z zamyslenia. »

Wkrótce znalazła się przed wielkim, brzydkim ceglanym budynkiem. Wymalowany sprayem na dużych szklanych drzwiach czerwony napis wzywał: MARIO, ODPIEPRZ SIĘ. Ktoś odbił również większość mosiężnych liter, które kiedyś tworzyły napis SZPITAL SW. BARTŁOMIEJA. Zostało tylko SZP BART i nabazgrane obok czerwone dopiski.

Rachel wjechała skrzypiącą windą na piąte piętro, ściśnięta między lekarzem o zaspanych oczach i sprzątaczką z ogromnym wózkiem na bieliznę, załadowanym brudną pościelą.

Alma Saucedo leżała na oddziale C, na łóżku najbliższym drzwi. Spała. Jej twarz była jak śliczna kamea z kości słoniowej, ciemne włosy miała rozsypane na poduszce. Zaledwie szesnaście lat, myślała Rachel. Powinna się uczyć do egzaminu z historii, chodzić na randki z chłopcami, na przyjęcia, a nie mieć dziecko.

Rachel pamiętała, jak Alma zdobyła jej serce od pierwszego razu, kiedy pojawiła się w klinice. Nieśmiała ładna dziewczyna, ubrana w granatowy szkolny sweter, który zrobił się za ciasny. Po badaniu, które wykazało, że jest w czwartym miesiącu ciąży, popłynęła cała łzawa historia. Jej pierwszy chłopak. Mówił, że ją kocha. I obiecał, że nic się nie stanie. Teraz nie chciał z nią mieć nic wspólnego. Ona również nie chciała dziecka, ale jej rodzice nie pozwoliliby na przerwanie ciąży. Byli katolikami, a zabójstwo było grzechem śmiertelnym.

Teraz, cztery miesiące później, wyglądało na to, że to dziecko może zabić Almę.

Rachel zerknęła na kartę. Ciśnienie krwi wzrosło od rana: 140 na 110. Opuchlina pozostała mimo siarczanu magnezu. Alma dostawała roztwór Ringera, ale wytwarzanie moczu znacznie u niej spadło. Cholera. Jeśli się nie poprawi, będę musiała sprowokować poród, inaczej stracę ich oboje, Almę i dziecko. Jutro rano, jak tylko zobaczę te wyniki badania krwi...

- Doktor Rosenthal! Och, jak się cieszę, że pani przyszła!

Rachel zobaczyła ze zdumieniem, że Alma nie śpi. Wyglądała na zdenerwowaną. Łzy wezbrały w jej opuchniętych od snu brązowych oczach i potoczyły się po policzkach.

Rachel usiadła na brzegu łóżka, ujmując Almę za rękę.

- Czujesz się dość nędznie, co?

- Ten mężczyzna - szepnęła tak cicho, że Rachel musiała się nachylić, żeby usłyszeć. - Proszę, niech pani nie pozwoli, żeby znowu mnie dotykał.

Czy Almie coś się przyśniło? - Jaki mężczyzna? - zapytała Rachel.

- Doktor, nie znam jego nazwiska. Wysoki i... cóż, niektóre dziewczyny powiedziałyby, że przystojny. - Skrzywiła się; jasne było, że nie podziela tej opinii.

- Przyszedł z grupą lekarzy, ledwie przed chwilą...

Rachel przytaknęła. - Wieczorny obchód. To rutynowe.

- Nie, nie - Alma potrząsnęła głową. - On... on nie był jak inni lekarze. Nie tylko... wie pani, mnie badał. Był taki zimny. Jak gdybym była czymś na sprzedaż w sklepie. Sposób, w jaki mnie dotykał... Czułam się taka...

- Zasłoniła twarz rękami i mówiła przez palce pustym, zduszonym głosem: - Nawet nie zapytał. Po prostu rozłożył mi nogi i... i... na oczach wszystkich... tym metalowym przedmiotem... cały czas mówiąc o mnie, jak gdyby mnie tu nie było... O Boże, chciałam umrzeć.

Gniew palił Rachel w dołku jak rozżarzony węgiel. Drań. Miałabym ochotę powiesić go za kciuki, kimkol-

wiek on jest. Albo jeszcze lepiej, napuścić na niego sadystycznego dentystę.

Codziennie toczyła cichą wojnę z pozbawionymi wrażliwości lekarzami, którzy traktowali pacjentki z taką samą troską jak trupy na stołach sekcyjnych. Nawet gorzej.

Szczególnie tutaj, na oddziale położniczym. Wśród personelu powszechne było przekonanie, że kobieta, która zaszła w ciążę, zasługiwała na to, żeby intymne części jej ciała były do oglądania jak jabłko i banany na półce sklepowej.

Pomówię o tym z doktorem Townsendem, pomyślała. Jego umysł błądzi, ale serce ma na właściwym miejscu. Niech zrobi jeszcze coś dobrego, zanim odejdzie na emeryturę. Wtedy spostrzegła się, że Harry Townsend już odszedł na emeryturę. Odbyło się przyjęcie, w którym nie mogła wziąć udziału. Ale kto zajął jego miejsce? Przypomniała sobie, że słyszała, jak wymieniano kilka nazwiskiego ewentualnych następców. Nikogo, kogo by знаła. I czy nie mówiło się o kuszeniu jakiegoś orła ze Szpitala Prezbiteriańskiego?

Ucisnęła delikatnie rękę Almy i podała jej papierową chusteczkę z pudełka na emaliowanym stoliku nocnym. Rysa na sercu Rachel powiększyła się, kiedy patrzyła, jak Alma posłusznie wydmuchuje nos w chusteczkę. Czy to czuje matka? Pragnienie, żeby pocieszyć, i bezradność, że niewiele więcej może zrobić niż podać chusteczkę?

Matka. Dobry Panie, to właśnie tym będę, jeśli jestem w ciąży. Serce podskoczyło w niej jak szalone. Jeśli, jeśli, jeśli... Gdyby tylko wiedziała na pewno.

Rachel wzięła głęboki oddech. - Słuchaj, Almo, wiem, przez co przechodzisz. Wszystko cię teraz uraża i ostatnią rzeczą, jakiej pragniesz, jest tłum opukujących cię lekarzy. Ale wierz mi, jesteś tu tylko dlatego, żebyśmy mogli ci pomóc, tobie i twojemu dziecku. A teraz postaraj się zasnąć. Będę u ciebie wcześniej rano.

Alma skinęła głową, a kiedy Rachel miała właśnie odejść, chwyciła jej rękę i ścisnęła mocno. - Proszę mi

obietcać, doktor Rosenthal. Proszę mi obietcać, że nikt inny nie będzie odbierał porodu. Chcę tylko pani.

Rachel zatrzymała się, rozdarta. Jak mogła złożyć taką obietnicę? Dziewięćdziesiąt procent prawdopodobieństwa, że to ona odbierze poród Almy. Ale gdyby coś się stało, gdyby ją zatrzymano...

Rachel otworzyła usta, żeby dodać Almie ducha, powiedzieć jej, że są inni dobrzy lekarze, może lepsi. Ale wyraz nagiego, bolesnego błagania na jej twarzy powstrzymał ją. Zmniejszenie zaufania Almy teraz, kiedy najbardziej go potrzebowała, mogło wyrządzić dziewczynie większą krzywdę niż złożenie obietnicy, której może nie będzie mogła dotrzymać.

- Obiecuję - powiedziała.

Zobaczyła światło pod drzwiami, oznaczonymi tabliczką **ORDYNATOR ODDZIAŁU GINEKOLOGICZNEGO I POŁOŻNICZEGO**. No cóż, ktokolwiek zastąpił Harry'ego, był ambitny, jeśli zostawał tak długo.

Rachel zapukała lekko.

- Wejść! - zawołał roztargniony głos.

Rachel otworzyła drzwi i weszła, ciekawa poznać następcę Townsenda.

Zobaczyła głowę, pochyloną nad biurkiem, zmierzwione jasne włosy, błyszczące w kręgu ostrego światła lampy, muskularne przedramiona, spoczywające na otwartym skoroszycie, rękawy koszuli podwinięte do łokci. Głowa uniosła się i Rachel wpatrzyła się w parę znużonych, zielonych oczu.

Zamrugała, myśląc, że musi być przemęczona, że tylko wyobraża sobie różne rzeczy. Po tylu latach... O Boże drogi, on.

David Sloane. Trochę starszy, sporo tęższy i wciąż przystojny... ale w niezbyt przyjemny sposób. Miał worki pod oczami, twarz niezdrowo obrzmiała. Zamiast starzeć się z wdziękiem, naturalnie, psuł się jak opadły owoc, pozostawiony na ziemi.

Na chwilę zrobiło jej się zimno, jak gdyby wytoczono z niej wszystką krew. Na ekranie pamięci mignął jej obraz innego Davida, młodszego, w białym kitlu, trzymającego wziernik w drżącej dłoni.

Szybko wymazała ten obraz z myśli. Historia starożytna, powiedziała sobie. Teraz, kiedy działali na jednym polu, ich ścieżki wcześniej czy później musiały się przeciąć.

Niezręczna sytuacja, ale muszę się w niej znaleźć najlepiej, jak umiem.

Patrzyła, jak odsuwa jedno ze starych obrotowych krzeseł Townsenda i wstaje, żeby ją przywitać. - No, kogóż tu widzę?. - Na jego ustach wykwitł uśmiech jaskrawy jak reflektor.

Rachel wyciągnęła rękę z wymuszonym uśmiechem, czując dziwną obojętność, jak gdyby jej świadomość opuściła ciało, które pozostawało w rękach lalkarza pociągającego za sznurki, a teraz dzięki jego odpowiednim pociągnięciom jej usta poruszały się.

- Witaj, Davidzie. Kawał czasu, prawda? Ostatnie, co o tobie słyszałam, to, że pracujesz w Prezbiteriańskim. Krążyła plotka, że rozważano kandydaturę kogoś stamtąd, ale nie miałam pojęcia, że twoją.

- Ostatnie, co o tobie słyszałem - odrzucił piłeczkę w jej kierunku - to, że byłeś gdzieś w dżungli, bawiąc się w doktora Schweitzera. No cóż, miło widzieć, że zdołałaś wrócić cało. Wyglądasz cudownie, Rachel.

- Ty też.

Wcale nieprawda, pomyślała. Wygląda okropnie, jak karykatura ładnego chłopca, jakim niegdyś był. Jak Dean Martin podczas pogwarek w telewizji, z workami pod oczyma, zawiany, ale wciąż czarujący playboy. Boże, jak mogła kiedykolwiek myśleć, że jest zakochana w tym człowieku?

- Poprosiłbym, żebyś usiadła, ale jak widzisz... - Gestem wskazał wypełnione do połowy kartony przy drzwiach. Nieporządne stosy książek i teczek piętrzyły się na wszystkich krzesłach oprócz jego. - Właśnie robię

tutaj porządki. Z Harry'ego Townsenda był chomik. Przechowywał wszystko, od pudełek po zapałkach po liczące sobie dwadzieścia jeden lat protokoły sekcji zwłok. Kierował tym oddziałem w podobnie nieporządny sposób. Wygląda więc na to, że pozostało tu dla mnie sporo pracy.

- No cóż, Święty Bartłomiej to nie Szpital Prezbiteriański. Ale od jakiegoś czasu jestem w pobliżu. Moja klinika znajduje się w sąsiedztwie, więc jeśli mogę w czymś pomóc...

Nie zaszkodzi spuścić trochę z tonu. Zyskać jego przychylność. Bardzo łatwo mógłby utrudnić mi tutaj życie.

- Wiesz co? - błysnął znowu tym oślepiającym uśmiechem. - Właśnie zbierałem się, żeby pozamykać wszystko na cztery spusty. Może wyskoczylibyśmy gdzieś na jednego szybkiego? Mielibyśmy okazję pogadać. Omówić pomysły przewietrzenia tej kostnicy, jeżeli masz jakieś. Co ty na to?

Nie, pomyślała Rachel. Ostatnie miejsce, gdzie chciałabym być, to w jakimś barze z Davidem. Ale z drugiej strony, gdyby odmówiła... cóż, mógłby to źle przyjąć. To przykre, ale nie mogła sobie pozwolić na to, żeby go zrazić. Nie należała tutaj do zespołu, miała tylko pewne przywileje. A przywileje można cofnąć. A poza tym, czy to takie straszne?

- Bardzo chętnie - skłamała. - Ale naprawdę tylko na jednego szybkiego. Od godziny powinnam być w domu.

Sięgnął po swoją kurtkę - zamszową, bardzo drogą - i zaczepiając ją na jednym palcu, przewiesił przez ramię jak James Dean. Rachel miała ochotę się roześmiać.

- Do domu, do mężusia? - Coś fałszywego wyzierało zza jego uśmiechu, ale ona już postanowiła zachowywać się dyplomatycznie, nawet gdyby to miało ją zabić.

Ułożyła twarz w przyjemny, miała nadzieję, wyraz. - Prawdę mówiąc, tak. A ty? Jesteś żonaty?

- Kto, ja? Nie, jeszcze nie. Nadal lubię skakać z kwiatka na kwiatek. Żona miałaby mnie dość. Wiesz, co mam

na myśli? - Wziął ją za ramię, przeprowadzając przez drzwi, a ona musiała walczyć ze sobą, żeby się nie wyrwać. - Więc, taak, można powiedzieć, że się uchowałem. Chyba wolę ciężkie roboty od dożywotniego więzienia. - Zaśmiał się z własnego dowcipu.

Rachel skurczyła się wewnątrz. Zobaczyła, że światło odbija się od czegoś błyszczącego na jego szyi. Złoty łańcuszek. O Boże, czy naprawdę zgodziła się wypić drinka z tym pozerem?

Było jeszcze coś innego, oprócz jego maski *macho*, co ją niepokoiło. Tak, coś, co miało związek ze Szpitalem Prezbiteriańskim. Jej stara przyjaciółka, Celia Kramer, pielęgniarka, zatrudniona tam na położniczym, jakiś czas temu wspominała coś o Davidzie. Jakiś skandal? Ale jaki? No cóż, może jej się przypomni.

Uśmiechnęła się najpromienniejszym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć. - Cóż, nie wszyscy mają szczęście.

- Właściwie dokąd mnie zabierasz? - zapytała Rachel. Żołądek jej się zacisnął, kiedy taksówka skręciła w jeszcze jedną wąską uliczkę w Village.

Żałowała teraz, że pozwoliła mu wyperswadować sobie pójście do Gordo, baru naprzeciw Św. Bartłomieja. Był podniszczony, telewizor czasami grał za głośno, ale znała tam wielu stałych klientów.

- W spokojne miejsce - odpowiedział David - gdzie będziemy mogli porozmawiać. Lokalnego kolorytu mam aż nadto u Św. Bartłomieja. Nie martw się, jesteśmy prawie na miejscu.

Martwić się? Dlaczego miałyby się martwić? Jesteśmy po prostu dwojgiem kolegów, idących na drinka po pracy. Pewnie, chodziliśmy kiedyś ze sobą i wpadłam, ale...

Taksówka zatrzymała się. David zapłacił kierowcy i wysiadł. Zobaczyła, że okolica jest ładna. Drzewa, rząd starych ceglanych domów ze świeżo pomalowanymi

ramami okiennymi, elegancko ubrana para z psem na spacerze. Domy, ale żadnych barów...

- Davidzie... - Odwróciła się do taksówki, ale do niej już wsiadała para transwestytów w wieczorowych sukniach.

- Chciałem się pochwalić moim nowym mieszkaniem - wyjaśnił trochę zakłopotany David. - Wprowadziłem się ledwie w zeszłym miesiącu. To prawdziwa gratka, nawet jeśli nie ma windy. No, nie rób takiej miny, to tylko dwie kondygnacje. I jest cicho, będziemy mogli porozmawiać.

Ociagała się, chociaż właściwie nie wiedziała dlaczego. - Dobrze, ale ja naprawdę mogę zostać tylko kilka minut.

Ponad godzinę później Rachel siedziała wciśnięta w róg białej skórzanej kanapy Davida, a szklanka, spoczywająca na kolanie, tworzyła wilgotny krąg na niebieskim sztruksie spódnicy. Już dwa razy mówiła mu, że musi iść, i za każdym razem David nalegał, żeby została i wypić jeszcze jednego drinka.

Nie dokończyła nawet jednego, ale David, jak zauważyła, był już przy trzeciej szklaneczce szkockiej.

To, jak wyglądał, to szklane spojrzenie i sposób, w jaki siedział bokiem na kanapie naprzeciw niej, zjedną nogą opartą o poduszkę, z ramieniem przewieszonym przez oparcie, było jakoś zupełnie niestosowne. Tak, wyglądał... jak gdyby miał zamiar zasiedzieć się z nią cały wieczór.

To mieszkanie też było całkiem niestosowne. Jak wzorcowy pokój u Bloomingdale'a, cały w biskopowych i ostrygowych tonach, meble wszystkie o twardych, prostych kantach, jakoś pozbawione duszy. David prawdopodobnie nawet nie wiedział, że ta akwaforta na przeciwległej ścianie to Icart. Wybrał ją chyba jakiś dekorator tylko dlatego, że pasowała do stołu pod nią.

David mówił teraz o Szpitalu Prezbiteriańskim. Starła się skupić uwagę na tym, co mówił, ale jej myśli chodziły swoimi drogami. Brian powinien być teraz

w drodze do domu, myślała. O ile już tam nie jest. Boże, chciałabym być z nim.

Rozdrażniony czymś, David podnosił głos. Rachel napięła uwagę.

-...Taak, to brzmi niesamowicie, ale to prawda. Mój dyplom z Princeton znaczył tam tyle, co nic. Jeśli pochodzisz z niewłaściwej dzielnicy, nie zechcą cię w swoim klubie. Wszystko bardzo dystygowanie, udają, że owszem, a potem ucierają ci nosa na różne sposoby... na przykład zawsze zwracają się do ciebie pełnym imieniem, gdy dla siebie mają zdrobnienia... i jakoś nigdy nie ma dla ciebie dodatkowego krzesła przy ich stole w stołówce. A potem ci dranie wystawili mnie do wiatru. Pracowałem jak wół i miałem doskonały rejestr. Zasłużyłem na to, żeby być szefem położniczego. Byłem najlepszy, nie ma kwestii.

Oddychał ciężko, twarz miał zaczerwienioną. Rachel czuła, że on za chwilę może stracić panowanie nad sobą. Odstawiła swoją szklankę na stolik do kawy i zaczęła się podnosić.

- Bardzo chciałabym kiedyś usłyszeć całą historię, Davidzie, ale naprawdę muszę...

Wysunął szybko rękę, chwytając jej nadgarstek jak w żelazne kajdany.

- Nie idź jeszcze... Proszę, nie powiedziałaś mi nic o sobie, o tym, jak było w Wietnamie. I nie dokończyłaś nawet drinka.

David znów próbował roztoczyć swój urok, ale on opadał z niego jak za luźna maska. Dla jakiegoś absurdalnego powodu pomyślała o Łonie Chaneyu, upiorze z opery. I nagle nie chciała widzieć, co było pod spodem, nie chciała wiedzieć, co się kryło za tymi nabiegłymi kwią oczyma, za tym maniackim uśmiechem.

Nie puszcza mojej ręki. Nie puszcza...

Opadła na kanapę, nogi nagle zrobiły jej się słabe jak z waty. Potarła nadgarstek, który trochę szczypał. Ależ David nie mógł mieć nic na myśli. Nie, tylko sobie wyobrażała, że on może być niebezpieczny. Była

niemądra. Przyszła tu, żeby z nim pomówić, o szpitalu, o Almie Saucedo. No i właśnie to zrobi.

A potem, kiedy on się uspokoi, ona wstanie, podejdzie do drzwi, zejdzie dwie kondygnacje w dół, zawoła tak-sówkę...

Jeszcze najwyżej dziesięć minut, obiecała sobie. A potem do domu.

- Davidzie, chciałabym zapytać cię o radę w sprawie mojej pacjentki. - Przesunęła się niedbałym ruchem, żeby się znaleźć na równej linii z drzwiami. Potem opisała mu stan Almy. - Nie podoba mi się myśl o aplikowaniu jej pitocyny. Szanse dziecka na przeżycie byłyby mniejsze niż pięćdziesiąt procent. Ale z drugiej strony, jeśli będę czekać...

- Pierwszego dnia pracy w tym szpitalu obszedłem wszystkie oddziały. - Zdawało się, że David bierze się w garść. - Pediatriczny urąga przyzwoitości, z innymi jest niewiele lepiej. Przyjmujesz statystyczne pięćdziesiąt procent. Ja bym powiedział czterdzieści, może o wiele mniej, jeśli wziąć pod uwagę niski standard na pediatrycznym i szesnastoletnią smarkulę, która prawdopodobnie przez ostatnie osiem miesięcy odżywiała się chip-sami ziemniaczanymi i coca-cola.

- To brzmi dość pesymistycznie. Nie będę się upierać, że okoliczności są najlepsze, ale Alma jest mądrą dziewczyną. Same oceny A w szkole. Dobrze zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje i jest bardzo ostrożna.

- Przede wszystkim, gdyby była trochę bardziej ostrożna, nie zaszłaby w ciążę.

Rachel czuła się, jak gdyby ją uderzono. David patrzył wprost na nią. Wyzywająco. O Boże, nie wyobrażała sobie tego. On chciał jej dokuczyć.

Siedziała sparaliżowana, obserwując, jak David jednym dużym łykiem wychyla całą szkoćką, jaka pozostała w jego szklaneczce.

- Sam ją badałem - ciągnął - jakieś dwie, trzy godziny przed tym, jak niespodziewanie się zjawiłaś. Nie wyglądała na to, żeby mogła zdobyć nagrodę tańcząc tango,

ale nie spieszyłbym się z niczym, gdybym był na twoim miejscu. Daj jej dzień czy dwa, zanim zaczniesz szpikować ją pitocyną.

Więc to byłeś ty, pomyślała. Mogłam się była domyślić. Nadal jesteś królem dupków.

Rachel raptownie wstała, uderzając kolanem o stolik do kawy. Drink rozlał się, pozostawiając wilgotny ślad na jasnej, wypolerowanej powierzchni. Ból przeszył jej nogę. Cholera. Będzie miała siniaka. Ale nie obchodziło jej to teraz. Chciała tylko stąd uciec.

- Dzięki za drinka - powiedziała. - Naprawdę muszę lecieć. Słuchaj, nie wstawaj, znajdę drogę do wyjścia.

Ale on wstał, poruszając się z niezdarną celowością, blokując jej wyjście pół metra od drzwi. Serce Rachel zaczęło bić bardzo szybko, a żołądek wykonał powolny, przygotowujący o mdłości obrót.

- Gdzie ci tak pilno?

Zobaczyła, że był zaczerwieniony, żyły wyraźnie rysowały mu się na szyi, oczy miał zwięzione.

- Siedem lat, do diabła, siedem lat cię nie widzę, a ty pędzisz do drzwi, aż się kurzy. Pytam cię, czy tak się traktuje starego przyjaciela?

- Słuchaj, Davidzie, nie psujmy tego. Wspaniale było znowu cię zobaczyć, ale jak mówiłam...

- Masz kogoś oprócz mężusia, kto na ciebie czeka? Dziecko, a może dwoje?

- Nie mam dzieci. - Samo wypowiedanie tych słów sprawiało jej ból. Niech to diabli, nie trzeba, żeby to właśnie on jej o tym przypominał.

- Wiesz, to zabawne, bo zawsze myślałem, że będzie z ciebie wspaniała matka - ciągnął, opierając się ociężale o drzwi. - Weź na przykład moją matkę. Nigdy nie broniła mnie przed tatą. Nawet kiedy mnie bił bez opamiętania. Patrz, co to znaczy wspólnota. Mój stary i ja byliśmy jak to - uniósł dwa złączone palce. Zauważyła, że ręka mu drży. - Ale nie mam mu tego za złe, a wiesz dlaczego? Bo to jej wina. Samolubna suka. Nic nigdy nie było dla niej dość dobre. Zawsze wszystko musiało być

tak, jak ona chciała. Ona go do tego doprowadziła. Po prostu rozluźniła uchwyt i doprowadziła go prosto do tych sześciu butelek piwa co wieczór. A jeśli mały Davey przypadkiem stał na drodze, to tym gorzej.

- David, przestań! - Była teraz wystraszona, żołądek zacisnął jej się w ciasny węzeł. Nawet jego głos brzmiał teraz inaczej. Starszy, bardziej szorstki... jak głos zgorzkniałego człowieka w kombinezonie dozorca, a nie Davida, jakiego znała, charyzmatycznego młodego specjalisty w wykrochmalonym białym kitlu.

- Ejże... ja dopiero zaczynam. Wiesz, siedem lat to długo. W ciągu siedmiu lat wiele myśli przychodzi człowiekowi do głowy. Na przykład ta, że wcześniej nie ; zdawałem sobie sprawy, jak bardzo przypominasz mi i moją starą.

Jego oczy, twarde i rozgorzałe, utkwione były w niej. Rachel czuła, jak chłód przebiega jej po kręgosłupie.

- Davidzie, sam doprowadzasz się do takiego stanu. Słuchaj, dlaczego nie spróbujesz się odprężyć, odespać tego. Porozmawiamy rano.

Zrobiła niepewny krok do tyłu, w stronę drzwi.

Wypadł do przodu, chwycił ją za ramiona, szorstko wbijając w nie palce. Krzyk utkwiał jej gdzieś w krtani i nie mógł się wydostać. Nie mogła się poruszyć. Była skamieniała, jak w koszmarze sennym.

Jego twarz była o kilka centymetrów od jej twarzy, odór alkoholu owiewał ją jak trująca mgła. Teraz widziała, co kryło się pod maską. Miała do czynienia z szaleńcem.

- Nie! - ryknął. - Porozmawiamy teraz. Teraz!

- Oszalałeś.

Próbowała się uwolnić, ale obrócił nią wokół i cisnął o ścianę, przygważdżając do niej. Usłyszała, że coś prześlizguje się obok jej ucha i roztrzaskuje o nią. Fajerwerk eksplodował jej w głowie. Fontanną czerwonych iskier. Poczowała smak krwi. Przycięła sobie wargę. Czuła się jak wtedy, kiedy miała osiem lat i spadła z roweru, pędząc w dół wzgórza, odrętwiała, zdezorien-

towana, trochę ogłupiała. To nie mogło jej się zdarzyć. Nie mogło...

David mocno przycisnął usta do jej ust.

O, Boże drogi, nie... NIE...

Poczuła jego język, szorstki jak papier ścierny, wpychający się jej w usta. Raniący ją. Poczuła smak krwi. Boże... o Boże...

- Przyjemnie, prawda, dziecinko? - wydyszał. - Taak, o, taak, pamiętam, jak umierałaś z ochoty do tego. Chcesz tego teraz, prawda? Chcesz, żebym cię teraz pieprzył jak za dawnych czasów, zmusił cię do krzyku. Czy nie po to tu przysłaś?

Czuła, jak rozlewa się w niej gorący strumień adrenaliny. Była teraz rozgniewana. Miała ochotę go zabić.

- Ty draniu! - wrzasnęła, młóćąc obiema pięściami, dziko, na oślep. Zadała mocne uderzenie, które odezwało się piorunem bólu w jej ramieniu. Boże... o, jak dobrze.

Uniósł w górę ręce, zasłaniając twarz przed jej ciosami. Rachel zobaczyła, przerażona, że David ma zęby ubrudzone krwią, że krew ścieka mu z kącika ust...

Popędziła do drzwi, w panice szukając klamki. Miała wrażenie, że próbuje poruszać się pod wodą. Powietrze było ciężkie, jej nogi jak z ołowiu.

Nigdy mi się nie uda. Nigdy nie uda mi się stąd wydostać.

Wtedy znalazła pod klamką zatrzask, obróciła go, usłyszała trzask. Drzwi otworzyły się. Bogu dzięki. O, dzięki...

Uczuła szarpnięcie z tyłu i nagle pokój zachwiał się, ściany i sufit zawirowały. Potem wszystko stało się szare i gładkie. Próbowała myśleć o tym, co się stało, ale przekraczało to jej możliwości.

- Dziwka! - wdarł się głos do jej czaszki. - Dam ci to, o co się napraszasz.

W głowie zaczęło się jej przejaśniać i poczuła palący ból w szyi, jak gdyby nadziała się na gorący pogrzebacz.

I zobaczyła.

David. Klęczał nad nią. Gorączkowo rozpiął pasek, szarpał zamek w spodniach. O Boże. Nie. Proszę...

Miała wrażenie, że straciła rozum. Wszystkie te lata w jakiś sposób zmiotło. I leżała na stole w pustym gabinecie lekarskim, słuchając deszczu, dzwoniącego o szyby, patrząc na groteskową białą maskę przystojnej twarzy Davida między jej uniesionymi kolanami...

David szarpał ją za nogi, rozsuwając je siłą, wyrwijając ją z dawnego koszmaru, by wrzucić w obecny koszmar.

- Nie! Nie! Przestań! - odnalazła swój głos.

Usłyszała, że coś się rozdziera. Jej spódnica. Usuwał ją z drogi. Potem jego ciężar na niej, miażdżący, dławiący. Nie mogła oddychać. Powietrze, potrzebowała powietrza. Coś miękkiego i wilgotnego napierało między jej nogami.

- Dziwka. Ty pieprzona dziwko. Chcę słyszeć, jak krzyczysz.

Przygniatał ją całym swoim ciężarem.

Ale to, co w nią wpychał, pozostało bezwładne.

W jednej chwili Rachel zrozumiała. Doznała ulgi. Nie może mnie zgwałcić. Nie staje mu. Chwycił ją histeryczny śmiech. Zacisnęła mocno zęby, żeby się powstrzymać. Nie może mnie zgwałcić, ale wciąż może mnie skrzywdzić.

Ale David załamał się. Stoczył się z niej, pozwalając powietrzu wrócić do jej płuc jednym silnym, czystym strumieniem. Wiedziała, że było po wszystkim, jak gdyby zbyt mocno naprężona lina pękła na dwoje.

Siadając, Rachel przeżyła chwilę dezorientacji, jak gdyby patrzyła na surrealistyczny obraz. Na sportretowanego przez SaWadora Dali niegdyś przystojnego mężczyznę, leżącego na dywanie koloru ostrygi, wśród topniejących kostek lodu z przewróconej szklanki.

Płakał, łzy spływały mu z kącików oczu, znikając w modnie długich bokobrodach. Jego pierś wznosiła się i opadała od okropnego suchego szlochu.

- Nie mogę - zatkał, ledwie zrozumiałe - nie mogę tego zrobić... ani z tobą... ani z nikim innym... Siedem

lat... O Jezu... co ty zrobiłaś? Co, na imię Chrystusa, zrobiłaś mi tamtej nocy? - Utkwił w niej zaognione oczy, wilgotne i świecące urazą. - Powinienem być zabić cię, nie dziecko... Powinienem być cię zabić.

Rachel chwiejnie stanęła na nogi. Jest chory... Jest chorym zwierzęciem... Nie będę tego słuchać.

Doszła do drzwi. Tym razem otworzyły się z łatwością, odskoczyły, jak gdyby sterowane fotokomórką.

Teraz ostrożnie. Schody. Stopień za stopniem. Przycisnęła ręce do uszu, żeby zagłuszyć głos, który szedł za nią, ale nie mogła. Zdawał się brzmieć w jej głowie, wykrzykując: Dopadnę cię! Wjakiś sposób odpłacę ci za to, co mi zrobiłaś.

Szczęśliwie dla siebie na zewnątrz zobaczyła taksówkę z zapalonym światłem na dachu. Kiedy tylko usiadła na tylnym siedzeniu, przyszedł szloch, fala za falą.

- Proszę pani, dobrze się pani czuje? - zgrzytliwym głosem zapytał taksówkarz.

- Nie -jęknęła.

- Ktoś panią skrzywdził? Chce pani na policję?

- Nie, nie.

- Przykro mi, proszę pani, ale muszę zarabiać na życie. Więc dokąd?

Podawała mu adres. Tak, Brian. Tylko Brian, nikt inny. Potrzebuję go. O Boże, jak ja go potrzebuję.

Trzęsła się na całym ciele, rozdzierała ją szloch, suchy i raniący. Nie mogę. Nie mogę... Jak mogę mu powiedzieć? Jeśli powiem mu o dzisiejszym wieczorze, będę musiała powiedzieć mu wszystko. Wszystko, o przerwaniu ciąży, o tym, jak przez wszystkie te lata go okłamywałam.

Czuła, jak zimno ogarnia ją całą. Myślała o biednej pobitej Liii Rodriguez. Więc to dlatego ona się nie broniła. Nie ze strachu. Ze wstydu. Takiego, jaki ja czuję teraz. Czuję się nikczemna. Winna. Jak gdybym zasłużyła na to, co on mi zrobił.

Wtedy przypomniała sobie. Może jest z tego wyjście. Była na to szansa. Mogła być w ciąży. A wtedy Brian

byłby taki szczęśliwy. Nie obchodziłaby go przeszłość. Zamknęła oczy i wyobraziła go sobie w Central Parku, dumnie popychającego jeden z tych dużych, lśniących angielskich wózków, a potem delikatnie, bardzo delikatnie, odchylającego miękkie kocyki dla tych, którzy zatrzymali się, żeby popatrzeć.

Jednak chociaż bardzo się starała, Rachel nie mogła przywołać twarzy tego wymyślanego dziecka.

Wtedy poczuła wilgoć między nogami. Lekki, uparty skurcz w dole brzucha. Pomyślała: O Boże, nie... proszę... nie. Ale nie było mowy o pomyłce. Mieściaczka.

Na tylne siedzenie dobiegała muzyka z radia. Bobbie Gentry śpiewał mrocznym głosem o nocy, kiedy Billy Joe McAllister skoczył z mostu Tallahatchi.

Wpatrując się w zamazane światła reflektorów, migające światła uliczne, oświetlone wystawy wzdłuż Madison Avenue z ich wyniosłymi, sztywno upozowanymi manekinami, Rachel również pragnęła skoczyć z mostu.

ROZDZIAŁ 23

Brian popatrzył na swoją publiczność. Około stu osób, z grubsza licząc. Przeważnie weterani, kilka żon, usadowionych na szarych, metalowych składanych krzesłach. Zacięte twarze. Sfrustrowane, gniewne, znużone. Kamienne twarze, które mówiły: Nie ma takiego zła, którego byśmy już nie widzieli.

Wyprostował się, przerzucił swoje notatki. Czego oczekiwali od niego? Nadziei? Nadziei, że on może mieć klucz, lekarstwo na coś, co spaskudziło ich życie?

Brian czuł, że poci się pod drelichową marynarką. Jak mogę im pomóc? - pytał sam siebie. Nie wiem nawet, co paskudzi moje życie. Życie Rachel i moje.

Tak wielu ludzi chciało usłyszeć, co miał do powiedzenia. Głównie weterani z Wietnamu. Mężczyźni, którzy nie potrafili znaleźć właściwych słów, którym potrzebny był głos. Mruk, taki jak oni, który by przemówił, powiedział, jak było. Ktoś, kto by im przypomniał, żęto, przez co przeszli, to jeszcze nie koniec świata, że wciąż istniało na tym świecie dobro.

Cała ta gadanina o Watergate, pomyślał, przesłuchania, spekulacje. Czy Nixon się przyzna? Tak, jak gdyby cały kraj miał amnezję. Zapomnieli, że Wietnam w ogóle się zdarzył. Zamietli śmieci pod dywan. A ci mężczyźni, którzy brali udział w walce, byli tylko nie chcianą pamiątką.

- Kiedy dorastałem - zaczął, wychodząc zza podium, opierając się o nie łokciem - dzieciaki w mojej dzielnicy znały każde słowo na cztery litery w języku angielskim. Także w hiszpańskim, włoskim i w jidysz. Jeśli nie obrzucaliśmy się nimi nawzajem, wypisywaliśmy je na ścianach budynków. Ale było jedno brzydkie słowo, którego nie znaleźliśmy. Wtedy jeszcze go nie wymyślono. - Zamilkł, czekając, aż ucichnie ostatni szelest. Potem powiedział w ciszę: - Wietnam.

- Cholerna racja! - wykrzyknął ktoś z publiczności.

Brian uśmiechnął się. - Wy, chłopcy, wiecie, o czym mówię. Jest to słowo, którego nikt nie chce słyszeć, prawda? Wspomnisz o Wietnamie, a odwracają wzrok. Albo wściekają się, oskarżają cię o mordowanie kobiet i dzieci. Mówią, że przede wszystkim niepotrzebnie tam byliśmy. - Umilkł. Zobaczył, że kilku mężczyzn przytakuje. - Więc uczysz się zamykać gębę na kłódkę. Może nawet wzbudzają w tobie uczucie, że jesteś złym chłopcem. A potem mówisz do siebie: „Człowieku, to nie jest w porządku. Walczyłem za mój kraj. Powinienem być bohaterem!” - Odczekał chwilę, potem głucho uderzył pięścią o podium. - No cóż, zapomnijcie o bohaterstwie.

Jestem tutaj, żeby wam powiedzieć, że nie jesteśmy bohaterami. Nie jesteśmy również złymi chłopcami. Po prostu ludźmi. Ludźmi, którzy robili to, co uważali, że powinni robić, i dostali za to kopniaka w dupę...

Po półgodzinie Brian zobaczył, że zaciętość na twarzach publiczności pęka. Tu i ówdzie mężczyźni bezgłośnie płakali, łzy spływały po pooranych bliznami twarzach. Oklaski zbierały się powoli, aż wybuchły gniewną, niemal gwałtowną falą aprobaty.

Miałem szczęście. Napisałem o tym, wyrzuciłem to z siebie. Wtedy nawet nie obchodziło mnie, czy ktoś kiedyś to przeczyta.

Gdyby mógł porównać pisanie *Podwójnego orła* z jakimś innym doświadczeniem, myślał Brian, byłaby to malaria. Słowa paliły go jak gorączka, pozostawiając go pod koniec dnia wyczerpanego, bezwładnego, ociekającego potem. To, że *Podwójny orzeł* miał właściwe zakończenie i x\k&z&\ się w formie przypominającej powieść, zawdzięczał Rachel. Czytała każdą stronę w miarę, jak spływały z maszyny do pisania, sugerowała poprawki, oferowała pociechę, pomagała nadać gorącej, gniewnej eksplozji słów kształt prawdziwej historii.

Pamiętał tamte dni i noce, kiedy ona robiła specjalizację, wracała do domu wyczerpana, ale jakoś jeszcze miała siły przejrzeć strony, które napisał w ciągu dnia. Widział ją w myślach, dokładnie jak na zdjęciu, siedzącą na krzasiastej rozkładanej sofie w jego norze, strony maszynopisu rozłożone na kolanach, ołówek zaciśnięty w zębach. Jak dziecko w szkole, machinalnie ogryzała ołówki aż do grafitu. Taak, i nie wyglądała na wiele starszą, z włosami zaplecionymi w warkocze, w jego wielkich starych koszulach, jakie nosiła do dżinsów. Widząc ją taką, czuł, jak serce zatrzymuje się w nim nagle, pozabawiając go tchu.

Brian pamiętał również inne dni - trzy tygodnie na Fire Island co sierpień, zanim zbyt pochłoneją ją klinika. Ich dwoje, biegnących wzdłuż linii przypływu, zanim bez tchu opadli na ciepły piasek. Słodkie, powolne pocałunki

późną nocą przy ognisku. Kochali się na piaskowej pościeli, ciała piekły ich od nadmiaru słońca.

Rachel. Boże, byliśmy dobrzy dla siebie, czyż nie?

Brian poczuł ukłucie. Myślał o ich szczęściu w czasie przeszłym.

Nie, to nieprawda. Kochał ją tak mocno, jak przedtem. Tylko nie tak samo. Wówczas było tak, jak gdyby zamieszkiwali tę samą przestrzeń, oddychali tym samym powietrzem... a teraz żyli w dwóch oddzielnych sferach. Pomyślał o zestawach ręczników dla niego i dla niej, jakie jeden z jego kuzynów przysłał w prezencie ślubnym. Jakże śmiali się wtedy. Teraz nie wydawało się to takie zabawne. Jego i jej. Taak, to mówiło prawie wszystko, czyż nie?

Publiczność rozchodziła się. Pozostała garstka ociągających się z wyjściem mężczyzn, którzy chcieli uwolnić się od Wietnamu, ajednocześnie odzyskać poufałe poczucie wspólnoty stamtąd, rodzaj bliskości, jakiego nie dawały im żony czy chłopcy z fabryki.

Briana dobiegały strzępy rozmów, kiedy zszedł z mównicy.

- Sto pierwsza? Bez żartów? Ja też. Kompania Delta. Wy, chłopcy, nakopaliście nam w dupę pod Phu Bai, poTet...

- ...chowaliście głowy w piasek. Cholera, człowieku, byliśmy w powietrzu, biorąc na siebie całą artylerię przeciwlotniczą. Byłeś kiedy w górze, w samolocie, któremu odstrzelili pieprzony ogon?...

Nagle Brian zapragnął, żeby wszyscy sobie poszli. Czuł początek bólu głowy wwiercający mu się w skronie i tępe pulsowanie w zatokach. Najbardziej teraz chciał pójść do domu... i zastać Rachel, czekającą na niego. Przygotowującą kolację. Albo po prostu kręcącą się po mieszkaniu. Czekającą, aż on wejdzie w drzwi i weźmie ją w ramiona.

Daj spokój, człowieku. Nie będzie jej tam. Jest w klinice albo w szpitalu. Prawdopodobnie ratując życie. I jednego możesz być pewien, że nie twoje życie. Twoja kolej minęła.

Brian podniósł wzrok i zobaczył kobietę, wychodzącą z cienia dalekiego rzędu po prawej stronie. Przez szalony ułamek sekundy myślał, że to Rachel. Uczuł przyływ szczęścia. Zboczyła z drogi, żeby go spotkać. Cudownie. Fantastycznie.

Potem zobaczył z rozczarowaniem, że to nie była Rachel. Zbyt wysoka. Zbyt ciemna. I nosiła kapelusz, który częściowo zasłaniał jej twarz. Rachel nigdy nie nosiła kapeluszy. Zawsze mówiła, że kapelusze są dla wysokich kobiet, niskie wyglądają w nich jak muchomory.

Ta nie była muchomorem. Wiotka, wysoka, pełna gracji. Patrzył, jak okrąża grupki mężczyzn; biała bawełniana spódnica powiewała wokół jej łydek o złotej skórze. Uderzyło go coś znajomego...

Kobieta uniosła podbródek i rondo kapelusza podskoczyło. Brian dostrzegł jej twarz i poczuł nagły brak tchu, jak gdyby dostał silne uderzenie kijem baseballowym przez pierś.

Rosę. Boże wielki. Co ona tu robi?

Patrzył, jak celowo wyprzedza trzech mężczyzn, zmierzających ku niemu, i wyciąga rękę. Jej długie, smukłe palce, zadziwiająco ciepłe i miękkie, owinęły się wokół jego dłoni. Lekko odchyliła głowę do tyłu, nieśmiały uśmiech wyjrzał spod ronda kapelusza. Dyskomfort Briana rozpułynał się natychmiast w fali czułości.

W myślach zobaczył małą dziewczynkę, stojącą samotnie na dziedzińcu szkolnym, z pokrytymi strupami kolanami, wystającymi spod przykrótkiej sukienki, z twarzą ściągniętą nieszczęściem. Pamiętał, jak wzięła ją za rękę, i uśmiech, który mu wtedy posłała, spojrzenie tak rozradowane, że w jakiś sposób zmieniło to nieśmiałe brzydkie kaczątko w coś tak pięknego, że Brianowi zaparło dech w piersiach.

Teraz czuł się tak samo, jak gdyby nie mógł nabrać dość powietrza w płuca. - Rosę, co, na litość boską, tutaj robisz?

- To tak się wita starą przyjaciółkę? - Zaśmiała się, a on odczuł ulgę, słysząc swobodę w tym śmiechu. Nie, nie będzie powtórki z Londynu. - Oczywiście, przyszedłam cię zobaczyć. No cóż, w każdym razie usłyszeć. Nie byłam pewna, czy przy tylu ludziach przedstanę się do przodu. Ale cieszę się, że tak. Chcę ci powiedzieć, że byłeś wspaniały. Zawsze wiedziałam, że potrafisz pisać, ale to... Cóż, naprawdę ścięło mnie z nóg. - Wydawała się szczerą.

Nagle był bardzo zadowolony, że ona tutaj jest. - Słuchaj, czy możesz poczekać parę minut? Jest tu jeszcze kilku facetów, z którymi muszę porozmawiać. A potem co byś powiedziała, gdybyśmy wpadli gdzieś na filiżankę kawy? Niedaleko, na rogu, jest restauracja.

Zawahała się, na chwilę jej uśmiech przygasł i światło zniknęło z oczu. Potem odpowiedziała: - Właściwie chętnie napiłabym się kawy. Pracuję nad sprawą sądową. Prawdopodobnie zajmie mi to całą noc. Prawdę mówiąc, nie powinno mnie tu nawet być. Ale nie mogłam się oprzeć, kiedy przeczytałam notatkę w gazecie. Mieszkam o kilka przecznic stąd.

- Świetnie. Daj mi pięć minut.

Brian odwrócił się w stronę grupy, oczekującej go przy podium, ale poruszenie w dalekim końcu audytorium, blisko wyjścia, ściągnęło jego uwagę. Dwóch mężczyzn biło się. Dostrzegł błysk noża. Rany boskie!

Brian czuł, jak narasta w nim gniew. Niech to diabli! Czyż nie rozumieli tego? Wojna się skończyła.

Rzucił się środkowym przejściem, na pół świadomy rozstępującego się tłumu, fruwających i zaczepiających o siebie metalowych krzeseł. Wokół walczących utworzył się krąg gapiów i Brian dał nurka między nich, rozpychając ich łokciami. Wewnątrz kręgu dostrzegł młocące pięści, wykrzywione twarze, kraciatą kowbojską koszulę, rozerwaną przy rękawie. Chudy biały mężczyzna okładał pięściami mocno zbudowanego czarnego.

- Odpierdol się, człowieku! - bluznęła kowbojska koszula. - Byłem tam w sześćdziesiątym ósmym.

Widziałem akcję w Hue. Nie jestem żadnym maminsynkiem z ostatniego eszelonu!

- Ty dekonniku! - zadrwił czarny. - Straciłem nogę w ofensywie Tet, więc nie opowiadaj mi o akcji.

Brian zauważył, że stał dziwnie przechylony, jedno / biodro wyżej drugiego - proteza. Ale, do diabła, nie skrewił z tego powodu. I

Kowboj rzucił się do przodu, z nożem w rękę, i Brian poczuł, że coś zatrząskuje się w jego mózgu, że instykt walki wskazuje na miejsce jak nabój do komory. Tak jak w Wietnamie, gorący strumień adrenaliny, szum w uszach, nagła utrata siły ciężenia.

Brian skoczył na kowboja, chwytając go za nadgarstek, unieruchamiając mu drugie ramię za plecami. Usłyszał pomruk gniewu i poczuł, jak mięśnie i ścięgna napięły się w jego uchwycie... a potem raptownie rozluźniły. Nóż zadzwonił o podłogę. I

Kowboj zwiotczał, potem zgiął się wpół. Brian chwycił go w mocny uścisk i poczuł, że jego pierś rozdziera łkanie.

- W porządku, człowieku - wymruczał Brian. - Nie i musisz niczego udowadniać. To już się skończyło. Wojna się skończyła.

Brian obejmował Kowboja, gdy tamten płakał i widział, że inni przyglądali mu się, z lekceważeniem lub litością, większość z mieszaninajednego i drugiego. Nie powinniśmy płakać, myślał Brian, ale w tym cały kłopot. To dlatego walczymy.

Ale, do diabła, co masz robić, jeśli nie wiesz, kto lub co jest twoim wrogiem? - zastanawiał się, myśląc o swoim małżeństwie. Chciałby móc tak samo prosto usunąć to, co było w nim złego, jak wytrącił nóż z ręki tego faceta.

Kowboj odszedł z pomrukiem zażenowania, wlokąc się w stronę wyjścia z kilkoma swoimi kumplami. Jedynogi czarny mężczyzna zniknął.

- Nie przejmuj się! - zawołał za nim Brian. Ale Kowboj nie odwrócił się.

Brian poczuł delikatne dotknięcie na ramieniu. Od-

wrócił się i zobaczył Rosę; czarne oczy miała wielkie i błyszczące, twarz łagodną.

- Zapomniałam, jak rozpędzałeś wszystkie bójki na dziedzińcu szkolnym - powiedziała. - Nie zmieniłeś się, Brian. Któregoś dnia dasz się zranić, próbując wydobyć kogoś z kłopotów.

Wzruszył ramionami. - Ci faceci... Oni są jak chodzące granaty ręczne. Nie trzeba wiele, żeby wyciągnąć z nich zawleczkę. Oni naprawdę nie mają zamiaru nikogo skrzywdzić.

- A jednak krzywdzi się ludzi... nawet jeśli się tego nie chce. - Wydało mu się, że zobaczył cień, przemykający po jej ładnej twarzy, potem szybko pochyliła głowę, wsuwając rękę pod jego ramię. - Pójdziemy teraz na tę kawę? Myślę, że obojgu nam się przyda.

Chwilę potem, siedząc naprzeciw niego w czerwonej winylowej łoży w City Diner przy Dwudziestej Trzeciej, Rosę pociągnęła łyk kawy i powiedziała: - Myślę, że teraz rozumiem... to, o czym dzisiaj mówiłeś... o tym, jak to jest z wieloma z tych facetów. Kilka miesięcy temu miałam klienta, który zabił człowieka za to, że zajechał mu drogę. Cały ten gniew z powodu takiej małej rzeczy. Wtedy nie miało to dla mnie sensu. Teraz ma.

Brian miał chęć sięgnąć przez stół i dotknąć jej dłoni, ale zwalczył to. Jej twarz migotała mu przed oczyma jak miraż za obłokiem pary unoszącej się znad białego kubka.

- Gniew to tylko część tego wszystkiego - powiedział. - Jest jeszcze poczucie winy. Widzisz, jak tyłu twoich kumpli tam umiera i zastanawiasz się, dlaczego nie ty. Co czyni cię takim wyjątkowym? I kiedy nie znajdujesz na to pytanie odpowiedzi, zaczynasz myśleć, że może wcale nie jesteś wyjątkowy, że może zasłużyłeś na to, by umrzeć.

- Czy tak właśnie czułeś?

- Przez jakiś czas. Już mi to przeszło. Mówienie o tym bardzo pomaga. Wyrzuciłem większość tego z siebie, kiedy napisałem książkę. Słuchaj, czy chcesz coś do

jedzenia? Hamburger, jakieś ciasto? Z jagodami jest niezłe.

- Nie, dzięki. Widziałam porcje. Wielkości platformy. Potrzebowałam całej nocy i łopaty, żeby dać sobie radę zjednym kawałkiem. - Uśmiechnęła się, pochylając lekko do przodu. - Czy pracujesz teraz nad czymś? Nad inną powieścią?

- Kiedy mam czas. To jest... - Brian zawahał się. Czy powinien jej powiedzieć? Nowa książka była oparta na wspomnieniach z jego chłopięcych lat, lat dorastania w Brooklynie w latach pięćdziesiątych. A Rosę była w tak dużym stopniu częścią jego życia. - ...za wcześnie mówić, o czym to jest. W tej chwili więcej stron mam w koszu na śmieci niż na biurku.

- Och, Brian... - Pochyliła się nad stołem, uśmiechając się tym promieniejącym uśmiechem, który unosił go pół metra nad zniszczone siedzenie z imitacji skóry. - ...jestem szczęśliwa z twojego powodu. Naprawdę. Przyszłam dzisiaj chyba również dlatego, że chciałam mieć okazję powiedzieć ci, jak mi przykro z powodu tego, co stało się w Londynie. To był... wstrząs na twój widok. Nie spodziewałam się ciebie. No, dobrze, byłam zła, urażona, ale to nigdy mi nie przeszkadzało być dumnej z ciebie. Zawsze wiedziałam, że pewnego dnia napiszesz cudowną książkę.

- Musiałaś mieć kryształową kulę. Przedtem napisałam kilka dość okropnych.

Roześmiała się. - Pamiętam. Ileż to heroin rozdeptanych przez słonie, nadzianych na róg nosorożca, udużonych przez pytona, wciąż jeszcze miało dość energii, żeby grać w badmintona?

- To nie było tak złe, jak bohater, który ożył w mojej zagadce kryminalnej, ponieważ zapomniałem, że zabiłem go w rozdziale drugim.

- Przyznaj to, Brian. Nie jesteś pokroju Mickeya Spillane'a.

Zaczęła chichotać. Brian zaraził się jej śmiechem i niemal zakrztusił kawą. W jednej chwili poczuł, jak lata ;

umykają. Myślał o gorących letnich nocach na dachu z Rosę, zapachu bajgli, dochodzącym z delikatesów Hot Spot przy Avenue J. Ich dwoje, jedzących zielone winogrona, palących lucky strike'i taty. Chryste, wtedy wszystko było o wiele prostsze. W czasach przed Wietnamem, kiedy myśl o osiągnięciu trzydziestki wydawała się tak niemożliwa jak śmierć. Chciał, żeby to uczucie trwało wiecznie.

- A co z dziećmi, Bri? Wiem, że zawsze chciałeś mieć rodzinę...

Było to tak, jak gdyby wznosił się na huśtawce, zakreślając wielki łuk na błękitnym niebie, i nagle wyciągnięto mu krzesło spod siedzenia.

- Próbuujemy - powiedział. - Jak dotąd, nie mamy szczęścia.

- Przykro mi.

- Nie trzeba. To nie jest beznadziejne. Tylko cholernie frustrujące. Chciałem mieć dużą rodzinę. Teraz zadowolę się jednym dzieckiem.

- Twoja żona... Czytałam ojej klinice - Rosę taktownie zmieniła temat. - To wspaniałe, co ona robi dla tamtej okolicy.

- Ona jest poświęcającą się kobietą.

Pod pewnymi względami, myślał, Rachel i Rosę są takie same. Obie mają rodzaj wewnętrznego ognia, ale w Rachel ten ogień rozprasza się we wszystkich kierunkach. Ona zbawia świat. Ogień Rosę płonie wolniej, gorętszy, bardziej skupiony.

Brian myślał o tamtej nocy w Londynie, o tym, jak ona na niego patrzyła. Teraz patrzyła na niego w ten sam sposób - ciemne oczy utkwione w nim nieruchomo i ten spokojny uśmiech Mony Lisy, który tak dobrze znał. O Chryste, chciał, żeby przestała... żeby nie wywoływała w nim tego uczucia, które nie powinno istnieć.

- Ten człowiek na przyjęciu. Czy masz zamiar wyjść za niego za mąż?

- Max? - Wyglądała na zdumioną i jej filiżanka zachwiała się, kiedy podnosiła ją do ust. Trochę płynu

prysnęło na grzbiet jej dłoni i szybko wytarła ją serwetką. Brian zobaczył postrzępioną bliznę, przecinającą jej dłoń, i skrzywił się wewnątrz. - No popatrz, co ja zrobiłam. Pamiętasz, Bri, jak zawsze spadałam z roweru, obcierając sobie kolana? No cóż, ani trochę się nie zmieniłam. Ledwie w zeszłym tygodniu...

- On jest w tobie zakochany.

Rumieniec zalał jej policzki. - Nie bądź śmieszny. Max to... no, Max. Zginęłabym bez niego, ale jesteśmy tylko... Och, to głupie, dlaczego rozmawiamy o nim?

- Dlaczego nie? Nie jesteś w nim zakochana?

- Nie, oczywiście, że nie. Zresztą Max jest żonaty.

- Ach, rozumiem.

Jej rumieniec ściemniał do gniewnego, cętkowanego szkarłatu. Spuściła wzrok. - Nie, nie rozumiesz. Nie jesteśmy... To nie to, co myślisz. Max jest cudownym przyjacielem. Był czas... bardzo zły czas, po tym, jak ty... cóż, powiedzmy po prostu, że Max był wtedy dla mnie wspaniałym przyjacielem. Wątpię też, czy przebrnęłabym przez prawo, gdyby nie on.

Albo bardzo niezręcznie kłamiesz, myślał Brian, albo jesteś niemądra. Widziałem, w jaki sposób on na ciebie patrzył tamtej nocy. Musiałbym być ślepy, żeby nie widzieć.

Jednakże było również jasne, że jakakolwiek była prawda, ona nie chciała jej znać. W każdym razie nie miał prawa zaglądać w jej sprawy.

- Założę się, że jesteś piekielnie dobrym prawnikiem - powiedział. - Chciałbym cię któregoś dnia zobaczyć w akcji.

- Nie mów tego - uśmiechnęła się. - Twoje życzenie może się spełnić. Max zawsze mówi, że prawnicy są jak trumniarze - wszyscy wcześniej czy później potrzebujemy trumny, ale lepiej później niż wcześniej.

- Wygląda na to, że to dowcipny człowiek, ten twój Max. Chciałbym go poznać któregoś dnia.

- Któregoś dnia - powtórzyła jak echo, wodząc palcem po krążkach wilgoci na poplamionym blacie stołu z formiki.

Brian zobaczył jej profil, odbity w szybie okiennej. Było coś tak dzielnego i samotnego w tym widmowym obrazie, jak w dagerotypie jego prababki Mary Taighe McClanahan, która zanim skończyła dwadzieścia lat, przemierzyła ocean i straciła dwoje dzieci.

Rosę wyprostowała się i spojrzała na zegarek. - O Boże! Spójrz, która godzina. Nie będę spała całą noc. I muszę być w sądzie wcześnie rano.

- Teraz wiem, dlaczego Perry Mason miał te worki pod oczami.

Zaśmiała się i dotknęła przelotnie jego ręki. Muśnięcie ciepła. - Dobrze było zobaczyć cię znowu tak jak teraz, Bri. Naprawdę tak myślę. Chcę, żebyśmy pozostali w kontakcie.

Powiniennem zakończyć to od razu, myślał Brian. Ona wciąż jest we mnie zakochana. Powiniennem położyć temu kres, powiedzieć jej, że to na nic. To do niczego nie doprowadzi.

Ale nie mógł się zmusić, by wypowiedzieć te słowa. Zamiast tego czuł szaloną, gorączkową potrzebę zobaczenia jej znowu.

- Zjemy razem lunch. Wkrótce. Zadzwoń do ciebie.

- Obiecujesz? - Wstała, żeby odejść. Ociągając się przez chwilę, badawczo zaglądała mu w oczy.

- Obiecuję. Niech umrę, jeśli łżę.

Siedząc tam po jej odejściu, przypomniał sobie obietnicę, którą złożył jej lata temu. Obietnicę, którą złamał. Nie powinien był jej znowu składać obietnicy. Ale inaczej zraniłby ją.

Czy ciągle ją kochasz? - szepnął w nim twardy, zimny głos.

Czy ją kochał? Naprawdę nie wiedział. W pewien sposób zawsze będzie ją kochał. Ale czy miłość była kiedy taka prosta? To, a nie tamto? Określenie, co czuł do Rosę, przypominałoby próbę wycięcia kawałka nieba.

Wchodząc do swego mieszkania przy Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy, Brian był zdziwiony, że jest ciemne. Była prawie północ.

- Rachel? Jesteś w domu? - zawołał cicho, zapalając górne światło.

Żadnej odpowiedzi. Pogmatwane cienie bawialni natchmiast złożyły się w jasny, dodający otuchy obraz. Miłe miejsce, pomyślał Brian. Z nowym uznaniem ogarnął wzrokiem zmiętoszoną perkalową sofę ze stosem pulchnych haftowanych poduszek, schowek na ciastka z dziurkowanymi blaszanymi drzwiczkami, obok sosnowy stół, zawalony teraz oprawionymi odbitkami szczotkowymi, które wydawcy dostarczyli mu do podpisania, i plikiem recenzji książkowych, przysłanych mu przez jego redaktora.

I ten wariacki fotel z Adirondack przy kominku - znaleźli go w Maine tego pierwszego lata, kiedy się pobrali. Brian uśmiechnął się, wspominając jak, myszkując w starej stodole pełnej gratów, Rachel, kichająca i brudna, natknęła się nań. Stał prawie ukryty za stosem zardzewiałych ram łóżek, zwalonych pod ścianę. Wyciągnęła go, potem obchodziła wokół, przyglądając się jego niezdarnej formie, rzeźbieniom, niedźwiedzim nogom i oparciom. Potem oznajmiła: „To najbardziej odrażające cudowna rzecz, jaką widziałam, i jeśli jej nie kupimy, będę sobie pluć w brodę przez całą drogę do domu”. Stary farmer, który prowadził sklep, nie był w ciemności. „Nie, proszę pana, nie przyjmę mniej niż trzydzieści dolarów” - praktycznie fortunę w tamtych czasach, i prawie cały ich budżet na weekend. Ale Rachel nalegała, więc przywlekli go do samochodu i przywiązali sznurami do bagażnika. Jadąc do domu autostradą międzystanową, kłócili się o to, gdzie go postawią. Rachel chciała go mieć pośrodku bawialni, on myślał, że lepiej będzie go schować w jakimś ciemnym kącie. Ale kiedy w końcu dotarli do domu i wyczyścili fotel, Brian zobaczył, jaki był doskonały. Jaki niepowtarzalny i cudowny. Jedyne w swoim rodzaju, jak sama Rachel.

Brian czuł ten zabawny ucisk w gardle, jaki odczuwał czasami patrząc na stare rodzinne fotografie. Zdjęcia matki, kiedy była młoda i smukła, zanim posiwiały jej włosy; zdjęcia jego braci, przycupniętych na rowerach.

Gdzieś to od nas odeszło, pomyślał.

Coś otarło się o jego nogi. Schylił się i wziął na rękę dużego kota w białe i żółte łaty. - Cześć, generale Custer. Bronisz dla mnie fortu, prawda? Czy po prostu rozglądasz się za późną kolacją, ty stary obżartuchu? - Generał Custer zaczął mrużyć głośno, jak zardzewiała piła ręczna. Właściwie był to kot Rachel, ale w pewnych sprawach usposobiony demokratycznie - pozwalał się karmić każdemu.

W kuchni Brian wygrzebał z głębi lodówki przykrytą folią puszkę jedzenia dla kotów i nałożył śmierdzącej masy do miski Custera przy kaloryferze. Stał przez chwilę, patrząc przez okno na błyszczący naszyjnik mostu Queensboro, zawieszony nad rzeką, potem zauważył paproć w koszyku na parapecie. Była żółta, zeschnięta. Pomacał ziemię palcem. Wyschnięta do cna.

Napełnił szklanek wodą ze zlewu i podlał paproć. To miejsce zaczynało mu przypominać te mieszkania zamknięte na lato, kiedy domownicy wyjeżdżali do Nantucket albo na Fire Island. Tylko że to nie było lato, był dopiero kwiecień. A oni nie byli na wakacjach. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz wyjechali na weekend.

Nawet pachniało tutaj jak w zamkniętym mieszkaniu, kurzem i stęchlizną, jak pachnie koc wyciągnięty z worka przeciwmolowego. Ale teraz czuł jeszcze inny zapach. Dym. Papierosowy dym. Cichy sygnał alarmowy zadzwęczał mu w głowie. Rachel kiedyś paliła, ale przestała lata temu.

Brian poszedł za zapachem dymu przez hall. Znalazł Rachel zwiniętą w dużym, wyściełanym klonowym fotelu na biegunach przy łóżku. Tutaj też było ciemno, tylko uliczne sodowe lampy pod oknami rzucały na pokój purpurowy blask. Zobaczył, że Rachel nie śpi, ale nie była też całkiem obudzona. Papieros w jej ręce wypalił się

do filtra, a na szydełkowej afgańskiej narzucie wokół jej kolan rozsypany był popiół. Patrzyła w przestrzeń, z twarzą bladą i dziwnie zastygłą w wyrazie, na którego widok poczuł gęsią skórkę na ramionach.

Zmęczenie po bitwie, przypomniał sobie.

- Rachel? - wymówił jej imię cicho, niemal szeptem.
- Skarbie?

Nigdy jej takiej nie widział. Chryste, co się stało?

Wtedy, jak na kłaśnięcie dłoni hipnotyzera, zamrugowała, tracąc ten upiorny, obojętny wyraz twarzy, i spojrzała na niego. - Cześć - powiedziała.

Brian zbliżył się i pocałował ją w czoło. Włosy miała wilgotne, jak gdyby dopiero co je umyła. - Nie wiedziałem, że jesteś w domu. Nie odpowiedziałaś.

- Nie słyszałam cię. Przepraszam.

Delikatnie wyjął palący się filtr z jej bezwładnej dłoni, zaniósł do łazienki i spuścił po nim wodę w toalecie. Tutaj nie było żadnych popielniczek, tylko w bawialni, dla gości.

Wrócił i usiadł na łóżku, przykrytym narzutą, którą kupili przed laty u Amiszów w Pensylwanii. W rogu, w nogach łóżka, stała stara kołyska. Brian starał się przywołać obraz śpiącego dziecka, jaki miał wtedy, kiedy ją kupował, tego pierwszego lata, po tym, jak zdecydowali się próbować. Ale obraz nie pojawił się. Wszystko, co zobaczył, to stos nagromadzonych w niej rupieci - stare czasopisma, książki, które zaczął czytać, ale nie skończył, para butów wycieczkowych, które trzeba było podzelować.

- Chcesz o tym porozmawiać? - zapytał.

Posłała mu słaby, bezbarwny uśmiech. - Właściwie nie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Miał coś przeciwko temu. Czuł, jak gniew zaciska mu żołądek i głos mu stwardniał, kiedy powiedział: - Dobrze. Pominiemy to „jak ci minął dzień, skarbie”? Kiedy znowu zaczęłaś palić?

- Nie zaczęłam. Po prostu miałam ochotę na papierosa. Proszę, Brian, nie sprzecajmy się. Nie czuję się dzisiaj na siłach.

Wygląda okropnie, pomyślał. Dobrze, nie będzie naciśkał. W końcu sama mu powie, co jest nie w porządku.

Czekał, aż cisza zmyje z niego złość, wsłuchując się w ciche furczenie elektrycznego zegara na stoliku nocnym i w daleki szum ruchu ulicznego.

- Dostałam okres - powiedziała w końcu.

Słowa padły jak wielki płaski kamień w spokojne jezioro. Czuł, jak ręce zwijają mu się w pięści i powoli wsącza się w niego gniew.

To niesprawiedliwe, pomyślał. Czternastolatki wpadały za pierwszym razem na siedzeniach chevroletów. A spójrzcie na mamę. Siedmioro dzieci. Więc dlaczego nie Rachel? Taak, zrosty w jajowodach. Ale wszystkie te kuracje, całe to planowanie, spieszenie do domu, żeby się kochać, kiedy jej temperatura wzrastała. Podkładanie poduszki pod jej biodra, żeby zatrzymać wewnątrz cenną spermę.

Po co było to wszystko?

To nie była wina Rachel. Ani jego. To po prostu jedna z tych rzeczy, które się zdarzają. Więc dlaczego tak się czuł? Rozgoryczony, zły... w pewien sposób oszukany. Bycie z nią sprawiało ból, sprawiało, że czuł się jak odarty ze skóry. Miał ochotę wybuchnąć, oskarżyć ją o inne rzeczy, o to, że jest tak zajęta, tak pochłonięta pracą, że prawie jej nie widywał, aż wtaczali się do łóżka i odprawiali mechanicznie miłość.

W tej chwili nienawidził jej za to, że była tak cholernie stoicka. Dlaczego nie płakała, nie krzyczała, nie waliła pięścią w ścianę? Byłoby to przynajmniej spontaniczne. Nie byłoby tego wielkiego milczącego niedopowiedzenia. Potwora z Loch Ness, przyczajonego pod powierzchnią ich życia.

Brian patrzył na kołyskę w rogu i łzy paliły mu oczy. Nie mógł jej dłużej znieść. Pozbędzie się jej rano. Żeby mu ciągle nie przypominała.

Nagle poczuł się winny. Siedzę tutaj, litując się nad sobą, obrażony na nią. Jezu, dla Rachel to musi być o wiele trudniejsze niż dla mnie.

- Przykro mi - powiedział.

- Mnie też. Tym razem naprawdę myślałam... - Zagryzła wargi. - Nieważne.

Porozmawiaj ze mną, nalegał w myśli. Jezu, nie możesz nawet o tym pomówić?

- Rachel - zaczął ostrożnie. - Czy myślałaś o tym, o czym mówiliśmy? O...

- Nie - ucięła. - I nie chcę teraz o tym myśleć. Nie jestem gotowa do adopcji, Bri.

- Moglibyśmy złożyć wniosek. To trwa latami. W tym czasie...

Zesztywniała, odrzuciła koc z kolan i wstała. - Przykro mi. Nie mogę. Nie teraz. Może kiedyś.

Chwycił ją za ramiona, ściskając tak mocno, że czuł kości pod cienką warstwą skóry i mięśni. - Kiedy? Przecież nie chcesz nawet o tym mówić, na rany Chrystusa.

- Dlaczego to musi być teraz? Dlaczego nie w przyszłym tygodniu albo nawet jutro?

Czuł pulsowanie w głowie i szum w uszach.

- Dlatego, że nasze życie to nic innego, jak jutro, czy nie widzisz tego? Jutro weźmiesz wolne w klinice. Jutro porozmawiamy. Dość mam słuchania o jutrze. Co się stało z dniem dzisiejszym?

Trząśł się. Czuł, że jest niebezpiecznie blisko utraty kontroli nad sobą.

- Porozmawiaj ze mną - błagał, przyciągając ją do siebie, przyciskając usta do jej czoła. - Powiedz mi, co czujesz. Powiedz mi, żebym poszedł do diabła. Cokolwiek. Ale proszę, Rachel, nie zamykaj się przede mną.

Kiedyś, kiedy był młody, ptak wleciał do jego pokoju i gdy próbował się wydostać, uderzenie o szybę pozbawiło go przytomności. Brian wziął go w ręce, poczuł, jak się porusza, ożywa, trzepoce, nieskończenie kruchy. Takie wrażenie robiła teraz Rachel, drżąc w jego ramionach.

Ranił go jej ból, ale własną frustrację odczuwał jeszcze bardziej dotkliwie. Chciał nią wstrząsnąć. Zmusić do odpowiedzi.

Nagle napięła się i oderwała od niego. Patrzyła na niego przez długą chwilę, ze zmienioną twarzą, walcząc z udawką, która okazała się zbyt wielka, by ją wyrazić słowami.

- Brian... jest coś, co... - Zamilkła, z okropnie zmienioną twarzą. - Dziś wieczorem, kiedy wyszłam ze szpitala... mężczyzna... on mnie zaatakował...

Ktoś skrzywdził Rachel, o Boże... a on cały czas jej dokuczał. Brian poczuł gorącą falę gniewu. Drań. Zabiję go, rozwalę mu łeb, jeśli ją skrzywdził, o Chryste ukrzyżowany... Chwyć ją w ramiona, tuląc mocno. - Chryste, dobrze się czujesz, dziecino? Czy cię skrzywdził?

- On... - Odsunęła się i podniosła drżącą rękę do policzka, jak gdyby chciała się upewnić, że wciąż jest cała. Potem zduszonym szeptem powiedziała: - Nie... właściwie nie. Ogłuszył mnie, to wszystko. Czuję się dobrze... jestem tylko trochę roztrzęsiona.

- Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu, jak wszedłem? Jezu, Rachel, co ja nagadałem. Dlaczego mnie nie powstrzymałaś?

- Nie wiem... Boże, nie wiem. Byłam taka wystraszona, kiedy to się stało. Przewrócił mnie, ale uciekłam. Potem czułam tylko taką ulgę... że nie chciałam o tym mówić... ani nawet myśleć.

- Czy go widziałaś? Widziałaś jego twarz?

Rachel spuściła oczy i Brian poczuł, jak przebiega po niej dreszcz. - Było... ciemno - wymruczała. - Nie, nie widziałam jego twarzy.

- A co z policją? Zgłosiłaś to?

- Nie dzwoniłam na policję. Brian, mówię ci, nie było czego zgłaszać. Nie zranił mnie i nie widziałam jego twarzy. Proszę... no proszę... czy nie możemy po prostu o tym zapomnieć? Nie chcę więcej o tym mówić. - Głos jej się załamał.

Brian zobaczył czarną rozpacz w jej twarzy i poczuł, jak coś twardego i zmrożonego puszczą w nim, jak śnieg, osypujący się z górskiego grzbietu. Nigdy w ciągu tych lat, kiedy byli razem, nie błagała go w ten sposób. Zawsze wydawała się taka silna... taka samowystarczalna.

A teraz widział, jak wszystkie te warstwy stali odpadają. Po raz pierwszy widział ją naga i podatną na zranienie.

Nagle poczuł chęć, żeby ją chronić, pocieszać. I miał ochotę zabić tego, kto to zrobił.

Położył ją delikatnie na łóżku i trzymał w objęciach, aż jej oddech uspokoił się, a jego ramię zdrętwiało. Jednak nie zmienił pozycji, dopóki nie był pewien, że mocno zasnęła i nie obudzi się, jeśli on się poruszy. Potem, leżąc na plecach, pozwolił płynąć łzom, toczącym się cicho po skroniach i znikającym we włosach.

Jezu, gdyby coś jej się stało... gdyby ją naprawdę skrzywdzono. Nie wiem, co bym bez niej zrobił.

- Kocham cię, dziecinko - szepnął, odwracając głowę tak, by móc ją widzieć. W purpurowym blasku świateł ulicznych jej twarz odcinała się od poduszki jak kamea. Patrzył, jak żyła pulsuje na jej gładkiej skroni i przepełniała go czułość.

Co się z nimi stało? Dlaczego było jej tak trudno powiedzieć mu o tym? Z początku mówili sobie wszystko... Kochali się tak bardzo, że czasami zastanawiał się, czy możliwe jest kochać za bardzo. Było tak, jak gdyby namiętność jaką do niej czuł, pozbawiła go pewnej niezbędnej zewnętrznej warstwy, psychicznej skóry, której potrzebował, żeby przeżyć. A więc może oboje odsunęli się trochę od siebie. W porządku, to było naturalne.

Ale teraz...

Brian, przesuwając dłonią po słodkiej krzywiznie jej policzka, myślał: Odeszliśmy od siebie za daleko...

Ironia była w tym, że kochał ją tak mocno, jak przedtem. Może mocniej.

Ale kochałeś także Rosę, szepnął szelmowski głos w jego głowie, a jednak ją straciłeś.

Rosę...

Czy kochać kogoś to dosyć? - zastanawiał się. Czy też Bóg jest jak Stromboli, który każe nam myśleć, że panujemy nad swoim losem, podczas gdy zmienia nas wszystkich w bałwanów?

Jezu, chciałby to wiedzieć. Chciałby... chciałby móc

sprawić, żeby wszystko między nimi dobrze się ułożyło. Gdyby tylko mogła mieć dziecko, nasze dziecko. Miał poczucie braku. Pamiętał każdego braciszka, którego matka przywoziła do domu ze szpitala, jak on i jego bracia tłoczyli się w oknie, spoglądając w dół, patrząc, jak tata pomaga wyjść z taksówki mamie z wełnistym niebieskim zawiniątkiem w ramionach. Potem ten cud maleńkich paluszków i słodki zapach dziecka, wypełniający całe mieszkanie jak zapach piekącego się chleba.

Brian chciałby móc rozmawiać o tym z Rachel. Ale za każdym razem ona odwracała się i milkła. Czy to było dla niej takie trudne?

Albo - wśliznęła mu się do głowy gorzka myśl - może ona nie pragnęła dziecka tak bardzo jak on. Może to był powód, dla którego zamykała się w sobie. Czy bardziej zależało jej na tej cholernej klinice niż na posiadaniu rodziny? A nawet na nim...?

Brian odepchnął od siebie tę myśl, nagle wystraszony. Jeśli to prawda, to co wtedy?

Ostrożnie, żeby nie poruszyć Rachel, wstał z łóżka i przykrył ją afgańskim kocem. Tak, niech śpi. Bardzo tego potrzebowała. A jutro zaczną od nowa. Będą rozmawiać... Tak, będą rozmawiać.

ROZDZIAŁ 24

Rosę ziewnęła, patrząc na kłębowisko papierów na kuchennym stole. Fragmenty złożonego pod przysięgą oświadczenia i ustaw pomieszały się ze sobą. Była tak zmęczona, że nie mogła już myśleć, jej mózg rozmókł jak fusy od kawy w zlewie. Skończy jutro, nastawi budzik i wstanie, ledwie się rozwidni.

Zerknęła na elektryczny zegar nad lodówką. Druga w nocy. Już było jutro. Matko Boża. To dawało jej cztery godziny snu. Godzinę, żeby wziąć prysznic, ubrać się, przełknąć kawę, ułożyć sobie argumenty, zanim pojawi się w sądzie.

Kogo nabierasz? - ostry głos przedarł się przez jej senność. I tak byś nie spała. Leżałabyś w łóżku, patrząc w sufit, myśląc o Brianie. Zastanawiając się czy... albo kiedy... znowu go zobaczysz. Modląc się o to, żeby to było wkrótce.

Zadzwonił telefon, przesywając ciszę.

Rosę podskoczyła, myśląc odruchowo: Coś niedobrego. Marie? Czy tym razem Pete wpakował ją do szpitala? Skrzywdził któreś z dzieci? A może chodzi o Nonnie? Clare znowu dzwoni, żeby powiedzieć, że Nonnie jest chora?

Potem słodka fala nadziei. Brian? Och, proszę, Panie Boże.

Rzuciła się do telefonu nad kuchenną ladą.

- Rosę? - zapytał jakiś głos, ledwie podniosła słuchawkę. Znajomy. Znużony.

- Max! - wykrzyknęła. Chwila rozczarowania, a zaraz potem niepokój. Max nigdy nie dzwonił do niej tak późno. - Co się stało? Dobrze się miewasz?

Krótką pauza, a potem: - Miewam się dobrze. Słuchaj, przepraszam. Wiem, że jest późno. Obudziłem cię?

- Skądże. Pracuję nad sprawą Metcalfa. Ale nawet gdybyś mnie obudził, nie miałyby to znaczenia. Coś się stało, inaczej nie dzwoniłbyś o tej porze.

- Wiem, że to szaleństwo, ale... czy mogę wejść na górę? Jestem w budce telefonicznej na rogu.

- Oczywiście - powiedziała, nie wahając się ani sekundy. Max nigdy jej o nic nie prosił. Po tym wszystkim, co dla niej zrobił.

Wiedziała, że wcale nie położy się tej nocy do łóżka, że jutro w sądzie będzie jak martwa, i prawdopodobnie tak będzie wyglądać. Ale co z tego?

Odwiesiła słuchawkę i zauważyła z przerażeniem, że ma na sobie najstarszy, najbardziej zniszczony szlafrok.

No cóż, Max widział ją w gorszym stanie niż teraz. Ostatecznie, nie przychodzi tutaj na schadzkę.

Ale jej mieszkanie - Boże drogi - Max zobaczy je po raz pierwszy, a ono wyglądało jak w dniu Sądu Ostatecznego. Popędziła do bawialni, zbierając stare kubki do kawy, rozrzucone gazety, ubrania przerzucone przez oparcia krzeseł. Odkąd nie odkurzała mieszkania? Bóg wie. Od tygodni. Od czasu przyjęcia, jakie wydała Patsy, kiedy dostała rolę Maiki w objazdowym spektaklu *Skrzypka * na dachu*. Teraz Patsy była w Lexington, w Kentucky, a może w Louisville? W każdym razie, Rosę mogła winić tylko siebie.

Przypomniała sobie, jak zakochała się w tym mieszkaniu, z całym dobrodziejstwem inwentarza, za pierwszym razem, gdy tu weszła. Było na najwyższym piętrze domu z piaskowca na rogu Dwudziestej Pierwszej i Dziesiątej. I takie słoneczne, jak cieplarnia, z całym tym światłem wlewającym się przez wysokie okna, wszędzie rośliny - zwisające z oczek firanek, wyrastające ze słoików po majonezie na parapetach, rozsiadające się w wielkich, glinianych meksykańskich wazonach na podłodze. Ściany wytapetowane szaleńczo starymi afiszami teatralnymi i plakatami filmowymi. Zamiast sofy duże, skórzane meksykańskie poduszki, porozrzucane po podłodze; w kącie wielkie mosiężne nargile, jak coś z *Alicji w Krainie Czarów*.

Patsy, piosenkarka-tancerka-aktorka, była znajomą znajomej. Szukała współlokatorki na miejsce ostatniej, która przeniosła się do Los Angeles. Rosę czuła się osaczona w swoim ciasnym, ciemnym mieszkanku przy Lower East Street i wprowadziła się w ciągu tygodnia. A teraz, kiedy Patsy była w drodze, na dobry rok miała mieszkanie tylko dla siebie.

Max nie da się zwiść temu bałaganowi, zobaczy, jakie to cudowne miejsce, pomyślała. I na pewno zrozumie, że jestem zbyt zajęta na częste sprzątanie.

Zaniosła pozbierane ubrania do sypialni i rzuciła na środek łóżka - swego wspomniałego łóżka, ze starą, kutą

w żelazie poręczą, pomalowaną na biało. Narzuta była wyjątkowa, zrobiona na drutach z moheru, w kolorze zachodu słońca na pustyni. Wydała na nią fortunę na targu rzemiosła, wyobrażając sobie, jak bardzo podobałyby się Brianowi. Jak przyjemnie byłoby zanurzyć się z nim w te puszyste fałdy.

Pomyślała tęsknie: Proszę, Panie Boże, żeby Brian przyszedł do mnie. Już tak długo czekam.

Wzdrygnęła się na przenikliwy dźwięk dzwonka przy drzwiach. Max. Nacisnęła przycisk, zwalniający drzwi na dole, i pospieszyła odsunąć zasuwę.

Wyrzała do hallu i patrzyła, jak Max powoli wspina się po schodach. Kiedy zbliżył się do podestu, zobaczyła, że jest blady, wymięty, z oczyma nabiegłymi krwią. Jego szary garnitur był mocno pognieciony, przekrzywiony krawat wyglądał jak pętla wisielca.

- Cześć - powiedział z krzywym uśmiechem.

Rosę była zaskoczona, a nawet trochę przestraszona. Nigdy go takiego nie widziała.

- Max, jesteś pijany?

Spojrzał jej w oczy z wyrazem przesadnej stateczności.

- Prawdę mówiąc, nie. Próbowałem. Szczerze próbowałem się upić - barman z PJ może to zaświadczyć - ale nic z tego, przykro mi to powiedzieć.

Wtedy zauważyła, że niósł niewielki neseser z zamkiem błyskawicznym. - Wybierasz się gdzieś? - zapytała.

- Można tak powiedzieć. - Zamilkł i wziął głęboki oddech. - Wyprowadziłem się z domu. Byłem w drodze do śródmieścia. Niedaleko biura jest przyzwoity hotel. Ale teraz bardziej chyba potrzebuję przyjaciela niż miejsca do spania. Dziękuję, że pozwoliłaś mi przyjść.

- Wiesz, wciąż czekałam na właściwy moment, żeby cię zaprosić. - Zaśmiała się nerwowo. - Kiedy będzie mniej pracy. Kiedy bfdę miała czas porządnie posprzątać. Ale to się nigdy nie zdarzyło.

Max wszedł do środka i rozglądając się po bawialni, powiedział: - Niczego nie zmieniaj. Jest doskonała taka, jaka jest.

Nagle poczuła się szczęśliwa i spokojna. Potem zaczęła w nią zapadać myśl: Dopiero co jej powiedział, dlaczego tu jest. Wyprowadził się. Opuścił żonę.

Powinna być zdziwiona. Ale nie była. Może dlatego, że Max nigdy nie mówił o swoim małżeństwie. Tak, wyczuwała melancholię i rozpacz, ukryte pod jego animuszem, pod łatwym uśmiechem. I zauważała pewne rzeczy, pewne drobiazgi - jak to, że Max nieświadomie marszczył brwi, kiedy rozmawiał przez telefon z żoną, pocierając, czasami grzbiet nosa, jak gdyby bolała go głowa. I jak twarz mu się rozjaśniała, kiedy jego córka, Mandy, wpadała do biura, a zdawała się napinać i przybierać czujny wyraz, kiedy to była Bernice.

Rosę przychodziły na myśl zwykłe odpowiedzi: Przykro mi... Może potrafisz to ułożyć... Rano zawsze wszystko wygląda lepiej. Jednak rozumiała, że Maxowi najbardziej potrzebny był ktoś, kto go wysłucha, a nie stek banałów. Od jak dawna znam Maxa? Od lat. A tak mało naprawdę o nim wiem. O tym, co się w nim dzieje.

Zapra gnęła być dla Maxa takim przyjacielem, jakim on był dla niej.

- Nie przejmuj się hotelem - powiedziała. - Tu jest dużo miejsca. Możesz zająć pokój Patsy. I na litość boską, wejdz i rozgość się. Zrobię ci filiżankę kawy. Wygląda na to, że przydałby ci się cały dzbanek.

- Nie miałem zamiaru... Nie, nie mógłbym tego zrobić.

- Moja kawa wcale nie jest taka zła.

- Wiesz, co mam na myśli. To miło z twojej strony, Rosę. Ale... do diabła, to mój problem. I sam muszę się nim zająć.

- Czy choć raz w życiu, panie Griffin - zbeształa go - mógłbyś przestać być panem Twardzielem i dla odmiany pozwolić komuś sobie pomóc?

Zawahał się, ale zanim zdołał dorzucić słowo, Rosę ruszyła do kuchni.

- Pokój po lewej stronie - rzuciła przez ramię. - Możesz tam zostawić swoje rzeczy. Zapal światło, żebyś się

nie przewrócił o przyrządy gimnastyczne. Patsy ma bzika na punkcie ćwiczeń fizycznych. Mnie też utrzymuje w formie. Wystarczy mi jedno spojrzenie na tę izbę tortur, żeby mnie na zawsze wyleczyć z ochoty na lody ze śmietaną i owocami.

Kiedy wróciła z kawą, Max siedział na jednym z podnóżków i wyglądał niezdarnie, nie na miejscu. Z rozpłaszczonym siedzeniem, z kolanami sterczącymi w górze, ukazując kostki nóg. Przypominał jej turystę w obcym kraju, który robi wszystko, żeby wtopić się w otoczenie. Ale powstrzymała się od uśmiechu, kiedy usiadła obok niego po turecku i postawiła między nimi tacę na wytartym orientальnym dywanie.

- Używasz kiedy tej rzeczy? - zapytał Max, wskazując na nargile.

- O Boże, nie. Nie jestem nawet pewna, do czego to służy. Przypuszczam, że do palenia haszyszu.

Wyglądał na zamyślonego. - Kiedyś broniłem dzieciaka, oskarżonego o posiadanie narkotyków. Kilku gramów marihuany. Sędzia chciał mu wlepić karę z paragrafu. Zdołałem zbić kwalifikację czynu do wykroczenia. Dzieciak nie mógł mi zapłacić honorarium, ale wsunął mi coś do kieszeni, kiedy opuszczaliśmy budynek sądu. Papierosa z marihuaną, dżointa. Zabrałem go do domu, powiedziałem Bernice, że powinniśmy go wypalić, żeby się przekonać, o co cały ten hałas. Wiesz, co powiedziała? Powiedziała, że równie dobrze mogłaby od razu iść zwymiotować. - Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu i zaraz potem rozpląnął w wyrazie nieszczęścia. - Budzisz się pewnego dnia, po prawie dwudziestu latach, i uświadamiasz sobie, że jesteście dalej od siebie niż zanim się poznaliście... O Chryste... gdyby nie Mandy... - Zamilkł, z oczyma błyszczącymi od nie wylanych łez.

Rosę wzięła go za rękę. - Wiesz, nie musisz o tym mówić, chyba że masz ochotę. Nie jest to wymagane za pobyt tutaj.

Spojrzał na nią, badając jej twarz. Rosę poczuła chłód, wędrujący jej wzdłuż kręgosłupa, i przypomniała sobie

deszczowy dzień w Londynie, kiedy Max pocałował ją w taksówce.

Chciała, żeby teraz ją pocałował.

Obłąd, pomyślała, nie kocham Maxa... nie w ten sposób. Ale tęskniła za tym, by poczuć jego męskie ramiona wokół siebie, jego gorący oddech na szyi, jego nagie ciało na swoim ciele. To już tak dawno.

Przestań, powiedziała sobie. To Briana chcesz, nie Maxa.

Brian. O, tak. Dziś wieczorem, siedząc naprzeciw niego w tej restauracji, chciała go bardziej niż czegokolwiek kiedykolwiek.

Rosę poczuła gorący ucisk w gardle. O Jezu, żebym tylko nie zaczęła płakać, pomyślała. Jakie to samolubne i jak nie w porządku. Max nie przyszedł po to, żeby mnie pocieszać.

Nalała kawy do grubych, ręcznie toczonych ceramicznych kubków i podała mu jeden. Chciała powiedzieć lub zrobić coś, co rozproszyłoby jego ból.

Max usiadł z powrotem, trzymając kubek obiema rękami.

Jest w niej coś innego, pomyślał. Nigdy nie widziałem jej takiej ożywionej. I takiej pięknej. Chryste, ona jaśniej jak... Jak zakochana kobieta.

Czuł, że serce zamiera mu w piersi. Czy poznała kogoś? Zakochała się?

Ta myśl bolała, szczególnie po tym, przez co przeszedł tej nocy. Pożegnanie z Monkey, która łkała, przywierając do niego. Najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił. Czuł ból, jak gdyby rozdarło go na dwoje.

Pewnie, wiedział, że ostatecznie tak będzie lepiej. Będzie ją często widywał. Będą razem podróżować. Znajdzie mieszkanie w śródmieściu, gdzie będzie mogła kłaść nogi na sofę, zapraszać przyjaciół na pizzę bez obawy, że jeśli ktoś rozleje coca-colę na dywan, matka dostanie ataku serca. Ale mimo to tak cholernie bolało.

Łzy piekły mu oczy jak ziarenka piasku. - Przepraszam - powiedział. - Nie jestem teraz najlepszym towarzystwem.

- Nie przepraszaj. - Poczuł jej rękę na swoim ramieniu, ciepłą, kojącą.

- Czy to nie zabawne? Latami zbierałem odwagę, żeby odejść... a teraz czuję się jak tchórz. Jak gdybym opuścił Mandy. Wszystkie te książki z Judy Blume, które ona ciągle czyta, wszystkie te niepokoje lat kilkunastu - no cóż, sama będzie je teraz przeżywać. Córnka na weekendy. Boże, tak bardzo ją kocham. To boli kochać kogoś tak bardzo.

- Wiem. - Ciemne oczy Rosę wypełnione były bólem. A potem uśmiechnęła się. - Myślę, że twoja córka ma szczęście. Oddałabym duszę, żeby mieć takiego ojca jak ty. Nawet w niepełnym wymiarze godzin.

Max poczuł teraz ciepło kubka z kawą, jak gdyby ono wkradło mu się w palce, w ramiona. Droga, cudowna Rosę. Wiedziała, co należy powiedzieć.

Gdyby tylko...

Przestań, nie. Przyszedł tutaj po to, co ona oferowała - przyjaźń, trochę współczucia. Wystarczy.

Max wyciągnął z kieszeni chusteczkę. Starannie uprasowaną, złożoną w nienaganny trójkąt. Jak ostatni wyrzut Bernice.

Max myślał o Bernice, siedzącej na brzegu łóżka, obserwującej z suchymi oczami i nieruchomą twarzą, jak on się pakuje. Poprosiła tylko, żeby jej zostawił numer telefonu, na wszelki wypadek.

Z Bernice każdy moment życia był wszelkim wypadkiem. Kroplą, która przepełniła dzban, był jego wczorajszy powrót do domu, kiedy znalazł Monkey skuloną w wannie, w zimnej i piennej wodzie, płaczącą, z włosami w mokrych kosmykach, przyklejonymi do pleców. - Jestem brudna - zakrzuszyła się. - Mama mówi, że jestem brudna. I że tego się nie da zmyć. Nie chcę, żeby mnie ktokolwiek jeszcze dotykał.

Max poczuł, jak cierpka panika podchodzi mu do gardła. Jezu, czy to jakiś chłopiec? Czy jakiś chłopiec jej

dotknął, zmusił do zrobienia czegoś? I czy Bernice się o tym dowiedziała? Czy to o to chodziło?

Max chciał wyciągnąć ją z wody, owinać w ręcznik, jak wtedy, kiedy była mała. Ale widząc ją taką jak teraz, przygiętą nad kościstymi kolanami, drżącą, nieszczęśliwą, wiedział, że ona bardziej niż pociechy potrzebuje uszanowania choć trochę jej godności. Przyniósł jej ręcznik i rozciągnął go tak, że mogła wstać i nie być widziana całkiem naga. W wieku piętnastu lat była taka nieśmiała, tak bardzo świadoma swego ciała. Dopiero kiedy była owinięta, uściśnął ją i powiedział, że nic nigdy nie zmusi go, żeby przestał ją kochać, czy myśleć, że jest brudna.

Kiedy Monkey się uspokoiła, poszedł szukać Bernice.

Znalazł ją w pralni. Włosy obwiązane szalikiem. Ręce w grubych, żółtych gumowych rękawiczkach. Twarz zawzięta. Wkładała ubrania, prześcieradła, poszewki do pralki. Wielki stos do prania u jej stóp, jeszcze większy w niebieskim plastikowym koszu na suszarce.

- Co jest nie w porządku z Mandy? - krzyknął, chory ze zmartwienia. Do tej pory zdażył już sobie wyobrazić gorsze rzeczy niż dotykający Mandy chłopiec w jej wieku - obnażającego się zbrojeńca, zaczepiającego ją starszego mężczyznę.

Bernice spojrzała na niego z zaciętą miną. - Odesłano ją dziś do domu z uwagą od szkolnej pielęgniarki. Wszy. Oblazły ją wszy. - Skrzywiła usta z niesmakiem i cofnęła się o krok, jak gdyby myślała, że on też, dotknąwszy Mandy, może być zarażony.

Max zrozumiał wtedy. Jak Bernice musiała upokorzyć Mandy, jak przez nią dziecko musiało się czuć wstrętne i niekochane. Wszystko z powodu czegoś, na co biedactwo nic nie mogło poradzić.

Zrobił wtedy coś, czego nie zrobił nigdy przedtem i nigdy więcej nie robi. Uderzył Bernice w twarz, na odlew.

Czuł się łajdakiem pierwszej wody dlatego, że ją uderzył. Ale jeszcze bardziej wstyd mu było za wszystkie

lata, jakie zmarnował, pozostając w małżeństwie z kobietą, która go nie kochała i której on nie kochał.

Został z Bernice ze względu na Mandy. Jaki był głupi. To, co on i Bernice czuli do siebie nawzajem, raniło Monkey. Nie, czas było się wynieść, uratować, co mógł, dla siebie i swojej córki.

Więc oto był.

Teraz zaczęła go ogarniać panika. Co by było, gdyby zaczął wszystko na nowo? Co by było, gdyby w końcu nie miał żadnej szansy u Rose, mimo że teraz był wolny?

Dokąd by stąd poszedł? Czy stałby się jednym z tych rozrzewniających mężczyzn w średnim wieku, którzy zapuszczają długie bokobrody, kupują modne ubrania, przesiadują w barach dla samotnych, próbując podrywać kobiety o połowę młodsze?

Spojrzał na Rose, na jej jaśniejącą twarz.

Ona była tajedyną, jedyną kobietą, jakiej pragnął.

I jeśli była najmniejsza choćby szansa, będzie czekał. Nieważne, jak długo.

Max poczuł się spokojniejszy, silniejszy, po raz pierwszy tej nocy.

- Dzięki - powiedział.

- Za co? Za to, że pozwoiliłam ci zostać? - Zaśmiała się. - Powiem ci prawdę. Czułam się trochę samotna, odkąd Patsy wyjechała. Będzie zabawnie.

- Tylko na kilka dni - przypomniał jej. - Dopóki nie wyszukam czegoś innego.

- Zostań tak długo, jak zechcesz. - Uśmiechnęła się do niego. - Jest tylko jedna rzecz, którą lepiej, żebyśmy wyjaśnili. Nie jestem najbardziej schludną osobą na świecie, jak prawdopodobnie zauważyłeś. I nie mam zamiaru się zmieniać tylko dlatego, że tu jesteś.

- Świetnie. - Lepiej niż świetnie. Cudownie.

- A teraz - powiedziała - muszę się do czegoś przyznać.

- Co to takiego?

Ona się rumieni, pomyślał.

- No cóż, skoro o tym wspomniałeś... Patsy dała mi tego

dżointa przed wyjazdem, to coś w rodzaju prezentu pożegnalnego. Od tamtej pory tkwi w mojej szufladzie na bieliznę. Zbyt wielkiego miałam pietra, żeby samej spróbować. Masz ochotę wypalić go ze mną?

Max uśmiechnął się. - Do diabła. Dlaczego nie?

Poczuł, jak ciężki kamień na jego sercu zelżał. Co to takiego było? Nadzieja? Od tak dawna jej nie odczuwał, że prawie zapomniał, co to za uczucie. Teraz myślał: Może nie jest dla mnie za późno. Może nie jestem za stary, żeby zacząć od nowa.

Minutę później przyjął od Rosę zapalonego dżointa i wzięwszy go do ust głęboko wciągnął gęsty, słodki, pachnący dym.

ROZDZIAŁ 25

Nagły jazgot muzyki wdarł się do uszu Rachel.

Obudziła się natychmiast i usiadła wyprostowana na łóżku, czując kwaśny smak w ustach. Wtedy zobaczyła. Radiobudzik. Nastawiła go na szóstą rano. Skupiła mętny wzrok na czerwonych wskazówkach. Dziewięć trzydzieści? O Boże. Nancy i Kay w klinice będą cholernie niespokojne. Musi się pośpieszyć, zrezygnować z przysznicą i zjeść coś po drodze.

Rachel wcisnęła przycisk kantem dłoni i Paul McCartney, śpiewający *Rocky Raccoon* natychmiast zamilkł. Wyszła z łóżka. Gardło miała suche i odrapane, jak gdyby wyłożone włóknem szklanym, a w skroniach pulsowało jej boleśnie.

Wtedy wróciło do niej wspomnienie tej nocy. Opadła na materac, czując słabość w nogach i zbierające się w gardle łzy.

David. Miesiączka. Sprzeczka z Brianem.

Chciała powiedzieć Brianowi. Wszystko. O Davidzie, o tym, że to David ją zaatakował, nie jakiś nieznajomy. I nawet zaczęła... ale widząc Briana blednącego z wściekłości... Boże drogi, wyobraziła sobie ten gniew zwrócony przeciwko sobie, wstrząs i wściekłość, jakie by czuł, gdyby znał całą prawdę. Gdyby wiedział, dlaczego nie mogła zająć w ciążę. I jak ukrywała to przed nim przez wszystkie te lata. Więc straciła odwagę, wycofała się...

Zauważyła, że jego strona łóżka była zimna, jak gdyby opuścił je przed godzinami. Mgliście pamiętała, że Brian położył ją w nocy do łóżka, otulił kocem. Ale gdzie był teraz?

- Brian? - zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

Chwyciła jego poduszkę, przyciskając ją do siebie. Przyszła jej do głowy mroząca krew w żyłach myśl: gdyby Brian ją opuścił, co rano budziłaby się w pustym łóżku.

Ale on mnie nie opuścił, powiedziała sobie stanowczo. Wyśliznął się tylko na parę minut, na spacer albo pobiegać, albo kupić coś w sklepie. Nie chciał mnie budzić. Pewnie myślał, że potrzebuję więcej snu.

Wtedy przypomniała sobie. Oczywiście. Brian zawsze wychodził mniej więcej o tej porze po poranną gazetę, a potem szedł do Levy'ego po gorący bajgiel. Gdyby częściej spędzała ranki w domu z Brianem, zamiast pędzić do kliniki, wiedziałaby to od razu.

Rachel z wysiłkiem wstała z łóżka, czuła się sztywna i potłuczona. Tępy ból rozchodził się falami w dole jej brzucha. Skurcze. Silniejsze niż kiedykolwiek.

Zajrzała do łazienki i zaczęła grzebać w szafce w poszukiwaniu tamponu. Pudełko było prawie puste, zostały tylko dwa. Zwlekała z kupieniem nowego opakowania. Miała nadzieję, że nie będzie musiała. Jestem głupia, myślała teraz. Nigdy nie zajdę w ciążę. Powinnam była powiedzieć Brianowi. Powinnam była dać mu chociaż tyle. Prawdę.

Ale teraz, kiedy wzbierało w niej znane uczucie nieszcześćia, stawiała mu czoło. Dosyć, powiedziała sobie. Masz pracę i musisz myśleć o innych ludziach, nie tylko o sobie.

Wyszorowała twarz. Potem, z powrotem w sypialni, włożyła dzinsy i luźny sweter. Idąc do drzwi, poruszała się powoli, ostrożnie. Wciąż czuła się słaba.

Filiżanka kawy, pomyślała. A potem w drogę. Wpadnę do szpitala, zajrzę do Almy. Upewnię się, czy wszystko z nią w porządku. Ale przecież zadzwoniliby do mnie, gdyby działo się coś naprawdę złego.

Rachel zerknęła na telefon na starym szkolnym biurku w hallu i żołądek jej się osunął.

Odłożona słuchawka.

Natychmiast wróciło wspomnienie ostatniej nocy. Otwierała drzwi, a telefon dzwonił i dzwonił, kiedy ona gmerała wśród kluczy. Rzuciła się, żeby go odebrać, myśląc, że to może być Brian. Modliła się, żeby to był Brian. Ale to był David. Głos trząśł mu się z wściekłości. „Ty pieprzona dziwko... myślisz, że mi się wymkniesz... Zniszczę cię...”

Rzuciła słuchawkę, potem zdjęła ją z widełek, przerażona, że on może znowu zadzwonić.

Kiedy się zbliżyła, usłyszała przyciszone kwilenie rozłączonego telefonu. Uuau...uuau...uuau. Jak gdyby na drugim końcu płakało dziecko.

Ostrożnie, jakby słuchawka była ze szkła i mogła pęknąć jej w rękę, Rachel odłożyła ją na widełki.

Przypomniała sobie obietnicę, jaką dała Almie. Serce skoczyło jej do gardła. A jeśli stało się coś złego? A jeśli szpital próbował się do niej dodzwonić i nie mógł?

Proszę, Panie Boże, modliła się, niech ona będzie bezpieczna. Niech jej dziecko będzie bezpieczne.

Kilka minut później siedziała w taksówce, pędząc wzdłuż Drugiej Alei w kierunku Szpitala Św. Bartłomieja.

- ...osiem centymetrów. Zgładzenie szyjki dziewięćdziesiąt procent. I przez cały czas nawet nie pisnęła. Lepiej niech pani szybko tam pójdzie. Wygląda na to, że za chwilę będzie po wszystkim.

Rachel, słuchając, patrząc na tęą czarną siostrę oddziałową w dyżurce pielęgniarek, miała wrażenie, że uniósł ją olbrzym i cisnął o podłogę. Jej myśli i uczucia rozbiegły się, jak w zepsutym mechanizmie.

Alma. Paskudna sprawa. Krwawi. Życie płodu zagrożone.

Wzięła się w garść i zmusiła myśli do powrotu na właściwy tor.

- Kto jest z nią? - zapytała Rachel.

- Doktor Hardman. Lekarz dyżurny. Próbowaliśmy się do pani dodzwonić. - Brązowe oczy Mavis zwięziły się, a w jej głosie pojawił się defensywny ton. - Wiele razy, prawdę mówiąc. Oczywiście nie wiedzieliśmy, że to nagły przypadek. Dziewczyna mówiła tylko, że chce z panią rozmawiać. Wydawała się zdenerwowana, to wszystko. Nie mówiła, że ją boli. Więc niech nikt nie pokazuje na mnie palcem - zatrzasnęła szufladę biurka - jakbym nie miała pełnych rąk roboty bez zabawy w odgadywanie cudzych myśli.

Rachel z bijącym sercem ruszyła przez oświetlony fluoryzującymi lampami korytarz, wyłożony starym zielonym linoleum w marmurowy wzór, które trzeszczało pod jej biegnącymi stopami. Nie czas na usprawiedliwienia. Później będzie czas na winy i żale.

Wyobraziła sobie, jak Alma budzi się w środku nocy w bólach porodowych. Przerażona chce, żeby tylko doktor Rosenthal odebrała poród. Potem, kiedy jej powiedzieli, że nie można się dodzwonić do doktor Rosenthal, postanawia czekać. Nie mówić im, że ma bóle...

Głupie, dziecinne. Ale w końcu Alma jest dzieckiem. Słodkim, wystraszonym dzieckiem, które chce wierzyć, że jej doktor jest Bogiem.

A ja jej na to pozwoliłam, myślała Rachel ze ściśniętym sercem. To ja jestem za to odpowiedzialna.

W sali porodowej numer jeden Rachel znalazła młodego lekarza, wydającego warkliwie polecenia pielęgniarce. Hardman. Jeden z nowego naboru, wciąż z mlekiem pod nosem. Jego blada, lśniąca od potu twarz wystraszyła Rachel bardziej niż widok Almy, rozkrzyżowanej na stole w pozycji do litotomii - stopy w strzemionach, wielki brzuch przykryty sterylnym niebieskim prześcieradłem. Wszystko to mówiło jej, że Hardman spodziewał się kłopotów. Wielkich kłopotów.

- Jakie wyniki? - zapytała Rachel. Nie będzie zwracała sobie głowy myciem. Zabrałoby za wiele czasu. Stąd widziała, jak bardzo posunął się obrzęk. Stopy Almy były opuchnięte, ciało wokół kostek rozdęte do wielkości kantalup.

- Niedobre - powiedział Hardman. - Ciśnienie sto osiemdziesiąt na sto dwadzieścia. Zaraz będę miał wyniki dziecka.

- Wody odeszły? - zapytała, wciągając rękawiczki.

- Tuż przed pani wejściem. Zbadałem ją. Główka się przesunęła i jest gotowa do wyjścia. Doktor Rosenthal, nie czekałbym na pani miejscu, jeśli ma pani zamiar ją krajać. - Hardman mógł być niedoświadczony, pomyślała Rachel, ale nie był głupi.

Do wyboru był albo poród naturalny, albo cięcie. Dama albo tygrys. Ale w tym przypadku za każdymi drzwiami czaił się tygrys.

Przy tak wysokim ciśnieniu Almy wysiłek przepychania dziecka przez kanał rodny mógł spowodować u niej pęknięcie naczynia krwionośnego. Ale cesarskie cięcie oznaczało, według statystyki, jeszcze większe ryzyko.

Rachel podeszła do drugiego końca stołu, gdzie wykrzywiona skurczem twarz Almy odbijała się jaskrawą czerwienią od białego prześcieradła. Ciemne oczy były ogromne i wytrzeszczone. Tak, to nadciśnienie. Rany boskie, nie ma wątpliwości.

Potem skurcz ustąpił i usta Almy rozciągnęły się w posępnym, zmęczonym uśmiechu. Wargi miała popękane i wraz z uśmiechem pojawiły się na nich plamki

krwi. Kurczowo chwyciła rękę Rachel, jak tonący szukający ratunku.

- Wiedziałam, że pani przyjdzie - wydyszała. - Czekalam.

- Już niedługo, dziecinko - Rachel odwzajemniła jej uścisk, przełykając grudkę, która urosła jej w gardle.

- Już prawie po wszystkim. A najważniejsze, nie bój się. Myśl tylko o dziecku. Wkrótce będziesz je tulić w ramionach.

- Ja - poprawiła Alma. - To będzie dziewczynka. Po prostu wiem to. Dam jej na imię... uuuuch, pani doktor, boli. Mam wrażenie, że pali mnie tam w dole.

Rachel przywołała gestem pielęgniarkę. - Podtrzymuj ją takjak teraz, prawie w pozycji siedzącej. W ten sposób nie będzie musiała tak bardzo się wysilać. A pan - rzuciła spojrzenie Hardmanowi - niech odwiąże jej stopy.

- Ależ, pani doktor, to nieregula...

- Nie obchodzi mnie, czy to regulaminowe, czy nie! - syknęła. - Niech pan to po prostu zrobi!

Hardman spojrział na nią z powątpiewaniem, ale odpiął skórzane paski, którymi stopy Almy przywiązane były do ciężkich metalowych strzemion. Teraz wyglądał na bardziej przestraszonego niż przedtem, ciemny półksiężyc potu plamił przód jego zielonej chirurgicznej czapeczki.

Gdybym ja rodziła dziecko, myślała Rachel, leżenie płasko na plecach z nogami przypiętymi do strzemion byłoby ostatnią pozycją, w jakiej chciałabym być. Tajest o wiele łatwiejsza dla matki. Bardziej naturalna.

Rachel wyczuła, że Alma zbiera siły do parcia. Zajęła miejsce, dobrze przyjrzała się szyjce macicy i zobaczyła, że Alma jest gotowa. Ponagliła ją łagodnie: - Dobrze, kochanie, przyjdź teraz. Ze wszystkich sił.

Alma wykrzywiła twarz i parła, purpurowiejąc z wysiłku; chropawy jęk wydierał się jej z gardła.

Główka już wychodziła, krąg zlepionych ciemnych włosów wielkości ćwierćdolarówki powiększał się, a potem skurczył. Rachel sięgnęła po nożyce, czekając, czy u Almy nie nastąpi rozdarcie. Jednocześnie słuchała

Hardmana, podającego wysokość ciśnienia, które wzrastało i wzrastało. Zaniepokojona, wystraszona, czuła potężne uderzenia własnego serca, jak gdyby brała udział w wyścigu.

Boże, pozwól mi wygrać, modliła się.

Jak gdyby w odpowiedzi na jej modlitwę, ukazały się ramiona dziecka: - Spieszno jej! - zaszcebiotała Rachel, delikatnie obracając ściśnięte ramiona o czterdzieści pięć stopni, a drugą ręką podtrzymując małą główkę.

Ciało noworodka wysliznęło się jednym ruchem. - Chłopiec! - wykrzyknęła Rachel. Chwyciła kłamry i zacisnęła je na pulsującej turkusowej pępownicy.

Alma płakała, łzy płynęły jej po twarzy. - Chłopiec - powtórzył jak echo z cichym zdumieniem. - Mogę go potrzymać?

- Oczywiście, że możesz. Jest twój. Możesz go nawet nakarmić, jeśli chcesz.

Rachel umieściła w ramionach Almy maleństwo, wciąż przywiązane do pępownicy. Wtuliło pomarszczoną jak rodzynek twarzyczkę w pierś matki, znalazło brodawkę i zaczęło ssać.

Rachel ogarnęła fala smutku. Nigdy tego nie zaznam. Nigdy nie dowiem się, jak to jest.

Ale wygrała wyścig i to się liczyło. Dziecko było bezpieczne. Alma miała się dobrze. Czuła się silna, uniesiona radością, jak gdyby wspięła się na Matterhorn i zatknęła flagę na jego szczycie.

Chwilę później popijała letnią kawę w pokoju lekarzy. Wpadł Hardman, wciąż w swoim pomiętym, przepoconym zielonym stroju. Twarz również miał niemal zieloną. Zanim otworzył usta, wiedziała, że stało się coś strasznego.

- Chodzi o Alnę Saucedo. Zemdląta w sali poporodowej. Nie odzyskuje przytomności. Zabierają ją teraz do sali operacyjnej.

Rachel z bijącym sercem zerwała się na nogi. Boże drogi, myślała. Co ja narobiłam?

Kiedy dotarła do domu, trochę po dziesiątej wieczorem, Briana nie było. Do lodówki magnesem w kształcie motyla przyczepiona była kartka.

*Wpadł przyjaciel. Wyszliśmy coś zjeść. Nie czekaj.
P.S. Nakarmiłem Custerą.*

Rachel oparła się o drzwi lodówki, chłodząc czoło o zimną białą emalię. Wróc do domu, błagała. Potrzebuję cię. Teraz. Właśnie teraz. Proszę cię. Potrzebuję cię teraz. Bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Ale jak mogła tego od niego oczekiwać? To nie było w porządku. Ileset nocy on czekał tutaj na nią, sam w tym mieszkaniu? Ile razy musiał jej potrzebować, kiedy jej nie było?

Spojrzała na kartkę. Przyjaciel. Nie napisał, który to przyjaciel. To mógł być ktokolwiek. Albo ona... Tym przyjacielem mogła być Rosę.

Rachel strząsnęła z siebie podejrzenia. Nie, to śmieszne. Brian nie widywał się z Rosę. Kocha mnie. Ożenił się ze mną, nie z nią.

Tak, odpowiedział jej zimny wewnętrzny głos, ale to było wiele lat temu. Przypuśćmy, że od tamtej pory zmienił zdanie? Przypuśćmy, że żałuje swego wyboru?

Rachel odkręciła kurek, mocno, jak gdyby strumień wody mógł zatopić te myśli. Napełniła czajnik i postawiła na kuchni. Filiżanka herbaty uspokoi ją. Może z miodem i cytryną, tak jak przyrządzała ją mama, kiedy Rachel była małą dziewczynką i leżała w łóżku z bolącym gardłem.

Kiedy ostatni raz rozmawiała z mamą? Tydzień temu? Dalej niż tydzień? Mama zazwyczaj dzwoniła prawie codziennie, ale ostatnio sama była tak zajęta.

Rachel uświadomiła sobie, że tęskni za matką. Różniły się prawie we wszystkim, w tym, jak żyły, myślały, ubierały się, zachowywały. Ale mama była jedyną osobą, na którą Rachel mogła liczyć. Wiedziała, że zawsze, bez względu na wszystko, będzie ją kochać.

Szybko wybrała numer.

- Rachel! - Sylvie wydawała się zaskoczona i poruszona, jak gdyby Rachel była dawną przyjaciółką, dzwoniącą z Nairobi. Czy to aż tak dawno? - Och, kochanie. Tak się cieszę, że mnie zastałaś. Właśnie wychodziłam.

- Wobec tego nie będę cię zatrzymywać - Rachel była rozczarowana. Potem pomyślała: Jaka jestem samolubna, spodziewając się, że wszystko dla mnie rzuci.

- Nie bądź niemądra. To tylko jeszcze jedna z tych ponurych kwest. Nawet jeśli się spóźnię, i tak nie zdążą w tym czasie wynaleźć lekarstwa na raka. Zresztą, sama zadzwoniłabym do ciebie, ale biegam od rana do wieczora. Cały ranek dzisiaj byłam w PiD, a po południu...

- PiD?

- Projektanci i Dekoratorzy. Salony wystawowe przy Trzeciej Alei, Cudowne tapety i tkaniny i... Kochanie, dobrze się czujesz? Twój głos brzmi trochę dziwnie. Czy coś ci dolega?

Rachel zaśmiała się. - Nie. Tylko nie przyzwyczaiłam się do nowej ciebie, to wszystko.

- Do nowej mnie? - Teraz Sylvie się roześmiała.

- O nieba, to tak okropnie brzmi. Jakbyś mówiła o jednym z tych nowych, nadzwyczaj udoskonalonych detergentów. Czy aż tak bardzo się zmieniłam?

- Jesteś - Rachel starała się znaleźć właściwe słowo - chyba szczęśliwsza, odkąd zaczęłaś dekorować ten dom dla Nikosa. Ale cieszę się. Naprawdę. - Była również trochę zazdrosna. Pragnęła czuć się tak szczęśliwa, jak szczęśliwa wydawała się jej matka.

- Jakoś nie wydajesz się tego aprobować. - Pauza.

- Czy chodzi o Nikosa? O to, że ostatnio spędzamy tyle czasu razem?

- Nie, oczywiście, że nie. Lubię Nikosa. Wiesz o tym. Jest przemiły i najoczywiściej szaleje za tobą. Sypiasz z nim?

- Rachel! - Usłyszała świst wciąganego powietrza. Potem inny dźwięk, cichszy, niemal niesłyszalny. Naj-

cichszy z chichotów. - Nigdy ci się nie znudzi szokowanie mnie, prawda? A odpowiedź brzmi: nie. Nikos i ja jesteśmy tylko przyjaciółmi.

- Przyjaciele czasami śpiąją ze sobą.

- Doprawdy, ja tylko... Boże mój, oto i on. Czeka na mnie na dole. Czy mówiłam ci, że mnie dzisiaj zabiera? Muszę już bieć. Czy chciałaś ze mną pomówić o czymś szczególnym?

- Nie, mamó. - O niczym szczególnym. Tylko o wszystkim.

Rachel zapragnęła być znowu małą dziewczynką, wdrapać się na kolana matki, złożyć głowę na słodko pachnącej miękkości maminej piersi.

- A zatem...

- Do widzenia, mamó. Baw się dobrze. Ucałuj Nikosa ode mnie.

Czajnik gwizdał, kiedy odkładała słuchawkę. Zdjęła go z palnika i nalała wrzątku do kubka. Przetrzęsnęła kredens w poszukiwaniu saszetki herbaty. Wszystko śmierdziało stęchlizną. Kiedy ostatni raz zrobiła zakupy? Albo ugotowała kolację?

Rachel była głodna, ale czuła się zbyt wyczerpana, żeby coś ugotować. Zniosła kubek z herbatą do bawialni i włączyła telewizor. Znowu to samo. Ekspersi o przesłuchaniach w aferze Watergate, które wcześniej transmitowano na żywo. John Dean w okularach w rogowej oprawce, z przejęciem nachylający się do mikrofonu. Jego żona, Mo, usadowiona za nim, elegancka, stoicka, platynowe włosy miała zwinięte w węzeł tak mocny, iż wydawało się, że tylko one trzymają ją w całości.

Ale jak Rachel mogło być przykro z powodu Mo Dean, tak pięknej, tak widocznie zdrowej? Nawet w cierpieniu upozowanej tak, by korzystnie wyglądać w świetle reflektorów i poruszyć serca widzów.

Rachel myślała o Almie Saucedo. Ilu ludzi kiedykolwiek będzie wiedziało o jej położeniu albo dbało nie? W tej chwili leżała w śpiączce na gorze, na neurologii.

Rozległy wylew do mózgu. Prawdopodobnie nigdy nie odzyska świadomości. Ani nie przytuli swego dziecka.

Żołądek Rachel zacisnął się. To moja wina. Nie powinnam była składać tej głupiej obietnicy. Powinnam była być silniejsza. Dlaczego, na miłość boską, to zrobiłam?

Boże, gdyby tylko Brian wrócił, myślała. Tak bardzo go chcę. Potrzebuję go.

Wyłączyła telewizor i poszła w głąb mieszkania. Obok sypialni był dodatkowy pokój, który Brian wykorzystywał na swój gabinet. Zamierzali urządzać w nim pokój dziecienny. Zaczeka tutaj, aż on wróci. Otoczona jego rzeczami przynajmniej będzie się czuła mniej samotna.

Zatonęła w głębokim skórzanym fotelu przed biurkiem Briana, patrząc na jego maszynę do pisania, starą ręczną Smith Corona, którą miał od czasów college'u. Mawiał, że przynosi mu szczęście.

Była w niej teraz na pół zapisana strona. I stos kartek w metalowym koszyku obok maszyny. Jego nowa powieść. Wyglądało na to, że jest już w połowie skończona. Jak to możliwe? Przecież dopiero zaczął. A może to tylko ona nie zwracała uwagi?

Poczuła ukłucie w sercu, wspominając, jak bliscy byli sobie ona i Brian, kiedy on pracował nad *Podwójnym orłem*. Co dzień czytała to, co napisał, mówiła mu, co o tym sądzi, co jest dobre, a które słowa wydają się zbędne i należałoby je usunąć. Płakała z nim, kiedy wspomnienia sięgały zbyt głęboko. Śmiała się z nim z humoru tak czarnego, że nikt, kto tam nie był, nie zrozumiałby go.

Więc gdzie się podziała cała ta bliskość? Przynajmniej trochę musiało jej zostać, czyż nie?

Rachel wykręciła kartkę z maszyny do pisania i zaczęła czytać.

...ciemno, ale znalazł drabinkę. Jego dłonie dotknęły metalowych szczebli, wciąż ciepłych od słońca, które zaszło całe godziny temu. Księżyc nie było, ale widział wystarczająco dobrze przy oświet-

lonych oknach nad i pod nim. Właściwie, niech go diabli, jeśli nie widział całej drogi na Coney Island, oświetlonej jak choinka. Laura czekała tam, w forcie, który zbudowali razem, kiedy byli dziećmi. Dwa papierosy, które ściągnął z metalowego pojemnika na lunch ojca, spoczywały w przedniej kieszeni jego koszuli. Po jednym dla niej i dla niego. Myślał o tym, jak to będzie. Laura obok niego, jej ramię ocierające się o jego ramię, jej gołe nogi wystające spod za krótkiej sukienki, długie i ciemnozłote jak syrop klonowy. Poczuł gorąco, nawet przy chłodnym wietrze, wiejącym mu w kark. Inagły gniew na siebie. Może czas, żeby przestał się tam z nią spotykać. Teraz, kiedy miał prawie czternaście lat i mógł podejrzewać, że usta Laury są stworzone do czegoś więcej niż sypania powiedzonkami i palenia papierosów taty...

Rachel pozwoliła opaść kartce. Czuła zimno, jak gdyby gdzieś wewnątrz niej wydrążono otwór, przez który wyciekała z niej cała krew.

Rosę. On pisze tę książkę o niej.

Dlaczego mi nie powiedział? Co to oznacza?

Rachel zaczęła drżeć. Bała się. Zastanawiała się, czy teraz nie boi się bardziej niż w Wietnamie.

ROZDZIAŁ 26

- Nie, ta jest zbyt ciemna. Zbyt urzędowa. Za to ta...
- Sylvie wybrała próbkę tapety i przyłożyła do ściany.
- Patrz, widzisz, jak chłonie światło z zewnątrz? Czujesz się niemal jak w środku obrazu van Gogha.
- Tak - przytaknął Nikos w zamyśleniu. - Myślę, że masz rację. Znowu. Ale jedno musisz mi przyznać. Że wiem, czego ten dom potrzebował najbardziej. - Odwrócił się do niej z uśmiechem, a jego ciemne oczy lśniły.
- Ciebie.

Sylvie poczuła na karku jego rękę, ciepłą i ciężką.

Próbka tapety Williama Morrisa w jaskrawo musztardowe słoneczniki wysunęła jej się z palców i spłynęła na podłogę. Jak cicho było. Brygada malarzy poszła do domu, a światło późnego popołudnia wypełniało pokój miodowym blaskiem. Oparte o okno drabiny rzucały długie faliste cienie na płócienne płachty na podłodze. Słyszała gruchanie gołębi w rynnie na zewnątrz.

Sylvie, trochę przestraszona, z szybko bijącym sercem, myślała: Co mam robić? Chcę go. Ale czy jestem gotowa przyjąć wszystko, co za tym idzie? Miłość, może nawet małżeństwo?

Nie. Może. Nie, nie wiem. Nie mogę myśleć. Nie wtedy, kiedy on dotyka mnie w ten sposób.

Ciepło z ręki Nikosa spłynęło po jej kręgosłupie, wypełniając ją wznoszącymi się powoli ciepłymi falami

pożądania. Boże drogi, jak cudownie odczuwać je znowu. Po tylu latach.

Synde zadrżała, obserwując drobiny kurzu, wirujące w ukośnych wiązkach żółtego światła słonecznego. Pojawiła się posępna plamka szarości.

Czy Nikos nadal by ją chciał, gdyby znał prawdę o Rose? Gdyby wiedział, jak kłamała, jak odmawiała mu tego, czego pragnął, może bardziej niż wszystkiego na świecie?

A jej życie? Czy chciała je zmienić? Przez wszystkie te lata starała się robić to, co słuszne, to, czego po niej oczekiwano. Teraz robiła po prostu to, co chciała... i było to miłe.

Odsunęła się trochę.

- Wiklina - powiedziała. - Oto, jak umeblowałam ten pokój. Jak ogród, białymi wiklinowymi meblami, obszyłam poduszki jedną z tych japońskich tkanin w barwne plamy... a tam, przy oknie, kosz suchych kwiatów...

Ale widziała, że Nikos nie słuchał. Masował jej ramiona, rozluźniając napięte mięśnie silnymi, okrężnymi ruchami rąk.

- Nikos... - zaprotestowała słabo - nie uważasz. Zaangażowałeś mnie do...

- Jesteś zbyt szczupła, Sylvie - przerwał. - Czuję twoje kości. Jak szpak.

- Jak wróbel - poprawiła go z nerwowym śmiechem.

- Czy chcesz, żebym przestał?

- Tak... nie... Och, to takie przyjemne. Ale, Nikos, myślałam, że chcesz przejrzeć ze mną próbki. Mogę ci powiedzieć, co moim zdaniem będzie najlepsze, ale ty musisz dokonać ostatecznego wyboru. W końcu to twój dom.

- Podoba mi się to, co tobie się podoba.

Jego ręce przesunęły się po jej barkach, pieszcząc ramiona, nagie pod letnią bluzką z krótkimi rękawami. Poczowała gęsią skórę.

- Nikos... to będzie trwało wieki, jeśli mi nie pomożesz.

- Byłem bardzo samolubny, odciągając cię od innej pracy, tak?

- Innej pracy?

- Prowadzenie banku nie jest pracą? - Uśmiechnął się i bruzdy na jego brązowej, twardej jak podeszwa skórze pogłębiły się.

Syhde zrozumiała. On nie żartował. Powtarzając w myślach jego słowa, zdawała się wychodzić poza siebie i oglądać się taką, jaką prawdopodobnie widział ją Nikos. Kobieta silniejszą z wiekiem, nie słabszą. Kobieta, która miała coś więcej niż spłowiałe resztki młodzieńczej urody. Kobieta z głową, która w końcu nauczyła się, jak jej używać.

Tak, była odpowiedzialna za bank. Inaczej niż Gerald. Mimo to teraz, kiedy wchodziła na posiedzenie zarządu, nie było już chrząkania, przewracania oczami. Mężczyźni witali ją z szacunkiem, patrzyli jej prosto w oczy, wysłuchiwali jej pomysłów.

Boże, te obawy, które towarzyszyły jej przez tyle lat, jak ten puszysty, stary dziecinny kocyk, który Rachel wszędzie wlokła ze sobą, dopóki nie skończyła dwóch lat. A teraz, po raz pierwszy od pięćdziesięciu ośmiu lat, Syhde czuła się wolna.

Pozwalając sobie na miłość do Nikosa, mogła naprawdę zepsuć to wszystko.

- Nikos... - Całował ją teraz w szyję; jego usta muskały jej skórę, wywołując rozkoszny dreszcz. Sylvie z westchnieniem oparła się o niego, zapadając w bezpieczne schronienie jego muskularnych ramion i szerokiej piersi. Czuła się taka słaba. Nie mogła się powstrzymać przed tym, żeby go chcieć.

- Ostrzegam cię - wymruczał. - Jestem zazdrosny.

- I o kogóż to jesteś zazdrosny? O pana Caswella z banku? Ma osiemdziesiąt lat, ale słyszałam, że jest całkiem żwawy. Jest jeszcze Neal, który mnie czesze, ale podejrzewam, iż wolałby, żebym była chłopcem...

- Nie, nie, nie to. Ten dom... - Zachichotał cicho do jej ucha. - Obawiam się, że zależy ci na nim bardziej niż na mnie.

Zastanowiła się nad tym. - Wiesz, naprawdę kocham ten dom. Ale nie tak, jak myślisz. Kocham to, co robię. To trochę tak, jakby się było malarzem, czyż nie? Ten dom jest jak czyste płótno. Wiesz co, Nikos? Zawsze chciałam być malarką. Ileż czasu w dzieciństwie spędziłam wędrując po muzeach. Biedna mama, miała co do mnie wielkie nadzieje. Nie stać nas było na mięso, ale kupowała mi szkicowniki i akwarele. O Boże, ależ byłam straszna! Wszystkie moje konie wyglądały jak psy.

- To samo można powiedzieć o Picassie.

Sylvie odwróciła się do niego twarzą i zadarła podbródek, żeby spojrzeć mu prosto w oczy: - Winna ci jestem podziękowanie, Nikos. Za to, że mi ukazałeś, w czym jestem dobra. Gdyby nie ty...

- W porę odkryłabyś to sama - dokończył za nią.
- Jesteś niezwykłą kobietą, Sylvie. Brak ci tylko jednego... Wiary w siebie.

- Och, Nikos...

Pocałował ją lekko, powoli, jak stary przyjaciel. Potem mocno, jak kochanek. Niecierpliwie. Jego silne palce zaplątały się w jej włosy. Sylvie czuła, jak uwolnione od szpilek opadają ciepłą falą na jej ramiona.

Była boleśnie rozdarta między pragnieniem przytulenia go i pragnieniem ucieczki.

Nikos wymruczał: - Może ochrzcimy, moja droga Sylvie, ten dom, który kochasz? Tutaj? Teraz?

Synde wiedziała już, czego chce. Tego, pomyślała.

Właśnie tak, jak mówisz. Tutaj. Teraz. W tej chwili, nie oglądając się za siebie, nie patrząc przed siebie. Tylko to słońce, chylące się ku horyzontowi. Twoje usta, twoje palce jak dotknięcia pędzla na mojej skórze. Wieczne malowidło.

Synde cofnęła się o krok i powoli zaczęła rozbierać. Najpierw bluzka. Sześć perłowych guziczków, jeden za każdy rok, odkąd nie była z mężczyzną, nie czuła twardego męskiego ciała na swoim. Teraz spódnica. Och, jak drżały jej palce! Ostrożnie, żeby nie wczepić suwaka. Teraz majtki. Dzięki Bogu, zawsze dbała o to, żeby kupować dobre. Prawdziwy jedwab z koronkowym obrąbkiem.

Potem zdjęła naszyjnik, bransoletkę, kolczyki, kładąc każdą sztukę na zakurzonej parapecie.

Aż w końcu pierścionek - wspaniała królewski brylant, otoczony szafirami, co najmniej dwustuletni - pierścionek, który Gerald włożył jej na palec, kiedy brali ślub.

Och, jak rozkosznie! Światło słoneczne na jej nagim ciele, otulające ją jak olbrzymia niewidzialna ręka. Czuła się... och, jak szesnastolatka... jak młoda dziewczyna na progu kobiecości.

Głupia. Masz ponad pięćdziesiąt lat. Pomarszczona, sama skóra i kości... Czyż sam tego nie powiedział? Czy on nie widzi purpurowych żyłek na twoich nogach, siwizny w twoich włosach? Jak może cię chcieć?

Syh/ie spojrzała na Nikosa. Zdjął spodnie khaki i roboczą bawełnianą koszulę i stał nagi w gasnącym słonecznym świetle. Zobaczyła, że on również się postarzał, włosy pokrywające jego pierś posiwiały, potężne mięśnie chyliły się ku nieuniknionemu upadkowi. Jest jak stary, siwiejący tygrys, pomyślała. Ale widząc go takiego, zapragnęła go jeszcze mocniej. I, o Boże drogi, patrzcie tylko, jak on jej chciał.

Poprowadził ją w stronę stosu świeżych płacht płóciennych w rogu pokoju. Zawsze będę to pamiętać, pomyślała Sylvie. Każdy najdrobniejszy szczegół. Szorstkość płótna na mojej skórze. Zapach świeżej farby. Gruchanie gołębi na zewnątrz.

I tego mężczyznę. Połysek potu na jego mocnych, brązowych ramionach. I jego przyjemny, ziemski zapach, jak zapach świeżo skoszonej trawy, chleba prosto z pieca. I jego, och, silną budowę.

Poczuła, że w nią wchodzi i słodczy tego wrażenia przypominała powrót do domu po nieskończenie długiej nieobecności. Łzy zalały jej oczy. Ponad ramieniem Nikosa jej zamazane spojrzenie pochwyciło nagły błysk. Ostatni promień słońca padł na brylant w jej ślubnym pierścieniu na parapecie, roztaczając oślepiającą wiązkę kolorów.

Zrozum, proszę cię, mój kochany Geraldzie. To nie o to chodzi, że Kocham Nikosa bardziej niż Kochałam

ciebie... wcale nie o to... Chodzi o mnie. W końcu zaczynam poznawać osobę, którą kochałeś. Kobietę, którą Nikos teraz kocha...

Sylvie wykrzyknęła: - Nikos!

Jego usta przywarły do jej skroni, gorący oddech rozwiewał jej włosy i znów miała trzynaście lat, pluskała się w głębokiej wannie na zakrzywionych nóżkach, która stała w kuchni jej matki, pozwalając wodzie wirować rozkosznie wokół głowy i niżej, opływać inne sekretne miejsca, wrażliwe brodawki pączkujących piersi, miękkie włosy wijące się jak wodorosty między udami.

Nikos wypełnił wszystkie jej sekretne miejsca... O Boże, czy kiedykolwiek doznawała takiego uczucia? Rozkosznie. Słodko. Och, Nikos... tak... tak...

Potem leżała w jego ramionach, czując chłodne powietrze na lepkiej od potu skórze i jego gorący, szybki oddech, który powoli się uspokajał.

Nikos ścisnął ją, bardzo mocno, napinając mięśnie ramion do twardości kamienia, i schrypniętym głosem wyszeptał jej w ucho: - Wyjdź za mnie, Sylvie.

Sylvie miała wrażenie, że wszystko piękne między nimi rozsypuje się jak perły z rozerwanego naszyjnika. Dlaczego wszystko musi być takie skomplikowane?

Boję się, myślała. Gdy jest ktoś, do kogo mogę przywrzeć, przywieram. I znowu stanę się słaba, jak róże, niezdolne stać o własnych siłach, jeśli tylko przyzwyczajają się do kraty.

- Nie mogę - powiedziała. Odsunęła się i usiadła. Owiąło ją chłodne powietrze. Zadrzała.

Spojrzał na nią. Przez jego twarz przemknął cień, oczy zamigotały. - Ale dlaczego? - zapytał urażonym tonem.

- Moja córka... - zaczęła i urwała zdanie. Co miała zamiar powiedzieć? Że byłoby to nie w porządku wobec Rachel?

Ale to nie było to.

Synde uniosła rękę i pogłaskała go po policzku, szorstkim przy końcu dnia. I poczuła napływające łzy, szczypiące w oczy, piekące gardło.

Nie mogę wyjść za niego. Ale jest coś, co muszę zrobić. Muszę mu powiedzieć. O Rosę. Zbyt długo ukrywałam to przed nim.

Przez trzydzieści dwa lata zachowywała to w tajemnicy. A teraz musi mu zaufać. Zasłużył na tyle, czyż nie?

Może ją znienawidzić, to całkiem prawdopodobne... ale przynajmniej będzie wiedział... Może będzie mógł zobaczyć Rosę, oczywiście z daleka... dowiedzieć się o niej czegoś więcej...

Jednak będzie musiał zrozumieć, jak katastrofalne byłoby zbliżenie się do Rosę, jak ryzykowne powiedzenie jej jwwawy.

Ale on to zrozumie, prawda? Jest inteligentny i wrażliwy.

- Nikos, mój drogi, muszę ci coś powiedzieć... coś, co powinnam była powiedzieć dawno temu - zaczęła, dziwnie zadyszana. - O mojej córce. O naszej córce.

Nikos usiadł, z twarzą nagle napiętą, czujną.

- Nasza córka - westchnął. - Tak. Zawsze wiedziałem, że tak się rzeczy mają. Rachel wcale nie jest do mnie podobna - jest jasnowłosa i śliczna jak ty, Sylvie. Ale w głębi serca czułem, że jest moja. O moja najdroższa Sylvie, nie masz pojęcia, jak dobrze jest usłyszeć prawdę.

- To nie Rachel - poprawiła go.

Nikos patrzył na nią jak na szaloną.

Przez krótką chwilę Sylvie myślała, że rzeczywiście oszalała. Inaczej dlaczego miałaby wrażenie, że się kurczy, że staje się coraz mniejsza?

- Więc kto? - zapytał ochrypłym szeptem.

- Na imię jej Rosę.

Powiedziała mu. Wszystko. Jaka zrozpaczona, jaka wystraszona wtedy była. O posępnym szpitalu, o pożarze. O gorączkowej decyzji, która zmieniła jej życie w straszne oszustwo. O całych latach bólu i tęsknoty za tym, żeby przytulić swoje dziecko, czy choćby tylko zobaczyć.

Kończąc swoją opowieść, Sylvie czuła się wyczerpana, jak gdyby przeżyła to jeszcze raz, tylko gorzej, ponieważ teraz widziała swoją zbrodnię odbitą w niedowierzających czarnych oczach Nikosa.

Czy ją znienawidzi? Może byłoby lepiej, gdyby ją znienawidził? Lepiej, niż gdyby nadal miała kłamać, oszukiwać. I czy mógł znienawidzić ją bardziej niż ona przez te lata nienawidziła siebie?

Pokój nagle zrobił się zimny, jasne światło słoneczne wycofało się, wsiąkło w szare ściany. Sylvie próbowała wstać, ale nogi drżały jej tak bardzo, że nie utrzymałyby jej. Widziała wszystko zamazane, jak gdyby patrzyła przez zadeszczoną szybę. Pokój nacierał na nią.

Aż stała się rzecz nieprawdopodobna.

Poczuła, że Nikos przyciągają do siebie, oplata wokół niej potężne ramiona. Pierś mu falowała, twarz-jmiał mokrą od łez.

- Och, Syhde... moja biedna Sylvie...

To cud, myślała, zdumiona i wdzięczna. Jego słowa zdawały się ją unosić. Czuła, jak wielki ciężar jej nieszczęścia staje się lżejszy, jak odrywa się jakaś jego część. Zrozumiał. Przebaczył jej. A jeśli on mógł to zrobić, to może również ona mogłaby przebaczyć sobie choć trochę.

Głosem, który zdawał się wydobywać z dna najgłębszej studni, Nikos powiedział: - Bogu dzięki, Bogu dzięki. Moje dziecko. Moja córka. Odnajdziemy ją, Syhde. Powiemy jej razem. Jeszcze nie jest za późno...

Nie, nie, nie zrozumiał. Co on mówi?...To niemożliwe. Musi mu powiedzieć... ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Czuła się nieskończenie krucha, jak gdyby przy najmniejszym ruchu mogła się rozpaść na tysiąc kawałków. Miała ochotę krzyknąć, walić w niego pięściami, ale nie mogła się poruszyć, odetchnąć. Mogła tylko patrzeć na Nikosa bezradnie, z pełną udręki prośbą.

Ależ nie, to nie wina Nikosa. To jej wina. Boże dopomóż. Dała mu moc zniszczenia jej, zniszczenia obu jej córek.

Chłopiec w skórzanej kurtce lotniczej z odległości biurka piorunował Rachel wzrokiem.

- Ojej, myśli pani, że kim pani jest? Mówi mi pani o mojej starej? Ona moje dziecko nosi. Więc niech się pani odchrzani z pogadankami. Sam się świetnie zajmę Tiną.

- A jakże! - warknęła Rachel i usiadła na obrotowym krześle, zdumiona i wyprowadzona z równowagi.

Przestań, powiedziała sobie, powinnaś panować nad sobą. Musisz być stanowcza, ale życzliwa, i skoncentrowana tylko na pacjentce.

Ale od tygodni miała wrażenie, że tańczy na linie. Była napięta, niespokojna. Wybuchała przy najmniejszej okazji.

No cóż, balansuję na linie, przypomniała sobie. David robi wszystko, żeby mnie dopaść, obwiniając mnie o Alnę, nastawiając wszystkich w szpitalu przeciwko mnie.

Tak, to właśnie to. Ten dzieciak przypominał jej Davida, chociaż wcale nie był do niego podobny. Coś w jego gruboskórności, całkowitej obojętności na dobro dziewczyny...

Wyprostował się, przybierając pozycję przezornego rewolwerowca. Czarne włosy ciężkimi, tłustymi kosmykami opadały mu na poznaczone trądzikiem czoło.

Rachel zerwała się, stając z nim twarzą w twarz, z nerwami napiętymi do ostatecznych granic.

- Słuchaj - powiedziała - teraz nie pora zgrywać się na *macho*. Twoja dziewczyna przyszła do mnie, ponieważ jest w kłopotcie. W wielkim kłopotcie. Może stracić dziecko. Więc chcę, żebyś był ze mną szczerzy. Czy wy oboje bierzecie narkotyki?

- Wykluczone... - Odwrócił od niej oczy i oblizał wargi.

- Widziałam ślady na jej rękach. Powiedziała mi, że są stare. Ale one nie wyglądały mi na stare. Co ty na to, Angel?

- Powiedziałem pani. Tina i ja nie bawimy się w narkotyki.

Rachel obeszła biurko, wciśnięte między ścianę i szafkę na akta. Zatrzymała się tuż przed Angelem, dość blisko, by poczuć zjeżdżający odór papierosów i zastarzałego potu, który przyłgnał do niego.

- Nie wierzę ci - powiedziała, mierząc go wzrokiem, starając się go zmusić, by spojrzał jej w oczy.

- No, to się odpiardol! - Mgiełka ciepłej śliny opryskała jej twarz. Rysy Angela wykrzywiły się w iii-rii. - Zresztą, to żaden twój pieprzony interes! - Przysunął się do niej ze zwężonymi oczami. - To moja sprawa, paniusiu. Przychodzisz tutaj i myślisz, że będziesz mówić nam, Latynosom, co mamy robić. Ale my nie potrzebujemy twojej pomocy. - Jak gdyby nagle uderzyła go głęboka myśl, wyszczerzył zęby, krzywe i odbarwione, w uśmiechu podobnym do pękniętej butelki. Zrobił jeszcze jeden krok do przodu, aż poczuła na sobie jego oddech, potem wyciągnął rękę i ze złowrobną czułością przeciągnął brudnym palcem po jej policzku. - Wiesz, co myślę? Że zardzościsz wszystkim tym kobietom z wielkimi brzuchami. Taak. Założę się, że nie masz mężczyzny, dzieci też nie. Chcesz, żebym ci zrobił dzieciaka, tak jak Tinie?

W Rachel coś pękło. Słyszała tylko głośny szum w uszach i czerwona mgła przesłoniła wszystko w polu jej widzenia. Chwyliła druciany koszyk, pełen wczorajszej poczty, i cisnęła go w poznaczoną trądzikiem twarz Angela.

Cofnęła się, przerażona tym, co zrobiła.

Angel zamarł. List, napisany na grubym niebieskim papierze, złożony we dwoje, usiadł mu na ramieniu. Zamieć białych przebitok opadała powoli w dół, tworząc zaspę wokół jego motocyklowych butów o zdartych

noskach. Na twarzy miał wyraz ogłupiałego oszołomie-
nia, oczy lśniły mu od zdumionych łez.

Rachel patrzyła na niego drżąca, serce waliło jej
w piersi. Nie zrobiłby mi nic złego, myślała. Tylko
zgrzywał się na twarziela. Dlaczego mnie tak poniosło?

Patrzyła, jak Angel odwraca się i odchodzi sztywnym
krokiem, zatrzymując się, żeby puknąć się w czoło,
zanim zatrzaskał za sobą drzwi. Dyplom spadł ze ściany
i rozbił się na podłodze.

Pochyliła się nad biurkiem i ukryła twarz w dłoniach.
Czuła mdłości. Jezu, naprawdę przesadziłaś.

Nagle zdała sobie sprawę, co ją naprawdę bolało.
Alma Saucedo. Nie chciała, żeby to znowu się zdarzyło,
nie chciała jeszcze jednej kruchej, chorej nastolatki,
jeszcze jednej potencjalnej tragedii.

Myślała o swojej ostatniej wizycie u Almy, stworzenia
bez życia, które niegdyś było ładną ciężarną nastolatką.
Wciąż żadnej poprawy, a to już trzy miesiące. Oczy
zamknięte. Wąska pierś pompująca mechanicznie; sły-
chać było tylko syczenie respiratora i ciche popiskiwanie
monitora kardiologicznego nad łóżkiem.

Rachel stłumiła chęć, żeby ukłęknać przy łóżku Almy
i błagać ją o przebaczenie. Tak, powtarzając wszystko
w myślach, krok po kroku, wiedziała, że w tych okoliczno-
ściach po raz drugi zrobiłaby to samo. Zawiodła Almę tylko
w tym, że złożyła jej obietnicę, której nie mogła dotrzymać.

Ale przeprosiny nie mogły teraz Almie pomóc. Poza
tym, było jeszcze coś oprócz Almy. Był jeszcze David.
Wojna podjazdowa, ataki z ukrycia, ale nigdy wroga
w polu widzenia. Wyniki z laboratorium, które w tajem-
niczy sposób zniknęły. Chłód ze strony pielęgniarek,
niegdyś tak przyjaznych. Minimalna współpraca, ale nic
więcej, ze strony lekarzy. I wreszcie David, który na-
kładał lodowatą maskę, ilekroć się pojawiała. Który za
jej plecami partaczył wszystko i robił z niej idiotkę, kiedy
nie wiedziała, co, do diabła, dzieje się z jej pacjentkami.

Musiała znaleźć sposób, żeby powstrzymać Davida.
Stawić mu czoło, zmusić, żeby dał jej spokój. Musiała

powiedzieć Brianowi o tym, jak David próbował ją zgwałcić. I dlaczego.

Jednak gdy to sobie wyobrażała, oblewał ją zimny pot.

Co się ze mną dzieje? Poradzę sobie z tym. Zawsze uważałam, że poradzę sobie ze wszystkim.

Ale ostatnio czuła, że traci panowanie nad sytuacją. Małe problemy, które kiedyś rozwiązywała z łatwością, teraz zdawały się ją zatapiać jak potężna cofająca się fala. Rano walczyła z falą, przeciwstawiała się jej, płynąc ze wszystkich sił, ale po południu była wyczerpana, gotowa się poddać.

Rachel uklękła na jasnym ekwadorskim dywanie przed biurkiem i zaczęła zbierać papiery do koszyka. Zauważyła z niesmakiem, że drżającą rękę.

Uczuła pęd powietrza, kiedy drzwi się otworzyły. Doszedł ją odgłos kroków. Napięła się.

- Pozwól, że ci w tym pomogę.

To tylko Kay, dzięki Bogu.

Kay przykucnęła obok niej, zbierając resztę papierów jednym zamaszystym ruchem serdelkowatych palców.

- Dobry strzał, marna amunicja - powiedziała, kołysząc się na piętach. Kay - pękaty kędzierzawy gnóm w czarnych chińskich spodniach piżamowych i laboratoryjnym fartuchu. Jej brązowe oczy za okragłymi soczewkami utkwione były w Rachel. - Wszystko słyszałam. Powinnaś go była tym uderzyć - zerwała się na równe nogi i wzięła z biurka przycisk do papieru - geodę, połyskującą kryształami ametystu.

- Powinnaś była zachować zimną krew, oto, co powinnaś była zrobić - odpowiedziała nieszczęśliwa Rachel. - Czuję się jak kretyńska.

- Znowu to robisz - oczy Kay zwięzły się.

- Co?

- Obwiniasz się. Jesteś lekarzem. Czy to oznacza, że zawsze musisz być cudowna? Tak się składa, że jesteś również istotą ludzką. A to daje ci prawo do tego, żeby od czasu do czasu stracić zimną krew. - Kay westchnęła, patrząc na połyskliwy kawałek skały w swojej dłoni.

- Wiesz, czasami myślę, że nigdy nie opuściliśmy linii frontu. To po prostu inna wojna.

Rachel zaczęła porządkować bałagan w papierach.

- No cóż, mam wrażenie, że tę wojnę przegrywam.

Kay otoczyła ją ramieniem i Rachel poczuła zapach paczuli. - Daleko ci do tego, dziecinko. Może tę czy tamtą bitwę. Słuchaj, znam doskonałą strategię. Weź swego wspaniałego męża i wyjedź gdzieś, do jednej z tych dziwacznych gospód z kamiennymi kominkami, łózkami z baldachimem i tak dalej.

Gdyby to było takie proste, pomyślała Rachel.

- Nie mogę - powiedziała.

- Dlaczego? Nancy i ja utrzymamy fort przez kilka dni.

- To nie w porządku. Wy obie również nie miałyście wakacji.

- Ktoś musi być pierwszy. W każdym razie, gdybym ja miała męża - nawet jeśli nie tak seksownego jak twój

- chciałabym od czasu do czasu napalić w kominku.

Niech nikt nie mówi, że stoję na drodze życia, wolności i pogoni za wspaniałym seksem.

- Dzięki, Kay. Pomyślę o tym.

Kay uśmiechnęła się. - Jak na położnika, zadziwiająco mało wiesz o ptaszkach i pszczołkach. Trzeba czegoś więcej niż tylko myślenia o tym, moja droga.

Rachel, wdzięczna Kay za podniesienie jej na duchu, zaśmiała się i pomyślała: No cóż, dlaczego nie?

Żeby tak zapomnieć, choć na chwilę, o poczekalni pełnej kobiet z wielkimi brzuchami, dzieciach przyklepionych do ich spódnic, zapomnieć o spotkaniach z ludźmi Funduszu Edukacji Zdrowotnej i namawianiu ich na nowe dotacje, zapomnieć o Almie Saucedo...

A przede wszystkim zapomnieć o Davidzie Sloane.

Patrzyła, jak Kay wstaje, podchodzi do niewielkiego zlewu, wciśniętego w kąt przy oknie, przy którym stała mała kuchenka i ekspres do kawy. Kay poszperała w pudełku po butach, zawierającym płataninę torebek herbaty, paczuszek cukru i słodziku, oddzielnie pakowanych wykałaczek, plastikowych opakowań sosu z kaczki

z chińskiej restauracji. Wyciągnęła foliową paczuszkę z napisem Lipton's i rzuciła ją do Rachel.

- Rosół błyskawiczny - powiedziała. - Dodaj tylko poradę i zamieszaj.

Rachel zeszywniała w przeczuciu tego, co ma się zdarzyć. - Dlaczego mam uczucie, że to będzie bolesne?

- Rachel - powiedziała Kay z powagą. - Musisz przestać. To cię zabija. Sloane jest maniakiem. Ale czy nie widzisz, że mu pomagasz? To ty milczysz, a on to wykorzystuje przeciwko tobie. - Zamilkła. - Nie chciałam ci tego mówić, ale pielęgniarki szepcą między sobą, że Sloane próbuje pozbawić cię przywilejów.

Rachel poczuła się, jak gdyby dostała cios w twarz. - Drań.

- Powinno się go wsadzić do więzienia za to, co ci zrobił - ciągnęła wściekła Kay. - I gdybyś nie kazała mi przyrzec, że zachowam to w tajemnicy, natychmiast poszłabym i rozgłosiła to przez zjednoczenie prasy.

- Ja nie Davida się boję - powiedziała Rachel - tylko Briana. Gdyby wiedział... - Urwała, słysząc pukanie do drzwi.

To była ich sekretarka, Gloria Fuentes. Wyglądała na zdenerwowaną. Stała, okręcając kosmyk długich czarnych włosów wokół palca wskazującego.

- Ktoś tu jest, doktor Rosenthal - powiedziała Gloria. - Mężczyzna. Ma coś dla pani. Mówi, że to ważne.

Prawdopodobnie akwizytor z jednego z przedsiębiorstw farmaceutycznych, pomyślała. Oni wszyscy myślą, że to, co rozprowadzają, zbawi świat.

- Dobrze - westchnęła. - Wprowadź go.

Był bardzo gruby. Między naciągniętymi guzikami jego niemnącej koszuli można było dostrzec podkoszułek. I nosił jarmużkę, z wyszytym złotymi nićmi imieniem Dave. To nie akwizytor, pomyślała. Może ktoś z biednej jesiwy, starający się o dotację.

- Pani jest doktor Rosenthal? - zapytał z ciężkim akcentem z Brooklynu.

Przytaknęła.

Wręczył jej cienką podłużną kopertę, potem odwrócił się i zniknął za drzwiami.

Rachel poczuła nagły strach. Co było w tej kopercie? Miała ochotę podrzeć ją na milion małych kawałeczków, wrzucić do toalety i spuścić wodę.

Jednak otworzyła ją.

Przebiegła wzrokiem dziwnie napisany dokument.

Hrabstwo Nowy Jork. Stan Nowy Jork. Hector i Bonita Saucedo, powodzi, przeciwko dr Rachel Rosenthal, pozwanej.

Rodzice Almy skarżyli ją o niewłaściwe leczenie.

Rachel zakreśliło się w głowie, straszliwy ból palił ją w klatce piersiowej. Zaciśnęła oczy i poprzez zamknięte powieki zobaczyła iskierki światła. David, pomyślała. To on. On za tym stoi. Wiem to. To musi być on.

I nie przestanie, nie popuści, zanim nie będzie po wszystkim, zanim nie rozłoży mnie na łopatki, jak przedtem.

Tak, żeby znowu móc wydrzeć ze mnie życie.

ROZDZIAŁ 28

Sprawa Tyler przeciwko Krupnikowi na pewno była niezwykła. Rosę podejrzewała, że taka będzie, odkąd w zeszły czwartek Bernie Stendahl wręczył jej akta z szerokim uśmiechem i ostrzegawczymi słowami: „Baw się dobrze”.

Teraz, wprowadzając Shimona Krupnika do swego maleńkiego biura za salą konferencyjną, Rosę zastanawiała się, jak, na miłość boską, ma rozmawiać z tym facetem. Krupnik wyglądał jak ktoś, kto wyszedł

z maszyny czasu, jak gość z dziewiętnastowiecznego getta. Trzydzieści stopni na zewnątrz, a on nosił długi, czarny dwurzędowy płaszcz i ciężki, czarny filcowy kapelusz. Twarz miał bladą, oczy jak kret za grubymi okularami bez oprawki, jak gdyby całe życie mieszkał w tunelu. Dwa długie pejsy zwieszały mu się spiralnie ze skroni, a czarna, jakby pogryziona przez mole broda tylko częściowo zasłaniała ziemiste policzki. Słodki Jezu, myślała, co ja mu powiem?

Wyciągnęła rękę. - Bardzo mi miło pana poznać, panie Krupnik. Pan Stendahl przeprasza. Nie mógł przyjść.

Coś nie w porządku, pomyślała, czując się nieswojo. Krupnik stał, patrząc na jej rękę, jak gdyby trzymała w niej zdechłą żmiję.

Wtedy sobie przypomniała. Żydowska przyjaciółka powiedziała jej kiedyś, że chasydzi nie dotykają kobiet innych niż ich żony. Nigdy.

Ciepło oblało policzki Rosę. Szybko opuściła rękę, wygładzając spódnicę, jak gdyby niczego nie zauważyła. - Czy mogę podać panu filiżankę kawy? - zapytała.

Potrząsnął głową, a ona spostrzegła, jak lekko unosi ze zdumienia brwi. Wtedy ją olśniło. Oczywiście. Nieczyste filiżanki, niekoszerne. Dobry Panie, ledwie zaczęłam... i już dwa błędy.

- Dlaczego pan nie usiądzie - wskazała mu sofę, obitą spłóviałym zielonym aksamitem, pod kolor skórzanych grzbietów książek, stojących w rzędach na półkach.

Rosę, patrząc, jak Krupnik siada sztywno na brzegu jednej z poduszek sofy, przypomniała sobie chasydzkich Żydów, jakich widywała w dzieciństwie. Mężczyzn jak z innego świata, spieszących Avenue J, w czarnych płaszczach z rozwianymi połami, patrzących wprost przed siebie, unikających oczu kobiet. Kiedyś, kiedy przechodziły obok grupy chasydów, Nonnie szturchnęła ją i syknęła wściekle: „Noszą te kapelusze, żeby ukryć rogi. To znak diabła. Żeby nam przypominać, że oni zabili naszego Pana, Jezusa Chrystusa, z zimną krwią, jak gdyby był psem.”

Rosę po raz pierwszy w życiu rozmawiała z chasydem i była zdenerwowana. Chciałaby, żeby Max był tutaj. On wiedziałby, co powiedzieć.

Myśl o Maksie jakoś ją uspokoiła. Wyobraziła go sobie, jak odkorkowuje butelkę ochłodzonego Chardonnay pod koniec dnia, wiedząc dokładnie, czego jej trzeba. Nawet jakiej muzyki. Vivaldi, John Renbourn, Cat Stevens, jeśli miała nerwy w strzępach. The Moody Blues, Led Zeppelin, *Dziewięta* Beethovena, jeśli była radośnie ożywiona.

Dwa dni, powiedział. A minęły dwa miesiące. Oglądał mieszkania, ale żadne nie wydawało mu się odpowiednie. Co prawda, przyzwyczaiła się do tego, że on jest w pobliżu. Więcej nawet, polubiła to.

Rosę, zmuszając się do skupienia uwagi na kliencie, opuściła wzrok na leżące przed nią akta.

Krupnik oskarżony był o zaatakowanie Tylera, który prowadził kiosk z gazetami pod estakadą Kings Highway. Tyler powiedział policji, że Krupnik, rozgniewany widokiem syjonistycznej gazety - zdaje się, że sekta Satmyr gwałtownie sprzeciwiała się syjonizmowi dlatego, że Bóg we własnej osobie nie wskazał Izraelajako Ziemi Świętej - zażądał, żeby Tyler ją usunął. Tyler odmówił, wobec czego Krupnik przypuszczalnie powalił go na ziemię i kilkakrotnie uderzył. Naoczni świadkowie rzucili się w pogoń, zatrzymując przypuszczalnego sprawcę. Tyler zidentyfikował Krupnikajako takiego.

Krupnik zaprzeczał wszystkiemu. Był o przecznicy od kiosku, zamykając swój sklep z grawiurami. Ludzie przypadli do niego, chwytając od tyłu. Czerwone plamy na jego rękach to był czerwony tusz, a nie krew. Mimo to został aresztowany. Odstąpiono od oskarżenia z braku dostatecznych dowodów. Poza Tylerem żaden naoczny świadek nie mógł przysiąc, że to Krupnik był sprawcą.

Tyler wniósł wobec tego cywilną skargę, żądając trzysta tysięcy dolarów odszkodowania.

- Czy będę musiał świadczyć? - zapytał Krupnik, nerwowo splatając długie białe palce.

Rosę uśmiechnęła się do niego w nadziei, że pomoże mu pozbyć się skrępowania. Może pod tym względem nie różnił się za bardzo od innych, pomyślała. Każdy był zdenerwowany, stając twarzą w twarz z sędzią i przysięgłymi.

- Niekoniecznie - powiedziała mu. - Mamy świadków. Ale to by pomogło. Niezależnie od faktów w samej sprawie, ława przysięgłych będzie chciała się dowiedzieć, jakiego rodzaju osobą pan jest, jaki tryb życia pan prowadzi. - Zamilkła, przypominając sobie straszną uwagę Normie. Jacy podejrzliwi, a nawet pełni lęku byli ludzie wobec każdej inności. - Panie Krupnik, czy jest pan żonaty?

Zamrugął, jeszcze mocniej zaplatając palce. - Mieszkam z matką.

- Ile ma pan lat, panie Krupnik?

- W przyszłym miesiącu skończę czterdzieści trzy, jeśli Bogu tak się będzie podobało.

- Ma pan jakieś zainteresowania? Wie pan, takie jak obserwowanie ptaków, czy, powiedzmy, fotografowanie?

Nie odpowiedział, tylko patrzył na nią z niedowierzaniem.

Dobrze, pomyślała. Głupio z mojej strony, że pytam. Ale może dobroczynność. Sprzedawanie biletów na loterię na rzecz dotkniętych dystrofią mięśni albo czytanie książek niewidomym. To zrobiłoby wrażenie na przysięgłych.

- Pozwoli pan, że zapytam inaczej, panie Krupnik. Co pan robi ze swoim wolnym czasem?

- Studiuję Talmud. - Tym razem się nie zawahał.

- Czytam Torę, Pięcioksiąg Mojżesza. Chodzę do *szul*.

- Mówił tonem niewinnej arogancji, jakby zadawał pytanie: Czy jest jeszcze coś naprawdę ważnego?

Rosę zmartwiła się. Jeśli czegoś nie wymyślę, przysięgli zaczną wierzyć, że on ma rogi pod tym kapeluszem.

Ale co?

Wtedy przypomniała sobie. Sprawa, o której czytała parę lat temu. Czarny mężczyzna sądzony za gwałt.

I w sali sądowej, nabitej czarnymi twarzami, ofiara, biała kobieta, nie potrafiła wskazać oskarżonego.

- Mam pomysł - powiedziała z ożywieniem. - Dość ryzykowny, ale może wypalić.

- Taak? Jaki?

- Kiedy ostatni raz widział pan Tylera? - zapytała.

- Ostatni raz, kiedy naprawdę stał pan z nim twarzą w twarz?

Krupnik myślał chwilę ze ściągniętymi brwiami. - W październiku. To było w sądzie. Od tamtej pory rozmawialiśmy tylko za pośrednictwem prawników.

Rosę uśmiechnęła się. Coraz lepiej, pomyślała.

- Panie Krupnik, jak pan myśli, ilu przyjaciół i znajomych może pan zebrać w sądzie? Będę potrzebowała przynajmniej dwudziestu pięciu. Jeśli to możliwe, więcej.

Krupnik patrzył na nią zdumiony. Kiedy przedstawiła mu swój plan, uśmiech zmienił jego bladą, poważną twarz, opromieniając ją łagodnym blaskiem palącej się świecy.

- Ajwaj! - wykrzyknął cicho. - Przyprowadzę ich na pewno. Stu, jeśli pani chce. Nawet więcej.

Dziesięć dni później Rosę stała na stopniach budynku stanowego Sądu Najwyższego przy Foley Square i patrzyła, jak podjeżdża prywatny żółty autobus. Wysiadło z niego po kolei koło czterdziestu mężczyzn w czarnych chałatach, w czarnych kapeluszach, z czarnymi brodami i zwisającymi pejsami.

Kiedy chasydzi usadowili się spokojnie w sali sądowej, Rosę zwróciła się do sędziego: - Wysoki sądzie, mam dość niecodzienne żądanie. Zamiast wygłosić oświadczenie wstępne, chciałabym wezwać pana Tylera.

Sędzia Henry, czarny mężczyzna z białą jak śnieg fryzurą afro, zmarszczył brwi, a Rosę serce zamarło. Jeśli odmówi...

- Musi pani wyrazić się trochę jaśniej, panno Santini. Co właściwie ma pani na myśli?

- Chciałabym, aby pan Tyler zidentyfikował mojego klienta, pana Krupnika.

Nastało poruszenie, a kiedy Rosę rozejrzała się, zobaczyła, że znudzeni przysięgli prostują się z ożywieniem. Dobrze. Żeby się tylko udało.

Sędzia skinął głową. Widziała, że on również był zaintrygowany. Pewnie, kto by nie wolał przedstawienia od jeszcze jednego pojedynku na słowa? Tylko powód, sztywny i czerwony na twarzy, kiedy wstał, wyglądał na oburzonego. Wyglądał również tak, jak gdyby, zanim się tutaj zjawił, wychylił parę głębszych osiemdziesięcioprocentowego spirytusu.

- Panie Tyler - powiedziała zimno Rosę - czy może pan zidentyfikować człowieka, który zaatakował pana wieczorem dwudziestego pierwszego października? Czy on jest na tej sali?

- No, oczywiście, że mogę - powiedział. Wskazał grubym palcem brodatego mężczyznę w czarnym stroju, siedzącego przy stole obrony.

- Czy zechce pan wstać, panie Krupnik? - zawołała Rosę.

Nastała chwila ciszy, kiedy wszystkie oczy zwróciły się ku mężczyźnie, siedzącemu z niezmaconą pogodą przy stole obrony.

Wtedy Rosę zobaczyła, jak z zatłoczonej ławki dla publiczności, dwa rzędy dalej, wstaje Shimon Krupnik, powoli, majestatycznie. Pejsy kołysały mu się u uszu, nadając całej scenie nieoczekiwanie fantastyczny charakter. Uśmiechnął się szeroko.

Rosę triumfowała. Pomyślała: Gdyby tylko Brian mógł tutaj być i widzieć to. To lepsze niż wszystkie sztuczki karciane, jakie mu pokazywałam, kiedy byliśmy dziećmi.

Dziesięć minut później, po przemowie przeciwnika i oddaleniu sprawy przez uśmiechającego się sędziego, Rosę zmierzała ku wyjściu z sali sądowej. Czuła się, jakby urosła o pół metra; jak królowa rozdzielająca łaski uśmiechała się do gromady chasydów, którzy kiwah głowami z aprobatą, kiedy przechodziła. Po raz pierwszy nie miała nic przeciwko rozpychaniu się gapiów sądowych, stłoczonych przy drzwiach.

Dostrzegła srebrzystowłosego mężczyznę, który wysunął się do przodu, ujął ją za łokieć i przeprowadził przez wysokie drzwi, które dla niej otworzył.

Zatrzymując się w korytarzu, żeby mu podziękować, zobaczyła, że jest starszy, niż mogła sądzić z jego zdecydowanego dotyku. Już po sześćdziesiątce. Ale wciąż przystojny, męski, o ciemnej cudzoziemskiej twarzy. Jego garnitur wyglądał na drogi, chociaż marynarkę niósł przewieszoną przez ramię, a rękawy wykrochmalonej koszuli miał podwinięte, odsłaniając potężne, ciemno owłosione przedramiona.

Zastanowił ją sposób, w jaki jej się przyglądał. Niemal ją studiował, jak gdyby była obrazem w muzeum albo rzadkim okazem fauny.

Raptownie, co ją zdumiało, pochwycił jej rękę w mocnym, ciepłym uścisku.

- Chciałbym pani pogratulować, panno Santini. - Głos miał głęboki, z lekkim akcentem, którego nie mogła rozpoznać. - To dopiero był spektakl. Jestem pod ogromnym wrażeniem.

- Dziękuję panu - zaśmiała się. - To był hazard. Równie dobrze mogłam wyjść na największą idiotkę na świecie.

- Nie - z uśmiechem potrząsnął głową. - Co to, to nie.

Dlaczego przyglądał jej się w ten sposób? Wprawiał ją w zdenerwowanie.

- Nie wydaje mi się, żebym pana znała - powiedziała, cofając rękę.

- Nikos Alexandros - przedstawił się.

- Czy już się kiedyś spotkaliśmy? Niestety, nie pamiętam...

Wyraz prawie bolesnego smutku przemknął mu przez twarz. - Chciałbym, żeby tak było... ale nie - powiedziała. Potem z cieniem uśmiechu dodał: - Do widzenia, Rosę. I powodzenia. Mam nadzieję, że spotkamy się znowu.

Dotarło to do niej dopiero na zewnątrz, kiedy schodziła po szerokich kamiennych schodach budynku sądu. Powiedział do mnie „Rosę”. Dziwne. Skąd zna moje imię?

Zagadka przemknęła po powierzchni jej umysłu jak kamyczek po wodzie, potem zatonąła.

Gdy Rosę szła spieszenie zatłoczonym chodnikiem, wypatrując w gorączkowym, popołudniowym ruchu na Centre Street wolnej taksówki, myślała o nadchodzącym wieczorze. Butelka dobrego wina, kolacja z Maxem. Dlaczego nie zrobić z tego uczyty? Włożyłaby tę białą sukienkę z jedwabnego dżerseju, którą kupiła w zeszłym tygodniu u Bloomingdale'a. I kwiaty. Niebiańsko pachnący bez do każdego pokoju.

Kiedy ruszyła do taksówki, która podjechała do krawężnika dwadzieścia metrów przed nią, zauważyła kątem oka, że oglądają się za nią trzech mężczyźni. Rzucając teczkę na tylne siedzenie i sama się tam wdrapując, uśmiechnęła się na myśl o tym, jak się zmieniła. Jeszcze nie tak dawno myślałaby, że ci mężczyźni gapią się, ponieważ coś było z nią nie w porządku - plama na spódnicy, oczko w pończosze. Teraz wiedziała, że to dlatego, iż uznali ją za atrakcyjną.

I po raz pierwszy czuła się atrakcyjna. Nawet ładna. Ostatniej nocy po kolacji słuchali z Maxem starych płyt Glenna Millera, które kupili na pchlim targu w zeszłą niedzielę. Potem Max pokazał jej, jak się tańczy *lindy*, obejmując ją szerokimi dłońmi mocno w tali, obracając ją, kołysząc się z nią, aż w końcu rzucił ją na sofę, spoconą, zgrzaną, zdyszana, chichoczącą jak nastolatka. Rosę nie pamiętała, kiedy się tak dobrze bawiła, czy czuła taka szczęśliwa. Jakże naturalne więc, kiedy podeszła dziś rano do szafy wybrać coś do ubrania, że odsunęła na bok urzędowe kostiumy w ciemnych kolorach, jakie zwykle nosiła, i wybrała coś jasnego, kobiecego, tę ładną wzorzystą spódnice i błękitną jedwabną bluzkę.

Podawała taksówkarzowi adres i rozsiadła się, starając się wygodnie ulokować na wgniecionym siedzeniu. Nie mogła się doczekać, kiedy dojedzie do domu.

- Wieprzowina *mu-szu* - Rosę podała Maxowi karton, potem zajrzała do drugiego. - A co jest w tym, nie mam pojęcia. Wygląda jak to, co zostało z kota biednej pani Lindquist, po tym, jak przejechała go śmieciarka.

- Prasowana kaczka - odpowiedział Max. - To danie specjalne. - Wyciągnął z torby butelkę. - To też. Pomyślałem, że powinniśmy zrobić sobie małą ucztę.

Rosę zerknęła na nalepkę. - Perrier-Jouet! Och, Max, nawet ja wiem, jakie to jest drogie. Nie powinieneś być.

- Premia. Za dzisiaj - Owinął butelkę w ściereczkę i zaczął obluzowywać korek.

Rosę zrobiło się ciepło i pomyślała: Chcę, żeby był ze mnie dumny. Jestem mu to winna.

Patrzyła, jak z dyskretnym pluśnięciem wyciąga korek i nalewa pieniącego się szampana do kieliszków na wysokich nóżkach. Dopiero co wyszedł spod prysznic, twarz miał zaróżowioną, mokre włosy zwijały się nad karkiem jak u dziecka. Z nagą pierśią i bosy, miał na sobie tylko miękkie wyblakłe dżinsy. Wydawał się szczuplejszy, jakoś młodszyszy, i nie tylko dlatego, że stracił na wadze. To tak... jak gdyby w jakiś sposób się rozjaśnił. Jak gdyby zapalono wszystkie światła w pokoju, który przedtem tonął w półmroku.

Zaczęła się zastanawiać, czy tak widziały go inne kobiety. Witalny, przystojny, seksowny. Poczwała ukłucie zawiści na myśl o Maksie, całującym jakąś piękną, seksowną klientkę - powiedzmy kobietę, przeprowadzającą rozwód.

A wkrótce odejdziesz, pomyślała.

Rosę uświadomiła sobie ze smutkiem, że nie chce, żeby on odszedł. Mieszkanie będzie się wydawało takie puste bez niego. Będzie tęskniła za wieczorami takimi jak ten, za przygotowywaniem kolacji, omawianiem minionego dnia przy kieliszku wina. Mieli ustalony rytm życia, pod pewnymi względami byli jak para małżeńska. Razem jechali metrem do pracy i czasami razem wracali do domu. A jeśli jedno pracowało dłużej, drugie robiło kolację. Ona brała prysznic rano, on wieczorem. Nawet pranie robili na zmianę.

Wszystko, co robiła para, z tym wyjątkiem, że nie chodzili ze sobą do łóżka.

Ostatniej nocy, tańcząc z Maxem, czując się rozkosznie rozgrzana i seksowna w jego ramionach, myślała przez chwilę: Dlaczego nie? Byli przyjaciółmi, lubili się. I od tak dawna... od tak bardzo dawna. Czyż nie jest to Era Wodnika, wolnej miłości, seksu bez zobowiązań?

Ale idąc z Maxem do łóżka ryzykowałyby zniszczenie jej jedynej wspianiałej przyjaźni. I dla czego? Lada dzień Max się wyprowadzi, będzie się spotykał z innymi kobietami, może nawet się zakocha.

A ja wciąż tu będę, marząc o Brianie, bardziej samotna niż kiedykolwiek. Nie. Daj spokój. Tak jest lepiej.

Rosę pociągnęła łyk z pieniącego się kieliszka, który Max wsunął jej w dłoń. - Mmmm. Dobrze.

- Niech ci nie uderzy do głowy.

- Co? Szampan czy wygranie sprawy?

- Szampan. Jak cię znam, założę się, że nie zjadłaś lunchu.

- Chyba byłam zbyt podekscytowana na to, żeby coś zjeść. W każdym razie obiecuję nie być drobną pijaczką. Nie mogłabym, kiedy jeden łyk jest w cenie jednego dolara.

Stuknął kieliszkiem o jej kieliszek. - Za wszystkie twoje przyszłe zwycięstwa, niech będą liczne i... O, cholera! Przepraszam, to kaczką. Wsunąłem ją do piecyka, żeby się podgrzała.

Dym kłębammi wydobywał się z piekarnika i Rosę poczuła zapach czegoś, co przykro przypominało jej rafinerie wzdłuż Jersey Turnpike. Max rzucił się do przodu, otworzył drzwiczki i wyciągnął rondel ze zwęglonymi resztkami prasowanej kaczki. Popatrzył na nią żałośnie.

- Nic nie szkodzi - powiedziała Rosę. - I tak nie jestem głodna. Będę bardziej niż zadowolona z *mu-szu*.

Rosę wypita szampana i nalała sobie jeszcze jeden kieliszek. Przyjemne ciepło rozchodziło jej się po ciele, jak gdyby zamiast krwi w żyłach krążyła gorąca woda. W głowie jej się kręciło i miała wrażenie, że porusza się

w zwolnionym tempie, że od chwili, kiedy sięgnęła po kieliszek, do chwili, kiedy otoczyła palcami jego lepka nóżkę, upłynęła wieczność.

No dobrze, więc jestem trochę pijana. Ale to takie przyjemne. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz byłam na rauszu. Całe lata temu. Z Brianem? Tak. Na dachu. Dzbanek Red Mountain. No, twoje zdrowie, Brian, i tej pani, z którą teraz pijesz...

Ostry ból, jak szklana drzazga, wbił się w serce Rose. Kiedy przełykała, gardło jej się zacisnęło i bąbelki wpadły jej do nosa, sprowadzając łzy do oczu. Straciła oddech i dostała ataku kaszlu. Max uderzył ją w plecy. W końcu było po wszystkim.

Podniosła na niego wzrok, zobaczyła niepokój najego twarzy i nagle otoczyła go ramionami, wtulając policzek w ciepłą solidność jego nagiej piersi.

- Jeśli chciałeś mnie upić, to ci się udało - wymruczała. - Obiecuj mi jedno. Jeśli urwie mi się film, położysz mnie do łóżka.

- Pewnie. Od czego są przyjaciele?

Położył lekko rękę na jej głowie i zaczął przeczesać palcami włosy. Rose zadrżała, czując te palce we włosach, na karku. Jak przyjemnie...

Nagle Max odsunął się. Podszedł do zlewu i odkręcił kurek. Rose patrzyła, jak woda, sięgając szerniałego rondla z przypaloną kaczka, wystrzeliła brudnym gejerem i rozpryskiwała się tłustymi kroplami po kontuarze.

- Max? - zawołała.

Coś było nie w porządku. Poruszał się sztywno, gwałtownie, jak gdyby był zły. Mięśnie barków miał napięte. Potem odwrócił się i wtedy zobaczyła. Gorąco oblało jej policzki. Czuła się głupia, niezdarna.

Max chciał jej.

Oczywiście. Nie był z kobietą... przynajmniej ona nic o tym nie wiedziała... od miesiący. Jak mogła być taka bezmyślna? Kręcąc się rano w piżamie. Bez zastanowienia wypadając na pół ubrana, żeby odebrać telefon. A teraz... Boże, co on **musi o niej** myśleć?

Nasunęło jej się słowo z szatni licealnej. Zaklinaczka fujarek. Wulgarnie, ale obrazowe. Przemknęło jej przez myśl, że to dziwne, ale i zabawne, myśleć o Rosę Santini jako przerośniętej zaklinaczce fujarek.

Zachichotała na samą myśl. - Och, Max - powiedziała z przeciągłym westchnieniem. - Chodźmy do łóżka. Zaraz. Mniejsza o kolację. Mogę być pijana, ale nie tak pijana, żebym nie wiedziała, co jest dla mnie dobre.

Rosę wstała trochę niepewnie i podeszła do niego. Otoczyła ramionami jego szyję.

- Rosę... - zaczął ochryple.

- Wiem, co robię, jeśli ci o to chodzi - uśmiechnęła się. - Rano nie będę żałować. Jeśli pozostaniemy przyjaciółmi. Dobrze?

Skinął głową i z wysiłkiem przełknął ślinę. Z jękiem przyciągnął ją do siebie. Pocałował ją, mocno, łapczywie. Rosę nagle zakręciło się w głowie. Boże drogi. Kto by pomyślał? Max...

Cudownie, och, jak cudownie, myślała, kiedy rozbierał ją w sypialni. Ukłękł, żeby na koniec zdjąć jej pończochy; i całował jej stopy, delikatnie przesuwając językiem po ich podbiciu. Potem odwrócił ją na brzuch i to samo robił z wgłębieniem jej kolan i delikatnymi półksiężycami ciała pod pośladkami.

Rosę zadrżała z rozkoszy. Każde nowe wrażenie było nieoczekiwanym podarunkiem, który należało rozwijać powoli i cieszyć się nim. Jak pudełkiem wykwintnych czekoladek, które chrupało się po jednej. Jak bosko kochać się w ten sposób bez miłości.

Delikatnie przewrócił ją na plecy, chowając głowę między jej nogami.

O Boże drogi...

Kończyła, szybko, niepohamowanie, jak gdyby staczała się w dół po rozgrzanej, osuwającej się wydnie. Owinęła wokół niego nogi, zanurzyła palce w jego włosach. Jezu... słodki Jezu... Max... skąd wiedziałeś, jak się to robi?

A kiedy było po wszystkim, leżała dysząc, rozpalona, spragniona, żeby jeszcze. - We mnie -jęknęła. - Prędej.

To było jeszcze lepsze. Lepsze niż srebrzyste tryle, jakie wydobył z niej językiem. Było solidne, głębokie. Jego biodra unosiły się i opadały; siła mięśni jego ramion i nóg przepływała w niąjak prąd elektryczny. Był taki inny od Briana, długiego i niezgrabnego. Różnica między nimi była taka, jak między maratończykiem i bokserem wagi ciężkiej

Nie, powiedziała sobie, nie myśl o Brianie. To nie w porządku. Nie w porządku. Nawet jeśli nie jesteś zakochana w Maksie, nie masz prawa wciągać w to Briana.

Przy uchu czuła coraz szybszy, urywany oddech Maxa.

- Rosę... nie mogę dłużej... o Chryste...

- Tak, Max, tak.

Czuła, jak wystrzelił, i ją również ogarnęło uniesienie. Jej ciało wibrowało od wielkiej rozkoszy. Jeszcze i jeszcze, ijeszcze...

Potem opadła z sił, niezdolna się poruszyć. Serce galopowało jej w piersi. Leżała owinięta kokonem śliszkiego potu, słuchając coraz wolniejszego oddechu Maxa przy swoim uchu.

I w tej chwili ogarnął ją głęboki smutek. Chciałaby być zakochana w Maksie.

Parę godzin później, senna, nasycona, Rosę przytuliła się mocno do Maxa, myśląc o tym, że nawet po wszystkim sprawiało jej przyjemność mieć go w łóżku. Inni mężczyźni, z którymi spała w przeszłości, cieszyli ją, ale szybko stawała się niespokojna, nie mogła się doczekać, aż sobie pójdą, żeby mogła odzyskać łóżko dla siebie. Ale z Maxem było jej przyjemnie, niespieszno do tego, żeby ją opuścił.

Balansowała na krawędzi snu, kiedy usłyszała, jak Max mówi niedbałym tonem: - Miałem dzisiaj telefon od Stu Millera z Prudential. Jedna z jego klientek została

pozwana... lekarka, właściwie ktoś, kogo znasz... Rachel Rosenthal.

Rosę miała uczucie, że Max oblał ją kubłem lodowatej wody. Każdy nerw w niej drżał, serce wyrывało się jak oszalałe. Rachel... żona Briana...

Przewróciła się na plecy, unikając wzroku Maxa. Nie chciała, żeby Max domyślił się jej uczuć; były zbyt prywatne, zbyt bolesne.

- Naprawdę? - Zmusiła się do ziewnięcia. - To niedobrze. O co chodzi?

- Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów. Jutro rano mam spotkanie ze Stu w tej sprawie. On chce, żebym się tym zajął. Pomyślałem, że może chciałabyś przyłączyć się do mnie. To powinno być interesujące.

Do diabła, dlaczego Max jej to robił? Musiał wiedzieć, jakie to dla niej trudne.

- Nie wiem - powiedziała, starając się zachować obojętność w głosie. - Będę musiała sprawdzić w terminarzu.

Ale myślami wybiegała już do przodu. Wyobraziła sobie siebie przychodzącą na to spotkanie. Zobaczy Rachel i może Briana - czy Brian także tam będzie? Rachel będzie zdenerwowana i Brian uspokajająco otoczy ją ramieniem. O Boże, nie, jakżeby to zniosła? Po tym wszystkim, przez co już przeszłam?

Nie, do diabła, współczucie dla Rachel nie leżało w jej planach.

Nagle wyobraziła to sobie inaczej. Czy nie mogłaby tylko udawać, że współczuje Rachel, że chce jej pomóc? A może w końcu rzeczywiście mogłaby pomóc, gdyż Max jest tak ostatnio zajęty sprawą Boston Corp. Jaka szlachetna by się wtedy wydała! Jaka wyrozumiała!

I czy Brian nie byłby wdzięczny? O, tak. Widziała to teraz... że mogliby się umówić na kawę albo lunch... zjednoczeni jedną sprawą. Najpierw mówiliby tylko o Rachel, ale później rozmowa zeszyłaby na inne tematy... Śmialiby się razem, wspominając czasy, kiedy się kochali...

Ze zdumiewającą siłą Rosę uderzyła myśl: to będzie ogniwo łączące ją z Brianem. Tak, właśnie to.

A Max? Co mu powie? To była jakaś próba, z pewnością tak. Max był tak diabelnie spostrzegawczy, nigdy niczego nie przeoczył. Musiał podejrzewać, ile to dla niej znaczy. Niech go diabli, podsuwał jej przynętę. Jeśli zjawi się jutro na tym spotkaniu, on będzie wiedział, że w jakiś sposób wciąż interesuje się Brianem.

Ale dlaczego miałoby go to obchodzić? Tego właśnie nie rozumiała. Rosę przemyślała to. No dobrze, złapie się na haczyk... ale na swoich, nie na jego warunkach.

Powoli odwróciła się twarzą do Maxa, tak podekscytowana, że mogłaby nie spać całą noc nie czując najmniejszego zmęczenia.

- Mniejsza o mój terminarz - powiedziała. - Znajdę czas.

ROZDZIAŁ 29

Rachel wierciła się niecierpliwie na niskiej kanapie w poczekalni prawnika. Po raz trzeci czy czwarty spojrzała na zegarek. Prawie jedenasta, a spotkanie było na dziesiątą trzydzieści. Gdyby tylko mogła wstać i wyjść stąd.

Pokój był superklimatyzowany, zimny jak Antarktyda, a mimo to pociła się. Pachy miała mokre, rajstopy przylegały jej do ud. Od tak dawna nie nosiła rajstop, a tym bardziej kostiumu. O Boże, i po co się wystroiła? Na kim chciała zrobić wrażenie?

Jeszcze pięć minut, powiedziała sobie. Potem podam recepcjonistce jakieś usprawiedliwienie i znikam. Przede wszystkim chyba brak mi piątej kleпки, skoro tu

przyszłam. Akurat Rosę Santini musi być moim prawnikiem!

Kiedy agent ubezpieczeniowy pierwszy raz wymienił to nazwisko, roześmiała się głośno. Nie mogła się powstrzymać. Boże, co za ironia. Los szturchnął ją w plecy, popychając w stronę Rosę. Boże, dlaczego akurat Rosę? Dlaczego ona, spośród tysięcy prawników w tym mieście?

Czy dlatego przyszła? Ciekawość? Nie, to było coś więcej, coś silniejszego. Rachel musiała przyjść, żeby ją zobaczyć, poznać ją. Tę kobietę, którą Brian kiedyś kochał... i może nadal kocha.

Jedna wizyta, powiedziała sobie w taksówce po drodze tutaj. To wszystko. W końcu spotkanie już było ustalone. Po prostu zobaczy Rosę, porozmawia z nią, a potem będzie nalegać, żeby Prudential znalazł jej innego prawnika.

Ale przychodzić tutaj jak szpieg? Jezu, jakie to pokretne. Czowała się trochę zawstydzona. I niemądra. Co chciała osiągnąć?

Wstała i po grubym dywanie koloru owsa podeszła do stojącego w rogu długiego chromowanego biurka. Młoda, opalona recepcjonistka z grzywą jasnych włosów i długimi czerwonymi paznokciami spojrzała znad swojej IBM Selecte.

- To już nie potrwa długo - powiedziała, obdarzając Rachel promiennym uśmiechem.

- Tylko że ja... Cóż, obawiam się, że nie mogę dłużej czekać. Rozumie pani, muszę wracać do...

Rachel usłyszała dźwięk otwieranych drzwi i poczuła prąd zimnego powietrza na spoconych nogach. Dobiegł ją niski, melodyjny głos.

- Przepraszam. Miałam zagraniczną rozmowę telefoniczną. Mam nadzieję, że nie kazałam ci zbyt długo czekać.

Rachel odwróciła się i zobaczyła wysoką kobietę, która stała w drzwiach łączących recepcję z położonymi w głębi biurami.

Rosę.

Rachel, patrząc w te ciemne, dumne oczy, nie mogła nie czuć uznania. Ogarnęła wzrokiem masę czarnych włosów, podtrzymywanych srebrnymi grzebieniami. Prosta, czarna bawełniana bluzka i kolorowy szalik, artystycznie udrapowany wokół kanciastych ramion Rosę, kuta złota bransoletka wokół śniadego przedramienia, tuż poniżej łokcia. I - co za dziwo! - jeden kolczyk, jak u pirata. Oprawiony w złoto rubin w kształcie łyzy, który zwisał z jej lewego ucha, mrugając i lśniąc we fluoryzującym świetle z sufitu.

Zimny podmuch strachu owionął Rachel. Ona jest zdumiewająco piękna, pomyślała. Dlaczego nie widziałam tego tamtej nocy w Londynie? Nic dziwnego, że Brian nie może jej zapomnieć.

Przy Rosę czuła się małeńka, jakoś pomniejszona. Nawet w swoim najlepszym letnim kostiumie z surowego jedwabiu w plamy koloru sieni. Ale ona sama była słaba, uschnięta jak roślina, którą ktoś zapomniał podlać. Włosy niedbale ścignięte gumką, twarz blada bez makijażu, ciemne kręgi pod oczami od tych wszystkich bezsensnych nocy, odkąd wezwano ją do stawienia się przed sądem.

No dalej, powiedziała sobie. Wymyśl jakąś wymówkę, powiedz coś. Nie masz tu po co zostawać.

- Rozumiem - powiedziała Rachel - ale ja naprawdę muszę wracać do kliniki. Moje przyście tutaj to chyba pomyłka. Byłoby najlepiej, gdybym...

- Masz kłopoty i potrzebujesz pomocy - przerwała jej Rosę, wpatrując się w nią ciemnymi oczyma. Nie było współczucia w jej głosie, ale nie było też niechęci. Po prostu stwierdzenie faktu. - Proszę, wejdź do środka. Porozmawiamy o tym, a potem pójdziesz sobie, jeśli będziesz chciała. Bez zobowiązań.

Rosę uśmiechnęła się, a jej ciemna twarz zdawała się jaśnieć jak twarz zjakiejs dziwnie pięknej ikony. - Powiedziałam kiedyś, że jestem ci winna przysługę - dodała. - I tak właśnie myślałam.

Rachel, rozbrojona, ale również trochę przestraszona, uśmiechnęła się, myśląc: Ta kobieta powinna mnie nie-
nawidzić. Dlaczego ona to robi?

- Dobrze - powiedziała.

Rosę podeszła, wyciągając rękę. Długie, chłodne palce
pewnie ujęły rękę Rachel, potem ześliznęły się jak woda.
Rachel doszedł lekki zapach, słodki, ziemski, jak zapach
zimowych gruszek, dojrzewających na parapecie.

- Moje biuro jest w tej chwili trochę zabałaganione
- powiedziała Rosę. - Wszędzie papiery. Przygotowuję
się do sprawy. Możemy skorzystać z biura Maxa Grif-
fina. Napijesz się kawy lub herbaty?

- Herbaty, jeśli można.

- Herbata dla pani McClanahan, Nancy - zawołała
Rosę do recepcjonistki. Rachel uderzyło, że nazwałajanej
nazwiskiem po mężu, anie „doktor Rosenthal”. Poszła za
Rosę płataniną wyłożonych boazerią korytarzy do naroż-
nego biura, wychodzącego na East River. Gdyby nie widok
z okna, miałaby wrażenie, że weszła do domu, w którym
wyrosła. Wspaniały, stary orientalny dywan, wiktoriański
świecznik gazowy. Holenderskie intarsjowane krzesła, obite
podniszczonym aksamitem. Stare biurko całe zavalone
papierami. Oszklona biblioteczka, wypełniona oprawiony-
mi w skórę książkami ze złoceniami. Urocze, pomyślała.
I piekielnie onieśmielające.

Rosę wskazała jej kanapkę, która wyglądała na robotę
Duncana Phyfe'a. - Proszę cię, usiądź.

Rachel, opadając na sztywne siedzenie, patrzyła, jak
Rosę siada na krzesle naprzeciw niej, z rzeźbą na opar-
ciu, przedstawiającą - co za ironia - gołębicę z gałązką
oliwną w dziobie.

Zapadła niezręczna cisza. Potem Rosę powiedziała:
- Może byłoby łatwiej, gdybyśmy darowały sobie towa-
rzyską rozmowę, nie sądzisz?

Rachel mogła tylko podziwiać jej bezpośredniość.
- Tak, to prawda - potwierdziła.

Słońce, prześwitując przez luźno tkane zasłony, padło
na twarz Rosę złotą mgiełką. Wzięła blok żółtego papie-

ru ze stołu i położyła go na kolanach. - Przejrzałam papiery, które przesłał Prudential, i będę z tobą bardzo szczerą. Wierzę, że zrobiłaś wszystko, co w twojej mocy, żeby zapewnić Almie Saucedo możliwie najlepszą opiekę. I ława przysięgłych też prawdopodobnie w to uwierzy. Niemniej jednak ta sama ława przysięgłych może łatwo głosować przeciwko tobie.

Rachel poczuła, że serce zaczyna jej łomotać o żebra. Ależ to niemożliwe. Byłaby zrujnowana, a klinika by przepadła. Fundusz Edukacji Zdrowotnej cofnąłby dotacje - czy Sandy Boyle nie przestrzegła jej przed tym podczas ich ostatniego spotkania? - i cofnięto by jej przywileje u Świętego Bartłomieja. Wszystko, na co tyrała, zostałoby wymazane, wszystkie kobiety, które potrzebowały jej, które jej ufały, nie miałyby nikogo.

- W sytuacji takiej, jak ta - ciągnęła Rosę - sympatia przysięgłych w sposób naturalny zwraca się ku ofercie, w tym wypadku szesnastoletniej dziewczynie, której mózg jest martwy, która prowadzi życie rośliny. Przeżyło jej dziecko, wymagające bardzo kosztownej opieki. Więc wiesz, że mówimy o dużej forsie. Pytaniem, jakie sobie postawią, niekoniecznie będzie to, kto jest winny, ale kto będzie płacił? Czy już nad miarę obciążeni rodzice Almy Saucedo, czy bogate towarzystwo ubezpieczeniowe?

- Rozumiem - Rachel czuła się dziwnie obojętna, jak gdyby sterował nią automatyczny pilot. Słuchała i mówiła jak zwykle, podczas gdy w wyobraźni przeżywała przyszłe katastrofy.

- Naprawdę? Właśnie się zastanawiam. Większość ludzi, wchodząc do sali sądowej, nie może się uwolnić od przeświadczenia, że chodzi o kwestię winy lub niewinności.

Rachel zebrała się w sobie i odpowiedziała: - Nie sądzę, żeby w medycynie było to kiedykolwiek tak jasne. Zawsze opuszczasz pacjenta z uczuciem, że powinnaś była zrobić więcej.

- Czy miałaś takie uczucie przy Almie Saucedo?

- Tak.

- Pytanie brzmi: Czy mogłaś zrobić więcej?

- Najpierw, kiedy to wszystko się działo, nie byłam pewna - odpowiedziała Rachel, zdecydowana mówić prawdę: - Ale później, kiedy przemyślałam wszystko, krok po kroku... - Oparła się na kanapie. - Odpowiedź brzmi: nie, nie mogłam zrobić więcej. W okolicznościach, które były dalekie od optymalnych, przyjęłam najbezpieczniejszy, jak uważałam, sposób postępowania. Nie sądzę, żeby inny lekarz mógł się zachować bardziej odpowiedzialnie.

Czarne oczy Rosę wpatrywały się w nią z taką intensywnością, że Rachel poczuła gęsią skórkę na karku.

Znikąd pojawiła się myśl: Ona i ja jesteśmy tu po to, żeby się przejrzeć nawzajem, czyż nie? Nie tylko z powodu tego przekłętego procesu.

Miała to uczucie za pierwszym razem, kiedy poznała Rosę. To dziwne poczucie bezradności - jak gdyby ją i Rosę postawił przeciwko sobie jakiś dziwaczny kaprys losu. Obie zakochane w tym samym mężczyźnie.

I czyż nie było to dziwne, że spośród wszystkich firm prawniczych na dolnym Manhattanie, jej towarzystwo ubezpieczeniowe reprezentowała właśnie firma Rosę?

Rachel była pewna, że Rosę czuje to samo. Obie mierzyły się wzrokiem jak rewolwerowcy, zanim sięgną po broń.

Czego ona chce ode mnie? - zastanawiała się Rachel. Ona nie musi tutaj siedzieć. Mogła przekazać sprawę komuś innemu w firmie. Ale nie przekazała. Dlaczego?

Tajemnicze napięcie znikło, kiedy Rosę pochyliła się i zaczęła skrobać coś na bloku papieru, który trzymała na kolanach. Podniosła wzrok. - Rozmawiałam dzisiaj po południu ze Stu Millerem. Ci Saucedo odrzucili ugodę, jaką zaproponował im Prudential. Dwieście tysięcy. Zgodnie z tym, co mówił Stu, wczoraj wstępnie się zgodzili, ale dzisiaj powiedzieli, że zmienili zdanie.

Rachel poczuła nagły potężny gniew. David. To on stał za tym wszystkim. Czuła, jak wbija w nią szpony. Ci

biedni Saucedo mieli prawo do smutku i gniewu. Ale to, co robił David, było... wstrętne, złe.

Zaczynała odczuwać przerażenie i rozpacz. Jak może sama walczyć z Davidem? Jeśli powie prawdę o tym, dlaczego on to robi, będzie to koniec jej małżeństwa. Jeśli zachowa milczenie, będzie to koniec jej kariery. Bez względu na to, w którą stronę się zwróci, on ją zniszczy.

- Co mam teraz zrobić? - zapytała Rachel, czując się schwyta w pułapkę.

Rosę spojrzała wprost na nią i powiedziała stanowczo:

- Iść do sądu. Ze mnajako twoim adwokatem.

Rachel przyglądała się jej, a potem wyrzuciła z siebie pytanie, które wisało między nimi od początku.

- Dlaczego? Dlaczego akurat ty?

Rosę milczała i Rachel czuła, że przestrzeń między nimi naładowana była elektrycznością.

Wtedy usta Rosę wygięły się w dziwnym, krzywym uśmiechu. - Powiedzmy, że lubię płacić moje długi.

- Umilkła, a potem dodała: - Nie mogę niczego przyrzec. Z wyjątkiem jednego. Że będę walczyć o ciebie. Że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wygrać tę sprawę. I kto wie? - Uśmiechnęła się szeroko. - Może mi się to uda.

Patrząc na nią, na jej ciemne, błyszczące oczy, Rachel starała się zrozumieć. Czy ona to robi dla mnie... czy dla siebie? Czy wykorzystuje mnie, żeby się zemścić na Brianie? Czy też, Boże broń, żeby się do niego zbliżyć?

Miała wrażenie, że połknęła kamień. Potem pomyślała: Jeśli to prawda, jeśli ona to robi dla siebie, wtedy będzie walczyć bardziej zawzięcie niż ktokolwiek inny. A ja tego potrzebuję, potrzebuję każdej pomocy, jaką mogę otrzymać.

Pukanie do drzwi.

Rachel wzdygnęła się lekko, wyrwana z zamyślenia. Ale to była tylko jasnowłosa recepcjonistka z herbatą; z parującego kubka zwisał sznureczek od saszetki z herbatą Twininga. Wzięła kubek i popijała parzący płyn. Z bólu łzy napłynęły jej do oczu. Opuściła kubek, objęła

go obiema dłońmi, zadowolona z ciepła w lodowatej klimatyzacji.

- Dobrze. Powiedzmy, że się zgodzę. Co wtedy? - zapytała Rachel.

- Gromadzimy wszystkie medyczne rejestry i wszelkie inne istotne dowody. Oświadczenia wszystkich zainteresowanych. Czy przychodzi ci na myśl ktoś, kto mógłby świadczyć przeciwko tobie? Inny lekarz, pielęgniarka?

Rachel przyszedł na myśl Bruce Hardman, młody lekarz, który pomagał jej odebrać poród Almy. Biała twarz, plamy potu na zielonym stroju chirurga. Prawdopodobnie jest szczęśliwy, że nikt nie wskazuje palcem na niego.

Myśl o Davidzie także przemknęła jej przez głowę, ale nie śmiała o nim wspomnieć. Poza tym, przypomniała sobie, on radził jej czekać, nie prowokować bólów porodowych. I nie było go, kiedy odbierała poród Almy. Więc jakie on może mieć dowody?

- Nie. Nikt nie przychodzi mi na myśl.

Rosę bazgrała coś na papierze, trzymanym na kolanach. - Porozmawiamy o tym później. Może nawet nie dojdzie do procesu. Prudential wciąż próbuje ugody. Na poniedziałek mam wyznaczone spotkanie z prawnikiem tych Saucedo. Potem będę lepiej zorientowana, dokąd zmierzamy.

Od tylu lat Rachel sama rozgrywała swoje bitwy. Czy teraz mogła po prostu siedzieć i pozwolić komuś innemu walczyć o nią? Jedynej oprócz Davida osobie na świecie, która miała powód jej nienawidzić.

Dziwne, ale mimo to czuła, że może zaufać Rosę.

Będzie walczyła o mnie, jeśli to oznacza walkę o Briana.

A gdyby kiedykolwiek doszło do współzawodnictwa między nią a Rosę, to co wtedy? Która z nich by wygrała? Którą w końcu wybrałby Brian?

Przypomniała sobie, jak ojciec wziął ją na przejażdżkę metrem, kiedy była mała. Mama dostałaby ataku, gdyby

wiedziała, ale tata chciał, żeby jej wychowanie obejmowało nawet nieprzyjemne aspekty życia. „Jeśli pokornie kiedy posiadą ziemię - powiedział jej, ściskając ją za rękę, gdy schodzili pewnego gorącego piątkowego popołudnia do stacji kolei podziemnej - to tylko dlatego, że możni zrezygnowali z zamieszkiwania jej, z wyjątkiem niewielkiego skrawka.”

Pamiętała tłumy, oczekujące niecierpliwie, żeby się przepchać przez kołowrót, a potem, kiedy tato wrzucił żeton, tłum popchnął ją na nabity, betonowy peron, gdzie stała, wpatrując się w poczerńiałe gardło tunelu, czując na twarzy gorące, smrodliwe powietrze zbliżającego się pociągu. Tata odwrócił się na chwilę plecami, żeby przyrzeć się mapie na ścianie, a ona skradała się coraz bliżej toru, aż w końcu spoglądała w dół, wprost na szyny. Pociąg hamował z piskiem przy peronie, niebieskie iskry strzelały spod jego kół. I w tamtej chwili pomyślała: Mogłabym skoczyć. Od razu. Mogłabym skoczyć na tor i byłaby to największa rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

To samo czuła teraz. Jak gdyby podchodziła zbyt blisko do czegoś, co mogło być śmiertelnie niebezpieczne, a jednocześnie przyciągało neodparcie. Dowiem się prawdy... czy on wciąż ją kocha. Nawet gdyby miało mnie to zabić.

- Może zjadłybyśmy lunch w poniedziałek, po moim spotkaniu z ich prawnikiem? - zaproponowała Rosę wstając.

Rachel postawiła nie dokończoną herbatę na niskim stoliku przed sobą i podniosła się. - Tak, dobrze. To niezły pomysł.

- Odeon, około dwunastej trzydzieści?

- Świetnie. Będę tam.

Była w połowie drogi do drzwi, gdzie czekała sekretarka, aby ją wyprowadzić, kiedy Rosę zawołała: - O, i przekaz Brianowi pozdrowienia ode mnie.

Rachel zatrzymała się na chwilę, czując lekkie mdłości, i zaczęła się odwracać, ale potem zdecydowała, że nie

może, po prostu nie może spojrzeć Rosę w twarz, nie może pozwolić Rosę zobaczyć, jak bardzo bala się stracić mężczyznę, którego obie kochały.

Szpitalna winda bez końca jechała na piąte piętro.

Rachel ponownie nacisnęła guzik, wiedząc, że to nic nie pomoże. Windy, jak wszystko inne u Świętego Bartłomieja, były prehistoryczne. Słuchała skrzypienia kabli, gdy winda powoli wspinała się po zapadkach. Podniosła wzrok, obserwując zapalające się nad drzwiami numery, jeden po drugim, kiedy winda zatrzymywała się na każdym piętrze. Trzecie, czwarte, następne będzie jej. I wtedy, nie do wiary, winda z powrotem zaczęła zjeżdżać w dół.

Do diabła! Niech to wszyscy diabli! Wszystko tutaj sprzysięgło się przeciwko niej, więc dlaczego nie windy?

- Cholera - zaklęła głośno. Przechodząca obok wysoka, chuda jak piszczątka pielęgniarka zwolniła i odwróciła się. Rachel poznała Jane Sackman i zamierzała się z nią przywitać. Nie znała dobrze Jane, ale lubiła ją. Pielęgniarkę, która zawsze zdawała się miło uśmiechać. Ale spojrzenie Jane ześliznęło się z niej i „cześć” uwięzło Rachel w gardle. Patrzyła, jak Jane przyspiesza kroku.

Co się tutaj dzieje? Przez cały dzień spotykała takie nieuchwytnie spojrzenia. A może po prostu cierpi na paranoję?

Widok Almy na oddziale intensywnej opieki, podłączonej do respiratora, nieruchomej jak trup, za każdym razem wstrząsał nią mocniej. I tym razem Rachel czuła, że ma miękkie kolana i bezwładne ręce. W ustach osiadła jej gorycz po mocnej kawie.

W końcu drzwi windy rozsunęły się i Rachel dała nurka do środka. Bogu dzięki, nareszcie szła do domu. Brian będzie czekał. Będą pociągać sherry, skubać brie i ryżowe chrupki. Potem wybierali się na inauguracyjną wystawę do tej nowej galerii przy Spring Street, potem na kolację z agentem Briana i jego żoną. Nadchodzący wieczór migotał w jej wyobraźni jak miraż na pustyni.

Wieczór z ludźmi, których kochała, którzy ją kochali. Nie będzie myśleć o niczym innym. Ani o Almie. Ani o Rose. Ani...

- Cześć, Rachel.

Odwróciła się. David. Nie widziała jego twarzy, tylko biały kitel. O Chryste.

I byli sami.

Drzwi zatrzasnęły się za nią, winda lekko szarpnęła i zaczęła zjeżdżać w dół. Rachel czuła, jak żołądek jej się zwija, a skóra mocno ściga.

David uśmiechał się zimno, triumfująco. Doznała podobnego uczucia jak wtedy, gdy widywała myśliwych, jadących do domu z przywiązanymi do zderzaków okrwawionymi sarnami. We fluoryzującym świetle wydawał się niemal nierealny, z ostrymi jak nóż kantami ciemnych spodni, w białej kurtce, błyszczącej od krochmalu, z nienagannie ostrzyżonymi włosami. Był tak doskonały, jak postać wycięta z reklamy w magazynie, albo jak jeden z tych lekarzy w telewizji, głoszących cuda o jakimś remedium... Tylko oczy były wyjątkiem od tej doskonałości - przekrwione białka i zimna, arktyczna zieleń tęczy.

Te oczy były teraz utkwione w Rachel. Wstrząsnął nią dreszcz. Odwracając się do niego plecami, nacisnęła guzik, oznaczony PARTER, chociaż już był oświetlony, w Bogu pokładając nadzieję, że David zostawi ją w spokoju, jeśli go zignoruje.

- Możesz wcisnąć wszystkie, jeśli chcesz. Ale to nic nie pomoże - David mówił łagodnie, niemal pieszczotliwie.

- Zaleciłem Radzie, żeby cofnęła twoje przywileje.

Odwróciła się z wściekłością. - Na jakiej podstawie?

- Naruszające prawo zaniedbanie. Mój Boże, czy ty naprawdę myślałaś, że uda ci się z tego wykręcić? Ta smarkata i jej dziecko. Równie dobrze mogłaś próbować ją zamordować.

Rachel stała zdumiona. Coś w niej miało ochotę się roześmiać. To niemożliwe - David, mówiący takie rzeczy, jak kwestie z jakiegoś szmirowatego melodramatu.

Ale wiedziała, że uczucie ssania w żołądku było prawdziwe.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem i hałaśliwie otworzyły się drzwi.

David przeszedł obok niej, nienaganny, pogodny, zatrzymując się tylko po to, żeby posłać jej nikły uśmiech, jak lodowaty kawałek księżyca na zimowym niebie.

- Do piekła daleka droga, Rachel, a ty nie przeszłaś nawet połowy.

Rachel, patrząc za nim, drżała tak bardzo, że ledwo mogła ustać. Była przerażona. Przerażona sobą.

Miała ochotę go zabić. Gdyby w tej chwili trzymała w ręku broń, pociągnęłaby za spust.

ROZDZIAŁ 30

Rosę i Max zjedli kolację, złożoną z puszystego płaskiego chleba i kurczaka *tandoori*, w indyjskiej restauracji na rogu Lexington i Dwudziestej Ósmej Ulicy, a potem powędrowali ku Piątej Alei. Noc była gorąca, tym gorętsza, że pikantne curry nadal paliło Rosę w żołądku. Czuła się nieznośnie rozgrzana i lepka, nawet w swej najcieńszej bawełnianej bluzce i gniecionej spódnicy. Żar spieczonego chodnika, przesączaając się przez cienkie podeszwy sandałów, zdawał się spowalniać jej kroki, jak gdyby odbywała mozolny marsz po słonych równinach Doliny Śmierci.

Chciała już być w domu. Najpierw zimny prysznic, potem nago z Maxem pod wiatrakiem leniwie obracającym się u sufitu sypialni, którą teraz dzielili. Myślała o tym, jak on by ją kochał, powoli, z nieskończoną

czułością. Od samego wyobrażania sobie tego czuła słabość w kolanach i między nogami.

Naraz poczuła obawę i zmieszanie. Jak to? Jak mogę chcieć Maxa w ten sposób? Przecież Kocham Briana.

A Max, czego on ode mnie oczekuje?

Trochę ciepła, pomyślała, po tylu latach chłodnego małżeństwa. Przyjaznej twarzy, przy której mógłby się budzić rano, kogoś, kto dodawałby mu odwagi, zapewniałby go, że po rozwodzie jest jeszcze życie.

A potem, kiedy on się przeprowadzi, co potem? Czy znów będą przyjaciółmi? Czy naprawdę będą mogli wrócić do tego, co było przedtem? Rose nagle poczuła się samotna.

Wzięła go za rękę i nabrała otuchy. Jego palce mocno owinęły się wokół jej dłoni.

- Jesteśmy na miejscu - powiedział.

- Gdzie? - Nie patrzyła na ulicę, po prostu szła za nim w stanie jakiegoś oszołomienia. Spojrzała teraz w górę i zobaczyła bezgraniczną przestrzeń szarego granitu z mamucimi ozdobami *art deco*. Empire State Building.

- Chodź - powiedział Max. - Zabiorę cię na szczyt. Tam, na górze, wieje przyjemny wietrzyk.

- Nie jest za późno? Pomost widokowy na pewno będzie zamknięty.

Max mrugnął do niej. - Nie martw się. Mam swoje kontakty.

Parę minut później szybowali windą w górę.

- Stary przyjaciel mojego ojca - wyjaśnił Max, opowiadając jej o starym portierze, który otworzył dla nich tę windę. - Moe dostał tę pracę dzięki tacie. I jest na tej samej nocnej zmianie praktycznie odkąd budynek został ukończony. Zna go prawdopodobnie lepiej niż własną żonę i dzieci.

Drzwi windy rozsunęły się i wyszli na zewnątrz. Koszulki z King-Kongiem, kubki Big Apple i proporczyki klubu Yankee widniały w oknie ciemnego, wyglądającego na opuszczony, sklepu z pamiątkami.

Poprowadził ją schodkami w dół i przez szklane drzwi na zewnątrz. Chłodny wiatr chłostał przez wysoką osłonę z pleksiglasu, szarpał jej włosy i spódnice. Rosę miała wrażenie, że wrzucono ją do niewidzialnej rzeki i porywał ją zimny prąd.

Wychyliła się najdalej jak mogła, z zapartym tchem chłonąc widok Manhattanu, rozciągniętego w dole jak ogromna, przetykana klejnotami pajęczyna. Była tu tylko raz, z wycieczką szkolną, i to za dnia. Zakurzone miasto zmieniło się w coś czarodziejskiego. Zniknęły rozpalone, brudne chodniki, gniewny, rozpychający się tłum, odgłosy ruchu ulicznego. Czuła się tak, jak gdyby ofiarowano jej podarunek, wyborny naszyjnik od Cartiera, i wręczono go jej w równie wspaniałym aksamitnym pudełku.

Odwróciła się i napotkała spojrzenie Maxa. Obserwował ją, nie panoramę miasta. Jego jasnoniebieskie oczy nie odrywały się od niej, na ustach błąkał się lekki uśmiech. Rosę pomyślała: Jesteś cudowny. Wiedziałeś. Chciałeś mi sprawić niespodziankę.

- Dziękuję - powiedziała.

- Mój ojciec zabierał mnie tutaj nocą. - Max otoczył ją ramieniem; jego masa była ciepłym schronieniem, w które łatwo się wsunęła. - Podnosił mnie do góry, aja czułem się taki duży jak King-Kong, i mawiał „Przypatrz się, Maxie. Jesteś na szczycie świata! Jest cały twój. Wszystko, co musisz zrobić, to pochwycić go”.

- No cóż, w pewnym sensie udało ci się, czyż nie?

Max pochylił lekko głowę i milczał, z twarzą ukrytą w cieniu. Miała wrażenie, że umknął gdzieś i dotknęła jego ramienia, chcąc podążyć za nim, dokądkolwiek odszedł.

Czy myślał o swojej córce? Dokumenty rozwodowe były już przygotowane, więc Mandy pewnie wie, że on nie wróci do domu. Musiało mu być trudno jej to wytłumaczyć.

Max podniósł wzrok i uśmiechnął się, z tak smutnym wyrazem twarzy, że miała ochotę go uścisnąć i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Ale nie mogła tego obiecać. Któż lepiej od niej wiedział, jak zmienne jest życie?

- Zabawne - powiedział. - Myślałem, że tata ma rację. Że w życiu liczy się naprawdę tylko sukces i wielkie pieniądze. On tak sądził, ponieważ nie miał ani jednego, ani drugiego. A to, czego się nie ma, zawsze jest ważniejsze od tego, co się ma. Ale teraz wiem lepiej. Nie muszę być na szczycie Empire State, żeby pochwycić życie. Nie wtedy, kiedy ono jest tutaj. Tuż obok mnie.

Odwrócił się, patrząc wprost na nią. Światła z dołu padały na jej twarz, oślepiając ją, jak gdyby nagle wyszła z tunelu na jaskrawe światło dzienne.

Zrozumiała. Wszystko stało się jasne. To, co mówił, to, jak na nią patrzył.

Słodki Jezu, on jest we mnie zakochany.

Jak długo? - zastanawiała się. Jak długo ją kochał, a ona była zbyt głucha, głupia i ślepa, żeby to dostrzec?

Patrząc na niego teraz, na czystą miłość bijącą z jego twarzy, na smutne wiedzące spojrzenie, uświadomiła sobie z przesywającym uczuciem bólu, że prawdopodobnie od dawna. Dłużej niż byli kochankami. Może od lat.

Rosę widziała teraz wszystko. Jego liczne uprzejmości, każda jak drobna perełka, mała i błaha sama przez się, ale zebrane razem, jedna po drugiej, tworzyły piękny i cenny naszyjnik wokół jej szyi. Dał jej najcenniejszy dar, miłość, która nie żądała niczego w zamian.

Łzy wypełniły jej oczy.

- Przykro mi - wyszeptwała. Nie to należało powiedzieć, nie to. Ale tylko to przyszło jej na myśl.

- Nie trzeba. - Musnął palcami jej policzek, tak lekko, że mógł to być wiatr.

- Nie zdawałam sobie sprawy.

- Wiem.

- Och, Max... Chciałabym... - urwała, nie wiedząc, co powiedzieć. Wiedziała tylko, co czuła. Że to beznadziejne.

Głaskał jej włosy, delikatnie, machinalnie, jak gdyby była dzieckiem potrzebującym pociechy. Wydawało jej się, że słyszy bicie jego serca, walącego jak młot.

- Wiem - powiedział. - Jesteś zakochana w Brianie.

- Tak.

- Nawet jeśli jest żonaty.

- Tak.

- Czy dlatego zajmujesz się sprawą jego żony? Ze względu na Briana?

- Częściowo. - Wzruszyła ramionami. - Tak. - Ale było w tym coś więcej i chciała mu to powiedzieć: - Może to brzmi dziwnie, ale... lubię ją. Jest uczciwa i tak nieprawdopodobnie pełna poświęcenia.

- A Brian? Czy wciąż jest w tobie zakochany?

- Brian? Nie sądzę, żeby to było takie proste, jak „tak” lub „nie”. Znam go całe życie. W pewien sposób jedno z nas jest częścią drugiego. Więc jest część Briana, która zawsze do mnie należała i zawsze będzie. Ale on przeżywa teraz zamęt. Musi wszystko sobie poukładać. Kiedy to zrobi, będę o tym wiedziała.

- I jesteś gotowa czekać?

- Tak. - Nienawidziła ranić Maxa, ale powiedziała mu prawdę. - Tak długo, jak będę musiała. Tak długo, jak będzie trzeba.

- Rozumiem - powiedział cicho.

Kiedyś Rosę obserwowała, jak burzą dziesięciopiętrowy budynek i dotąd pamiętała, jak runął. Nie eksplodował jak bomba, ale zapadał się w sobie, piętro po piętrze, z dziwną gracją, jak wdowa próbująca dworskiego ukłonu. Widok Maxa przywiódł teraz to wspomnienie. Zapadał się w sobie; płaszczyzny jego twarzy chwiały się i waliły jak ściany. Chciała wyciągnąć rękę, by uchronić go przed zranieniem. Ale mogła go tylko objąć, gdy silny wiatr szarpał ją, jak gdyby miał zamiar unieść w powietrze. Jedynie ciężar bólu w sercu pozwalał jej ustać na betonowym podłożu.

- Max - wymruczała. - Och, Max, chciałabym, żebyś to był ty. Chciałabym tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Max chciał jej. Czuła to, kiedy go obejmowała.

Zabawne, ale ona także go chciała. Pragnęła dać mu to, co mogła, nawet jeśli to nie wystarczało. Ale czy trochę miłości nie było lepsze niż nic?

Max całował ją, a ona oddawała mu pocałunki. Mocne, raniące pocałunki, nie delikatne jak innymi razy, kiedy się kochali. Rozpaczliwe pocałunki, które mówiły raczej o końcu niż początku. Max opadł z jękiem do jej kolan, przyciskając twarz do zagłębienia między udami, gdzie wiatr zwiął sukienkę. Jego palce wbiły się w jej pośladki, jego oddech ogrzewał ją przez cienką tkaninę.

Rosę przechyliła się, odrzucając głowę do tyłu, pozwalając wiatrowi dmuchać sobie w twarz i rozwiewać włosy.

Max sięgnął pod jej spódnicę, pociągnął za majteczki, raniąc paznokciami uda. I, o Boże, ona mu pomagała.

Trzymała teraz swoje majteczki zwinięte w garści, strzęp koronki, odrobina jedwabiu - kupiła je u Lorda i Taylora po tamtej pierwszej nocy, którą spędzili razem. Rzuciła je na wiatr, obserwując, jak silny podmuch chwyta srebrzysty skrawek tkaniny i przenosi nad osłoną długim, opadającym łukiem. Potem unosiły się nad ciemnymi kanionami i migocącymi alejami w dole niczym jakiś fantastyczny ptak.

Odwróciła się do Maxa, podciągnęła spódnicę nad swoje nagie uda i szepnęła: - Tak, weź mnie.

ROZDZIAŁ 31

SyMe leżała w ciemności obok Nikosa, obolała, wyczerpana. Po raz pierwszy kochali się w jej łóżku. W łóżku, które zawsze dzieliła z Geraldem.

Był trochę szorstki, nie taki jak innymi razy. I tak się spieszył, prawie jej nie pieścił, jak gdyby chciał już to mieć poza sobą. Gniewał się na nią?

Słuchała jego wysilonego oddechu, czując, że jej serce powoli się uspokaja. Gorąca ciemność była niemal przytłaczająca. Przez splątane prześcieradła sięgnęła po rękę Nikosa i poczuła przyływ ulgi, kiedy jego palce zamknęły się wokół jej dłoni.

Sybie wróciła myślami do minionego wieczoru. Wspomniała kolację w Caravelle z imponującą butelką Chateau Ausone, aby uczcić ukończenie domu. Chciała, żeby ten wieczór był wyjątkowy, a każdy szczegół doskonały, łącznie z jej sukienką z miękkiego birmańskiego jedwabiu, zielonego jak liście lili wodnych Moneta. Pasawała do jej oczu i do szmaragdów w uszach. Ale wydawało się, że Nikos ledwie ją zauważył. Był uprzejmy, ale roztargniony, myśli miał zaprzątnięte czym innym. A teraz ta ciężka cisza. O czym on myślał?

Uścisnęła jego rękę w nadziei, że on odwzajemni uścisk.

Jednak już wiedziała. W głębi serca bała się jego słów. To narastało między nimi od trzech tygodni, odkąd powiedziała mu o Rose. Nikos był cichszy, bardziej zamyślony, ale wyczuwała w nim niepokój.

- Widziałem ją - powiedział Nikos. - Rose.

Sylvie miała wrażenie, że pierś jej się kurczy, płuca ściągają, jak gdyby wdychała powietrze przez słomkę.

Nie powinnam była mu mówić, pomyślała. Powinnam była zachować to w tajemnicy. Co za pożytek z tego, że mu powiedziałam?

- Jest piękna. I bystra - ciągnął Nikos schrypniętym głosem. - Gdybyś wiedziała... Mój Boże, gdybyś mogła ją zobaczyć, Sylvie, naszą córkę.

SyMe, niezdolna znieść przytłaczającego ciężaru w piersi, podniosła się. Odrzuciła prześcieradła, które oblepiały jej kostki i przerzuciła nogi przez brzeg materaca. Na miękkich nogach przeszła po dywanie, podnosząc z ławeczki przed toaletką swój peniuar. Pociągnęła za szybko i usłyszała, jak jeden rękaw się rozdziera. Jak gdyby to miało znaczenie, jak gdyby cokolwiek miało teraz znaczenie.

Opadła na reklamierkę; zniszczone aksamitne poduszki otuliły ją, zdawały się chować, grzebać ją.

Wysokie okna tarasowe były otwarte, ciepły wiatr wydymał rozsunięte koronkowe firanki. W świetle księżyca Sylvie mogła rozróżnić kształty swoich róż, ale nie kolory, jak gdyby patrzyła na czarno-białą fotografię. *Połyskujący jedwab* wspięła się ponad balustradę balkonu z kutego żelaza, jej duże kwiaty wзираły przez pręty w kształcie harfy. A *Błękitny Nil* wydawała się biała na tle bluszczu, okrywającego południową ścianę.

Och, zachowaj je bezpieczne, modliła się. Moje córki. Nie daj ich skrzywdzić. Nie karz ich, ukarż mnie.

- Przez trzydzieści dwa lata niczego nie chciałam bardziej niż poznać moją prawdziwą córkę - powiedziała cicho w pachnącą noc. - Och, Nikos, ty nie wiesz, nie wyobrazasz sobie! Twoja córeczka... Wiesz, że ona gdzieś jest, może zmartwiona, może nieszczęśliwa, i nie możesz jej pomóc. Nie możesz jej przytulić i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Tak często o tym marzyłam... Boże drogi, żeby ją objąć... choćby na chwilę. Poprosić o przebaczenie. Co bym za to dała! - Wyciągnęła ramiona. - Wszystko to, wszystko...

Odwróciła się ku ciemnej sylwetce siedzącej w łóżku. Czuła tak ogromny ból w sercu, iż myślała, że umrze. - Nawet ciebie, mój kochany.

Teraz on wstał, jak cień wszedł w srebrne światło, potężny i jaśniejący, i zbliżył się do niej. Przykucnął u jej boku, ujmując rękę.

- Przykro mi, Sylvie. Z powodu wszystkiego, co wycierpiałaś. Nie winię cię. Nie wolno ci tak myśleć. Szkoda tylko... - Głos mu się załamał i oczy załśniły w rozjaśnionej księżycem ciemności. - Szkoda tylko, że nie wiedziałem wtedy, przed laty. Nasze dziecko, moje dziecko, wychowywane przez obcych... Sama myśl o tym sprawia ból... i gdybym wiedział, wszystko byłoby inaczej. Sylvie, Sylvie, dlaczego nie powiedziałaś mi wcześniej?

On ją obwinał. I miał do tego prawo. Czy naprawdę oczekiwała, że będzie inaczej?

Łzy toczyły jej się po policzkach i opadały na zaciśnięte dłonie. - Nigdy nie istniał taki czas - powiedziała - kiedy... kiedy wydawało mi się możliwe... powiedzieć ci. Najpierw musiałam myśleć o Geraldzie. Nie zraniłabym go za nic na świecie. A ty... No cóż, ty należałeś wtedy do przeszłości. Nie wiedziałam, gdzie jesteś, co się z tobą stało. A potem, kiedy spotkaliśmy się znowu... - Wzięła głęboki oddech. - Powiedziałam ci, ponieważ wydawało się niesprawiedliwe... żebyś nie wiedział... nawet jeśli jest za późno.

- Za późno? - Oczy miał utkwione w nią, chociaż nie mogła ich widzieć, jedynie odbite w nich iskierki światła, jak dalekie gwiazdy. - Nie. Nie sądzę, że jest za późno.

Serce łomotało Syhie w uszach. Dobry Boże, co on chciał powiedzieć? O czym on myśli?

- Obserwowałem ją - powiedział Nikos. - Chodziłem za nią jak szpieg. Wiem, gdzie pracuje, gdzie mieszka. Udawałem nawet, że przypadkowo na nią wpadłem, po to, żeby móc z nią porozmawiać. Myślę, że pod pewnymi względami jest podobna do ciebie. Mądra i dumna. I co za ogień! Ale rzadko się uśmiecha. Zastanawiam się, czy jest szczęśliwa.

- A ty myślisz, że to ja spowodowałam jej nieszczęście? My? Och, Nikos, czyż tego nie widzisz? Byłoby jej o wiele gorzej, gdyby wiedziała! Znienawidziłaby mnie. Porzuciłam ją, oddałam obcym. Wzięłam inne dziecko na jej miejsce.

- Ale nie zapomniłaś o niej. Zadbaliśmy o nią. Dopilnowaliśmy, żeby miała pieniądze.

- Pieniądze - prychnęła. - Jakie to dla mnie łatwe, i jakie tchórzliwe, załatwić telefonicznie konto w banku. Jak gdyby jakieś pieniądze mogły wynagrodzić to, co zrobiłam!

Chmura zasłoniła księżyc i pełen róż ogród nagle pograżył się w cieniu.

Ile razy można mieć złamane serce? - zastanawiała się.

- Kiedyś widziałam ją - powiedziała mu. - Kiedy była małą dziewczynką. Czekałam na nią przed szkołą. Chcia-

łam... tak jak ty... tylko ją zobaczyć, upewnić się, że się dobrze miewa. Przynajmniej to właśnie sobie mówiłam. A kiedy w końcu ją zobaczyłam... cóż, w tamtej właśnie chwili uświadomiłam sobie, jaki straszliwy błąd popełniłam. Byłam zdruzgotana. Musiałam jej dotknąć, być blisko niej, mojego dziecka. Dziecka, które nosiłam w sobie. Och, nie zrozum mnie źle. Nigdy nie mogłabym żałować tego, że kocham Rachel, że wychowywałam ją jak własną. I gdybym na początku nie dokonała tego straszliwego wyboru, nigdy bym jej nie znała. Nigdy bym jej nie pokochała.

Nikos chwycił ją za ramiona. Czuła jego sękaty palce, wbijające się w nią, raniące ją przez jedwab peniuaru.

- Nie jest za późno, Sylvie. Rosę ma prawo do prawdy. A potem do decyzji, co o tym sądzi.

Sylvie miała wrażenie, że pokój się rozpada, wali się na nią, przygniata.

- NIE!

Odepchnęła go i zerwała się na równe nogi.

- Nie mogę! - wykrzyknęła. - Nie rozumiesz tego? Niezależnie od tego, jak zły był to wybór, nie mogę go zmienić. Muszę myśleć o Rachel, a ona po tylu latach jest o wiele bardziej moja niż Rosę. Kocham ją, jak gdyby była z mego ciała i krwi. Pomyśl, co to by dla niej było. Dowiedzieć się, że ukradłam ją prawdziwej rodzinie i udawałam, że jestem jej matką. Och, Nikos, pomyśl tylko.

Podniósł się i stanął obok niej. Czarne gwiazdy jego oczu paliły jej twarz, ale nie mogła odwrócić od nich wzroku. Oczy Rosę, zauważyła wstrząśnięta. Te same oczy - wielkie, smutne i jakieś wygłodniałe - patrzyły na nią tamtego dnia na dziedzińcu szkolnym, kiedy włożyła kolczyk w małą rączkę swego zdumionego dziecka.

- Powiedziałem to, co myślę - powtórzył Nikos. Wydawał się smutny i odległy. - Nie winię cię. Myślę, że sama już dostatecznie się ukarałaś. Wszyscy dokonujemy wyboru i kto, oprócz Boga, może powiedzieć na pewno, co jest dobre, a co złe? Może to samolubne z mojej

strony, że chcę, aby obca, dorosła kobieta, była córeczką, której nigdy nie miałem. Ale to pragnienie jest takie silne. Silniejsze ode mnie. Mówisz, że dokonałaś wyboru. Nie wiem. Czasami tylko stwierdzamy, że idziemy w pewnym kierunku. Nie wiemy dlaczego. Aż pewnego dnia patrzemy, i jesteśmy na miejscu. - Milczał przez chwilę, jak gdyby starał się opanować, a potem wybuchnął: - Potrzebuję jej, Sylvie. - Każde słowo brzmiało jak wystrzał. - Ty masz córkę, ja nie mam nic. Daj mi Rosę. Oddaj mi moją córkę.

Czuła się na pół martwa, ale wiedziała, że musi odpowiedzieć. - A jeśli odmówię? - zapytała ochryłym szeptem.

Nikos patrzył na nią nieruchomo, nagi w świetle księżycy; muskularne ramiona opadły mu bezwładnie po bokach. Potem powiedział: - Wtedy zrobię to, co muszę.

Synde zdawało się, że w jej żołądku otwiera się szczelina, z której zaczął się unosić wielki chłód, ogarniając ją całą, wprawiając w odrętwienie. Wszystko widziała w myślach tak, jak gdyby patrzyła w rozbite lustro. Jej życie, życie jej córek, pękające, rozpryskujące się na maleńkie ostre odłamki.

O, Boże drogi, co ona zrobiła?

Synde zakryła twarz ramieniem, jak gdyby zasłaniając się przed ciosem. Myślała, że nic nie mogło być straszniejsze od kłamstwa, które nosiła w sobie przez tyle lat. Ale było coś jeszcze gorszego, o wiele gorszego.

Prawda.

Rachel patrzyła, jak jej matka stawia na stole tort. Złożony z trzech warstw, oblany czarną czekoladą, rozsiadł się wśród piany papierowych serwetek na pateryze babci Rosenthal ze srebrną obwódką.

- Niespodzianka! - wykrzyknęła rozpromieniona Sylvie. - Nie myśleliście, że zapomniałam, prawda?

Rachel spojrzała zdumiona i ogarnęło ją poczucie winy. Mój Boże, to rocznica mojego ślubu, a ja zapomniałam. Zapomnieliśmy. To dlatego mama zaprosiła nas dzisiaj na kolację.

Patrzyła na tort, pragnąc, by zniknął, nienawidząc mamy za przypominanie, że jej małżeństwo źle się ułożyło, i za tę jej łaskawość, która przez całe życie ukazywała Rachel przepaść, jaka je obie dzieliła.

Na pamięć przysły jej te okropne lekcje fortepianu po szkole, brzdąkanie *Marysia miała jagniątko* i *Farmer z górskiej doliny* raz po raz, aż Rachel myślała, że umrze. Ale mamy nigdy nie nużyło słuchanie, nawet śpiewanie do wtóru, czy wybijanie nogą taktu. Rachel myślała z początku, że była tylko miła i macierzyńska, ale po pewnym czasie zdała sobie sprawę, że mama naprawdę lubiła te usypiające melodyjki. Jej córeczka powinna być taka jak ona, słodka, łagodna, kochać rzeczy wyższe, muzykę, sztukę, kwiaty. Ale Rachel, w miarę jak rosła, widziała siebie inaczej.

- Mamo, nie powinnaś była. To... - Rachel urwała, doceniając dobre zamiary matki. - No, nie powinnaś była, to wszystko.

Sylvie uśmiechnęła się do Rachel i opuściła nóż z porcelanowym trzonkiem, który trzymała w ręku. - Wiem, kochanie. Ale chciałam. - Uśmiechnęła się znowu. Wyglądała bardziej eterycznie niż zwykle, jej skóra wydawała się biała jak mydło na tle marszczonej

po szyją bluzki z żurawinowego jedwabiu, jej starannie ułożone włosy były przyprószone srebrem. Dodała łaskawie: - Życie pod tak ogromną presją tego okropnego procesu, że nie wydawało mi się, byście mieli czas albo siły na robienie zamieszania wokół waszej rocznicy ślubu. Ale od tego są matki, prawda?

Rachel uczuła ukłucie w sercu. Czy kiedykolwiek będzie matką? Cholernie mało prawdopodobne.

Zerknęła na Briana, usadowionego w krześle Chippendale obok niej, ubranego w spłowiała koszulę i wytarte sztruksowe spodnie. Jego nonszalancja była jak powiew świeżego powietrza w tej jadalni z ławkami symetrycznie ustawionymi przy kominku, z ciemną boazerią i sztywno udrapowanymi firankami. Ostatnio nosił dłuższe włosy, opadające na kołnierz koszuli. Zauważyła w nich nitki siwizny, ale dobrze z nimi wyglądał, swojsko. Uświadomiła sobie, że stał się masywniejszy, zaokrąglił się jak okładki często czytanej książki, że kanciastości jego twarzy złągodniały.

Oczy Briana napotkały jej wzrok i odwróciły się zbyt szybko. Ból rozdarł pierś Rachel. Kocham cię, chciała mu powiedzieć. Tak bardzo cię kocham. Czy nie widzisz tego? Niepotrzebne nam serca, kwiaty i torty. Od samego początku nie byliśmy jak inni.

Poczuła się apatyczna, pokonana.

- Dla mnie tylko troszkę - powiedziała do Sylvie.
- Tak dużo zjadłam na kolację, że nie wiem, jak zdołam przełknąć jeszcze jeden kęs.

Sylvie odkroiła duży kawałek i podała Rachel. - Jesteś zbyt szczupła. Powinnaś jeść.

Rachel uśmiechnęła się. - Patrzcie, kto to mówi. Jeśli jestem za szczupła, to dlatego, że wrodziłam się w ciebie, mamo.

Zobaczyła, że mama zarumieniła się i oczywiście mocniej załśniły. Sylvie zaśmiała się dźwięcznie. - No cóż... może. Zabawne, przedwczoraj jadłam lunch z Evelyn Gold i ona tak bardzo utyla. Jest wielka jak koń! I cóż, wiem, że nie było to bardzo miłe z mojej strony, w końcu ona

jest moją najbliższą przyjaciółką... ale nie mogłam nie poczuć odrobiny satysfakcji.

- Myślałam, że Goldowie mieszkają na Florydzie - zauważyła Rachel.

- Ależ tak. Po prostu przyjechali na jakiś tydzień z wizytą do Masona.

Rachel ożywiła się. Mason! Boże, nie widziała go od wieków. Zaraz, zaraz... przynajmniej parę lat. Powinna do niego zadzwonić. Dobrze jej zrobi, jeśli znowu go zobaczy.

Przerywając krótką ciszę, Sylvie zapytała: - Nawiasem mówiąc, czy już wyznaczyli datę?

- Datę? - Rachel była zakłopotana, potem zdała sobie sprawę, że mama mówi o procesie. Ostatnia rzecz na świecie, o jakiej miała ochotę teraz rozmawiać. Ale mama chyba ma prawo wiedzieć. - Jeszcze nie - odpowiedziała. - Mój prawnik mówi, że to trochę potrwa. Ona nazywa to zadymką. Tym właśnie zajmują się teraz adwokaci, zasypują się nawzajem taką masą papierów, że może któryś z nich zostanie pogrzebany pod lawiną.

- Ona? Twój adwokat jest kobietą? - Nikos pochylił się ku niej. Rachel skupiła na nim uwagę. Wydawał się smutniejszy niż zwykle. Ubrany w ciemny trzyczęściowy garnitur, wydawał się też starszy. I przez cały wieczór był o wiele cichszy niż zazwyczaj, odzywał się z rzadka i rozważnie. Czyżby on i mama mieli jakieś problemy?

Rachel miała nadzieję, że nie. Nikos był taki dobry dla Sylvie. Przez te ostatnie parę lat mama zdawała się kwitnąć, jak jedna z jej róż. Rumieńce na policzkach, błyszczące oczy. Rachel była pewna, że śpiąją ze sobą. I czyż to nie cudowne, że Nikos opiekuje się mamą?

Jednak jak głupio było myśleć o mamie w ten sposób, jak o dziewicy, która wymaga opieki. W końcu mama udowodniła, że doskonale potrafi troszczyć się o siebie.

- Tak, to kobieta - odpowiedziała Rachel Nikosowi, dodając ze śmiechem: - My naprawdę od czasu do czasu wnosimy się ponad bycie pielęgniarkami i sekretarkami.

Nikos uśmiechnął się. - Tak, oczywiście. Nie miałem tego na myśli... tylko że twoja matka powiedziała mi tak niewiele o tej nieszczęsnej sytuacji.

- To moja wina - powiedziała Rachel. - Ukrywałam to przed nią na tyle, na ile to było możliwe. - Zwróciła się do Sylvie: - Nie chciałam cię denerwować bardziej, niż to było konieczne, mamó.

Coś zapaliło się w zielonych, zamglonych oczach Sylvie, coś, od czego stały się twarde i błyszczące. Rachel cofnęła się, trochę zdumiona i niepewna.

- Nie ma potrzeby ukrywać przede mną czegokolwiek - powiedziała Sylvie. Jej głos był łagodny i miły jak zwykle, ale z twardą jak stal nutką. - Nie załamie się. Radziłam sobie z gorszymi rzeczami.

Rachel znów poczuła się zawstydzona. Oczywiście. Kiedy tata zmarł, mama była silna, silniejsza niż Rachel mogła przypuszczać.

Brian sięgnął pod stołem i uścisnął jej rękę. Rachel była wzruszona do łez. Jak dawno nie dotykał jej w ten sposób, spontanicznie, bez skrępowania?

- Przepraszam, mamó. Ja tylko... nie bardzo miałam ochotę o tym rozmawiać. Z nikim, prawdę mówiąc.

- W tym stanie rzeczy niewiele jest do powiedzenia - wyrwał się Brian. - Zwykła przedprocesowa krzątania. Rosę zbiera oświadczenia. Ona...

- Rosę? Na imię jej Rosę? - przerwała Sylvie ostrym głosem, sztywniejac. Siedziała nieruchomo, z uniesionym nożem. W jego srebrnym ostrzu odbijały się tańczące płomyki świec.

Brian rzucił jej dziwne spojrzenie. - Rosę Santini - powiedział.

To imię zdawało się odbijać echem w nienaturalnej ciszy pokoju.

Synde po prostu siedziała z szeroko otwartymi oczyma, twarzą wypraną z koloru. Dlaczego to imię miałoby dla mamy cokolwiek znaczyć? - zastanawiała się Rachel. Dlaczego, na litość boską, patrzy w ten sposób?

Nóż wysunął się z ręki Sylvie ze stłumionym brzękiem,

rozsiwając czarne okruchy tortu na śnieżnym adamaszku. Sylvie, ze zbielałą twarzą, przycisnęła ręce do piersi, kołysząc się lekko.

Rachel pośpieszyła do niej, zaniepokojona.

- Mamo! Co się stało?

Synde potrząsnęła głową. Otworzyła usta, zamknęła je, potem znów otworzyła, jak gdyby łapała powietrze. Jej ręce zacisnęły się na krawędzi stołu, kostki zbiały.

Teraz Nikos był u jej boku. Sylvie odprawiła go machnięciem ręki, która zatrzepotała w powietrzu jak zraniony ptak - Nic... nic - szepnęła. - Wszystko będzie dobrze. Coś zjadłam. Trochę tylko kręci mi się w głowie. Myślę, że lepiej będzie, jak się położę. Wybaczcie mi, proszę. Nie, Nikos, ty zostań. Rachel pomoże mi wejść na górę.

Rachel otoczyła matkę ramieniem, zaskoczona, wstrząśnięta nawet, jej szczupłością. Czy rzeczywiście mogła być chora? Byłam tak pochłonięta własnymi problemami, pomyślała, że pewnie nawet bym nie zauważyła.

Możliwość utraty matki odczuła jak cios w żołądek. Nie mogła sobie wyobrazić życia bez mamy, bez jej łagodności, nawet bez jej zabarwionego na różowo widzenia świata, tak przyjemnie ułożonego i staroświeckiego, tak różnego od widzenia Rachel.

Na górze, w ciszy pokoju, który kiedyś był sypialnią rodziców, Rachel słyszała tylko tykanie zegara na szyfonierce. Powoli rozejrzała się wokół. Pamiętała, że jako dziecko przechodziła na palcach przez ten pokój z pastelowym dywanem i wypolerowanymi starymi meblami, kruchymi wazami i pieškami z porcelany, ustawionymi na wrzecionowatych stolikach. Ostrożnie i nawet powstrzymując oddech ze strachu, że coś zbije. Teraz widziała, jaki był uroczy. Jak bardzo był odbiciem mamy, piękny, pogodny, jak samotna wyspa z dala od reszty świata.

Nic złego nie może stać się w tym pokoju, powiedziała sobie.

Rachel zerknęła na Sylvie, szczupłą i bladą w zdo-
bionej koronkami pościeli. W szafce na lekarstwa w ł-
zience znalazła valium i dała jej jedną tabletkę. Syhie
już niemal spała.

Gdyby tylko mama nie była tak straszliwie blada.
W łagodnym, różowym świetle lampy na nocnym
stoliku Rachel widziała sine kręgi pod zamkniętymi
powiekami Sylvie.

Usiadła ostrożnie na brzegu łóżka, koncentrując uwa-
gę na łagodnym falowaniu piersi matki. Z ukłuciem
w sercu pomyślała o Almie Saucedo, o tym, jak siadywa-
ła przy niej trzymając straż. Tylko że Alma, stracona dla
świata żywych i teraz prawie nie do poznania, nigdy się
nie obudzi.

Mama ma się świetnie, powiedziała sobie. Jest tylko
zmęczona. Dekorowała dom dla Nikosa, biegła w tę
i we w tę, w poszukiwaniu najodpowiedniejszego dywa-
nu, najniższej ceny klepki podłogowej z orzecha. Jak
dziecko, całkowicie pochłonięte nową zabawą, nie wie-
działa, kiedy zwolnić lub przestać.

Mimo to na wszelki wypadek będzie nalegała, żeby
mama zadzwoniła rano do swego lekarza i poddała
się dokładnym badaniom. Prawdopodobnie odkładała
to od lat.

Nagle spod okrycia wysunęła się ręka. Zimne palce
konwulsyjnie zacisnęły się na nadgarstku Rachel. Dobry
Boże. Mamo! Co...

Oczy Sylvie były utkwione w nią, szeroko otwarte
i szklane jak u lunatyczki. Serce podskoczyło Rachel
do gardła.

- Moja córka... - dziwnym szeptem powiedziała
Sylvie, patrząc rozbieganymi oczyma. - Gdzie jest
moja córka?

- Jestem tutaj, mamo - powiedziała Rachel rześkim,
rozsądnym głosem, żeby ukryć panikę. Czy mama czuła
się dezorientowana, czy było to coś więcej?

Potem zdawało się, że mama odzyskała równowagę.
Wpatrzyła się w nią zmrużonymi oczyma. - Rachel. Tak

- uśmiechnęła się. W tym uśmiechu był tak głęboki smutek, że Rachel miała wrażenie, jak gdyby opadła zasłona i odsłoniła jej skrytą duszę matki, którą wcześniej tylko przeczuwała. - Chcę, żebyś o tym wiedziała. Nigdy nie żałowałam... - Urwała, zamykając oczy.

- Czego nie żałowałaś, mamó?

Zapadła długa cisza i Rachel myślała - nie, miała nadzieję - że mama wreszcie usnęła. Miała przedziwne uczucie, jak wtedy, kiedy dostawała gęziej skórki na karku, idąc ciemną ulicą i słysząc za sobą kroki, że cokolwiek mama miała zamiar jej powiedzieć, będzie lepiej, jeśli tego nie usłyszysz.

Wtedy Sylvie znów otworzyła oczy.

- Ciebie - powiedziała cicho, ale wyraźnie w ocienioną różowo ciemność. - Nigdy nie żałowałam, że cię mam.

Rachel odczuła dziwną ulgę. W końcu nie było to wyznanie, nic, czego nie wiedziałyby dotąd.

- Och, mamó, nie wydaje ci się, że o tym wiem? Nie mogłabym życzyć sobie bardziej kochającej matki.

Kąciki ust Syhde uniosły się leciutko, układając się w cień uśmiechu. - O, moje dziecko...

Potem Sylvie pozwoliła opaść powiekom i zdawała się zapadać w sen. Po chwili Rachel usłyszała jej równy, głęboki oddech. Syhde zasnęła.

Rachel nachyliła się i pocałowała mamę w policzek. Sucha, chłodna jak jedwab skóra, słodki, pudrowy zapach. Czekwała czujnie jeszcze przez kilka minut, aż była pewna, że mama głęboko śpi.

Jednak kiedy podniosła się, by wyjść, usłyszała, jak Syhde mruczy coś przez sen. Rachel zamarła.

Szybko powiedziała sobie: Tylko mi się zdawało, że to słyszałam. Ja też jestem zmęczona. Zmęczona trzymaniem głowy ponad powierzchnią wody. Zmęczona groźbami Davida i obojętnością Briana. Oczywiście, że mi się zdawało. Albo może mówiła coś o jednym ze swoich kwiatów.

Inaczej dlaczego mama wołałaby: „Rose”?

Rachel zabłądziła. Uważała, że to śmieszne - ona, urodzona w Nowym Jorku, zgubiła się na Grand Central! Zerknęła na zegarek. Niech to diabli, spóźni się...

Zawróciła i pospieszyła przez otchłań tunelu, który okazał się jeszcze jednym ślepym zaułkiem. Aż wreszcie za zakrętem zobaczyła Oyster Bar. Ogarnęła ją ulga, kiedy stanęła w drzwiach.

Omiatając wzrokiem dużą część restauracyjną, dostrzegła kogoś, kto mgliście przypominał Masona. Ruszyła szybko, wymijając kelnerów, wymachujących tacami pełnymi ostryg i mięczaków na połówkach skorupki. Na zewnątrz ulice były rozprażone, ale tutaj, w tej wielkiej sali, pełnej błyszczącego drewna i mosiądzu, panował błogi chłód i przyjemny zapach ryb, jak w olbrzymiej podwodnej grocie.

Podeszła bliżej i uśmiechnęła się szeroko. Tak, to był Mason i patrzcie go! Zniknął kucyk i chrystusowe sandały. Kędzierzawe brązowe włosy miał schludnie przystrzyżone, nawet jeśli baczki były trochę przydługie. Nosił szorstką marynarkę i krawat. Czy był to styl Stowarzyszenia Pomocy Prawnej, czy też znudziło mu się być hippisem? To już tak dawno. Wymienili kilka kart świątecznych i kilka pocztówek, ale musiało to być dobre parę lat temu.

Napotkała wzrok Masona i pomachała ręką.

Podeszła do niego i nachyliła się, żeby pocałować go w policzek, zanim opadła na krzesło naprzeciw niego. - Mason! Boże, jak wspaniale cię widzieć! Przepraszam za spóźnienie. Moja taksówka utknęła za zaparkowanym w drugim rzędzie wozem meblowym, więc przesłałam kilka przecznic na piechotę, a potem czy uwierzyłybyś? Zgubiłam się tu, na dworcu. - Roześmiali się oboje, podczas gdy ona sadowiła się, przyglądając się bacznie jego twarzy. Był teraz szczuplejszy, drobne zmarszczki rozchodziły się promieniście z kącików jego wesołych brązowych oczu. - Boże! To już wieki. Wyglądasz wspaniale. Ale co się stało z twoimi włosami?

- Poświęciłem je wielkiemu bogu kapitalizmu - powiedział Mason z udanym westchnieniem. - Wiesz, w pionierskich czasach na Wall Street naprawdę był mur, zbudowany po to, żeby zagrozić drogę Indianom. No cóż, teraz znów jestem wewnątrz fortu, zwalczając korporacyjnych łupieżców.

- Co się stało z uciskanymi i sprawiedliwością?

Wzruszył ramionami, rozluźniając krawat z madrasu i opierając się z powrotem o krzesło. - Nic dramatycznego... Po prostu, jak to mówią, wróciłem do rzeczywistości. Odkryłem, że większość ludzi, którym starałem się pomóc, nie lubiła mnie, a i ja też za nimi nie przepadałem. Pewien dzieciak wyraził to dość elokwentnie - taki dziesiętnastoletni punk, recydywista, zatrzymany za włamanie - powiedział, wybacz, ale to były dokładnie jego słowa: „Człowieku, nie robisz tego dla mnie, robisz to dla siebie. Więc możesz iść do domu i wysrać się lodami waniliowymi”.

- Och, Mason, wiem. - Rachel nie mogła się nie roześmiać. - Czasami mam dokładnie to samo... w klinice.

- Ale trwasz przy niej. - Mason uniósł kieliszek powitalnym gestem. - Zawsze byłaś piekielnie uparta. Słuchaj, co byś powiedziała na coś do picia?

- Pewnie, aleja płacę. Pamiętaj, toja cię zaprosiłam. - Zamówiła campari z sodą. Czuła się odprężona, lepiej niż ostatnimi czasy. - A twoja rodzina... Jak się miewa dziatwa?

- Och, powinnaś zobaczyć Shan... Polubiła przedmieście jak kaczka wodę. Kocha je - nie kręci nosem nawet na przepełnione pojemniki na śmieci. A dzieciaki, no cóż, wszędzie ich pełno, używają sobie. Właśnie umieściliśmy jeden z tych nadmuchiwanych plastikowych basenów na trawniku za domem i cała trójka pluska się w nim cały boży dzień. Kupiliśmy im psa, złotego retrievera. Nazywa się Drake i też kocha wodę.

Rachel uśmiechnęła się, widząc Masona, który kiedyś zanurzał ją w basenie swoich rodziców, jako dorosłego

pełną gębą, wynoszącego śmieci, strzygącego trawnik, odwożącego swoje dzieci do przedszkola. I uczuła ukłucie zazdrości. Troje dzieci... to niesprawiedliwe. Czy Bóg nie mógłby dać jej choć jednego?

Mason spuścił wzrok, patrząc w swój kieliszek. - Rachel, słyszałem... o procesie o niewłaściwe leczenie. Jezu, ale numer.

Przyniesiono jej campari i Rachel była zadowolona, że to oderwało ją od rozmowy. Nie spieszyła się, wyciskając plasterek cytryny. Pociągnęła łyk. Miało smak wody do płukania ust. Ostatnio nic jej nie smakowało, nawet papierosy, które znowu zaczęła palić. Słyszała dudnienie pociągów w dole i ten hałas zdawał się wibrować w jej żołądku.

Miała wrażenie, że tańczy na linie i że w każdej chwili może spaść. Najłatwiej byłoby sobie teraz pofolgować, wygadać się przed Masonem. Ale, przysięgła sobie w duchu, nie zrobi tego.

Wzruszyła ramionami. - Położnictwo ma wyższy wskaźnik procesów o niewłaściwe leczenie niż każda inna specjalność.

- Niech to diabli, chciałbym móc coś zrobić, żeby ci pomóc, Rachel. Ale firma, w której teraz pracuję, jest tak wyspecjalizowana, że nie mamy pojęcia o tej gałęzi prawa. Ale może mógłbym ci kogoś polecić, jeśli nie jesteś zadowolona ze swojego prawnika. Kto jest twoim adwokatem?

- Rosę Santini. Od Stendahla i Coopera.

- Santini, Santini, taak, czytałem notkę o niej w „Law Journal”. Słyszałaś o tej jej sprawie z chasydami?

- Nie, chyba nie.

- Broniła faceta, chasyda, oskarżonego o ciężkie picie, więc przyprowadziła cały autobus tych facetów, czarne brody i czarne płaszcze, i poprosiła powoda, żeby wskazał jej klienta. Tamten, naturalnie, wskazał kogoś innego i Santini uzyskała oddalenie.

Rachel poczuła się trochę podniesiona na duchu i uniosła w uśmiechu kąciuki ust. Nie, żeby jej sprawa była

taka łatwa. Ale mogła wyobrazić sobie Rosę, pokazującą efektowną sztuczkę magiczną, taką jak ta. Rosę była tak diabelnie mądra... i nie kurczyła się ze strachu przed ryzykiem.

Ale Rosę mogła ją również zniszczyć, i to tak łatwo.

W mrocznym zakątku jej wyobraźni jakiś głos szeptał: I czy nie byłoby to korzystne dla Rosę? Gdyby powiedziała Brianowi wszystko o Davidzie, czy on nie zwróciłby się do niej, swojej najdawniejszej, najdroższej przyjaciółki po radę, nawet po pociechę? Jakież to byłoby wspaniałe, jakie wygodne.

Jednak Rachel ufała Rosę. Pracując z nią tak blisko, widziała, co Brian musiał w niej kochać, jej wrażliwość pod ognistą werwą, jej ciepło i łagodność.

- Ona jest dobra - powiedziała Rachel. - Lubię ją.
- Wszystko to prawda... ale gdzie jej lęki i zazdrość?
- Jednak jest pewien problem. Ona była dziewczyną Briana. Jaki ten świat mały, co?

Mason zagwizdał i pokręcił głową. - To rzeczywiście rajcowne. Myślisz, że ona wciąż pali się do niego?

- Może. - Wzruszyła ramionami. Czuła lekkie mdłości i chciałyby zmienić temat rozmowy.

- No, nie wiem, gdyby chodziło o byłego chłopaka Shan, sądzę, że chciałbym to tak urządzić, żeby go posłali do pierdła.

- Myślałam, że wy oboje nie należycie do zaborczych.

- O, taak, przyjemnie było myśleć, że jesteśmy tacy chłodni. Aż kiedy parę miesięcy po ślubie dowiedziałem się, że Shan i Buzz siedzieli na golasa nad stawem, gdy ja robiłem zakupy w mieście. Shan przysięgła, że to było całkowicie niewinne i ja jej uwierzyłem, co nie przeszkadzało, że mnie szlag trafił. - Mason zachichotał sam z siebie. - A teraz popatrz na mnie, pana z Maplewood Drive. Zaczynam coraz bardziej przypominać mojego starego.

- Jak się miewają twoi rodzice? Słyszałam, że zamieszkali z tobą.

- Tylko na parę tygodni. Potem wracają do Palm Beach. Mieszkają tam teraz na stałe. Sprzedali dom w Harrison, kiedy tata wycofał się z interesów. Teraz codziennie zapełnia swoich osiemnaście golfowych dołków, a mama spędza czas grając w brydża i organizując imprezy dobroczynne. Oboje są brązowi jak indiańska sofa. Shan i ja wyprawiamy dzieciaki samolotem w odwiedziny do nich tak często, jak możemy. Tata nie ma słów uznania dla Dylana... naszego dwulatka, który szaleje za groszkiem, szpinakiem, brukselką. Wszystko, co Gold Star zamraża, ten dzieciak je. - Mason pokręcił głową, ale Rachel widziała na jego twarzy dumę i miłość na jego twarzy. - A co z twoją mamą? Jak sobie radzi?

- Świetnie. Ma romans.

Mason uniósł brwi. - Nie bujasz? No cóż, to dobrze. Ma poważne zamiary wobec tego faceta? Czy po prostu dobrze się bawi?

- Nie wiem. Wydaje się to dość poważne, ale moja mama nie napomyka o małżeństwie. Zmieniła się, odkąd tata zmarł. Myślę, że jest szczęśliwsza, mniej nerwowa. I nie uwierzyłybyś, jak przejęła pieczę nad bankiem. Moja mama wielkim szefem! No cóż... trzeba czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. Mason, czy myślisz, że to nasi rodzice się zmienili, czy my? Czy my się zmieniliśmy?

- Myślę, że jedno i drugie. Ale słuchaj, czy to nie przerażające, że ty i ja-jesteśmy mniej więcej w tym wieku, w jakim byli nasi rodzice, kiedy my jako dzieci topiliśmy jedno drugie w basenie.

- Boże, czy to naprawdę było tak dawno?

- Tak, tak dawno. - Zaśmiał się krótko i wychylił resztę ze swego kieliszka. - Wiesz, ja nawet lubię prowadzić swojego combi.

Rachel, dziwnie rozczulona, wzięła go za rękę. Potrzebowała przyjaciela, a on był najdawniejszym przyjacielem, jakiego miała. - Mason, boję się. Tego nadchodzącego procesu. Starzenia się. I... och, wielu innych rzeczy.

Mason uściśnął jej rękę. - Witaj w klubie, dzieciно. Czasami spoglądam w lustro i kogóż widzę? Nadętego prawnika, oto kogo. Słuchaj, w dniu, w którym przestanę brać chociaż kilka spraw *pro bono* i kupię posiadłość na Florydzie, zastrzel mnie, dobrze?

- Zrobię coś lepszego - zaśmiała się Rachel. - Ześlę cię do pracy w mojej klinice. Po paru tygodniach obrona ćpunów wyda ci się rajska rozkoszą.

Mason uśmiechnął się. - Załatwione.

Kelner stał nad nimi, gotów przyjąć zamówienie, i Rachel nagle poczuła wilczy głód. Więc życie płynie dalej. I ona, do cholery, też. A jeśli ocean zacznie się burzyć, będzie musiała po prostu płynąć szybciej, to wszystko.

- Ostrygi - powiedziała do kelnera. - Największy talerz, jaki macie.

ROZDZIAŁ 33

Max wśliznął się przez podwójne drzwi z tyłu sali sądowej, kiedy urzędnik sprawdzał obecność przysięgłych.

Sala była zatłoczona, długie dębowe ławy pełne. Po bokach ludzie stali przy wyłożonych boazerią ścianach, a z tyłu zobaczył kilka osób rozpychających się, żeby lepiej widzieć. Niech diabli wezmą tych idiotów reporterów, pomyślał Max. Wczoraj, pierwszego dnia, sprawa była na czołówce trzeciej strony w „Post”: *Młoda lekarka oskarżona o spowodowanie tragedii małej matki*, z fotografiami Almy, nieprzytomnej, otoczonej aparaturą podtrzymującą życie i zdjęciem jej dziecka. Sprawa Saucedo przeciwko Rosenthal zmieniała się w cyrk. Tłum przypominał Maxowi stado hien, szarpiących resztki porzuconej padliny.

Wkrótce Rosę stanie w świetle reflektorów. I będzie musiała być dobra, inaczej media rozszarpiają na strzępy. Ale o co on się martwi? Rosę jest dobra. Ale dobry jest także Di Fazio, mimo całego swego kabotyństwa. Max obserwował go teraz, krocącego w tę i nazad po sali sądowej jak przegrzany aktor, kłaniający się tłumowi, jak gdyby oni wszyscy zapłacili za drogie bilety, żeby go zobaczyć.

Max, patrząc ponad tłumem, dostrzegł przy stole obrony Rosę, gmerającą w teczce. Miała na sobie kostium, którego wcześniej nie widział, kobaltowo niebieski, i przesadnie skromną kremową bluzkę, ukazującą w rozpięciu rozkoszną złotą kolumnę jej szyi. Właśnie pochyliła się, żeby podnieść papier, który spadł na podłogę, jej ciemne loki rozwiały się, zasłaniając twarz; perły, które jej dał, odskoczyły przy tym od szyi, chwytając światło. Jego serce powoli obróciło się o dziewięćdziesiąt stopni.

Myślał o rozmowie telefonicznej, jaką miał w zeszłym tygodniu z Garym Enfieldem z Los Angeles. Gary powiedział mu o operacji serca Bruce'a Oldsena, o tym, że namawia Bruce'a na wcześniejszą emeryturę, a potem rzucił bombę - poprosił Maxa, by przyjechał objąć dział spraw spornych w Century City.

Max, w zamięcie myśli, powiedział Gary'emu, że się zastanowi. Co właśnie robił, sumując wszystkie powody, dla których to nie mogło się udać. Równoważąc je ze wszystkimi „dlaczego nie”.

Teraz, patrząc na Rosę, myślał: Jak mogę cię opuścić? Jak mogę odjechać, nawet jeśli posiadam tylko część ciebie?

Najpierw nie mógł znieść myśli o rozłące z Mandy. Ale, jak na ironię, to sama Monkey rozwiązała ten problem. „Spokojnie, tatusiu - powiedziała, kiedy poruszył ten temat przy lodach ze śmietanką i owocami u Rumpelmayera. Odwróciła łyżeczkę i zlizwała sos karmelowy. - Naprawdę mogłoby mi się spodobać spędzanie tam wakacji. O rany! Kalifornia. Cyndi mówi, że tam są wspaniali chłopcy. Czy mielibyśmy dom koło plaży?”

A więc to zostało ustalone. Monkey, w obcisłych dżinsach i koszulce, paplała o chłopcach, przypominając mu, że za kilka lat będzie miała lat osiemnaście i będzie dość duża, żeby mieszkać tam, gdzie zechce. Mogłaby nawet zdecydować, że pójdzie do college'u koło niego.

Ale z Rosę nie byłoby żadnej przyszłości, żadnych letnich wakacji, żadnej drugiej szansy. Patrząc teraz na nią, czuł do niej nieodparty pociąg. Jak mógłby odejść, jeśli istniał jeszcze cień szansy?

Czy to już cztery miesiące, odkąd przeprowadził się na Beekman Place? Całe cztery miesiące spania osobno, powrotów do pustego mieszkania. Fantazjowania co rano, że jeszcze na pół uśpiony znajdzie pończochy Rosę, suszące się na drażku prysznic. I marzeń co noc, kiedy otwierał frontowe drzwi, że ona będzie na niego czekać, żeby go objąć za szyję i opowiedzieć o czymś zabawnym, co zdarzyło jej się po drodze do domu. Max czuł bolesną pustkę w żołądku.

Inne kobiety? Myślał o ostatnim razie, parę tygodni temu, o ładnej małej blondynce, którą poznał w Związku Prawników przy Vesey Street. Katastrofa. W końcu, prawdopodobnie z litości, wzięła go w usta. Potem, kiedy poszła do łazienki, żeby go zmyć z siebie, leżał na jej łóżku wodnym i płakał. Czuł się zde gustowany sobą, chory z tęsknoty za Rosę.

No, przestań, upomniał sam siebie. Jesteś dużym chłopcem.

Max z wysiłkiem zwrócił uwagę na proces i na klientkę Rosę. Rachel trzymała się bardzo prosto, ręce miała złożone przed sobą. Jej włosy, w kilku odcieniach radości, opadały prawie do talii i lśniły jak po stu pociągnięciach szczotką. Podtrzymywały je szylkretowe grzebienie po bokach. Miała na sobie prosty, dobrze skrojony lniany kostium piaskowego koloru z brzoskwiniową jedwabną bluzką. Żadnego makijażu, z wyjątkiem szminki w najbledszym odcieniu różowego. Wydawała się młoda, mała i wystraszona mimo energicznie zarysowanego podbródka i wyrazu stalowej determinacji w oczach.

Pierwszy cios, pomyślał zmartwiony Max. Ta ława przysięgłych chciałyby statecznego lekarza, kogoś, komu każde z nich mogłoby zaufać, gdyby tu, na miejscu, zdarzył się komuś atak serca. Nie drobniutkiej dziewczyny, która wyglądała, jak gdyby dopiero co skończyła studia.

Przy stole oskarżyciela siedziała kobieta, którą mogła być tylko matka Almy Saucedo. Około czterdziestu lat, z nadwagą, w taniej kwiecistej sukience, mocno naciągniętej na plecach, aż widać było pod nią wgłębienie od stanika. Olbrzymią czarną torbę z lakierowanej skóry trzymała na kolanach, nerwowo mnąc jej wytarte paski.

Drugi cios, mruknął do siebie Max.

Urzędnik zaanonsował donośnym, monotonnym głosem: - Sąd wrócił. Dalszy ciąg sprawy Saucedo przeciwko Rosenthal. - Przysięgli wrócili gęsiego na miejsca. - Niech spis wykaże, czy wszyscy sędziowie przysięgli są obecni i czy obrońcy są obecni.

Szum głosów, szuranie butów na drewnianej podłodze, szelest zdejmowanych płaszczy stopniowo zamierał. Dawało się słyszeć jeszcze tylko ciche syczenie staromodnych grzejników parowych i odgłos kroków w hallu na zewnątrz.

- Dzień dobry, panie i panowie - powitał wszystkich ze swego miejsca sędzia Weintraub. Jasnowłosa mężczyzna o trochę za długich zębach. Prawie kompletnie łysy. Słabe serce. Wkrótce odejdzie na emeryturę. - Panie Di Fazio?

Di Fazio, który zajmował krzesło obok swego klienta, skoczył na równe nogi - jak marionetka, pomyślał Max.

- Wysoki sędzie - zaintonował głosem, zabarwionym akcentem z Bronxu. - Chciałbym wezwać na miejsce dla świadków doktora Davida Sloane'a.

Max poszedł za spojrzeniem wszystkich na sali, obserwując, jak wysoki, przystojny mężczyzna podniósł się z jednej z pierwszych ławek i podszedł do miejsca dla świadków. Miał na sobie dobrze uszyty granatowy garnitur w prążki - skrojony w stylu nowoedwardiańskim

- i szeroki krawat. Miał długie baczki, rozszerzające się w modny klin, ale nienagannie przystrzyżone. Max podejrzewał, że ten facet jeździ corvetta i słucha Mantovani. Ale, o Jezu, on wygląda imponująco, właśnie tak, jak doktor, którego wezwałbyś do ataku serca... albo żeby zeznał w procesie o niewłaściwe leczenie. Oczywiście, o ile byłby po twojej stronie.

- Dzień dobry, doktorze Sloane - powitał go Di Fazio. Jak gdyby na zewnątrz nie było blisko zera i nie lało jak z cebra. Najgorszy listopad, jaki Max pamiętał.

- Dzień dobry - odpowiedział uprzejmie Sloane.

- Doktorze, czy jest pan lekarzem z prawem praktyki w stanie Nowy Jork?

- Tak.

- Czy zechciałby pan przypomnieć swoją drogę zawodową?

- Studiowałem i otrzymałem dyplom w Princeton, przygotowywałem pracę dyplomową z mikrobiologii w Uniwersytecie Johna Hopkinsa, potem studiowałem medycynę w Uniwersytecie Columbia. Praktykowałem u Dobrego Pasterza w Brooklynie i zostałem tam mianowany głównym specjalistą na oddziale położniczym i ginekologicznym.

Di Fazio oparł się o barierkę miejsca dla świadków, z ręką w przedniej kieszeni, jak gdyby on i Sloane byli dwoma starymi kumplami, obrzucającymi głównym płot wokół podwórza.

- Czy jest pan członkiem jakichś stowarzyszeń zawodowych, doktorze?

- Tak. Jestem członkiem Amerykańskiego Zrzeszenia Chirurgów, członkiem Amerykańskiego Zrzeszenia Położników i Ginekologów, członkiem Międzynarodowego Zrzeszenia Chirurgów, członkiem Towarzystwa Ginekologicznego Stanu Nowy Jork.

Zbyt filisterskie. Dobrze. Ława przysięgłych się w tym połapie, pomyślał Max.

- Czy jest pan teraz związany ze szpitalem na obszarze metropolii? - wypytywał Di Fazio.

- Tak. Jestem szefem oddziału położniczego w Szpitalu Świętego Bartłomieja.

- Jak długo zajmuje pan to stanowisko, doktorze?

- Sześć miesięcy. Przedtem byłem zatrudniony w Szpitalu Prezbiteriańskim.

- Czy przypomina pan sobie pacjentkę, która została przyjęta do Świętego Bartłomieja piętnastego lipca tego roku, młodą kobietę nazwiskiem Alma Saucedo?

- Istotnie przypominam sobie. Bardzo dobrze. - Zmarszczył lekko brwi.

- Doktorze, słyszeliśmy wczoraj oświadczenie Emmy Dupre, która była dyżurną pielęgniarką tamtej nocy, kiedy przyjęto pannę Saucedo. - Di Fazio podszedł wolnym krokiem do swego stołu i wyciągnął dokument z otwartej teczki. - A teraz chciałbym panu wręczyć kartę szpitalną Almy, wypisaną przez panią Dupre, która w spisie oskarżenia nosi numer drugi. Czy widział pan ją wcześniej, doktorze Sloane?

- Widziałem. - Sloane zerknął na kartę i zwrócił ją prawnikowi. Każdy jego ruch i gest wyglądał na wystudiowany. - Na dole pierwszej strony są moje zapiski. Badałem pannę Saucedo wieczorem szesnastego lipca.

- Czy może nam pan powiedzieć, co pan stwierdził, kiedy badał pan pacjentkę, doktorze?

David Sloane zdawał się zastanawiać. Głowę miał lekko pochyloną, długie, kształtne dłonie złączone na kolanach, niemal jak gdyby się modlił. Kiedy w końcu podniósł głowę, z wyrazem zatroskania w zielonych oczach, wywarł elektryzujący efekt na tłumie. Podnosił się pomruk, ciała wychylały się do przodu w oczekiwaniu. Nareszcie, po trzech dniach suchych oświadczeń, mieli dostać prawdziwy wyciskacz łez.

- Panna Saucedo - powiedział w końcu - była w ósmym miesiącu ciąży. Stwierdziłem, że ma nadciśnienie i wykazywała ostre objawy obrzęku - to znaczy, że zatrzymanie płynów było u niej bardzo wysokie. Innymi słowy, bardzo toksyczne.

- A więc, w pańskiej opinii, znajdowała się w ryzykownej sytuacji?

- Toksemia nie jest czymś niezwykłym u brzemiennych kobiet, szczególnie w ostatnich miesiącach. Ale tak, nie leczona może spowodować niebezpieczne powikłania zarówno u matki, jak u dziecka.

- Czy przepisał pan coś pacjentce?

- Nie.

- O? Czy może nam pan powiedzieć dlaczego?

- Ona nie była moją pacjentką. Lekarzem prowadzącym była doktor Rosenthal. - David podniósł chłodne spojrzenie na Rachel.

Max mógłby przysiąc, że nawet z tej odległości, widział, jak zadrżała. Kolory odpłynęły z jej twarzy, skóra pod wielkimi niebieskimi oczyma zdawała się przybierać bladofioletowy odcień.

Zwrócił spojrzenie ku Rose. Siedziała wyprostowana, podbródek uniesiony, ramiona ścignięte, gotowa do walki. Dzielną dziewczyną.

Di Fazio uśmiechnął się. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do uśmiechów, po prostu rozciągał grube wargi, żeby ukryć nieładne zęby.

- Ale ma pan swoją opinię na temat leczenia zastosowanego u Almy Saucedo, czy tak?

- Tak.

- I jaka była wówczas pańska opinia, doktorze? Czy zgadzał się pan z diagnozą doktor Rosenthal w tym przypadku?

- Nie, nie zgadzałem się. Ani wówczas, ani teraz.

Max zobaczył, że Rachel wzdrygnęła się, jak gdyby wymierzono jej policzek. Odwróciła się do Rose, potrząsając głową, wymawiając bezgłośnie „nie”.

- O? I czy podzielił się pan z nią wówczas tą opinią?

- Tak. Właściwie dyskutowaliśmy trochę nad tym. Doradzałem jej bezzwłoczne wykonanie cesarskiego cięcia. Czułem, że czekanie na naturalny poród byłoby bardziej ryzykowne dla matki niż przedwczesny poród dla dziecka. Bardzo dokładnie pamiętam, iż ostrzegałem

doktor Rosenthal, że pannie Saucedo grozi niebezpieczeństwo embolizmu... albo czegoś jeszcze gorszego.

Max popatrzył po sędziach przysięgłych. To było coś nowego. Coś groźnego. Nastała chwila głębokiej ciszy, podkreślanej jeszcze pokasywaniem publiczności i syczeniem grzejnika.

Wydawało się, że Rachel lekko zachwiała się krzesło, jak gdyby miała zemdleć, i nagle mężczyzna siedzący tuż za nią zerwał się, podchodząc do jej boku. Mężczyzna w tweedowej marynarce z łatami na łokciach. Wysoki, kanciasty, swobodny w ruchach. Maxowi przywodził na myśl młodego Gary Coopera.

Max poznał go. Tę twarz widywał w magazynach, wywiadach telewizyjnych, a później jeszcze na skrzydełku okładki jego książki. I jeszcze na przyjęciu Ruperta Everesta w Londynie. Jak mógłby kiedykolwiek zapomnieć Briana McClanahana? Mężczyznę, którego kochała Rosę.

Zabrakło mu tchu. Musiał usiąść. Zdał sobie sprawę, że jakiegokolwiek były uczucia Briana do Rosę, nie wpłynie to najego własny los. Nawet najotę. Rosę kochała tego człowieka. I nie miało wielkiego znaczenia, że on nie chciał - lub nie mógł - odwzajemnić jej miłości.

Brian również wydawał się rozdarty. Ramieniem otaczał żonę, ale spojrzenie miał utkwione w Rosę, błagalne spojrzenie. Szukał pomocy czy zrozumienia?

Czas ruszać, powiedział sobie Max, czując się starszy i tak bardzo smutny. W Kalifornii przynajmniej będzie świeciło słońce.

Spojrzał na swojego rolexa. Już kwadrans po. Musi się spieszyć. Powodzenia, Rosę. Powodzenia i żegnaj, powiedział w duchu, kiedy wyśliznął się na korytarz. Miał wrażenie, że dotarł do kresu długiej podróży, zadowolony, że może pozwolić odpocząć stopom, a jednocześnie do głębi smutny, że podróż się skończyła.

- On kłamie - powiedziała Rachel.

Rosę patrzyła, jak zapala papierosa i odchyła się na oparcie krzesła. Była szara z wyczerpania i tak napięta, że jedno dotknięcie mogłoby ją rozbić na kawałki. Siedziały w pokoju pomocnika szeryfa. Sędzia ogłosił półtoragodzinną przerwę na lunch.

Rosę, przemierzająca wściekle pokój, zatrzymała się i spojrzała rozjarzonymi oczyma na Rachel.

- Albo on, albo ty.

Co za przekłeta idiotka ze mnie, kłęta się w duchu. Wierzyłam, że powiedziała mi wszystko. Celowo nie wspomniała o tej rozmowie ze Sloane'em. Bóg jeden wie, co jeszcze ukrywa.

Rachel wzruszyła ramionami. - Czy to ma znaczenie?

Rosę walnęła pięścią w stół, przewracając pusty styropianowy kubek do kawy i popielniczkę z lekkiego metalu. Popiół i umazane szminką niedopałki rozsypały się po drewnianym blacie. Rachel lekko drgnęła.

- Masz cholerną rację, że to ma znaczenie! Tu nie tylko o twoją dupę chodzi. Wyobraź sobie, jak ja się czułam, słuchając, jak świadek Sala Di Fazio uświadamia mi to, o czym powinna była mi powiedzieć moja klientka. Celowo utrzymywałaś mnie w niewiedzy!

Rachel po prostu siedziała, gapiąc się na dużą, oprawioną w ramki fotografię prezydenta Forda na przeciwległej ścianie. Dym z jej papierosa tworzył wydłużony znak zapytania.

Rosę czuła się bezradna, sfrustrowana. Gdyby chociaż Rachel jej odwrzasnęła. Ale jak miała sobie radzić z tą dziwną u niej, nową apatią? Jezu, co się z nią dzieje?

Rosę myślała o minionych paru miesiącach, długich sesjach w jej biurze, ich nie kończących się rozmowach telefonicznych, niezliczonych kubkach kawy, jakie opróżniły. I w tym wszystkim Rachel, z niebywałą energią, ze

złością, dodawała ognia im obu. Rosę zaczęła odczuwać niechętny podziw dla tej kobiety, którą uważała za swoją rywalkę. Najpierw chciała pomóc Rachel, aby przez to zbliżyć się do Briana. Ale teraz, ku własnemu zdumieniu, chciała jej pomóc dla niej samej.

Już spokojniejsza, usiadła naprzeciw Rachel. Zmusi Rachel, żeby z nią porozmawiała, powiedziała jej wszystko o tym gnojku Sloane i wszystkim innym, co mogła jeszcze ukrywać. Dla dobra ich obu.

Rosę wzięła głęboki oddech.

- Dobrze. Przyjmijmy, że on kłamie. Dlaczego? Jaki ma w tym interes?

- Nie wiem. - Głos Rachel, płaski i martwy, mógłby być nagrany na taśmę głosem z zegarynki.

Ale coś w jej twarzy - trzepotanie powiek, przeskakujący mięsień - zdradziło ją. Ona kłamie, pomyślała Rosę. Pochyliła się do przodu, kładąc dłonie płasko na stole.

- W porządku. Spróbujmy inaczej. Dlaczego nie podasz mi swojej wersji? Czy kiedykolwiek rozmawiałaś o Almie Saucedo z doktorem Sloane'em?

- Tak.

- Czy coś ci doradzał?

- Tak.

- Co?

- Radził mi czekać. Powiedział, że sprowokowanie przedwczesnego porodu byłoby bardziej ryzykowne. - Zgasła papierosa w popielniczce raptownym, niecierpliwym gestem. - Nie wspomniałam o tym, bo nie wydało mi się to ważne.

- Czy myślisz, że on chroni samego siebie? - zapytała Rosę. - Czy dlatego kłamał... że chciał zasłonić własną dupę?

Rosę wcale tak nie myślała. Sloane był na to zbyt gładki. Zbyt zdeterminowany.

- Może. Skąd mam wiedzieć? Słuchaj, czy to naprawdę konieczne? Teraz już wiesz. Nie ma nic więcej do dodania.

- Myślę, że jest.

Rachel odwróciła się powolutku ku Rose, ostrożnie jak inwalida. Jej niebieskie oczy mrużyły się od dymu, który unosił się i rozchodził jak mgła.

Teraz rozumiem, dlaczego Brian się w niej zakochał, pomyślała Rose. Jest tak samo uparta, jak on. Założę się, że tam, w Wietnamie walczyła do upadłego, żeby go uratować.

- David Sloane chciałby mnie widzieć ciągniętą końmi i ćwiartowaną - powiedziała Rachel. - Oto dlaczego.

- Czy ma jakiś szczególny powód?

Rachel milczała.

Rosę czuła, jak gorąca frustracja wzbiera w niej i przelewa się.

- Do ciężkiej cholery! Co za gierki ty tutaj odgrywasz? Myślisz, że jak to będzie wyglądało, kiedy wrócimy tam i ja zrobię z siebie kretynekę w krzyżowym ogniu pytań?

- Tylko to cię naprawdę obchodzi, prawda? - Rachel podniosła głos. - Twoja reputacja, jak ty będziesz wyglądać. Czy to ważne, co się ze mną stanie? - Jej oczy błyszczały gniewem. - No cóż, nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczona. Wiedziałam, w co się pakuję. Może dlatego zgodziłam się ciebie zaangażować. Mam dość sekretów. Dość poruszania się w ciemności. Może naprawdę chodzi tutaj o... Briana.

- Może rzeczywiście - zgodziła się Rose łagodnie, czując dziwną lekkość. Może teraz wszystko wyjdzie na jaw. Czy o to chodziło im obu od początku? - Zawsze chciałam wiedzieć, dlaczego on ożenił się z tobą, zamiast ze mną. Dlaczego przestał mnie kochać.

- Jesteś tego taka pewna? - Usta Rachel ściągnęły się w gorzkim uśmiechu.

- Zrobiłam w tej sprawie wszystko, co mogłam - powiedziała Rose. - Chcę, żebyś o tym wiedziała. Cokolwiek czułam do ciebie, zrobiłam wszystko, co mogłam.

- Wiem. Ale teraz, powiedz mi jedno. Czy wciąż jesteś zakochana w Brianie?

No dobrze. W końcu zadała to pytanie. I Rosę czuła, że wraz z tymi słowami gorycz, która zżerała ją przez wszystkie te lata jak powoli działająca trucizna, znika.

- Tak - powiedziała.

Rachel mocno zamrugała.

- Sądzę, że o tym także wiedziałam - powiedziała cicho, ze zmartwiałą twarzą. - Więc dobrze. Byłaś ze mną szczerą. Opowiem ci o Davidzie Sloane. Równie dobrze możesz wiedzieć. Myślę, że jest w tym jakaś sprawiedliwość, teraz to rozumiem. Ponieważ gdybym od początku nie kłamała Brianowi, mogły ożenić się z tobą, zamiast ze mną.

- Nie rozumiem.

Rosę miała wrażenie, że pokój nagle się zachwiał. Panie Boże w niebiosach, o czym ona mówi?

Rachel była spokojna, tylko jej oczy lśniły światłem tak intensywnym, tak nagim, że patrzenie w nie bolało. Rosę czuła lekkie mdłości i dreszcze, jak gdyby ogarniała ją gorączka.

- Zrozumiesz - powiedziała cicho Rachel - kiedy ci wytłumaczę. Kiedy ci opowiem, jak David Sloane i ja zamordowaliśmy nasze dziecko.

Rosę widziała, że Brian czekał. Dostrzegła go na ławeczce niedaleko tylnego wyjścia, gdzie wieszano płaszcze. Bar był zatłoczony, zadymiony. Z sali w głębi płynął niski aksamitny lament saksofonu. Pomachała Brianowi ręką, ale on jej nie widział. Patrzył w przestrzeń; prawie pusta szklanka piwa stała przed nim na stole.

Wyminęła ostrożnie hałaśliwą grupę ludzi, stłoczonych przy barze. Gęsty, kwaśny odór piwa zalegał jak mgła, a twarze odbite w długim lustrze nad barem migotały w zadymionym powietrzu.

Czuła się winna, jak przestępca, jak gdyby wszyscy wiedzieli i gapili się na nią oskarżycielsko. A co, jeśli w końcu Brian nie zechce jej naprawdę? Każdy krok przeszywał ją bólem, jak gdyby stapała po tłuczonym

szkle. Serce waliło jej tak mocno, że zagłuszało hałasy baru.

Rosę odrzuciła głowę do tyłu, zaciskając zęby, przypominając sobie: Biorę tylko to, co moje, co zawsze było moje. Brian należy do mnie.

Był tak blisko. Po tak długim oczekiwaniu. Niemal w zasięgu ręki.

To była ta chwila, na którą czekała, o którą modliła się, o której marzyła przez siedem długich lat. A teraz ta chwila nadeszła.

Będziemy razem, myślała, tak jak to planowaliśmy tyle lat temu. Kupimy dom w jakiejś spokojnej okolicy, może na Long Island albo w Westchester. Wiem, czego on potrzebuje - żony, dla której będzie na pierwszym miejscu, przed wszystkim i wszystkimi. Potem, za rok czy dwa, dziecko. Dziecko Briana. Coś, co ja mogłabym mu dać.

Zadymiony bar. płaszcz przeciwdeszczowy, który miała na sobie, a teraz jeszcze dźwięki pianina, które dołączyły do łkania saksofonu, przypomniały jej ulubiony stary film, *Casablanca*. Z wyjątkiem zakończenia - zawsze nienawidziła tego zakończenia, kiedy Bogart odchodzi w mgłę, pozostawiając za sobą Ingrid. Niezależnie od tego, ile razy go oglądała, zawsze pragnęła, żeby Bogart wziął Bergman w ramiona i powiedział jej, że nic nie liczy się bardziej niż to, że są razem.

No cóż, teraz napisze to zakończenie na nowo, tak, jak jej się będzie podobało.

Rosę zdjęła płaszcz i wsunęła się na miejsce naprzeciw Briana. Gardło miała tak ściśnięte z emocji, iż przez chwilę obawiała się, że nie będzie w stanie wymówić słowa.

- Bałam się, że nie przyjdiesz - powiedziała.

Wydawał się zdziwiony, - Przecież powiedziałem, że przyjdę. - Uśmiechnął się. - Chcesz się czegoś napić? Piwa? Obawiam się, że to mniej więcej wszystko, co to miejsce ma do zaoferowania. Mieszane drinki to coś, co im się kojarzy z kotłem do gotowania bielizny. Wybrałem ten bar tylko dlatego, że jest blisko.

- To naprawdę nie ma znaczenia. - Poczowała leciutkie zniecierpliwienie. Czy on myślał, że ją obchodzi, gdzie są? - Nie chcę niczego do picia.

Wzruszył ramionami i skończył swoje piwo jednym haustem. Widziała zarost na jego szyi, kiedy odrzucił w tył głowę. Miała ochotę go dotykać, obejmować, całować go całego. Jaki smutny się wydawał i jakoś starszy niż wtedy, kiedy ostatnim razem siedziała naprzeciw niego przy takim stole jak ten. Z kącików jego oczu rozchodziły się zmarszczki.

- Brian... - Wyciągnęła rękę i poczuła, jak jego długie palce owijają się wokół jej dłoni, ciepłe i lekko wilgotne.

Co zrobisz, kiedy ci powiem? Że twoja żona kłamała przez wszystkie te lata? Że nigdy nie będzie mogła mieć twojego dziecka? Czy wtedy wrócisz do mnie?

- ...cieszę się, że jesteś - dokończyła. - Chciałam z tobą pomówić... o czymś. O Rachel.

Brian zgarbił się i zdawało się, że światło znika z jego oczu.

- Więc wiesz.

- O czym?

Milczał przez chwilę, potem powiedział: - Opuściła mnie.

Rosę czuła, jak wypełnia ją, wprost rozpiera dzika radość. Brian jest wolny, wolny. Wszystko okazało się takie łatwe. Rachel zrobiła wszystko za nich.

- Ona cię opuściła? Czy powiedziała dlaczego?

- Nie musiała. To trwa już od dawna. My... - Przełknął ślinę i łzy stanęły mu w oczach. - Słuchaj, nie chcę zrzucać tego wszystkiego na ciebie. To nie ma nic wspólnego z procesem. To zaczęło się dość dawno... nie wiem, kiedy i jak. Boże, chciałbym to wiedzieć.

Widząc bezradną rozpacz na twarzy Briana, Rosę czuła, jak opuszcza ją uniesienie. Miała wrażenie, że tonie. Jest zdenerwowany, bo to dla niego wstrząs, dodawała sobie otuchy. Przejdzie mu to. Pewnego dnia obejrzy się za siebie i spojrzy na to jak na zakamuflowane szczęście.

Szczególnie jeśli ona powie mu prawdę o Rachel.

- Brian, jest coś, o czym powinieneś wiedzieć... - Rosę urwała, nagle niepewna.

Wspominała śmiałość wyznania Rachel. Gdyby Rachel płakała, lamentowała nad sobą, powiedzenie tego Brianowi byłoby łatwiejsze. Ale Rachel prosiła tylko, żeby Rosę jej wysłuchała, nie osądzała. Tymi swoimi nagimi, płonącymi oczyma prosiła o zrozumienie, nie o przebaczenie.

W Rosę narastała irytacja na samą siebie. Powiedz mu teraz. To twoja szansa. Tak czy owak koniec z ich małżeństwem. Ty nie miałaś z tym nic wspólnego. Ty tylko bierzesz to, co zawsze było twoje.

Ale zdała sobie sprawę, że Brian nawet nie zwraca na nią uwagi. Znow patrzył w przestrzeń, tak oddalony od wszystkiego, co miała do powiedzenia. Miała ochotę chwycić go za kołnierz, potrząsnąć nim, zmusić go, żeby ją zobaczył, był z nią.

Odchyliła się na krzesło, trochę wstrząśnięta sama sobą. Wyobrażała sobie werble i skrzypce, pioruny i wspaniałe fajerwerki. A oto siedzieli... w zatłoczonym barze przy Trzeciej Alei... popijając piwo... zatopieni w swoich myślach. Brian chciał pociechy. Ona obietnic miłości.

Jesteśmyjak - o Boże, bolała nawet myśl o tym, że to możliwe -jak obcy. Czy to możliwe? Czy to możliwe, że zmieniłam się tak bardzo, że staliśmy się tak bardzo inni od tych, jakimi byliśmy przed wojną?

Nagle, kiedy muzyka się zmieniła, Rosę zdała sobie sprawę, że myśli o Maksie. Jakie puste wydawało się mieszkanie, odkąd się wyprowadził. Ledwie ostatniej nocy wyciągnęła rękę przez chłodną przestrzeń łóżka, a jego tam nie było. Jakże tęskniła za najgłupszymi drobiazgami, jego brzytwą i szczoteczką do zębów na zlewie w łazience, jego papierami, rozrzuconymi na stoliku do kawy.

O Boże, co się z nią dzieje? Brian był wszystkim, czego chciała, wszystkim, czego kiedykolwiek potrzebowała, A teraz nadeszła jej szansa.

Jednak coś ją powstrzymało. Czy to wyraz osamotnienia na jego twarzy? Tak, ona także znała to uczucie, tę pustkę, jak na ulicy o czwartej nad ranem przy zacinającym zimnym wietrze. O, tak...

Czułam to, kiedy Max odszedł.

Słowa zaczęły wylewać się z niej, ale nie te, które przyszła tutaj powiedzieć.

- ...nie chcę się tutaj bawić w psychiatrę za pięć groszy, czy coś takiego - zaczęła łagodnie. - Ale widziałam to już przedtem... bez względu na to, jakie problemy mógłbyś mieć... taka rzecz jak proces, wystawianie swojego życia na pokaz w sali sądowej, pełnej obcych ludzi... dziwnie wpływa na ludzi. Na małżeństwa. Nie spiesz się z wnioskami, to wszystko, co mogę powiedzieć. Daj sobie trochę czasu.

- Kiedy to się skończy, ten przeklęty proces?

- Mam nadzieję, że za dzień czy dwa. Poprosiłam sędziego Weintrauba o odroczenie do poniedziałku. Są pewne nieścistości, które muszę sprawdzić. Na przykład doktora Sloane'a. Mam uczucie, że on nie jest bardzo koszerny, zwłaszcza po tym, co powiedziała mi Rachel.

Brian zwiesił na chwilę głowę, a kiedy ją podniósł, miał czerwone obwódki wokół oczu. Uśmiechnął się, łagodnie, smutno.

Rosę uczyła ból w sercu i przypomniła sobie czasy, kiedy on bolał nad nią. Tak, tego straszego dnia, kiedy miała trzynaście lat i grała rolę Marii Magdaleny w wielkanocnym przedstawieniu szkolnym. Wszyscy ci obrzydliwi chłopcy rzucali kule z *papier-mdche* w jej piersi - jej duże piersi jak krowie wymiona - i natrzęsali się z niej tak, że tylko ona to widziała, nie publiczność. Och, jakże była upokorzona! Ale nie mogła dać poznać tego po sobie. A potem Brian znalazł ją za kulisami, a całe jej cierpienie wypisane było na jego twarzy. Owinał wokół niej ramiona, przyciągając do siebie jej sztywne, dumne ciało.

Patrząc na niego teraz, Rosę widziała, jak niewiele się w rzeczywistości zmienił, jego dawna gotowość do

współczucia nie została przytłumiona. Patrzyła na jego rękę leżącą na stole, na długie palce obejmujące szklanę, na plamę z atramentu na kciuku, i wyobraziła sobie tę rękę wyciągającą się ku niej, głaszczącą ją po twarzy.

- To tak, jak w Wietnamie - mówił Brian. - Wiesz, dlaczego przegraliśmy wojnę? Powiem ci. To nie ma nic wspólnego z Cwanym Dickiem, z hrabstwem Kent czy z CIA. To dlatego, że nie rozumieliśmy, o co walczyliśmy. Nie po prostu z żółtkami. Nie na kije bambusowe i maczety z facetami w czarnych piżamach - mówię o tym, że nie wiedzieliśmy, o co, do diabła, mamy walczyć. W końcu to nie wietkong był naszym wrogiem, a my sami. To nas zabijało. Nie wiedzieliśmy, o co walczyliśmy i wciąż kręciliśmy się w kółko. I właśnie to zabija Rachel. To, że nie wie, kto jest wrogiem. Ci Saucedo? Di Fazio? Nie wydaje mi się. Ja myślę, że to ona... my. Dzieje się z nami coś złego, czegoś brakuje. Kiedyś myślałem, że brak nam dziecka, ale teraz wiem, że chodzi o coś więcej. Oboje potrzebujemy czegoś, czego moglibyśmy się trzymać. Czegoś solidnego. Ale, Chryste, tego już nie ma. Kiedyś było. Może wciąż jest... gdzieś... tylko nie dość dobrze szukamy.

A może po prostu wybrałaś niewłaściwą kobietę, pomyślała Rose. Ale gorycz nie byłajuz taka mocna, jak niegdyś. Czuła w niej jakąś domieszkę, coś słodkiego i czystego, co obmyło ją jak górskie źródło.

Przebaczenie.

Kochałam cię. Kochałam cię dosyć, żeby dla ciebie umrzeć. Ale nie uratowałam cię, tak jak Rachel. I teraz rozumiem, jak wieje wichur zmian. Jak wydarzenia mogą być większe, silniejsze niż my. A nawet jak można kochać więcej niż jedną osobę. Jak każda miłość ma własne, subtelne odcienie, jedna jest może silniejsza, ale niekoniecznie wymazuje drugą.

Goniła za przysłowiową tęczę. Jakaś część Briana kochała ją i zawsze będzie kochała. Tak, jak dorosła osoba kocha szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa - wakacje na bosaka i sok pomarańczowy, i podróże metrem

na Coney Island. Miłość ta może dlatego była tak dojmująca, że -jak Rosę przeczuwała - nie było do niej powrotu.

- Zastanawiam się, jak nam by się ułożyło. Gdybyś ożenił się ze mną - powiedziała Rosę. Był czas, kiedy nie mogłaby wypowiedzieć tych słów, gdyż sprawiłyby jej zbyt wiele bólu.

Brian uśmiechnął się i trochę smutku uleciało z jego twarzy. - Popełnialibyśmy błędy, jak wszyscy. Kłócilibyśmy się o to, kto zostawił nie zakreconą tubkę pasty do zębów i który film mamy obejrzeć. I, taaak, niekiedy żałowalibyśmy, że nie poślubiliśmy kogoś innego.

- Ale bylibyśmy szczęśliwi.

- Taaak. Prawdopodobnie. - Ścisnął jej rękę w swojej i popatrzył jej w oczy; jego spojrzenie przez chwilę było jasne i pogodne. - Ale, Rosę, nie mieliśmy monopolu na szczęście. Kochałaś mnie częściowo dlatego, że czułaś się taka samotna. I byłaś tak cholernie dumna. Gdybyś pozwoliła zbliżyć się innym...

- Nie chciałam nikogo innego.

- Rosę, ciężko jest samemu ponosić odpowiedzialność za szczęście innej osoby. Nikt nigdy nie powinien być tym jedynym.

Łzy piekły jej oczy, ale zdobyła się na uśmiech. - Szło ci nie najgorzej.

Potrząsnął głową. Wyglądał na zadowolonego. - Nigdy nie myślałem, że usłyszę, jak to mówisz.

- Przez długi czas nie mogłabym. Wspomnienie tamtych czasów za bardzo bolało. Ale chyba się zmieniłam. Oboje się zmieniliśmy. Chyba wolę wspominać dobre chwile niż wyrzucać je z pamięci razem ze złymi. - Przechyliła głowę na bok, przypominając sobie coś. - Czy wciąż masz ten medal ze Świętym Krzysztofem, który ci dałam?

- Nie, ale uratował mi życie. W Wietnamie. - Pospiesznie opowiedział jej swoją wersję historii ocalenia, którą Rosę znała z gazet.

- Cieszę się, że mi o tym opowiedziałeś. - Cofnęła rękę, żeby obetrzeć wilgoć z oczu. - Przez wszystkie te miesiące czułam się taka nieszczęśliwa, nie mając wiadomości od ciebie. To w pewien sposób wyrównuje rachunek.

- Jaki rachunek?

- Chodzi o Rachel i ciebie. Latami byłam piekielnie zazdrosna o to, że ona uratowała ci życie. To coś, co ja zrobiłabym dla ciebie setki razy... tylko nigdy nie miałam takiej szansy.

Ale teraz masz szansę, powiedziała sobie.

- Rosę... jeśli to ci robi jakąś różnicę - powiedział pospiesznie - j a naprawdę cię kochałem. Wciąż kocham, w pewien sposób.

- Wiem.

Wymienił długie, czułe spojrzenia. Dobrze rozumiała, co miał na myśli... gdyż czuła to samo. Kochali się takimi, jakimi byli, i takimi, jakimi mogliby być... nie takimi, jakimi są teraz.

- Kochasz Rachel? - zapytała Rosę, przerywając długą ciszę.

- Tak. Chyba aż dotąd nie wiedziałem, jak bardzo.

Spojrzał na nią, a ona nie zobaczyła nic prócz szczerości w tych wspaniałych szarych oczach, które zdawały się spoglądać wprost z serca. Nigdy nie było w Brianie nic prócz szczerości.

Mogłabym mu powiedzieć, jak ona kłamała, mogłabym rzucić go na kolana, ale nie tego chcę, prawda? Już nie.

Rosę wyprostowała się, dziwiąc się, że nie czuje wielkiego bólu. Doszła do końca drogi z Brianem i pozostała tylko słodko-gorzka nostalgia.

- Szukaj jej - powiedziała z nieoczekiwanym naleganiami w głosie. - Jeśli ją kochasz, to jej szukaj, powiedz jej, że będziesz ją kochał bez względu na wszystko, co zrobiła, czy kiedykolwiek zrobi.

- To aż takie proste?

- Nie. To nigdy nie j est proste. Wcale tego nie mówię.

Obraz Maxa wypełnił jej myśli, wolne nareszcie od cienia Briana. Dojmujący jak obraz wspaniałego podarunku, który oddała, nie zdając sobie sprawy z jego wartości.

Och, Max, dlaczego niczego nie widziałam?

- Musisz spróbować - powiedziała nieprzekonująco, niezdolna wyrazić tego, co czuła.

- Rose, jest jeszcze coś... Przez długi czas nienawidziłem się za to, co się z nami stało.

- Nie. - Ścisnęła jego rękę i puściła ją.- Miałaś rację w tym, co powiedziałeś przedtem. Gdybyśmy się pobrali... cóż, może wtedy nie byłam przygotowana na coś, co nie jest doskonałe. Tak, jak ten fort na dachu. Nasz własny mały świat. Ale on nie był prawdziwy, czyż nie? Był wymyślony. Jak te opowiadania, które pisywałeś.

- Rose... to, co czułem do ciebie, było prawdziwe.

- Wiem. Teraz to wiem. - Zsunęła się ze stołka.

- Muszę już iść, Bri. Zapomniałam o czymś ważnym. Mam tylko nadzieję, że nie jest za późno.

Brian wstał i niezgrabnie wyciągnął rękę. - Żegnaj, Rose.

Ignorując jego rękę, Rose pocałowała go lekko w policzek, czując w gardle dławiącą grudkę. - Żegnaj. I powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko ułoży się wam dobrze. Wiesz, to śmieszne, ale ja mimo wszystko wierzę w *happy endy*.

Rose odwróciła się plecami do zatłoczonego baru, odprowadzana samotną melodią saksofonu, i cicho zmówiła modlitwę, żeby Max był w domu, kiedy ona zadzwoni.

Sędzia opuścił młotek z lekkim stukiem, który wywołał w Rachel dreszcz. Czuła się taka napięta; wszystkie mięśnie jej pleców zamarły w bezruchu, jak gdyby najmniejsze ich drgnienie mogło przełamać ją na pół jak zeschniętą gałązkę.

Boże, niech to się skończy. Przeżyła już gorsze rzeczy, daleko gorsze, w Wietnamie. Załamani mężczyźni we krwi. Umierające dzieci. Jednak wtedy była silna, wiedziała, co robić, i robiła to. Tutaj czuła się bezsilna, nie mogła pomóc nawet sobie. Jej przyszłość leżała w rękach innych ludzi.

- Dalszy ciąg rozprawy Saucedo przeciwko Rosenthal... - urzędnik sądowy zawołał głośno na użytek protokółantki, nachylonej nad małą maszyną i uparcie na niej chroboczącej, niczymjakiś owad nadnaturalnych rozmiarów.

Przeprowadzono wstępne formalności, przysięgli zajęli miejsca. A teraz zaczyna się *show*, pomyślała Rachel, rozglądając się po sali, widząc wokół siebie wyostrzone uwagą twarze, słysząc zanikający zgiełk. Obracała w palcach swój talizman, zawieszony na łańcuszku na szyi maleńkiego złotego węża Eskulapa - świętego uzdrawiającego węża, symbol lekarzy. Kay dała jej go na początku procesu. „Już niemal wybrałam dla ciebie gwiazdę Dawida - powiedziała - ale jednak zdecydowałam się na to. Uznałam, że trzeba ci przypomnieć - nie jesteś Bogiem, tylko lekarzem... i to cholernie dobrym lekarzem.”

Chciała, żeby Kay była teraz tutaj. Jednak, mimo protestów Kay, sama nalegała, żeby została w klinice. Było tam aż za dużo roboty, a personelu jak na lekarstwo. Choć po tym procesie może już nie być kliniki. Bez względu na rezultat, agonია już wkrótce dobiegnie końca. I trzeba będzie spojrzeć w twarz życia, bez Briana.

Będzie musiała znaleźć sposób, żeby sobie z tym poradzić. Ale przynajmniej skończą się sekrety i kłamstwa.

Nagle w jej zmęczone myśli wkradła się ulga. Teraz wszystko w rękach Rosę. Cudowna broń. Jednym uderzeniem może mnie uratować i zniszczyć mi życie. Ujawnić wszystko o Davidzie i o mnie, uratować mnie przed jego kłamstwami... a wtedy moje kłamstwa spieprzą mi życie.

Podniosła wzrok na Rosę, wstającą się z krzesła, wysoką i w jakiś sposób sprawiającą wrażenie niezwyciężonej. Jaśniejąca stanowczością, zdawała się dominować nad salą sądową. Ubrana była w bluzkę w odcieniu głębokiej purpury, tweedową spódnicę i czarne skórzane botki. Na szyi miała krzyżyk, a pod nim związany w węzeł sznur pereł. I ten dziwny, samotny rubinowy kolczyk. Jej ciemne włosy opadały na ramiona niczym ciężka burzowa chmura.

Jest inna. Silniejsza. Coś się z nią stało. Brian? Czy była z Brianem? Rachel wyobraziła sobie ich razem, Rosę i Briana. Spleceni w łóżku, obsypujący się pieścizotami i pocałunkami, kochający się bez barier, bez sekretów. Miała wrażenie, że jej serce jest otwartą raną.

Tęskniła za Brianem, bardziej niż kiedykolwiek mogła przypuszczać. Nie widziała go przez dwa dni, nie licząc jego obecności tutaj, na sali sądowej. Nie rozmawiali ze sobą, od kiedy wyprowadziła się do mamy. Zostawiła mu kartkę z prośbą, żeby nie próbował się z nią kontaktować, przynajmniej przez jakiś czas.

Wkrótce Brian dowie się dlaczego.

Była zdecydowana nie odwracać się, nie poszukiwać wzrokiem jego kochanej, znajomej twarzy. Jednak czuła jego obecność. To ją rozgrzewało, podnosiło na duchu. Mimo wszystko mogła liczyć na jego lojalność. Jednak wkrótce Brian się dowie, jak go okłamywała. I co wtedy?

Jej życie było teraz w rękach Rosę. Wszystko od niej zależało. Dlaczego zaufała Rosę? Dlaczego oddała naładowany pistolet w ręce osoby, która miała najwięcej do zyskania niszcząc jej życie?

Ponieważ jestem zmęczona, pomyślała. Jestem wyczerpana kłamstwami. Była tak wyczerpana, aż czuła się chora. Nagle nie mogła znieść myśli o tym, że wszyscy się dowiedzą - Brian, mama i wszyscy ci żądni krwi obcy ludzie. Jej sekret - to, jak zmusiła Davida, by sam wykonał zabieg, by usunął z niej swoje dziecko - wyjdzie na światło dzienne niczym jakiś groteskowy robak przez lata ukryty pod kamieniem. Ludzie nigdy tego nie rozumieją, będą to traktować jako jej potworną zemstę, coś obrzydliwego i niemoralnego. I jak mogła wyjaśnić, jak mogła ich przekonać, że to, czego zażądała, było czymś przyzwoitym, czymś, z czym mogło żyć jej sumienie?

Nie rób tego, błagała w duchu, obserwując Rosę zbliżającą się do stołu sędziowskiego i siwowłosego sędziego, nachylającego się ku niej. Och, proszę, nie rób tego.

- Wysoki sędzie, chciałabym przesłuchać ostatniego świadka pana Di Fazio, doktora Sloane'a - powiedziała Rosę, a jej głos zadźwięczał czysto i pewnie.

Sędzia Weintraub odchrząknął i skinął przyzwalająco głową; miał obwisłe powieki, pomarszczone jak karbowana bibułka. - Obrona może przystąpić do przesłuchania świadka.

Rachel wpatrzyła się w swe dłonie, splecione ciasno na brzuchu. Nie. Nie spojrzysz na niego. Nie da mu tej satysfakcji... Doszedł ją chłód poruszonego powietrza; to mógł być tylko David. Uchwyciła ślad słodkiego, mdlącego zapachu. Jego woda po goleniu. Żołądek jej się skręcał. A potem podniosła wzrok, wbrew sobie, jak gdyby siła ciężkości zaczęła działać w przeciwnym kierunku. Na ułamek sekundy ich oczy się spotkały i, jakby dotknęła przewodu pod napięciem, poczuła boleśnie przeszywający prąd. Jego oczy były absolutnie zimne, pozbawione jakichkolwiek emocji. Oczy manekina z witryny sklepowej.

Rachel obserwowała go, jak zajmuje miejsce dla świadków w sztywnym na zamówienie garniturze, francuskiej

koszuli i mokasynach od Gucciego. Imponujący mężczyzna, straszny świadek. Gładki łgarz.

W przypiływie gniewu wyprostowała się na ławie, lekko odrzuciła do tyłu głowę. Nie mogę z tobą walczyć tak, jak bym chciała, powiedziała do niego w duchu, ale niech mnie diabli, jeśli dam ci satysfakcję i pozwolę myśleć, że położyłeś mnie na łopatki.

Teraz skupiła wzrok na Rosę, która stała przed barierką dla świadków, odprężona i opanowana, z plikiem kartek w dłoni. Czy rzeczywiście czuła się taka pewna siebie, na jaką wyglądała?

- Doktorze Sloane - zaczęła Rosę miłym tonem - będę panu zadawać pytania i proszę, żeby odpowiadał pan głośno i wyraźnie, żeby zwracał się pan do ławy przysięgłych, tak żebyśmy wszyscy mogli słyszeć pańskie odpowiedzi.

- Z przyjemnością - odparł David z lekkim uśmiechem.

- Doktorze, zeznał pan w piątek, że zanim przyjął pan stanowisko ordynatora oddziału położniczego w Szpitalu Św. Bartłomieja, pracował pan - zerknęła na jedną z pliku kartek, które trzymała w dłoni - w Szpitalu Prezbiteriańskim. Zgadza się?

- Tak, to prawda.

- A przedtem?

- Przez krótki czas prowadziłem prywatną praktykę.

- Rozumiem. - Jeszcze raz zerknęła na swoje kartki.

- Nie, do wiary, ale kiedy przesłuchiwał pana pan Di Fazio, nie padło na ten temat ani słowo. Może umknęło to panu z pamięci, doktorze. Mógłby nam pan powiedzieć, kiedy i gdzie to było?

Lekki cień dezaprobaty zeszpecił celuloidową doskonałość manier Davida. - Oczywiście. To było w Westbury, w Connecticut. Prowadziłem prywatną praktykę w zespole, wraz dwoma innymi lekarzami. Niech się zastanowię... To mogło być od jesieni siedemdziesiątego pierwszego do wiosny siedemdziesiątego trzeciego roku.

- Nie powiedziała by pan, że to dość krótko?

Wzruszył ramionami. - Prywatna praktyka nie dla każdego jest odpowiednia. Ja wolę wyzwanie, jakie stanowi szpital miejski.

- Doktorze, czy przypomina pan sobie pacjentkę, która w tamtym czasie była pod pańską opieką, panią Sarę Potts?

Zwlekał przez ułamek sekundy, a potem potwierdził.

- Tak, naturalnie.

- Mógłby pan opisać jej stan?

- Była w ciąży.

- Czy odbierał pan poród pani Potts, doktorze?

- Nie.

- Czy mógłby pan nam powiedzieć - i proszę mówić głośno, doktorze, tak żeby wszyscy członkowie ławy przysięgłych pana słyszeli - dlaczego pan nie odbierał tego porodu?

Upomnienie Rose, by David mówił głośno, przyniosło dokładnie odwrotny efekt. To jasne, że był to efekt pożądaný przez Rose, zauważyła Rachel. David mówił przyciszonym głosem, wydawało się nawet, że lekko się jąka.

- Poroniła w piątym miesiącu. Naturalnie, robiłem, co mogłem, ale...

- Nie musi pan wyjaśniać, doktorze. Wystarczy, że będzie pan odpowiadał na pytania. Doktorze, czy przypomina pan sobie pacjentkę, którą badał pan 17 stycznia 1971 roku? Panią Ednę Robbins?

- Niech się zastanowię... - Wahał się, a na jego twarzy pojawiła się niepewność.

, - Proszę zaprotokołować, że pokazuję świadkowi kartę przebiegu leczenia pani Robbins. Doktorze, czy rozpoznaje pan swoje pismo?

- Tak, to moje pismo. - David nieco się zmarszczył, wpatrując się w trzymaną w dłoni kartę. - Ach, tak. Pani Robbins. Teraz sobie przypominam. Niezwykły przypadek.

- Dlaczego niezwykły? Mógłby pan opisać ławie przysięgłych, w jakim stanie była pani Robbins, kiedy ją pan po raz pierwszy zobaczył?

- Skierował ją do mnie domowy lekarz z powodu niepłodności. Pani Robbins i jej mąż od lat bezskutecznie starali się o dziecko.

- I jakie postępowanie pan zalecił?

- Na początek zaleciłem zwykłe w takich przypadkach badania. Badanie nasienia jej męża, które wykazało normalny poziom plemników. A potem HSG pani Robbins.

- Czy badanie HSG przeprowadzał licencjonowany radiolog?

- Naturalnie.

- I jakiż był rezultat badania?

- Ja.. - David się zająknął.

- Czyż nie jest prawdą, doktorze, że w czasie, kiedy było przeprowadzane to badanie, pani Robbins, nie wiedząc o tym, była już faktycznie w ciąży?

- Ja... Tak, teraz sobie przypominam. Tak nieszczęśliwie. ..

- Dlaczego nieszczęśliwie?

- No tak. Rozumie pani, wstrzyknięto jej barwnik... i to automatycznie wywołało poronienie.

- Ale czy nie można było uniknąć tego straszliwego błędu?

- Pani Robbins zgłosiła się do mnie, ponieważ od ponad pięciu lat nie mogła zająć w ciąży. - W głosie Davida brzmiało poirytowanie, zaczynał też się lekko czerwienić.

- Ale, doktorze, czyż nie istnieje badanie, proste badanie moczu, żeby ustalić bądź wykluczyć ciążę?

- Tak.

- I czy przeprowadził pan to badanie pani Robbins?

- Nie - wy dobył z siebie przez zaciśnięte gardło. - To, co się zdarzyło, to był przypadek jeden na milion...

A teraz spadły na niego słowa jak uderzenie młotem.
- Doktorze, czy to prawda, że pańscy współpracownicy poprosili pana o wycofanie się z zespołu? Ze uważali, iż problem alkoholowy odbija się na pańskiej sztuce lekarskiej?

Adwokat Saucedo - mała nędzna kreatura, pomyślała Rachel, patrząc na niego z obrzydzeniem - poderwał się z zaróżowioną twarzą.

- Wysoki sędzie, sprzeciw. To absolutnie nie ma związku ze sprawą! Doktor Sloane nie jest w tym procesie oskarżonym!

Rosę, niewzruszona, zwróciła się do stołu sędziowskiego, mówiąc: - Próbowałam tylko ustalić wiarygodność tego świadka, ponieważ jego zeznania są tak istotne dla mojej klientki.

Sędzia zwrócił się do Rosę: - O ile obrona nie jest przygotowana, by to udowodnić, będę zmuszony prosić o zaprzestanie tego szczególnego sposobu przesłuchiwania świadka - upomniał.

- Bardzo dobrze, wysoki sędzie. Wycofuję to pytanie, ponieważ doktor Rausch nie mógł tu dzisiaj przyjść.

Rachel była świadoma szumu, jaki się podniósł za jej plecami, pomruku wielu głosów. Przysięgli, którzy przed chwilą wyglądali na znudzonych, teraz wyciągali głowy do przodu, z wyostrzonym wzrokiem, uważni. Wyczuła, że zdarzyło się coś wielkiego. Coś, od czego sala sądowa wydawała się iskrzyć, a Rachel poczuła, jak kurczy jej się skóra na głowie.

Sędzia Weintraub, ze zmarszczonymi brwiami, widocznie poirytowany, kilka razy szybko zastukał młotkiem w stół.

Rosę nie śpieszyła się. Przechyliwszy nieco głowę, z lekkim uśmiechem zastygłym na ustach, bawiła się krzyżykiem u szyi.

- Idźmy dalej, doktorze Sloane - podjęła - do czasu, kiedy podjął pan pracę w Szpitalu Prezbiteriańskim, co nastąpiło po... nazwijmy to, pańskim rozczarowaniu prywatną praktyką w zespole w Connecticut. Czy to prawda, doktorze Sloane, że poproszono pana także, by opuścił pan Szpital Prezbiteriański?

- Oczywiście, że nie - powiedział David nieco zbyt głośno. - Zrezygnowałem z tamtej pracy.

Wysunął na ułamek sekundy koniuszek języka; drobne różowe mgnienie przemknęło po jego wargach.

- Może mógłby pan, doktorze Sloane, naświetlić nam okoliczności, które doprowadziły do pańskiej... hmm... rezygnacji.

- Nie jestem pewien, o jakich okolicznościach pani mówi. - Teraz David wychylił się do przodu z dłońmi strzelście złożonymi pod brodą, a wyraz dezaprobaty na jego twarzy pogłębił się. - Zaproponowano mi prowadzenie oddziału położniczego w Szpitalu Św. Bartłomieja, przyjąłem propozycję i to wszystko. - Zdobył się na uśmiech, w którym było już mniej pewności siebie niż przedtem.

- Ale czy to prawda, że na obecnym stanowisku w Szpitalu Św. Bartłomieja ma pan niższe pobory?

- Nie wiem, dlaczego sąd miałby być zainteresowany moimi zarobkami. - Mówił przez zaciśnięte zęby i Rachel obserwowała, jak twarz oblewa mu rumieniec, a w jego opanowaniu ujawnia się jakaś rysa. - Miałem powody... wystarczające powody... Szpital Św. Bartłomieja stanowił wyzwanie... Na oddziale położniczym potrzebne było właściwe kierownictwo.

- Doktorze Sloane, czy to prawda, że zażądano od pana odejścia ze Szpitala Prezbiteriańskiego, że pańscy koledzy zagrozili postawieniem pana przed komisją etyki lekarskiej, jeśli pan sam nie odejdzie?

- To kłamstwa! - wybuchnął David, a na jego przystojnej twarzy pojawiła się rysa, która ujawniała coś obrzydliwego, wstrętnego. Szybko zrozumiał swój błąd. Przejechał długą, wypielegnowaną dłonią po twarzy i udało mu się odzyskać opanowanie. Spokojnym głosem dodał: - Byli tam ludzie... koledzy... którzy mi zazdrościli, nie mogli znieść, że się wybijam. Rozumie pani, byłem najlepszy...

Coś się dzieje, pomyślała Rachel i maleńkie źdźbło nadziei zaczęło się przebijać przez jej czarne myśli. Boże, popatrz na niego, stracił ten swój chłód.

- Najlepszy w czym, doktorze? Proszę nam powiedzieć, w czym pan był najlepszy?

- Sprzeciw! - wrzasnął Di Fazio. - Obrona dręczy świadka!

- Sprzeciw oddalony.

Rosę znów zwróciła się do Davida: - Doktorze, czy pamięta pan poród, przy którym pan był obecny, w lutym 1974 roku, kiedy jeszcze pracował pan w Szpitalu Prezbiteriańskim? Pacjentka, Katherine Cantrell, była w siódmym miesiącu ciąży. - Głos Rosę był miękki, niemal uwodzicielski.

- Katherine Cantrell - powtórzył tępo. - Tak.

- Czy to był normalny poród?

- Nie... Niech sobie przypomnę... Poród był przedwczesny i pojawiły się... komplikacje.

- Przeprowadził pan cesarskie cięcie. Zgadza się, doktorze Sloane?

- Tak.

- A potem dokonał pan pośpiesznie usunięcia macicy. Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, doktorze Sloane.

- Tak... tak - odpowiedział David z nutą zniecierpliwienia i urazy w głosie - ale co to ma wspólnego z...

- Doktorze - ucięła Rosę miękkim, niemal aksamitnym głosem. Każde jej słowo jednak brzmiało zdecydowanie, ostre jak pazur. - Czy dziecko pani Cantrell przyszło na świat zdrowe?

Przez chwilę milczał, wpatrując się w próżnię. Potem powiedział: - To był wcześniak. Nastąpiły komplikacje. Nie przeżyło więcej niż kilka godzin.

- Nie pamięta pan nawet płci dziecka, czy to był chłopiec, czy dziewczynka?

^A - Nie... nie mogę sobie przypomnieć.

- Pozwoli pan, że odświeżę pańską pamięć, doktorze. - Tym razem nie spoglądała do notatek, ale patrzyła świadkowi prosto w oczy. - Lynda Ann Cantrell, ważąca tysiąc pięćset trzydzieści gramów, w wieku dwóch godzin i czterdziestu dwóch minut zmarła 19 lutego o trzeciej trzydzieści w nocy.

W sali sądowej zaległa cisza.

Później Rosę podjęła miękko: - Mam nadzieję, że to

nie zabrzmiał naiwnie, doktorze, ale czy to prawda, że po usunięciu macicy kobieta nie może zająć w ciążę?

- Zgadza się.

- Odnosząc to do tego przypadku, pani Cantrell nigdy już nie będzie miała dziecka?

- Zgadza się.

- I to było pierwsze dziecko pani Cantrell... jej jedyne dziecko?

- Chyba... chyba tak.

- Chyba tak? To znaczy, że nie jest pan pewien?

- To było... już jakiś czas temu.

- Jednak z pewnością nawet najbardziej zapracowany lekarz zapamiętałby taką straszną tragedię. Z pewnością pamiętałby ją równie dobrze, jeżeli nie lepiej, jak przypadkową uwagę, uczynioną przed wieloma miesiącami i to w prywatnej rozmowie, na temat pacjentki innego lekarza. - Przerwała na chwilę. - Doktorze Sloane, czy to prawda, że był pan pod wpływem alkoholu, kiedy przeprowadzał pan cesarskie cięcie, a następnie operację usunięcia macicy pani Katherine Cantrell? Że lekarz, który panu asystował, doktor Ronald Church, wniósł na pana skargę do przełożonego?

Rachel obserwowała, jak Di Fazio podnosi się, otwierając usta, by zgłosić sprzeciw, ale było za późno. David zerwał się z krzesła, wychylony do przodu, z dłońmi wciśniętymi w barierkę ogradzającą miejsce dla świadków. - Kłamstwa! Wszystko to kłamstwa! Church... ten skurwieli... sam chciał się wybić...

- Wysoki sędzie, chciałbym poprosić o dziesięć minut przerwy. - Di Fazio był już na nogach, zlany potem próbował ratować sytuację. - Mój świadek jest w oczywisty sposób wzburzony tymi bezpodstawnymi insynuacjami. Pani Santini próbuje odwrócić uwagę od przestępstwa, które popełniła oskarżona.

Teraz Rachel przypomniała sobie plotki, które ją doszły. Parę miesięcy temu natknęła się na Janet Needham, która robiła specjalizację na oddziale noworodków w Szpitalu Prezbiteriańskim, i to Janet napomknęła

o tym, że krążą plotki, iż David ma kłopoty z piciem. Jednak wtedy Rachel nie potraktowała tego poważnie. Dobrze pamiętała, że David, przez wzgląd na swego ojca, zawsze unikał alkoholu.

Poczuła, jak drętwieją jej mięśnie ramion i pleców, a wzdłuż kręgosłupa aż do szyi rozchodzi się ostry ból. Wiedziała, że powinna poczuć ulgę. David nie powiedział niczego o niej... a Rosę zrobiła sporo, by podać w wątpliwość jego pierwszorzędną reputację. Jednak Rachel czuła złość. Dlaczego teraz Davida nikt nie oskarży? Był bez wątpienia winien, więc dlaczego nie stanie przed sądem?

Poczuła, jak coś się w niej zbiera, jak podchodzi w górę niczym bąbelki ze ściśniętego mdłościami żołądka, jak nieubłagane napiera najej gardło, choć ze wszystkich sił starała się nad tym zapanować. A potem ciszę sali sądowej rozerwał ten szokujący dźwięk. Wydobył się z niej nieopanowany chichot.

Teraz David wpatrywał się w nią. Jego twarz zdawała się nabrzmiwać, zmieniać się w nadęty szkarłatny balon.

Wtedy przypomniała sobie jeszcze coś, pewną niedzielę sprzed lat, kiedy przechadzali się z Davidem po Central Parku. David potknął się o dziurę w asfalcie, wyrzucił przed siebie ręce i wymachiwał nimi rozpaczliwie, a wyraz jego twarzy stał się niemal komiczny. W porę zdążył odzyskać równowagę. W pobliżu stało dziecko, dziesięcio- czy jedenastoletni chłopiec, który zasłaniając usta dłonią, wybuchnął śmiechem. A David rzucił się ku niemu, rozwścieczony, niemal bez tchu, chwytając chłopca za koszulkę, prawie unosząc go w powietrze. „Nie śmieję się - wysyczał. - Nigdy się ze mnie nie śmieję”.

A teraz musi myśleć, że śmieję się z niego. Że chcę go ośmieszyć. Ciagle chichocząc, obserwowała, jak oczy nabiegają mu krwią, a mięśnie twarzy zaczynają drgać.

I wtedy, niewiarygodne, ludzie wokół niej zaczęli cichutko chichotać, a Rachel dobrze pamiętała, jak zaraźliwy bywa śmiech, szczególnie, jeżeli bardzo się chce nad nim zapanować.

Dla Davida było tego za wiele. Teraz jego usta zaczęły drgać, wykrzywione, wydobywając z niego jakąś szpetotę. Ciężko dysząc, David wymierzył drżący palec w Rachel. - Dziwka! To przez ciebie! To twoja wina! Wszystko! - Nawet głos mu się zmienił, schrypnięty i zgrzytliwy. - Dostanę cię. Będziesz miała za swoje. Pieprzona dziwka!

Cisza w sali sądowej była absolutna. Jak próżnia, nad którą w powietrzu zawisła żywa reakcja.

A potem rozpętało się piekło. Di Fazio pospieszył do miejsca dla świadków, usiłując przywołać Davida do porządku. Pani Saucedo w jaskrawym seledynowym spodniu zaczęła w podnieceniu jazgotać po hiszpańsku, odwracając się do kobiety siedzącej z tyłu, prawdopodobnie krewnej. Na ławie przysięgłych spokój prysł. Kobiety i mężczyźni - czarni, Latynosi, biali - nagle zaczęli mówić wszyscy na raz. Do tej wrzawy dołączyły inne głosy, gwałtownie coś mówiące po hiszpańsku.

Muszę stąd wyjść. Teraz. Właśnie teraz. Rachel podniosła się z uczuciem, że krew odpływa jej z głowy, pozostawiając po sobie biały szum, jak śnieżący ekran telewizora po zakończeniu programu. Czuła się, jak gdyby w pełnym pędzie jechała do tyłu przez długi tunel. Pomyślała jak przez sen: Chyba zaraz zemdleję. Na pewno.

Ostatnie, co zapamiętała, to stuk młotka sędziego.

Rosę obserwowała, jak Rachel się podnosi z ławki i zaczynają się pod nią uginać nogi. Ruszyła ku niej, ale zanim doszła, wokół Rachel zgromadziło się już kilka osób.

Krępy srebrzystowłosy mężczyzna otoczył Rachel ramieniem, podtrzymując ją. Rosę, zbliżywszy się, rozpoznała w nim mężczyznę, z którym kiedyś raz rozmawiała, gdy ten podszedł do niej na korytarzu sądowym z gratulacjami po wygranej w sprawie Krupnika. Potem dziw-

nym zbiegiem okoliczności natykała się na niego kilka razy poza gmachem sądu.

Jakieś greckie nazwisko. Alexandros, tak, tak się nazywał. Co on tutaj robi?

Rosę stanęła nagle uwieczona widokiem przerażonej kobiety podnoszącej się z ławki na samym końcu sali. Kobieta, wiotka jak trzcina i pełna wdzięku, ubrana była w kaszmirowy kostium we wrzosowych odcieniach zmieszanych z lazurem, lawendą i przymglonym błękitem. A spod spodu wyłaniała się wstążka jedwabnej bluzki, lekka jak obłok. Dłonie miała obciążone rękawiczkami, a twarz ocienioną kapeluszem. Starsza kobieta, ale ciągle bardzo piękna. Wystarczyło popatrzeć, jak się porusza.

Kiedy kobieta zbliżyła się, Rosę poczuła, jak jej serce przyspiesza. Znam tę twarz, ale skąd? Gdzie ja ją już widziałam?

Wtedy kobieta nieuważnie podniosła dłoń, by poprawić kapelusz, muskając przy tym ucho, w którym połyskiwał maleńki diamentowy kolczyk.

I nagle Rosę doznała zdumiewającego olśnienia. To ona.

Z niedowierzaniem podniosła dłoń do rubinowej łyzy w swym uchu. Czuła się, jak gdyby brała udział w przedstawieniu w teatrze absurdu, gdzie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość w jednej chwili skupiły się na scenie.

Nie. Coś mi się przywidziało. To nie może być ona.

Wtedy kobieta zatrzymała się pośrodku drogi między rzędami ławek, a jej spojrzenie splotło się ze spojrzeniem Uose. Jej oczy koloru morskiej wody, wielkie i błyszczące od łez, osadzone były w twarzy tak delikatnej i eterycznej jak stara miśnieńska porcelana. Oczy przepełnione straszliwą niemą udręką.

I po tym jednym spojrzeniu Rosę poczuła, że rzeczywistość gwałtownie znika, ta długa wyboista ścieżka, która doprowadziła ją do tego miejsca, do tej chwili. Była na krawędzi snu.

Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Jednak ta chwila minęła. Kobieta nagle ożywiła się, kierując się do grupki zgromadzonej przy stole. Jej smukłe ręce wyciągnęły się w górę, tworząc piękną błękitną altankę nad bladym posażkiem, którym była Rachel.

Rosę w szoku usłyszała, jak Rachel krzyczy: - Mamo!

ROZDZIAŁ 36

Wchodząc do środka, Brian natychmiast dostrzegł sylwetkę Rachel, skulonej w fotelu z Adirondack przy kominku. Przystanął, z ręką ciągle na klamce, czując, jak ogarnia go tłumiona radość.

- Rachel.

Serce mu podskoczyło. Więc wróciła? Czy czekała, żeby mu to powiedzieć?

Podniosła na niego wzrok i uśmiechnęła się. Twarz ciągle miała smutną, a w jej niebieskich oczach błyszczały wezbrane łzy.

Brian poczuł, że jego radość blednie, a wnętrze skracają się. Chryste, jeśli przysłała mi powiedzieć, że wszystko skończone, nie zniosę tego. Tak cholernie za nią tęskniłem. Potrzebuję jej.

- Cześć, Brian.

Wydawało się, że jej głos naprawdę otworzył mu drzwi, popchnął go do środka mieszkania. Powoli szedł ku niej, ze wzrokiem wbitym w jej postać. Wyobrażał sobie, że jest fotografem, który spędził nie kończące się godziny zawiedziony niedoskonałymi ujęciami, złym oświetleniem, niezgrabnymi pozami, a teraz nagle zobaczył, że to wszystko przyniosło doskonały efekt. Lampa na stole dawała idealną ilość światła, ocieniając w przytłumionym kolorze sepia kobietę skuloną w fotelu i wy-

dobywając igrające na niej łagodne refleksy różu, złota i zieleni.

I utraci to wszystko, teraz to się stało dla niego jasne. Poczuł, jak zimne palce dotykającego serca.

Kiedy ostatnio wyglądała tak młodo? Tak pięknie? Prawie jak nastolatka, w dzinsach i jednej z jego starych koszul, z bosymi stopami podkulonymi pod siebie, z kolanami przyciśniętymi do piersi. Jej ciemnozłote włosy, świeżo umyte, rozsypywały się na ramionach, jeszcze połyskujące wilgocią.

Ujrzał teraz, jak była krucha pod fasadą siły. Zawsze uważał, że jest silna, że ze wszystkim sobie poradzi. I może złość, którą na nią czuł, wynikała z zawodu, że w gruncie rzeczy nie jest jej naprawdę potrzebny. Tyle jazy chciał przygarnąć ją w ramiona, tę małą przerażoną dziewczynkę, którą - jak podejrzewał - zawsze gdzieś w środku była, dziewczynkę, którą teraz widział przed sobą, właśnie taką jak kiedyś Rosę.

Zrywało się w nim pragnienie, by dotknąć Rachel, jednak coś go powstrzymywało, jak gdyby mogła się złamać pod jego dotknięciem albo, co gorsze, odsunąć się od niego, schować się znów do swej skorupy. Nie, pozostawi ją w spokoju, pozwoli jej samej wybrać moment na wypowiedzenie tych słów, które miała powiedzieć.

- Skończyło się - powiedziała.

Wydawało mu się, że jego krew zmienia się w lodowatą wodę. Ale ona uśmiechała się blado. I wtedy zrozumiał. Chodziło jej o proces. O Jezusa, oczywiście.

Nie widział jej od wczoraj, od tej niewiarygodnej sceny w sali sądowej, kiedy tłoczący się wokół ludzie odcięli mu dostęp do niej. Tęsknił za tym, by wziąć ją na ręce i wynieść stamtąd, zanieść tam, gdzie znów byłaby bezpieczna, gdzie wspólnie mogliby zacząć od nowa. Jednak zatrzymał się w obawie, że jego natarczywość mogłaby ją urazić. I - co jeszcze głupsze - poczuł złość. To ona powinna zrobić pierwszy ruch, myślał. To ona go zraniła, opuszczając go w taki sposób, zostawiając tylko kartkę przyklepioną do lodówki.

A teraz, kiedy proces już się skończył, miała okazję przemyśleć wszystko i zdecydować, że nie ma już dla nich nadziei, by mogli być razem.

- Dziś rano spotkali się adwokaci - powiedziała.
- Rodzina Saucedo przystała na ugodę.

Brian, siadając na kanapie naprzeciw Rachel, czuł, jak zdrętwiały mu kończyny, jak gdyby zamieniły się w ostrza jego starego, szwajcarskiego wojskowego noża. I czuł zimno, takie zimno. Jednak ciągle usiłował skupić uwagę na tym, co powiedziała. Był zadowolony, że proces się zakończył, ale po tym, co się zdarzyło wczoraj, nie był zaskoczony. Ten skurwiel Sloane. Dlaczego Rachel nigdy mu nie powiedziała, że ma z nim coś wspólnego?

- Nie wyglądasz na zbyt szczęśliwą z tego powodu - powiedział.

Wpatrywała się w obraz nad kominkiem, akwarelę z wielkimi żółwiami morskimi, pływającymi pod wodą. Brian pamiętał, jak znalazła tę akwarelę w małej galerii przy Grove Street i z miejsca się w niej zakochała. „Czy nie rozumiesz, jaki to cud - wyjaśniała mu - że te stworzenia, które na lądzie są tak niezręczne, mają tyle wdzięku pod wodą?”

Rachel w pewien sposób była taka jak te żółwie - pewnie pływająca w znanych sobie wodach, wodach niebezpiecznych, które innych ludzi mogłyby wciągnąć na dno, ratująca życie, nawet ryzykująca własnym, kiedy to było konieczne, ale złąkniona i niepewna, kiedy trzeba otworzyć swe serce i zaufać komuś, zaufać jemu.

- Firma ubezpieczeniowa zaoferowała znacznie niższą sumę niż poprzednio - powiedziała w końcu. - Naprawdę symboliczną. A Saucedo byli tak wdzięczni... że to dostaną, że dostaną cokolwiek... O Boże, Brian, to było takie... rozczulające.

- Nie powinnaś się czuć za to odpowiedzialna - powiedział jej. - To nie była twoja wina.

Wzruszyła ramionami. - Kto jest odpowiedzialny za drugiego człowieka, jeśli w grę wchodzi nieszczęście? Nie, nie czuję się odpowiedzialna za śmierć Almy. Ale roz-

mawiałam w banku, żeby wypłacono część pieniędzy, z których ojciec utworzył dla mnie fundusz powierniczy. Chcę, żeby dostała ją rodzina Almy. Nie uważam, że bym im cokolwiek była winna, ale chcę to zrobić. Dla tego dziecka, dla syna Almy.

Rachel spojrzała na niego i zobaczyła w jej oczach dawny płomienny błysk. Pomyślała o odważnej lekarce, która przekroczyła krawędź ludzkich możliwości dla niego, jeszcze jednego nieszczęśnika przeżutego i wypłutego przez wojnę, która - kto wie dlaczego - uwierzyła w niego i pokonała śmierć. I to była ta jej namiętność ratowania i uzdrawiania, która sprawiła, że się w niej zakochał. Medycyna serca. Czy mógł to teraz odrzucić?

I on był współwinny jej kłopotów. Chciałem tego dla siebie, tej namiętności, tego płonącego światła. Byłem zazdrosny.

- Rachel... - Chciał powiedzieć „kocham cię”, ale zdawało się, że słowa zamarły mu w gardle. Ciężko było się pogodzić z widokiem jej kamiennej twarzy.

- Musimy porozmawiać, Brian. O nas. - Rozprostowała nogi i wstała. Podeszła do kominka i sięgnęła po paczkę papierosów, leżącą na obramowaniu, ale zmieniła zamiar i gwałtownie niemal odtrąciła papierosy. Zwróciła się do Briana z uniesioną twarzą, z zadartą brodą, z płonącymi oczyma.

Poczuł chłodny dreszcz, wiedząc, że tak wygląda zawsze, gdy musi stawić czoło trudnemu zadaniu - stal i ogień, kurczowo uczepona celu. Instynktownie skoczył na nogi i wyciągnął przed siebie ręce. - Zaczekaj. Posłuchaj, zanim jeszcze coś powiesz. Chcę, żebyś wiedziała... Przepraszam cię.

- Przepraszasz mnie. - Wpatrywała się w niego zaszokowana. Potem zamrugała i zobaczyła łzy wiszące na jej rzęsach. - Och, rozumiem. Chodzi ci o Rosę.

- Rosę?

- Wciąż ją kochasz, prawda?

Brianowi nagle zachciało się śmiać. Rosę? Rachel

myśli, że on ma romans z Rosę. O Jezu, skąd jej się wziął ten pomysł? Rosę jej to podsunęła?

- Skąd, do diabła... - zaczął.

- Twoja książka - ucięła. - Trochę przeczytałam. O niej. - Wydawało się, że jej stalowe nerwy w jednej chwili puściły. - Nie musisz wyjaśniać, Brian. W pewien sposób rozumiem. I... nie winię cię za to.

- Nie rozumiesz! - wykrzyknął, zły, że sama zadaje sobie ból, i to bez powodu. - Pisałem o pewnym okresie swojego życia. To już jest przeszłość. To, że mogę sobie przypomnieć, co wtedy czułem, wcale nie znaczy, że czuję to teraz.

- A co teraz czujesz? Nie, poczekaj, nie odpowiadaj. - Złożyła ręce na piersi, mocno przyciskając do siebie łokcie. Wzrok miała spuszczonej, wbity w zagięty chodnik pod jej stopą. - Najpierw ja coś muszę powiedzieć. Coś, co powinnam była powiedzieć ci dawno temu, zanim wzięliśmy ślub. Wtedy się bałam. Bałam się, że jeśli ci to powiem, przestaniesz mnie kochać. A teraz boję się jeszcze bardziej, bo... O Boże, to jest takie trudne...

- Przerwała, usiłując zapanować nad sobą. Jej blada twarz wydawała się niemal przezroczysta. - Bo okłamywałam cię przez te wszystkie lata. Pozwalałam ci myśleć coś, co nie jest prawdą. Pozwalałam ci wierzyć, że nie ma żadnego powodu, dla którego nie możemy mieć dziecka.

Rachel czuła się, jak gdyby spadała z łagodnego zbocza. Światło wirowało jej przed oczami, krew napłynęła do głowy. Dobre uczucie, uczucie uwolnienia od tego wielkiego ciężaru, który tak długo nosiła na sercu. Przez jedną szaloną, podniecającą chwilę unosiła się w powietrzu, absolutnie wolna. Zrobiła to. A teraz nie mogła się zatrzymać w pół kroku, nawet gdyby chciała.

I wtedy zobaczyła, jak Brian wpatruje się w nią, zaszokowany, oszołomiony.

- Nie rozumiem - powiedział.

I jeszcze raz Rachel poczuła ten ciężar i lęk. Nie, teraz nie mogę zawrócić, pomyślała przepełniona paniką. Za-

szałam już tak daleko, że muszę powiedzieć mu wszystko. Nawet jeśli mnie przeklnie, jeśli mnie znienawidzi, to będzie lepsze niż to... ta ściana między nami. Ta straszna niewidzialna bariera.

Och, tak bardzo chciała go znów mieć, widzieć go stojącego tam, tak dobrze znanego, tak nie do wytrzymania kochanego. Wpatrującego się w nią tymi przepastnymi oczami, w których najwcześniej się zakochała. Niemal czuła ciepło jego ciała. Chciała wyciągnąć do niego rękę, wtulić się w to ciepło. Zatracić się w nim.

Jednak nie za cenę kłamstwa.

Poderwała w górę głowę i wytrzymała jego wzrok. Bądź odważna, powiedziała sobie.

- Pewnie wczoraj w sądzie zastanawiałeś się - Rachel brnęła dalej, powoli, poszukując słów po omacku, jak ktoś, kto po długiej chorobie uczy się chodzić - dlaczego David Sloane tak bardzo mnie nienawidzi, dlaczego chce sprawić mi ból. Widzisz, on i ja... byliśmy kochankami. Dawno temu. W czasie mojego stażu. Zaszłam w ciążę, a on... tak, on chciał, żebym usunęła. Aleja nie mogłam. Nie w taki sposób, na zimno, jakbym wrywała ząb, jak gdyby to nic nie znaczyło. Więc... tak, zmusiłam go, żeby sam to zrobił, wykonał zabieg. To dlatego tak mnie nienawidzi. I dlatego... Widzisz, byłam chora, po tym byłam bardzo chora... i powiedzieli mi... och, Boże... po prześwietleniu... powiedzieli mi, że prawdopodobnie nigdy nie będę mogła mieć dziecka... szansa jedna na tysiąc... - głos jej się załamał. Cofnęła się o krok, czując na plecach zimny marmur obramowania kominka. Wydawało jej się, że się kurczy, że wypiera z siebie ten straszny ból. - Teraz wiesz. Wiesz, dlaczego powinieneś być ożenić się z Rosą, nie ze mną. Dlaczego teraz nie ma już żadnego powodu, żeby to dalej ciągnąć.

Czuła, jak wzbierają w niej łzy, ale powstrzymała je. Nje miała prawa płakać, litować się nad sobą. To ona to robiła. I właśnie przez nią Brian teraz wyglądał tak, jak wtedy, gdy był ranny w Wietnamie, blady jak śmierć, w szoku, z rozszerzonymi źrenicami.

Och, mój kochany, chciałabym móc to wszystko cofnąć, wymazać to, co się stało, zacząć wszystko jeszcze raz. Jak inne mogłoby być nasze życie! Ale nie mogę. Co się stało, to się nie odstanie. I pogodziłam się z tym. Wszystko, o co cię proszę, to żebyś nie nienawidził mnie za bardzo, żebyś spróbował zrozumieć.

Jednak Brian nie powiedział nic, tylko stał tam, wpatrując się w nią tymi oczami, w których zdawał się odbijać cały wszechświat.

Czuła się tak zagubiona, zawieszona w próżni, pozbawiona ciężaru. Nareszcie wolna od kłamstwa... ale, Boże, taka samotna.

Teraz odejdz, powiedziała sobie. Odejdz, zanim zaczniesz go błagać, żeby ci wybaczył, żeby cię przygarnął z powrotem.

Rachel odwróciła się i przez zasłone łez zobaczyła jego zamazaną sylwetkę, śpieszącą ku niej. Zaczęła w niej zbierać maleńka kropelka nadziei. Odepchnęła ją. Chciał się pożegnać, to wszystko. Może życzyć jej powodzenia. To był cały Brian, zawsze miły, nawet w najgorszych chwilach. Prawdziwy dżentelmen. O Boże, dlaczego nie pozwoli jej po prostu odejść? Nie mogła znieść myśli, że rozstaną się, podając sobie ręce jak tenisiści po skończonym meczu.

A potem nagle Brian miażdżył ją w swoich ramionach, wypierając z niej dech. Serce Rachel poderwało się, niemal rozsadzane szczęściem. O Boże, czy to się dzieje naprawdę? Ramiona Briana wokół niej. Och, ten cud jego istnienia, jego silne, twarde ciało i kości, jej Brian, tak wspaniale pewny, jak gdyby wpadła do wody, a teraz on ją wydobył na jakiś wspaniały łód.

- Rachel - wymruczał głosem zdławionym przez łzy.
- Ty idiotko. Jak w ogóle mogłaś pomyśleć, że przestanę cię kochać? Cały czas myślałem, że to chodzi o mnie, że to ty przestałaś mnie kochać.

Płakał, oboje płakali. Czuła słony smak łez, gdy go całowała.

- Brian - szepnęła - och, Brian, czy ty mi kiedyś będziesz mógł wybaczyć?

Czekała, wsłuchując się w dźwięki, których wcześniej nie słyszała - tykanie zegara, pomrukiwanie Custera, leżącego na brzegu kanapy, syczenie kaloryfera.

A potem usłyszała Briana, jak powiedział: - Już to zrobiłem.

Rachel, jak nieprzytomna, chciała, żeby to trwało i trwało, to zadziwiające uczucie unoszenia się w powietrzu, ale było jeszcze coś, czego musiała się dowiedzieć, coś zbyt ważnego, by odkładać to na później.

Odsunęła się leciutko, chcąc widzieć jego twarz, kiedy będzie jej odpowiadał.

- Czyja ci wystarczę, Brian? Tylko ja? Bez dziecka?

Światło w jego oczach było czyste, przenikliwie jasne, promieniejące miłością.

- Wystarczysz mi - odpowiedział.

Rosę, idąc szybko, zobaczyła otwarte drzwi przy końcu wschodniego korytarza. Biuro Maxa. W środku paliło się światło. Zaczęła biec, a serce łomotało jej w piersi.

Och, niech on tam będzie, modliła się. Och, proszę.

Przez cały weekend czatowała na Maxa. Przed wszystkim dzwoniła do niego raz za razem. Długo nie odkładała słuchawki, a telefon w jego mieszkaniu dzwonił i dzwonił. A dziś rano, zawiedziona, musiała wziąć się w garść i jakoś przebrnąć przez spotkanie z Di Fazio, zanim znów pozwoliła sobie myśleć o Maksie. A teraz wreszcie będzie mogła go zobaczyć. Jeszcze nie czas na lunch, więc powinien być w biurze. Proszę...

Stanąła w otwartych drzwiach, jej serce też stanęło, i wydawało się, że zastygła w miejscu.

Max, na klęczkach przy biurku w swoim gabinecie, pakował dokumenty do kartonu.

- Max, do diabła, co się dzieje?

'Spojrzał w górę i uśmiechnął się do niej z zaskłopotaniem. - No cóż, wygląda na to, że się wyprawdzam.

Jakiś żart, oczywiście. I to wcale nie zabawny. Rosę przyjrzała się dokładnie gabinetowi, zobaczyła, jaki był opustoszały - biurko uprzągnięte, a pod przeszkloną półką na książki ustawione kartony. O Matko Boska, on nie żartuje.

Rosę poczuła się, jak gdyby przebiegła całe mile... tylko po to, by za późno przekroczyć linię mety. Zgrzana, cała obolała, z krwią pulsującą w żyłach. Chciała się położyć w jakimś ciemnym i chłodnym miejscu, z dala od tego bólu w piersi, z dala od tego koszmaru, od widoku Maxa, pakującego swoje rzeczy do pudełka.

To się nie dzieje naprawdę. Wyjdę stąd i kiedy znów wrócę, wszystko będzie tak jak było. Dokładnie tak jak przedtem.

- O co chodzi, Max? Rany boskie, powiedz mi.

- Wczoraj wieczorem próbowałem się do ciebie dozwonić - powiedział. - Twój telefon ciągle był zajęty. Chciałem ci powiedzieć. Przykro mi, że cię w ten sposób zaskoczyłem.

- To zabawne, naprawdę zabawne, bo ja wczoraj próbowałam się do ciebie dozwonić. Jeśli chodzi o ścisłość, próbowałam przez cały weekend.

Z kim mogła rozmawiać, kiedy Max dzwonił? Och, oczywiście, z Clare, która zatelefonowała z Syracuse i paplała, tak podenerwowana, że ledwo mogła mówić jasno. Nonnie. Jeszcze jeden udar, słabszy, ale jednak niepokojący. Więc Rosę musiała spędzić pół godziny na uspokajaniu Clare, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie odłoży słuchawkę, by linia była wolna na wypadek, gdyby zadzwonił Max.

I okazało się, że dzwonił... ale tylko po to, by się z nią pożegnać. Jezu. Ironia losu była tak uderzająca, że Rosę zaczęła śmiać się i płakać jednocześnie.

Max spoglądał na nią, uśmiechając się z oszołomionym wyrazem twarzy. - Możesz mi powiedzieć, o co chodzi?

- Och, Max, wyglądasz tak zabawnie, na klęczkach tutaj. To tak... jakby... och, nie wiem... Jak gdybym cię

przyłapała z ręką w słoiku wyjadającego konfitury albo coś takiego. - Łzy przedzierały się z kącików jej oczu i spływały na skronie.

Wtedy on się podniósł, z twarzą poczerwieniałą i rozgrzaną, wpatrując się w nią z tak zboląłą miną, że jej śmiech gwałtownie ustał.

- Przyjąłem miejsce w wydziale spraw spornych w Los Angeles - wyjaśnił. - To wszystko stało się jakoś tak nagle, ty byłaś pochłonięta tym procesem... Nie chciałem cię do tego wciągać, zanim...

- Czy ty tego chcesz, Max? Naprawdę tego chcesz?

Max wzruszył ramionami i niemalże wyszczerzył zęby, ale był to cień uśmiechu. - To wspaniała okazja. I Mandy bardzo się tam podoba. Będę ją miał latem, na wakacje, ferie i inne przerwy w szkole. W ten weekend zabrałem ją tam ze sobą, żeby się mogła rozejrzeć. Nawet trochę byliśmy na plaży. - Podwinął rękaw koszuli, pokazując złotobrazowe przedramię. - Popatrz, uwierzyłabyś? W środku listopada. Taak, są na świecie gorsze miejsca niż Kalifornia.

Boże, Max naprawdę wyjeżdża. I to na dobre. Rose poczuła, jak gdyby podłoga osuwała się pod jej stopami, jak drzwi zapadowe, wrzucając ją w czarną otchłań.

Max, jej oparcie, niezawodna podpora. Jedyne przyjaciel, na którego całkowicie mogła liczyć. Przyjęła za pewnik, że zawsze będzie go tutaj miała, jak powietrze, którym oddycha. A teraz... Chciała powiedzieć: „Max, nie wyjeżdżaj. Potrzebuję cię. Pragnę cię.” Jednak te słowa nie wyszły z jej ust. Zrobiłaby z siebie idiotkę, wprawiając ich oboje w zakłopotanie. Max już ją opuścił, to jasne. Myślami i sercem był już kilka tysięcy kilometrów od niej. Pewnie pokonywał tę odległość od chwili, kiedy cztery miesiące temu odszedł od jej drzwi, a ona nie zrobiła nic, by go zatrzymać.

Jest za późno. Ta gorzka świadomość uderzyła ją jak cios.

- Kiedy? - spytała.

- Za tydzień. Wolałbym zostać trochę dłużej, żeby zakończyć tutaj wszystkie sprawy, ale Gary mówi, że to tylko strata czasu. - Rozłożył ręce w geście bezradności. - Więc jestem tutaj i próbuję uprzątnąć dwadzieścia trzy lata życia. Nie przypuszczam, żebyś chciała do tego przykładać rękę.

Rosę głos uwiązał w gardle, łkanie, które ledwo zdołała powstrzymać. Zwiesiła głowę, żeby nie mógł zauważyć bólu na jej twarzy. Potem przykleiła na usta uśmiech i odezwała się żywym, gratulacyjnym tonem: - Chciałabym, ale mam spotkanie. Trochę się spieszę. Ale, słuchaj, jeśli nie jesteś za bardzo zajęty, moglibyśmy się przed twoim wyjazdem umówić na lunch albo coś takiego. Szampan i to wszystko.

- Jasne. - Max znów był na kolanach i grzebał w dolnej szufladzie biurka. Z nieobecnym wyrazem twarzy pomachał w jej kierunku jakąś teczką z dokumentami. - Ustalimy termin, jak wydostanę spod tego rumowiska mój kalendarz.

Rosę jeszcze stała, pochłaniając spojrzeniem tę scenę, utrwalając ją w pamięci, oświetloną jasnym światłem wczesnego popołudnia, wlewającym się przez okno. Pochylona głowa Maxa, jego przygarbione szerokie plecy, z koszulą naprężoną na barkach. Zmięta poła koszuli, wydostająca się zza paska szarych spodni. Przypomniała sobie, jak kiedyś, gdy razem byli pod prysznicem, powiedział, że ma budowę „starego bizona”.

Pomyślała o tym teraz. Bizon. Gdzieś czytała, że Indianie, gdy w czasie polowania zaskoczyła ich zadymka śnieżna, chronili się przed zamrożeniem, zabijając bizona, rozcinając mu brzuch i wczołgując się do jego wnętrza, gdzie przeczekiwali, aż nawałnica minie. I właśnie tak ona postępowała z Maxem, czyż nie? Wykorzystywała go, by się ogrzać.

Czego innego mogła się spodziewać? Że on zawsze będzie tutaj, czekając na nią z wyciągniętymi ramionami? Nie. Sprawiała mu ból, a on zrobił to, co zrobiłby najego miejscu każdy zdrowy psychicznie człowiek.

A teraz było już za późno.

Wyobraziła sobie siebie z Maxem wieczorem, przy kieliszku wina, tak jak to bywało. Siebie, opowiadającą mu wszystko o procesie, jak doszedł do punktu kulminacyjnego, i o dzisiejszym porannym spotkaniu w sprawie ugody. I o tej najbardziej zagadkowej sprawie, która nie dawała jej spokoju, o niesamowitym zbiegu okoliczności, że jej Anioł Stróż sprzed lat okazał się matką Rachel. Gdyby tylko teraz mogli pójść do domu, odkorkować butelkę wina, wziąć ją ze sobą do łóżka, a potem, kiedy już skończyliby się kochać, ona leżałaby w jego ramionach i mogliby rozmawiać o wszystkim, tak jak przedtem. Tylko że zwykle to ona mówiła, prosiła go o radę... a Max słuchał, czyż nie?

Teraz nagle tak wiele chciała się dowiedzieć o Maksie. Ale nie było już czasu. Straciła szansę.

Rosę, czując napływające łzy, odwróciła się i wysliznęła za drzwi.

ROZDZIAŁ 37

- Pan otworzy przed nimi bramy raju i powrócą do ziemi, gdzie nie ma śmierci, a tylko nieustająca radość...

Rosę słuchała słów młodego księdza, a jej oczy pozostały suche, gdy obserwowała, jak kładł drewniany krzyż na wieku trumny Nonnie. Nieustająca radość? - powtórzyła w myśli. Bóg wie, że Nonnie za życia nie wiedziała, co to radość. Niech po śmierci zazna jej, ile zdoła.

Była zaskoczona, jak niewiele czuła. Nie żałuję, że umarła, bo jak mogłabym żałować? Ale też wcale nie jestem z tego zadowolona.

I doprawdy, czyż to nie było to, na co Nonnie tak mozolnie pracowała? Te wszystkie msze w pierwszy piątek i w niedzielę, nie kończące się różańce i spowiedzi, zbieranie punktów na wstęp do nieba, jak gdyby samo życie nie było niczym więcej jak tylko wielką grą w bingo.

Dzięki Bogu, że przynajmniej to się stało szybko. Kilka lekkich udarów po telefonie Clare w ubiegłym tygodniu, a potem Nonnie w środku nocy wysliznęła się ze świata żywych. Wszystkim, a przede wszystkim samej Nonnie, został oszczędzony koszmar, nieunikniony, gdyby pozostała przy życiu. Przykuta do łóżka, pozbawiona władz umysłowych, jak wielkie niemowlę, które trzeba karmić, myć, przebierać, zmieniać mu pieluszki.

Rosę spojrzała na Marie, siedzącą obok niej w drewnianej ławce. Szczuplejsza niż zwykle, starsza, ciągle zadziwiająco pełna godności, trzymała się prosto, z twarzą zastygłą jak wizerunek Indianina na monecie, ubrana w zniszczony granatowy płaszcz z wystrzępionymi luźnymi nitkami zwisającymi u jednego rękawa.

Rosę poczuła, jak podnosi się w niej ten sam co dawniej żal i irytacja. Tylko spójrz na nią, ciągle chodzi swoimi drogami jak kot. Marie rzadko była skłonna pogawędzić przez telefon i zawsze znajdowała jakąś wymówkę, by odrzucić zaproszenie Rosę na lunch, kolację, czy wyjście do miasta. Rosę już była zmęczona tym, że to zawsze ona zabiega o spotkania, więc nie widziała się z Marie od roku albo dłużej. I teraz były tutaj... Boże, co za paskudny powód do spotkania.

Sama też czuła się paskudnie. Znużona, ciążyła jej każda kosteczka. Jutro, przypomniała sobie. Jutro Max wyjeżdża do Kalifornii. Ta myśl była jak drut Nonnie do robótek, wbijający się w jej serce. Boże, już za nim tęskniła, a ból z tego powodu stawał się coraz gorszy. Jaka głupia była, jaka ślepa. I dlaczego, dręczyło ją, choć byliśmy ze sobą tak blisko, nie zauważyliśmy tego najważniejszego?

Myślała o nim zupełnie inaczej niż o Brianie. Max nigdy nie był w jej myślach czysty i promieniejący, nigdy

nie stał się ikoną wyniesioną na ołtarz jej serca. Nie, on był kimś żywym. Jak dom pełen szczerb, rozrzuconych rzeczy, zniszczonych krzesel, piękniejszy niż każde nieskazitelne miejsce.

A teraz w każdej chwili mogę się rozpłakać. To byłoby zabawne, czyż nie? Wszyscy pomyśleliby, że opłakuję Nonnie. Nie, nawet biedna Nonnie nie zasłużyła na to, żeby na jej pogrzebie wylewać łzy za kimś innym.

Rosę zmusiła się, by znów skupić uwagę na księdzu. Stary ojciec Donahue odszedł na emeryturę, jak słyszała. Zastąpił go ten dzieciak o twarzy cherubina - niewiele starszy od ministranta. Dziwne, Święci Męczennicy bez małego, zasuszonego ojca Donahue w biało-zielonych szatach. I zamiast monotonnego mruczenia ojca Donahue, ten żywy, młody głos, dźwięczący ponad w większości pustymi ławkami.

- Boże! Tyś Bogiem moim, Ciebie gorliwie szukam, Ciebie pragnie dusza moja, tęskni do Ciebie ciało moje, jak ziemia zeschła, spragniona i bezwodna...

Tak, bez Maxa jestem jak ta ziemia, zeschła, spragniona i bezowocna.

- Bo byłeś mi pomocą i weseliłem się w cieniu skrzydeł Twoich. Dusza moja przylgnęła do Ciebie, prawica Twoja podtrzymuje mnie.

Rozległ się teraz cichy szmer, ktoś płakał.

Rosę spojrzała poza Marie - o twardym spojrzeniu i kamiennej twarzy - na miejsce, gdzie siedziała Clare - z pochyloną głową, z twarzą ukrytą w szarych skrzydłach kornetu. Clare przypominał jej poduszkę z pierza, miękką i bezkształtną, rzuconą tutaj, na ławkę. Rany boskie, żeby tylko przestała płakać. Jak gdyby śmierć Nonnie nie była prawdziwym błogosławieństwem.

- Odeszła tak - Rosę usłyszała, jak Clare poprzez łkanie szepce do Marie - jak znika światło. Och, czuję się tak strasznie i czuję się taka... odpowiedzialna.

- Dlaczego czujesz się odpowiedzialna? - niecierpliwie odszepnęła Marie. - Przecież jej nie zabiłaś.

Rosę obserwowała okrągłą, obrzmiałą od płaczu twarz Clare, zaszokowaną na samą myśl o czymś takim. Na ułamek sekundy niemal zrobiło jej się żal Clare. Potem przypomniała sobie, że to nie Clare troszczyła się o Nonnie przez te ostatnie lata, ale salowe i pielęgniarki katolickiego domu opieki. Clare robiła dla Nonnie niewiele więcej niż w przeszłości. Z wyjątkiem modlitwy, naturalnie. Clare była prawdziwie niezdolna w modlitwie.

Wreszcie msza się skończyła, młody ksiądz robił znak krzyża nad trumną Nonnie. Mój Boże, pomyślała Rosę, nawet jej nie znał. Poczowała dreszcz przebiegający po jej ciele. Nagle przyszła jej do głowy straszna myśl, że Nonnie nie umarła naprawdę, że leży w trumnie uśmiechając się od ucha do ucha i czeka tylko, żeby wyskoczyć, jak nakręcana figurka z pudełka.

Potem Rosę zdała sobie sprawę, że Marie zapina płaszcz i sięga po torebkę. - Muszę wracać - odezwała się jej siostra. - Opiekunka do dzieci obiecała zostać tylko godzinę.

- Nie pójdziesz na cmentarz? - spytała Clare i wydawało się, że jej ciastowata twarz obwisła.

- Żeby popatrzeć, jak ktoś macha nad nią brudną łopata? - Marie wzruszyła ramionami. - Nie, dziękuję. - Potem nieco złagodniała i mechanicznie poklepała Clare po dłoni. - Słuchaj, naprawdę muszę wracać. Missyjest chora, a Bobby dzisiaj rano też nie wyglądał dobrze. - Kącik jej ust wygiął się nieco. - Jak to mówią, życie toczy się dalej, sama wiesz.

Rosę zobaczyła, że Clare odwracała się teraz do niej z błagalnym wyrazem twarzy. Zesztywniała, myśląc: Już dłużej tego nie zniosę. A potem pomyślała: Czy to w porządku zostawić Clare samą z tymi wszystkimi żałobnikami? Z panią Slatky i z tymi starymi babami z pomocy społecznej. Tak, powinnam była to zrobić już wcześniej, wtedy, kiedy byłam traktowana jak ścierka. Ale to się zmieniło. Ja się zmieniłam. I przede wszystkim zawdzięczam to Maxowi.

- Wracam razem z Marie - Rosę usłyszała własny głos. - Możesz przecież sama iść na cmentarz, Clare. - I dodała miłym tonem: - Myślę, że Nonnie właśnie tego by chciała, prawda?

Tak czy inaczej, chciała o czymś z Marie porozmawiać. W cztery oczy. O czymś, w czym Marie być może będzie umiała jej pomóc. O matce Rachel - tak, na imię ma Sylvie. Może Marie coś wiedziała.

Rosę dotknęła kolczyka w swoim uchu. I jeśli Marie coś wie, może zdołam się dowiedzieć, dlaczego SyMe Rosenthal przed tyloma laty dała mi ten kolczyk.

Mieszkanie Marie nie zmieniło się. Ta sama mroczna nora bawialni, przesiąknięta starym papierosowym smrodem. Te same nędzne meble, ale teraz zniszczone bardziej niż kiedyś. Zniknął wielki długopis do zabawy, kij hokejowy był oparty o ścianę w rogu, koło telewizora, a gołe, powyginane lalki Barbie leżały na chodniku.

- Postaw to na podłodze i usiądź sobie - powiedziała Marie, wskazując ustawiony na fotelu przepełniony kosz z wysuszonym praniem, oklejony na krzyż taśmą klejącą. - A tak przy okazji, Bobby oszalał na punkcie tej gry komputerowej, którą dostał od ciebie na ostatnie urodziny. Nie można go od niej oderwać.

- Wiem. Przysłał mi bardzo miłe podziękowanie. To wspaniały dzieciak, Marie. Wszystkie twoje dzieci są wspaniałe. Dobrze je wychowujesz.

Z sypialni dochodził odgłos telewizora. Była tam trójka dzieci Marie; chłopcy skupieni przy łóżku chorej Missy oglądali film w telewizji. Rosę obiecała sobie, że przed wyjściem porozmawia trochę z każdym z dzieci i pomyślała, że Bobby jest już wystarczająco duży, żeby mógł od czasu do czasu zostawać u niej. Musi zapytać o to Marie...

- Jezu - odezwała się teraz Marie - mówisz prawie tak jak nasza świętoszka, jak siostra Clare. Czy człowiek robi się taki, kiedy zostaje renomowanym prawnikiem?

Zanim Rosę mogła powiedzieć coś w swojej obronie, Marie opadła na kanapę i cała sztywność z niej uszła. Zapaliła papierosa i przez dym patrzyła na Rosę. - Do diabła, nie zwracaj uwagi na to, co mówię - powiedziała i westchnęła. - Już chyba oszalałam od tej ciągłej krzątania i jazgotu, kiedy dzieci nie są w szkole. I wszystko na mojej głowie. Po jakimś czasie człowiek przestaje myśleć.

- Gdzie jest Pete? - spytała Rosę.

- Pete! - sapnęła Marie. - Odszedł. Wyprowadził się dwa tygodnie temu. Nie mówiłam ci? Och, jeżeli o mnie chodzi, potrzebny mi był jak dziura w moście.

- Ale... co... - Rosę zdusiła pytanie i tylko zadała je w myśli: Więc skąd masz pieniądze na życie? Przynajmniej miałaś Pete'a po ręką i jego zasiłek dla bezrobotnych.

Mrożące spojrzenie oczu Marie zapowiadało, że siostrzana troska nie będzie mile widziana.

- Przynieść ci coś? Może kawy? - spytała Marie.

- Nie, nie zwracaj sobie głowy... Nie zostanę długo.

- Rosę wzięła głęboki oddech. - Marie, przyszedłam, żeby zapytać cię... o coś, co dawno temu powiedziała Nonnie. O naszej mamie... że ona mogła mieć... tak... że ja mogę mieć innego ojca niż ty i Clare.

Marie wpatrywała się w nią, jak gdyby Rosę postradała zmysły. - Mówisz poważnie? Co cię obchodzi, co powiedziała ta stara wiedźma? Zawsze tylko sprawiała kłopoty. I nie obchodzi mnie, że umarła, to jest prawda. Czy tak nie było? Lubiła, żebyśmy się czuły winne. A tak czy inaczej, jaka to teraz różnica?

- Ja tylko chcę wiedzieć, to wszystko. Myślałam, że może... że może ty coś wiesz. Może Nonnie ci powiedziała...

Wzrok Marie uciekł w bok i nagle cała się nastroszyła jak uliczny kot. - Mówiłam ci. Nie wiem więcej niż ty.

- W jej głosie brzmiała irytacja. - Dlaczego o tym po prostu nie zapomnisz?

Jednak Rosę nie mogła przestać o tym myśleć. To ją pochłaniało i wiedziała dobrze, że to nie jest wyobraźnia. Sylvie Rosenthal. Widziała ją tam, w sądzie, i ten błysk

w jej oku, gdy ją rozpoznała. Ona coś wie. I Rosę była pewna, że to ma coś wspólnego z jej prawdziwym ojcem. Nie z uśmiechniętym marynarzem z fotografii w srebrnej ramce, z synem Nonnie, ojcem Marie i Clare, ale z mężczyzną, z którego nasienia wyrosła, z kimś o śniadej skórze, o odmiennym wyglądzie, który po nim odziedziczyła, a który oddzielił ją od siostr już od dnia jej narodzin.

- Jeśli moim ojcem był inny mężczyzna, to musiał mieć jakąś rodzinę, prawda? - naciskała zdesperowana. - Może żonę? Siostrę? A ta żona lub siostra mogła wiedzieć. Wiedzieć o mnie. Mogła chcieć mnie zobaczyć...

Marie gwałtownie wstała, kurczowo ściskając sukienkę pod szyją. - Mówiłam ci, że nic o tym nie wiem! To wszystko wyobraźnia. Po prostu wyobraźnia. - Zajęła się koszem z wypraną bielizną - ze zwiniętej sterty wyciągnęła podkoszulek i wściekłymi ruchami zaczęła go składać. - Słuchaj, mam dużo roboty. Więc jeśli miałas zamiar zaraz wyjść, nie zatrzymuję cię dłużej.

Rosę poczuła przypływ wściekłego rozczarowania. Marie kłamała, musiała kłamać. Rosę była tego pewna. Marie coś ukrywa.

Rosę wychyliła się do przodu w swym fotelu, chwytając plastikowy brzeg kosza z bielizną, zmuszając Marie, by na nią spjrzała.

- Na Boga, Marie!

- Mówiłam ci...

- Wiem, co mi mówiłaś, ale myślę, że ty coś wiesz. Och, Marie, nie rób mi tego. Przez całe życie czułam się inna, czułam się wyrzutkiem we własnej rodzinie i teraz ty zwracasz się przeciwko mnie. - Rosę poderwała się na nogi. Była cała drżąca, wściekła na siostrę i jednocześnie narastała w niej bolesna potrzeba poznania prawdy. - Muszę wiedzieć... - przerwała, żeby znaleźć właściwe słowa - kim jestem. Nie rozumiesz tego? Nie proszę o nic innego. Jeśli mój prawdziwy ojciec ma rodzinę, nie będę nikogo niepokoić. Nie chcę nikomu przysparzać kłopotów. Ja tylko chcę wiedzieć.

Teraz Marie przeszła ją pełnym wściekłości wzrokiem; bladą twarz o wystających ostro kościach policzkowych oblały plamy gorączkowych rumieńców. Potem opadła na sofę i wybuchnęła płaczem.

Rosę wpatrywała się zdumiona. Jakoś nie mogła się poruszyć ani odezwać. Nie pamiętała, żeby jej siostra kiedykolwiek płakała.

Kiedy Marie podniosła twarz, oczy miała otoczone czerwonymi obwódkami i zapuchnięte. Podniosła się znużona i powiedziała: - Zaczekaj. Mam coś.

Rosę obserwowała, jak Marie wychodzi z pokoju powłócząc nogami. Jej serce zabiło jeszcze mocniej. Przypomniała sobie opowiadanie *Dotyk małpy* o tym, jak życzenia mogą stać się prawdą w najbardziej ohydny sposób.

Po minucie Marie wróciła, niosąc coś w dłoni, małą niebieską książeczkę. Książeczkę oszczędnościową, zauważyła Rosę. Marie szybko ją jej rzuciła, jak gdyby chciała się jej pozbyć.

Rosę otworzyła książeczkę i w środku zobaczyła wypisane na maszynie swoje nazwisko: Rosę Angela Santini.

Pierwsza wpłata wynosiła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, z datą 15 września 1954 roku. Potem następowały całe strony wypłat, całe lata wypłat - sto dolarów, pięćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć. Na ostatniej stronie stan konta wynosił siedemset czterdzieści dwa dolary.

Podniosła wzrok na Marie. Co to jest?

Oczyjey siostry uciekły w bok. -W porządku, to twoje - wyznała Marie ściszym ze wstydu głosem. - Znalazłam to w rzeczach Nonnie razem z tymi listami od Briana. Do tej książeczki był jeszcze list od jakiegoś prawnika. Pisał tylko, że ktoś otworzył rachunek na twoje nazwisko - nie napisał kto, ale że ta osoba chce pozostać anonimowa.

- I Nonnie...

- Tak jak ja to widzę, pewnie musiała się domyślić, że źle się dzieje w państwie duńskim. To znaczy, dlaczego

jakiś wspaniały obcy człowiek miałby ci dać te pieniądze? Już wcześniej musiała mieć podejrzenia, że tata nie był twoim prawdziwym ojcem i to tylko je potwierdziło.

- Ale nie powiedziałaś mi. Trzymałaś tę książeczkę.

- Taak, trzymałam ją. - Marie w końcu popatrzyła jej w oczy, nieco z ukosa, trochę tak, jakby ją samą bolało, że tak postąpiła. - Każdego dnia mówiłam sobie, że to tylko na trochę, że ją tylko trzymam dla ciebie. Potem Pete'a zwolnili ze sklepu i nie mieliśmy z czego żyć, więc powiedziałam sobie, że pożyczę tylko troszkę, sto dolarów, żebyśmy się mogli jakoś utrzymać na powierzchni, że nic się nie stanie, bo zwrócę od razu, jak tylko Pete dostanie zasiłek. To było łatwe, zbyt łatwe. W banku powiedziałam, że jestem tobą. Miałam tę twoją starą kartę biblioteczną i list zaadresowany do ciebie, i znałam imiona całej rodziny. Potem... - wzruszyła ramionami - wszystko posypało się po kolei. Bobby miał wycinane migdałki. Gabe miał trzeci migdałek. I Pete, którego bez przerwy wyrzucali z pracy. Piętrzyły się rachunki, ponaglenia. I cały czas pożyczalam, mówiąc sobie, że któregoś dnia wszystko zwrócę... a potem, kiedy już zostałam prawnikiem, miałaś dobrą pracę i w ogóle, zmieniłam się tak bardzo... Już myślałam, że to przede wszystkim nie w porządku, że to ty dostałaś te pieniądze. Ale to chyba nie zmienia tego, co zrobiłam. I cokolwiek to jest warte, nienawidzę siebie za to. Nie możesz mnie znienawidzić bardziej niż ja siebie nienawidzę.

Rosę była zdumiona, zbyt zaszokowana, żeby mówić czy myśleć. Narastała w niej złość, potężna i dławiąca. Cholera. Jak Marie mogła mnie okłamywać? Przez te wszystkie lata. Jeśli potrzebowała pieniędzy, wystarczyłoby, żeby o nie poprosiła. Dałabym jej pieniądze, dałabym jej to wszystko.

Potem Rosę zobaczyła, jak jej siostra zeszywniała, z wyprostowanymi ramionami i uniesionym podbródkiem. Łzy błyszczały w jej oczach, ale były to twarde, wyzywające łzy.

Gniew opadł z Rosę tak szybko, jak przyszedł. Zrozumiała. Duma - to wszystko, co Marie pozostało. Dla niej prosić o pieniądze było czymś gorszym niż kłamać, gorszym niż ukraść, gorszym niż wszystko inne.

Rosę, owładnięta emocjami, pełna żalu, ulgi i miłości, podeszła do Marie i objęła ją.

- Nie potrzebuję pieniędzy, Marie. Zatrzymaj je wszystkie. Ale czy nie widzisz, co to wszystko znaczy? On myślał o mnie. Kimkolwiek jest mój prawdziwy ojciec, ktoś o mnie myślał.

Tak, ktoś, pomyślała, ale kto? Kim on jest? I jaki ma z tym związek SyMe Rosenthal?

ROZDZIAŁ 38

SyMe z westchnieniem zamknęła księgę rachunkową. To kiedyś było zajęcie Geralda, ale teraz pajęczyna liczb, wypełniająca całe strony, była jej domeną. Dłonią pogładziła obciążoną ciężką skórą okładkę. Kiedyś była jasnokasztanowa, teraz w kolorze porto. Napis z nieco startych złotych liter wytłoczonych na okładce głosił: KSIĘGI.

Przychód i rozchód. Kolumny liczb w każdym miesiącu bilansowały się. Wszystko tak jak trzeba. Wszystkie długi spłacone.

Wszystkie z wyjątkiem jednego, pomyślała. Największego, najważniejszego. Jesteś głupia, powiedziała sobie. Nigdy nie powinnaś była iść do tego sądu. Czyż Rachel nie mówiła ci, żebyś tam nie szła? Dlaczego jej nie posłuchałaś?

Przypominając sobie Rosę, jej Rosę - i jaka była wspomniała broniąc Rachel - SyMe poczuła żal, trys-

kający ze starego źródła, lecz teraz towarzyszył mu nowy, ostrzejszy ból.

Zobaczyłam, co zrobiłaś ze swoim życiem, moja córeczko. I jestem z ciebie dumna. Jesteś piękna i błyskotliwa, tak jak powiedział o tobie Nikos. I postąpiłam źle, wypierając się ciebie. Nawet to, że mam Rachel, mam jej miłość, nigdy mi tego nie zrekompensuje.

Wczoraj wieczorem, kiedy Nikos powiedział jej, że postanowił nie wyjawiać Rose jej sekretu, poczuła taką ulgę. Czuła się jak biblijna postać, ocalona od śmiertelnego zagrożenia ręką Boga. A potem, kiedy powiedział, że ciągle chce się z nią ożenić, teraz jeszcze bardziej tego chce, była poruszona do łez.

Teraz, sama z własnymi myślami, Sylvie zastanawiała się, czy powinna powiedzieć „tak”. Kocham go, myślała, ale czy naprawdę chcę za niego wyjść?

Wpatrywała się przez długą chwilę w swój portret nad kominkiem -jej podobizna, tak, ale jednocześnie to ktoś naprawdę inny. Nie była już tą bojazliwą kobietą, która niegdyś przychodziła potajemnie do pokoju Nikosa w suterenie, ale kimś, kto otwarcie może być sobą, bez zakłopotania czy żalu.

Tylko jej serce się nie zmieniło. Jej serce, które nigdy nie ustawało w smutku z powodu Rose...

Syhy nagle poczuła się zmęczona. Oparła czoło na księdze rachunkowej, oprawionej w skórę tak gładką, tak wypolerowaną ludzkimi dłońmi, że wydawało się, iż pokryła się patyną żywego ciała.

W samotności mogła niemal rozkoszować się swoją słabością, pozwolić jej rozgościć się jak staremu przyjacielowi. Mogła opuścić głowę w środku dnia i nikt nie trząśł się nad nią jak kwoka nad kurczętami, nie pytał jej, czy jest chora.

Jak dziwne jest życie, pomyślała Sylvie. Jakże nienawidziłam samotności, kiedy umarł Gerald, tego siadania do stołu nakrytego dla jednej osoby, tych dni, które rozciągały się przede mną jak samotna droga przez cały świat.

A teraz polubiła to, swe samotne śniadania, czasami podane na tacy do łóżka, i wtedy czuła się rozpieszczona luksusem, czytając „Daily News” lub oglądając wiadomości w telewizji, żeby dowiedzieć się, co się dzieje na świecie. Podpisywanie czeków, wydawanie własnych pieniędzy, i nikt nie unosił brwi, kiedy miała nieodpartą ochotę na jeszcze jedną parę butów albo sukienkę z którejś kolekcji u Saksa. Ale przede wszystkim uwielbiała zależeć tylko od siebie. Cóż to za luksus! I jak dobrze czuć się teraz dość silną, by tak wiele robić!

Sylvie przywołała na pamięć dzień w domu Nikosa, nie dalej niż przed miesiącem. Była tam sama, ślęcząc nad sprawozdaniem o wynikach finansowych, kiedy na piętrze pękła rura i woda tryskała z niej jak ze źródła wprost na środek salonu. Ogarnęła ją panika, zbyt gorączkowo myślała, co ma zrobić. Jednak wkrótce pospieszyła do piwnicy, znalazła główny zawór, zakręciła go i zadzwoniła po pogotowie wodociągowe, a nawet starła wodę, zanim ta zdążyła wyrządzić jakieś większe szkody na suficie położonego niżej pokoju.

Jednak gdyby był tam Nikos, on zatroszczyłby się o wszystko, a ona czułaby się słaba i zupełnie bezużyteczna. I pewnie chciałyby, żeby to on zrobił to wszystko. To właśnie było takie straszne. Była silna. Jednak czy dość silna, żeby oprzeć się pokusie, by mężczyzna przejął odpowiedzialność? I to nie tylko za pękniętą rurę, ale za wszystko, za całe jej życie.

Nikos, niech Bóg go błogosławi, wciąż jej pragnął.

Ja przynajmniej mam Rachel, pomyślała Sylvie, ale Nikos nie ma nikogo. Nie, nawet gorzej, ma córkę, której pragnie okazać miłość, a nie może tego zrobić. Och, Boże, przebac mi te wszystkie lata, kiedy się bałam, że Gerald się dowie. Ale tak naprawdę człowiekiem, którego skrzywdziłam, jest Nikos.

Czy kiedyś zazna przebaczenia? Przebaczenia Rachel, przebaczenia Nikosa, przebaczenia Rosę? Boże, jakże tego pragnęła!

Sylvie uniosła głowę. Gdzieś w ciszy domu zegar wybijał godzinę. Dlaczego jest tak cicho? Niebo za oknem było spokojne i jakieś obrzmiałe; już wkrótce jej różane krzewy pokryje biała kołdra śniegu i znikną jak sen. Ale nie znikną naprawdę. Pod śniegiem, gdzieś w zamrożonym gruncie, potajemnie przetrwa ich cudowna zieleń, a wiosną nastąpi cud i wszystko znów rozkwitnie.

I tak się to wszystko toczy, pomyślała. Ktoś umiera, lecz nigdy naprawdę nie umiera cały. Zawsze pozostaje jakaś jego część w naszych sercach. I ta część może znów rozkwitnąć.

Dzwonek przy frontowych drzwiach nagle rozerwał ciszę, gwałtownie wyrывая Sylvie z zamyślenia. Bez żadnego powodu serce zaczęło jej bić szybko. Bała się otworzyć drzwi.

Lecz choć wahała się w głębi duszy, nogi same poprowadziły ją przez gabinet Geralda do hallu; jej obcasy stukały po czarno-białych marmurowych płytkach. I nawet nie nacisnąwszy interkomu, by zapytać, kto przyszedł, otworzyła ciężkie drzwi z orzechowego drewna.

Sylda nie pytała, gdyż jej serce musiało w jakiś sposób wiedzieć, kto przyszedł. Jeszcze zanim otworzyła drzwi na całą szerokość i spojrzała na wysoką dziewczynę o oliwkowej skórze, ubraną w przeciwdeszczowy płaszcz Burberry, która zatrzymała się przy wejściu, a wirujące wokół pierwsze płatki śniegu osiadały na jej ciemnych włosach niczym płatki białych kwiatów, Sylvie wiedziała, kto to jest.

Stojąc przy drzwiach, jakby wrosła w podłogę, czuła, jak jej serce uderza i rozbija się o piersi.

- Rose - odezwała się z głębokim westchnieniem.

Rosę weszła do środka, wnosząc ze sobą powiew zimnego powietrza. Sylvie czuła spojrzenie wielkich ciemnych oczu młodej kobiety, skupione na niej z tym samym oszołomionym zdziwieniem jak wtedy, gdy stały ze sobą twarzą w twarz, tamtego wietrznego dnia na dziedzińcu szkolnym w Brooklynie.

Sylvie, niemal przytłoczona nieodpartym pragnieniem, walczyła ze sobą, by nie przycisnąć swej córki do piersi. Zamiast tego tylko wpatrywała się w Rosę, obserwując, jak płatki śniegu w jej włosach topnieją, a krople wody z jej płaszcza kapią na białe i czarne płytki marmuru. Lekki dreszcz przebiegł jej po plecach.

- Skąd pani zna moje imię? - spytała Rosę.

Syhye odstąpiła na krok i podniosła rękę do gardła, odnajdując małe guziczki, które wędrowały aż pod szyję jej swetra. Schwyciła guziczek najbliższy szyi i kręciła go w palcach, aż czuła, że nitka, którą był przyszyty, zaczyna się strzępić.

- Ja... - zaczęła, lecz głos uwiązał jej w gardle. Chciała wykrzyknąć prawdę. Jednak czuła się tak, jakby jej głos, gardło, płuca, jakby to wszystko zamarzło, a chłód rozprzestrzenił się teraz po jej ciele falami, przesywając ją, zmieniając w sople lodu.

Jestem twoją matką. Urodziłam cię, a potem cię oddałam. Ale jak, jak mogła powiedzieć coś takiego?

- Chyba nie zostałyśmy sobie przedstawione, ale Rachel opowiedziała mi wszystko o pani - powiedziała Sylvie, czując się wyprana z woli i nienawidząc siebie za to. - Proszę, niech pani wejdzie. Musi pani być przemarznięta. Zapowiadają, że spadnie ponad dziesięć centymetrów śniegu. Zdumiewające, prawda? W listopadzie. Tutaj, proszę podać mi płaszcz. Przejdziemy do salonu i porozmawiamy. Przyszła pani w sprawie Rachel, prawda?

Miała wrażenie, że jej paplanina dochodziła znikąd, jak gdyby przez jej zmrożone lodem usta prześlizgiwał się cudzy głos.

Wydawało się, że Rosę zabrakło odwagi; twarz miała niepewną i pełną wahania. Pozwoliła SyMe zdjąć z siebie płaszcz. Pod nim, zauważyła SyMe, miała prostą wełnianą granatową spódnicę i biały sweter. Była tak podobna do tej poważnej małej dziewczynki, ubranej w szkolny mundur, której obraz niczym niewidzialny medalion SyMe nosiła w swym sercu ponad dwadzieścia lat. Nie mogła dłużej ciągnąć tego przerażającego udawania, nie, ani chwili dłużej.

- Kawy? Czy woli pani herbatę? - Jednak, o drogi Boże, jednak mogła to ciągnąć. Właśnie to robiła. - Ja sama najbardziej lubię herbatkę z rumianku. Podobno bardzo dobrze robi na nerwy. - Prowadząc Rosę po schodach na górę, SyMe nie przestawała mówić. - Proszę, niech pani usiądzie. Gdziekolwiek. Może tutaj. - Wskazała najprzystulniejszy, miękki, obity perkalem fotel przy kominku. - Nie powiedziała pani - kawa czy herbata?

- Proszę herbaty, jeśli to nie sprawi pani kłopotu.

- Absolutnie nie sprawi mi to żadnego kłopotu. Moja gospodyni ma dziś wolny dzień, więc sama wpadnę na chwilę do kuchni. Zaraz wrócę.

SyMe poczuła wielką ulgę, gdy tylko wyszła z pokoju i nie musiała patrzeć w te oczy, oczy Nikosa. Oczy oskarżające ją. Obwiniające ją. Rosę nie może wiedzieć, kim jestem, ale coś wyczuwa. W głębi duszy musi coś pamiętać...

W kuchni, czekając aż zagotuje się woda, SyMe oparła się o kontuar obolałymi rękami. Wirowało jej przed oczami, a chłód przesączał się przez jej ciało z nieustającym palącym bólem.

Gdy herbata była gotowa i nie było powodu dłużej pozostawać w kuchni, SyMe podniosła tacę, wsłuchując się w dzwonienie porcelanowych filiżanek Wedgwooda, drżących na spodeczkach, i usiłując utrzymać równowagę.

- Już jestem - odezwała się żywo, stawiając tacę na niskim stoliku z różanego drewna koło sofy. - Z cytryną?

Rosę skinęła głową. - Tak, proszę.

- A więc - odezwała się Sylvie, podając Rosę delikatną, malowaną w kwiatowy motyw filiżankę, wypełnioną parującą herbatą - czy mogę być pani w czymś pomocna? Czy to coś związanego z Rachel?

- Niezupełnie... to tylko... - Rosę siedziała sztywno w fotelu, zakłopotana, ze wzrokiem wbitym w pokój, jak gdyby nie wiedziała, gdzie jest. Potem spojrzenie jej ciemnych oczu spoczęło znowu na Sylvie, a ta poczuła, że ogarnia ją drżenie, którego nie może opanować, przestraszona, że teraz Rosę spogląda wprost na szkiełko jej kłamstw, pod którym nieuchronnie dojrzy jej mroczny sekret.

- Właściwie nie przyszedłam tu z powodu Rachel. Ja... Tak, teraz, kiedy tu jestem, to wszystko wydaje mi się trochę głupie... ale wczoraj, w sądzie, myślałam, że rozpoznałam panią. Prawdę mówiąc, byłam o tym przekonana. - Rosę sięgnęła pod chmurę swych ciemnych włosów i wyciągnęła coś z ucha.

Sylvie drgnęła. Dobry Boże! Och, dobry Boże, kolczyk, który jej dałam. Ciagle go ma. Przez te wszystkie lata. Wpatrywała się w kolczyk, kuląc się wewnętrznie, jak gdyby zawierał jakąś śmiertelną truciznę, która mogła wyrządzić jej krzywdę.

Teraz Rosę trzymała go w wyciągniętej dłoni, rubin w kształcie łyzy zwisający z diamentowego sztyftu. Pulsowało w nim światło, jasne, gorące, jak krew na wyciągniętej dłoni.

- Dała mi go pewna pani, kiedy byłam małą dziewczynką. Miałam dziewięć lat - wyjaśniła Rosę. - Wyglądała niemal dokładnie jak pani. Naturalnie, to było dawno, ale pamiętam ją bardzo dobrze... Pani... ta kobieta... wyjęła kolczyk z ucha i podała mi go bez słowa. Może sobie pani wyobrazić, jaka byłam zaszokowana... To było jak... jakby nie wiadomo skąd pojawiła się dobra wróżka i pomachała nade mną czarodziejską

różdżką. Tyle że uciekła, nie mówiąc mi dlaczego, ani kim jest. Miałam nadzieję, że pani może mi pomóc. Myślałam, że może pani wie, dlaczego... - Przerwała, wpatrując się w Sylvie, gdy oderwała wzrok od kolczyka.

Teraz te ciemne oczy parzyły ją, tak jak kiedyś oczy Nikosa, wypalały jej ciało. I Sylvie czuła, jak poruszają się w niej całe pokłady kłamstw, tak jak warstwa po warstwie łuszczy się farba na starych obrazach. Ona wie. Pamięta mnie. Dobry Boże, pozwól mi przestać kłamać. Pozwól mi powiedzieć prawdę.

Jednak nie umiała. Prawda zalegała w niej tak mocno, jak wielki kamień, który zadławiłby ją, gdyby próbowała go z siebie wydobyć. I teraz uderzyła ją jeszcze jedna prawda: Tak długo przechowywałam tę tajemnicę, że stała się częścią mnie, stała się jak moje ciało. Wyjawić ją to tak, jakby zabić jakąś część samej siebie.

- Chciałabym móc pani pomóc, moja droga - kłamała znowu, nienawidząc się za to bardziej niż kiedykolwiek - ale przykro mi, nie znam tej kobiety. Mówi pani, że przypominam ją pani. Wiem, jak to jest. Zdarzyło mi się kiedyś spotkać pewną kobietę, która wydawała mi się znajoma, i do szaleństwa doprowadzało mnie to, że nie wiedziałam dlaczego. Nigdy się tego nie dowiedziałam. Och, kochanie, pani herbata wystygła. Należę świeżej.

Rosę z brzękiem odstawiła filiżankę na spodeczek.
- Nie... dziękuję. - Wydawała się bardzo poruszona.
- Muszę iść. Przepraszam, że zabrałam pani czas. Że panią w to wszystko wmieszałam. Ale, widzi pani, myślałam... Byłam taka pewna...

- Proszę nie przepraszać. Cieszę się, że pani przyszła. I chciałam pani podziękować za to, że pomogła pani Rachel. Była pani wspaniała.

Schodząc w dół po schodach, Sylvie modliła się, żeby Rosę nie zauważyła, jak bardzo jest roztrzęsiona, jak fałszywie i niepewnie muszą brzmieć jej słowa. A kiedy zeszły na dół, napotkała spojrzenie czarnych oczu Rosę. Kłamiesz, mówiły te oczy. Nie wiem dlaczego, ale i tak wiem dużo.

Sylda pomyślała o drugim rubinowym kolczyku. Pamiętała, jak przed laty wyjęła obłuzowaną cegłę w murze wokół ogrodu i pod nią ukryła drugi kolczyk. Jak ziarno, pomyślała teraz, które nie zostało posiane do ziemi, nigdy nie wyrośnie.

I natychmiast chciała się położyć na zimnych marmurowych płytkach i umrzeć.

ROZDZIAŁ 40

Rosę, śledząc wzrokiem Sylvie podchodzącą do szafy po jej płaszcz, miała ochotę ją schwycić i mocno nią potrząsnąć. Szansa, żeby poznać prawdę, może jedyna szansa, wymykała jej się z rąk. Za chwilę może przeminąć bezpowrotnie.

Ona coś wie, pomyślała Rosę, ale cholernie nie chce mi powiedzieć. Wygląda na przestraszoną. Ale dlaczego? Kogo może się bać?

A potem, rozglądając się wokół, kiedy czekała na płaszcz, zajrzała przez otwarte drzwi do pokoju, który wyglądał na męski gabinet - skórzane fotele, stara mapa, wielkie, oprawione w ramy plakaty słynnych oper zawieszane na ścianach. Nad kominkiem, ozdobionym masywnymi mosiężnymi głowami lwów, wisiał olejny obraz, przedstawiający młodą kobietę w błękitnej szyfonowej sukni, z rękami spoczywającymi na podołku. Błada, taka jak w rzeczywistości, wydawała się promienieć ciepłem i życiem, jakby w każdej chwili mogła zstąpić z portretu i znaleźć się w tym pokoju.

Rosę, zaintrygowana, przestąpiła próg i podeszła bliżej. Stała przed kominkiem, wpatrując się w portret smukłej zielonookiej kobiety o jedwabistych włosach.

Wtedy zauważyła jeszcze coś, coś czerwono połyskującego pod uchem kobiety - oprawiony w złoto rubin w kształcie łzy. Artysta namalował go tak wprawnie, że klejnot niemal zdawał się iskrzyć na obrazie.

Rosę poczuła zawrót głowy, jej serce uderzało szybko i płytko, jak kamyczek rzucony na powierzchnię stawu. To ona... mój Anioł Stróż.

- To był gabinet mojego męża - zadzwieczał głos Sylvie za jej plecami. Brzmiał w nim niepokój i podenerwowanie. - Wszystkie jego książki, kolekcja płyt... Wie pani, uwielbiał operę...

Rosę zmusiła się, by się odwrócić i spojrzeć w twarz Sylvie, stojącej przy drzwiach. Sylvie, niosącej na ręku jej płaszcz. Było coś dziwnego, zauważyła Rosę, w tym, jak go trzymała, niemal przyciskając do siebie, jak gdyby to było małe dziecko.

- To była pani - Rosę ledwie zdołała wydusić z siebie te słowa; wydawało jej się, że uszło z niej całe powietrze. Wiedziała to, oczywiście... ale to... zobaczyć to naprawdę... ten kolczyk. Wspaniała para kolczyków. Boże, co się zdarzyło? Czuła, jak krew potężną falą napływa jej do głowy, łomocząc i huczając w uszach.

Obserwowała, jak Sylvie cofnęła się o krok, a potem chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie; delikatne kostki skręcały się pod nią, aż się potknęła i musiała uchwycić biurka, by utrzymać równowagę. Płaszcz Rosę wypadł z ręki Sylvie i klapnął na orientalny dywan.

Potem Sylvie wyprostowała się, powoli, ostrożnie, jak ktoś bardzo stary lub bardzo chory. Wciąż doskonała, wyprostowana, wyglądała jak marmurowy posąg oświetlony mglistym szarym światłem, przeświecającym zza ciężkich zasłon.

Rosę postąpiła krok do przodu, czując jak oblewa ją lodowaty chłód, jak gdyby wpadła do jeziora i teraz musiała dopłynąć do jakiegoś zimnego miejsca. Poczowała, że całe ciało pokryła jej gęsia skórka, a puls w szyi zaczął bić dzikim rytmem. Nieświadoma swoich ruchów,

podniosła palec i wskazała kolczyk w uchu. Zobaczyła, że Sylvie gwałtownie drgnęła, jak gdyby otrzymała cios.

- Kim pani jest? - wyszeptała Rose.

Synde wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Stała jak zlodowaciała, z niewidzącymi oczyma, niczym dzikie zwierzę osłepione światłami pędzącego samochodu. Potem powiedziała:

- Jestem twoją matką.

Wydawało się, że jej głos odbija się echem, jakby dobiegał z długiego tunelu.

O czym ona mówi? Rose poczuła się głupio. Wydawało się, że Synde coś jej powiedziała, coś ważnego, ale to było tak, jakby mówiła po chińsku. Matka? Jakże ta kobieta może być jej matką? Nie. Niemożliwe. Musiała źle usłyszeć.

- Nie rozumiem - powiedziała Rose. Ciężko było jej mówić. Usta miała jak ścięte lodem, twarz też. - Nie... Moja matka... moja matka umarła...

- Tak, Angie umarła. Ale nie twoja prawdziwa matka. Ja. Ja cię nosiłam, tutaj. - Przycisnęła bladą dłoń do brzucha. - Urodziłam cię. Ciebie, taką ciemną... wszystkie te czarne włosy, oczy jak smoliste guziczki... ale chciałam cię... Och, tak, chciałam cię. Ale Gerald... Gerald mógł się dowiedzieć, że kochałam innego mężczyznę... i wiedziałam, że znienawidziłby mnie, rozwiódłby się ze mną. - Sylvie była drżąca, słowa wydobywały się z niej gorączkowo, jakby nie miały związku z bladym, wykrzywionym owalem jej twarzy. - Potem pożar... Tamtej nocy był pożar... i, Boże, wybac mi, wzięłam dziecko Angie zamiast własnego. Zamiast ciebie. - Zakryła twarz dłońmi, a jej szczupłe ramiona zgarbiły się pod czerwonym swetrem.

- Rachel - westchnęła Rose.

Potem przyszło nagłe olśnienie... To dokuczliwe odczucie, jakie zawsze miała przy Rachel... Rachel zawsze jej kogoś przypominała, ale kogo? Kogo? A teraz, o słodki Jezu... mam to przed oczami, tylko nie mogę tego dostrzec...

Marie. Boże, tak. Rachel o złocistobrazowych włosach, gorących błękitnych oczach, drobna, właśnie taka jak Marie. Młodsza i ładniejsza Marie.

Rosę poczuła dziwną lekkość, jak gdyby ktoś uniósł ją w górę, jakby pozbawiona ciężaru zawisała w powietrzu. To nie dzieje się naprawdę... To nie mogło się zdarzyć...

Ta kobieta. Sylvie Rosenthal. Moja prawdziwa matka. Nie, to niemożliwe. Jednak już w tym samym czasie jakoś czuła, że to musi być prawda. Gdzieś, w jakiejś ukrytej głęboko części duszy, zawsze musiała to wiedzieć. Tak jak w snach coś się wie, coś, czego w żaden inny sposób nie można się dowiedzieć.

Potem poczuła, jak od wewnątrz cała rozsypuje się na kawałki, podobne do kolorowych szkiełek w kalejdoskopie, wirujących i rozproszonych. Ale środek jej ciała pozostał niewzruszony i zimny. Obręcz wściekłości jak lód ścisnęła jej serce.

Moja matka nie umarła. Nie zginęła w tym pożarze... tylko po prostu odeszła... zostawiła mnie obcym... och, Boże... ZOSTAWIŁA MNIE!

- Żałuję tego - powiedziała Sylvie, opuszczając dłonie i ukazując ściągniętą i umęczoną twarz. - Kiedy tylko to zrobiłam, żałowałam... Chciałam wrócić, powiedzieć im, że to pomyłka. Ale nie mogłam. Nie widziałam innego wyjścia.

- A mój ojciec? Kto jest moim ojcem?

- Nikos Alexandros. Był moim kochankiem. Nie powiedziałam mu... ale teraz wie. I on ciebie chce... bardziej niż czegokolwiek. Wtedy też by ciebie chciał. Aleja... byłam taka skonsternowana, taka przerażona. Źle postąpiłam. Teraz to wiem. Postąpiłam tak źle, że cię porzuciłam. Przez te wszystkie lata nie było jednego dnia, żebym nie nienawidziła siebie za to.

- Przecież mogłaś po mnie wrócić... kiedy miałam rok albo pięć, albo siedem. - Chłód ścisnący jej serce rozprzestrzenił się, przesączał się do koniuszków palców u rąk i nóg. Mogła zobaczyć, że na dworze śnieg pada coraz mocniej, coraz większy, wirując i świszcząc za

oknem. - A kiedy przyszedłeś do mnie do szkoły. Dlaczego? Dlaczego wtedy mi nie powiedziałeś?

- Chciałam cię tylko zobaczyć. Tylko raz... zobaczyć, jaka jesteś. Jak wyglądasz. - Głos Sylvie załamywał się nieco. W odruchu wspomnienia podniosła drżącą dłoń do ucha. - I nie mogłam pozwolić ci odejść bez... bez czegoś ode mnie.

- A co ze mną?! - wykrzyknęła Rose, postępując jeszcze krok naprzód. Nogi się nieco pod nią ugiwały.

- Miałaś Rachel, nie potrzebowałaś niczego ode mnie!

- Nie... Nie, nie rozumiesz... Chciałam cię, ale wtedy było na to za późno. O wiele za późno. - Refleksy padającego śniegu przemknęły przez szczupłą, bladą twarz Sylvie. - Jak ci wtedy mogłam powiedzieć? Uciekłaś. Nie uwierzyłybyś mi. Nie chciałybyś mnie.

- Myliłaś się. Chciałabym cię. Potrzebowałam cię... albo kogoś... kogokolwiek, kto by mnie kochał. - Rose wpatrzyła się w twarz Sylvie, obserwując, jak ta staje się jeszcze bledsza. Pamiętała tamten dzień, zimny wiatr smagający ją przez lichy płaszcz, szok z powodu nieoczekiwanego daru - kolczyka z rubinem, jak kropla świętej krwi z ran Chrystusa, który ścisnęła w dłoni. Och, tak, jak dobrze to pamiętała. - A gdybyś wtedy chciała mnie zabrać? Powstrzymała cię Rachel? Co by się wtedy z nią stało?

Synda gwałtownie się wyprostowała, jakby ktoś pociągnął za niewidzialne nitki, naprężył jej plecy, podniósł wysoko głowę. Twarz miała napiętą, powstrzymywała łzy.

- Nie będę cię okłamywać - powiedziała Sylvie. - Już dość kłamałam. Kocham Rachel tak, jak gdybym ją urodziła. Nie mogłabym jej porzucić, tak jak...

Rosę uczuła, jak coś w niej pęka. Skoczyła naprzód - wydawało się, że jednym wielkim susem pokonała cały pokój - ściskając Sylvie za ramiona; jej kciuki wbijały się w miękkie ciało poniżej delikatnych łuków obojczyków. Czuła perfumy Sylvie, lekki kwiatowy zapach, słodki, napełniający ją w równym stopniu rozpaczliwym pragnieniem, co wściekłością.

- Tak jak co? Tak jak nie mogłabyś porzucić własnego dziecka? Czy to chciałaś powiedzieć? Właśnie to?

Sylvie nie zrobiła nic, by się uwolnić z jej uścisku. Stała tam z bezwładnie opuszczonymi rękoma, jej wielkie zielone oczy płonęły. Powoli potrząsnęła głową i ten ruch uwolnił z jej oczu łzę, która potoczyła się po policzku i skapnęła z podbródka, opadając gorącą plamą wprost na nadgarstek Rosę.

Potem Syhde ją trzymała, kołysząc jej twarz w dłoniach... Palce miała zimne, porażające Rosę swym chłodem. Stały tak przez jedną wieczną chwilę, połączone, milczące. Słysząc było tylko łomotanie serca Rosę.

- Te wszystkie lata... - Drżący głos Syhde rozerwał ciszę. - Dotknąć cię... och, tylko cię dotknąć... tak jak teraz... Moje dziecko... moja córeczka...

Rosę wyrwała się. Fala wściekłości wznosząca się w górę z jej wnętrzości wykwitła posępną czerwienią pod czaszką.

- Nie! - krzyknęła. - Nie! Nie chciałaś mnie wtedy... Nigdy mnie nie chciałaś... Zostawiłaś mnie tam... jak jakiegoś psa czy kota. Przez całe życie czułam się, jak gdybym nie należała do mojej rodziny. Ani do nikogo. Moja babka nienawidziła mnie. Widziała, że jestem inna... i myślała, że to moja matka, Angie, sypiała z kim się da. Winiła mnie za śmierć swego syna. A ty myślałaś, że jakieś nędzne konto w banku to wszystko wynagrodzi? Och, tak, o tym też wiem. To musiałaś być ty. Ale nawet wtedy nie miałaś odwagi ujawnić swojego nazwiska.

- Nie mogłam, ale chciałam, żebyś coś miała...

- Nie dałaś mi nic! Nie, mniej niż nic. Tego dnia w szkole byłaś jak piękny sen, dałaś mi nadzieję. Ale to była fałszywa nadzieja. Bezużyteczna. Jak ten kolczyk. Czy kiedykolwiek pomyślałaś, jak bezużyteczny jest jeden kolczyk? Gorszy niż... Tylko przypomina o tym, którego nie ma.

Sylvie przycisnęła dłoń do serca, wykrzywiając twarz, jakby czuła straszny ból. Twarz miała mokrą. - Przykro mi... Tak mi przykro - wydobyła z siebie zduszony głos. - Nie myślałam... Nigdy nie chciałam cię zranić...

- Jak mogłaś mnie zranić? Nie znałam cię. - Rosę czuła słony smak pod językiem; w każdej chwili mogła się rozpłakać. Nachyliła się, by podnieść płaszcz. Krew uderzyła jej do twarzy. Szpileczki światła tańczyły jej przed oczami, oślepiając ją na chwilę. Potem obraz nabrał ostrości i Rosę ruszyła do drzwi.

- Żegnaj... matko.

- Zaczekaj! Nie możesz odejść... nie teraz... nie za-
nim... Och, proszę, poczekaj!

Głos Sylvie, przyzywającej ją z powrotem, rozbrzmiewał w głowie Rosę jak echo. Jak echo innego czasu. Tak jak tamtego dnia przed laty, czuła, że jej ręce i nogi stają się coraz cięższe, że spowolniają jej ruchy, aż zamarła w miejscu. I jak tamtego wietrznego dnia na dziedzińcu szkolnym, spostrzegła, że odwraca się, uwięziona w pułapce błagalnej natarczywości tego głosu.

Głupia! Wynoś się stąd! Jednak ciągle stała w miejscu, nienawidząc własnej słabości. Nawet teraz rozpaczliwie pragnęła tego, czego nigdy nie zaznała. Matczynej miłości. Było na to za późno. Gdyby tylko Sylvie powiedziała jej wcześniej... Gdyby tylko kochała ją bardziej niż Rachel.

- Mam coś dla ciebie - powiedziała Sylvie. - Zaczekaj.

Rosę chciała wybiec stąd... jednak coś mocno trzymało ją w miejscu, widok Sylvie, tak bladej, aż wydawało się, że niemal połyskuje srebrzyście; wyraz całkowitego udręczenia na jej twarzy.

Teraz to Sylvie wybiegła... Rzuciła się przez pokój, a potem, nagle, nieoczekiwanie, otworzyła drzwi balkonowe za ciężkimi zasłonami. Rosę poczuła powiew lodowatego powietrza i zobaczyła płatki śniegu, wirujące i osiadające na aksamitnych fałdach zasłon.

Rosę, rozdygotana, wpatrywała się w wirującą biel za otwartymi drzwiami. Widziała ogród. Ogród cały pokryty tą bielą. Białe szkielety krzewów. Drzewa ze śnieżnymi poduszczkami w zagłębieniach konarów. Splątana winorośl na odległym ceglany murze.

Teraz Sylvie wtargnęła w tę biel, nie przejmując się chłodem, nie myśląc nawet, żeby narzucić na siebie płaszcz czy choćby jeszcze jeden sweter. Rosę obserwowała Sylvie pokonującą schody, niemal prześlizgującą się po stopniach, wysokimi obcasami dziurawiącą śnieg, którym pokryło się patio.

Święta Matko Boża! Co ona robi?

- Sylvie! - zawołała Rosę. Lecz wydawało się, że wiatr porwał jej głos i odrzucił go w inną stronę.

Narzucając na siebie płaszcz, ruszyła za Sylvie. Uderzył w nią lodowaty chłód i zacisnął się wokół, płatki śniegu sypały się na jej policzki, na usta, jak zimne ziarenka piasku.

- Sylvie! - zawołała, stąpając po śliskim patio. - Co ty robisz? Przemarznieesz!

Jednak Syhde zdawała się jej nie słyszeć... lub nie zwracać na nią uwagi. Przez śnieżną zadymkę na oślep biegła do ceglanego muru. I teraz gołymi rękami szarpała jedną z cegieł.

Rosę, zbliżywszy się, zobaczyła, że dłonie Syhde zsiniały z zimna, paznokcie połamały się, palce oblepił śnieg z okruchami zaprawy murarskiej. Jej szczupłe plecy unosiły się i opadały, gdy dziko skrobała i szarpała. Szkarłatne plamy odcinały się od posiniałej bieli jej twarzy.

- Rany boskie, Sylvie! - Rosę opadła na kolana, na śnieg, obok swej matki, bliska szlochowi, rozpaczliwie chcąc ją powstrzymać. Nie mogła znieść tego ani chwili dłużej... widoku Sylvie takiej... zsiniałej z zimna, załamanej, łkającej, szarpiącej te cegły.

Rosę otuliła się płaszczem. Chłód jak ostre szpileczki wbijał się w jej nogi i ręce. Czego Sylvie tutaj szuka?

Nagle cegła, którą Sylvie wyciągała, odłupała się, ukazując brudną czerwień w głębi muru. Syhde sięgnęła do stojącej otworem dziury i wyciągnęła stamtąd coś zawiniętego w brudny kawałek plastikowej folii. - Zobacz! Jest! - zaszlochała z triumfem.

Zdjęła plastikową folię, a pod nią, umieszczony na skrawku gnijącego aksamitu, leżał kolczyk. Kolczyk

z rubinem, do pary z tym, który tkwił w uchu Rosę. Skrzący się, nieskazitelny, jak gdyby Sylvie przed chwilą odpięła go ze swojego ucha.

- Jest. - Sylvie wyciągnęła go na otwartej dłoni, tak jak przed laty. Tylko że teraz jej dłoń była wychudzona i brudna, a nie obciążona elegancką rękawiczką.

Rosę czuła, jak jej serce wywraca się w piersi, i znów, i znów, jak gdyby spadało z urwiska.

Matka...

Czuła, jak wyciąga rękę... wyciąga rękę, żeby wziąć kolczyk.

Teraz to nie żaden Anioł Stróż, ta klęcząca przed nią kobieta była kimś rzeczywistym... kimś, kto chciał od niej czegoś i...

Czy miała jej coś do zaoferowania? Czy mogła sobie pozwolić na przebaczenie?

Zanim poznała odpowiedzi, Rosę ujęła dłoń Sylvie. Czuła jej zeszywniałe palce oplatające ją, ściskające jej dłoń, czuła rubinowy kolczyk jak ostry cierń wbijający się w jej ciało.

Nie znam cię, pomyślała Rosę, ale chcę cię poznać. Chcę spróbować.

- Chodźmy do środka - powiedziała miękko.

ROZDZIAŁ 41

Rosę siedziała przy oknie, wpatrując się w przestrzeń. Uzmysłowała sobie, że musi tak siedzieć już od dłuższego czasu, a teraz spostrzegła, że zrobiło się ciemno i śnieg pada coraz mocniej. Małe śnieżne zadymki wirowały w smugach światła pod żółtymi stożkami ulicznych latarni. W dole chodnik wyścielony śnieżną bielą, po-

oraną koleinami ludzkich kroków. Zdawało się, że ten świeży śnieg, który przykrył brud i śmieci, przemienił miasto w białą połąć płótna, na którym mógł się pojawić piękny nowy obraz.

A ja? Czy moje życie będzie teraz inne? Może lepsze?

Cała zeszywniała. Jak długo tutaj siedziała? Może całe godziny. Od kiedy wyszła od Sylvie, wydawało się, że straciła poczucie czasu.

Pomyślała o tym całym popołudniu, które spędziła w wielkim domu przy Riverside Drive, grzejąc się pod miękkim moherowym kocem, skulona na sofie przy kominku, popijając łagodne porto i mówiąc... mówiąc, opowiadając Sylvie wszystko, co tylko mogła sobie przypomnieć ze swojego życia. Wspominając na głos, jak Nonnie przez tyle lat ubliżała jej i miała ją za nic, czuła odżywiającą złość; nigdy nie przypuszczała, że jej tyle w sobie nosi. Jednocześnie też wypłynęła z niej silna miłość do Marie i, tak, nawet do Clare. I opowiedziała Syhde wszystko o Brianie, jak długo kochała go i zarazem nienawidziła, i Rachel nienawidziła również.

Sylvie była niezmożona w zadawaniu pytań, nie, była wręcz wygłodniała, i Rosę stopniowo wyzbywała się resztek urazy, czuła się lżejsza, bardziej wolna, aż jej głos zaczął się wyczerpywać. A wtedy opadła na poduszki, zbyt zmęczona, by mówić dalej.

Przez dłuższy czas obydwie pozostały milczące. Rosę słyszała tylko trzaskanie ognia w kominku i poświstywanie śniegu za oknem. Przez jedną cudowną chwilę pozwoliła sobie pofantazjować, jak by to było dorastać w tym domu. W tych fantazjach była tak mała, że mogła wdrapać się na kolana Sylvie i przytulić się do jej miękkiej, ciepłej piersi.

Potem Sylvie nachyliła się nad nią i ujęła jej dłoń.
- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, kochanie. - Słyszac poważny ton jej głosu, Rosę zeszywniała - cokolwiek to było, nie chciała tego słyszeć. - Nie spodziewam się, że zrozumiesz, ale że przynajmniej spróbujesz zrozumieć.
- Syhde przerwała i teraz cisza miała w sobie coś złowieszczego.

Co to jest? Czego ode mnie chcesz?

- Chodzi o Rachel - podjęła Sylvie, odwracając wzrok i wpatrując się w ogień.

Rosę uczuła, jak jej uraza znów wybucha płomieniem. Do cholery, to jest jej dzień! Rachel miała matkę przez całe życie i miała wszystkie inne luksusy, jakie tylko można sobie wyobrazić. Dlaczego Sylvie niszczy jej ten jedyny dzień życia, jakie Rachel było dane zawsze?

- Co z Rachel? - spytała Rosę, słysząc, jak do jej głosu wkrada się złość.

- Och, Rosę! Czy tego nie rozumiesz? Jak to wszystko może ją zranić, kiedy dowie się, że nie jestem jej prawdziwą matką? - Sylvie ciężko westchnęła i na chwilę przymknęła oczy, jakby ogarnięta bólem. - Jak mogę cię prosić, żebyś dla mnie kłamała? Nie mam prawa, wiem o tym. I tak już zmusiłam cię do strasznych poświęceń. Ale proszę, błagam cię, zanim cokolwiek zrobisz czy powiesz, musisz wszystko dokładnie przemyśleć, rozważyć konsekwencje. Inaczej... nigdy nie przestaniesz karać Rachel za zło, które ja ci wyrządziłam, za to, co ja zrobiłam.

- Więc nigdy nie powiemy Rachel. Nie zburzymy jej mitu. A gdzie w tym wszystkim jest miejsce dla mnie? - upomniała się Rosę. Czuła się oszukana, jak dziecko, które dostało pięknie opakowany prezent, a potem wyrwano mu go z dłoni, zanim zdążyło rozwinąć papier.

Sylvie uścisnęła jej dłoń. - Och, Rosę! Nikt, nawet Bóg, nie zwróci ci tego, co ja ci odebrałam. Na pewno nie może ci tego zwrócić Rachel. Więc ty i ja... musimy spróbować zacząć od teraz, od dzisiaj, od tej chwili. Jako przyjaciółki. I to, co czujemy, co wiemy, nie zmieni się dlatego, że powstrzymamy się przed opowiadaniem wszystkiego światu.

Kłamstwa, kłamstwa, jeszcze więcej kłamstw! Rosę miała ochotę się na nią rzucić. Jednak coś - sama nie była pewna co - powstrzymało ją. Nie powiedziała „tak” ani „nie”, tylko, że się nad tym zastanowi. Znużona, uściskała Sylvie, zapamiętując jej zwiewność, delikatne kości

pod miękkim kaszmirowym swetrem, woń jej perfum. Potem wyszła, a jakaś część jej duszy zastanawiała się, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzy Sylvie, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę.

A teraz, siedząc tu i rozważając wszystko wciąż na nowo, Rosę mogła dostrzec słuszność argumentów Sylvie. Jakież przestępstwo popełniła Rachel? I czy nie wycierpiała już dość na tym procesie? Nie, to nie byłoby w porządku.

Jednak ciągle jakaś część jej duszy - to zranione dziecko, które skuliło się w jej sercu - chciała zranić również Rachel, ukarać ją jakoś za wszystko dobre, czego zaznała w życiu, za tę miłość, która należała się nie jej, lecz Rosę. I wiedziała, że to zranione dziecko pozostanie w niej na resztę życia, nie przestając czuć urazy do Rachel.

Jednak Rosę potrzebowała Sylvie, tego, co ta jej oferowała - przyjaźni, może pewnego dnia prawdziwej zażyłości, a nawet miłości. I nie mogła wywlekać tego wszystkiego na światło dzienne, ranić dotkliwie Rachel, a potem oczekiwać nieograniczonej miłości Sylvie. Nie mogły zaczynać w taki sposób.

Powiew wiatru poruszył okiennicą. Rosę spojrzała w dół i zobaczyła samotną postać spieszącą przez zaśnieżony chodnik, przygarbioną, z kołnierzem postawionym na szyi. Mężczyzna o ramionach oproszonych śniegiem sprawiał wrażenie tak osamotnionego, odciętego od świata, że zaczęła myśleć o sobie, tak tutaj samotnej.

Nagle zatęskniła za Maxem, zajęgo ramionami wokół siebie, trzymającymi ją, przyciskającymi do piersi, za jego zapachem, ciepłym, szorstkim, lekko piżmowym. Poczowała ból. Tego wieczoru Max miał wyjechać do Los Angeles. Pewnie już wyjechał.

Głupia, szydził z niej wewnętrzny głos, to nie Max cię opuścił. To ty popchnęłaś go do wyjazdu.

Tego dnia, kiedy zastałam go przy uprzążaniu biura, dlaczego wtedy nie powiedziałam mu, że go kocham?

Mogłam to zrobić. Czy to przez tę moją cholerną głupią dumę?

A może to było jeszcze coś innego? Może bałaś się zbyt blisko wiązać się z Maxem? A co, gdyby Max zranił cię tak samo, jak zrobił to Brian?

Aleja nie chcę już być sama - ta myśl zjawiała się jasna i dźwięczna jak głos dzwonu. Tak długo czuła się samotna, jakoś oddzielona od wszystkiego, ale teraz już tego nie chciała. Chciała Maxa. Chciała go bardziej niż Sylvie, bardziej niż czegokolwiek.

Może... może go jeszcze zdąży złapać. Rosę uczuła, jak raptownie podskoczyło jej serce. Poderwała się i rzuciła się do kuchni. Ósma, zobaczyła na zegarze, więc może ciągle jest czas.

Schwyciła telefon i nakręciła numer. Proszę... Proszę, Max. Bądź tam. Cholera, nie podnosił słuchawki. Czekala długo, telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił. Chciała coś kopnąć, walnąć pięścią w ścianę. To było nie w porządku. Oczy wzbierały jej łzami, gardło obrzmiewało, niemal się dławiała.

Jego samolot, przypomniała sobie, odlatuje o dziesiątej. Przesłał wszystkim w biurze informację z dokładnym planem podróży, żeby można się z nim było jeszcze skontaktować przed wyjazdem. Lotnisko Kennedy'ego, dziesiąta, te słowa wryły jej się w pamięć. Przy takiej pogodzie lot prawdopodobnie będzie opóźniony, więc jeśli się pośpieszy, może zdąży go złapać na lotnisku.

Już była przy szafie, wciągając śniegowce, narzucając na siebie ciepły płaszcz i w pośpiechu zapinając guziki. Spójrz na mnie! Już cała drzę, a jeszcze nie doszłam do drzwi!

Jakimś cudem udało jej się niemal natychmiast złapać taksówkę, ale na Long Island Expressway ruch włókł się tak ślamazarnie, że samochody niemal stały w miejscu. Przeklinała śnieg, wlokące się ciężarówki i blokujące przejazd samochody pomocy drogowej, których kierowcy powinni byli najlepiej wiedzieć, jak wyjechać stamtąd w taką pogodę. Chryste miłosierny, w tym tempie nigdy

tam nie dojedzie. Spojrzała na zegarek. Dziewiąta. Już wkrótce mógł być na pokładzie. Boże, musi mu to powiedzieć. Nie może dopuścić, by wyjechał bez... bez tego... Nie może dopuścić...

Proszę, Max... Proszę, bądź tam.

Kilka razy jeszcze utknęli w korku, aż wreszcie dotarli do terminalu. Na parkingu samochód przy samochodzie. Wewnątrz tłumy ludzi, ciżba oblegająca kasy biletowe, poczekalnia zapakowana do ostatniego miejsca, grupy obozujące w hali, blokujące przejście do odprawy, tarasujące drogę bagażami.

Boże, proszę... Niech Max będzie w tym tłumie...

Szybko znalazła się przy punkcie informacji o rozkładzie lotów, wcisnęła klawisz „Los Angeles” i natychmiast na ekranie pojawiło się: „Lot nr 351, 10:05, wejście 12”. Według jej zegarka pozostało jeszcze sześć minut.

Serce dudniło jej w gardle, krew pulsowała w skroniach, gdy biegła, torując sobie drogę przez tłum; niemal zmiażdżyła wielkiego czarnoskórego człowieka z olbrzymią walizką, niewiele brakowało, by przewróciła dziecko. Numery nad drzwiami wejściowymi stopniowo rosły - cztery, teraz sześć, siedem, dziewięć...

Dwanaście. Wejście dwunaste. Bez tchu wpadła do poczekalni. Drzwi prowadzące na pas startowy były zamknięte. Ale może jeszcze jakoś się z nim skontaktuje... może...

A potem, przez wielką szklaną tafłę, Rosę zobaczyła migotanie czerwonych światełek i oddalający się ciemny kadłub. Samolot Maxa kołował na pasie startowym.

Poczuła się nagle ociężała. Miała wrażenie, że nogi zapadają jej się w podłogę, a serce ciąży jak głaz.

Max... Och, Max...

Max po raz drugi przycisnął osłoniętą rękawiczką dłoń do dzwonka przy drzwiach. Chryste, czegoż mógł się spodziewać? Szósta rano. Pewnie śpijak zabita. Ledwie się rozwidniało.

Powinien po prostu odejść, ruszyć się stąd. To było głupie przychodzić tutaj. Musi zdążyć na samolot.

Mógł poczuć chłód zeskorupiałego śniegu przenikający przez podeszwy butów. Ręce miał zgrabiące. W nocy przestało padać; było za zimno na śnieg - sporo poniżej zera. Powietrze, które wydmuchiwał z płuc, tworzyło obłoki pary w ciągle jeszcze szarym powietrzu.

Wreszcie, nacisnąwszy dzwonek po raz trzeci, zrezygnował. Rosę nie otworzy. Nie ma się co łudzić. Może jej nawet tam nie ma. Serce mu zamarło. Odwracając się od drzwi, podniósł z ziemi walizkę.

Z trudem schodząc po przysypanych śniegiem schodach, przypomniał sobie. Boże, przecież ciągle ma klucze do jej mieszkania. Od wielu dni myślał o tym, żeby jej je oddać, ale jakoś ciągle zapominał.

Wsunął rękę do kieszeni i wyjął pęk kluczy. Tak, ciągle je ma. Klucze do mieszkania Rosę. Ogarnęła go radość, choć wiedział, że to śmieszne.

W jednej chwili był na górze, przekręcając klucz w drzwiach, czując przy tym, że powinien wymknąć się z powrotem, a potem - powoli, delikatnie - otworzył drzwi. Bezszelestnie postawił walizkę tuż za drzwiami.

Stał tam i serce podchodziło mu do gardła. Stary fiucie, kogo chcesz nabrać? Nie przyszedłeś tu, żeby powiedzieć „do widzenia”. Cały czas się łudzisz, czyż nie? Chryste, kiedyż człowiek wreszcie zmadrzeje?

Nie, to było śmieszne.

A z drugiej strony, jak mógłby stąd odejść i nawet się nie pożegnać?

Prawda, gdyby pogoda nie była taka podła, gdyby Monkey nie ubłagała go, żeby odłożył wyjazd, teraz byłby już w Beverly Hills.

Ale samolot odlatuje dopiero za dwie godziny. Więc pomyślał: Dlaczego nie?

Max na palcach przeszedł przez bawialnię. W porannym świetle, odbijającym się od przyklejonego do framug okiennych śniegu, wszystko wydawało się jaśniejsze, jak gdyby było już znacznie później niż szósta rano. Na fotelu zauważył rozrzucone w nieładzie ubranie, płaszcz, buty leżące obok na podłodze. Czy mogła być wczoraj na randce? Jakiś facet? Zrobiło mu się niedobrze - Chryste, przecież mogła nie być sama w sypialni! Nagle zabrakło mu tchu, jak gdyby uszło z niego całe powietrze.

Ostrożnie stanął na progu sypialni. Przez żaluzje sączyło się szarawe światło, dzieląc cały pokój na przygnione paski, matowo połyskując na mosiężnych gałkach łóżka. Spojrzał na postać pod zwiniętą kołdrą. Sama. Dzięki Bogu. Poczował, jak powietrze radośnie wypełnia mu płuca.

Wpatrywał się w śpiącą Rosę, jak jej j)ierś wznosiła się i opadała, leciutko poruszając kołdrę. Światło dzieliło jej twarz na dwie połowy - jasną i ciemną, włosy jak ciemna chmura spoczywały na poduszce. Boże, jaka ona piękna. Serce zatrzymało się w nim na chwilę, do oczu napłynęły łzy.

- Rosę - dotknął jej ręki. - Rosę, obudź się.

Tylko się z tobą pożegnaj i obiecuję zniknąć z twojego życia.

Jutro o tej porze będzie żeglował w Santa Monica. Trzydzieści stopni ciepła, tak mu wczoraj powiedział Gary przez telefon. Trzydzieści stopni w pieprzonym listopadzie! „Zabiorę cię na przechadzkę - powiedział - i nie uwierzysz własnym oczom. Dziewczyny w bikini, deskorolki na chodnikach. Max, poczujesz się jak w rajku”.

Tak, pomyślał Max, wśród tych nadętych facetów w koszulach rozpiętych do pępka, ze złotymi medalionami

na szyjach, uganiających się za o połowę młodszymi dziewczczynami.

A co, jeśli wszystko, czego chcę, jest właśnie tutaj?

Ale ona cię nie chce, Max, stary chłopie. Więc lepiej zabierz się stąd, zanim zrobisz z siebie kompletnego dupka.

Nie, tylko szybko się pożegnam. Muszę to zrobić. Siedzi we mnie prawnik. Wszystko musi mieć swój początek, rozwinięcie i zakończenie. Podsumowanie.

Jasne, pewnie przez jakiś czas będziemy sobie przysyłać kartki na Boże Narodzenie, a kiedy będę w mieście, może wsunę głowę do jej biura, żeby się przywitać. Pewnie któregoś dnia wyjdzie za mąż i zaprosi mnie na ślub. Ale to jest to, od czego odjeżdżam, ostatni przystanek, ostatnie spojrzenie.

- Rosę - wymruczał znów, wpatrując się w nią i chłonąc pamięcią jej twarz. Spała tak twardo, że nie miał serca jej naprawdę budzić. Wyglądała na wykończoną, biedactwo.

- Żegnaj. Będę za tobą tęsknił - wyszeptał Max z westchnieniem.

Czuł się tak samo bezradny, jak w te noce przed wielu laty, kiedy stał nad kołyską swej córki - Jezu, całymi godzinami mógł obserwować śpiącą Monkey, taki słodki to był widok, choć wiedział, że bez względu na to, jak bardzo chciałby ją chronić, osłaniać przed wszystkimi ciosami tarczą swojej miłości, nadejdzie czas, kiedy jego dziecko odejdzie w świat i zostawi go wypatrującego przed domem.

Serce wyrывało mu się z piersi, łyzy szczypały w oczy. - Tak... dobrze. - Pochylił się i pocałował jej rozchylone usta. - Do zobaczenia, dziecinko.

Był już przy drzwiach sypialni, kiedy usłyszał zaspany głos Rosę: - Max, to ty?

Odwrocił się. Serce podskoczyło mu w piersi. - To ja. Przepraszam, jeśli cię przestraszyłem.

Teraz się poderwała, całkowicie obudzona, wpatrując się w niego tymi wielkimi ciemnymi oczami. - Max, co ty tu robisz? Miałeś być w Los Angeles.

- Mandy martwiła się, że mam lecieć w taką paskudną pogodę, więc obiecałem jej, że zostanę, dopóki się nie uspokoi. A teraz jestem w drodze na lotnisko. Wstąpiłem tylko, żeby się z tobą pożegnać... i zostawić to. - Odpiął klucze z kółka i ze zgłuszonym brzękiem odłożył na toaletkę. - Nie wstawaj. Mam tylko chwilę. - Zmusił się do uśmiechu. - A teraz Kalifornia. Śpiewają o niej piosenki. Hej... Rosę, co ty? Co to za łyzy?

Nagle Rosę poderwała się z łóżka, w zmiętej niebieskiej flanelowej koszuli, z rozczochranymi włosami sterzczącymi na całej głowie, z tryskającymi z oczu łzami. Teraz stała przy drzwiach, blokując je rękami i biodrami.

- Nie możesz jechać. Nie puszczę cię.

Max wpatrywał się w nią zdumiony. - Rosę, co ty mówisz?

- Słyszałeś mnie, Maksie Griffin! Nigdzie beze mnie nie pojedziesz. Nie pojedziesz! - Rumieńce jak czerwone chorągiewki wykwitły na jej policzkach, w oczach błyszczały łzy.

Zaczęło w nim kiełkować ziarenko nadziei i szybko wypuszczało blade, rozgałęziające się pędy. Max, wreszcie odzyskawszy władzę w nogach, dwoma susami przemierzył pokój i chwycił ją za ramiona. - Rosę, czy ty oszalałaś?

- Słyszałeś. Jadę z tobą.

- Czy ty śnisz? Po co, do diabła, chcesz jechać do Kalifornii?

- Po grapefruity.

- Rosę... Nie rób sobie...

- Na gorące kąpiele. Pożeglować. Zobaczyć Ronalda Reagana.

- Czy ty zupełnie...

- Do ciebie.

- Co ty powiedziałaś?

- Do ciebie. - Uśmiechała się. - Kocham cię, Max. Nie zostanę tutaj, jeśli ciebie tu nie będzie.

Teraz nadzieja rozkwitła w nim - kwiaty w pełnym rozkwicie, nie do wiary.

- Myślę, że kochałam cię od początku, tylko po prostu nie wiedziałam tego. Potem, kiedy pomyślałam, że jest za późno, kiedy powiedziałeś mi, że się przeprowadzasz do Los Angeles... Och, Max, czy jest za późno?

- Czy ty mówisz o wyjeździe ze mną?

Uśmiechnęła się szeroko, ale mógł zauważyć, że kąci jej ust drżą. - Słyszałam, że gorące kąpiele czynią cuda dla życia seksualnego. I tak się składa, że uwielbiam grapefruity.

Max wpatrywał się w nią i czuł się, jakby podłoga usunęła się spod niego, jakby zawisł w powietrzu. A teraz stanął na ziemię z głuchym odgłosem, docierającym aż do kości. Jezu, och Jezu, dwadzieścia lat błąkał się po pustyni i nagle na horyzoncie drży miraż, mamiący chłodem, upragnioną wodą i kresem samotności.

Boże, czy mógł w to uwierzyć?

Z podświadomości wypłynęło wspomnienie. Miał szesnaście lat i tak żarliwie pragnął mieć samochód, że każdy dzień wakacji spędzał pracując w cementowni przy pakowaniu cementu w worki. Codziennie przychodził do domu spowity całunem pyłu, z ustami pełnymi ziarenek cementu, którego nie mógł się pozbyć, nawet gdy szorował zęby tak mocno, aż krwawiły mu dziąsła. I wreszcie nadszedł wrzesień, kiedy miał już zaoszczędzone czterysta dolarów i kupił samochód. Och, Jezu, szmelc nie samochód. Oldsmobil 88 z 1941 roku, w kolorze mdłej zieleni. Przeżarta rdzą kupa żelastwa. Matka krzyczała, kiedy przyjechał do domu i zaparkował na podjeździe. Ale, do cholery, jeździł. Nie mógł się równać z dobrymi samochodami, ale jeździł. Wyciekało z niego tyle samo paliwa, ile spalał. Chryste, jak on kochał ten samochód. Bardziej niż nowego thunderbirda, którego kupił po skończeniu studiów, bardziej niż jakikolwiek inny samochód, który kiedykolwiek miał. Teraz pomyślał, że rozumie, dlaczego, mimo wszystkich wad, tak kochał ten samochód.

Ponieważ nie kupił go po prostu, ale wymarzył go sobie. Wyczarował go, jak oszałały szesnastoletni Aliba-

ba, z cementowego pyłu i pobożnych życzeń. I siedząc za splekaną od słońca kierownicą oldsa, wiedział, wtedy i na zawsze, że jeśli się czegoś wystarczająco pragnie, jeśli marzy się wystarczająco żarliwie, wszystko jest możliwe.

Max, skupiając spojrzenie na olśniewającym obrazie Rosę, poczuł się nagle oślepiiony, jakby widząc maleńkie wszechświaty szczegółów - delikatne niebieskie żyłki na jej skroniach, każdą połyskującą spiralkeję włosów i jasne punkciki w wielkich ciemnych oczach - nadawał im blask.

Podniósł rękę do jej twarzy, nie dotykając jej, ale trzymając dłoń dostatecznie blisko, by czuć jej gorąco. Rosę, przymykając oczy, nachyliła się ku jego dłoni i jedwabiste odczucie jej skóry opinającej ostro wystającą kość policzkową napełniło go uczuciem, jakby dotykał świeżej trawy, pozbawiając tchu, wywołując zawrót głowy i przyspieszone bicie serca.

- Jeden warunek - powiedział, ochrypiły z emocji.
- Strzelaj - wymruczała.
- Wyjdź za mnie.

Nagle otworzyła oczy. Uśmiech powoli rozszerzał się na jej twarzy. - Tak. Wyjdę. To znaczy, wyjdę za ciebie. Czy to już wystarczająca odpowiedź na twoje pytanie, czy mam mówić dalej?

- Taaak - odpowiedział - ale nie przestawaj. Tak czy inaczej lubię tego słuchać.

Ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu, z rękami wyciągniętymi w górę, z szyją wygiętą w łuk, a jej elektryzujące włosy opadły z szyi i uszu.

I wtedy je zauważył - kolczyki. Parę kolczyków, identycznych kolczyków w kształcie maleńkich łez, połyskujących w jej uszach.

Epilog

SyMe umościła się w głębokim fotelu przed kominem i przez chwilę rozkoszowała się jego aksamitną miękkością. Wysunęła nogi z pantofli i skłoniła głowę na pulchnym oparciu fotela. Przez rżnięte szkło rozsuwanych drzwi z salonu mogła zobaczyć majaczące sylwetki - obsługę uprzątającą kieliszki, talerze, popielniczki.

Czuła się zmęczona, ale to było przyjemne zmęczenie. Tak jak układanie róż w najlepszym wazonie po porannym pieleniu ogrodu w upalny dzień.

Byli zachwyceni. Wszyscy. Zachwyceni tym, co Nikos zrobił z tej starej ruiny domu. Tym, co ja zrobiłam. To cud, mówili.

Wchodząc na górę, słyszała nikły dzwoneczek kobiecego śmiechu i donośny jak dzwon głos Nikosa, żegnającego ostatnich gości. I dźwięki z kuchni, dokładnie poniżej - jednostajny rytm jamajskich pieśni, szum wody płynącej z kranu i brzęk naczyń.

SyMe oparła obciążone pończochami stopy na podnóżku. Ogarnęło ją teraz zakłopotanie, gdy pomyślała, jak bezwstydnie wystawiała się tego wieczoru na blask pochwał, zbierając wszystkie laury. Ale dlaczego nie? Zasłużyłam na nie.

Ogarnęła wzrokiem salon pogrążony w miękkim różowym świetle dogasającego w kominie ognia i ujrzała jego wspaniałość, jak gdyby patrzyła nań po raz pierwszy

- bez wdzierających się w pamięć obrazów popękanych ścian, odpadającego sufitu, materiałów budowlanych i wiader z farbą. Powoli, niepewnie wkradała się w nią duma, wprawiając ją w podniosły nastrój.

Wielki, tak. Ale też przytulny. Wszystko co najlepsze z dwóch światów.

Miała rację, że wybrała te jasne obicia do mahoniowych drzwi i framug okiennych, przy drzwiach i oknach, zaprojektowane przez Williama Morrisa w najbledszym srebrzystym kolorze, i łagodne pastele na sufit z girlandami rozetowych sztukaterii. A zamiast ciężkiego, żałobnego aksamitu zawiesiła miękkie cytrynowe załony, które wręcz spijały słoneczne światło. A tu i ówdzie żywe akcenty. Lakierowany na czerwono chiński stolik do herbaty, pomiędzy dwoma wysokimi oknami zdumiewające tremo w połączanej ramie w stylu Ludwika XV, lilie Georgii O'Keeffe nad kominkiem.

Stworzyłam to. Coś, z czego mogę być dumna. Och, mam, chciałabym, żebyś to mogła zobaczyć...

W wysokim lustrze Sylvie pochwyliła migocące bursztynowo odbicie smukłej kobiety, ubranej w krepdeszynową suknię koloru róż *Błękitny Nil*, kobietę o jasnych włosach upiętych w górze dwoma stylowymi srebrnymi grzebieniami. Jej oczy, duże, w odcieniu morskiej zieleni, odbijały głęboki spokój.

Wpatrywała się we własną postać, czując dystans, jak gdyby oglądała namalowany przez kogoś swój portret. I zdumiewała ją godność tej kobiety, jej opanowanie.

- Zdecydowałaś się, prawda? - szepnęła do siebie, wdychając unoszący się ciągle w powietrzu zapach perfum i papierosów.

Tak. Wreszcie. Wreszcie wiedziała, jak chce spędzić resztę życia. Nikos się niecierpliwił. Zbyt długo trzymała go w niepewności. Teraz zasługiwał na odpowiedź, choć myśl o tym, co musi poświęcić, była dla Sylvie tak bolesna.

Ale każdy wybór ma swoją cenę. I któż wie to lepiej ode mnie?

Pomyślała o tej nocy sprzed lat, o duszącym dymie, o śmiertelnym przerażeniu, o parzących płomieniach i o tym, jak powiedziała, że to spowite w prześcieradło zawiniątko w jej ramionach należy do niej, a potem musiała żyć z tym wyborem. Ale teraz, dzięki Bogu, nie było to już tak bolesne. Odnalazła swoje dziecko, swoją Rosę. Trzymała swoją prawdziwą córkę w ramionach. I nigdy nie pozwoli się oddzielić od Rosę, już nic ich nie rozłączy, nawet kiedy Rosę jest w Kalifornii. Będzie ją często odwiedzała. Już raz tam nawet poleciała. A latem poleci na ślub. I jeszcze wiele razy.

Nikos też odwiedził Rosę, ledwie dwa tygodnie temu. Przywiózł do domu trochę zdjęć i opowiedział jej wszystko, każdy szczegół swojego spotkania z Rosę, o czym rozmawiali, co razem robili.

Wreszcie Sylvie mogła spojrzeć w przyszłość, a nie oglądać się wstecz. Mogła iść przed siebie, więcej energii poświęcać swojej pracy.

Pomyślała o tym domu w Murray Hill, który kupiła w zeszłym miesiącu, ruina... w jeszcze gorszym stanie niż kiedyś był ten. Teraz całymi dniami wędrowała po pokojach o osypujących się ścianach, szczebiotała z inspektorami z Departamentu Budownictwa, liczyła dostawy dachówki i materiałów budowlanych, targowała się z wykonawcami. Ale kiedy wreszcie roboty budowlane będą już skończone, będzie mogła zacząć tę część pracy, którą lubiła najbardziej - urządzenie wnętrza, komponowanie uroczych szczegółów. Każdy pokój czekał na nią jak czyste płótno czeka na pociągnięcia pędzla.

Jakież to podniecające! Najpierw rano filiżanka kawy, a potem do PiD po próbki tapet i materiałów obiciowych, do Bowery po sprzęt oświetleniowy albo do dużego domu towarowego, który odkryła przy Red Hook, pełnego zakurzonych drobiazgów architektonicznych - obramowań kominkowych, witraży, inkrustowanych drzwi.

A potem, na koniec dnia, nagroda - gorąca kąpiel, kieliszek sherry i spokojna kolacja. I najlepsze ze wszystkiego - Nikos. Przyjaciół, kochanek, partner. Byłby też wspomniałym mężem. Gdyby tylko...

Sylvie drgnęła na dźwięk rozsuwających się ciężkich drzwi do salonu.

- Wyglądasz na taką odprężoną. Myślałem, że zasnąłś - wkradł się za jej plecami głos Nikosa, niski i silny. Poczowała ciepłe muśnięcie jego warg na swoim karku. - Kochana Sylvie. Byłaś dzisiaj królową balu.

Obszedł ją i usiadł w fotelu naprzeciwko. Tak przystojnie wyglądała w smokingu - pomyślała Sylvie, ciągle jeszcze jakby z dystansem. Jak jakiś dystyngowany senator wydający bankiet dobroczynny.

Nikos ciężko odchylił się do tyłu, przejechał palcami po włosach, a potem rozpiął koszulę, rozluźnił muszkę i spinki przy kołnierzyku. Patrzyła na jego szyję, mocną, ogorzałą, która ukazała się pod rozpiętym kołnierzykiem. Teraz znów wyglądał jak jej Nikos, mężczyzna ziemi i ognia.

- Chyba wypiliśmy za dużo szampana - powiedziała i roześmiała się. - Trochę szumi mi w głowie.

- W takim razie będę musiał położyć cię do łóżka - powiedział z uśmiechem, a w jego oczach migotały punkciki światła odbijające ogień w kominku.

Sychie poczuła, jak coś ściskają w piersi. - Nie... Nie dzisiaj, kochanie... Jutro muszę wstać bladym świtem. O wpół do dziewiątej spotkanie z architektem, a potem dalej, do Phillipa. I wypatrzyłam u Tiffany'ego okienko nad drzwiami, które doskonale nadawałoby się do domu w Murray Hill.

- Syhde... - Nikos pochylił się do przodu, z łokciami opartymi na kolanach, z mocnymi, ogorzałymi dłońmi złożonymi strzeliście pod brodą. Wyglądał na zmartwionego. - Może nie jestem najbardziej wykształconym człowiekiem, ale kiedy słyszę wymówkę, umiem ją rozpoznać. A ty uciekasz ode mnie przez cały tydzień... Czy chcesz" mi coś powiedzieć?

Sylvie wpatrzyła się w dogasający ogień i poczuła, jak ogarniają smutek. Słyszała lekkie, rytmiczne uderzenia deszczu o szyby. Wiosenny deszcz zawsze wydawał jej się najzimniejszy. Dlaczego tak było?

Napłynęło stare wspomnienie. Wlokła się do szkoły w swojej żółtej kurtce z kapturem i czerwonych kaloszach. W połowie drogi przypadkowo wdepnęła w wielką kałużę. Do kaloszy nalała się woda; czuła jak ma w nich grząsko i zimno. Usiadła na chodniku i ściągnęła kalosze razem ze skarpetkami. A potem nie mogła rozwiązać mokrych sznurówek kaloszy, żeby znów nałożyć je na nogi. Więc siedziała tam zapłakana, dopóki ulicą nie nadszedł mężczyzna, który z najbliższej budki telefonicznej zadzwonił do mamy.

Pomyślała: Przeżyłam całe życie, czując się słaba i głupia, czekając na jakiegoś mężczyznę, który przyjdzie i mnie uratuje. Nigdy więcej tego. Teraz zależę tylko od siebie.

- Nie mogę za ciebie wyjść, Nikos - powiedziała miękko. - Nie mogę cię dłużej zwodzić. To byłoby nie w porządku.

Wydawało się, że Nikos zamarł. Teraz patrzyła na niego jak na fotografię, siedzącego tutaj z przekrzywioną muchą, z podbródkiem spoczywającym na wzniesionych palcach, z oczami, które niemal wypalały dwie dziury w skórze jego twarzy.

- W pewien sposób to ironia losu - mówiła dalej, widząc go podwójnie przez napływające do oczu łzy - bo to ty pomogłeś mi zrozumieć, że mogę przeżyć o własnych siłach. Nigdy bym tego nie osiągnęła, gdyby nie ty. Ale teraz podoba mi się to, że w banku pytają mnie o zdanie. Podoba mi się to, że jeśli dach przecieka, nie wpadam w panikę, ale mogę sobie sama z tym poradzić. Podoba mi się to... że mam obowiązki.

- Nie chcę twojej uległości - powiedział Nikos, błagalnie wznosząc rękę. - Chcę tylko twojej miłości.

- Już ją masz, kochanie. Na zawsze.

- Więc dlaczego?

- Ponieważ... - zastanawiała się, ostrożnie dobierając słowa - zbyt dobrze siebie znam. Każdego dnia po trochu stawałabym się coraz bardziej od ciebie zależna, coraz bardziej obawiałabym się coś zrobić sama. To nie twoja wina, Nikos. To po prostu mój charakter. I może to moja największa siła, że jestem w stanie zrozumieć własną słabość.

- Och, Sylvie. - Teraz i w jego oczach dostrzegła łzy. - To ja jestem słaby. Nie wiem, jak mógłbym żyć bez ciebie.

- Nie musisz żyć beze mnie - powiedziała. - Chodziło mi tylko o to, że nie mogę za ciebie wyjść. Ale to nie znaczy, że musimy się przestać widywać, prawda?

- Może nie - westchnął, odchylając się do tyłu. - Tyle że ja zawsze będę ciągnął w tym kierunku. Chcę mieć żonę, Sylvie. Tęsknię za małżeństwem. Starzeję się... Robię się za stary na to, żeby ciągle biegać z miejsca na miejsce i nie wiedzieć, w którym łóżku się budzę, w twoim czy w moim. Chcę cię mieć przez cały czas, nie tylko trochę tu, trochę tam.

Syhde uczuła, jak jej serce kołacze, ale nie tak mocno, jak się tego bala. - Och, Nikos, w tym, czego chcesz, nie ma nic złego. I chciałabym móc ci to dać. Gdyby tylko chodziło o to... Przecież moje serce należy do ciebie... ale nie mogę ci dać nic więcej.

W ciszy, która teraz zapadła, Syhde usłyszała nagły dźwięk, jak westchnienie. Rozejrzała się i zobaczyła, jak w kominku jeden dopalający się kawałek drewna spadł na drugi i jak mrowie iskier unosiło się do komina.

Czuła się dziwnie spokojna. Jak gdyby ta decyzja była niczym wejście na szczyt stromego wzgórza, po którym można nieco odpocząć.

Odczekawszy kilka sekund, żeby Nikos coś powiedział, postanowiła zaryzykować i wyciągnęła do niego rękę.

Przez jedną straszną chwilę wydawało się, że zawisły w powietrzu, ciężkie i zimne. Odrąci mnie? Rozzłości się na mnie? Och, Boże, proszę, niech on się nie "złości.

Kocham go i ciągle go potrzebuję na tak wiele sposobów...

Potem, na szczęście, poczuła silne, ciepłe palce Nikosa oplatające jej dłonie i teraz wstał, podniósł ją na nogi.

- Myślisz, że mnie pobiłaś, prawda, moja uparta Syhie? - Minę miał niezadowoloną, ale oczy czułe.

- Pobić cię? Och, Nikos, proszę, nie myśl w ten sposób. Chodzi mi tylko o to, że gdybym wyszła za ciebie, przestałabym być tą kobietą, którą kochasz.

- Mylisz się. Będę cię kochał zawsze i w każdej postaci. I nie odczepię się od ciebie tak łatwo, sama dobrze wiesz. Nie, kiedy jestem taki zdeterminowany.

- Ależ, Nikos - uśmiechnęła się Sylvie. - Przecież już mnie masz.

- Na zawsze?

- Na dzisiaj, na jutro, na pojutrze, na popojutrze, na...

- Rozumiem. W takim razie, dobrze. Powinniśmy zacząć teraz. Od dzisiaj. Zostaniesz ze mną na noc?

Przejrzała strategię Nikosa i uśmiechnęła się. Och, dobrze. Przecież nic się nie stanie, jeśli troszkę ustąpi, prawda?

Potem on wziął ją w ramiona; czuła ciepło jego potężnego ciała, jego kołnierzyk łaskotał ją w szyję. Uśmiechnęła się do siebie, a serce jej biło o wiele za szybko. O tak, teraz rozumiała. Te wszystkie jutra Nikos poukłada razem, jedno za drugim.

- No cóż... Chyba mogłabym odwołać to jutrzejsze spotkanie z architektem - powiedziała. Pozwoli mu myśleć, że wygrał, kiedy w gruncie rzeczy to ona już decydowała.

- A rano - wymruczał - musisz zostać na śniadanie. Potrzebuję twojej rady w pewnej sprawie. Chodzi o ten mały kawałek ziemi z tyłu domu. Myślałem, żeby tam posadzić róże..